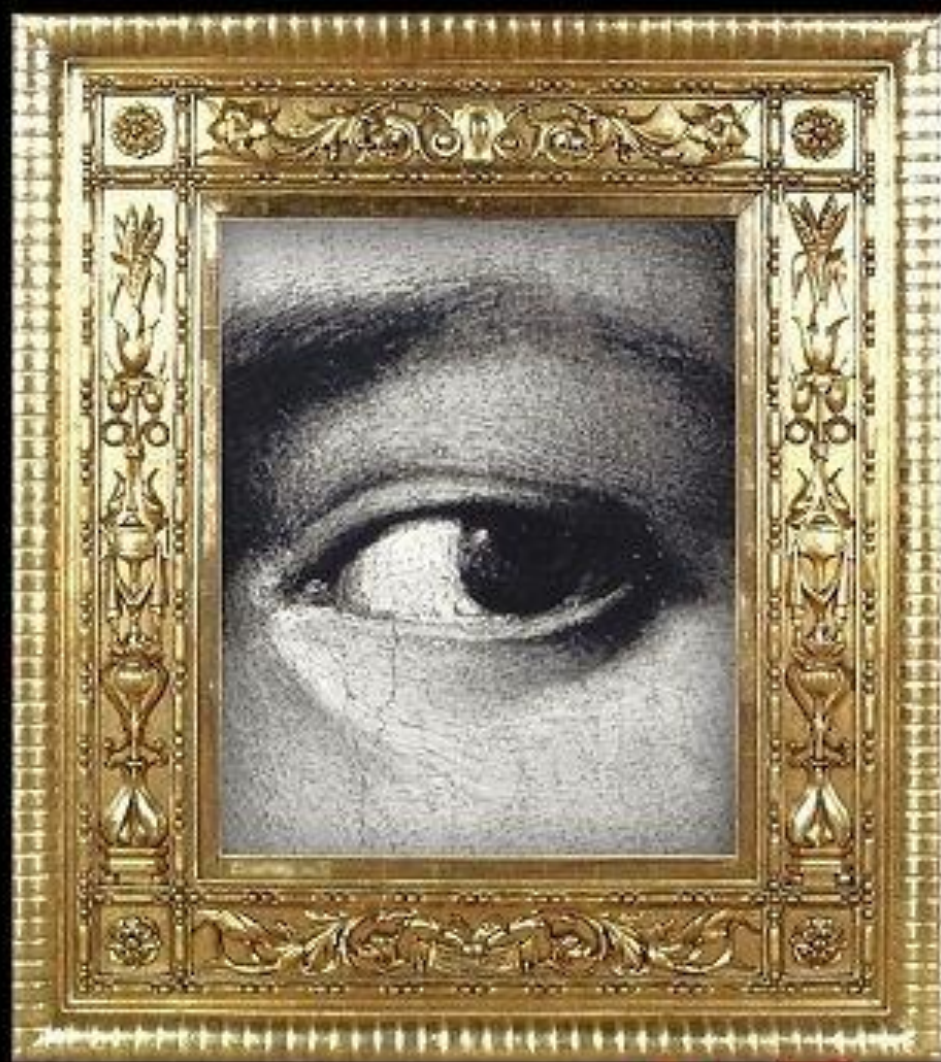


ZYGMUNT MIŁOSZEWSKI  
BEZCENNY



NOWY THRILLER  
BESTSELLEROWEGO AUTORA

w  
ab

**ZYGMUNT MIŁOSZEWSKI**

**BEZCENNY**



## ZYGMUNT MIŁOSZEWSKI

(ur. 1976) - powieściopisarz. Debiutował w 2005 roku powieścią grozy Domofon. Sławę przyniósł mu cykl bestsellerowych kryminałów o prokuratorze Teodorze Szackim. Zarówno Uwikłanie, jak i Ziarno prawdy zostały uhonorowane Nagrodami Wielkiego Kalibru i uznane za najlepsze polskie kryminały w 2007 i 2011 roku. Obie powieści zostały opublikowane w Stanach Zjednoczonych, gdzie zostały bardzo dobrze przyjęte, poza tym książki Miłoszewskiego ukazują się m.in. w Niemczech, Rosji, Francji i Wielkiej Brytanii. Uwikłanie zostało sfilmowane przez Jacka Bromskiego, a nad ekranizacją Ziarna prawdy pracuje obecnie Borys Lankosz. Prawa filmowe do Bezcennego zostały wycenione na milion dolarów.

*Dla Marty*

*Nie widziałeś jeszcze Europy, a już ci ją obrzydziłem. A może obrzydziłem ci również sztukę, choć mam nadzieję, że nie. Trudno winić artystów, że ich piękne, zwykle niewinne dzieła z niewiadomego powodu tylko unieszczęśliwiają Europejczyków i wzmagają ich krwiożerczość.*

Kurt Yonnegut, Sinobrody (przełożył Andrzej Grabowski)

## część I

### ZAMIEĆ

Drugi dzień Bożego Narodzenia, 1944

Śnieg. Śnieg i nic więcej. Żadne urocze śnieżynki, wirujące miękko. Żadne wiosenne płatki, opadające ciężko i mokro, topiące się na ciepłych trawnikach. Najgorszy tatrzański śnieg, mikroskopijne kryształki lodu niesione porywistym wiatrem, uderzające zewsząd, wciskające się pod ubranie, siekące każdy nieosłonięty kawałek skóry jak żyłki, wdzierające się w nozdrza i usta, niepozwalające zaczerpnąć oddechu. Ten śnieg nie padał, po prostu był wszędzie, zajmował każdy skrawek przestrzeni, odbierał poczucie rzeczywistości, nie pozwalał rozpoznać kierunków. Zamieniał nocny marsz w nieprzyjemne uczucie tonięcia w lodowatej, obdarzonej świadomością wścieklej materii, która chce za wszelką cenę zamordować intruza dla samej radości zadawania cierpienia.

Uwięzionemu przez zamieć człowiekowi wydawało się, że konsekwentnie wspina się pod górę, że z każdym krokiem jest bliżej grani Tatr Zachodnich. Powtarzał sobie, że pogoda jest jego sprzymierzeńcem, że pozwoli mu niezauważenie ominąć niemieckie patrole i przedostać się na słowacką stronę. Planował zjechać na tyłku do doliny, zostawić za sobą zamieć, schronić się między świerkami i odpocząć chwilę, tak żeby przed świtem dotrzeć do ludzkich siedzib. Liczył na łut szczęścia, że trafi na porządnego słowackiego górala, a nie zdrajcę kolaboranta, o jakich łatwo było po obu stronach Tatr.

Czuł, że słabnie, ale obowiązek pchał go pod górę. Obowiązek, ale też zwierzęcy strach. Najpóźniej o świcie wszyscy dowiedzą się, że jeden chłopak z hotelowej obsługi zniknął, połączą to z nocnymi wydarzeniami i roześlą pogoń na wszystkie strony świata. Przedarcie się na słowacką stronę i zgubienie tropów to jego jedyna szansa, aby ocalić skórę i wypełnić zadanie.

„Jesteś naszą jedyną nadzieją” - usłyszał tuż przed wyruszeniem w drogę. Myślał o tym i zalewała go fala patriotycznego uniesienia tak mocna, że na krótką chwilę wyganiała z kości uczucie przejmującego zimna. Widział te wszystkie obrazy. Churchill oglądający z troską kikut po amputacji odmrożonego palca (na takie poświęcenie był gotowy), pytający drżącym głosem, czy to stało się właśnie wtedy. Generał Komorowski przypinający mu do piersi Virtuti Militari, poważny i uroczysty, ale uśmiech błądzi mu pod wąsem, mruga do niego, dając do zrozumienia, że żaden order nie wyrazi tego, co zrobił dla ojczyzny. Jeśli jakkolwiek bóg istnieje, to musi pozwolić mu dostać się do słowackiego lasu. Jest w tej

chwili zbyt ważną osobą dla losów świata, aby mu się nie udało.

Wędrowiec, któremu wydawało się, że cały czas się wspina, miał raptem dwadzieścia jeden lat, i tym można by wytłumaczyć patriotyczne uniesienia. Nazywał się Roman Kłosowicz, pochodził z Poznania, a wiadomość o wybuchu wojny dotarła do niego w czasie szkolenia taternickiego na wschodniej ścianie Kościelca, wykrzyczana przez turystów ze szlaku. Powinien był wrócić do Poznania, ale wychowujący go stryjostwo stanowczym telegramem kazali mu zostać, wierząc, że górski kurort będzie bezpieczniejszym miejscem niż Wielkopolska, przez którą musiał przemaszerować każdy jeden zmierzający dalej niemiecki żołnierz.

Trochę stryjostwo mieli racji, a trochę nie mieli. Niemcy błyskawicznie zajęli Zakopane, obsadzili górskie schroniska strażą graniczną, na ścianie Mnicha powiesili swastykę, a ludność trzymali żelazną ręką, żeby nikomu głupie pomysły nie przychodziły do głowy. Niektórym góralom nowa władza podobała się mniej, niektórym bardziej, a sam Roman trochę dorabiał kelnerowaniem, a trochę konspirował, próbując przysłużyć się Polsce.

Polsce, która zgodnie ze swoim zwyczajem przestała istnieć po raz kolejny. Ziemie na zachodzie z rodzinnym Poznaniem Romana włącznie zostały anektowane przez Rzeszę, Kresy zajęli Sowieci, reszta okupowanej Polski z Warszawą i Krakowem została zamieniona w dziwny twór zwany Generalnym Gubernatorstwem. Gubernatorem został Hans Frank, doktor prawa i pupilek Hitlera, który lubił nazywać się królem Polski i który sprawnie wywiązywał się ze swojej misji rozwiązywania kwestii żydowskiej w sposób ostateczny, a kwestii polskiej w sposób skuteczny, tak żeby z narodu została zbiorowość tępych niewolników.

Frank, jak na króla Polski przystało, na co dzień urzędował na Wawelu, ale gdy tylko odkrył położone u stóp gór Zakopane, przypominające mu jego bawarskie Schliersee, od razu poczuł się tam jak w domu. Szybko kazał przemianować najokazalszy tatrzański hotel na Kalatówkach - wyjątkowy, bo położony na polanie, w sercu gór, z dala od kurortowej cywilizacji - na Berghaus Krakau, obsadził go esesmanami i urządził w nim luksusową rezydencję, w której spędzał prawie każdy weekend. Siedział na tarasie, gapił się na Kasprowy i popijał swoją ulubioną mocną jak szatan herbatę z kroplą mleka, serwowaną mu przez Romana Kłosowicza.

W drugi dzień Bożego Narodzenia 1944 roku Roman do późnej nocy kursował między kuchnią a apartamentem numer siedemnaście na pierwszym piętrze. Nikt się tutaj nie bawił, nikt nie świętował, wyjątkowo nie było nawet żadnych dziwek. Roman widział i słyszał rzeczy, których widzieć i słyszeć nie powinien, ale lokatorzy apartamentu czuli na

karku oddech czerwonoarmistów, stacjonujących już nie setki, ale dziesiątki kilometrów od Krakowa i szykujących się do dalszej ofensywy. To oni byli problemem, a nie kelner z długimi uszami.

O drugiej kręcił się nerwowo po swoim pokoiku na poddaszu i nie mógł zdecydować, czy pójść do Anieli, czy może jednak byłby to ruch przedwczesny.

O drugiej piętnaście podjął decyzję. Jest okupacja, nikt nie zna dnia ani godziny, więc jednak pójdzie i tak się właśnie będzie tłumaczył, że jest okupacja i tak dalej. Wtedy drzwi się otworzyły i zobaczył w nich nie Anielę, tylko znanego mu z widzenia przystojnego esesmana, jednego z głównych pretorian Franka.

Pomyślał, że gdyby poszedł do Anieli wcześniej, to pewnie i tak by go znaleźli, ale przynajmniej nie musiałby umierać jako prawiczek.

- Słuchaj uważnie, bo nie będę dwa razy powtarzał - odezwał się esesman płynną polszczyzną, wręczając mu metalowy przedmiot. - Musisz wyjść natychmiast i uciec z tym na Słowację, w Zakopanem zbyt wielu górali działa na dwie strony. Ukryj się, wojna za kilka miesięcy się skończy. Nie mam pojęcia, co się wtedy stanie, ale jak już będzie koniec, musisz to przekazać Karolowi Estreicherowi z rządu w Londynie. Powtórz.

- Karolowi Esterhazemu.

- Estreicherowi. Powtórz.

- Estreicherowi.

- Dobrze. A teraz wynocha. Ubierz się ciepło, pogoda się psuje.

- Ale...

- Wynocha.

Roman oglądał przedmiot, który wyglądał jak zwyczajny metalowy termos, kiedy esesman jeszcze raz wstawił głowę przez drzwi.

- Nie powinienem ci tego mówić, ale masz w ręku największą tajemnicę tej wojny. Więc nie zawieź mnie, chłopcze. Jesteś naszą jedyną nadzieją. A teraz wynocha.

Ubrał się i wyszedł w noc, czując się jak bohater.

O trzeciej nad ranem wiało już potwornie, ale dopiero zaczynało padać, widział nawet przez chwilę światelko pośredniej stacji kolejki linowej na Myślenickich Turniach. Szczyt Kasprowego był już wtedy we władaniu spadającej w doliny z siłą lawiny zamieci.

O czwartej zamieć dotarła w doliny. Pierwsze uderzenie ściany śniegu zważyło go z nóg, od tamtej pory czuł się już bez przerwy jak wrzucony z garścią śniegu i paroma kostkami lodu do miksera kawałek mięsa. Ludzki koktajl lodowy, oczywiście, Mein Herr, już przygotowuję.



O piątej po raz pierwszy pomyślał o śmierci. Nie jak o pewnym końcu, ale jak o okrutnej ironii losu, to by dopiero było śmieszne, gdyby w takiej chwili właśnie jego załatwiła tatrzańska pogoda. Zaczął wyobrażać sobie Anielę, żeby przestać wyobrażać sobie, ile palców będą mu musieli amputować po tej przygodzie. I żał mu się zrobiło, że jest takim cholernym miastowym chłopcem z dobrego domu, który nie potrafi załatwić z dziewczuchą jak trzeba. Pierwszy lepszy góral by ją dawno wyobracał, a on od roku się przymilał, rozmawiał, prawił komplementy, po warkoczu głaskał. I teraz jeszcze się okaże, że umrze jako prawiczek. Doskonale.

O piątej trzydzieści postanowił określić swoje położenie za pomocą prostej matematyki. W lecie przejście z Kalatówek na grań zajmuje jakieś dwie godziny, jak się dobrze idzie. W zimie zależy od śniegu, ale bez fok nawet przy dobrej pogodzie trzeba liczyć trzy, cztery. A on? Nie ma nawet pojęcia, czy idzie w dobrą stronę, tyle tylko, że raczej pod górę. Czyli marsz musi mu zająć sześć godzin, może nawet siedem. Czyli nie jest nawet w połowie drogi. Więc może sobie pozwolić na kilka minut odpoczynku, spróbować trochę zregenerować siły.

Dawno żadna konstatacja nie przyniosła Romanowi takiej ulgi. Zrobił jeszcze trzy ciężkie kroki w sięgającym mu do kolan sypkim śniegu i zatrzymał się, ciężko dysząc. Zgiął się, opierając ręce o kolana, odsunął szalik z twarzy, żeby splunąć i zaczerpnąć trochę powietrza. To był błąd. Zamieć uderzyła go w twarz, wypełniła usta kryształkami lodu, zamiast odetchnąć, zaczął się krztusić jak tonący. Uczucie było tak surrealistyczne, że kiedy minął atak, zaśmiał się histerycznie. Utonąć w śnieżycy, co za bzdura. Zakrył na powrót twarz, spróbował uspokoić oddech i tętno.

I przestraszył się na dobre.

Kiedy szedł, dyszał i męczył się potwornie, trząsał się z zimna i wyczerpania, ale wysiłek rozgrzewał organizm. Kiedy stanął, nie minęła minuta, jak poczuł się nagi. Jeden podmuch wiatru wywiał całe ciepło spod futrzanej kurtki i flanelowej koszuli, drugi zamienił warstwę potu w lodowaty, bolesny kompres. Roman zaczął się trząść jak w ataku epilepsji, trochę z zimna, trochę ze strachu. Nie wiedział, gdzie jest, nie wiedział na dobrą sprawę, dokąd idzie. Wiedział, że nie ma siły, żeby iść, i że postój oznacza pewną śmierć.

Ruszył w dalszą drogę.

O szóstej przestało mu zależeć na tym, czy idzie pod górę. Szedł, żeby nie umrzeć z zimna, reszta go nie obchodziła. Wola przetrwania przytłumiła inne emocje, przede wszystkim patriotyczne uniesienia. Jak to w ogóle zostało urządzone, myślał. Jakie to ma znaczenie, jakim narodem jesteśmy i jakim językiem mówimy. Albo żyję, tulę żonę, dzieci

bujam na huśtawce przywiązanej do drzewa w ogrodzie - albo nie.

Rozpląkał się, bo wtedy stracił nadzieję na żonę, dzieci i huśtawkę w ogrodzie. Pochylony do przodu, przestawiał z trudem nogi, brodząc w śniegu jak łódka w połamanej krze. Cały czas odtwarzał w myślach scenę sprzed dwóch dni, kiedy siedział z Anielą nad ranem w pustej, cichej kawiarni. Przegadali całą noc, nie było już sensu iść spać, za godzinę musieli pojawić się w kuchni, zacząć przygotowania do śniadania. Piękna noc, wcześniej zdmuchnął świeczkę, żeby dobrze widzieli, jak pejzaż wyraźnie dzieli się na gęsto obsypane gwiazdami niebo i czarny zarys gór. W końcu niebo lekko się rozjaśniło, a potem granica między nim a górami stała się cieniutką, świecącą na czerwono kreską. Gdy w milczeniu obserwowali ten spektakl światła, dotknęła jego dłoni, wystarczyło ją złapać, zaprowadzić cicho na górę i kochać się, pozwolić, żeby świt wydobył ich ciała z mroku. Zamiast tego zabrał rękę, bo wstydził się, że z nerwów ta ręka trzęsie się jak ręka starego alkoholika i że za nic nie może tego opanować. Jego ciało drżało, jakby każdy mięsień chciał wykrzyczeć, jak bardzo Roman bał się zbliżenia.

I teraz zdechnie w jakiejś zaspie jako prawiczek. Doskonale.

Roman Kłosowicz był przekonany, że błąka się w zamieci gdzieś wysoko w górach, tymczasem w rzeczywistości kręcił się w kółko niedaleko hotelu na Kalatówkach, w prostej linii nie więcej niż kilkaset metrów dzieliło go od miejsca, gdzie stawał przed doktorem Frankiem mocną jak szatan herbatę z odrobiną mleka i gdzie mu powierzono klucz do największej tajemnicy drugiej wojny światowej. Wydawało mu się, że idzie pod górę, ponieważ torowanie sobie drogi w kopnym śniegu podczas zamieci było tak trudne i wyczerpujące jak wspinaczka po pionowej ścianie. Tak naprawdę szedł po płaskim, czasami w dół, i jego osobista tragedia umierającego z wyczerpania bojownika o wolność ojczyzny rozgrywała się na małej przestrzeni kawałka lasu i kawałka polany między Kalatówkami i Halą Kondratową, w miejscu gdzie latem i zimą bawią się rodziny z małymi dziećmi, nie traktując tego jako wysokogórskich zmagania.

O siódmej gdzieś ponad czarno-szarymi chmurami pełnymi śniegu i lodu zaczynało świtać, choć do wschodu słońca pozostało jeszcze pół godziny. Dwa dni temu o tej porze Romana dzieliło tyleż od miłości, ile teraz dzieliło go od śmierci.

Krzyknął cicho, kiedy przy kolejnym kroku prawa noga przebiła śnieżny nawis, wpadła w pustkę i pociągnęła za sobą całe ciało. Roman przeturlał się po krótkim, stromym zboczu i zatrzymał w zaspie na dole, ciężko dysząc. Upadek, uderzenie strachu i związany z tym zastrzyk adrenaliny sprawiły, że na chwilę opadło zmęczenie i mógł myśleć trzeźwo. Na tyle żeby wiedzieć, że za żadną cenę nie może zostać w zaspie. Wstał, otrzepał się, oparł o

drzewo, żeby opanować mdłości, i czekał, aż serce choć trochę się uspokoi i aż przestanie słyszeć szum w uszach. Wiedział, że jeśli straci przytomność, to będzie koniec.

Po chwili serce zeszło niechętnie z poziomu sprintera na poziom maratończyka, ale szum nie ustawał i Roman najpierw poczuł ukłucie paniki, a potem zrozumiał, że szum nie pochodzi z głowy. Pochodził gdzieś z zewnątrz i był na tyle głośny, że przedzierał się przez pulsowanie tętna i wycie wiatru. Ruszył w stronę, z której, jak mu się wydawało, dochodził dźwięk, opierając się o rosnące tu gęsto drzewa, żeby utrzymać równowagę. Po kilku krokach wypadł na niewielką polankę.

Niestety znał to miejsce. To było wywierzysko Bystrej, miejsce, gdzie podziemny potok wyrzuca na powierzchnię tysiące litrów wody, które spływają w dół doliną Bystrej do Kuźnic i dalej do Zakopanego. Latem było tu bajkowo, zawsze chłodno, wilgotno, w powietrzu unosiła się delikatna mgiełka, którą przeciskające się między świerkami promienie słońca zamieniały w tęczę. Teraz wywierzysko było czarną dziurą okoloną śniegiem i jezorami lodu. Ale gdzieś pod lodem i pod kamieniami ciągle szumiała woda.

Roman zrozumiał, że przez cały ten wielogodzinny marsz nie oddalił się od Kalatówek nawet na kilometr. Wszystko na marne.

Nie miał pojęcia, co robić dalej. Powrót do rezydencji Franka oznaczał śmierć. Próba przedarcia się do miasta także. Marsz w góry tym bardziej.

Spojrzał na czarny jak smoła wylot jaskini i pomyślał: czemu nie? Nigdy nie chodził po jaskiniach, ale przypominały mu się strzępy informacji. W zimie bezpieczniej, bo sucho. Korytarze. Komnaty. Zaciski. Syfony. Stała temperatura. Czemu nie?

Na czworakach wszedł do jaskini, ślizgając się po lodowych jezorach, wyglądało to jak dobrowolne składanie się w ofierze mitycznemu potworowi. W pewnej chwili odjechała mu ręka i uderzył ustami w lód, poczuł ból kruszącej się jedyńki i metaliczny smak krwi. Splunął i ruszył dalej w kompletną ciemność. Po kilku metrach skończył się lód, skończyło się też komfortowe chodzenie na czworakach, zaczęło czołganie po wapiennych skałach. Cały czas ciężko dyszał, cały czas serce waliło jak szalone i bezustannie trzęsły się z zimna te fragmenty jego ciała, w których jeszcze miał czucie. Na dodatek zyskał towarzysza: czarną, lepką i wstrętną panikę, która w pierwszej chwili pchnęła go do przodu, w poszukiwaniu upragnionej stałej temperatury. Czołgał się szybko, rozrywając rękawiczki i spodnie, raniąc ciało o kamienie. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bezsensownie postępuje, brnąc w głąb jaskini, pochlipując i powtarzając głośno: „Nie, proszę, nie”. Próbował sobie przyświecać benzynową zapalniczką, ale lejąca się zewsząd woda sprawiała, że nie potrafił utrzymać płomienia.

Potem panika przekonała go, że żadna stała temperatura nie istnieje i że musi zawrócić. Wykonał kilka gwałtownych, rozpaczliwych ruchów, rozcinając sobie przy tym głowę, wybijając ukruszony ząb i dwa następne. Myślał tylko o tym, że wszystko jest lepsze od tej lodowatej czerni i że musi wrócić na Kalatówki, że przecież dzień pracy się jeszcze nie zaczął, że po prostu pojawi się w kuchni jakby nigdy nic.

Tylko musi ukryć przesyłkę.

Wydobył spod kurtki termos. Nawet nie zajrzał do środka, taki z niego porządny, niezadający zbędnych pytań konspirator. Co tam jest? Dokumenty? Klucze? Zdjęcia?

Potrząsnął energicznie termosem. W środku coś zagrzechotało.

Walka pomiędzy ciekawością a poczuciem obowiązku nie trwała długo, trzęsącymi się rękami odkręcił termos i wyjął z niego coś, co w dotyku przypominało gładki, rzeźbiony kawałek marmuru.

Wyciągnął zapalniczkę, kilkanaście razy musiał przekręcić energicznie jej kółko, zanim dał radę wykrzesać słabą iskrę. Mokry knot zarzył się przez moment, w końcu zapłonął. Roman zbliżył do niewielkiego płomienia kamień, który okazał się połyskującym kawałkiem bursztynu, wyrzeźbionym w kształt liścia akantu. U dołu ktoś niewprawnie wyrzył symbol swastyki.

Zaskoczenie Romana Kłosowicza było tak wielkie, że na chwilę zapomniał o swojej sytuacji.

Na bardzo krótką chwilę.

Schował bursztyn, termos wcisnął za jakiś kamień, wmawiając sobie, że wróci po niego, jak tylko trochę odpocznie, i od razu poczuł ulgę. I choć teoretycznie w pełnej wąskich odgałęzień jaskini nie miał prawa znaleźć drogi do wyjścia, to po kilku minutach ześliznął się bezwładnie po lodowych językach niczym ledwo żywy, zakrwawiony strzęp, wyrzyczny przez potwora, któremu nie zasmakowała ofiara.

O ósmej gdzieś nad chmurami wzeszło słońce, ale w lesie pokrywanym zbocza doliny Bystrej ciągle panowała noc. Płacząc, dysząc i plując krwią, Roman ruszył na czworakach pod górę, w stronę usadowionych na wysokiej morenie Kalatówek. W końcu wyszedł z lasu, wiatr akurat dmuchnął mocniej, odrzucając śnieg na bok, i oczom Romana ukazała się ciężka bryła hotelu. Ogromne okna kawiarni i restauracji świeciły na żółto, znak, że w Berghaus Krakau zaczęło się życie.

Roman, zamiast krzyknąć ze szczęścia, tylko mocniej zaniósł się szlochem, tym razem z radości. Był zbyt osłabiony, aby wstać, uznał jednak, że jest na tyle blisko, że spokojnie doczołga się do budynku. Przestał się trząść jak szalony, przestał czuć ból i odrętwienie,

poczuł nawet coś w rodzaju ciepła, przyjemnie otulającą go senność.

Od hotelu dzieliło go kilkadziesiąt metrów, słyszał już szczękanie garnków dobiegające z kuchni, kiedy ręce wpadły mu w głęboką, nawianą przez wiatr zaspę. Nie miał siły, żeby się podnieść. Ale pomyślał, że to nic, odpocznie chwilę. Był dumny, że przypomniało mu się taternickie szkolenie, na którym dowiedział się, jak postępować w przypadku zasypania przez lawinę. Otóż w śniegu trzeba wygrzebać trochę miejsca przy twarzy, aby mieć czym oddychać, i czekać, aż przybędzie pomoc.

Wygrzebał więc małą jamkę koło ust, odetchnął z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku i umarł.

Na zewnątrz pogoda zmieniła się tak szybko, jak to bywa tylko w Tatrach. Przestało padać, wiatr rozwiął chmury, słońce oświetliło prostokątną bryłę Berghaus Krakau, odbiło się oślepiająco od dziewiczej śnieżnej pustyni, pozostawionej przez nocną zamieć. W dolinie unosiły się echa zajeżdżających pod hotel samochodów, nawołującej się polskiej obsługi, niemieckich, przerywanych śmiechem szcęknięć gwardii przybocznej Hansa Franka.

Sam gubernator obudził się po trzech godzinach snu z kapciem w ustach i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Jak co rano pierwszą jego czynnością było ułożenie nielicznych pozostałych mu włosów. Zaczesane do tyłu i pokryte brylantyną jeszcze jakoś wyglądały, sterczące żałośnie na wszystkie strony nadawały mu wygląd jakiegoś satyrycznego szwarzcharakteru z Dickensa albo Andersena. Z ułożonymi włosami stanął w oknie apartamentu i spojrzął na biały świat za oknem. Pięknie, ale tęsknił już za swoimi Alpami. Na szczęście jeśli wszystko dobrze pójdzie, niedługo będzie w domu, a tam z Amerykanami będzie już inna rozmowa. Miał dla nich i kij, i marchewkę, jedno i drugie aż nadto zagwarantuje mu bezpieczeństwo i spokojny sen.

Gubernator nie mógł wiedzieć, że w pokoju dokładnie nad nim ten sam widok podziwia jego zaufany przyjaciel, dzięki któremu zarówno kij na Amerykanów, jak i marchewka dla nich zamienią się w pozbawione podstaw bajania. Sam Frank zostanie przez nich wyśmiany, skazany w przykładowym procesie jako zbrodniarz wojenny i nie miną dwa lata, jak zawisnie w Norymberdze, po czym jego zwłoki zostaną spalone, a prochy rozrzucone - wedle amerykańskiego oficjalnego komunikatu - „nad jakąś rzeką na terenie Niemiec”.

Z kolei na samym dole polska obsługa Berghaus Krakau nakrywała do śniadania. Aniela przygotowywała stół w rogu przeszklonej kawiarni. Robiła to automatycznie, nie myśląc o talerzach, sztućcach i filiżankach, nie zauważając krzątający kolegów, nie czując zapachu kawy ani nawet dyskomfortu, w jaki zwykle wpędzała ją ogromna swastyka namalowana na ścianie. Była wściekła, że Roman kolejny raz wystawił ją do wiatru.

Przedwczoraj stchórzył, niech będzie, ale wiadomo, jacy są mężczyźni, jeszcze ci miastowi. Była pewna, że wystarczy mu doba, żeby się pozbić. Ale nie, tym razem zniknął na dobre. A miała wrażenie, że nigdy nikogo tak nie uwierało dziewictwo jak ją teraz. Niby okupacja, niby wszyscy mogą zginąć w każdej chwili, a jak przychodzi co do czego, to się chowają po pokojach. Wszystkie dziewczyny na górze tylko o jednym opowiadają, każda albo ma tutaj swojego chłopca, albo do miasta chodzi, ona jedna się pozwala po warkoczu bez końca głaskać.

Wyprostowała się, machinalnie pogładziła po zaplecionych włosach, zapatrzyła na oproszone śniegiem wapienne skały Giewontu, na Suchy Żleb, którym przemykała rodzina sarenek, na polanę rozciągającą się przed hotelem, śnieżnobiałą jak lukier na weselnym torcie.

Ona pierwsza zauważyła zwłoki.

Święto Pracy, 1946

Timothy Beagley stał dokładnie w tym samym miejscu, z którego młoda góralka Aniela wypatrzyła kilkanaście miesięcy wcześniej leżące w śniegu zwłoki swojego nieomal kochanka. W przeciwieństwie do niej Beagley nie podziwiał widoków za oknem. Raz, że był środek nocy i jedyne, co można było zobaczyć w szybach, to odbicie żółtych świateł, niechętnie rozświetlających wnętrze kawiarni na Kalatówkach. Dwa, że miał znacznie ciekawsze rzeczy do oglądania: skierowaną w jego stronę lufę brytyjskiego enfielda, dzierżącą rewolwer szczupłą dłoń i fragment obozowego tatuażu, wystającego spod rękawa grubego, wełnianego swetra.

- Powtarzam - powiedział powoli po angielsku. - Nazywam się Timothy Beagley, jestem szeregowcem Armii Amerykańskiej, kompania Baker, pięćset szósty regiment piechoty, sto pierwsza brygada...

Trzymający pistolet mężczyzna westchnął.

- Wie pan - odpowiedział doskonałą, brytyjską angielszczyzną - ja siedziałem w obozie tylko rok, rodzina mnie wyciągnęła. Ale od tamtej pory inaczej patrzę na czas. Zauważam każdą chwilę, staram się ją wykorzystać, docenić, zasmakować na wypadek, gdyby miała być tą ostatnią. A pan moje chwile bezczelnie marnuje. Faktycznie nazywa się pan Timothy Beagley i jest pan Amerykaninem. Ale nie jest pan szeregowcem żadnej brygady, tylko oficerem wydziału tajnych operacji Biura Służb Strategicznych, w stopniu porucznika, jeśli wierzyć moim źródłom. Jeśli wierzyć tym samym źródłom, nie jakimś tam oficerem, tylko prawą ręką pana Shepardsona, szefa Secret Intelligence. Jednym słowem: nie byle szpieg z pana, ale niezła szpiegowska szycha. Superszpieg.

Beagley przez chwilę zastanowił się, czy grać dalej szopkę. Jego rozmówcy dobrze

patrzyło z oczu, nie wyglądał na komunistę.

- Nasi brytyjscy przyjaciele mają za długie języki - powiedział w końcu.

- Nasi brytyjscy przyjaciele po prostu spłacają zaciągnięte długi wdzięczności. Niesłychane, że ktoś to jeszcze dziś robi, nieprawdaż?

Wzruszył ramionami. Nie wiedział, czy oprócz niego i Danielsa udało im się też schwytać dwójkę pozostałych. Jeśli nie, to przy umiejętnym wykorzystaniu elementu zaskoczenia powinni sobie poradzić z tym chudym poobozowym Polakiem w okularkach i jego świtą, składającą się z trójki ponurych, brodatych mężczyzn, którzy wyglądali, jakby ostatnie kilka lat przesiedzieli w lesie.

Postanowił grać na zwłokę.

- Chce pan rozmawiać o długach? - zapytał kpiąco. - Właśnie przywieźliśmy wam do Krakowa cały pociąg narodowych zabytków, które wam świsnęły szkopy. Ołtarz Wita Stwosza, Leonardo, Rembrandt. Plus dwadzieścia sześć wagonów wypełnionych po dach bezcennymi skarbami. Mało?

Mężczyzna drgnął.

- I co pan sobie myślał, poruczniku Beagley, jadąc przez Polskę swoim pociągiem pełnym skarbów?

Pierwszy raz zobaczyli tłumy w Dziedzicach. Potem ludzie byli już wszędzie. Na stacjach, przy przejazdach kolejowych, nawet przy torach biegnących przez środek lasu. Głównie podekscytowane dzieciaki, wiadomo, kobiety wystrojone jak na potańcówkę, trochę smutnych i wychudzonych mężczyzn, bezzębni staruszkowie, chcący zobaczyć przybyszów z kraju prawdziwej wolności. Sami zwyczajni ludzie. Żadnych oficjeli, żadnego wojska, żadnej milicji. Na peronie w Trzebini pociąg zwolnił, tuż przed jego nosem podskakiwał na jednej nodze - drugiej nie miał - chłopak o sympatycznej, kartoflanej urodzie Orsona Wellesa. Uśmiechał się, jakby to był najszczęśliwszy dzień jego życia. Beagley pomachał mu i wtedy chłopak się odwrócił, pokazując precyzyjnie wyszyty na koszuli amerykański sztandar. Wiedział, że przyjadą, i namówił kogoś, może matkę, może siostrę, żeby przygotowała na przyjazd Jankesów koszulę z gwiazdzistym sztandarem.

Wtedy pomyślał, że szkoda tych sympatycznych ludzi. Szkoda, że urodzili się w tym kraju, który ma ciągle pod górkę. Naprawdę wierzyć się nie chce, że tyle lat mieszkali tu razem z Żydami. Dwa najbardziej przegrane narody świata obok siebie, jak w jakimś rezerwacie pechowców. Jeśli Bóg istnieje, to ma specyficzne poczucie humoru.

- Myślałem, że dobrze, że wojna się skończyła. Ten kraj za dużo wycierpiał.

- Wycierpiał? Rozumiem, że ja mogę robić błędy gramatyczne, ale pan? Rodowity

Amerykanin? Ten kraj nie tyle wiele wycierpiał, co wiele wycierpi. Ponieważ nie dość, że oddaliście Sowietom pół Polski, to jeszcze zostawiacie nas Stalinowi. Mordercy gorszemu od Hitlera. Który dla kaprysu zagłodził w rok osiem milionów Ukraińców.

- Nie było mnie w Jałcie.

- Jasne, za wielką politykę nikt nie odpowiada. Koniec końców wszyscy są tylko trybikami historii, która sama się wydarzyła. Jakie to wygodne.

- Niech pan się zachowuje jak dorosły.

- Ależ ja się zachowuję jak dorosły. Dostosowuję swoje chęci do możliwości. Najchętniej wsadziłbym kulkę Trumanowi, ale zadowolę się najwyższym urzędnikiem amerykańskiej administracji, jakiego mam pod ręką.

Brodaci pretorianie okularnika drgnęli i uśmiechnęli się groźnie, broń w ich rękach poruszyła się nieznacznie.

- Ale najpierw chcę się dowiedzieć, gdzie to jest.

- Słucham? - Beagley był tak autentycznie zdziwiony, że Polak musiał to uznać za głupią, teatralną grę przesłuchiwanego Amerykanina.

- Gdzie to jest?

- Moment, chcesz mi powiedzieć, że wy nie wiecie...

- Proszę pana, nie mamy na to czasu - Polak wszedł mu w słowo i dał znak ludziom z lasu, którzy złapali Amerykanina i boleśnie rozciągnęli na długim kawiarnianym stoliku, który Beagleyowi nieprzyjemnie skojarzył się ze stołem do sekcji zwłok. - Niech pan nie obraża mojej i swojej inteligencji, na pewno pana szkolili i pan wie, że każdy w końcu mówi. Zwłaszcza kiedy wie, że nikt nie przyjdzie mu z odsieczą. Skoro znajduje się w odciętych od świata górskim hotelu, gdzie nikt nie usłyszy jego krzyku. I każdy nawet się z tego cieszy, bo wie, że innym wyjściem są rzeźnicy z NKWD.

- To jakiś absurd...

Nie marnowali amunicji. Jeden z brodaczy zasłonił mu usta, drugi złapał za łydkę i przekręcił stopę o dziewięćdziesiąt stopni. Chrupnęło.

- Panie poruczniku - kontynuował Polak, kiedy Beagley przestał się miotać. - Pan jest inteligentnym, wykształconym człowiekiem. Pan wie, że my musimy to mieć. Nie wy, nie Brytyjczycy, a już na pewno nie czerwoni. Musimy to mieć, bo dla mojego narodu to jedyna szansa, żeby wyjść z czarnej dziury historii, w jaką nas usiłujecie wepchnąć.

- Ale...

- Każde „ale” będzie pana kosztowało kolejny staw. Gdzie to jest?

Zrozumiał, że jego położenie jest beznadziejne. Ten szalony Polak nigdy nie uwierzy,



że on przyjechał tutaj, żeby zadać mu to samo pytanie. Będzie męczył dotąd, dopóki go nie zabije. Przeleciał w pamięci listę swoich stawów od pozostałego skokowego do barkowych, wzdrygnął się szczególnie przy łokciach i pomyślał, że być może należy coś zrobić, żeby zasłużyć na szybką kulkę.

Wtedy brzęknęło szkło rozbijanych przez pociski szyb, do środka wpadł chłodny jeszcze o tej porze roku górski wiatr i dwóch przydzielonych Beagleyowi do pomocy w działaniach oss frontowych zabijaków. Sekundę później pretorianie leżeli martwi na ziemi, okularnik klęczał z wytłumionym welrodem przyciśniętym do skroni, a Beagley próbował wstać i nie wymiotować z bólu. Chwilę to trwało.

- Panie...

- Lorentz.

- Panie Lorentz. Powinienem zapytać: „gdzie to jest”, ale nie miałoby to większego sensu, nieprawdaż?

Polak tylko spojrzał. Nawet nie z nienawiścią. Ze spokojną rezygnacją człowieka, który przez ostatnie kilka lat pewnie wywijał się śmierci tyle razy, że kiedy w końcu go dorwała, nie robiło to na nim wrażenia.

Timothy Beagley pokuśtykał w stronę schodów wiodących do wyjścia z hotelu.

- Unieruchomcie go, nie może nikogo zawiadomić - powiedział. Nie potrafił wydać wyroku śmierci na człowieka z wytatuowanym numerem na przedramieniu. Nawet jeśli racja stanu tego wymagała.

## część II

MŁODZIENIEC

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tatry

1

Anatol Gmitruk wisiał kilkadziesiąt metrów nad ziemią z twarzą przytuloną do ciepłej skały, próbując utrzymać równowagę na granitowym stopniu szerokości centymetra. Jedną rękę miał wciśniętą w szczelinę, drugą próbował zaklinować w tej szczelinie metalową kostkę do asekuracji. Kiedy uznał, że cholerstwo w końcu dobrze siedzi, przypiął do kostki linę we wściekłym pomarańczowym kolorze, łączącą go ze stojącym osiem metrów niżej partnerem. Odetchnął z ulgą. Jeśli teraz omsknie mu się noga, zatrzyma go wciśnięta w skałę kostka, a nie głowa partnera. - Luz! - krzyknął i ruszył do góry.

Wspinał się od ponad dwudziestu lat, raczej rekreacyjnie niż wyczynowo, i w czasie tego wyjazdu z przykrością zauważył, że budzi się w schronisku z nadzieją na złą pogodę. Lampa oznaczała pobudkę o świcie, targanie plecaka pod ścianę, ciężki fizyczny wysiłek oraz strach. Wstydział się do tego przyznać, ale z każdym kolejnym sezonem bał się bardziej, jak każdemu przeciętnemu czterdziestolatkowi zależało mu na życiu i zdrowiu bardziej niż przeciętnemu dwudziestolatkowi. Bycie przypiętym do nylonowego sznurka przymocowanego do kawałka metalu wciśniętego w kawałek omszałego kamienia, gdy ma się pod sobą kilkadziesiąt metrów powietrza - cóż, na pewno są sytuacje lepiej ilustrujące troskę o życie i zdrowie.

Trzy metry wyżej wsadził w szczelinę kolejną kostkę i ruszył dalej. Teren wydawał się łatwiejszy, szybko pokonał kolejne kilka metrów pionowej ściany i doszedł do litej płyty, gładkiej jak trawertynowa podłoga w nowobogackiej rezydencji.

Olaf krzyknął coś z dołu.

- Co?!

- Nie odpadaj!

Doskonała rada, jakby marzył o lotach, objaniu się łbem o skałę i testowaniu wytrzymałości sprzętu. Odchylił się na wyprostowanych rękach, żeby krzyknąć coś obraźliwego do towarzysza. Spojrzał w dół i bardzo mu się nie spodobało to, co zobaczył. Dwie kostki, które wcześniej tak pieczołowicie zakładał, wyskoczyły ze skały i zjechały po linie do Olafa, kołysząc się przy jego dłoniach niczym jakieś indiańskie ozdoby. Lina wisiała

luźno, kołysząc się na wietrze.

Zaklął w duchu najgorzej, jak potrafił. Nigdy głośno nie bluzgał na wspinacze, echo potrafiło nieść daleko, a górski savoirvivre był jedynym, którego przestrzegał.

Sytuacja wyglądała tak sobie. Między nim a Olafem było piętnaście metrów liny. Co oznaczało, że jeśli odpadnie, polecą swobodnie te piętnaście metrów. Jeśli będzie miał pecha, wyląduje przyjacielowi na głowie, zabijając ich obu. Jeśli będzie miał szczęście, minie go i polecą kolejne piętnaście metrów, pokonując wysokość dziesięciopiętrowego bloku, zanim lina go zatrzyma. Albo i nie.

Mimo to Anatol uznał, że schodzenie nie ma sensu. Była tylko jedna droga. Nie więcej jak cztery metry trudności dzieliło go od pięknej poziomej rysy, której będzie mógł się chwycić jak szczebla drabiny.

- Luz! - wrzasnął. - Idę!

Zrobił cztery kroczki, jakoś to szło. Starał się nie myśleć o tym, że nie wolno mu popełnić nawet najmniejszego błędu.

- Jak tam? Puszczą? - Dobiegło go z dołu.

Nie odpowiedział. Kropla potu spłynęła mu po nosie, wisiała przez chwilę na czubku i spadła na skałę. Nabral absurdalnego przekonania, że w ten sposób powstanie kałuża, na której się poślizgnie.

Jeszcze półtora metra do szczeliny. Bał się jak cholera, lewa noga zaczęła robić telegraf, ze strachu i napięcia mięśnie wpadły w delikatne, niekontrolowane drgania. Kilka razy ostrożnie naprężył i rozluźnił mięśnie łydki. Drzenie ustało.

W tej samej chwili rozdzwonił się i rozwibrował zawieszony przy uprząży telefon. Gwizdany motyw z Mostu na rzece Kwai. Fiufiu, fiufiu fiufifi.

- Nie odbieraj! - Rozpaczliwy wrzask Olafa oznaczał, że zdaje on sobie sprawę z powagi sytuacji i prawdopodobieństwa, że wążący osiemdziesiąt kilogramów pocisk może mu w każdej chwili spaść na głowę z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Jeszcze kilka kroczków. Przeklęty telefon wibrował jak szalony, obijając się o tę nogę, która przed chwilą odmówiła mu posłuszeństwa. Fiufiu, fiufiu fiufifi.

Łydka znowu zaczęła dygotać, ale tym razem drżenia nie dało się tak łatwo opanować. Cóż, jest ryzyko, jest zabawa.

- Luz! - wrzasnął Anatol i skoczył ostatnie pół metra, ładując obie dłonie w szczelinę, która faktycznie była wygodna jak szczebel drabiny. Wpiął się do pozostawionego w ścianie przez taternickich pionierów starego haka i odebrał cholerny telefon.

Kolej linowa na Kasprowy Wierch składa się właściwie z dwóch kolejek. Ta pierwsza zabiera mały kęs kłębiącego się u podnóża gór tłumu i wiezie w spokojną podróż nad wysokimi świerkami, do stacji przesiadkowej na Myślenickich Turniach. Tam podróżni muszą się przesiąść do kolejnego wagonika, który zaczyna co prawda łagodnie, ale później pnie się ostro pod górę wzdłuż poszarpanego urwiska Kasprowego Wierchu. Szczytu będącego przy swoich skromnych dwóch kilometrach wysokości turystycznym centrum Tatr, bramą wysokich gór, świętą górą narciarzy, ale przede wszystkim miejscem sprzedaży piwa po dwanaście złotych i świadczenia usługi korzystania z toalety za dwa złote.

Od kilku godzin dodatkowymi elementami wyposażenia kolei linowej były kamery rosyjskiej firmy PolusST, znanej z przenośnych, bezprzewodowych systemów bezpieczeństwa. Były one zamontowane w taki sposób, żeby stale obserwować wszystkie wagoniki i wszystkie perony kolejki. Najważniejsza, zainstalowana na samej górze, pokazywała ścianę, w której znikwały liny nośne - po dwie na każdy wagonik - oraz znacznie cieńsza lina ciągnąca, służąca do poruszania wagonikiem. Pokazywała także przymocowane do lin nośnych niewielkie czarne pierścienie, wyglądające jak gumowe odbojniki. W rzeczywistości były to pojemniki zawierające nanotermity, czyli laboratoryjnie ulepszoną odmianę termitu - mieszanki tlenku żelaza i aluminium spalającej się w temperaturze trzech tysięcy stopni Celsjusza. Zawarty w niepozornych pierścieniach ładunek w zupełności wystarczał, żeby w ciągu sekundy przepalić stalową linę o czterdziestu pięciu milimetrach średnicy.

Mężczyzna, legitymujący się obecnie nazwiskiem Jasper Leong, przygotowywał się do ewakuacji z małego budynku technicznego koło stacji przesiadkowej na Myślenickich Turniach. Sprawdził na tablicie obraz ze wszystkich kamer. Na Myślenickich Turniach do wagonika dopychali się ostatni turyści, ten na Kasprowym był pusty, nie licząc osoby obsługującej wagonik. Przy takiej pogodzie ludzie decydowali się albo zostać jak najdłużej na górze, albo zejść do Zakopanego spacerowymi szlakami.

W wagonikach zamknęły się drzwi i jednocześnie ruszyły, jeden w górę, jeden w dół. Ten jadący w górę wyglądał, jakby okna zaklejono fototapetą z portretami, tak wiele dorosłych i dzieci w różnym wieku przyciskało twarze do szyb.

Opuścił budynek techniczny i wyszedł z lasu na szlak z przepaszającym uśmiechem człowieka, który musiał oddalić się na chwilę w ustronne miejsce, rozumieją państwo, natura ma swoje potrzeby. Nie wdawał się w pogawędki, poprawił plecak i ruszył szybkim krokiem w dół, w stronę cywilizacji. Nikomu z mijających go na szlaku ludzi nie przyszło do głowy, że może być kimś innym niż turystą, raczej z zagranicy, polscy mężczyźni w okolicach

pięćdziesiątki nie mają takiej szczupłej figury, czarnej czupryny prosto od fryzjera, śnieżnobiałych zębów i oczu tak intensywnie zielonych, że zerkające w nie kobiety podejrzewały go o korzystanie z koloryzujących szkieł kontaktowych.

Niektórzy turyści go pozdrawiali, odpowiadał serdecznym „hello”. Zagraniczny turysta, który zakochał się w Polsce i polskich górach. Nazywał się Jasper Leong i był obywatelem Hongkongu, co powinno tłumaczyć ślady dziwnego akcentu w jego poza tym nienagannej angielszczyźnie. Pracował w branży telekomunikacyjnej, tak, smartfony i tablety to przyszłość cywilizacji.

Niewiele osób znało jego prawdziwe nazwisko, pochodzenie i historię. Nawet większość jego biznesowych partnerów była przekonana, że Hermod to nazwa organizacji. Wydawało im się niemożliwe, żeby jeden człowiek potrafił wykonać ich bardzo czasami wyrafinowane zlecenia. Dlatego powtarzali sobie plotki o przestępczym kartelu, który działa na podobieństwo wielkiej korporacji, ma filie w największych stolicach świata, siatkę agentów i tajne bazy w łodziach podwodnych o szklanym dnie.

W rzeczywistości Hermod zawsze działał w pojedynkę.

3

Olaf pokonał dzielący ich kawałek ściany szybko i sprawnie, dochodząc do Gmitruka w kilka minut. Zerknął w górę.

- Właściwie już po trudnościach, ale ostatni wyciąg ja poprowadzę. Już się najadłem strachu na cały wyjazd. Pół godziny wyobrażałem sobie, jak mi twój emerycki tyłek ląduje na głowie, mało się nie posikałem ze strachu.

- Tylko nie emerycki.

- Przykro mi, stary. To nie ja będę emerytem za trzy tygodnie. Tak, wiem, nie masz jeszcze czterdziestki, to wojskowa emerytura, przed tobą całe życie pełne zawodowych wyzwań w roli emerytowanego trepa, pracownika ochrony w supermarkecie albo dziadka parkingowego. Można by rzec, że życie dopiero się zaczyna dla pana majora.

- Obiecałem, że skończę po dwudziestu latach służby. To kończę.

- Myślałem, że zostałeś zwolniony z obietnic.

Żart trafił w próżnię i Olaf nie drażył, rozumiał, że temat ciągle jest drażliwy. Dopiero teraz spostrzegł, że Anatol zamiast przygotowywać się do dalszej wspinaczki, pakuje sprzęt do plecaka.

- Zwariowałeś?

Anatol spojrzał na przyjaciela, ale w jego oczach nie było żalu ani przeprosin. Jedynie chłodne skupienie zawodowego żołnierza.

- Nie. Dostałem telefon. Musimy zjeżdżać. Już.

- Ale to tylko jeden wyciąg i potem możemy zejść szlakiem. Może jakieś harcerki poznamy.

- Już.

- Żartujesz. - Nie.

Olaf westchnął i zaczął pakować swój sprzęt. Rozejrzał się za miejscem do założenia zjazdu.

- Możesz przynajmniej powiedzieć, o co chodzi? Gmitruk pokręcił przecząco głową.

- Musiałbyś mnie zastrzelić?

- Nie. Szkoda kul. Użyłbym sekretnego śmiertelnego sposobu Sił Zbrojnych RP.

Wspinali się razem tyle lat, że nie musieli ustalać, co robią. W kilka minut byli spakowani i gotowi do zjazdu. Przygotowali linę, rzucili w przepaść oba jej końce. Pomarańczowy wąż zakołysał się na coraz mocniejszym wietrze, zanosilo się na zmianę pogody.

Olaf wpiął w linę przyrząd do zjazdu.

- Śmiertelny sposób Sił Zbrojnych RP. Marskość wątroby się chyba nazywa.

- Zjeżdżaj.

Olaf odbił się nogami od płyty i zjechał w dół. Chwilę potem Gmitruk czterema susami pokonał dystans, który niedawno kosztował go tyle nerwów.

- Ile ty w ogóle będziesz miał tej emerytury po dwudziestu latach? Grosze jakieś.

- Mam dodatki.

- Jakie?

Gmitruk westchnął w sposób doskonale znany kilkulatkom. Które słyszą takie westchnienie po dziesięciokrotnym zadaniu pytania „daleko jeszcze?” na samym początku podróży. Bez słowa ściągnął linę i przygotował do kolejnego zjazdu. Od podnóża ściany dzieliły ich jeszcze trzy takie odcinki.

- Musiałbyś mnie zastrzelić?

Zamiast odpowiedzieć, Anatol wykonał ręką nieokreślony gest.

- Weź przestań z tymi tajemnicami. To chyba jakaś ustawa reguluje te dodatki, nie tajny regulamin NATO, wydany w pięciu numerowanych kopiach.

- Zjedziesz grzecznie?

Olaf pokiwał głową i wpiął przyrząd.

- Za udział w fizycznym zwalczaniu terroryzmu dwa procent podstawy za każdy rok i jeden procent za każdy rok służby wywiadowczej za granicą. Trochę się uzbiera.

Olaf uśmiechnął się rozanielony.

- Boże, jak zasuniesz taki tekst harcerkom, to będziemy w Piątce dymali tydzień bez przerwy.

- Zjeżdżaj.

4

Pogoda szybko się psuła, ale na Januszu Hauptmannie nie robiło to większego wrażenia. Oparł się o barierkę tarasu widokowego na Kasprowym w ten sposób, żeby nie obciążać chorej nogi, i patrzył na szczyty, których nazw nie znał i które go nie obchodziły. Oprócz jednego. Kamienna piramida na pierwszym planie to Kościelec, główny obiekt na zdjęciu w jego kuchennym kalendarzu, miesiąc luty, rok 2008. Powinien się gapić na tę górę dwadzieścia osiem dni, a gapił się prawie rok, bo po niespodziewanej karnawałowej wyprowadzce swojej ówczesnej żony do jej studenta - i to studenta drugiego roku! - wpadł w ciężką depresję i gdy w końcu był gotów na wysiłek przerzucenia kartki w kalendarzu, okazało się, że jest już rok 2009.

Nigdy nie lubił gór, a jednak przeznaczenie co rusz wiązało jego losy z tymi durnymi kupami kamieni. To w górach poznał późniejszą żonę Izabellę (naprawdę miała w dowodzie tak wpisane, przez dwa „l”). To z gór pochodził student Maciej, co mu Bellę świsnął, podobno prawdziwy góral. To akurat dobra wiadomość, bo jest duże prawdopodobieństwo, że teraz chleje na umór i tłucze głupią babę regularnie. To w góry zaprowadziła go jego kariera profesora geologii, specjalisty od badania zjawisk krasowych. W górach dwa tygodnie temu napadł go jakiś podhalański oprych, świsnął portfel i tak nieszczęśliwie kopnął na odchodnym, że musieli mu usztywnić prawą nogę. I w górach poznał niedawno kobietę. Pierwszą od czasów Izabelli. Nieoczekiwanie znajomość przerodziła się w internetowy, z dnia na dzień coraz bardziej intensywny flirt i doprowadziła go na taras widokowy tej niemiłosiernie zatłoczonej góry z piwem po dwanaście i sikaniem po dwa złote. Prędzej umrze z pragnienia i w spodnie narobi, niż da im satysfakcję.

Czasami nawet myślał, że przyjdzie mu zdechnąć w tych przereklamowanych górach. Wtedy, w 2008 roku, rozmyślał o samobójstwie i po długich rozważaniach zdecydował się na hipotermię. Pójść zimą gdzieś wysoko, rozebrać się, najpierw trochę poszczękać zębami, a potem usnąć spokojnie. Miła, bezbolesna śmierć.

Spojrzał na zegarek. Od umówionego terminu spotkania minęły dwie godziny. Wiało coraz mocniej i coraz zimniej, a szara chmura szybko zbliżała się do Kasprowego, wymazując z krajobrazu kolejne pasma górskie. Na dodatek chciało mu się sikać. Pora uznać, że został wystawiony, i wracać.

Kupił bilet i wszedł do kolejki. Najwidoczniej reszta turystów nie przejmowała się nadchodzącym załamaniem pogody, bo nie licząc operatora, wagonik był kompletnie pusty. Janusz Hauptmann usiadł z ulgą na wąskiej ławeczce i wyprostował kontuzjowaną nogę. Starał się nie patrzeć w stronę przepaści.

5

Na stacji przesiadkowej na Myślenickich Turniach sześćdziesiąt turystów czekało cierpliwie, aż automatyczna bramka wpuści ich do wagonika, którym pojedą na szczyt. Wśród nich przeważali nowicjusze, toteż cała grupa w milczeniu patrzyła w stronę Kasprowego Wierchu, na idące ostro pod górę liny. Może nie było to tak nienaturalne jak pasażerskie odrzutowce, ale i tak idea zawierzenia życia czemuś, co wyglądało jak rozpięta między skałami wędkarska żyłka, wywoływała u większości zgromadzonych lekki dyskomfort.

Joanna Banaszek tego dyskomfortu nie czuła, było jej wszystko jedno. Po pięciu latach samotnego wychowywania dwóch synów w końcu poznała mężczyznę, na tyle fajnego, że zdecydowała się przedstawić go dzieciom na wspólnym wyjeździe w góry.

To był błąd. Zaczęło się od hysterii, skończyło na otwartej agresji. Każdy gest miał znaczenie ostateczne, każde słowo miało ciężar apokaliptycznego objawienia. Codzienne czynności i zwykle rozmowy stały się koszmarem.

Bramka otworzyła się, wpuszczając ich do środka. I dobrze, zaczynała już marznąć, zerwał się zimny wiatr, jednak góry to góry. Zrobiła gwałtowny krok i końcówka długiej parasolki utkwiała w kratownicy peronu, ludzie omijali ją, chrząkając i fukając.

Antoni pomógł jej wyciągnąć parasolkę i delikatnie wepchnął do środka, drzwi zamknęły się za nimi. Starszy syn gwałtownym gestem wyrwał mu z rąk parasolkę, krzywiąc się przy tym, jakby odbierał ją trędowatemu żebrakowi. Po czym z uśmiechem oddał mamie odzyskany przedmiot.

Spojrzała na skalisty szczyt i pomyślała, że tam, w górze, musi się coś wydarzyć. Albo ktoś kogoś zepchnie w przepaść, albo się dogadają, w każdym razie nie wyobrażała sobie, żeby podróż powrotną mieli odbyć w takiej samej atmosferze.

6

Wszędzie wokół panował wakacyjny nastrój i mężczyzna znany chwilowo jako Jasper Leong z trudem zwalczył ochotę na wypicie kufła piwa. Siedział przy drugiej już coli w najodleglejszym kącie baru Jurta w Kuźnicach, tuż obok dolnej stacji kolejki, i wyglądał jak jeden z tych miastowych, którzy nie potrafią się odkleić od swojej komórki.

W rzeczywistości Hermod w kółko przełączał się między obrazami z rosyjskich kamer, nie chcąc przegapić właściwego momentu. Martwiła go pogoda. Chmura oznaczała po



pierwsze mgłę i brak widoczności, a po drugie deszcz, który mógł zakłócić komunikację z kamerami i detonatorami.

Trzeba się spieszyć.

W milczeniu obserwował na ekranie, jak kuśtykający mężczyzna, stawiający małe kroczki, tak jakby bardzo chciało mu się sikać, wchodzi jako jedyny pasażer do kolejki na górnej stacji.

Potem przez chwilę patrzył na ładną i zadbaną, ale cokolwiek spiętą kobietę po trzydziestce, która mocowała się ze swoją miastową parasolką i w ostatniej chwili wsiadła do wagonika na Myślenickich Turniach, z trudem wciskając się w tłum turystów. Odłożył tablet i sięgnął do plecaka po telefon.

7

Major Anatol Gmitruk zostawił cały szpej Olafowi, nie licząc niewielkiego bidonu z wodą, który włożył do bocznej kieszeni spodni, i wysłał go do schroniska z przykazaniem czekania i pilnowania, żeby turyści nie wypili całego piwa. Sam biegł równym tempem w stronę Kasprowego. Chwilowo po płaskim, bez plecaka, chłodzony górkim wiatrem - byłoby to nawet przyjemne, gdyby nie znajome napięcie, które zawsze towarzyszyło mu na misjach. Jeszcze raz rozmawiał ze swoim dowódcą, jeszcze raz usłyszał zapewnienie, że to nie są ćwiczenia.

U podnóża Kasprowego, w zimie służącego za wyśmienity stok narciarski, znajdującego się po drugiej stronie szczytu niż kolejka, zwolnił do szybkiego marszu. Jeśli ktoś obserwuje okolicę, to mężczyzna biegnący pod górę między człapiącymi turystami może dać mu do myślenia.

8

Konduktor wagonika pogwizdywał cicho w rytm nadawanego przez RMF współczesnego polskiego przeboju. „Twój oddech to mój tlen, który we mnie ma swe lokum” - jęczała potwornie jakaś małolata, razem z pogwizdywaniem tworzyło to okropną mieszankę. Janusz Hauptmann wolał jednak słuchać radia, niż podziwiać widoki za oknem. Od dziecka cierpiał na lęk wysokości, a ten odcinek był najgorszy. Wagonik wypadał z peronu górnej stacji jak wypluty i szybował w dół, szybko oddalając się od ściany, dyndając prawie dwieście metrów nad ziemią.

Hauptmanna zewsząd otaczało powietrze i ta świadomość musiała mieć wpływ na przeponę, bo ciężko mu było zaczerpnąć tchu.

Kilka minut, musi wytrzymać głupie kilka minut. Wagonik szybował dalej w stronę Myślenickich Turni, wysoko nad kamienistymi piargami. Hauptmann ucieszył się na widok

wagonika zmierzającego w przeciwną stronę. Jak się miną ze sobą, to będzie znaczyło, że połowa jazdy za nim.

9

Boleśnie odczuwała ten dysonans. Z jednej strony rozciągające się we wszystkich kierunkach surowe piękno gór, nieograniczona przestrzeń, wolność. Z drugiej stłoczenie jak w wagonie bydłowym, oscypkowe oddechy i inne nieprzyjemne zapachy, wszystko okraszone kiepską muzyką, do której tekst wystukała chyba mała na maszynie. „Wypełniam przestrzeń zwykłym powietrzem, szukając tego, co zważ pozornie szczęściem”. Joanna Banaszek westchnęła, nie mogła się doczekać, kiedy przestrzeń wokół wypełni się zwykłym powietrzem, chwilowo więcej do szczęścia nie potrzebowała.

Przetarła zaparowaną lekko szybę, żeby zerknąć z góry na swoje ulubione miejsce w Tatrach, schronisko na Kalatówkach. Usadowiony na rozległej polanie kanciasty budynek z oddali wydawał się absolutnym przeciwieństwem ich sytuacji. Tutaj wszystko było lekkie, zwiewne, na słowo honoru, mała blaszana skrzynka zawieszona na cienkich sznurkach. Tam granitowe ściany stały mocno na morenie, symbol stabilności i bezpieczeństwa. Przyjemnie będzie zjeść w takim miejscu kolację, kto wie, może nawet mężczyźni jej życia odezwą się do siebie.

- Mamo, spójrz, spójrz! - Alojzy zaczął ciągnąć ją za rękaw, pokazując coś za oknem z drugiej strony.

Z góry wolno szybował w ich stronę drugi wagonik, z tej perspektywy wydawał się płynąć w powietrzu.

- Jedzie prosto na nas! - histerycznie pisnął Adaś, jej starszy syn. - Będzie zderzenie! Młodszy momentalnie przywarł do jej nogi.

- Ja nie chcę!

Poczuła się stara i zmęczona.

- Nie będzie żadnego zderzenia - powiedziała spokojnie i nachyliła się do Adasia. - A ty się uspokój - syknęła - bo pierwszą kolejką wrócisz na dół i tam będziesz na nas czekał.

Chciała już być na górze. Uwielbiała przestrzeń, kolejki, wyciągi krzeselkowe, latanie samolotami, ale tylko wtedy, kiedy była sama. Z dziećmi zawsze czuła się niepewnie. Chciała je widzieć cały czas na twardym gruncie, z dala od niebezpieczeństwa. Do głowy przychodziły jej głupie myśli, w samolotach wspominała katastrofy, chmary ptaków wlatujące w silniki, zamarzające czujniki prędkości. Teraz przypomniało jej się Cavalese, wojskowy samolot przecinający liny kolejki. Zapamiętała, że pasażerów zabił nie tyle upadek, co ważący trzy tony zaczep kolejki, który zmiażdżył wagonik razem z ludźmi.

Ucieszyła się, że są już w połowie drogi.

Patrzyła na zbliżający się wagonik, kompletnie pusty, nie licząc konduktora oraz śmiesznego facecika w staroświeckich okularach z cienkiego drutu.

„Ale muszę wyjść z mroku, by odzyskać swój spokój” - zawyło w głośnikach i kolejka zatrzymała się gwałtownie. Zaskoczeni ludzie powpadali na siebie, mamrocząc przeprosiny.

Przez chwilę oba wagoniki bujały się obok siebie.

10

Pokonał połowę drogi z doliny na Kasprowy, widział już wyraźnie ludzi stojących na tarasie widokowym, kiedy zadzwonił telefon. Zaczerpnął energicznie powietrza, żeby nie dyszeć w czasie rozmowy, i odebrał.

- Nie możesz wejść frontowymi drzwiami. Jest źle.

- Jak źle?

- Skontaktował się z nami i kazał zatrzymać oba wagoniki na górnym odcinku. Zagroził katastrofą, jeśli nie spełnimy jego żądań i jeśli spróbujemy czegoś głupiego w rodzaju wysłania śmigłowca, wojska albo próby ewakuacji pasażerów.

- Ile?

- Dwie osoby jadą w dół, sześćdziesiąt jeden do góry. Dużo dzieci. Gmitruk nie pytał nawet, jakie są żądania terrorysty. Po pierwsze nie miało to dla niego znaczenia, po drugie i tak by się nie dowiedział. Kasa, być może jakieś polityczne sprawy. Od czasu wstąpienia do NATO bogata w leśne ostępy Polska świadczyła sojusznikom różne usługi. Afera z samolotami CIA to było nic przy sprawach, o których nawet on wiedział, a wiedział o niewiele. Taka była cena wstąpienia do sojuszu, o której opinia publiczna nigdy się nie dowie. Podobnie jak o tym, ile razy negocjowano już z terrorystami. Oficjalnie żadne państwo z terrorystami nie negocjuje, w rzeczywistości dużo zgromadzonych przez podatników milionów wydaje się na załatwianie spraw po cichu. Ciche negocjacje, ciche wypłaty, czasami ciche likwidacje. Spokojny sen obywateli nigdy nie jest za darmo. Domyślał się, że w tym wypadku państwo pójdzie na każde ustępstwo, byleby we wszystkich telewizjach świata nie pokazywano pełnego dziecięcych trupów wraku górskiej kolejki.

- Jak jest szansa, że blefuje?

- Zerowa. Wciągamy właśnie na Kalatówki teleskop, przez który dokładnie obejrzymy wnętrze peronu na Kasprowym i podpory, wtedy będziemy wiedzieli więcej. Co sądzisz?

Gmitruk zastanawiał się przez chwilę, próbując myśleć jak terrorysta.

- Podpory nie. Zbyt solidne. I obok biegnie szlak turystyczny, za dużo ludzi się gapi. Liny. Najślabszy element.

- Gdzie?

- Na szczycie, przy mocowaniu. Stacja przesiadkowa jest w lesie, ciężko to monitorować, może się tam dostać niezauważenie cały pluton saperów.

- Pomysły?

- Jeden. Spróbuję tylnym wejściem.

- Będziemy cię informować na bieżąco.

I sygnał. Żadnego powodzenia, dziękujemy, jesteśmy z tobą. Za to najbardziej cenili armię. I nawet zostałyby jeszcze chwilę, ale obietnica to obietnica. Dwadzieścia lat i emerytura. Widział na własne oczy, w jakie wraki zamieniali się ci, dla których służba stała się uzależnieniem.

11

Nie ma mowy - konduktor powtórzył te słowa bardzo wolno i bardzo dobitnie.

- Ale ja nie wytrzymam. - Hauptmann użył identycznego tonu.

- Panie, pan się nie zachowuje jak dziecko. Trzeba się było wylać na górze.

Hauptmann wyprostował się dumnie, aż zakłuło go boleśnie w kontuzjowanej nodze.

- Za dwa złote? Nie wiem jak pan, ale ja nigdy nie leję za dwa złote. Konduktor nachylił się w jego stronę. Kawał chłopca, taki typ, co to nie musi trenować, nie musi chodzić na siłownię, całymi dniami może siedzieć na kanapie i żłopać piwo, a i tak jak przyjdzie co do czego, to podkowy zawiąże w supełki.

- Po nogach za darmo - wyszeptał. - Powodzenia. Hauptmann miał za mały pęcherz, żeby się przestraszyć.

- Niedoczekanie. Wysikam się w kącie, i tyle.

Odwrócił się i poszedł w kąt pustego wagonika, podciągnął kurtkę i rozpiął rozporek. Spiał się, czekając, czy osiłek nie rzuci się w jego stronę i nie zacznie tłuc. Ale nie, w wagoniku panowała pełna napięcia cisza. Nie licząc kolejnego przeboju, jakim uraczył ich RMF.

„Mówiłeś mi, że przyciągam gniew, że za nic masz mą niewinność” - zanuciła jakaś szansonistka, ale osiłek wpadł jej w słowo.

- Dobra - westchnął. - W sumie wiem, jak to jest.

Przekręcił kluczyk na konsolecie i podszedł do drzwi. Rozsunął je na kilka centymetrów.

- Tylko szybko.

Hauptmann podszedł do szczeliny z widokiem na Giewont, z której wiało zimnym wiatrem, przywarł do niej, zamknął oczy, żeby nie patrzeć w przestrzeń, i rozpoczął coś, co

było chyba najdłuższym oddawaniem moczu, jakie kiedykolwiek stało się jego udziałem.

„Patrzyłeś, jak wolno staczam się i spadam w otchłań bezdenną” - skomentowała szansonistka.

12

Hermod uniósł delikatnie brwi, kiedy zauważył, jak w wagoniku uchylają się drzwi. Nie spodziewał się, że tak szybko zaczną próbować jakichś sztuczek. Wystukał w telefonie kod do detonacji, zawiesił kciuk nad zieloną słuchawką i czekał. To by zmieniło jego plany, ale umówmy się - nieznacznie.

Drzwi uchyliły się, ale tylko na kilka centymetrów. Za mało, żeby zmieścić się człowiek. Co ci Polacy kombinują?

Przez szparę ktoś wystawił palec. Po chwili z palca trysnęła woda. Patrzył zdziwiony, nie rozumiejąc, co się dzieje, po czym westchnął ciężko i przyciskiem z czerwoną słuchawką skasował kod.

13

Cały wagonik wybuchnął śmiechem, patrząc na to, co dzieje się u sąsiadów, histeryczna reakcja na rosnące napięcie. Tylko Antoni się nie śmiał, próbował wyciągnąć z konduktora jakieś informacje. Ten ostatni wydawał się zdezorientowany.

- Proszę pana, nie wiem, co się stało - tłumaczył. - Ale zapewniam, że jesteśmy w stu procentach bezpieczni. Jest piękna pogoda, kolejka ma własne, awaryjne zasilanie, w najgorszym wypadku specjalnym wózkiem zawiozą nas do najbliższej podpory i tam zejdziemy po drabinach. Podkreślam: w najgorszym możliwym wypadku, nigdy się z tym w mojej karierze nie spotkałem, a siedzę w firmie trzynaście lat. Zdarzają się drobne przerwy spowodowane podmuchami wiatru, nigdy nie trwają dłużej niż kwadrans. Proszę o odrobinę cierpliwości.

- Rozumiem. Nie rozumiem tylko, dlaczego pan nic nie wie. Ma pan przecież radio, komórkę, łączność z kolegami. Proszę się dowiedzieć, dlaczego stoimy.

- Litości, niech pan wytrzyma kwadrans. - W głosie konduktora dało się słyszeć błagalne tony. Mężczyzna próbował ukryć niepokój. Jasne, przerwy w kursowaniu i postoje zdarzały się często, ale zawsze przebiegały w atmosferze wesołych przekomarzanek z kolegami. Nie podobało mu się, że teraz usłyszał od nich lakoniczne i chłodne polecenie czekania. I ani słowa więcej.

14

Mówiąc o tylnym wejściu, Anatol Gmitruk nie miał na myśli żadnych drzwi od zaplecza, technicznych pomieszczeń ani kuchennych okien. Nie miało to żadnego sensu,

wejście na peron od strony budynku stacji na pewno było monitorowane. Miał na myśli jedyne wejście, którego na miejscu terrorysty by nie pilnował - skalną ścianę, rozciągającą się pod peronem kolejki. Strome, kamieniste urwisko, gdzie nikt nie chodził i nikt się nie wspinał.

Przeszedł pod krzeselkami nieczynnego w lecie wyciągu narciarskiego i doszedł do jednej z grani Kasprowego. Za sobą miał halę i turystyczne szlaki, przed sobą przepaść. Daleko w dole leżało Zakopane. Miasto było zalane słońcem, ale tutaj chmury zasłoniły światło, załamanie pogody nadchodziło prędko. Kilkaset metrów, może kilometr przed nim delikatnie falowały zawieszony w przestrzeni wagoniki kolejki.

Zdjął czerwoną kurtkę i upchnął pod kamieniem. Zmarznie, ale w szarym podkoszulku i ciemnych spodniach będzie słabiej widoczny na tle skał. Nawet jeśli terroryści zamontowali kamery na wagonikach, to musi to być niewielki sprzęt na baterie, bez możliwości obracania i zmiennej ogniskowej, transmitujący czarnobiały obraz kiepskiej jakości. Szanse na to, że dostrzegą go ludzie z wagoników, były bardzo niewielkie, szanse na dostrzeżenie go przez kamerę - żadne.

Przewinął się przez grań i rozpoczął łatwą wspinaczkę trawersem w stronę górnej stacji kolejki, która przycupnęła na skale jakieś sto metrów wyżej i dwieście metrów w prawo. Z początku nie było to wyzwanie. Półka, prosty komin, wygodna szczelina, kawałek niezbyt stromej płyty. Krótki odcinek, który bardziej przypominał szlak turystyczny niż drogę wspinaczkową. Trochę przeszkadzało to, że miejsce w ogóle nie było uczęszczane. Na bardziej popularnych drogach wspinaczkowych nie ma luźnych kamieni ani niespodzianek w postaci „sprzętu AGD”, czyli bloków skalnych wielkości lodówek, które trzymają się na słowo honoru, gotowe runąć w dół przy najlżejszym dotyku - najchętniej razem ze wspinaczem.

Po kwadransie był już pod stacją, widział nad sobą wystające kratownice peronu i liny, na których wisały wagoniki kolejki.

Jeszcze siedemdziesiąt metrów wspinania i będzie u celu. Miał już pomysł, co dalej. I choć dygotał z zimna, to ucieszyło go pierwsze pasmo chmur, które pojawiło się nad granią, szare i postrzępione jak brudna wata cukrowa.

15

Ktoś z sąsiedniego wagonika musiał zadzwonić do radia, ponieważ w wiadomościach o piętnastej „więźniowie kolejki” byli najważniejszym newsem. Wypowiadał się turysta z Kasprowego, bardzo niepokojony, że nie może zjechać na dół. Był z ciężarną żoną, pogoda się psuła i raczej nie zabierze jej w kilkukilometrowy spacer po kamieniach. Wypowiadał się

też jakiś dyrektor z Polskich Kolei Linowych, przejściowe problemy techniczne, niedługo wszystko wróci do normy. Jednak zachęcamy ludzi, żeby na wszelki wypadek schodzili do schroniska na Hali Gąsienicowej, skąd specjalnie podstawione samochody terenowe zabiorą ich do miasta. Jeśli komuś względy zdrowotne nie pozwalają nawet na taki wysiłek, to w ostateczności przyleci śmigłowiec. Prowadzący wiadomości skomentował rezolutnie, że jeśli kobieta urodzi na górze, to dziecko powinno dostać dożywotni bilet wstępu na Kasprowy, a następnie przeszedł do jakiejś politycznej jatki.

Janusz Hauptmann wzruszył ramionami. Teraz, lżejszy o trzy litry płynów fizjologicznych, był o wiele spokojniejszy.

- Chciało się panu z taką nogą na górę? - spytał konduktor. Hauptmann milczał przez chwilę.

- Wie pan, w sumie się nie znamy, ale co tam, opowiem panu.

- Marcin.

- Janusz.

Uścisnęli sobie dłonie. Konduktor Marcin odszedł od konsolety i usiadł na ławeczce naprzeciwko Hauptmanna.

- Ja w ogóle nie przepadam za górami, długa historia, nieważne. Pracuję co prawda, ale niżej, w dolinach.

- Coś w turystyce?

- Nie, w geologii. Opracowałem taką metodę badania podziemnych cieków wodnych, która przydaje się do mapowania przebiegu jaskiń, dostałem zlecenie od jakichś świrniętych poszukiwaczy skarbów, zresztą nie będę pana zanudzał. Ważne, że mieszkam tutaj, samotny od pięciu lat, okulary takie, jak pan widzi, aparycja taka, jak pan widzi, raczej się pogodziłem, że jedyne wieczorne rozrywki to jak telewizja się zlituje i puści coś dobrego.

Marcin pokiwał głową ze zrozumieniem. Widocznie takie życie było też jego udziałem.

- Dwa tygodnie temu siedzę na Krupówkach w Maleńkiej...

- Ba, gdzieżby indziej!

- No właśnie. Siedzę w Maleńkiej i wsuwam żurek, oczywiście wszystkie stoliki zajęte, pyta się kobieta, czy może się przysiąść. Czterdzieści lat plus minus, czarna, taka trochę w typie... ja wiem... tej z telewizji, Kolendy. Tylko krótkie włosy.

- Szału nie ma.

- Wstydu też nie. Zjedliśmy żurek i placki na spółkę, deser, półtorej godziny siedzieliśmy i gadaliśmy. Za bardzo nie wiedziałem, co dalej, ale ona i tak musiała wracać do

Krakowa, dała mi wizytówkę i powiedziała, że bywa w Zakopanem regularnie.

- A co robiła?

- W sprzedaży. Sprawdziłem potem firmę w sieci, jakieś ogrzewanie ekologiczne.

Marcin spojrzeniem zachęcił Hauptmanna do kontynuacji.

- Wieczorem napisałem maila. Potem rozmawialiśmy też przez internet, jakoś to wszystko fajnie się układało, bardzo fajnie.

Hauptmann zawiesił głos i zapatrzył na ludzi w drugim wagoniku. Wyglądało na to, że wybuchła tam jakaś kłótnia. Awantura raczej.

- Sexting? - spytał Marcin.

- Słucham?

- Takie świntuszenie na odległość. Brat kuzyna mi opowiadał, że to teraz modne. -

Marcin odchrząknął i spalił raka.

- Powiedzmy, że nie zawsze była to bardzo elegancka i przyzwoita rozmowa. Ale wiesz, nie jesteśmy w podstawówce, żeby tygodniami trzymać się za ręce.

- Nie no, jasne, jasne.

- I w końcu wymyśliła, że żeby romantycznie tak bardziej, to się spotkamy na Kasprowym. Że po tym wszystkim, co pisaliśmy, i tak pójdziemy do łóżka, ale jak spotkamy się tutaj, to będzie jeszcze czas, żeby się podrażnić i jak to mówiła, zbudować napięcie.

- Super.

- Słuchaj dalej.

Hauptmann znowu przerwał. W sąsiednim wagoniku kłótnia przerodziła się w szamotaninę. Ludzie cofnęli się pod ścianę, na środku ktoś kogoś popchnął, wagonik zabujał się nieprzyjemnie.

16

Emocje Hermoda były bardzo głęboko ukryte i nigdy nie przeszkadzały mu w pracy. I choć nie mrugnął, nie zwlekał ani nie zawahał się, to nie było to miłe.

Wystukał na telefonie dziewięciocyfrowy kod i wcisnął zieloną słuchawkę.

17

Wspinaczka była trudniejsza, niż mu się na początku wydawało. Szczeliny wypełniał mokry mech, co drugi kamień zostawał mu w rękach, wiało coraz mocniej i pomału drętwiały mu palce. Jego samopoczucie nie poprawiał fakt, że nie miał sprzętu, liny ani partnera. Niby teren nie był wymagający, ale głupi błąd lub przykra niespodzianka i człowiek kończył jako kupka połamanych kości sto metrów niżej.

Trzema szybkimi ruchami pokonał mniej stromy kawałek i wszedł na coś, co



wyglądało jak przyklejony do ściany duży klocek Lego. Lekko wystająca formacja z bardzo wyraźnymi chwytami, wchodziło się po tym jak po wąskich schodach na strych. Nagle odniósł wrażenie, że klocek nie jest do końca stabilny. Zamarł na moment, czekając, czy znowu poczuje zachwianie, ale nie, musiał wziąć podmuch wiatru za ruch skały. Na wszelki wypadek kolejne ruchy wykonywał mniej energicznie.

Najpierw błysnęło. Gdzieś daleko mignęła błyskawica. Odruchowo spojrzął w górę i zobaczył, że błyska nie niebo, tylko peron kolejki, jakby gdzieś w środku strzelił flesz. Białe, jaskrawe światło buchnęło z budynku stacji, wycinając we mgle nisko wiszącej chmury mleczny graniastosłup.

Zanim zdążył zrozumieć, co to oznacza, usłyszał syk, przeraźliwie głośny, skwierczący syk, jakby deszcz lunął na rozgrzaną do czerwoności patelnię wielkości skrzyżowania.

A potem wszystko rozegrało się błyskawicznie.

Dwie liny nośne jednego z wagoników drgnęły - w pierwszej chwili pomyślał nawet, że to kolejka ruszyła - i zaczęły opadać, nabierając prędkości. Uderzyły w metalową kratownicę peronu, z nieprzyjemnym zgrzytem zsunęły się po niej i ułamek sekundy potem Gmitruk zobaczył coś, na co kompletnie nie był przygotowany. Końcówki lin zamieniły się w dwie białe kule wrzącej stali. Spadły z kratownic i zaczęły szorować po skale, pędząc w jego kierunku, wijąc się i pluąc na wszystkie strony kroplami roztopionego metalu. Przyłgnął do bloku skalnego i schował głowę między ramionami, mając nadzieję, że bicze go nie osiągną. Widział kątem oka, jak obie liny tańczą po skale, podskakując na kamieniach.

Spróbował się odsunąć choć kawałek w lewo i to była najlepsza decyzja, jaką podjął tego dnia. Jeden gorejący koniec pacnął z sykiem i skwierczeniem pół metra dalej, oślepiając go białym światłem, przypominającym blask płonącej magnezji. Drugi uderzył dokładnie w miejsce, gdzie chwilę temu znajdowała się jego głowa.

Kropla wrzącej stali oderwała się od liny i spadła na dłoń Gmitruka w miękkim miejscu pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym, przepaliła na wylot skórę i mięsień. Do mózgu Gmitruka jednocześnie pomknęły dwa sygnały. Po pierwsze niewiarygodny sygnał z oka, informacja o tym, że ma w ciele dziurę na wylot. Po drugie impuls obezwładniającego bólu, przekazany przez zmasakrowane zakończenia nerwowe do rdzenia.

Ból wygrał ten wyścig, uderzenie było tak mocne, że Gmitruk wrzasnął i machnął ręką, tracąc równowagę. Odpadł od ściany jak drzwi na zawiasach. Lewą nogę miał na stopniu, lewą ręką trzymał się chwytu, za to prawe kończyny celowały w pustkę. W połączeniu z uderzeniem ciężkiej stalowej liny było to zbyt wiele jak na wytrzymałość

niestabilnego koniec końców bloku skalnego, który drgnął i powoli zaczął odsuwać się od ściany.

Walczący z podchodzącymi do gardła mdłościami Gmitruk zrozumiał, co się dzieje. Wahadłowym ruchem wrócił do ścian i udało mu się złapać chwyt zmasakrowaną prawą ręką, ale nie polepszyło to jego sytuacji. Trzymał się teraz bloku skalnego wielkości furgonetki, który jeszcze niedawno stał pionowo, a teraz już odchyłał się od ściany pod kątem dziesięciu stopni. W dół staczały się drobne odłamki skalne i Gmitruk, nie chcąc podążyć ich śladem, dwoma ruchami doszedł do lewej strony głazu i przewinął się przez krawędź. Przed sobą miał teraz opadający skalny blok, którego się trzymał, po prawej pustkę, a po lewej ścianę Kasprowego - oddalającą się w coraz szybszym tempie.

Nie było na co czekać. Sięgnął do wszystkich rezerw siły i skoczył w lewo, w stronę ściany, teraz oddalonej już o ponad dwa metry.

Nie udało mu się. Musnął koniuszkami palców kamienie, łamiąc kilka paznokci, i grawitacja ściągnęła go w dół.

Koniec, pomyślał.

Ale to nie był koniec. Ściana kładła się w tym miejscu delikatnie, więc zamiast spaść na piargi, wyrznął o skałę klatką piersiową i zaczął się zsuwać, ścigając z gładem, który dokładnie w tej samej chwili runął w przepaść.

Przez chwilę zsuwali się w równym tempie, Gmitruk i gład, dwaj rywale, po czym Anatol zatrzymał się zniecka na wystającej, omszałej półce, a blok od tej samej półki się odbił i już nie mając innego oporu oprócz powietrza, pomknął na spotkanie z piargami. Anatol obserwował, jak uderza w ziemię. Ogluszający huk kamiennej eksplozji dotarł do niego z lekkim opóźnieniem.

18

Janusz Hauptmann i konduktor Marcin stali wewnątrz rozkołysanego wagonika, dwie nośne liny kolejki zwisały po bokach jak wąsy. Wrażenie było tak surrealistyczne, że Marcin czuł zgrzytanie w mózgu. Kilkanaście lat widział w tym miejscu liny biegnące w górę, do stacji na Kasprowym. Teraz widział je schodzące łagodnym łukiem do ziemi, końce ciągle żarzyły się na czerwono, dwie diody pośród skalnego rumowiska sto metrów niżej.

- Dlaczego nie spadamy? - wychrypiął Janusz.

- Trzyma nas lina ciągnąca. - Co?

- Kolejka jedzie po dwóch nieruchomych linach jak po szynach. A jedzie dlatego, że jest trzecia lina, która ciągnie ją w dół albo w górę. Ona nas teraz trzyma.

- Wytrzyma?

Marcin tylko spojrział bezradnie. Skąd miał wiedzieć?

19

Gmitruk ciężko dyszał, wtulony w skałę. Adrenalina sprawiła, że każdy mięsień miał napięty, serce waliło mu jak oszalałe, do gardła podchodziły fale żółci, a przed oczami latały białe i czarne płatki. Tylko nie zemdlej, szeptał do siebie, jak zemdlejesz, to będzie koniec.

Po chwili uspokoił się na tyle, żeby oszacować obrażenia. Dziura w ręce wyglądała i bolała koszmarnie, ale przynajmniej nie krwawiła, wrząca stal skauteryzowała ranę. Paznokcie miał połamane, niektóre szpetnie, ale palce całe. Lewa strona tułowia kłuła przy każdym oddechu, pewnie stłuczone żebra. Delikatnie poruszył nogami, sprawdzając, czy nic nie trzasnęło przy uderzeniu w półkę. Prawe kolano trochę szarpało, ale wyglądało na to, że wszystko działa. Nie ma co, z hukiem przechodzi na emeryturę.

Odwrócił głowę, żeby spojrzeć na wagoniki kolejki. Jeden wisiał normalnie, drugi opadł o kilka metrów, resztki lin zwisały z niego jak nitki z poprutego swetra. Musiał trzymać się na trzeciej linie, służącej do poruszania kolejki.

Nie zdążył zastanowić się nad tym, czy wytrzyma, kiedy z góry dobiegł go płaczliwy dźwięk pękającej struny gitarowej.

20

Nie potrafiła wykrztusić słowa, na szczęście Antoni zachował zimną krew.

- Ta lina nie ma prawa wytrzymać. Szybko, zrobmy sznur z ubrań. To tylko dwie osoby, wciągniemy je tutaj. Szybko, szybko!

Niektórzy od razu wyszli z szoku, zaczęli ściągać kurtki i wiązać ze sobą ich rękawy. Joanna stała zupełnie jak sparaliżowana, tuliła do siebie młodszego syna i patrzyła na wagonik, który przed chwilą wisiał na wyciągnięcie ręki, a teraz znajdował się kilka metrów niżej.

- Jolka! - Antoni mówił na nią Jolka, ponieważ była Joasią z Olecka, taki szyfr kochanków. - Obudź się i krzyknij do nich, że ich wciągniemy! Niech wyjdą na dach.

Ocknęła się, zę zdumieniem i dumą zauważyła, że jej starszy syn stoi w samej bieliźnie, podając kurtkę i spodnie Antoniemu.

Uchyliła lufcik, powiew zimnego powietrza pomógł jej wziąć się w garść. Zaczepnęła powietrza i zbliżyła usta do okna, żeby wykrzyzczeć, o co im chodzi. Nie zdążyła. W momencie kiedy konduktor z drugiej strony otwierał okno, widząc, że czegoś od niego chcą, wagonik poleciał w dół.

Joanna patrzyła, jak spada, idealnie pionowo, wręcz majestatycznie, aby po kilku sekundach uderzyć w ziemię. Ciężar zaczepu sprawił, że kabina złożyła się jak tekturowe

pudełko, miażdżąc pasażerów.

Przynajmniej nie cierpieli, pomyślała.

21

Fiufiu, fiufiu fiufififi. Gmitruk z ciężkim sercem odebrał telefon.

- Dzieci? - wychrypiał.

- Nie. Na wszystkich linach nośnych są ładunki termiczne, dwa już odpaliły, dwa czekają na sygnał. Wypatryliśmy też kamerę na ścianie przy linach, która patrzy w twoją stronę.

- Musi być druga, która obserwuje ładunki.

- Musi. Ale jej nie znaleźliśmy.

Przez chwilę po obu stronach słuchawki panowała cisza.

- Mówiłeś, że masz jakiś pomysł. Sugerujemy, żebyś się pospieszył z jego realizacją.

- Tak jest.

Rozłączył się, włożył telefon do kieszeni i rozpoczął wspinaczkę. Może to było złudzenie, ale miał wrażenie, że idzie mu znacznie, znacznie szybciej.

22

Antoniemu katastrofa podcięła skrzydła. Usiadł na podłodze w rogu wagonika i nie brał udziału w kłótniwej histerii, która ogarnęła pasażerów. Mężczyźni krzyczeli, kobiety piszczały, dzieci płakały. Nikt nie chciał umierać, nikt nie miał pojęcia, co robić. Złość skrupiła się na zrozpaczonego konduktora kolejki.

- Do kurwy nędzy, mówiłeś pan wcześniej - dawno przestano używać form grzecznościowych - że jest jakiś awaryjny wózek, to niech go przyślą i nas stąd zabiorą. Albo, kurwa, podciągną ręcznie do najbliższego słupa, albo przyślą śmigłowiec, albo rozłożą poduszkę taką do skakania na ziemi, albo cokolwiek. Czemu, ludzie, nic nie robicie?!

- Nie mam pojęcia, nie chcę ze mną rozmawiać, przykro mi - konduktor w kółko powtarzał płaczliwie te same słowa, sam nie rozumiał, dlaczego nikt z nim nie rozmawia i nie udziela mu instrukcji.

Joanna przykucnęła obok Antoniego.

- Mały się zsiął. A jest coraz zimniej...

Spojrzał na nią niewidzącym wzrokiem, zamrugał kilka razy, powrót do rzeczywistości sprawił mu wyraźny wysiłek.

- Czekaj, zaraz coś wymyślimy. - Potarł twarz dłońmi, spojrzał na zapłakanego chłopca i puścił do niego oko. - Rozbierz go, założymy mu moje spodnie z podwiniętymi nogawkami, przynajmniej będzie miał sucho.

- Jesteś pewien?

- Tak, jestem pewien, umówmy się, że jest wrzesień, a nie środek zimy. Moja duma ucierpi i będę wyglądał jak idiota, ale poza tym nic mi nie będzie.

Uśmiechnęła się.

- Nie przesadzaj, będziesz wyglądał sexy.

- Mam bokserki w dziobaki.

- Okej, będziesz wyglądał jak idiota.

23

Na szczęście ostatni odcinek był najprostszy. Nie tyle wspinaczka, co wchodzenie po bardzo stromej łączce, poprzetykanej kamieniami. Doszedł do krawędzi budynku i przytulił się do granitowej ściany. Od peronu dzieliły go trzy ruchy. Wystarczyło wyjść zza ściany, chwycić się aluminiowej konstrukcji i podciągnąć. Tyle samo dzieliło go od tego, żeby znaleźć się w kamerze szaleńca, który trzymał palec na spuście i w każdej chwili mógł odesłać sześćdziesiąt jeden osób w niebyt.

Wiedział, że nie ma miejsca na błędy, i to w pewien sposób sprawiało, że zachował spokój. Wyjął telefon i zadzwonił.

- Kamera na wagoniku? - spytał.

- Tak. Ten sam system, patrzy na dach.

- Musicie dać mu zajęcie. Skontaktujcie się z ludźmi z wagonika, niech zaczną kombinować. Niech otworzą właz dachowy, zaczną się rozglądać, dawać znaki do kamery. Tak żeby przez kilka sekund się na nich gapił.

- Wystarczy?

- Musi. Dajcie znać, jak się zacznie.

Rozłączył się i zaczął układać w myślach sekwencję ruchów. Przewinięcie się przez ścianę, skok na peron, trzy kroki do drabiny, cztery kroki w górę do lin. Jeden rzut oka na ładunki.

Zajął się uspokajaniem oddechu i przygotowywaniem mięśni do wysiłku, długo patrzył na dziurę w dłoni, na jej spalone brzegi. Musiał się przyzwyczaić do tego widoku, żeby nie odwracał jego uwagi, gdy będzie majstrował przy ładunkach.

Fiufiu - od razu odebrał.

- Jazda.

Odetchnął głęboko i wyskoczył zza ściany, bojąc się, że zobaczy biały błysk, znak, że sztuczka się nie udała i że sześćdziesiąt jeden osób żegna się z życiem. Ale nic takiego nie nastąpiło. Przebiegł przez peron, wskoczył na drabinę i po chwili stał na wąskim chodniczku,

służącym do inspekcji lin nośnych i ciągnących. Czarne pierścienie z ładunkiem zapalającym były ceramiczne, wystawały z nich cienkie antenki służące do odbioru sygnału detonacji. Wyrwał je jako pierwsze, choć wiedział, że to raczej nie przeszkodzi w odebraniu sygnału.

Wcześniej myślał o tym, że terrorysta nie mógł mieć wiele czasu na mocowanie pierścieni. Ich części musiały być albo zatrzaśnięte, albo połączone w jakiś inny prosty i wytrzymały sposób. Na tyle wytrzymały, żeby się nie rozpadły na początku reakcji.

Szybkie oględziny potwierdziły jego przypuszczenia. Połówki pierścienia były skręcone grubą ceramiczną śrubą z krzyżakowym łebkiem. Dobry sposób, odporne na wysokie temperatury ceramiczne elementy gwarantowały skuteczność działania środka zapalającego.

Gdyby jeszcze miał to czym odkręcić. Spróbował paznokciem, ale nie dało rady. Wyjął z kieszeni garść drobnych i wyszperał jednogroszową monetę. Minimalnie chwyciła wyłobienie śruby. Próbował odkręcić, trzymając monetę kciukiem i palcem wskazującym prawej ręki, ale pokiereszowane mięśnie odmówiły posłuszeństwa - moneta wymsknęła mu się spomiędzy palców, odbiła od podłogi peronu i poleciała w przepaść.

26

Zaczynał się niecierpliwić. Zleceniodawca milczał, a było jasne, że po katastrofie pierwszego wagonika Polacy zaczną wykonywać paniczne ruchy i trzeba będzie zareagować lub zniknąć. Wolalby, żeby to była decyzja zleceniodawcy.

Obserwował peron, ale wszystko było tak samo nieruchome jak wcześniej.

Przełączył obraz na kamerę z wagonika i uniósł brwi. Tutaj za to coś się działo. Kłapa prowadząca na dach wagonika drgnęła, po czym odskoczyła, ukazując zgromadzonych wewnątrz ludzi. Zadarte twarze patrzyły w kamerę ciętym spojrzeniem, właściwym większości gatunku ludzkiego. Śmierć w katastrofie byłaby pewnie najważniejszym momentem życia tych ludzi. Rodziny udzielałyby wywiadów, czarnobiałe portrety pojawiłyby się we wszystkich gazetach, w końcu nazwiska wyryto by na jakimś marmurowym pomniku, a ludzie pielgrzymowaliby z całego kraju, żeby palić znicze i mnożyć teorie spiskowe. Kilka chwil dzieli ich od jedynej potencjalnej nieśmiertelności, jaka kiedykolwiek może być im dana.

27

29

Nie było czasu na panikę. Wyjął znowu garść drobnych, które jak na złość wcale drobne nie były, same grube pięcio - i dwuzłotówki, żadnej jednogroszówki.

Rozejrzał się bezradnie. Wiedział, że od momentu gdy terrorysta zobaczy go w

kamerze, upłynie co najwyżej sekunda do chwili, kiedy odpali ładunki.

28

Tłumek pod włazem poruszył się, przystawiono drabinę i na dach wyszedł pomału facet w samych gaciach.

Hermod westchnął, postanawiając sobie, że nigdy więcej nie przyjmie zlecenia w dziwnych krajach Europy Wschodniej. Chyba musi jeszcze upłynąć parę lat, zanim ucywilizują się na tyle, że będą gotowi na terroryzm z prawdziwego zdarzenia.

Facet stanął niepewnie na dachu wagonika, złapał się zaczepu łączącego kabinę z linami i zaczął gestykulować w stronę kamery. W pierwszej chwili Hermod próbował zrozumieć, co tam się dzieje, ale szybko zganął się, że powinien się skoncentrować, a nie podziwiać dziwny spektakl.

Przełączył kamerę. I zobaczył człowieka, który majstruje przy ładunkach zapalających. W tej samej chwili zadzwonił jego telefon. Zleceniodawca potwierdził.

Termit ma tę właściwość, że spala się w ogromnej temperaturze, ale sam potrzebuje bardzo wysokiej do zapłonu. Użyty w ładunkach na Kasprowym nanotermit potrzebuje niższej, ale ciągle chodzi tutaj o setki stopni, co przy małym rozmiarze ładunku jest sporym ograniczeniem. W tym wypadku sygnał radiowy uruchamiał zapalnik elektryczny, który jedną iskrą dokonywał zapłonu wąskiego paska proszku magnezowego, spalającego się płomieniem o temperaturze wystarczająco wysokiej, żeby zapalić termit. Który najchętniej spaliłby się ogromnym jasnym płomieniem, ale trzymany w ryzach przez ceramiczną obudowę przepala linę i sprawia, że stal zaczyna wrzeć.

Wydawałoby się, że w kontekście wrzącej stali i jednej z najbardziej gwałtownych znanych chemikom reakcji termicznych absolutnie nie miało sensu to, co robił Anatol Gmitruk. Otóż wąską strużką lał wodę ze swojego wspinaczkowego bidonu na czarny pierścień. Pozornie było to równie bezcelowe, co chluśnięcie wodą ze szklanki na płonącą stodołę, ale tylko pozornie. Major przypomniał sobie podaną mimochodem informację, jaką usłyszał w czasie jednego z natowskich szkoleń: reakcja termitu nie zajdzie, jeśli substancja będzie mokra lub nawet wilgotna.

Niestety zapomniał o drugiej: jeśli do już zachodzącej reakcji dodamy wodę, nastąpi eksplozja.

I to się właśnie wydarzyło, kiedy wysłany z knajpki w Kuźnicach sygnał radiowy dotarł do zapalników.

W obu ładunkach strzeliła iskra, magnez błysnął oślepiająco, zapalając termit. Po czym jeden zaczął przepalać stalową linę, a drugi eksplodował, rozrywając ceramiczną

obudowę, uszkadzając linę nośną kolejki i ciskając Anatola na podłogę peronu jak szmacianą lalkę. Gmitruk przeturlał się do krawędzi kratownicy, przewinął przez jej brzeg i już lecąc w dół, chwycił ranną dłonią aluminiową krawędź.

Ból przeszył całe ciało, wydawało mu się, że w dłoni i przedramieniu popękały wszystkie ścięgna i mięśnie, ale zdołał się utrzymać.

Pomyślał, że to bez wątpienia najwybitniejsze osiągnięcie w jego dotychczasowej wspinaczkowej karierze. Chwycił krawędź drugą ręką dokładnie w tym momencie, kiedy przecięta płomieniem lina nośna spadła, ciągnięta swoim ciężarem dwudziestu ośmiu ton, runęła w dół, wstrząsając całą konstrukcją peronu i o mało nie zrzucając Anatola w przepaść, po czym pomknęła w stronę piargów, szorując po skalnej ścianie jak poprzednie i ciągnąc za sobą końcówkę, przyskajając wokół kroplami wrzącej stali o temperaturze czterech tysięcy stopni, gotowymi przepalić się przez ludzkie ciało jak ogień zapalniczki przez bibułkę papierosa.

Po chwili, która wydawała się trwać lata, Gmitruk odważył się otworzyć oczy. Najpierw spojrzał w stronę gór - wagonik cały czas wisiał tam, gdzie wcześniej. Potem na liny. Jedna zniknęła. Druga wisiała na swoim miejscu, choć była uszkodzona i ciągle żarzyła się na czerwono w miejscu, gdzie eksplodował termit. Część splotu sterczała w tym miejscu na wszystkie strony. Na jego oczach strzeliło kilka następnych drutów składających się na linę. Brzdęk, brzdęk, ping - jakby dziecko grało na rozstrojonej gitarze.

Jęcząc z bólu, podciągnął pokiereszowane ciało na rękach i wgramolił się z trudem z powrotem na kratownicę peronu.

Nie gap się, kombinuj! - krzyknął w myślach. Miał co najwyżej kilkadziesiąt sekund, żeby coś zrobić, zanim wagonik runie w przepaść ze wszystkimi pasażerami.

Spojrzał na linę, spojrzał na wagonik. I rzucił się do maszynowni.

- Ciągnijcie go w drugą stronę! - wydarł się do przerażonego pracownika kolejki. - Ciągnijcie na dół jak najszybciej!

Wąsaty facet po pięćdziesiątce patrzył na niego w osłupieniu.

- Na dół, kurwa, albo wszyscy zginą!

Facet ocknął się, przekręcił kluczyk i podniósł odpowiednią dźwignię, elektryczny silnik ruszył z wizgiem, lina ciągnąca drgnęła i zaczęła wysuwać się ze ściany.

Od drgań i ruchu sploty jedynej liny trzymającej przy życiu sześćdziesiąt jeden istnień zaczęły pękać szybciej. Brzdęk, brzdęk, ping.

30

Antoni nie miał pojęcia, co się wydarzyło. Stał na dachu wagonika i robił miny do



małej kamery, tak jak kazał tajemniczy, nieznoszący sprzeciwu wojskowy, który nieoczekiwanie zadzwonił do konduktora. Miał nadzieję, że bokserki z dziobakami pomogą przywrócić uwagę tego, kogo trzeba.

Gestykulował w stronę obiektywu, kiedy usłyszał dobiegające z wnętrza kabiny krzyki. Rozejrzał się i dostrzegł białe płomienie szalejące na górnej stacji kolejki. I to był prawie ten moment, kiedy życie przeleciało mu przed oczami, bo wiedział, co te płomienie oznaczały wcześniej dla dwóch mężczyzn w wagoniku, który teraz był kłębkem pogiętej blachy. Prawie, bo właściwy moment nadszedł dwie sekundy później, kiedy strzeliła jedna z lin. Wagonikiem zakołysało gwałtownie i Antoni nie spadł na dół tylko dlatego, że przytulił się do zaczepu łączącego kabinę z linami. Kiedy jednak zerwana lina doleciała do ziemi, jej ciężar szarpnął wagonikiem tak gwałtownie, że Antoni nie dał rady się utrzymać, z krzykiem runął na dach i przeturlał w stronę krawędzi. W ostatniej chwili udało mu się chwycić przytwierdzonego do dachu metalowego ucha. I tak wisiał, z nogami w powietrzu, szorując dziobakami po szybie, za którą krzyczeli współpasażerowie.

A potem wagonik wolno ruszył na jednej linii w stronę Myślenickich Turni i wszyscy krzyknęli z radości, bo z każdą sekundą byli bliżej ocalenia. Poza Antonim, który czuł, jak słabną mu ręce. I kiedy pomyślał, że nie da rady się wciągnąć na górę, rozsunęły się drzwi wagonika i kilka par rąk - w tym ręce jego kochanki i dwójki jej dzieci, które nagle wydały mu się całkiem sympatyczne - wciągnęły go do środka.

Pomyślał, że głupio byłoby przeżyć taki filmowy moment, tylko po to, żeby sekundę później zginąć w katastrofie.

Na drugim planie konduktor rozmawiał przez telefon komórkowy, a ludzie patrzyli na w zbliżającą się podporę, jakby siłą kolektywnej woli mogli tam przetransportować wagonik.

31

Brzdęk, brzdęk, ping, ping, ping - sploty liny pękały coraz szybciej, z wyjściowych czterdziestu czterech milimetrów nie zostało więcej jak dwadzieścia.

- Kiedy krzyknę - Anatol mówił do wąsatego maszynisty, ale patrzył cały czas na linę - wyłącz silnik, a konduktor niech włączy hamulec. Dopiero jak krzyknę, moment, moment...

Brzdęk, brzdęk - dwa sploty strzeliły tak szybko jeden po drugim, że dźwięk zlał się w jedno. Po czym przestały pękać i wszystkim wydawało się przez chwilę, że lina jednak wytrzyma. Ta jednak zatrzeszczała, zerwała się do końca i poleciała w przestrzeń.

- Teraz! - wrzasnął Anatol.

32

Konduktor w wagoniku usłyszał wrzask Anatola, jeszcze zanim komendę powtórzył

maszynista. Szybko wcisnął guzik, który zacisnął okładziny cierne na obu linach. Od podpory dzieliło ich jeszcze około pięciu metrów. Niewiele, ale mogło być za dużo.

- Trzymać się! - krzyknął i zamknął oczy.

Na początku nikt z pasażerów nie zauważył, że coś jest nie tak. Przez ułamek sekundy myśleli, że to bujnięcie, przez następny czuli się jak w jadącej na dół windzie, a potem zrozumieli, że spadają, i zaczęli histerycznie krzyczeć, czekając na uderzenie i pewną śmierć.

33

Anatol patrzył, jak w oddali wagonik zaczyna opadać w dół, i zacisnął mocno pięści. Pomyślał, że po tym wszystkim, co dziś przeszedł, byłoby zwyczajnie niesprawiedliwe, gdyby ta historia nie miała szczęśliwego zakończenia.

Nie było sensu liczyć na to, że pełen ludzi wagonik zostanie powstrzymany jak poprzedni, przez cienką linę ciągnącą. Ta strzeliła od razu jak gumka od majtek, w żaden sposób nie zapobiegając katastrofie.

Wagonik opadał, nabierając prędkości, ale w przeciwieństwie do swojego brata bliźniaka nie doleciał do ziemi, ponieważ był za blisko podpory. Leciał, przypięty hamulcami do dwóch lin, które z jednej strony leżały na piargach, ale z drugiej ciągle były przymocowane do specjalnych bębnow na stacji na Myślenickich Turniach. Opadł kilka metrów, dzielących go od podpory. Liny wyprostowały się i naprężyły i wagonik zamienił się w wielkie wahadło, zawieszony na rolkach podpory.

Konstrukcja nie była przygotowana na takie obciążenie. Kiedy wagonik kołysał się w obie strony, w całych górach można było usłyszeć, jak odkształcają się metalowe elementy. Podpora gięła się jak z plasteliny, liny pospadały ze wszystkich możliwych rolek i prowadnic, w wielu miejscach trzymając się na słowo honoru. Ruch wahadłowy wagonika był coraz krótszy, w końcu, przy gasnących dźwiękach cierpiącego metalu, kabina się zatrzymała.

34

Przez chwilę wszyscy bali się choćby odetchnąć.

Antoni ciągle leżał na blaszanej podłodze w gaciach w dziobaki. I tak jak inni, poubierani w polarowe i goreteksowe spodnie, mogli udawać chojraków, to on nie był w stanie ukryć, że zwyczajnie zsiakał się ze strachu.

Joasia zastygła z chłopcami kurczowo przytulonymi z każdej strony, wyglądała jak ze zwycięskiego zdjęcia w konkursie World Press Photo.

Reszta tkwiła w pozach, które udowadniały, że być może umieramy zawsze samotnie, ale rzadko kiedy sami. Kochankowie i przyjaciele stali złączeni w jeden organizm, rodzice tulili dzieci, obcy ludzie trzymali się za ręce. Jediną niepodłączoną do nikogo osobą był

konduktor i być może dlatego to on pierwszy zareagował.

Przekręcił kluczyk na konsolocie, podszedł do drzwi i rozsunał je na oścież. Usiadł na progu i zeskoczył na porośnięte kosówkami łagodne zbocze, rozciągające się dwa metry niżej. Rozejrzał się, odwrócił i wyciągnął ręce, żeby pomóc wyjść pasażerom.

Wtedy dopiero zaczęli wiwatować.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Warszawa

1

Jest taki typ kobiet, do których mężczyźni nigdy nie podchodzą w barach, żeby zagaić, postawić drinka i zorganizować sobie wieczór. Nawet jeśli one są w szpilkach i wydekoltowanych czerwonych kieckach, a im alkohol na tyle stępił samokrytycyzm, że przy każdej innej czuliby się przystojni, dowcipni, męscy i elokwentni, to i tak nie podejgą. Tak samo jak uczeń szkoły podstawowej nie oprze się nonszalancko o biurko wychowawczynie i nie rzuci: „Jak ci minął wczoraj wieczór, królowo moja?”. Pewnych rzeczy się po prostu nie robi.

Doktor Zofia Lorentz była jedną z takich kobiet. Nikt nie zwracał się do niej „Zosieńko” ani nawet „pani Zosiu”, bo „pani doktor” po prostu lepiej układało się każdemu w ustach. Z daleka nic szczególnego: drobna blondynka o zwyczajnej figurze, okrągłej buzi i miodowych włosach obciętych na pazia, środkowoeuropejski standard. Z bliska zaskoczeniem były jej ciemne jak u Azjatów oczy, źrenice i tęczówki zlewały się w dwa czarne punkty, sprawiając, że niemożliwością było zgadnąć, czy patrzą ze współczuciem, wyrzutem, czy naganą. A po krótkiej rozmowie okazywało się, że jest doktor Lorentz osobą zadziorną, nieustępliwą, obdarzoną złośliwą inteligencją i pozbawioną zdolności do kompromisów. Wszystko razem kazało uważać przy niej na błędy językowe, wystrzegać się seksistowskich żartów i nie wyobrażać jej sobie jako kobiety, która z błogim uśmiechem smaży jajecznicę w niedzielny poranek, krzątając się w kusym szlafroczku po zalanej słońcem kuchni.

W wieku trzydziestu czterech lat doktor Zofia Lorentz była samotną, bezdzietną i umiarkowanie szczęśliwą kobietą, która nauczyła się inwestować energię tylko w te aktywności, które uważała za korzystne. Języki obce, praca naukowa, hippika, narciarstwo i biegi średniodystansowe - biegła maratony, ale uznała, że przez to jej figura traci na kobiecości. Dziesięć lat temu jako młodziutka absolwentka prawa międzynarodowego i historii sztuki trafiła do Zespołu do spraw Rewindykacji Dóbr Kultury w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Dziś była szefową tej niewielkiej, bo jednoosobowej komórki, zajmującej się tropieniem i odzyskiwaniem dziedzictwa utraconego przez Rzeczpospolitą w różnych

momentach jej historii.

Polscy ambasadorzy wyrażali się o niej z podziwem i szacunkiem, dyrektorzy muzeów nosili ją na rękach, kolekcjonerzy podlizywali się jej na wszelki wypadek, a wiecznie balansujący na granicy paserstwa najbardziej znani antykwariusze Europy do spółki z właścicielami domów aukcyjnych utopiliby ją w szklance wody.

Należała do nieusuwalnych urzędników państwowych średniego szczebla i doskonale zdawała sobie sprawę, że swoją funkcję może sprawować, dopóki ma na to ochotę, obserwując, jak na pierwszym piętrze modernistycznego budynku w alei Szucha zmieniają się regularnie nazwiska ministrów i wiceministrów na mosiężnych tabliczkach. Wiedzieli, że nie mogą ruszyć osoby, dzięki której do polskich muzeów wracają bezcenne dzieła sztuki, i nie wchodzili jej w drogę, a ona w zamian pozwalała im się sfotografować raz na jakiś czas z odzyskanymi Gierymskim lub Wyczółkowskim, jak przekazują go wzruszonemu dyrektorowi jednego z muzeów.

Ubrana w dopasowaną spódnicę i czarną marynarkę stukwała obcasami kozaków, przemierzając korytarz ministerstwa razem z aktualnym przełożonym. Uważała, że jak na polityczne nadanie nie był zły, zdrowo] zdystansowany do bogoojczyźnianego ducha, który od lat nadawał ton polskiej polityce zagranicznej. Właściwie to na swój sposób go podziwiała - za charyzmę i polityczną sprawność.

- Wołałabym wiedzieć, w jakiej sprawie idziemy. Marnuję czas, kiedy jestem nieprzygotowana.

- Pani doktor, premier osobiście zadzwonił i prosił, żebyśmy się natychmiast stawili w kancelarii. Z takimi poleceniami się nie dyskutuje.

Spojrzała na niego, nie zwalniając kroku. Nie wiedział, czy ze zrozumieniem, współczuciem, czy politowaniem, nic nie można było wyczytać z tych cholernych czarnych oczu.

- To premier, na pewno ma coś ważnego i konkretnego do powiedzenia. - Przełożony niepotrzebnie brnął w tłumaczenia.

- Jestem zaszczycona.

Minister nigdy nie wiedział, czy doktor Zofia Lorentz żartuje, czy nie, i miał problem, co go bardziej skompromituje: milczenie mogące sugerować, że nie zrozumiał dowcipu, czy rehot świadczący o tym, że nie docenił powagi wypowiedzi. Na wszelki wypadek zawsze wybierał milczenie.

Minęli portiernię, założyli płaszcze i wyszli na aleję Szucha. Zima w tym roku przyszła wcześniej, nie było jeszcze grudnia, a w Warszawie sypało przez cały tydzień. Tak

było w całej Europie, naukowcy w telewizji dwoili się i troili, aby udowodnić, że to jeden ze skutków ocieplenia klimatu.

Pięć minut później przechodzili przez bramkę w gmachu Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, dziesięć minut później doktor Zofia siedziała w sekretariacie premiera i podpisywała oświadczenie, że jest świadoma, że najbliższa rozmowa dotyczyć będzie informacji niejawnych objętych klauzulą „ściśle tajne” i za ich ujawnienie grozi do ośmiu lat więzienia.

- Premier oczekuje państwa w kostce - poinformowała ich sekretarka po odebraniu dokumentów.

Lorentz słyszała wcześniej o kostce, jak w ministerialnym slangu nazywano specjalny antypodsluchowy pokój do tajnych narad, wybudowany kilka lat temu. W towarzystwie oficera Biura Ochrony Rządu Wjehali na piętro i tam w połowie korytarza zatrzymali się przed jakimiś drzwiami. Tabliczka informowała, że jest to wejście do „Sali konferencyjnej 4.15”. Za drzwiami zamiast sali konferencyjnej była niewielka śluza, w której Zofia Lorentz musiała przejść przez detektor metali, znieść przeszukanie i zostawić w szafce przypominającej małą przechowalnię bagażu wszystko, co nie było ubraniem: torebkę, telefon, klucze, pieniądze, biżuterię. Mimo pozornego chłodu czuła narastającą ekscytację, udzielał jej się nastrój tajemnicy, sekretnego spotkania na najwyższych szczeblach władzy. Niestety kazali jej zdjąć też kozaki, co sprawiło, że poczuła się niska, naga i poirytowana.

- Premier też siedzi w skarpetkach? - spytała młodego oficera BOR.

Borowiec wzruszył tylko ramionami i wcisnął przycisk, otwierając kolejne drzwi.

Weszli do następnego pomieszczenia. Doktor Lorentz rozejrzała się z ciekawością. Była to obszerna sala o powierzchni stu pięćdziesięciu, może dwustu metrów, kompletnie pusta. Ściany, podłoga i sufit zostały wyłożone tworzywem w rodzaju śnieżnobiałego linoleum, płaszczyzny przechodziły łagodnie jedna w drugą, bez ostrych kantów i kątów, w suficie zatopiono liczne jarzeniówki.

Niemożliwością było ukryć tu szpilkę.

Pośrodku sali tkwiła słynna kostka - przezroczyste pomieszczenie z grubego tworzywa sztucznego o boku jakichś pięciu metrów, w którym za stołem siedziało trzech mężczyzn w garniturach, podobnych do siebie jak klony. Jedynie premier miał buty na nogach.

W kostce oprócz premiera siedzieli minister kultury i jakiś nieznany jej mężczyzna. Skinęła głową na powitanie i zajęła jedno z wolnych miejsc, jak najdalej od ministra kultury, którego uważała za szkodliwego głupka. Od nominacji, kiedy to wyznał z rozbrajającą szczerością, że wolałby dostać resort obrony, ale jak się nie ma, co się lubi, to trudno, od tego

momentu było już tylko gorzej.

Premier zaczekał, aż światelko zainstalowane pośrodku stołu konferencyjnego zmieni się z czerwonego na zielone - znak, że zostały włączone wszystkie urządzenia antypodsłuchowe - i zwrócił się od razu do niej.

- Pani doktor, czy podejrzewa pani, w jakiej sprawie się spotykamy?

- Zapewne w sprawie funduszu, o który walczę od początku kadencji. Jej szef obok jęknął.

- Funduszu? - Premier wyglądał na szczerze zdziwionego.

- Funduszu finansowanego z opłat wnoszonych przez antykwariuszy i domy aukcyjne, który pozwoliłby nam finansować poszukiwania zaginionych dzieł sztuki, a potem opłacać najlepszych prawników, żeby je odzyskiwać dla Rzeczypospolitej.

Premier patrzył na nią z uśmiechem polityka, który wszystko rozumie i ze wszystkim się zgadza.

- Otóż... - zaczął.

- Otóż nie wie pan, o czym w ogóle mówię. Prawda, panie premierze?

- Chodzi o to, że nie jest to tematem tej rozmowy - wtrącił się minister kultury. - Poza tym i bez funduszu doskonale sobie radzimy. Bezcenne zabytki wracają do kraju.

Pomyślała, że policzy od pięciu do jednego i dopiero potem się odezwie, ale pękła przy trzech.

- Skoro nie potrafi pan przestać szkodzić, niech się pan przynajmniej nie odzywa. Państwo nie powinno negocjować z terrorystami i płacić złodziejowi, żeby odzyskać swoją własność. Pana działania sprawiły, że wiele dekad pracy poszło na marne. Myślę, że pan premier powinien o tym wiedzieć.

Premier spojrzał na resztę interlokutorów, jakby czekając, że ktoś mu wytłumaczy, o co chodzi. Pomógł minister spraw zagranicznych:

- Doktor Lorentz chodzi o to, że powinniśmy odzyskiwać odnalezione dzieła na drodze prawnej, poprzez uznanie naszego prawa własności, w ten sposób każdy wygrany proces ułatwia odzyskanie następnego dzieła. Płacenie antykwariuszom lub posiadaczom sprawia, że w świat idzie sygnał: Polska płaci. To czemu ktoś miałby się godzić na negocjacje?

Minister kultury rozłożył ręce bezradnie.

- Ale czy to jest moja wina, że jakaś prywatna firma chce przeznaczyć trochę swoich duków na dziedzictwo narodowe?

- Nazywa pan Orlen i PZU prywatnymi firmami? - spytała niewinnie Lorentz.

- Oj tam, oj tam, nie łapmy się od razu za słówka.

Milczący do tej pory mężczyzna spojrział bez natarczywości, ale też dość wymownie na premiera, który zakończył dyskusję.

- Przepraszam państwa, ale w innym terminie będziemy musieli rozstrzygnąć w zależności od kompetencji ministerstw, w jaki sposób procedować przy odzyskiwaniu naszych utraconych skarbów. Teraz przejdziemy do skarbu numer jeden. - Premier spojrział na Lorentz, chcąc zobaczyć, jakie to wywrze na niej wrażenie.

Nawet nie mrugnęła.

- Doktor Lorentz, proszę poznać generała Marka Gagatka, szefa Agencji Wywiadu. Panie generale, doktor Zofia Lorentz kieruje zespołem do spraw retrybucji sztuki w MSZ.

Zofia z respektu dla najwyższej władzy przelknęła uwagę, że „zespół” to był za innych rządów, teraz jest to jednoosobowa komórka, i lekko skinęła głową generałowi. Nie wyglądał ani na generała, ani na wojskowego, zadbany pięćdziesięciolatek rozciągał aurę prywatnej firmy, siłowni, squasha i samochodu za pół miliona.

- Pani Zosiu - zaczął z miłym uśmiechem generał Gagatek.

- Doktor Lorentz - poprawiła.

- Doktor Lorentz - kontynuował generał już bez uśmiechu. - Jakie jest pani zdaniem najważniejsze utracone przez nas dzieło sztuki?

Wzruszyła ramionami.

- W Polsce zawsze mieliśmy tak naprawdę tylko dwa obrazy. Patrząc z perspektywy sztuki światowej oczywiście, nie mówię tutaj o wartości sentymentalnej z narodowego punktu wi-[dzenia, ten cały szcęk oreża i dyszące konie. Te dwa obrazy znajdowały się zawsze obok siebie w Krakowie. Dama z gronostajem Leonarda da Vinci cały czas tam wisi, a po Portrecie Młodzieńca Rafaela zostały puste ramy. To nie tylko najważniejsze dzieło sztuki ukradzione Polsce w czasie wojny. To w ogóle najważniejszy i najbardziej drogocenny spośród zaginionych i poszukiwanych kiedykolwiek obrazów. Nie bałabym się go nazwać męską wersją Mony Lisy.

- Ile jest wart? - Minister kultury udowodnił, że poza resortem obrony odnalazłby się też w Ministerstwie Finansów.

- Jest bezcenny i niesprzedawalny poza czarnym rynkiem, ale sądząc po innych transakcjach, można szacować, że od stu milionów dolarów w górę. A teraz chciałabym wiedzieć, dlaczego wezwali mnie panowie do tej szklanej trumny.

Gagatek bez słowa podał jej teczkę na dokumenty. Otworzyła, w środku było kilkanaście zdjęć formatu A4. Przejrzała je i rozłożyła na stole. Wszystkie przedstawiały

doskonale znany jej z reprodukcji obraz. Młody mężczyzna o delikatnych, kobiecych rysach zerkał na widza w ten sam sposób, w jaki ze ścian Luwru patrzy Mona Lisa. Głowa obrócona na trzy czwarte, czarne źrenice utkwione w widzu, lekki uśmiezek błakający się na ustach. Dzień musiał być chłodny, chłopak narzucił na białą koszulę brązowe futro, niesforne ciemne loki, które luźno opadały aż do obojczyków, nakrył czapką.

Zofia Lorentz patrzyła w czarne oczy renesansowego młodzieńca, którego sportretował Rafael, i walczyła z emocjami. Znała wszystkie przedwojenne zdjęcia tego obrazu. W tym nieliczne kolorowe. Znała wszystkie detale, od delikatnego rysunku paznokci po wieże miasteczka, które hen daleko za oknem przycupnęło pod łagodnymi wzgórzami. Znała ten zadziorny uśmiezek, który zdawał się mówić: „Nigdy mnie nie znajdziecie” i który - choć nikomu nigdy się do tego nie przyznała - był wyzwaniem, dla którego poświęciła wszystkie inne możliwości kariery. Mogła zostać rzeczoznawcą w zachodnim domu aukcyjnym, mogła pracować jako marszand, mogła doradzać bogatym tego świata przy zakupach i inwestycjach, mogła grać teraz tyłek na swoim jachcie zacumowanym koło Genui, zamiast martwić się, czy to ostatni przed kwietniem słoneczny dzień. Mogła, ale zawsze kiedy opadały ją wątpliwości, patrzyła na ten zadziorny uśmiezek, który wypełniał ekran jej komputera, i myślała: znajdę cię, skurczybyku.

Jedyny znany przypadek w życiu doktor Lorentz, kiedy pozwalala sobie na użycie słowa tak ordynarnego.

Miała wiele powodów, żeby odnaleźć „skurczybyka”. Więcej, niżby sobie życzyła.

To, na co teraz patrzyła, to bez wątpienia były współczesne zdjęcia. Po pierwsze, znała wszystkie archiwalne. Po drugie, mimo że zdjęcia były trochę rozmazane, zrobione jakby spod kurtki, to ich jakość nie pozostawiała wątpiwości, że zostały zrobione niedawno. Po trzecie, na jedynym zdjęciu przedstawiającym plan ogólny Młodzieniec wisiał na ścianie tuż obok dużego telewizora LCD.

- Jakieś pytania? - Premier nie mógł chyba znieść jej milczenia, wszyscy oczekiwali widać babskiej, emocjonalnej reakcji z okrzykami i omdleniem.

- Dwa. Sprawdziliście?

- W dwóch laboratoriach kryminalistycznych, niezależnie - potwierdził Gagatek. - Eksperci byli zgodni, że są to zdjęcia tego samego obrazu, który sfotografowano przed wojną. Nie ma żadnej szansy, żeby to była kopia. To ten sam obraz.

Lorentz zabębniła paznokciami o blat. Tandeta z płyty meblowej.

- A drugie? - Premier znowu nie wytrzymał.

- Co za... nędzna kreatura powiesiła Rafaela obok telewizora? Premier westchnął i



odchylił się na fotelu. Reszta patrzyła na niego z oczekiwaniem.

- I tutaj dochodzimy do sedna naszego spotkania. Otóż udało się nam, nam, czyli Rzeczypospolitej, wejść w posiadanie informacji, że obraz nie został zniszczony w czasie wojny i że znajduje się w rękach prywatnych. Udało nam się, jak pani widzi, potwierdzić istnienie obrazu. Innymi słowy, wiemy, że jest, i wiemy, gdzie się znajduje. I wiemy na sto procent, że nie ma żadnej szansy, żebyśmy go odzyskali w sposób legalny. I że jeśli wykonamy najmniejszy ruch w tym kierunku, Rafael zniknie tym razem na dobre, jeszcze zanim faks z naszym pismem skończy się przeciskać przez kabel telefoniczny.

- No dobrze. Ale kto go ma? Gdzie go trzyma? Premier nachylił się w jej stronę.

- Szanowna pani doktor. Proszę mnie posłuchać bardzo uważnie, ponieważ złożę pani propozycję nie do odrzucenia. Może pani straszyć mnie tymi węglami, ale wiem, jaką tapetę ma pani na swoim komputerze. Znam historię pani rodziny. I wiem, dlaczego ze swoimi umiejętnościami siedzi pani w tej klitce przecznice dalej. A pani na pewno wie, co by dla nas oznaczało przed wyborami sfotografowanie się w Muzeum Czartoryskich w Krakowie razem z odzyskanym skarbem. No i jest oczywiście interes narodowy bliski naszemu sercu, uśmiechnięte polskie dzieci na wycieczce w muzeum i tak dalej.

Zofia uniosła jedną brew. Ciekawe.

- Jak mówiłem, nie ma możliwości, żebyśmy odzyskali go legalnie. Ale państwo polskie chętnie pomoże pani na tyle, na ile potrafi, żeby odzyskać go, no, tak po prostu.

- Nielegalnie?

- Powiedzmy.

- Mam zostać złodziejką?

- Po co od razu takie słowa. Też czasami musimy coś odzyskać lub uzyskać, no, tak po prostu, sięgnąć w słusznej sprawie do kieszeni podatnika. I nikt nie nazywa nas złodziejami.

Zofia wytrzymała spojrzenie premiera z kamienną twarzą, myśląc, że powstrzymanie się od wybuchu śmiechu w tej chwili jest największym wyzwaniem w jej karierze zawodowej.

- Zostanie pani honorową odzyskiwaczką, odzyskiwacielką... - Premier spojrzał na ministra kultury. - Jak się właściwie mówi?

- Nie mam pojęcia.

- W każdym razie odzyska pani dla ojczyzny coś, co powinno być w ojczyźnie. Uwolni pani ostatniego więźnia drugiej wojny światowej i sprowadzi do domu.

Lorentz siedziała bez słowa.

- A jeśli mi się nie uda? - zapytała w końcu.

- Rafael jest dla nas ważny, pani jest dla nas arcyważna, ale racja stanu mimo wszystko najważniejsza.

- Czyli sukces będzie wszystkich, a porażka moja. Premier skrzywił się.

- Można to tak ująć, jeśli lubi pani nieeleganckie uproszczenia.

Siedziała nieruchomo, trąc nerwowo stopą o stopę i próbując odepchnąć natrętą myśl, że bez wysokich obcasów jej łydki zawsze wyglądają grubo. Na szczęście na białej przestrzeni wokół antypodsluchowej kostki nie było nikogo, kto mógłby to zauważyć.

- Gdzie to jest?

- Tak czy nie? Muszę usłyszeć jasną odpowiedź.

Zwlekała chwilę po to, żeby się nacieszyć wyrazem twarzy wszystkich mężczyzn, którzy zawiesili spojrzenie na jej ustach. Było to na swój sposób erotyczne doświadczenie. Wiedzieli, że jest jedyną osobą, która może odzyskać Rafaela. I pewnie się zastanawiali, czy teraz walczy w niej patriotka i pasjonatka sztuki z grzeczną dziewczynką, która nie działa poza prawem. Tymczasem ona nie wahała się. Miejsce grzecznych dziewczynek jest w pensjonarskich powieściach, a miejsce Rafaela jest w Krakowie, nie koło jakiegoś telewizora. Poza tym musiała mu spojrzeć w oczy. Niech wie, kto go znalazł i zabrał do domu.

- Tak. Gdzie on jest?

- U sojusznika - odparł premier. - Generał Gagatek wprowadzi panią we wszystkie szczegóły, przedstawi też zespół, z którym będzie pani pracować.

Zrozumiała, że niektóre informacje są przeznaczone tylko dla niej, nawet jej bezpośredni przełożony, o głupku od kultury nie wspominając właśnie wypadli poza krąg wtajemniczonych.

- Nad zespołem muszę się zastanowić.

- Nie musi pani - błyskawicznie odparł Gagatek. - Wszyscy są wybrani, czekaliśmy tylko na pani decyzję, żeby ich ściągnąć. Tutaj nie ma miejsca dla przypadkowych osób.

Musiał dojrzeć niebezpieczne drgnienie jej mimiki, bo zanim zdążyła wytoczyć ripostę, dodał:

- I od tej pory wszelkie ostateczne decyzje należą do pani. Rozumiemy, że stuprocentowa odpowiedzialność musi oznaczać stuprocentową wolność. Zaczęliśmy działać, bo nie mamy czasu na wielomiesięczne przygotowania, wystarczy cię echa przecieku, żeby obraz zniknął, jesteśmy o tym przekonani.

Przez chwilę mierzyła się wzrokiem z Gagatkiem, potem przeniosła spojrzenie na premiera. Prezes Urzędu Rady Ministrów źle znosił przestoje, wystarczała sekunda ciszy i zaczynał się wiercić i bębnić palcami o stół.

Tymczasem ona potrzebowała kilku sekund.

Kilku sekund, żeby zamknąć oczy i przypomnieć sobie scenę z dzieciństwa. Lubiła myśleć, że to jej pierwsze wspomnienie, ale różnie to bywa ze wspomnieniami. Nigdy nie wiemy, czy naprawdę coś pamiętamy, czy tyle razy słyszeliśmy rodzinną opowieść, że uznaliśmy ją za własną. W tej opowieści czteroletnia czarnooka dziewczynka z włosami zebranymi w dwa kucyki trzyma za rękę swojego dziadka - nie jest to dla niego proste, bo drugą ręką opiera się o laskę i trudno mu zachować równowagę - i patrzy na wiszące w muzeum puste ramy. Dziadek pyta, czy wie, dlaczego w ramach nie ma obrazu, a ona odpowiada z niezachwianą pewnością przedszkolaka: „Bo każdy może namalować, tylko trzeba mieć kredki”.

A potem przez długie lata przy rodzinnym stole do znudzenia wszyscy opowiadają anegdotę, jak to Zosia chciała kredkami namalować Rafaela.

No i proszę, spełniło się jej dziecinne marzenie, premier właśnie wciska jej kredki do ręki i mówi: „Masz, dziecko, namaluj sobie”. Pytanie, czego jej nie mówi? Dymisja? Więzienie? Niebezpieczeństwo? Śmierć? Co jej grozi w tej awanturze?

- Stuprocentowa wolność? - zapytała bezpośrednio premiera.

- I odpowiedzialność. Zgadza się. I jeszcze błyskawiczna szybkość, chciałbym się sfotografować z Rafałkiem na Boże Narodzenie.

Do świąt zostało kilka tygodni.

- To kogo mam w zespole? - zapytała.

Gagatek wymienił trzy nazwiska, z każdym kolejnym jej czarne oczy robiły się coraz większe.

- To wygląda na jakiś ponury żart - wykrztusiła, nie potrafiąc na koniec ukryć swoich emocji.

2

Berliner Strasse kojarzyło mu się z Wrocławiem. Szeroka ulica wysadzana drzewami, po obu stronach kamienice z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku, czasami wille z ogrodami, czasami powojenne plomby, proste i funkcjonalne. Był w połowie drogi z centrum Berlina do Poczdamu i jeśli wierzyć nawigacji, od celu podróży dzieliło go już zaledwie kilkaset metrów.

Rozejrzał się, gdy stanął na światłach. Kamienica po prawej stronie, z ogromnymi loggiami w cofniętej nieco fasadzie, wyglądała identycznie jak dom jego rodziców we Wrocławiu. Do tego stopnia, że przez ułamek sekundy zastanawiał się, co takiego się wydarzyło, że w kącie loggii nie stoi czerwony pokrowiec, w którym ojciec trzymał narty.

Musiał chwilę popatrzeć na piekarnię na parterze i wielki żółty szyld „Bäckerei Konditorei Strauch”, żeby myśli wróciły na właściwe tory.

Z tyłu ktoś zatrąbił. Po niemiecku, delikatnie, brzmiało to jak: „Przepraszam pana, ale chyba szanowny pan nie zauważył zmiany świateł”, a nie jak polskie: „Rusz się, zjebie, bo do ciebie wyjdę”. Ruszył, wystawiając przez okno dłoń w geście przeprosin.

- Ładna okolica - zauważył siedzący na siedzeniu pasażera mężczyzna.

- Porządny Berlin Zachodni, żadnych lewackich kawiarni, gejowskich klubów i budek z kebabami. Emeryci w marynarkach wyprowadzający psy, te klimaty. Zehlendorf to jak Biskupin we Wrocławiu.

- Jestem z Warszawy.

- Jak Żoliborz Oficerski.

- Aha, rozumiem. Daleko jeszcze?

- Dwie przecznice.

Minął stację paliw i skrzyżowanie, za którym Berliner Strasse stało się Potsdamer Strasse. Znając Niemców, pewnie w tym miejscu wypadła wyliczona co do metra połowa odległości między dwoma miastami. Kawałek dalej odbił w głąb dzielnicy i po przejechaniu przez bajkowo obsypany śniegiem park skręcił w brukowaną Querstrasse. Pasażer skrzywił się na widok bruku i pogłaskał z czułością deskę rozdzielczą samochodu.

Nie skomentował, nawykły do tego, że jego samochód wzbudzał ogromne emocje u wszystkich poza nim samym. Jechał powoli. Pod numerem dwudziestym czwartym mieściła się przepyszna willa z gatunku tych, jakie w Polsce można znaleźć w najlepszych miejscach Sopotu, Gdańska lub Wrocławia. Trzykondygnacyjny budynek z ciemnoczerwonej cegły z pomalowanymi na biało elementami wykończenia: futrynami, półkolistymi obramowaniami okien, boniowaniem i krawędziami budynku. Oraz wykuszem przywodzącym na myśl ośmiokątne wieże w średniowiecznych zamkach. Piękna mieszczańska architektura, może minimalnie zbyt ozdobna.

Karol Boznański wyłączył silnik, wysiadł z samochodu, poprawił mankiety koszuli i zapiął górny guzik marynarki.

Był gotów do walki.

3

Profesor Dagobert Frey usłyszał gości na długo, zanim zobaczył samochód parkujący pod baśniowo białym obecnie kasztanowcem, który rósł na samej granicy jego ogrodu. Zasięgnął wcześniej języka o młodym polskim marszandzie, niektórzy wspominali też o jego dziwnym wehikule. Jak to określił kuzyn Stefen z Dortmundu, „ten pieprzony Polak jeździ

najbardziej pieprzonym samochodem sportowym świata”. Toteż kręcący się po kuchni w oczekiwaniu na gości Frey przywarł dyskretnie do firanki, gdy tylko usłyszał dudnienie silnika. Czekał na to, co nadjedzie od strony Fisherhiittenstrasse, słuchając niskiego dźwięku, który przypominał brzmienie czołgu przejeżdżającego przez wytłumiony wata tunnel. Niby warkot niskich obrotów był stłumiony, niby elegancko schowany, ale jednocześnie na tyle wyrazisty, że drżały kryształowe kieliszki.

W końcu auto wyłoniło się zza sąsiedniej willi i zaparkowało przed furtką Dagoberta Freya. Gospodarz zmarszczył brwi, ponieważ spodziewał się albo jakiegoś monstrum wielkości kamienicy, albo sportowego bolidu, ledwo wystającego ponad poziom krawężnika. Tymczasem samochód wyglądał jak japońskie kombi, i to raczej takie z poprzedniej generacji, tyle że miał wielką, długą maskę, spod której wydobywał się głuchy metaliczny gulgot, trochę jakby obrażony, że nie pozwala mu się zaryczeć. Lśniący srebrny lakier sprawiał, że na tle zaśnieżonego Berlina pojazd wyglądał jak żart z Kazimierza Malewicza - zamiast białego na białym srebrne na srebrnym.

Od strony kierowcy wysiadł wysoki mężczyzna, z daleka mógł zobaczyć jedynie czarną czuprynę i grafitowy garnitur. Od strony pasażera - korpulentny facet z zakolami i w czarnej marynarce.

Profesor wygładził siwe włosy, poprawił kaszmirowy fular i zapiał górny guzik marynarki. Był gotów do walki.

4

Nie zdążył zadzwonić, Frey pierwszy otworzył drzwi. Przywitał się wylewnie z antykwariuszem słowami, które ćwiczył poprzedniego dnia w hotelu. Niemczyzna Karola była właściwie idealna, ale zależało mu na tym, żeby przy powitaniu nie tyle nie popełnić błędu, co wystarać się o dobry hochdeutschowy akcent, żeby jego mowa nie śmierdziała emigrantem, lecz pachniała szacunkiem dla niemieckiej cywilizacji. Jeszcze w drzwiach przedstawił swojego towarzysza, Jerzego Majewskiego z zarządu PKN Orlen.

Frey zaprosił ich do środka. Przyzwyczajone do domów kolekcjonerów oczy Karola rejestrowały wszystkie charakterystyczne szczegóły. Dwie kamery na zewnątrz budynku, antywłamaniowe drzwi, czujki ruchu w przedpokoju i mała kamera w kącie, centrala alarmu. Ciekaw był, co wisiało w korytarzu, zazwyczaj właśnie korytarz w domach miłośników sztuki jest wizytówką gospodarza. Jest informacją: nie trzymam tu żadnych skarbów, ale to jest mój gust i brama do mojego królestwa, rozszyfruj to prawidłowo.

Nikt z branży nie wiedział, że w warszawskim mieszkaniu Karola stał regał ze sklejki pełen książek sensacyjnych i wisiało kilka amatorskich zdjęć z jedynych wakacji, jakie

spędził z kobietą, która wydawała mu się wtedy bardzo ważna. Dlatego nigdy nie zapraszał nikogo do siebie, co oczywiście obrosło w całej Europie legendą. Zdarzyło mu się raz, że ktoś, nie zdając sobie sprawy, z kim rozmawia, zwierzał mu się, że podobno w Warszawie jest jeden młody marszand, który ma japońskie miniatury z takimi świństwami, że nawet w internecie takich nie ma. Cóż, z drugiej strony dobra legenda to dobry interes.

W korytarzu Dagoberta Freya skrzywił się trochę. Albo profesor ma kiepski gust, albo złożył swój gust w ofierze klientom, wieszając zajawkę najbardziej chodliwego towaru. Takie obrazy Karol nazywał „hitlerami”, ponieważ doskonale wpasowywały się w mieszczański gust Fuhrera. Realistyczne, naturalistyczne wręcz malarstwo dziewiętnastego i początku dwudziestego wieku, pejzaże albo golizna, bez tematyki religijnej. Dobrze wygląda w salonach willi takich jak ta, kiedy wieczorami w świecącym werniksie blikuje ogień z kominka. Dla zawodowca korytarz był rodzajem testu, dlatego stanął przy jedynej wartej tu uwagi rzeczy: grafice Caspara Davida Friedricha, którego co prawda Adolf cenił, ale raczej nie zwróciłby uwagi na taką wyblakłą grafikę. Samotny wędrowiec z teleskopem siedział na wydmie i wpatrywał się w morze, za sobą miał białe klify. Bardzo romantyczne, jak to Friedrich, ale tak delikatne, że wszystko wydawało się ledwo rysować we mgle, wyjątkowo poetyckie jak na tego świetnego, ale poza tym dosłownego malarza. Z tego co pamiętał, grafika poszła rok wcześniej w Christies za ponad trzysta tysięcy funtów. Spodziewał się, że pojechała do Niemiec, ale nie spodziewał się zobaczyć jej tutaj.

- Gratuluję, doskonały nabytek - powiedział. - Zostaje w kolekcji? Niemiec uśmiechnął się delikatnie.

- Chciałbym, ale obawiam się, że mnie nie stać. Nacieszę się trochę i poszukam dobrego kupca. Los marszanda, prawda?

Karol potwierdził, zamieniając się w branzowe zrozumienie. Frey, podobnie jak reszta świata, nie musiał wiedzieć, że słynny marszand Karol Boznański nie ma w domu ani jednego obrazu. No, prawie. W gabinecie wisiał portret tej samej kobiety, która w przedpokoju uśmiechała się z plażowego koca. Fangor, naprawdę świetny.

Przeszli do mieszczańskiego salonu na obowiązkową pogawędkę przy kawie. Rytualne narzekania na fatalny gust klientów, podatki i opłaty aukcyjne, spekulantów manipulujących cenami na rynku, lewe aukcje i medialne mody, które psują długofalowe strategie. Innymi słowy, udawali, że nie są chciwymi cinkciarzami i paserami, którymi w istocie byli. Karol wypowiadał swoją gładką niemczyzną oczywiste zdania, oceniając jednocześnie gospodarza. Śmieszne, że za każdym razem, gdy szedł na spotkanie z niemieckim kolekcjonerem, spodziewał się zobaczyć kogoś w stylu młodzieżowych filmów z

lat swojego dzieciństwa. Brązowa koszula zapięta pod szyję, cienki pulower w serek, zaczesane na bok szpakowate włosy i okulary w drucianych oprawkach. Dagobert Frey musiał mieć pod siedemdziesiątkę, a bardzo mu było daleko do tego wizerunku. Eleganckie czarne sztyblety, grube spodnie z szarego sztruksu, bawełniana koszula w kolorze spranego dżinsu i kaszmirowy fular w ciemnej tonacji. Do tego półdługie włosy zebrane w kucyk i okulary w czerwonych oprawkach. Przedziwne, ale Freyowi jak na handlarza sztuką udało się wyrzeć nawet sympatyczne wrażenie.

- Piękne ma pan nazwisko, panie Karolu. - Niemiec mrugnął do niego, po czym dolał wszystkim kawy.

Jerzy Majewski pojechał do Berlina tylko dlatego, że mówił po niemiecku. Kiedyś nadzorował nawet ekspansję Orlenu na tereny byłej NRD, niestety średnio udaną. O sztuce nie miał jednak pojęcia i teraz postanowił włączyć się do rozmowy, z której w końcu coś zrozumiał.

- Nawet się zastanawiałem - powiedział menedżer - czy może to pańska prababcia lub praciotka. To by tłumaczyło pańskie zainteresowania.

- Byłoby to urocze, aczkolwiek mało prawdopodobne - odpowiedział za niego Frey, strząsając z rąk okruszki po cieście. - Ponieważ pani Boznańska umarła w sędziwym wieku jako stara panna. Wcześniej, niestety dla niej i szczęśliwie dla historii sztuki, poświęciła się tak bardzo malarstwu, że nie zauważyła, kiedy minął czas na zamążpójście. Natomiast jej jedyna siostra, potencjalna praciotka pana Karola, była bezdzielną wariatką i alkoholiczką, która popełniła samobójstwo.

Wiceprezes Majewski ze zrozumieniem pokiwał głową, usiłując się schować za swoją porcelanową filiżanką.

- Chodźmy na górę i porozmawiajmy o interesach - zaproponował Frey.

Schowane za pancernymi drzwiami z szyfrowym zamkiem pomieszczenie na górze miało sprawiać wrażenie magicznej świątyni sztuki, choć nie było tu nic lepszego ani bardziej wartościowego od Friedricha z korytarza, na dodatek wymieszane dla efektu z kopiami wielkich mistrzów. Ponadto obite pluszem ściany, dyskretnie poukrywane kamery, nastrojowe światło i atmosfera, która obiecywała, że zostawiając tutaj swój czek, biedny nowobogacki jeleni będzie mógł zabrać ze sobą kawałek elitarnego świata. Razem z jednym z „hitlerów”, które bogato okupowały - excusez le mot - tutejsze ściany. Karol dokonał lustracji wnętrza i nagle zrozumiał, że właśnie wygrał zaczynające się negocjacje.

- Mógł pan sobie darować - prawie warknął, wskazując na ścianę nad kominkiem.

Frey w widoczny sposób drgnął, nie spodziewając się tak gwałtownej zmiany tonu.

- Rzeczywiście, bardzo przepraszam, nie pomyślałem. Proszę wybaczyć, uwielbiam Tycjana i jego uczniów, po prostu powiesiłem kopię obrazu, który bardzo mi się podoba.

- Chyba nie rozumiem - wtrącił Majewski.

- Ten obraz to Wenus i Amor, kopia Bordonea, oryginał wisi w Muzeum Narodowym w Warszawie - powiedział Karol, patrząc na płótno o rozmiarach około metr na półtora, na którym Amor o złośliwej twarzy idzie ze strzałami w stronę rozwalonej na kocu Wenus z apetycznie wielkim tyłkiem. Cóż, Bordone miał zdecydowanie bardziej konkretny gust od Botticellego.

- Aha, ale to chyba nie jest nielegalne mieć kopię jakiegoś obrazu. Sam mam Nenufary Maneta i bardzo je sobie cenię.

- Oczywiście, że nie jest to nielegalne - odparł tym razem Frey, litościwie nie poprawiając błędu. - Zaszła pewna niezręczność, za którą jeszcze raz przepraszam. Spowodowana tym, że zanim obraz został przekazany Polsce przez Amerykanów, przez wiele lat jego właścicielem, który zresztą bardzo wyeksponował go w swojej rezydencji...

- Nad kominkiem, dokładnie jak pan, profesorze - wtrącił złośliwie Karol.

-...był pewien dżentelmen, który w wyjątkowo czarnych barwach zapisał się w historii świata.

- Chryste Panie! - krzyknął po polsku Karol, parskając śmiechem. - Tylko Niemiec może w ten sposób zdefiniować Hitlera. Pewien dżentelmen.

Majewski pokręcił głową z niedowierzaniem, a Frey przestał być czarującym przedstawicielem niemieckiej bohemy. Z zaciśniętymi ustami odwrócił się i poprowadził ich w głąb pomieszczenia, gdzie znajdował się obraz, po który przyjechali.

Za plecami Freya wiceprezes Majewski dawał Boznańskiemu znaki, sugerując, żeby się opanował, bo nie chciałby śmiertelnie obrazić Niemca i wracać do Warszawy z pustymi rękami. Karol w odpowiedzi wykonał uspokajający gest dłonią.

- Proszę, po to panowie przyjechali. - Niemiec wskazał ręką prostą sztalugę, na której ustawiony był obraz, oświetlony punktowym reflektorem.

Olejny portret miał mniej więcej wielkość kartki A4 i nawet jeśli nie był piękny, to na pewno bardzo ładny. Przedstawiał popiersie kobiety z oszłamiająco bujnymi czarnymi lokami, patrzącej zalotnie na widza, jakby chciała powiedzieć, że wystarczy lekki przeciąg lub delikatny ruch ręki, aby opadł kawałek tiulu, ledwo skrywający jej biust i służący jej za jedyne okrycie. I że ona naprawdę nie ma nic przeciwko temu, żeby ktoś ten ruch wykonał. Studium do tego obrazu, olej na kartonie, poszło kilka lat temu w Agrze za prawie pięćdziesiąt tysięcy złotych. A przy tym oleju wyglądało jak wprawka. Dziewczyna ze



studium przypominała znudzoną dziwkę, ta była ucieleśnieniem uwodzenia, malarz dodatkowo schował jej oczy w cieniu, żeby pogłębić tajemnicę. Fajna rzecz, wielu mężczyzn chciałoby, aby ta kudłata piękność wodziła za nimi oczami ze ściany gabinetu.

- Przy okazji proszę przyjąć moje wyrazy uznania - zwrócił się Frey do Majewskiego.  
- Wielkie korporacje znane są raczej z tego, żeby chomikować każdego feniga, to znaczy eurocenta, inwestować, wypłacać dywidendy, przelewać na konta w rajach podatkowych. Fakt, że państwo chcą kupić ten wspaniały portret i podarować go muzeum, jest godny pochwały.

Majewski uklonił się delikatnie.

- Jakkolwiek jest to trochę upokarzające, że musimy od niemieckiego antykwariusza odkupować dzieło, które w czasie wojny skradziono z polskiego muzeum - powiedział lekkim tonem Boznański, opadając na kanapę. - Nie jestem pewien, panie prezesie, jak dobrze zna pan losy tego obrazu. Wisiał w Zachęcie, skąd na początku okupacji trafił, podobnie jak wiele innych polskich dzieł sztuki, do Muzeum Narodowego w Warszawie. Biedacy myśleli, że tam zbiory będą bezpieczne. Oczywiście szybko wydłubano z muzeum co lepsze kąski, resztę, jak ten portret, stopniowo rozgrabiono. Najgorzej było w czasie powstania. Niemcy - specjalnie podkreślił to słowo, wiedząc, że poprawność polityczna sąsiadów nie pozwala mówić inaczej jak „naziści” o uczestnikach tamtej wojny - dostali małego rozumu, wpadali do muzeum jak do darmowego sklepu z pamiątkami. Ta piękność ma zdecydowanie semickie rysy, ale widocznie na tamtym etapie nikomu to już nie przeszkadzało. Profesor Dagobert Frey stał nieruchomo przy portrecie.

- Tak, wojna była straszna dla sztuki - powiedział, nie zwracając uwagi na zaczepny ton Karola. - Naziści kradli od podbitych narodów, alianci od pokonanych Niemców, Rosjanie od wszystkich, do tego szaber na niespotykaną skalę, a w tym wszystkim francuscy marszandzi, którzy postanowili sprzedać, co tylko się da, korzystając z europejskiego zamieszania. Dziwny czas, dobrze, że mamy to już za sobą. Dobrze, że nie wszystko zostało zniszczone, że wypływają obrazy, które mogą wrócić do prawowitych właścicieli.

- Jeśli tylko ci właściciele zapłacą pięćdziesiąt tysięcy euro.

- Marszandowi, który go nie ukradł ani nie odziedziczył, tylko legalnie kupił na aukcji.

- Korzystając z tego, że polski rząd nie zdążył zgłosić roszczeń, gdyż obraz został wystawiony na aukcji na jakimś wygwizdowie, a wcześniej bardzo pieczołowicie wytarto z niego pieczęcie muzealne oraz sygnaturę malarza.

- Jestem marszandem, nie rzeczoznawcą. Kupiłem ten obraz jako portret młodej

kobiety nieznanego malarza, zapewne dziewiętnastowiecznego. I zaznaczam, że mógłbym go sprzedać komukolwiek, tymczasem zgodziłem się, aby pierwszeństwo miała transakcja, która umożliwi powrót obrazu do muzeum.

- A przy okazji zarobi pan na tym trzydzieści pięć tysięcy euro.

- Cóż, nigdy nie mówiłem, że zrobię to charytatywnie. Poza tym dobrze pan wie, że gdybym wystawił go na aukcji w Polsce, prawdopodobnie dostałbym znacznie więcej, a portret wylądowałby w prywatnej kolekcji. Mam przygotować dokumenty czy mają panowie jakieś pytania?

- Jedno. - Boznański rozsiadł się jeszcze wygodniej, założył ręce na piersiach, na nadgarstku błysnął stalowo zegarek Audemars Piguet z serii Royal Oak Offshore, który Frey rozpoznał i mimo gęstniejącej atmosfery Karol dojrzał uznanie w oczach marszanda. - Co pański ojciec robił w czasie wojny?

- Miał to szczęście, że nie wysłali go na front. Służył w kompanii rezerwowej Wehrmachtu pod Hanowerem. W kuchni.

- Jak wszyscy - skomentował Boznański.

- To była wyjątkowo duża kuchnia w wyjątkowo licznej kompanii.

- Tak, tyle lat jeżdżę po Niemczech i nigdy nie spotkałem żadnych krewnych esesmanów służących w Warszawie, które najpierw wyrznęły w kilka tygodni dwieście tysięcy osób, potem puściły z dymem całe miasto, a na koniec wzięły sobie Wyczółkowskiego na pamiątkę, żeby parę dekad później wnuki mogły wymazać sygnaturę i korzystając z pomocy fachowców takich jak pan, zarobić jeszcze parę groszy na wakacje w Tajlandii.

Wiceprezes Majewski stał blady i nieruchomy, teraz był już pewien, że jedyne, co przywiezie z tej podróży, to rozliczenie delegacji.

Profesor Dagobert Frey podszedł do stojącego przy oknie biurka i wyjął z szuflady plik papierów.

- Kilka rubryk, na przykład cenę, zostawiłem pustych. Myślałem, że będziemy negocjowali. Chciałbym poinformować, że o ile nie chcą panowie wyjść z niczym, cena wzrosła do siedemdziesięciu pięciu tysięcy euro.

Majewski westchnął, kiedy Frey rzucił dokumenty na stojący przed kanapą ozdobny stolik.

- Myli się pan. - Boznańskiemu nie drgnął ani jeden mięsień, wyglądał na znudzonego. - Cena spadła do symbolicznego jednego euro. Proszę przygotować obraz do przewozu i dołączyć fakturę, wiceprezes Majewski dopilnuje, żeby PKN Orlen jak

najszybciej uiścił należność.

Frey parsknął śmiechem.

- Oszalał pan.

- Bynajmniej. Proszę mnie posłuchać uważnie. Fakt handlowania skradzioną przez Niemców polską sztuką plus kopia Bordonea z Berghofu nad kominkiem plus te wszystkie obrazy, które wyglądają jak żywcem przeniesione z nazistowskiego Grosse Deutsche Kunstausstellung, to wszystko wystarczy, żebym zaprzągnął europejskie media, żeby zrobiły z pana pasera ss. Co oczywiście ma pan gdzieś, wszyscy w tej branży jesteśmy mniej lub bardziej paserami ss. Ale nie wiem, czy pan zdaje sobie sprawę, na co właśnie rzucił umowę.

Zdezorientowany Frey przyjrzał się ozdobnemu, inkrustowanemu stolikowi.

- Nie znam jego proveniencji, kupiłem okazyjnie kilka lat temu w antykwariacie - powiedział ostrożnie; nie był pewny, do czego zmierza Polak.

Karol, doceniając dramatyczne znaczenie pauzy, poprawił starannie mankiety, tak żeby wystawały z rękawów marynarki idealnie na tę samą długość.

- Puszkina napisał, że rosyjską ojczyzną jest Carskie Sioło. Słyszał pan? Zresztą nawet jeśli pan nie słyszał, to na pewno pan wie, że Rosjanie mają świra na punkcie Carskiego Sioła. To ich narodowa świętość, świętsza niż Kreml, świętsza niż Mauzoleum Lenina nawet. Odtworzyli Bursztynową Komnatę, ciągle odbudowują pałace, sale, eksponaty, oczywiście odnalezienie dzieł sztuki świśniętych z Carskiego Sioła przez tych pana przodków, którzy na chwilę wyszli z kuchni pod Hanowerem, to dla ich urzędników od sztuki priorytet numer jeden.

Spojrzenie Freya mówiło, że jednocześnie i jest, i nie jest ciekaw dalszego ciągu tej historii.

- Ten stoliczek w stylu Ludwika xvi to oryginał z końca osiemnastego wieku, zrobiony w Rosji na podstawie rysunków samego Charlesa Camerona, nadwornego architekta carycy Katarzyny u i jednego z głównych projektantów pałaców w Carskim Siole. Do 1941 roku stał w Pałacu Jekaterynińskim, w Pokoju Błękitnym, o ile mnie pamięć nie myli.

- Tak dobrze zna pan Rosję? - spytał zdumiony Majewski.

- Nie, tak dobrze znam wydany przez rosyjskie Ministerstwo Kultury katalog ich najważniejszych strat wojennych. Ciekawostką już spoza katalogu jest fakt, że największym fanem Camerona i jego dokonań.

W Petersburgu jest dziś Siergiej Ławrow, obecny minister spraw zagranicznych Federacji Rosyjskiej. Majewski i Frey patrzyli w milczeniu na Karola, czekając na puentę.

- Który dokładnie pojutrze przybywa do Berlina, żeby jeszcze bardziej zacieśnić

stosunki między waszymi krajami, czyli pewnie obiecać najwyższym politykom intratne emeryturki w spółkach gazowych. I teraz pojawia się pan, profesorze. Który może zarobić jedno euro na Wyczółkowskim, ale jednocześnie zapewnić sobie dożgonną wdzięczność federalnych władz poprzez umożliwienie im obdarowania Ławrowa. Albo może pan zarobić na Wyczółkowskim siedemdziesiąt pięć tysięcy, dla nas to w sumie żaden wydatek, ale za to kiedy Sierioża tu wyląduje, we wszystkich gazetach przeczyta o berlińskim paserze, który kilka kilometrów od Reichstagu więzi na złość Rosji skradzione przez nazistów zabytki, na dodatek jego ukochanego Camerona ze świętego Carskiego Sioła.

Profesor Dagobert Frey miał już nogi zabetonowane w beczce i opadał na dno rzeki, ale mimo to próbował machać rękami.

- Niech się pan nie zachowuje jak amator. Taki numer i straci pan całą wiarygodność w branży.

Boznański roześmiał się szczerze.

- Niech pan się nie zachowuje jak amator. Dopóki będę miał dobry towar, żaden numer mi nie zaszkodzi.

5

Auto, które profesor Dagobert Frey - obecnie bogatszy o jedno euro - wziął za starego japończyka, mknęło autostradą numer 12 w kierunku granicy z Polską. Z przodu siedzieli Karol Boznański i niesłychanie zadowolony wiceprezes PKN Orlen Jerzy Majewski, z tyłu, w przypiętej pasami do tylnej kanapy specjalnej skrzynce, zabezpieczona folią bąbelkową i styropianem, podróżowała wyzywająca piękność o bujnych lokach i semickich rysach. Zapewne żałując, że nie może powyglądać przez okno i zobaczyć, jak bardzo zmienił się świat od 1884 roku.

Karol zsunął z ręki zegarek i podał Majewskiemu.

- Może pan to wrzucić do schowka? - spytał, rozcierając nadgarstek, nie cierpiał chodzić w zegarku.

- To prawdziwy audemars?

- Tak, sztuka to nie polityka, gdzie można paradować w pożyczonych. Styl ma znaczenie.

Majewski otworzył schowek, z którego wysypały się jakieś płyty, śrubokręty i opakowania miętówek. Pogrzebał trochę.

- Nie ma pudełka - powiedział.

- Wiem, że nie ma, niech pan go gdzieś tam upchnie.

- Ale... ale to jest prawdziwy audemars.

Karol zerknął wymownie na Majewskiego, tak że ten bez dalszej zwłoki włożył zegarek do schowka, robiąc przy tym jednak takie miny, jakby musiał wsadzić jajko Faberge do gnojówki.

Minęli tabliczkę informującą, że wjeżdżają na terytorium Rzeczypospolitej. Pobyt w ojczyźnie zaczęli od wykroczenia. Strzałka prędkościomierza stała twardo na stu osiemdziesięciu, choć od mostu nad Odrą nie powinni na autostradzie przekroczyć stu trzydziestu kilometrów na godzinę.

- Ma pan ochotę na mały obiad? - zapytał Karol. - Znam fajne miejsce za Torzysiem.

- Co za pytanie. Zgadza się w ciemno na każde miejsce, jakie pan uważa za godne polecenia. Zabrzmiało to dziwnie, ale nigdy nie spotkałem jeszcze człowieka takiej, jak by to powiedzieć, klasy. Naprawdę.

Karol kiwnął głową w podziękowaniu.

- Jaka to kuchnia?

- Międzynarodowa.

Trzy kwadransy później siedzieli zakutani w płaszcze, czapki i szaliki na pniu drzewa na polanie nad Jeziorem Łagowskim, częściowo pokrytym lodem, a srebrne auto stało w leśnej przecince na tle ośnieżonych choinek i wyglądało w tej scenerii jak z folderu reklamowego.

- Kawy? - spytał Karol, wyciągając termos w stronę rumianego od mrozu wiceprezesa.

- Jasne. Kurczak jeszcze jest?

- Moment, sprawdzę. - Zajrzał do plastikowego kosza piknikowego, ale folia aluminiowa, w której trzymał kawałki pieczonego kurczaka, była pusta. - Nie ma, mogą być kabanosy albo jajko na twardo.

- O, to poproszę kabanosa i jeszcze pomidora. Gdzie pan kupił takie doskonałe pomidory? Smakują, jakby im do środka koncentratu wstrzyknęli.

- Wyhodowałem, mam gospodarstwo pod Mszczonowem. Hektar sadu owocowego, jedna szklarnia. Niewiele, ale na własne potrzeby wystarczy, żebym nie musiał jeść tego, co w sklepach na wyrost nazywają żywnością. Jak mnie nie ma, to wujostwo urzędują.

Karol posypał pieprzem jajko na twardo (od własnych szczęśliwych kurek zresztą) i zatopił w nim zęby. Udawał, że nie zauważa spojrzenia wiceprezesa, który wpatrywał się w niego z otwartymi ustami i który na tej łące, w garniturze, lakierkach na miarę i nieprzyzwoicie drogim kaszmirowym płaszczu, z kawałkiem ugryzionego pomidora w jednej ręce i wyginającym się na wietrze jak trzcina pędem kabanosa w drugiej, wyglądał dość komicznie.

Na drugim planie rozciągało się jezioro, wąskie i długie, a także las ze wznoszącą się ponad drzewami czerwoną wieżą zamku Joannitów. Karol zapatrzył się w zaśniewony krajobraz, skąpany w ostatnich promieniach słońca, i pomyślał, że prawie w ogóle nie zna ziemi lubuskiej, podobno wyjątkowo pięknej. Człowiek miota się po całym świecie, myśli, że poznaje nowe miejsca, a tak naprawdę budzi się czasami i nie ma pojęcia, gdzie jest, wszystkie luksusowe hotele podobne do siebie jak dwie krople wody, tak samo śmierdzące klimatyzacją. Czy to Dubaj, czy to Vancouver, czy Honolulu. A dwa województwa dalej, Proszę, takie wyjątkowe miejsca. Matka zapytała go ostatnio, czy on czegoś naprawdę szuka, czy po prostu ucieka przed wszystkim jak wariat. I czy w przeciwieństwie do niej zna dowód na istnienie reinkarnacji i dlatego postanowił przebimbać sobie jedno życie, a dopiero w kolejnym wziąć się do roboty.

Otrzeptał ręce z okruszyn i wstał. Trzeba jechać.

Oświetlone gasnącym słońcem zachodu auto zdawało się świecić wewnętrznym blaskiem.

- Wspaniała maszyna - skomentował Majewski. - W życiu bym nie przypuszczał, że akurat ta firma wyprodukowała kombi.

- Całe szczęście. Do coupé by się nawet jedna skrzynka z jabłkami nie zmieściła.

6

Major Anatol Gmitruk i kapitan Clifton Patridge siedzieli w kawiarni hotelu na Kalatówkach, nieświadomi, że powtarzają schemat sprzed prawie siedemdziesięciu lat, kiedy w tym samym miejscu spotkali się oficerowie polskiego i amerykańskiego wywiadu. Tym razem jednak nikt nikogo nie trzymał na muszce, a groźby i strzały zastąpiła serdeczna atmosfera, sączenie ostatniego przed wyjazdem piwa i uzupełnienie oficjalnej sojuszniczej uprzejmości autentyczną, o ile to między szpiegami w ogóle możliwe, przyjaźnią.

- Wszystkiego dobrego na emeryturze - powiedział Amerykanin, stukając oszronioną szklankę Anatola swoją.

Gmitruk podziękował, udając, że nie dostrzega kpiny. Nie chciało mu się prowadzić dyskusji, tłumaczyć, dlaczego jego decyzja jest nieodwołalna. On musiałby powiedzieć, że od początku chciał skończyć służbę po dwudziestu latach, że obiecał, że ostatnie wydarzenia, że życie przed nim i tak dalej. Clifton musiałby powtórzyć, że bohaterstwo, że sojusz, że bezpieczeństwo obywateli, że szkoda takiego talentu. Nie miało to większego sensu.

- Ciągle nie rozumiem, dlaczego nie chcesz się ujawnić, sko?j ro odchodzisz ze służby. Nie sądzisz, że ludzie potrzebują takich symboli? Prawdziwych bohaterów, aniołów stojących na straży ich spokojnego snu. Mógłbyś działać w jakiejś fundacji, może pójść w

politykę lub po prostu jeździć po szkołach i opowiadać dzieciom, że warto jest zachowywać się porządnie. Nie uważasz, że to wszystko miałyby większą wartość niż ta strachem podszyta skromność?

W pierwszym odruchu chciał wyrzucić z siebie, że skoro nie ma dla kogo być bohaterem w domu, to nie ma ochoty być bohaterem dla reszty świata, ale to byłoby zbyt osobiste. Po kilku tygodniach spędzonych wspólnie w górach polubił Cliftona, ale zawsze pamiętał, kim obaj byli i czym się zajmowali. I że wiedzą o sobie nawzajem więcej. I że każdy z nich ma swoje ukryte motywy.

Clifton oficjalnie nadzorował ekipę amerykańskich specjalistów, nie tylko wojskowych, którzy pomagali Polakom w śledztwie w sprawie pierwszego zamachu terrorystycznego w dziejach kraju. Tak naprawdę jednak w dupie miał Polskę, interesowały go tylko informacje istotne dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych.

Anatol oficjalnie był łącznikiem między Amerykanami i Polakami, a tak naprawdę patrzył sojusznikom bez przerwy na ręce, żeby nie zachowali jakiejś kluczowej informacji dla siebie. Podejrzenia były uzasadnione. Jankesi musieli uważać sprawę za poważną, skoro przysłali kapitana Patridgea, dowódcę sześćdziesiątej szóstej Brygady Wywiadu Wojskowego, najważniejszej amerykańskiej jednostki wywiadowczej w Europie.

- To dziwny kraj - odpowiedział w końcu Gmitruk. - Pierwszego dnia byłbym bohaterem, którego imieniem chcą nazywać ulice. Drugiego ktoś by zauważył, że to dziwny zbieg okoliczności, że akurat w momencie bezprecedensowego ataku oficer służb siedział sobie w górach tuż obok. Trzeciego byłbym bohaterem, ale teorii spiskowych, elementem tajnego porozumienia naszej władzy z Rosjanami. Czwartego, jakby chcieli mnie zaprosić do gminnej szkoły, to przez wies przemaszerałyby dwie demonstracje: za bohaterem i przeciwko zdrajcy. Nie, dzięki.

Podniósł szklankę zdrową ręką, wstał i podszedł do okna, patrząc na pustą, przyprószoną śniegiem polanę. Pomyślał, że nigdy już nie będzie miał Tatr tylko dla siebie, jak teraz. Od ataku terrorystycznego w kolejce na Kasprowy góry były zamknięte dla wszystkich, poza nieliczną grupą polskich i amerykańskich śledczych. Nawet ratownicy górscy i pracownicy parku narodowego mieli zakaz wchodzenia na teren pilnowany przez rozstawione w dolinach posterunki. Korzystał z tego, żeby chodzić na samotne, naprawdę samotne spacerunki, poza szlakami. Włóczył się po lesie, wchodził na skały, podglądał zwierzęta, które wyczuły nieobecność człowieka i z dnia na dzień poczynały sobie śmieiej.

Wiedział, że takie doświadczenie się nie powtórzy i że to dobry moment, żeby zamknąć górski etap swojego życia. Miał zamiar nauczyć się żeglować i zmienić środowisko,

trzymając się z daleka od tej kupy kamieni, gdzie cudem tylko uciekł spod kosa.

7

Tydzień później świeżo emerytowany major Wojska Polskiego Anatol Gmitruk, zamiast czekać w hali odlotów na samolot do kraju, w którym o tej porze roku jest słońce, siedział w dobrze sobie znanej salce wojskowego biurowca w Warszawie, a konkretnie w siedzibie Służby Kontrwywiadu Wojskowego, i klął w myślach na czym: świat stoi. Gdyby nie przeszedł na emeryturę, toby go tutaj nie było. A że przeszedł, to szybko przydzielono go do misji tak tajnej, że ze względów politycznych nie mógł w niej uczestniczyć aktywny oficer.

Uśmiechnął się miło do siedzącej po drugiej stronie stołu kobiety o oczach tak czarnych, jakby były wynikiem manipulacji genetycznych.

Przez całe zawodowe życie miał nad sobą męskich dowódców, a jak tylko przeszedł do cywila, dostał szefową kobietę. Z tego wniosek, że życie po drugiej stronie naprawdę rządzi się innymi prawami.

8

To niewiarygodne, pomyślała doktor Zofia Lorentz, ale ten mężczyzna wygląda jak urzędnik skarbówki, z gatunku tych pogodzonych, że już zawsze będą urzędnikami skarbówki. Tych, co na początku myślą, że to chwilowe, że odbiją się do prywatnego biznesu, a po pięciu latach racjonalizują sobie brak postępu tłumaczeniami, że będą tymi dobrymi urzędnikami po stronie obywatela i że ktoś przecież musi służyć Rzeczypospolitej. Po dziesięciu marzą już tylko o awansie w tym samym urzędzie, a po piętnastu - żeby ktoś w końcu zaproponował im łapówkę. Szczupły mężczyzna, który siedział przed nią w za dużym, źle dobranym garniturze, wyglądał właśnie na kogoś, kto zrozumiał: cóż robić, inni mają gorzej. Miał przepaszający, łagodny uśmiech, rzadkie blond włosy i duży, niezbyt szlachetny nos, charakterystyczny dla mieszkańców centralnej Polski. Nie wyróżniałby się absolutnie niczym, gdyby nie odstające małe uszy, które może nie czyniły go przystojnym, ale w jakiś zawadiacki sposób interesującym.

A może tylko ona tak myślała? Może nigdy nie zwróciłaby uwagi na mężczyznę z odstającymi uszami, gdyby Gagattek nie przekonywał jej wcześniej przez dwie godziny, że Anatol Gmitruk jest w jej zespole absolutnie niezbędnym. I że nie jest żadnym trepem z palcem na cynglu, który zamieni dyskretną operację w film sensacyjny. Po pierwsze, jest wysokiej klasy specjalistą od spraw wywiadowczych i lata spędził na zagranicznych misjach. Zna sojusznika i jego metody działania, i ta znajomość może być w decydujących chwilach nieoceniona. Po drugie, potrzebują kogoś, kto - jak to eufemistycznie ujął - potrafi władać



czymś więcej niż skoroszytem. A po trzecie, i tutaj Gagatek zrobił pauzę i nachylił się w jej stronę konspiracyjnie, a ona pomyślała, że wszyscy ci mężczyźni ze stopniami wojskowymi mają chyba nie po kolei w głowie, a po trzecie, to on jest Tajemniczym Opiekunem z Kasprowego.

W sumie zrobiło to na niej wrażenie. Od dwóch miesięcy katastrofa na Kasprowym, która pociągnęła za sobą śmierć dwóch osób i przeraziła całe społeczeństwo, będąc pierwszym z prawdziwego zdarzenia atakiem terrorystycznym w Polsce, zdobyła czołówki wszystkich gazet. A razem z nią Tajemniczy Opiekun. Mężczyzna, który pojawił się znikąd jak Batman i uratował życie wszystkich osób w wagoniku, po czym zniknął. A jedyne, czym władze uraczyły swoich obywateli, to lakoniczna informacja, że był to „pragnący zachować anonimowość oficer” jednej z instytucji państwowych, zajmujących się bezpieczeństwem obywateli Rzeczypospolitej.

Oczywiście tym bardziej stał się on bohaterem zbiorowej wyobraźni, pojawiły się nawet kubki i koszulki z białoczerwona flagą i skrótem PZAO. Jak w Ameryce.

Cała Polska rozmawiała o tych wydarzeniach, ona tak samo, podziwiając Opiekuna i wyobrażając go sobie trochę jak Brucea Willisa, który w słynnym podkoszulku siedzi okrakiem na linach kolejki, czerwonym scyzorykiem rozbraja ładunki i gwizdże pod nosem amerykańską melodię ze Szklanej pułapki: when Johny comes marching home again, hurraM hurrahl.

Cóż, Bruce, czyli Gmitruk, nie wyglądał jak urzędnik skarbowki z odstającymi uszami. Ale kiedy Gagatek jej powiedział, że Opiekun może być w jej zespole, nie pozostała obojętna na siłę mitu. I teraz chciała się z nim podzielić tymi wszystkimi myślami, po czym uznała, że nie ma sensu okazywać podziwu komuś, kto ma być jej podwładnym. Podkomendnym raczej, poprawiła się w myślach, bo jej akcja miała więcej wspólnego z operacją wojskową.

- Zaczekajmy na resztę, powinni zaraz się pojawić - zaproponowała chłodno doktor Zofia Lorentz Anatolowi Gmitrukowi, nie spuszczać z niego czarnych oczu, jak zwykle niezdradzających żadnych emocji.

Gmitruk skinął głową bez wielkiej ekscytacji, niczym urzędnik, który potwierdza, że owszem, wybraliśmy właściwy formularz do rozliczenia. Chwilę później otworzyły się drzwi. Lorentz i Gmitruk wstali.

- Panowie się poznają - powiedziała Zofia Lorentz. - Major Anatol Gmitruk ze Służby Kontrwywiadu Wojskowego i Karol Boznański, międzynarodowy marszand i znawca rynku sztuki. Proponuję, żebyśmy wszyscy od razu przeszli na ty, będzie łatwiej.

- Naprawdę? Nie będę musiał mówić do ciebie „doktor Zofio”? - Karol uśmiechnął się, ciągle zachował swój urok. - Zosieńko?

Nie zaszczyciła go odpowiedzią.

- Proszę was - „was” zabrzmiało bardzo oficjalnie - jeszcze o cierpliwość. Generał Gagateg, który bezpośrednio odpowiada za wszystko przed premierem, doprowadzi jeszcze jedną osobę i wyjaśni kilka spraw. Jeśli zgodzicie się na współpracę, resztę wieczoru spędzimy razem.

- Doprowadzi? - Boznański uniósł brwi. - Myślałem, że robisz w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a nie wewnętrznych. Doprowadza to się osadzonych na spotkanie z prokuratorem. Zosieńko.

Nie zaszczyciła go odpowiedzią.

Myślała, że spotkanie z „doprowadzoną” osobą będzie dla niej najtrudniejsze. Gagateg, świadom tych obaw, poświęcił najwięcej czasu na reklamowanie czwartego członka ich zespołu. Lisa Tolgfors była najstarsza z nich wszystkich, dobiegała pięćdziesiątki, choć nikt przy zdrowych zmysłach nie dałby jej tyle, sądząc po fotografiach w aktach.

„Prawdziwa arystokratka, mówił Gagateg. I nie chodzi tylko o styl, to księżniczka spowinowacana z Habsburgami, córka jednego z najznamienitszych szwedzkich rodów, przemysłowców z Dalekiej Północy. Oczywiście się jej wyparli, ale krew to krew. Prawdziwa dama, mówi perfektnie siedmioma językami, odebrała staranne wykształcenie, nie każdy wie, że swego czasu proponowano jej objęcie katedry na uniwersytecie w Uppsali. Nie miała wtedy nawet trzydziestu lat! Oczywiście nie przyjęła, po pierwsze nie musiała, po drugie, jak wiemy, jej pasje i zainteresowania dalece nie pasują do jakiegokolwiek uczelni. Rozumiem, że z przyczyn oczywistych nie musi być pani jej fanką, ale spójrzmy prawdzie w oczy: ktoś taki jest niezbędny. Musi pani na chwilę uznać, że cel uświęca środki”.

Cóż, doktor Zofia Lorentz faktycznie tak uznała. Choć gdyby miała sporządzić listę osób, z którymi nigdy nie chciałyby mieć nic wspólnego, to słynna Ronja znalazłaby się na drugim miejscu. Zaraz za Karolem Boznańskim.

A teraz proszę, co za niespodzianka, właśnie tych dwoje będzie jej towarzyszyć w najważniejszym przedsięwzięciu jej życia. Nieprawdopodobne.

Gagateg wprowadził Lisę Tolgfors do gabinetu. Kobieta ani przez moment nie miała wątpliwości, kto tu jest szefem. Pewnym krokiem, niczym prawniczka międzynarodowej firmy przystępująca do negocjacji, a nie osoba pozostająca na utrzymaniu polskiego podatnika, podeszła do Lorentz i podała jej rękę.

- Bardzo mi w pizdeczkę - powiedziała prawie bez akcentu i uśmiechnęła się

przyjaźnie.

Prawdziwa szwedzka arystokratka, znana jako Ronja i ciesząca się sławą najbardziej pomysłowej złodziejki dzieł sztuki w historii, spędziła ostatnie osiem miesięcy w więzieniu dla kobiet w Grudziądzu, odsiadując wyrok za kradzież obrazu Moneta z poznańskiego Muzeum Narodowego. Pewnie dlatego polszczyzna była jedynym znanym Ronji językiem, którym nie posługiwała się w sposób literacki.

9

Bała się tej wizyty. Oczywiście to był logiczny wybór. Najlepszy do działań był prywatny lokal któregoś z nich, a gdzie mieli się spotkać? Ona sama miała dwa niewielkie, zavalone książkami pokoiki na Mokotowie. Tajemniczy Opiekun mieszkał w Żyrardowie. Szwedka zostawiła swoją kawalerkę w Grudziądzu, z dwiema współlokatorkami na dodatek. A Karol - jak zwykle pierwszy w każdej konkurencji, szlag by go trafił - miał ogromne puste mieszkanie na Wiejskiej. Bardziej to była garsoniera i służbówka, bo przecież wolał swoją gospodarkę pod Mszczonowem.

Nawet tu gustownie, pomyślała, jadąc windą na czwarte piętro modernistycznej kamienicy, w której na parterze mieściła się słynna księgarnia Czytelnika, tworząc razem z kawiarnią posesję dalej jeden z nielicznych ocalałych salonów inteligenckiej Warszawy. Po wyjściu z windy pokręciła jednak z niedowierzaniem głową, widząc mosiężną tabliczkę z wygrawerowaną ozdobną czcionką napisem „Karol Z. Boznański - marszand sztuki”. Tandeciarz.

I zapukała, mając nadzieję, że wszyscy już są. Oczywiście przyszła pierwsza.

Uśmiechnęła się beztrudnie na widok gospodarza i weszła do środka spięta tak, że bolał ją każdy mięsień. Pamiętała, jak przeszła po raz ostatni tym korytarzem, w którym nie było nic oprócz regału z kryminałami i ich wspólnych zdjęć z wakacji we Francji na ścianie. Trzasnęła drzwiami tak, że odpadł z nich numer (mosiężnej tabliczki jeszcze wówczas nie było), zbiegła po schodach i nie widziała go aż do teraz. To było cztery lata temu. Prawie, na Trzech Króli będzie równo cztery.

Nic jej to nie obchodziło, ale bała się, że jeśli ujrzy na ścianie korytarza zdjęcie innej kobiety na innych wakacjach, będzie to dla niej trudne.

Ściany korytarza były jednak puste. Tylko regał z kryminałami jak stał wtedy, tak stał teraz.

- Gratuluję Wyczółkowskiego - powiedziała, oddając Karolowi płaszcz. - Słyszałam opinie o Freyu, to wyjątkowa kanalia, nawet jak na marszanda. Nie lubię stereotypów, ale podobno by się odnalazł, jeżdżąc ciężarówką po okupowanej Europie z listą dzieł do

„zabezpieczenia”. Naprawdę oddał? Z dobrego serca?

- Trochę boję się powiedzieć, wiem, że nie znosisz odkupywania strat.

- Żartujesz chyba? - Zmarszczone brwi zbiegły jej się nad oczami w jedną grubą kreskę. - Nie mów, że mu zapłaciliście. Doskonale wiesz, co to znaczy, i nic cię to nie obchodzi, prawda? Dopóki zgarniasz swoją prowizję. - Zaczęła robić mu wyrzuty, jakby tych czterech lat przerwy w ogóle nie było. - Teraz zapłaci Orlen kilka tysięcy, za miesiąc pzu kilkanaście, a co się stanie, jak wypłynie coś naprawdę cennego? Szkatuła Królewska na przykład? Albo Bordone? Cranach? Poussin? Rubens? Jaka firma wyłoży milion? Albo i kilka milionów?

- Euro - powiedział.

- Euro albo dolarów, albo funtów, żadna różnica. I tak nikt nie da. A inaczej nie będą chcieli rozmawiać, bo przez takich krótkowzrocznych...

- Jedno euro! Zapłaciłem jedno euro. Słownie: sto eurocentów. Cztery przecinek dwadzieścia trzy złotego. Chodź!

Wziął ją za rękę i pociągnął w głąb mieszkania. Zagryzła zęby, bo na mgnienie oka zalała ją fala ciepłych wspomnień. Zawsze się w ten sposób niecierpliwił. W sklepach, w muzeach, w galeriach. W sypialniach. Chodź, i ciągnie, bo już się niecierpliwi, już się irytuje, już mu szkoda czasu na wyjaśnienia, chce pokazać, o co chodzi.

Weszli do ciemnego salonu, cała jedna ściana składała się z szyb, za którymi nad dachami kamienic po drugiej stronie widać było nowe śródmieście Warszawy, środkowoeuropejski biedaManhattan, garstka wieżowców ze szkła wokół ciągle dominującego w pejzażu miasta sowieckiego Pałacu Kultury.

- Spójrz - powiedział, zapalając światło.

Zobaczyła wiszący na poza tym pustej ścianie obraz. Piękność składająca się głównie z czarnych loków wydawała się zadowolona z nowego miejsca zameldowania. Tak zadowolona, że chętnie by pozwoliła ściągnąć z siebie tiulowe okrycie.

Lorentz podeszła bliżej. Przyzwoity portret, nie zachwyił jej, ale był przyzwoity. Z satysfakcją pomyślała, że jej własny portret namalowany przez Fangora, który wisiał kiedyś w dokładnie tym samym miejscu, miał dużo większą wartość artystyczną.

- Co za barbarzyństwo, wycięli sygnaturę Wyczółkowskiego i datę. Chciwe dranie. Co to w ogóle tutaj robi? Powinno być w muzeum.

- Kumpel z Orłenu pożyczył mi na weekend. Przyjechaliśmy z Berlina wczoraj, ceremonia przekazania do Narodowego w poniedziałek... Co ma siedzieć w skrzynce. Taka ładna dziewczyna. Nie wiem dlaczego, ale cały czas mi się wydaje, że jest trochę

niedorznięta.

Roześmiała się.

- No wiesz, obrażasz mistrza Wyczółkowskiego takimi słowami. Z tego co wiem, to w jego atelier nawet jeśli pojawiały się jakieś damy cierpiące z powodu cielesnego niezaspokojenia, to długo ich dolegliwości nie trwały. Niesamowicie jest to zobaczyć w kolorze.

Nie kłamała. Zarządzany przez doktor Lorentz katalog strat stanowił dzieło dość ponure. Przedwojenne czarnobiałe zdjęcia w małych formatach, w niektórych przypadkach zaledwie opisy. Po latach pracy łatwo jej było zapomnieć, że za tymi szarymi obrazkami stoją kolorowe, nierzadko ogromne płótna. Znała dobrze zdjęcie tej czarnej piękności Wyczółkowskiego, widziała kolorową reprodukcję w gazecie, kiedy wypłynęła sprawa niemieckiej aukcji, ale dopiero teraz zobaczyła, jaką siłę ma ten portret. Co na zdjęciach było uwodzicielskim spojrzeniem, na żywo wyglądało jak wyzwanie. No dalej, dotknij mnie, jeśli masz odwagę.

Z przyjemnością patrzyła na Wyczółkowskiego, ale gdzieś z tyłu głowy zastanawiała się, czy stojący za nią Karol patrzy na olejny portret, czy na jej figurę. Odwróciła się gwałtownie, żeby móc go przyłapać, ale on stał tyłem do niej i patrzył za okno. Widziała jego sylwetkę, na drugim planie w szybie odbijała się twarz Karola, potem ona, potem modelka Wyczółkowskiego. We trójkę patrzyli się na siebie w tych mętnych odbiciach, zakłóconych przez światła żyjącego po drugiej stronie tafli miasta. Chciała coś powiedzieć, ale nie wiedziała co. Patrzyła na starą błękitną koszulę z grubej bawełny, wymiętoszoną na chudych plecach, i pomyślała, że to będzie naprawdę potworne, jeśli w czasie tej przygody okaże się, że się z niego nie wyleczyła.

- Dostałem od ciebie tę koszulę, pamiętasz? - spytał, nie odwracając się. Parsknęła nieprzyjemnie.

- Rozumiem, że powinno mi to w jakiś sposób schlebiać, ale... Naprawdę mam pamiętać, co wisiało w twojej szafie? Co wy, mężczyźni, macie w głowach. Lepiej nalej mi wody.

- Takiej, jak lubisz? Z limonką i kostką lodu?

- Bardzo proszę, Karolu, żebyś po prostu nalał mi szklankę wody. Nie jesteśmy na wspominkowej randce i nigdy na takowej nie będziemy.

Dzwonek do drzwi wybawił ich od dalszego ciągu tej rozmowy.

Kwadrans później wszyscy siedzieli przy stole w jadalni, Karol walczył z podłączeniem laptopa Lorentz do rzutnika. Pozostała trójka patrzyła na niego takim

wzrokiem, jakby chciała zabrać mu kable, z którymi najwyraźniej nie miał pojęcia, co zrobić, i w końcu sprawić, żeby to zadziało.

- Rozumiesz wszystko po polsku? - spytał Gmitruk Lisę.

- Tak, znam rosyjski i łatwo wybrać słowa. Gorzej mówić, polski jest grubo hardcorebwy.

Lorentz zawsze inaczej wyobrażała sobie szwedzką arystokratkę. Wysoka, o silnej budowie ciała, z obfitym biustem, oczami w kolorze nieba z akwareli dla turystów, dużą szczęką i długimi jasnymi włosami. Lisa Tolgfors miała zgoła inną urodę, północną. Chłopięco krępa, o męskiej figurze, wyglądała na wysportowaną, nikt przy zdrowych zmysłach nie powiedziałby o niej, że jest delikatna. Od stóp do szyi była zaprawioną w bojach mieszkanką północnych krain. Jednak wyżej było widać jej arystokratyczne geny, ponieważ twarz Lisy Tolgfors - Lorentz stwierdziła to nie bez ukłucia zazdrości - była zjawiskowo piękna. Oczy miała po lapońsku skośne, ale dokładnie w tym kolorze błękitu z akwareli. W połączeniu z delikatnymi, klasycznymi rysami i pięknie wyprofilowanymi ustami nadawało jej to rysy elfiej księżniczki, istoty innego gatunku, która opuściła na chwilę Śródziemie, żeby zobaczyć, jak wygląda ludzki świat. Miała w rysach coś takiego, co nie pozwalało oderwać od niej wzroku. Z czego na pewno zdawała sobie sprawę i dlatego równoważyła to onieśmielające piękno krótko obciętymi, niedbale ułożonymi czarnymi kręconymi włosami.

Wyglądała, cóż, wyglądała jak dorosła wersja Ronji, tej z klasycznych j ilustracji Ilon Wikland.

- Naprawdę namalowałaś to w jeden dzień? Jak to dokładnie wyglądało? - Gmitruk drążył temat kradzieży, za którą Szwedka trafiła do polskiego więzienia.

Lisa spojrzała pytająco na Lorentz.

- Cóż, nie jest tajemnicą, że jesteśmy po przeciwnych stronach barykady - odpowiedziała doktor Zofia. - I że nie ekscytują mnie barwnej anegdoty o wynoszeniu z biednych i przetrzebionych polskich muzeów najcenniejszych eksponatów. I mam szczerą nadzieję, że wszyscy złodziejaskowie o lepkich rączkach koniec końców wylądują w Grudziądzu, i to na długie lata. Ale teraz zależy mi, żebyśmy gładko i sprawnie zrobili to, co mamy do zrobienia. Czy to jest jasne? Lisa odczytała te słowa jako przyzwolenie.

- Szłam do muzeum codziennie jako różna ja, kumasz? Oglądałam gady wieczorem i wszystkie gady codziennie znikają dziesięć minut przed fajrant, żeby wyjść do domu. Żadnego gadu nie ma, a to jedyne bezpieczeństwo w muzeum. Potem pisałam faks do dyrektora na fałszywy papier z uniwersytet w Uppsala, że jestem doktor piękna sztuka i robie kopia akwarelami do naukowej pracu. Kumasz?

Gmitruk skinął głową. A Lorentz pomyślała, że z czego jak z czego, ale z „piękna sztuka” Lisa swobodnie mogłaby mieć stopień doktorski.

- No, dołączyłam obraz swojej facjatu i się zgodził. Cały dzień siedziałam w muzeum i robiłam kopia, ale akrylami. Gady szły i podziwiałały nawet, jaka zajebista zajebiozka. Potem się pożegnały, ja też. W dziesięć minut wyjęłam mój Claude Monet - naprawdę powiedziała „mój”, głos jej przy tym zmiękł, jakby mówiła o kochanku - i włożyłam w ramu swoja kopia. I wyszłam.

Lorentz miała nadzieję, że Szwedka nie wyciągnie wstydlwego tematu, jak to przez następane dwa tygodnie ani pracownicy muzeum, ani zwiedzający, ani przewodnicy nie zorientowali się, że w ramach wisi nieudolna kopia, w nadmorskim pejzażu jako tako zgadzały się tylko zarysy plaży i wyblakłe kolory. Nie wiadomo, jak długo jeszcze by tam wisiał ten przyczepiony na dwustronną taśmę klejącą kawałek kartonu, być może długie lata do następnej konserwacji, gdyby nie przypadek.

W Gdańsku włamano się do saaba Lisy, a że było w nim trochę art déco z gdyńskich antykwariatów, złodzieje wzięli je za antyki i zamiast do zwyczajnego pasera zanieśli towar do szemranego antykwariusza. Antykwariusz co prawda był szemrany, ale gdy zobaczył wyciętego z ram Moneta, przestraszył się większej afery i zadzwonił na policję jako zacny obywatel, któremu podrzucono trefny towar. Rankiem do pokoju w butikowym hotelu Holland House zamiast obsługi ze śniadaniem zapukał starszy aspirant sztabowy z zaspaną tłumaczką.

- Teraz sama nie wiem, dlaczego tam szłam i ukradłam. Mój Claude była taki piękny, że rzucił mi się na zryty beret chyba. W ulu malowałam sobie jeszcze jeden taki z kiepeły, ale gady zabrały - smutno zawiesiła głos. - Gady nie kumają.

Słyszając ostatnie zdanie, Lorentz podniosła zdziwiony wzrok. Oczywiście, że gady nie kumają, przecież żaby to płazy.

- Klawisze nie rozumieją - przetłumaczył szeptem Gmitruk.

Lorentz zachowała kamienną twarz, cóż innego mogła zrobić.

Zadumana Szwedka dyskretnie podrapała się po łydce i kiedy odchyliła nogawkę spodni, Lorentz zobaczyła przy jej kostce coś, co wyglądało jak niewielki zegarek bez cyferblatu, zrobiony z tworzywa sztucznego. Dozór elektroniczny. Gagatek jej wytłumaczył, że nie mogą sobie pozwolić na to, żeby spuścić Ronję z oka. Pomyślała wtedy, że musi być naprawdę optymistą, jeśli wierzy, że kawałkiem plastiku upilnuje słynną złodziejkę.

Teoretycznie była ona po prostu Szwedką, której powinęła się noga przy próbie wywiezienia z kraju poznańskiego Moneta. Prokuratorowi powiedziała, że kocha

impresjonistów, mimo rodowych pieniędzy na żadnego jej nie stać - w końcu to oni osiągają najwyższe ceny na aukcjach - a ten w Poznaniu był najbliższej i najsłabiej strzeżony. Święta prawda, niektóre wiejskie chałupy są lepiej zabezpieczone niż polskie zbiory publiczne.

Dopiero potem Lorentz nieoficjalnie dowiedziała się, że Lisa Tolgfors to może być Ronja. Fantomas w spódnicy, tajemnicza złodziejka, której przypisywano najbardziej zuchwałe kradzieże ostatnich lat. A która swój przydomek zyskała w ten sposób, że do pustej ramy po skradzionym z Ashmolean Museum w Oksfordzie obrazie Cezannea wkleiła ilustrację z książki Ronja, córka zbójnika Astrid Lindgren. Na grafice dziewczynka idzie przez ciemny las, taszcząc na plecach niewielkie zawiniątko. Co to miało oznaczać? Tego nikt nie wiedział, ale wystarczyło, żeby nadać tajemniczej złodziejce przydomek Ronja.

To był pomysłowy skok, dokonany w noc sylwestrową, 31 grudnia 1999 roku. Wszyscy fetowali nadejście nowego milenium, do pilnowania nikt nie miał głowy, morze fajerwerków nad Oksfordem skutecznie zagłuszało wszystkie podejrzone hałasy. Nikt w taką noc nie wydaje się podejrzany, zamaskowanej złodziejce co najwyżej mogą zaproponować kieliszek szampana, nawet jeśli niesie Cezannea pod pachą.

W czasie skoku w Rio de Janeiro nikt nie zostawił ilustracji, ale modus operandi był nad wyraz podobny. Był luty 2006 roku i tym razem wykorzystano zamieszanie podczas karnawału w Rio, żeby wynieść z brazylijskiego muzeum bezcenne dzieła warte kilkadziesiąt milionów dolarów. I znowu impresjoniści: Monet i Matisse. Plus Picasso i Dali. Karnawałowy korowód przechodził pod oknami muzeum, złodziej lub złodziejce mogli wprost z okien wyskoczyć na roztańczone platformy i machać obrazami jak wachlarzami, nikt by na nich nie zwrócił uwagi.

Potem Zurych w 2008 roku, Fundacja E.G. Buhle'a - znowu Cézanne. I znowu Monet. I Degas.

Potem Paryż w 2010 roku, Musée d'Art Moderne - Matisse i Braque.

Potem Rotterdam w 2011 roku, Kunsthal - znowu Monet i Matisse. I jeszcze Gauguin.

A potem Poznań. I znowu Monet. „Mój Claude”. I wpadka. Pytanie, czy wpadła rozkapryszona Szwedka, której wpadł w oko obrazek w polskim muzeum? Czy królowa złodziei sztuki, która w ciągu ostatniej dekady wyniosła z muzeów impresjonistów wartych w sumie około miliarda dolarów?

Gagatek twierdził, że to drugie. Z punktu widzenia Lorentz to była dobra wiadomość. Po prostu wskaże jej miejsce, gdzie wisi Rafael, i zaczeka w najbliższej kawiarni, aż wróci z przesyłką.

- Sukces! - powiedział Karol, wskazując na działający sprzęt.



Litościwie nikt tego nie skomentował.

Było już późno, skończył się torcik wedlowski, wszystkie lampy były pogaszone i jedynym źródłem światła, które wydobywało z mroku twarze siedzącej przy stole czwórki, był wyświetlany na ścianie młody człowiek, nonszalancko okryty futrzanym płaszczem. Nikt nie zwrócił uwagi, że patrzy ponad ich głowami na wodzącą na pokuszenie piękność Wyczółkowskiego, uśmiechając się do niej ledwo zauważalnie.

- Oglądaliśmy wszyscy Szeregowca Ryana, beznadziejną wyprawę po jedyne ocalałego syna rodziny, prawda? - Reszta spojrzała na Zofię Lorentz dość podejrzliwie po takim zagajeniu. - Myślę o tym w podobny sposób. Nie wszystkim musi się podobać nasze zadanie, nie wszystkim sposób, w jaki je wykonamy, nie wszyscy zgłosiliby się do takiej misji na ochotnika - ciągnęła surowym tonem Zofia Lorentz. - Ale chciałabym, żebyście wiedzieli, w imię czego to robimy. Bo uwierzcie mi, to nie są tylko plamy na desce. Ten chłopak - Lorentz jedynie w myślach pozwalała sobie na nazywanie Młodzieńca „skurczybykiem” - widział więcej, niż powinien, był świadkiem dramatycznych wydarzeń, powiernikiem sekretów, przyjacielem wielkich i więźniem podłych. Nie ratujemy plam z pigmentów na kawałku drewna. Ratujemy ostatniego więźnia dwudziestego wieku, koronnego świadka historii. Rozumiecie?

10

Doktor Zofia Lorentz cofnęłaby swoje słowa, gdyby wiedziała, jak bardzo są trafione. Jak doskonale oddaje ich sytuację metafora ze strażnikiem wielkich tajemnic i świadkiem koronnym w procesie historii. I że dokładnie w tej samej chwili, kiedy ona z błyszczącymi czarnymi oczami szykowała się do opowiedzenia niezwykłych dziejów obrazu, w zupełnie innym miejscu świata pewien człowiek podjął decyzję. Decyzję, że za wszelką cenę nie można dopuścić do tego, żeby ktokolwiek odnalazł świadka koronnego i odkrył jego tajemnicę. Z punktu widzenia tego człowieka wysoka cena oznaczała skandale dyplomatyczne, kryzysy międzynarodowe i zawirowania na światowych rynkach. To była cena, którą należało się przejmować. Życie paru osób, które spiskowały w brzydkiej metropolii gdzieś w Europie Środkowo-

- Wschodniej, to nie była dla niego ani cena, ani nawet przeszkoda. Załedwie perypetia.

Człowiek ten zerknął na zegarek. Dochodziła trzynasta, jest szansa, że załatwi sprawę i zdąży pójść na lunch, po raz kolejny udowadniając sobie, że grunt to dobra organizacja pracy. Wystarczy odrobina inteligencji i da się tak kierować życiem, żeby nie przyplącić tego wrzodami.

Początek szesnastego wieku, pewnie około 1510 roku. Wtedy właśnie Młody przychodzi na świat, w Rzymie, w naprawdę dobrej rodzinie. Jego ojcem jest dwudziestosiedmioletni Raffaello Sanzio, matką duch epoki renesansu, a rodzicami chrzestnymi dwaj inni obok Rafaela geniusze tamtego miejsca i czasu: Leonardo da Vinci i Michał Anioł Buonarroti. Kiedy Młody jeszcze pachnie świeżą farbą i dopiero przyzwyczajają się do życia na desce parkietowanej o rozmiarach siedemdziesiąt pięć na pięćdziesiąt dziewięć centymetrów, Mona Lisa ma już kilka lat. Wspominam o niej nie bez powodu. Ta sama technika, ten sam podkład, prawie identyczne rozmiary, ta sama półpostać zwrócona w lewo, tajemniczy uśmiezek błakający się na wargach. Mona i Młody to duchowe rodzeństwo; są to dwa najdoskonalsze portrety w dziejach malarstwa.

Co się działo po urodzinach? Ojciec sprzedał go razdwa i zajął się lepiej płatnymi zleceniami dla papieża. Umarł niedługo potem, nie dożywając czterdziestki. A Młody wisiał sobie w różnych palazzo, żyjąc jak pączek w maśle, zwiedzając Rzym, Genuę, Mantuę, Modenę i trafiając w końcu do Wenecji, do rodziny Giustinianich. I wtedy nastąpił w jego życiu zwrot, po którym nic już nie miało być takie samo. W salonie Giustinianich pojawił się trzydziestoletni książę Adam Jerzy Czartoryski (piękny jak młody bóg, nie ma takich mężczyzn teraz), ambasador cesarskiej Rosji przy królu Sardynii. Znudzony i wściekły, do Włoch bowiem Katarzyna II wysłała go za karę, po tym jak umilił sobie życie w Petersburgu bałamuceniem młodziutkiej żony jej wnuka Aleksandra, przyszłego cara zresztą. Czas we Włoszech spędzał głównie na poszukiwaniach dzieł sztuki dla swojej matki Izabeli, która w tym czasie tworzyła pierwsze polskie muzeum w posiadłości Czartoryskich w Puławach, umieszczając w nim i pamiątki narodowe, i sztukę światową.

Książę przywiózł swej rodzicielce z Włoch znaczne upominki: Damę z gronostajem Leonarda i Portret Młodzieńca, którego wówczas uważał za autoportret Rafaela. Był sam początek dziewiętnastego wieku.

Młody musiał narzekać na nadwiślański klimat, ale jak już marznąć, to w doborowym towarzystwie. A on miał z jednej strony całkiem fajną włoską bella ragazza, a z drugiej miłosiernego Samarytanina, którego namalował sam Rembrandt, na tle wyjątkowego krajobrazu zresztą. Przez następne sto pięćdziesiąt lat ta trójca, występując jako LRR albo VRR, była nierozłączna i została uznana za największy skarb światowego malarstwa w Polsce. Nigdy nie mieliśmy nic cenniejszego. Mogę wody? Dzięki. Nie, bez limonki i bez lodu. Cóż, jak łatwo przypuszczać, razem z przeprowadzką do Polski skończyło się dolce vita, a zaczęły przygody. Minęło trzydzieści lat, wybuchło powstanie listopadowe, sprawnie i

krwawo stłumione przez Rosjan. Carskie wojska zajęły i ograbiły pałac w Puławach, ale starszycy Czartoryscy udało się ewakuować najcenniejsze dzieła do Sieniawy, majątku w dzisiejszym Podkarpackiem, czyli kawałek dalej na południe. W sieniawskim pałacu nasza trójka została zamurowana w alkowie i tam spędziła kolejne osiem lat, zanim zdecydowano, że sytuacja jest na tyle stabilna, żeby LRR Z powrotem powiesić na ścianach. Nie wiem, co robili w ukryciu, ale kto wie - być może to wtedy Dama z Młodym zaczęli się tak dwuznacznie uśmiechać, a Samarytanin schował się jeszcze głębiej w swój pejzaż. Minęło czasu niedużo, niemało, w 1848 roku wybuchło powstanie na Węgrzech, Rosjanie ruszyli z bratnią pomocą, a księciu Adamowi Jerzemu wystarczył rzut oka na mapę, żeby stwierdzić, że najkrótsza droga z Moskwy do Budapesztu wiedzie przez Sieniawę. Toteż zabrał naszą trójkę do Paryża, do swojego świeżo nabytego pałacu - Hotelu Lambert. Myślę, że dla Młodego to musiał być ciekawy czas, ponieważ paryska rezydencja księcia była sercem polskiej emigracji, intelektualnym i artystycznym centrum narodu pozbawionego państwa. Chopin i George Sand, Mickiewicz, Delacroix, Berlioz, Liszt, Balzac... U Czartoryskiego bywali absolutnie wszyscy.

Światowe życie LRR nie trwało długo, w 1861 roku umarł w sędziwym wieku dziewięćdziesięciu jeden lat Adam Jerzy Czartoryski, z którym Młody musiał czuć się związany jak z ojcem. Na szczęście dwoje dzieci księcia godnie odziedziczyło skarby, zwłaszcza córka Izabela, która wdała się w imienniczkę babkę, jeśli chodzi o smak i kolekcjonerskie zacięcie. Dzięki niej dwadzieścia lat po śmierci księcia Młodzieniec wraz z Damą i Samarytaninem wrócili do Polski, do budynku kupionego przez Czartoryskich od krakowskich ojców pijarów specjalnie na zbiory sztuki. Zresztą muzeum mieści się tam do dziś.

Zaczął wieść żywot podziwianego eksponatu. Czy mu się to podobało? Pewnie tak, choć na jego miejscu tęskniłabym do przygód i paryskich balów, na które Chopin specjalnie komponował swoje polonezy.

Zjemy coś? Może być pizza. Dla mnie bez pieczarek, bez owoców morza i bez ananasa.

12

Kapitan Clifton Patridge urodził się i wychował w rodzinie wojskowych, w armii spędził całe swoje zawodowe życie, ale nie był tym gatunkiem żołnierza, który uważa, że tylko sztywna hierarchia i mundur gwarantują prawo, porządek i bezpieczeństwo, a cywile to barany, które trzeba chronić przed nimi samymi. Może dlatego, że miał żonę hippiską i anarchistkę, która zawsze skutecznie leczyła pierwsze objawy choroby określanej przez nią

słowami: „Sztynny kij wystaje mi z dupska! yessir! thankyousir!”.

Mimo to kapitan Patridge miał problem z ludźmi stanowiącymi „cywilny nadzór armii”. Prezydent był głównodowodzącym sił zbrojnych, ale po nim powinni być już tylko generałowie wydający rozkazy, jasna i czytelna wojskowa hierarchia.

Niestety im dłużej służył i im wyżej awansował, tym więcej w jego otoczeniu pojawiała się cywili przekonanych, że są jego przełożonymi. Urzędnicy NATO, urzędnicy Departamentu Obrony, szefowie CIA, pracownicy Białego Domu - a teraz na dodatek napuszony i nabzdyczony Departament Stanu, nie bez powodu nazywany złośliwie w Waszyngtonie Foggy Bottom, od nazwy dzielnicy, w której znajdowała się jego siedziba. Dno Mgieł, doprawdy, pasowało jak ulał.

- Wszystko jest w raporcie, proszę pana - odpowiedział na pytanie sekretarza stanu, aroganckiego urzędasza, któremu w swojej hierarchii irytujących urzędasów Patridge przydzielił stopień czterogwiazdkowego dupka.

- Panie kapitanie. Pan rozumie, że my to musimy mieć. My. Nie Polacy, za żadne skarby nie Niemcy, a już na pewno nie jacyś Rusczy albo Kitajce, którzy by z tego zrobili piłę i tą piłą urznęli nasze pieczołowicie hodowane od czasu Deklaracji Niepodległości jaja.

- Panie sekretarzu. Wiem tylko, że tego nie znaleźliśmy. Podobnie jak nie znaleźliśmy żadnego schowka, żadnego legendarnego skarbu ani obrazu. A proszę mi wierzyć, że zajrzeliśmy pod każdy kamień, przetrząsnęliśmy każdą budowlę i szalas w tych na szczęście niewielkich górach, a poszukiwania w jaskiniach dwójka naszych przyplaciła życiem.

- Wiem, czytałem raport, niech pan mnie nie zanudza, kapitanie. Tylko niech pan powie, jakie jest prawdopodobieństwo, że znajdą to nasi ukochani sojusznicy z Trzeciego Świata. Mimo że nam się nie udało.

Patridge pomyślał o Gmitruku, o ich ostatnim wieczorze w kawiarni na Kalatówkach. O zimnym piwie, czarnej rękawiczce na przepalanej w czasie bohaterskiej akcji dłoni Polaka, o jego marzeniach o nowym życiu na emeryturze. Czy może mu zaszkodzić odpowiedzią? W wojsku sprawy były proste, po naszej stronie dobrzy sojusznicy, po drugiej stronie źli wrogowie. W świecie czterogwiazdkowych dupków wszyscy byli wrogami wszystkich, za ich decyzjami nie stała analiza taktyczna, tylko paranoja, arogancja i walka o mahoniowe biurka.

Polski major ocalał sześćdziesiąt jeden osób. Każdy, kto zakłada mundur, marzy o bohaterskim czynie, ale nikt nigdy nie dostaje szansy, aby to marzenie spełnić. W najlepszym wypadku spędza życie na szkoleniach, w najgorszym zostaje wysłany gdzieś, żeby mordować jakichś biedaków w imię nawet nie ojczyzny, tylko politycznych i ekonomicznych interesów. A Gmitruk dostał swoją szansę i wykorzystał ją w stu procentach.

Ale Gmitruk był daleko. A jego własna ojczyzna, myślał Patridge, siedzi za biurkiem i błyska sztucznymi zębami w fałszywym uśmiechu.

- Czy Polacy potrafią to znaleźć? - powtórzył pytanie, żeby zyskać na czasie. - Byłoby mi prościej odpowiedzieć, panie sekretarzu, gdyby ktoś mnie w końcu poinformował, czego dokładnie szukamy. Nie chcę być złośliwy, ale gdybym wiedział to w Polsce, może nie musielibyśmy wracać z pustymi rękami.

- Woli być pan poinformowany czy żywy, kapitanie? Bo gdybym powiedział panu, czego szukamy, nie dożyłby pan swojego wieczornego piwa. Kwestia bezpieczeństwa narodowego. A teraz proszę odpowiedzieć na pytanie.

Patridge uznał, że temat posiadanych przez niego informacji to ślepy zaułek i nie ma sensu brnąć dalej.

- Nic mi nie wiadomo, żeby czegokolwiek szukali. Ale jeśli ktoś w ogóle ma to znaleźć, to tylko oni. Ich teren, ich tajemnica, ich, z braku lepszego słowa, skarb. Mają motywację, wiedzę, niezłe wyszkolonych ludzi. Ale prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, jak można im tego zabronić lub przynajmniej ich zniechęcić. Damy im parę dodatkowych F-16? Zniesiemy wizy? Znowu obiecujemy jakieś rakiety?

- Tym już niech sobie pan kapitan nie zaprzęta swojej wojskowej główki. Odmaszerować.

Odmaszeruj sobie do swojej nory, szcurze, pomyślał Patridge i opuścił gabinet, nie trując się podaniem ręki ani tym bardziej salutem.

13

Nie myślcie, że Młody dotrwał do trzydziestego dziewiątego jako znudzony eksponat. W międzyczasie pojechał na sześć lat do drezdeńskiej Gemäldegalerie, żeby przeczekać tam pierwszą wojnę światową. Czartoryscy wysłali tam najlepsze zbiory w obawie przed Rosjanami. Cóż, kiedy wybuchła druga wojna, manewru z Dreznem z przyczyn oczywistych nie można było powtórzyć. Trzy obrazy zapakowano do cynowej skrzyni, opatrzone literami LRR i wysłano, jak sto lat wcześniej, do Sieniawy. Jednak tym razem Dama i Młodzieńca nie czekało osiem lat w intymnej ciemności. Już 15 września żołnierze Wehrmachtu zajęli Sieniawę i rozpruli pałac w poszukiwaniu skarbów. Złoto zabrali, obrazy porzucili na rumowisku, Damę ozdobili na odchodnym odciskiem wojskowego buta.

Naszych bohaterów pozbięła gospodyni Czartoryskich, tylko po to, żeby za chwilę oddać ich Niemcom, którzy przyjechali „zabezpieczać” dzieła sztuki. Byli do tego doskonale przygotowani, przed wojną ich I historycy robili specjalne rekonesanse, żeby wybrać najlepsze kąski. I LRR uplasowało się oczywiście na szczycie listy. Cała trójka miała trafić 1

do powstającego muzeum Führern w Linzu, razem z innymi perełkami światowej sztuki, rabowanymi i kupowanymi w całej Europie. Młody pojechał do Berlina.

I teraz pierwsza niespodzianka: Młody szybko wrócił do Krakowa. Tyle że do rezydencji Hansa Franka, nowego władcy Polski, przemianowanej na Generalne Gubernatorstwo. Frank, złodziej i zbrodniarz wojenny, uważał się za wybitnego konesera sztuki, starczy powiedzieć, że kazał swoją siedzibę urządzić na Zamku Królewskim na Wawelu i że zgromadził z kradzionych dzieł naprawdę okazałą kolekcję.

Oczywiście Młodzieniec nie pojechał do Krakowa sam, razem z nim byli jego towarzysze w doli i niedoli, Dama i Samarytanin. Tak naprawdę nie wiemy, jak to możliwe, że Hans Posse, kustosz muzeum] w Linzu, oddał nielubianemu przez nazistowską wierzuszkę Frankowi tak pierwszolitowe dzieła. Frankowi bardzo na tym zależało, uważał wszystkie zabytki GG za swoje, na pewno należał, ale Führer i Posse mieli absolutne pierwszeństwo. Mówi się, że w momencie zajęcia przez Niemców Francji polskie zbiory straciły na znaczeniu, tylko że to na pewno nie dotyczyło LRR. Mówi się, że nękanie przez Franka Posse dla świętego spokoju wypożyczył mu obrazy i zażądałby pewnie ich zwrotu, gdyby muzeum w Linzu w końcu powstało. Mówi się też, że był to prezent Hitlera dla wiernego sługi, który gorliwie realizował politykę partii, zamieniając dawną Polskę w hodowlę niewolniczej siły roboczej. A może po prostu Frank miał na kogoś haka i to wystarczyło.

Tak czy owak, dzielna trójka zawisała na Wawelu i teraz zaczynają się zagadki i tajemnice.

Tak, oczywiście, odbierz pizzę. Ja skorzystam z okazji i pójdę do toalety.

Jasne, zaczynajcie, zaraz przyjdę.

14

14

Salatka z grillowanego kurczaka, musu z awokado i marynowanych w occie balsamicznym szalotek była pyszna, na tyle pyszna, żeby amerykańskiemu sekretarzowi stanu, zwanemu przez niektórych czterogwiazdkowym dupkiem, pewne rzeczy poukładały się w głowie. Nigdy nie ufał ludziom z Pentagonu, z tymi ich wszystkimi naszywkami, mottami, ślubowaniami, historyczną mitologią i podszytą gejoństwem koszarową przyjaźnią do grobowej deski. Ich mundury były jak strój kąpielowy do pływania w mętnej patriotycznej ideologii, a czasami trzeba było być po prostu skutecznym.

Sekretarz należał do tych ludzi, którzy płacą prawnikowi, nawet jeśli żona jest partnerem w pierwszolitowej kancelarii, i którzy przepłacają za budowę domu u obcych,

nawet jeśli brat ma firmę budowlaną. Nie Wierzył w dobre usługi świadczone przez znajomych, przyjaciół czy rodzinę. Wierzył, że dobrą usługę i dobry towar można mieć jedynie wtedy, kiedy wyjmie się twardą gotówkę, wynegocjuje dobry kontrakt i z żelazną konsekwencją przypilnuje jego wykonania.

Tak też zamierzał zrobić teraz, dając zielone światło ostatniej fazie operacji „Hugenoci”.

15

Na czym to ja skończyłam? Aha, zagadki i tajemnice. Młody wisi razem z Damą i Samarytaninem na Wawelu i słucha. Najpierw o tryumfach, o niezwyciężonej armii, o Norwegii, Holandii i Francji, o tym, jak to Niemcy weszli do Związku Radzieckiego, jak doszli aż do Stalingradu. Jako jeden z pierwszych dowiaduje się o ostatecznym rozwiązaniu. A potem, jednocześnie z wiadomościami o walkach na froncie wschodnim, o lądowaniu aliantów na Sycylii i później w Normandii, o powstaniu w Warszawie, robi się nasz Młodzieniec coraz bardziej samotny. Ponieważ Frank szybko stracił wiarę w tysiącletnią Rzeszę i uznał, że ważniejsze niż szerzenie ideologii nazistowskiej jest układanie powojennego życia, dlatego dość wcześnie, bo już w czterdziestym drugim, zaczął wysyłać zrabowane, pardon, zabezpieczone zbiory do swoich posiadłości w Bawarii. Robotnicy opowiadali o tajemniczych metalowych skrzyniach, do których nie wolno się było nikomu zbliżać, spiskowych teorii wokół tego napisano grube tomy, no ale to nie jest temat na dziś.

Największe skarby Frank trzymał do końca przy sobie.

Latem czterdziestego czwartego niejaki Wilhelm Palezieux, pełnomocnik gubernatora do spraw dzieł sztuki, czyli po prostu najważniejszy złodziej na terenach okupowanych, znalazł miejsce na ewakuację najcenniejszych zbiorów: pałac Manfreda von Richthofena w miejscowości Seichau, dziś Sichów, małej wsi pomiędzy Legnicą a Wałbrzychem. Naiwniacy myśleli, że wystarczy wywieźć coś na teren Niemiec, żeby czuć się bezpiecznie.

Potem zaczynają się komplikacje. Niemcy uciekają przed Sowietami, starając się ukraść jak najwięcej, ale codziennie muszą weryfikować swoje plany, zamieniać pełne skarbów pociągi na ciężarówki, potem na samochody, a w końcu na to, co się zmieści w walizce. Logicznie byłoby założyć, że wówczas, na przełomie czterdziestego czwartego i czterdziestego piątego roku, LRR nie opuszczają Hansa Franka, że gubernator wybrał najcenniejsze dzieła na swoją ostatnią polisę bezpieczeństwa. Razem wyjeżdżają z Krakowa 17 stycznia, spędzają z Wilhelmem Palezieux tydzień u Richthofena w Sichowie, segregując skarby i wysyłając je w dalszą drogę.

I teraz uwaga. Rozmawiałam kiedyś z córką Richthofenów, wtedy małą dziewczynką.

Miała kilka lat, ale dobrze zapamiętała tamte dni, pewnie przez atmosferę strachu, zagrożenie, słyszalną już radziecką artylerię. Opowiadała, że pewnego dnia matka wyciągnęła ją z łóżka i kazała się ubrać. Potem zeszły do „dużej sali”, jak się wyraziła, bo matka chciała jej pokazać obrazy tak piękne, że drugi raz takich nie zobaczy.

Co widziała? Z jej opisu wynika, że Rubensa, zresztą do dziś nieodzyskanego, i Damę z gronostajem Leonarda. Portretu Młodzieńca tam nie było, pokazywałam jej zdjęcia, przysięgała, że takiego obrazu nie widziała.

Z Sichowa nasi bohaterowie ruszają dalej przez Drezno do Bawarii, gdzie 4 maja Hans Frank zostaje aresztowany przez Amerykanów. Jego przyboczny w złodziejstwie Palezieux wpada chwilę później, chcąc się podliznąć aliantom, szybko mówi im, gdzie w willi Hansa Franka ukryty jest Leonardo i Rembrandt, i faktycznie oba obrazy tam są. A gdzie Rafael? Gdzie Młody? Tutaj zaczynają się spekulacje.

Hipoteza numer jeden, potwierdzona przez syna Hansa Franka, Niklasa. W swoich wspomnieniach, pisanych na podstawie zapisków ojca, utrzymywał on, że pod koniec wojny Młody był w willi w Fischhausen i jak to beztrąsko opisuje Frank junior, „potem gdzieś przepadł, wisi pewnie w jakiejś wiejskiej chałupie po tym, jak matka wymieniła go na masło”. Wariant z wiejską chałupą jest mało prawdopodobny, znacznie bardziej prawdopodobne jest, że - jeśli Rafael faktycznie znajdował się w Fischhausen - pod kurtkę schowali go Amerykanie. Którzy lubią chwalić się, jak to ratowali zagrabione dzieła sztuki, a nie lubią przypominania, że nie zawsze wracali za ocean z pustymi rękami.

Hipoteza numer dwa, potwierdzona przez Eduarda Kneisla, wiedeńskiego konserwatora, który pomagał pakować zbiory w Sichowie i transportować je do Bawarii. Kneisl przyznał się w latach sześćdziesiątych FBI, że zaraz po wojnie widział Młodzieńca w domu Palezieux. Potem niestety gwałtownie stracił pamięć i wycofał się z tych zeznań, ale rozważmy przez chwilę, że Rafaela przywłaszczył sobie przyboczny Franka Wilhelm Palezieux. To postać ciekawa, bo jako jedyny odpowiedział przed sądem za grabież dzieł sztuki na terenie Polski. Amerykanie przekazali go naszym, nasi skazali w trybie błyskawicznym, jakby kto pytał, to w czasie procesu cierpiał na całkowitą amnezję, i wsadzili na kilka lat do Montelupich.

Co się z nim działo później? Nic, ponieważ po wyroku nie przeżył nawet dwóch miesięcy. Nie uwierzycie, ale oficjalna wersja rozpowszechniana wówczas przez czerwonych była taka, że w więzieniu zabił go amerykański szpieg. Skąd się tam wziął? Znowu nie uwierzycie, ale przyjechał do Polski jako eskorta pociągu, którym wracały do nas z amerykańskiej strefy okupacyjnej skradzione przez Niemców skarby. Muszę przyznać, że



nawet jak na warunki stalinowskiej propagandy wizja imperialistycznych szpiegów mordujących niemieckich zbrodniarzy w polskich więzieniach to zbyt wiele.

Franka powiesili w czterdziestym szóstym i tak oto nie minęło półtora roku od końca wojny, a wszyscy świadkowie najważniejszej grabieży wojennej gryźli ziemię.

Tak czy owak, najbardziej prawdopodobne wydaje mi się, że Rafaela albo ukradli Amerykanie, albo Palezieux zdążył go wypuścić na czarny rynek. Nie wierzę w pozostałe hipotezy: że zawieruszył się w czasie ewakuacji Hansa Franka, że został gdzieś na Dolnym Śląsku, że go myszy zjadły albo Rosjanie puścili z dymem. Porzucać w gospodzie to Niemcy mogli Matejkę, którego nie cenili i który miał dla nich znaczenie jedynie z powodów politycznych, bo kłuły ich w oczy hołd pruski i klęska pod Grunwaldem. Ale Rafaela? Nie ma mowy.

Prawdopodobieństwo, że Młody trafił na czarny rynek sztuki, jest właściwie stuprocentowe. Równie pewne jest to, że przez ostatnie siedemdziesiąt lat zmieniał właścicieli. Mogło to mieć miejsce w latach siedemdziesiątych, kiedy nagle zaczęło krążyć podejrzanie dużo plotek na temat Młodzieńca. Jedna z nich prowadziła do NRD. Wtedy też pojawił się tajemniczy „Amerykanin z teksańskim akcentem, dla którego pieniądze nie grały roli”, szukający naukowca, który zgodziłby się potajemnie dokonać ekspertyzy obrazu. Szukał w Warszawie, szukał w Nowym Jorku, sugerował, że zgoda na dokonanie ekspertyzy oznaczałaby podróż do Australii. Nic więcej nie wiemy.

Nieraz zastanawiałam się, jaki żywot stał się losem Młodego przez ostatnie kilkadziesiąt lat. Czy umierał z nudów, tęskniąc za Damą i Samarytaninem, gapiąc się latami na wyścielane ściany jakiegoś sejfów? Czy może wisiał w otoczeniu innych zaginionych dzieł, będąc świadkiem, jak najbardziej wtajemniczeni przyjaciele gospodarza spotykają się w tajnym gabinecie, żeby pić drogie wino i obradować o losach świata. A może blakł od zbyt ostrego słońca na ścianie sypialni jakiegoś szejka, podziwiając coraz to nowe piękności śpiące u jego boku?

Tak, wiele rzeczy sobie wyobrażałam, ale nigdy tego, że jakaś nędzna kreatura powiesi go koło telewizora. Spójrzcie. Tak wygląda najbardziej aktualne zdjęcie Młodego, które dowodzi, że nasz bohater ciągle działa, ciągle obserwuje losy świata i uśmiecha się ironicznie. Zdobiąc pomalowaną na pomarańczowo ścianę pewnej podmiejskiej rezydencji pewnego amerykańskiego biznesmena, bardzo prominentnego i bardzo blisko związanego z partią demokratyczną. Więcej opowiem po dotarciu za ocean.

My z Karolem polecimy za tydzień, oficjalnym powodem naszego wylotu i współpracy jest obraz, który pojawił się w antykwariacie na Manhattanie, wypatrzony przez

jednego z polskich dyplomatów. Z opisu przypomina pewien obraz Brandta figurujący na liście strat. Płótno nie jest sygnowane, ale dyplomata zwrócił na niego uwagę, ponieważ tylko jedna nacja lubuje się w przedstawieniach brnącej przez śniegi znużonej i brudnej kawalerii. Anatol dostanie się natowskimi kanałami.

Lisa do czasu wylotu jest pod opieką państwa, poleci na drugą stronę jako polska obywatelka z normalną amerykańską wizą turystyczną. Ma już polski paszport i nie pytajcie mnie, jak to możliwe, że Rzeczpospolita zajmuje się fałszowaniem dokumentów.

Karol załatwi nam mieszkanie, korzystając ze swojej siatki znajomych, którzy mają znajomych. Tam będziemy zdani tylko na siebie, po przekroczeniu granicy jest to absolutnie prywatna operacja, wyprą się nas, zanim ktoś zdąży zadać pierwsze pytanie.

16

Stała we wciąż ciemnym salonie, czekając, aż Lisa wróci z łazienki, i patrzyła na ciągle wyświetlane na ścianie zdjęcie. Kręcąc delikatnie głową na widok telewizora. Nie do pomyślenia, tylko Amerykanin mógł zrobić coś takiego: tu mój telewizor, tu mój Rafael, tu dziecko na zawodach baseballowych. To znaczy nie wiedziała, czy to dziecko i czy na zawodach, ale po drugiej stronie Młodzieńca widać było kawałek antyramy ze zdjęciem, trochę zieleni i obły kawałek drewna, wyglądający właśnie jak końcówka kija baseballowego.

- Niezły zestaw, co nie? - zapytał Karol, stając obok niej. - Naprawdę niezły zestaw. Tylko w Stanach coś takiego jest możliwe.

Poczuła gwałtowne ukłucie niepokoju. Czy dlatego, że Karol wypowiedział jej myśli? Czy po prostu dotarło do niej, że zamierza wyprawić się do obcego kraju w celu dokonania zuchwałej kradzieży, i przestraszyła się, że skończy z amerykańskim wyrokiem: cztery dożywocia plus sto osiemdziesiąt trzy lata ciężkich robót.

Nie, chodziło o coś innego, coś na zdjęciu. Coś było nie tak. Ale co? Czegoś jej brakowało. Jakiegoś uczucia, które zwykle jej towarzyszyło, kiedy patrzyła na odnalezione dzieła sztuki. Cholera, miała to na końcu synaps, jakaś myśl uciekała przed nią, ważna myśl. Uczucie, o jakie uczucie może chodzić?

Nie zauważyła, jak Karol przysunął się do niej.

- Może zostaniesz? - zapytał. - Przygotujemy się do wyjazdu.

Nawet na niego nie spojrzała. Pokręciła tylko z niedowierzaniem głową i wyszła. Jakakolwiek myśl ją prześladowała, zniknęła w chmurze irytacji.

17

Przeszukał puste pudełka i znalazł ostatni kawałek zimnej pizzy. Wyciągnął piwo z lodówki i pomyślał, że jeszcze pożałuje, że wplątał się w tę aferę. W czasie zamawiania pizzy

miał przedsmak tego, jak będzie wyglądała ta przygoda. Zosia chciała bez pieczarek, bez owoców morza i bez ananasa. Lisa bez ścierwa, którą to grypsere chyba słusznie rozszyfrował jako deklarację wegetarianizmu. Anatolowi było wszystko jedno, ale jakby co, to nie przepada za kukurydzą i za karczochami. Prawdziwy komandos. W końcu zamówił trzy duże pizze z podwójnym serem i długo musiał tłumaczyć obsłudze, że nie chce żadnego innego przybrania. Sos pomidorowy i ser. Podwójny.

To była dobra decyzja, zimna pizza z mnóstwem sera smakowała mimo wszystko lepiej niż zimna pizza ze standardową ilością sera. Przez chwilę rozważał, czy nie wrzucić tego do mikrofalówki, ale dał spokój.

Usiadł na podłodze i patrzył na oba obrazy. Młodego, jak go Zosia nazywa, i kudłatą modelkę Wyczółkowskiego. Patrzyli na siebie, jakby czekali, aż któreś w końcu powie: u mnie czy u ciebie?

Gorzko pomyślał, że on od czterech lat nie stworzył sytuacji, w której mogłoby paść takie pytanie. Nieźle mu jęcza, jakby to Lisa pięknie ujęła swoją grypsującą polszczyzną, zryła beret. Teraz jeszcze musi z nią pracować, a jak coś pójdzie nie tak, to wylądują na długie lata w dwóch różnych więzieniach.

No i dobrze. W końcu będzie wolny.

Ziewnął, wypił piwo do końca, przed zgaszeniem światła jego wzrok machinalnie powędrował do portretu Zosi. Przez ułamek sekundy był zdziwiony, że ktoś mu ją podmienił, przecież zawsze wisiała w tym miejscu.

Potem przypomniał sobie, że sam ją rano zdjął i powiesił w tym miejscu Wyczółkowskiego, żeby nie dawać jęzdy satysfakcji.

18

Doktor Zofia Lorentz wysiadła z taksówki przed terminalem lotniska na Okęciu i kuląc się, przebiegła do szklanych drzwi. Śnieg sypał wściekle, wiało potwornie, miała nadzieję, że zima tysiąclecia - jak ją nazywały media w całej Europie - przeszkadza tylko jej, a dla samolotów i ich pilotów nie ma to żadnego znaczenia.

Wcześniej uznała, że zamierza dziesięć godzin lotu spędzić samotnie. Nie chciała żadnych drzemek na ramionach, bliskości spowodowanej rozmiarem lotniczych foteli, preciskania się obok siebie w drodze do toalety. Poza tym o czym mieliby rozmawiać? O sprawie nie mogli, o czym innym nie chcieli, pogawędka o lekturach i polityce byłaby w ich przypadku tak zabawna, że umarłaby ze śmiechu, zanim przelecieliby nad Poznaniem.

Dlatego przyjechała wcześniej i podeszła do automatycznego stanowiska odprawy. Wstukała swoje nazwisko, numer lotu i została poproszona o wybór miejsca. Wybrała 30C, z

tyłu i jak zawsze od strony korytarza. Widoki z okna nudziły jej się godzinę po starcie, a tak miała szansę na wyciągnięcie chociaż jednej nogi i nie trzeba było za każdym razem przepychać się między ludźmi w drodze do łazienki. Odebrała kartę pokładową, sprawdziła dane i poszła nadać bagaż.

Lubiła podróżować.

Kiedy Zofia Lorentz ciągnęła swoją torbę na kółkach w stronę odprawy, nie zwróciła uwagi na mężczyznę za jej plecami. Zgarbiony obok swojej walizki wyglądał na typowego podróżnego wymiętego oczekiwaniem, który zabija czas, bawiąc się telefonem. Mężczyzna odczekał chwilę, aż doktor Lorentz zniknie za rogiem jednego z ciągu stanowisk, i podszedł do tego samego automatycznego stanowiska odprawy, z którego korzystała przed chwilą.

Z komórką w dłoni sprawiał wrażenie, że sprawdza numer rezerwacji. Tymczasem mężczyzna numer rezerwacji wklepał z pamięci, a na telefonie powiększał zdjęcie zrobione minutę temu. Gdyby ktoś zajrzał mu przez ramię, pomyślałby, że facetowi naprawdę musi się nudzić w delegacji, ponieważ ekran wypełniał kształtny tyłek doktor Lorentz, którą to część ciała niechętnie jej kobiety uważały za zbyt obfity w stosunku do reszty szczupłej figury. Jednak to nie o zawartość dzinsów chodziło mężczyźnie. Przesunął kciukiem obraz i powiększył jeszcze bardziej trzymany przez nią w dłoni świstek papieru. Był nieostry i zamazany, ale nie na tyle, żeby nie mógł odczytać dużych liter.

Wyłączył telefon i na żądanie automatu wybrał sobie na pokładzie lecącego do Nowego Jorku boeinga 787 miejsce 30A.

On dla odmiany lubił siedzieć przy oknie.

19

Silniki zahuczały i siła przyspieszenia wgniotła ją w fotel, kiedy samolot gwałtownie zaczął nabierać prędkości na pasie startowym, a spływające po owalnej szybie krople deszczu ze śniegiem zaczęły wędrować coraz szybciej w stronę ogona samolotu. Pomyślała, że bez żalu opuszcza zimową Warszawę, i nabrała absurdalnego przekonania, że musi wypowiedzieć w myślach życzenie, zanim koła oderwą się od ziemi.

Niech się uda, a jeśli się nie uda, to niech przynajmniej nie pójdę do więzienia, pomyślała i dokładnie w tej chwili poczuła, jak samolot odrywa się od ziemi. Czerwony, rozmazany przez śnieg, deszcz i mgłę napis „Warszawa” osunął się w dół, jakby to nie ona się wznosiła, lecz JeJ metropolia zapadała się pod ziemię.

Chwilę potem samolot przebił chmury i już w pełnym słońcu położył na bok, żeby skrócić na zachód, a ludzie siedzący po jej stronie samolotu przykleili się do szyb i zaczęli sobie coś pokazywać. Zaciekawiona uśmiechnęła się przepraszająco do siedzącego obok niej

mężczyzny i wyjrzała przez okno. Widok był doprawdy niezwykle. Gęsta chmura musiała być bardzo niska, na tyle niska, że z morza białej waty wystawały najwyższe budynki centrum Warszawy. Widziała iglicę Pałacu Kultury, otoczoną przez szczyty okolicznych wieżowców, widziała dźwig budowlany przy jednym z nich i długie cienie rzucające przez konstrukcje na fale mgły. Poza tym, jak okiem sięgnąć, rozlewało się morze bieli. Z którego tylko w jednym miejscu wystawał komin elektrociepłowni, wyrzucający wysoko w górę kłęby pary.

- Niezwykłe - powiedział jej sąsiad po angielsku. - Zaliczam kilkadziesiąt lotów rocznie i nigdy nie widziałem czegoś takiego.

Uśmiechnął się łagodnie.

- Nigdy nie uważałem Warszawy za zbyt urodziwą metropolię, ale właśnie stała się bohaterką najbardziej poetyckiego zjawiska, jakie w życiu widziałem... Postaram się od dziś ostrożniej formułować sądy.

Odwzajemniła uśmiech, bo podobały jej się słowa nieznajomego. Nieznajomego, który mówił angielszczyzną z lekkim akcentem, trudnym do zidentyfikowania, i który wydawał się bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Wysoki, szpakowaty, naturalnie ogorzały pięćdziesięciolatek o intensywnie zielonych oczach wyglądał jak żeglarz lub górski wędrowiec. Kuriozalny pomysł, biorąc pod uwagę, że w rzeczywistości był zapewne wracającym prosto z siłowni menedżerem, jakich pełno na transatlantyckich lotach. Ubrany beztrosko, ale z drogą sportową elegancją, pachniał dobrą wodą kolońską, której równie daleko było do old spicea, co do nowoczesnych słodkawych zapachów, jakich używają mężczyźni w różowych koszulach i fordach focusach.

Doktor Zofia Lorentz pomyślała, że trafił jej się fajny sąsiad. Byleby tylko nie był zbyt gadatliwy.

Jakby słysząc jej myśli, nieznajomy wyciągnął z torby książkę. No proszę, pomyślała i zadrżała, kiedy zerknęła na tytuł.

Sąsiad założył okulary i otworzył powieść Christophera Brookmyrea *The Sacred Art of Stealing*.

Po przeczytaniu całego śmiertelnie nudnego wydania „Polityki” i dwustu stron opowiadań Alice Munro Zofia Lorentz żałowała, że postanowiła nadrabiać wykształciuchowe braki, zamiast wziąć Tess Gerritsen i pozwolić, żeby przy medycznym thrillerze podróż za ocean minęła jak trzy przystanki tramwajowe. Munro była może i ładnie napisana, ale wysilona i Lorentz cały czas miała wrażenie, że zamiast bohaterów widzi osobę autorki, która bardzo się stara, żeby napisać naprawdę dobrą, głęboką prozę. Przy Cormacu i Rocie miała

tak samo, pretensja, i tyle.

Karol postanowił ostentacyjnie ją zignorować, odkąd na porannego esemesa: „To gdzie się spotykamy?” odpisała: „NYC”. Siedział w środkowej partii foteli, kilka rzędów przed nią, koło jakiejś Amerykanki, którą czarował swoim brytyjskim akcentem, bawiąc się w naśladowanie Hugh Granta. Amerykanka była wniebowzięta. Przechodząc obok nich w drodze do łazienki, Zofia usłyszała strzęp dialogu.

- Nie, to niemożliwe... Pracujesz pewnie dla jakiejś korporacji. Nie można być zawodowym Indianą Jonesem. Bajerujesz mnie, Charlie, niegrzeczny Charlie...

Usłyszawszy zalotne amerykańskie „Charlie”, wypowiedziane tak, jakby ktoś zamawiał bardzo słodki deser, dostała ataku mdłości i musiała szybko wrócić na swoje miejsce.

- Powieść czy podręcznik? - zagadnęła sąsiada, wskazując na okładkę.

- Oczywiście, że podręcznik - odpowiedział, zdejmując okulary. - My, zawodowi złodzieje, musimy się stale doksztalać. Na szczęście odkąd dostępne są takie podręczniki, wszystko jest znacznie łatwiejsze. A pani czym się zajmuje?

Roześmiała się.

- Nie uwierzy pan. Moja praca polega na poszukiwaniu skradzionych Polsce dzieł sztuki.

- A więc skoro ja kradnę tylko biżuterię, to chyba mogę czuć się bezpiecznie?

- Tylko jeśli biżuteria nie jest zabytkowa.

Zagiął róg swojej powieści w miejscu, w którym czytał, i schował książkę.

- Naprawdę ma pani taką pracę?

- Naprawdę. Ale to tylko romantycznie brzmi, jestem po prostu urzędniczką w ministerstwie.

- Ministerstwie? Chyba w policji?

- Nie, w Polsce to trochę bardziej skomplikowane. Oczywiście policja szuka skradzionych dzieł, ja się bardziej zajmuję tymi, które zniknęły w czasie wojny.

Nieznajomy wyglądał na naprawdę zainteresowanego, a ona poczuła, że się wdzięczy. Dlaczego tak jej zależało, żeby zrobić wrażenie na tym facecie? Nie chciała być gorsza od Karola?

- Ale chyba nie może być tego wiele. Widziałem film dokumentalny o jakiejś specjalnej jednostce Amerykanów, którzy wszystko znaleźli i oddali.

- Tak, Monuments Men.

- O, właśnie.

- Faktycznie, alianci znaleźli kopalnie pełne dzieł sztuki, dziesiątki kilometrów korytarzy pełne skrzyń, obrazów, rzeźb, złota, największych skarbów ze wszystkich podbitych krajów. Czasami myślę, że Niemcy więcej czasu poświęcili na kradzież i kupowanie dzieł sztuki niż na wojnę.

- Jak to: kupowanie? Myślałem, że po prostu wszystko ukradli. Schlebiało jej jego zainteresowanie.

- Niemcy dzielili narody na lepsze i gorsze. Czyli na przykład w Polsce, kraju podludzi i niewolników, brali wszystko jak swoje. To znaczy nie tyle brali, co „zabezpieczali”, żeby uchronić dziedzictwo europejskiej kultury przed dzikimi słowiańskimi ludami. Ale już w Holandii i Francji było inaczej. Na początku „zabezpieczali” żydowskie kolekcje, ale potem się powstrzymali, bo na Zachodzie chcieli uchodzić za światłych panów, nie za rzeźników. I ruszyli do antykwariatów, gdzie wydali miliardy marek na swoich ulubionych malarzy. Dla marszandów w Paryżu i Amsterdamie to był najlepszy okres w dziejach sztuki. Jak Amerykanie pogonili Niemców, to wszyscy tam płakali rzewnymi łzami.

- Żartuje pani?

- Bynajmniej. Przecież to wtedy powstały słynne fałszywki Vermeera, tak dobre, że dziś uznaje się je za dzieła sztuki. Marszałek Góring miał taką obsesję na punkcie malarza, że było wiadomo, że kupi każdego Vermeera za każde pieniądze. Najważniejsi naziści kupowali przez pośredników dla siebie, ci mniej ważni po to, żeby dawać łapówki ważniejszym, nigdy interes nie kręcił się tak dobrze jak wtedy. Niemcy przymykali oko nawet na żydowskie pochodzenie handlarzy, jeśli tylko mieli dobry towar.

- No dobrze, ale dzieła w Polsce zostały skradzione, wywiezione do Niemiec i potem Amerykanie wam je oddali, tak?

- W skrócie. Ale sześćdziesięciu tysięcy zabytków ciągle brakuje. Wartych, lekko licząc, około dwudziestu miliardów dolarów.

- Słucham?! Ale jak to? Gdzie to może być?

- Wszędzie. Część na pewno udało się Niemcom ukryć. Część została zniszczona celowo lub przypadkiem w czasie działań wojennych. Trochę zabrali alianci, mnóstwo Sowieci, część rozkradła ludność w różnych miejscach Europy, korzystając z zamieszania. Ciągle dużo tego wypływa na aukcjach i w antykwariatach, ale co cenniejsze wędrują pewnie po czarnym rynku.

- Niezwykła historia. I pani kieruje departamentem, który się tym zajmuje, czy w nim pracuje?

- Jedno i drugie.

- Jak to?

- To jednoosobowa komórka polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Nieznajomy pokręcił z niedowierzaniem głową. Temat mu się spodobał, bo postanowił zabłysnąć.

- Może znajdzie pani przy okazji te wszystkie zaginione kontynenty, których szukali naziści. Wie pani, Szambala, Hiperborea, Thule.

Skrzywiła się.

- Szukam zabytków, nie tematów do powieści sensacyjnej.

- Myślałem, że naziści szukali w Tybecie zaginionych cywilizacji.

- Rzeczywiście mieli taką organizację Ahnenerbe, dziedzictwo przodków. Himmler tropił na całym świecie ślady starożytnej germańskiej potęgi, w Tybecie też. Nawet Hitler się z niego śmiał.

- Dlaczego?

- Bo to było z pewnego punktu widzenia śmieszne. Himmler i jego Ahnenerbe ekscytowali się tym, że znaleźli gdzieś jakąś kamienną siekierkę, dowodzili, że to ślad supremacji ludów Północy. Tyle tylko że każdy średnio wykształcony człowiek wie, że kiedy Północ produkowała kamienne siekierki, to wokół Morza Śródziemnego kwitły wspaniałe, rozwinięte cywilizacje. Literatura, filozofia, prawo, sztuka. A tam siekierki. Pod tym względem Himmler specjalnie się nie przysługiwał sprawie. Ale miał inne zalety.

- Na przykład?

- Był bardzo dokładnym i skutecznym masowym mordercą.

- Wariat?

- Najgorszy ze wszystkich. Inni to robili dla władzy i pieniędzy, chcieli być panami nowego świata. On naprawdę wierzył, że rasa aryjska panowała kiedyś nad całym światem, a Żydzi stoją na ich drodze do odzyskania swojego globalnego królestwa. Hitler to był przy nim normalny człowiek, ot, dyktator, jakich wiele, który zbudował sobie za dużo czołgów i mu się klepki poprzestawiały. Himmler był wcielonym złem. Gdybym była wierząca, powiedziałabym, że to antymesjasz, inkarnacja Lucyfera.

- Mocne słowa.

- Może za dobrze znam historię, czasami taka wiedza to przekleństwo. Powiem tak: gdybym miała wehikuł czasu i stanęła nad kołyską Hitlera, powiedziałabym jego rodzicom: znajdźcie mu dobrego nauczyciela malarstwa, inaczej będzie nieszczęśliwy i wredny. Jakbym stanęła nad kołyską Himmlera, zaczęłabym, aż rodzice wyjdą, a po jej własnymi rękami zadusiła niemowlę. I powieka by mi nie drgnęła-



- Naprawdę powiedziałem wcześniej: mocne słowa? Nieznajomy zrobił tak komicznie przerażoną minę, że Lorentz parsknęła śmiechem. Pomyślała, że jest przystojny, nawet bardzo przystojny. W taki klasyczny męski, chropowaty sposób, który nie potrzebuje dobrego krawca, modnego fryzjera i kosmetyczki. Wystarczy odrobina mydła, dżinsy i lniana koszula, żeby większość kobiet poczuła miłe ciepło pod mostkiem. To była uroda myśliwego z bezdroży, nie współczesnego bladego mężczyzny w prześwitującej koszulce, który cierpi na nerwice i niepokoje, dopóki nie podepnie się go do kroplówki z caffè? latte.

Przyszło jej na myśl, że Karol reprezentuje dokładnie ten sam typ urody.

- A pan kogo ostatnio okradł? - Zmieniła temat. - Jeśli to nie tajemnica.

- Szczerze? - Aha.

- Jedną waszą firmę telekomunikacyjną.

- Krzywda jej się na pewno nie stała. Jak?

- Wynegocjowałem umowę z moim klientem, który produkuje telefony komórkowe. To nie było trudne, w tej części Europy wszyscy są niecierpliwi i krótkowzroczni, polityków i prezesów nie interesuje nic, co wykracza poza horyzont kadencji. Więc wystarczy położyć na stół jakąś spektakularną, natychmiastową korzyść, żeby wygrać w negocjacjach. Tam, skąd pochodzę, myśli się inaczej, w perspektywie kilkunastu, kilkudziesięciu lat. Zgodziłaby się pani kupować obowiązkowo przez dziesięć lat buty tej samej firmy bez względu na ich jakość i cenę tylko dlatego, że teraz dam pani jedną parę za darmo?

- Oczywiście nie.

- No to jako obywatelka Europy Środkowo-Wschodniej jest pani w mniejszości. Mam wrażenie, że macie skłonności do pakowania się w różne kłopoty i awantury tylko dlatego, że umyka wam, jak straszne mogą być konsekwencje. Szukacie czegoś, żeby podeprzeć stół, i wyjmujecie z muru cegłę, od czego wali się cały dom.

Ostatnie zdanie nieznajomy wypowiedział tak poważnie, że zabrzmiało jak groźba.

- Uogólnienia zawsze są kłamstwem, podobnie jak ludowe mądrości - skomentowała.

- A skąd pan pochodzi? Mam wrażenie, że angielszczyzna jest dla pana językiem ojczystym, a jednak słyszę jakiś akcent, którego nie potrafię umiejscowić. Przepraszam, jeśli to zabrzmiało niegrzecznie.

- Ależ skąd. - Przystojny nieznajomy sięgnął do kieszeni bluzy i wyjął elegancki wizytownik.

Zofia wzięła od niego kartonik i przeczytała: Jasper Leong. Negotiating Consultant, i Austin Road West, Kowloon, Hongkong.

ROZDZIAŁ TRZECI

New Rochelle

1

Karol się spisał. Załatwił im mieszkanie w starej pięciokondygnacyjnej kamienicy na Dolnym Manhattanie, na Mercer Street, zaraz obok Houston Street. Budynek wyglądał jak z filmów o Alu Capone. Fasada z czerwonej cegły, oszpecona schodami przeciwpożarowymi, ogromne okna, żeliwne wykończenie, tak charakterystyczne dla dziewiętnastowiecznej architektury ery industrialnej. Kilkadziesiąt lat wcześniej pewnie szumiały tu krosna, teraz na dole był sklep z ciuchami i nowojorska hipsterska kawiarnia, gdzie na stolikach produkty firmy Apple toczyły niekończący się bój o miejsce z muffinkami i kubkami latte. Wstydziłyby się tam wyciągnąć swoją nokię. Na górze mieściły się ogromne, warte majątek lofty i właśnie w jednym z nich dzięki koneksjom Karola mieli swoją bazę operacyjną.

Mieszkanie należało do wziętego malarza, chwilowo balującego razem z żoną w Europie. Ogromne, wysokie na pięć metrów, musiało mieć ze czterysta metrów powierzchni. Żeliwna konstrukcja budynku sprawiła, że nie było tu ścian nośnych, jedynie kilka wąskich kolumn, co pozwalało na dużą swobodę w projektowaniu wnętrza. Gospodarze urządzili to w ten sposób, że ponad połowę mieszkania zajmowało jedno ogromne pomieszczenie, będące jednocześnie malarskim atelier, salonem, kuchnią i biblioteką - i ciągle zostawało wystarczająco wiele miejsca, żeby urządzać wyścigi na rowerach. Wnętrze było doświetlone zajmującymi dwie ściany oknami, sięgającymi prawie od podłogi do sufitu.

W dalszej części loftu mieściły się dwie łazienki i cztery sypialnie, położone na dwóch poziomach. Wysokość kondygnacji wykorzystano, żeby sypialnie ustawić na sobie jak klocki - dwie na dole i dwie na górze, do tych wyżej wchodziło się po krótkich schodach. Proste, urządzone po spartańsku, wyglądały na nieużywane pokoje gościnne. Podobno gospodarze woleli spać w głównej sali, którą nazywali artectory od połączenia angielskich słów oznaczających sztukę i refektarz.

Karol już po dwóch dniach opanował obsługę ekspresu, dziwnego chromowanego reliktu lat pięćdziesiątych, i teraz siedzieli we czwórkę przy stole jadalnym, popijając czarną kawę.

- Zanim zaczniemy - doktor Zofia Lorentz brzmiała wyjątkowo poważnie - ostatni raz zapytam, czy wszyscy wiedzą, w co się pakujemy, i się na to zgadzają. Od tej pory każde nasze działanie może zostać potraktowane przez amerykańskie władze jako udział w przestępstwie lub w próbie popełnienia przestępstwa. W razie problemów nasi nawet nie kiwną palcem ze strachu, żeby nie rozdrażnić sojusznika. Więc jeśli ktoś chce się wycofać, to jest ostatni moment.

Spojrzała uważnie na Karola, na Gmitruka, który chyba miał na sobie ten sam garnitur co ostatnio, oraz na Lisę.

- Nie każda może strzelić z glana - powiedziała.

- Jeśli ktoś planuje wywinąć jakiś numer, który narazi wszystkich, też wolałabym o tym wiedzieć teraz. - Lorentz powiedziała to, patrząc na Lisę.

- Że niby do mnie ta nawijka? - Szwedka wstała i przeciągnęła się zupełnie niearystokratycznie. - Mój wybór to prosty. Opierdolę jak najszybciej, co jest do opierdole, i mogę być tutaj, muszę tylko oddać polski paszport. Taka to umowa. Coś spieprzę, to mięcy, między, mięsy... damn, International search warrant. I idę na dłuższe posiedzenie. Więc nie będzie żaden numer. Aha, i weź sobie smycz, gadu jeden.

Mówiąc ostatnie słowa, rzuciła Gmitrukowi swoją bransoletkę, która cały czas wysyłała sygnały do systemu dozoru elektronicznego. Anatol złapał ją w locie, twarz mu stężała i Lorentz zobaczyła w nim przez chwilę zaprawionego w bojach wojskowego, a nie niskiego mężczyznę o odstających uszach.

- Nie jestem twoim klawiszem, złodziejko - warknął. - Uważaj na słowa.

- Mój polski... - zaczęła.

- Din polska?r mycket b?ttre?n vad du vili att vi ska tro - wpadł jej w słowo Gmitruk, a Lorentz i Karol wymienili zdziwione spojrzenia. - S?j?vlas inte med mig. F?rstatt?

Przez chwilę złodziejka i komandos mierzyli się wzrokiem.

- Tego nie da się zdjąć bez specjalnego urządzenia - powiedział w końcu Gmitruk. - Jak to zrobiłaś?

Lisa tylko wzruszyła ramionami.

Gmitruk odpuścił, otworzył swoją walizkę i wyciągnął z niej torbę pełną identycznych, niewielkich telefonów komórkowych.

- Od teraz wasze telefony mają być w hotelowych sejfach, nie przynosicie ich tutaj i na pewno nie bierzcie w teren, wieczorami możecie dzwonić do rodzin, żeby pogadać o bzdetach, to nawet jest wskazane. Każdy z was dostanie teraz nowy telefon, są tam wpisane numery do wszystkich. Jutro wieczorem wymienimy je na nowe i tak codziennie. W czasie rozmów nie używamy słów powszechnie uznawanych za powiązane ze sferą przestępczą, zwłaszcza po angielsku, o portrecie nie mówimy inaczej niż Młody. Jasne?

Pokiwali głowami.

Zofia Lorentz otworzyła swój komputer, wpięła w jeden z portów klucz USB i poprosiła Gmitruka, żeby obok wpiął swój. Dopiero ta kombinacja gwarantowała, że po podaniu odpowiednich haseł będzie można odczytać zaszyfrowane dane. Dłuższą chwilę

patrzyli na paski postępu, potem Zofia otworzyła właściwy folder.

Pokazała im zdjęcie mężczyzny około siedemdziesiątki, które wyglądało jak zrobione do lokalnej gazety. Stał uśmiechnięty przed jakąś biblioteką, otoczony gromadką ludzi. Postawny, z brzuszkiem, o mlecznych włosach pożyczonych na łysinę i amerykańskim uśmiechu przypominał polityka. Wypisz wymaluj John McCain, tylko bardziej przy kości.

- To jest pan Darren Richmond - zaczęła Lorentz - obecny posiadacz Młodego. Wygląda na polityka, ale jest tylko związany z politykami, jak to w wielkim biznesie. Bliski przyjaciel obecnego wiceprezydenta, obaj pochodzą z Pensylwanii, razem studiowali na uniwersytecie w Newark, gdzie raczej naprzemiennie uprawiali sport i imprezowali, niż rzeczywiście się uczyli. Ale są z bogatych domów, więc wyszli na ludzi, tatusiowie pomogli.

- W czym siedzi? - spytał Karol.

- Przemysł drzewny. Tartaki tutaj i w Kanadzie, jedna drobna afera o wycinkę paru hektarów obszaru chronionego, ale wyszedł obronną ręką. Filantrop, wymyślił sobie, że skoro jest związany z przemysłem drzewnym, to będzie finansował różne przedsięwzięcia związane z książkami. Ma fundację, która przyznaje stypendia literackie, finansuje biblioteki, programy promujące czytelnictwo. Sam dość odczytany, podobno kolekcjonuje też różne pierwsze wydania.

- Starodruki?

- Pierwsze wydania. Chociaż z amerykańskiego punktu widzenia pierwsze wydanie Tomka Sawyera to starodruk.

- Więc skąd Młody?

- Oficjalnie interesują go książki, w Pensylwanii ma nawet coś w rodzaju muzeum literatury, które udostępnił zwiedzającym. Ale wie, co jest najlepszą lokatą. Jego nazwisko pojawiło się kilka razy na aukcjach dekadę temu, potem zniknęło, być może kupował przez pośredników. Amerykańscy impresjoniści, pomniejsi europejscy malarze z dziewiętnastego wieku. Ale nie starych mistrzów. Może Młody to prezent, może go odziedziczył, ojciec Richmonda był oficerem i brał udział w operacji „Market Garden” w Europie. Nie znalazłam dowodów, żeby był potem w Niemczech lub żeby był związany z Monuments Men, ale kto wie. Może kupiony jako inwestycja. To w sumie nieważne, nie przyjechaliśmy tutaj wypełniać luk w proveniencji, tylko... - spojrzała na Gmitruka - zabezpieczyć naszego drogiego młodego przyjaciela.

- A gdzie to nasz przyjaciel? - zapytała Lisa.

- Richmond ma domy i mieszkania w kilku miejscach, w tym rodową rezydencję w Pensylwanii i apartament w Waszyngtonie, choć najczęściej siedzi albo w swoich tartakach,

albo w gulfstreamie, którym przemieszcza się pomiędzy nimi. Nas interesuje jednak jego ulubione miejsce, nazwijmy je samotnią, czyli posiadłość w New Rochelle, plus minus trzydzieści mil od Nowego Jorku.

- Samotnia to okej - skomentowała Lisa. - Lepiej niż chata do ciągnięcia druta albo stara i pięć bachorów.

Gmitruk głośno westchnął, ale nic nie powiedział.

- Co, nie mam racji? - spytała Szwedka.

- Masz, oczywiście, że masz, czasami tylko twój dobór słów jest dla nas zaskakujący.

- Lorentz pomyślała, zupełnie jak wcześniej Karol, że współdziałanie ich czwórki może być najtrudniejszym elementem całego przedsięwzięcia. - Posiadłość Richmonda znajduje się w Rochelle Heights. To dość wyjątkowe miejsce, jedno z pierwszych eleganckich osiedli podmiejskich w Stanach, zaprojektowane na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Parkowe założenie, duże działki, przestronne domy w stylu wiktoriańskim lub kolonialnym. Z ich punktu widzenia to zabytek klasy zero, jak dzielnica renesansowych pałaców w Europie. Wygląda tak.

Pokazała im zdjęcia osiedla z lotu ptaka i zrobione z ulicy fotografie poszczególnych posiadłości. Rzeczywiście, Rochelle Heights tworzyły albo trzykondygnacyjne domy z czerwonej cegły i z wystającymi kominami, trochę w stylu małych angielskich miasteczek, albo rozległe rezydencje ze wspartymi na kolumnach werandami, obłożone kamieniem i pomalowanym na biało drewnianym sidingiem. Otoczone były pięknymi, starymi drzewami.

- Dziwna nazwa, New Rochelle - mruknął Karol.

- Od La Rochelle we Francji, pamiętacie Dumasa. Tamtejsi protestanci musieli uciekać przed katolikami i prysnęli do Nowego Świata. Stąd nazwa.

- Gated community? - spytała Lisa.

- Nie. Ma charakter zamkniętego osiedla, ale ochrona konserwatorska nie pozwala, żeby bogacze schowali się za murami albo wysokimi płotami. To oczywiście dobra wiadomość. Zła jest taka, że mają dość licznych prywatnych ochroniarzy, którzy regularnie patrolują okolicę. Spójrzcie, tak wygląda obecne mieszkanie Młodego.

Dom nie był ogromny, ale zabytkowy i naprawdę piękny. Lorentz rozumiała, dlaczego Richmond wolał takie miejsce niż nowobogacki pałac nad oceanem z krytym basenem i kortem tenisowym. Też by wolała ten skromny, ale obszerny dom schowany za rozłożystymi klonami, cały z szarego kamienia, kryty łupkiem w podobnym kolorze, z którym ładnie kontrastowały zielone okiennice oraz gęsto porośnięty winem masywny komin. Dom był wybudowany na planie kwadratu i miał prostą bryłę, dużo okien, w tym trzy mansardowe, z

boku znajdowało się coś w rodzaju ogrodu zimowego. Ten styl nazywano tutaj Tudor revival. Wyobrażała sobie, że w środku są ciemne parkiety i masywne, zakręcające schody, po których kiedyś schodziły kobiety w sukniach ze stójkowymi kołnierzami.

- Nie rozumiem - usłyszała wiszącego tuż nad jej ramieniem Karola, zirytowała ją niby przypadkowa bliskość. - Gość jest bogatym Amerykaninem, teoretycznie powinien zbudować sobie pałac na własnej wyspie, z polem golfowym i ochroną patrolującą jego hektary z helikoptera. Ale facet ma gust i kupuje tudora w Nowej Anglii. A potem maluje w nim ściany na pomarańczowo i wiesza na nich jeden z dwóch najsztywniejszych renesansowych portretów świata, w dodatku obok telewizora. To jakiś wariat.

- Bez znaczenia. - Lisa wyraźnie przestawiła się na tryb zadaniowy. - Jaka to adres?

-12, Serpentine, New Rochelle.

- Ten cud polski szpiegi ma internet? - spytała, wskazując swój nowy telefon.

- Jest dwudziesty pierwszy wiek - odpowiedział Gmitruk z nieporuszoną miną, choć nie dało się ukryć, że Szwedka działa mu na nerwy.

- Poszukam wolny kwadrat - powiedziała, klikając coś w telefonie.

- Jesteś na jutro umówiona z agentką, żeby obejrzeć nieruchomość trzy posesje dalej - rzuciła w jej kierunku Lorentz. - Bardzo ci się spodobał dom z ogłoszenia i bardzo chcielibyście go z mężem obejrzeć. Mąż jest Brytyjczykiem, ostatnie kilka lat mieszkaliście w Europie, a teraz zamierzacie się przenieść tutaj. Dlatego wam odpowiada ta rudera, bo to tak jakbyście mieszkali w Anglii, tylko na przedmieściach Nowego Jorku. Dostaniesz pieniądze na auto, dobre ciuchy i niezbędne działania.

Lisa schowała telefon i spojrzała na Lorentz, po raz pierwszy z szacunkiem.

- Anatol będzie twoim mężem, we dwójkę macie rozpoznać teren.

- Wolę mój mąż Karol. Anatol lepszy, ale gad nie patrzy jak mój mąż.

2

Przejechali przez Bronx i wjechali na autostradę 1-95, przecinającą całe wschodnie wybrzeże Stanów, od Florydy na południu po granicę z Kanadą w Maine.

- Na luksusowe dzielnice to mi nie wygląda - mruknęła Lisa po angielsku.

Przytaknął skinieniem głowy. Jechali przez ponure blokowiska, rozległe parkingi, tereny przemysłowe, złomowiska i ustawione na gigantycznych słupach reklamy i bynajmniej nie wyglądało to na ekskluzywne przedmieścia stolicy świata. Dopiero gdy minęli rzekę Hutchinson, zrobiło się ładniej, po obu stronach wyrósł las.

Samo New Rochelle wyglądało na początku nieciekawie. Niska zabudowa, grubi Murzyni w dresach siedzący na ławeczkach przed knajpami z hinduskim jedzeniem, salon

piękności Olga z neonowym szyldem, pralnia samoobsługowa. Ale nagle zrobiło się pięknie. Na 5th Ave już było fajnie, na Hamilton Ave ślicznie, a meandrująca między ukrytymi w małych parkach rezydencjami Serpentine była bajkowa. Nic dziwnego, że dom, który mieli obejrzeć - choć w kryzysie, choć niewielki jak na amerykańskie standardy i na dodatek do remontu - kosztował półtora miliona dolarów.

Zatrzymał wynajętego suburbana przy tabliczce biura nieruchomości ze sloganem „New York - New Home - New Life”. Lisa szturchnęła go i wskazała w głąb ulicy. Sto metrów dalej, między drzewami, stała rezydencja Richmonda. Nie zdążył skomentować, ponieważ w tej samej chwili drzwi od jego strony otworzyły się gwałtownie na oścież. Zdumiał się, na zewnątrz nikogo nie było.

- Ty musisz być Charlie! Jak ja uwielbiam brytyjski akcent, jest taki uroczy!

Spuścił wzrok. Obok suburbana stała karlica, niemająca więcej jak metr trzydzieści wzrostu, tak radośnie uśmiechnięta, jakby tylko od niej zależało, czy przetrwa opinia o Amerykanach jako wiecznie wyszczerzonej nacji, pytającej z wielkim przejęciem: „Jak leci?” każdego nowo poznanego człowieka.

- A ty jesteś Rachel! - Karlica musiała podskoczyć, żeby zobaczyć Lisę siedzącą z drugiej strony ogromnego auta. - Jestem Bridget. Jak leci? Wszystko w porządku?

- W jak najlepszym, słodziutka! A co u ciebie, mam nadzieję, że sprzedałaś już dziś jakiś pałac przystojnemu szejkowi! - odkrzyknęła Szwedka z amerykańską emfazą.

Bridget zaniósła się takim śmiechem, jakby w życiu nie słyszała lepszego dowcipu. A Karol poczuł się nieswojo, gdy tak siedział za kierownicą i patrzył z wysoka na malutką kobietę. Zeskoczył i przedstawił się jako Charlie Walters, naśladowując angielski akcent. Bridget teatralnie klasnęła w dłonie i spojrzała na niego z taką dawką kokieterii, że nie mógł się nie roześmiać. Wielokrotnie słyszał ludzi krytykujących fałszywą amerykańską serdeczność. Ale chyba wolał świat udawanej serdeczności niż autentycznej i płynącej z głębi duszy europejskiej frustracji.

Bridget, nieustannie szczebiocząc, jak na rasową pośredniczkę nieruchomości przystało, zaprowadziła ich do posiadłości. Po drodze opowiedziała o wadach domu w taki sposób, że każda brzmiała jak zaleta, a Karol poczuł się naprawdę wyjątkowym klientem.

- Trochę się martwię o sprzedaż tego zamku, bo wygląda inaczej niż zwykle amerykańskie domy. Salon przypomina bardziej salę balową z wielkim kominkiem, okna są ogromne jak w kościele, a zamiast zwykłego ogródka jest stary park. A zwyczajni ludzie wolą tak normalnie: weranda, ogródek, salon z kuchnią, pośrodku barek. A tutaj... Zresztą sami zobaczcie.

Weszli do środka i zaczęli się rozglądać. Był to całkiem ładny dom w stylu kolonialnym z początku dwudziestego wieku, wymagający renowacji, ale ze świetnym klimatem, kojarzył się Karolowi z nawiedzonymi domami amerykańskich horrorów.

- Cudowny park - powiedział, stojąc przy oknie do ogrodu. - Nie sądziłem, że zobaczę coś takiego poza Anglią. Teraz wystarczy jeszcze pielęgnować trawnik przez pięćset lat i będzie jak w domu.

- Och, proszę, nie przestawaj mówić! - Bridget zaśmiała się, a on nagle zdał sobie sprawę, że bardzo chce na niej zrobić dobre wrażenie, ponieważ ta sięgająca mu do pępka kobieta, na oko tuż przed trzydziestką, jest najbardziej pociągającym kłębkim radosnej seksualności, jaki kiedykolwiek widział. Stała przed nim i zrozumiał, że ona wie, o czym on myśli. Oparła się ramieniem o parapet, skrzyżowała nogi na monstrualnych - jakżeby inaczej - obcasach i spojrzała na niego zalotnie.

Lisa podeszła i objęła go ramieniem.

- Wiem, wiem, też mnie na to wziął, ci Brytyjczycy, szlag by ich. Ile jest łazienek?

- W sumie trzy. Jedna na dole, jedna na górze i jedna tylko dla głównej sypialni. I trzy kominki. W salonie, w jadalni i jeden w głównej sypialni.

- Co sądzisz? - zwróciła się do niego.

- Że łatwo będzie ugasić pożar w sypialni. Oderwał się od obu kobiet i zaczął krążyć po pokoju.

- Bridget, czy mogę mieć do ciebie prośbę? - zapytał.

- Twoje życzenie to dla mnie rozkaz - odpowiedziała niskim głosem, który sprawił, że musiał przełknąć ślinę.

- Takich decyzji nie podejmuje się ot tak, po pięciominutowym spacerze. Jest też możliwość wynajmu tego domu, prawda?

- Jest. Tyle tylko, że właściciele nie zrobią remontu, więc bylibyście zdani na siebie.

- Jasne. Myślę, że go wynajmiemy, ale - zawahał się - wiem, że to nietypowa prośba, ale czy moglibyśmy tu zostać do jutra? Zrozumiemy, jeśli odmówisz, nie znasz nas przecież, ale nam się to zawsze sprawdzało. Trzeba gdzieś spędzić noc, żeby sprawdzić miejsce.

W oczach karlicy zagrały wesołe ogniki.

- Ech, wy, niegrzeczni Europejczycy. Rozumiem was oczywiście, ale nie mamy takiego zwyczaju...

Karol, jako nieodrodny syn słowiańskiego narodu, wiedział, co należy zrobić.

- Zdajemy sobie sprawę, że prosimy o wiele. Dlatego chętnie podpiszemy jakiś kwit, że nie wyniesiemy - rozejrzał się - żadnego z trzech kominków. I zapłacimy za usługę, ile



wasza firma uzna za stosowne.

Wyciągnął portfel i podrapał się po głowie.

- Czy trzysta dolarów w gotówce wystarczy? - zapytał.

Bridget eleganckim ruchem wyjęła mu banknoty z dłoni i schowała je do swojej teczki z dokumentami.

- Kluczy wam nie zostawię i jedno z was ma być zawsze tutaj, dobrze? Widzimy się jutro o ósmej rano. - Mrugnęła do nich i wyszła, kołyszając tyłkiem.

Kiedy drzwi trzasnęły, odwrócił się do Lisy. Szwedka skrzyżowała ręce na piersiach i patrzyła na niego z naganą.

- Naprawdę, Charlie? Wzruszył ramionami.

- Nie podniecaj się tak następnym razem, bo ci akcent ginie. Na szczęście braki w wymowie nadrobiłeś dolarami.

Przed zmrokiem pospacerowali po okolicy, wyglupiając się do aparatu. Każdy postronny obserwator wziąłby ich za przeżywającą drugą młodość zakochaną parę. Lisa nawet była na tyle bezczelna, że poprosiła przechodzący patrol ochrony o zrobienie im zdjęcia na tle rezydencji Richmonda.

- To taki piękny dom i taka piękna okolica, o mój Boże, naprawdę chciałabym tu mieszkać!

Przy okazji zamienili parę słów z ochroniarzami. Byli to krępi Latynosi, uzbrojeni, bardzo konkretni i wyglądający na bystrych. Około czterdziestki, zapewne ludzie, którzy odeszli z wojska lub z policji do lepiej płatnej pracy w PMC - Private Military Company. Armie najemników schowane za szyldami firm ochroniarskich były w Stanach potężne, do tego stopnia że niektórym powierzano zadania tak istotne, jak ochrona amerykańskiej ambasady w Bagdadzie. Krążyły też plotki, że administracja wykorzystuje PMC do zlecania im zadań, na których wykonywaniu nie powinni zostać przyłapani żołnierze armii amerykańskiej.

Ci tutaj, z naszymi „Raven” i czarnoczerwonym, logo na rękawach, wyglądali mniej na najemników, a bardziej na podrasowanych polskich ochroniarzy z supermarketów. Ale porządnie podrasowanych. Mundury mieli dopasowane, robili wrażenie sprawnych fizycznie, a obok kajdanek mieli przypięte pistolety, które nie wyglądały na zabawki. Karol i Lisa uznali je po prostu za pistolety, Anatol rozpoznałby od razu, że to nie była zwykła broń krótka, tylko półautomatyczny pistolet Heckler & Koch Mk23. Od połowy lat dziewięćdziesiątych podstawowe uzbrojenie wszystkich amerykańskich sił specjalnych nadzorowanych przez SOCOM, w tym słynnych oddziałów Delta oraz SEAL, był także na

wyposażeniu polskiego oddziału GROM. Anatolowi dałoby do myślenia, dlaczego taka broń, na dodatek z używanym przez wojsko laserowym celownikiem firmy Insight Technology, zdobi kabury podmiejskich dziadków parkingowych.

Niestety Anatol został w Nowym Jorku, ponieważ dla Lisy „nie Patrzył” wystarczająco dobrze na jej męża. Siedział w pokoju hotelowym, przepisując i redagując w kółko list do swojej żony, i prawdę mówiąc, nie poświęcił ani jednej myśli temu, co mogło się dziać w New Rochelle.

- Trochę mnie martwi, że nie ma tutaj ogrodzeń. Jednak wcześniej jechaliśmy przez podejrzaną okolicę - szczebiotą Lisa, obejmując ramię Karola.

- Proszę pani, proszę mi wierzyć, to jest równie bezpieczny kawałek Stanów Zjednoczonych, co trawnik przed Białym Domem. - Domingo Chavez kołysał się w przód i w tył na szeroko rozstawionych nogach. - Jak się państwo wprowadzą, przedstawimy dokładną ofertę, ale nasza firma specjalizuje się w dyskretnej ochronie. Jest dwudziesty pierwszy wiek, mamy dobry monitoring i szybka reakcja jest warta więcej niż mur. Mur działa w obie strony. Trudno się do rezydencji dostać, ale też trudno z niej uciec. Nie chciałyby pani chyba patrzeć, jak pani córka nie może uciec przed gwałcicielem, bo na jej drodze stoi ściana, którą pani postawiła dla jej bezpieczeństwa. Prawda, proszę pani?

- Prawda - potwierdziła zaskoczona jego wizją Lisa.

- Wolałyby pani, żeby ktoś się pojawił, zrobił maniakowi trzecie oko pośrodku czoła, poprawił maleństwu sukienkę i zaniósł nietknięte maleństwo do domu. Prawda, proszę pani? - Chavez pogładził rękojeść pistoletu.

Tym razem Lisa tylko skinęła głową.

- Przepraszam, jeśli jestem zbyt obrazowy, ale nienawidzę gwałcicieli. To śmieci. Nie są państwo prawnikami, prawda?

- Nie. Mąż jest bankierem.

- A, bankier - powiedział to takim tonem, jakby przed jego przymkniętymi oczami przedfilowały właśnie wszystkie ofiary światowego kryzysu. - To lepiej niż prawnik. Trochę tylko szkoda, że muszę robić I na dwie zmiany, żeby spłacić hipotekę, ale cóż, takie czasy. Tak czy i owak, miłego popołudnia. Wyglądacie na miłą parę. I nie martwcie się, zajmujemy się wami.

- To jakiś wariat - powiedział Karol, kiedy Chavez zniknął za zakrętem ulicy, przedtem jeszcze pozdrawiając ich salutem. - Ja tu nie I chcę mieszkać, nie ma mowy.

- Ale ty nie masz tutaj mieszkać, Charlie. Masz dokonać zuchwałej kradzieży z włamaniami.

- A, to co innego.

Po zmroku zainstalowali się w głównej sypialni. Na dole zostawili zapalone światło, na wypadek gdyby Bridget postanowiła przejechać obok i sprawdzić, czy właśnie nie urządzają imprezy na trzysta osób - po dolarze od łebka, żeby wyjść na zero. W sypialni jedynym źródłem światła była mała czołówka Lisy, przy której montowała swój sprzęt. Lustrzanka, kilka obiektywów, w tym jeden o rozmiarach wiadra i jeden z kablami zasilającymi do noktowizji, kamera termowizyjna w kształcie suszarki używanej przez drogówkę, teleskop jak do obserwacji powierzchni Księżyca. Wszystko podłączone przez hub USB do niewielkiego netbooka.

- Czego szukamy? - spytał krzątającą się przy sprzęcie Lisę.

Od wyjazdu z Nowego Jorku rozmawiali po angielsku, uznali, że tak jest prościej.

- Błędów - odpowiedziała. - Błędów, które ma każdy system bezpieczeństwa w wyniku kompromisów. Trzeba je zawierać, jeśli chce się mieć dom z jednej strony bezpieczny, a z drugiej normalny. Taki, który nie przypomina betonowego bunkra. Który nie wzywa armii ochroniarzy, kiedy listek wpadnie przez uchylone okno, i nie zaczyna wyc, bo poszedłeś w nocy do kuchni napić się wody. Wszyscy kolekcjonerzy sztuki to są jednak paranoicy. Jedni budują bunkry, sejfy i zasieki, zatrudniają wieloosobową ochronę przez całą dobę. Drudzy zamieniają się w wiewiórki.

- Wiewiórki?

- Złapie orzeszek, zanieś do dziupli i siedzi cicho, żeby nikt się nie dowiedział, że ma jakieś zapasy. To bardzo częste u kolekcjonerów. Nie ubezpieczają kolekcji, bo wtedy musieliby powiedzieć ubezpieczycielowi, co mają. Nie zakładają krat - bo daliby znak, że mają coś cennego. Nie zakładają systemów alarmowych, bo monterzy wiedzieliby o ich skarbach. Nikomu nie ufają. To szaleńcy, ale są skuteczni. Nie można ukraść czegoś, o czym nikt nie wie.

- I to jest ten przypadek?

Lisa oderwała wzrok od komputera i spojrzała na niego z politowaniem.

- Posiadacze lewych dzieł pochodzących z kradzieży to zupełnie inny przypadek. Dlaczego?

Karol patrzył przez chwilę na pogrążoną w ciemności rezydencję po drugiej stronie ulicy. Usadowiona na łagodnym wzgórzu, dobrze oświetlona punktowymi reflektorami, które wydobywały najciekawsze elementy architektury, bardziej przypominała niewielki francuski zamek niż amerykańską posiadłość, kilka przecznic od zwykłej dzielnicy zamieszkaną przez ludzi tak otyłych, że w centrach handlowych musieli poruszać się na wózkach.

Ulicą bezszelestnie przejechał elektryczny samochodzik ochrony. Wtedy zrozumiał, o co pytała go Lisa.

- Bo nie mogą wpuścić policji do domu - odpowiedział.

- Właśnie. Systemy alarmowe w przypadku nielegalnych kolekcji mają przede wszystkim za zadanie nie dopuścić złodziei do posiadłości. Co oznacza zazwyczaj wysoki mur, hektary najeżonego czujnikami trawnika, kamery, gdzie tylko się da. Tutaj ze względu na ochronę konserwatorską nie można zastosować takich rozwiązań. Co nie znaczy, że nie próbowano. Spójrz.

Lisa obróciła monitor w jego stronę. Obraz wyglądał jak dzieło sztuki nowoczesnej, różnokolorowe plamy nieskładające się w żaden obraz, ogólną szarość przecinało parę niebieskich kresek, było też kilka zielonkawych punktów. Próbował zrozumieć cokolwiek z tych wzorów, ale w końcu spojrzął na nią bezradnie.

Burknęła coś po szwedzku.

- Słucham?

- Takie ludowe przysłowie. O zaletach samotności i liczeniu tylko na siebie. Nieważne. Spójrz teraz.

Pogmerała w ustawieniach i obraz zamienił się w widok za oknem. Ich trawnik, zakręcająca łagodnym ruchem wąska droga, park Richmonda i jego rezydencja.

- Przyjrzyj się dokładnie, za chwilę będzie to samo ujęcie.

Kliknęła i szara plama z kolorowymi elementami wróciła. Teraz potrafił nałożyć to w wyobraźni na znany krajobraz. Kreski były gdzieś w domu, a plamy na drzewach.

- To termowizja, przetwarza promieniowanie podczerwone, emitowane przez absolutnie wszystko, czego temperatura jest powyżej zera absolutnego. Co oznacza, że nie potrzebujesz ani grama światła, żeby używać termowizji. Bardzo wygodne. Bardziej niż noktowizja, która tylko wzmacnia słabe światło i w kompletnej ciemności, na przykład w sejfie, jest bezużyteczna. Teraz kamera ustawiona jest tak, żeby pokazywać wszystko powyżej piętnastu stopni Celsjusza. Im bliżej coś jest tych piętnastu stopni, w tym zimniejszych barwach będzie przedstawione, im dalej - w tym cieplejszych.

- Jasne. I dlaczego w domu Richmonda są kreski ciepła? To jakaś instalacja alarmowa?

- Jezu...

- Rury centralnego ogrzewania? - szybko dopowiedział Karol, czując się jak uczeń na poprawce.

- Jest nadzieja. Zapewne termostat jest tak ustawiony, żeby utrzymywać w domu pod

nieobecność właściciela szesnaście, siedemnaście stopni. Teraz temperatura spadła, dopiero co włączył się piec, więc widzimy tylko kreski rur. Za chwilę zobaczymy grzejniki, a za jakieś dwie godziny mostki ciepłe przy framugach.

- A punkty ciepła na drzewach to ptaki? - zapytał, wskazując na zielonkawę plamki między gałęziami.

- Ale żartujesz teraz? Roześmiał się.

- Silniczki kamer ochrony.

- Bingo. Dwadzieścia lat pracy i kto wie, może zrobimy z ciebie złodzieja. Silniczki zwykłych kamer, zapewne wyposażonych w noktowizor, ale zwykłych. W otwartym terenie nie mają sensu czujniki ruchu, czujniki termiczne też nie, bo na zewnątrz temperatura zmienia się zbyt gwałtownie, żeby je dostroić. Alarmy odpalałyby się co pięć minut. I proszę, mamy pierwszy błąd Richmonda.

Karol spojrzał pytająco na Lisę, która roztaczała aurę sportowca przed zawodami. Spokojna, konkretna, wyciszona - a jednak błysk w oczach zdradzał, że rośnie poziom adrenaliny. Czy dlatego robiła to, co robiła? Traktowała to jak sport, w którym każdy dom, muzeum i kolekcja były kolejnymi zawodami, następnym rekordem do pobicia?

- Jaki?

- Musiało mu bardzo zależeć na tym domu, w sumie się nie dziwię, jest naprawdę piękny, dlatego uznał, że wzmocniona ochrona w postaci patroli i stałego monitoringu zastąpi mur i ogrodzenie pod napięciem. I to był wielki błąd, ponieważ czynnik ludzki jest zawsze najsłabszym ogniwem.

Karol spojrzał na nią sceptycznie.

- Raczej to nie zmienia faktu, że bez przerwy jakieś trepy chodzą wokół lub gapią się w monitory z nadzieją, że ktoś im da pretekst do strzelaniny, prawda, proszę pani? - ostatnie słowa wypowiedział, leniwie wyciągając końcówki na wzór Domingo Chaveza.

- Odwrócenie uwagi. Łatwizna - mruknęła Lisa, zajęta już czymś innym.

Szybko klikała w kolejne okna, w jednym miała coś, co wyglądało jak pulpit z innego komputera, nazwy folderów były po szwedzku. Wszystkie programy, które otwierała, nie wyglądały na przyjazne użytkownikowi, intuicyjne aplikacje. Białe litery na czarnym tle, ciągi liczb, komendy składające się z nic niemówiących Karolowi skrótów.

- Dobrze, to chwilę potrwa. - Lisa oderwała ręce od klawiatury i przeciągnęła się.

- Co potrwa?

- Łamanie algorytmu. Ale jeśli mam rację, wiele nam to ułatwi. Karolowi przypomniały się wszystkie obejrzone filmy sensacyjne o hakerach.

- Nie namierzą nas?  
- Słucham? - Lisa spojrzała na niego jak na domokrążcę.  
- No wiesz, internet, tajne służby. - Czuł, że bredzi, ale nie miał pojęcia, jak się wycofać.

Nie zniżyła się do odpowiedzi.

- Najmłodszy leci po chińszczyznę. Ja tymczasem wykąpię się we wszystkich trzech łazienkach. Miła odmiana po natryskach w Grudziądzu.

Sięgnęła po telefon, jeszcze zanim za Karolem zamknęły się drzwi. Inny niż ten, który dostała poprzedniego dnia od Anatola. Niedoczekanie, żeby polski gad kontrolował każdy jej krok. Była przekonana, że tylko dlatego dostali od Gmitruka specjalne telefony.

3

Wasył najpierw zerknął na wyświetlacz telefonu, a potem w oczy Władimira Putina. W jego szczere, psie oczy, które milcząco prosiły, żeby po prostu był dobrym Rosjaninem, a reszta jakoś się ułoży. Wasył lubił te oczy, dlatego obok monitora komputera, pomiędzy kubkiem do yerba maté a dietetycznymi ciasteczkami ryżowymi, trzymał w zwykłej drewnianej ramce fotografię prezydenta. Zawsze kiedy w swoim życiu stawał na rozstaju, kiedy miał przed sobą trudny moralny wybór - zawsze wtedy zadawał sobie pytanie: co by na moim miejscu zrobił Władimir Putin?

Wasył Topilin był jednym z pracowników zarządu administracyjnego Federalnej Służby Bezpieczeństwa, konkretnie kierownikiem wydziału teleinformatycznego numer 2. Tak miał napisane na wizytówce, co sprawiało, że dziewczyny w klubach najpierw podskakiwały na widok logo FSB, a potem markotniały, gdy wyobrażały sobie, jak klęczy pod biurkiem w gmachu na Łubiance, wdycha kurz i układa kable sieciowe, a czarne dzinsy z bazaru zsuwają mu się do połowy pośladków.

W rzeczywistości Wasył nie klęczał pod żadnymi biurkami, miał doktorat z matematyki i technik informacyjnych, a jego wydział teleinformatyczny numer 2 był wyspecjalizowana grupa hakerów, szpiegujących na rzecz Federacji Rosyjskiej. Co brzmiało romantycznie, a było w zgodnej opinii wszystkich podwładnych Wasyla najgorszą fuchą świata, ponieważ wbrew ich początkowym oczekiwaniom mocarstwa nie miały żadnych spektakularnych tajemnic ani nie prowadziły skomplikowanych zakulisowych gier o panowanie nad światem. Bardzo chciały sprawiać takie wrażenie, ale kończyło się zawsze na tym, że produkowały tony zbędnej i nudnej biurokracji.

Niemniej federacja płaciła im godziwie i przymykała oko na wszystko, co robili poza oficjalnymi obowiązkami, zakładając, że podobnie jak chirurg nie może operować tylko

wyrostków, tak ich mistrzowie informatyki muszą szkolić warsztat, żeby dobrze służyć matce Rosji.

No, prawie wszystko. Dlatego Wasyl, zanim odebrał, pomyślał, co na jego miejscu zrobiłby Władimir Putin, odpowiedział sobie na to pytanie i z czułością położył zdjęcie prezydenta twarzą do biurka.

- Jak tam w polskim pierdlu? Smakuje zepsuta kapusta?

- Ładne osadzone, zostałam królową lesbijek.

- Fajnie, przyślesz jakieś foty?

- Tobie? Przecież masz dostęp do całego porno świata.

- No mam, ale ktoś znajomy, wiesz, zawsze inaczej.

- Zrobisz mi jeden adres?

- Zrobię. A przyjedziesz kiedyś?

- Wybieram się do Pitra, to wpadnę. Chodzi plotka, że tam w magazynach Ermitażu siedzi jeszcze trochę dzieł oficjalnie uznanych za zaginione.

- No weź, to są skarby narodowe.

- Narodu magazynów chyba. Nie wygłupiaj się, tylko notuj adres.

4

Oszukiwał sam siebie, że tak się spieszy, bo nie chce marnować czasu. W rzeczywistości odkąd wsiadł do suburbana i ruszył z piskiem opon, prześladowała go wizja, jak jednocześnie on wchodzi do pustej posiadłości z paczuszkami pachnącymi sosem sojowym i glutaminianem sodu, a ona wychodzi z łazienki z włosami pachnącymi szamponem i ciałem ociekającym wodą. Czy miał na nią ochotę? Nie był pewien.

Ale na wszelki wypadek zatrzymał się zaraz przy pierwszym barze Red Ruby na North Ave. Mieścił się w obskurnym pawilonie, który dzielił razem z barem kanapkowym, i nie wyglądał na miejsce, gdzie pożywiają się arystokratki. Ba, nie wyglądał na miejsce, w którym jada ktokolwiek. I raczej nie był to bar, w którym żywi się u swoich chińska diaspora. W środku jeden Arab palił fajkę wodną, drugi za kontuarem rozmawiał głośno przez telefon, próbując przekrzyczeć wyjąca muzykę, która brzmiała jak bliskowschodnia odmiana disco polo.

Arab przestał na chwilę krzyczeć, ale nie oderwał telefonu od ucha. Spojrzał pytająco.

- Dwa wegetariańskie dania, na które nie trzeba czekać - powiedział Karol, wyjmując z kieszeni garść dolarów.

- Człowieku, to jest fast food, na nic trzeba czekać - odparł Arab, rzucił coś niezrozumiałego przez ramię i wrócił do rozmowy przez telefon.

Na zapleczu głośno zaskwierczał tłuszcz i pięć minut później Karol dostał w zamian za jedenaście dolarów dwa charakterystyczne kartonowe pojemniki na chińszczyznę otwierane u góry na podobieństwo kwiatu. Pachniały starym tłuszczem i krewetkami koktajlowymi z mrożonki. Musiał być bardzo głodny, bo odór wydał mu się apetyczny.

Na wszelki wypadek, bo po wewnętrznej dyskusji ze sobą uznał, że jednak nie ma ochoty na seks, a już na pewno nie z arogancką Szwedką w nieokreślonym wieku, zatrzymał się jeszcze przy aptece i kupił opakowanie prezerwatyw. Parkując pod zaciemnioną rezydencją, zastanawiał się, czy już przeszła menopauzę. Może w gruncie rzeczy prezerwatywy i tak nie były mu potrzebne.

Lisa Tolgfors siedziała po turecku przy komputerze, owinięta prześcieradłem, widocznie nie mogła znaleźć ręcznika. Woda kapała jej z włosów i mokry materiał na ramionach przylgwał do jej ciała. Mniej więcej tak to sobie wyobrażał, gdy wybiegał po jedzenie.

- Czy będziemy uprawiać seks? - spytała.

- Słucham?

Lisa wstała, jedną dłonią dość niedbale przytrzymywała zaimprovizowaną togę, a drugą oparła na biodrze. Miała męskie ciało, krępe, z niewielkimi piersiami, za to z wyraźnie zaznaczonymi mięśniami na ramionach. Jej twarz dojrzałej królowej Arweny mocno kontrastowała z sylwetką.

Zapach usmażonych na starym tłuszczu krewetek rozszedł się po domu, tworząc dla tej sceny absurdalną olfaktoryczną scenografię.

- Pytam, czy będziemy uprawiać seks. Bo jeśli nie, to muszę się ubrać. A jeśli tak, to wolałabym to zrobić teraz, zanim jedzenie ostygnie.

Przelknął ślinę.

- Nie oczekuję małżeństwa ani czułych słówek. Po prostu spędziłam osiem miesięcy w polskim pierdłu, wcześniej regularny seks pełnił w moim życiu ważną rolę i... - urwała, patrząc na niego z przekąsem, musiał mieć naprawdę dziwną minę. - Dobra, prosić nie będę.

Chwilę później siedzieli obok siebie i wcinali makaron z krewetkami, który paradoksalnie nie był taki najgorszy. Na ekranie monitora z dużą prędkością przelatywały kolumny liczb.

- Niech zgadnę - powiedziała, wycierając nos grzbietem dłoni, jedzenie było diablo ostre - raczej nie chodzi o to, że nie miałeś ochoty, więc zapewne chodziło o kogoś? O jakąś kobietę, tak?

Wzruszył ramionami.



- No trudno. Widać musi jeszcze upłynąć kilka pokoleń, zanim doszłusujecie do zachodnich społeczeństw. Konsumpcja was wyleczy z romantyzmu. Jak byłam kilka lat temu w Rio, w czasie karnawału...

Przerwała w pół zdania, kiedy liczby gwałtownie się zatrzymały, i pochyliła w stronę komputera.

- Skończymy później. Jesteśmy.

Palce Lisy szybko przeskakiwały po klawiaturze i po chwili na monitorze ukazał się czarnobiały obraz pomieszczenia, które wyglądało jak bogaty mieszczański salon. Od razu rozpoznał wielkie okna, zwieńczone ostrymi, nawiązującymi do architektury gotyku, łukami.

- Jak to zrobiłaś?

- Wykorzystałam kolejny błąd pana przemysłowca. Niewiarygodne, jeśli okaże się, że zrobił ich jeszcze kilka, będziemy tam mogli wejść po Młodego jak po chleb do spożywczaka. Ale to za chwilę. Teraz jest ważne, że każdy bogacz z kilkoma posiadłościami chce mieć inteligentny dom. Wiesz, co to jest?

- Możesz ustawiać wszystko przez internet.

- Tak jest, ten system - kliknęła kilka razy - jest wyjątkowo wypasiony. Zdalnie kontrolujesz temperaturę wody i pomieszczeń, oświetlenie, systemy alarmowe, przez kamery możesz pooglądać sobie pomieszczenia w kolorze albo, tak jak teraz, w noktowizji. Z tego co widzę, możesz też ustawić ulubiony kanał w telewizji, żeby czekał na ciebie włączony, gdy wrócisz. I rozpalić w kominku. Bardzo wygodne i bardzo głupie, jeśli trzymasz w środku coś więcej niż telewizor i ekspres do kawy.

- Czyli wystarczy, że odciągniemy uwagę ochrony, wyłączymy zdalnie inne systemy alarmowe i już?

Szwedka potarłszy swoje czarne, krótkie, ciągle lśniące od wilgoci włosy. Niezwykłą miała tę twarz Królowej Śniegu, było w niej coś z idealnego portretu, proporcje i rysy wydawały się zbyt dobre, żeby należeć do żywej istoty.

- Ktoś naprawdę dobry powinien namalować twój portret - wyrwało się Karolowi.

- Pięć minut temu miałeś swoją szansę na zachwyty - mruknęła Lisa, nie podnosząc nawet na niego wzroku. - Cholera, tak dobrze to nie będzie.

- No?

- Zdalnie możemy wyłączyć system alarmowy przy drzwiach i oknach. Ale te detektory - wskazała prawie niewidoczne pudełeczka w kącie pomieszczeń - to czujki ruchu i czujki termiczne. Odpał alarm, jeśli w ich zasięgu coś się poruszy albo jeśli pojawi się obiekt o temperaturze innej od otoczenia. Niestety nie mam ich w systemie, czyli Richmond tym

razem błędu nie popełnił. Założę się, że mają własne zasilanie i komunikują się drogą radiową bezpośrednio z ochroną, oczywiście prywatną.

- Panem Chavezem i jego kumplami. - Te obrazy na ścianach są coś warte? - spytała.

Spojrzał na nią zdziwiony. Do tej pory zakładał, że jako złodziejka jest także koneserką i znawczynią sztuki.

- Dekory - odparł i po chwili zastanowienia dodał: - Tak nachalne, że wygląda to na zmyłkę. Takie realistyczne martwe natury wiszą sobie po małych miasteczkach w Polsce, patrzę na to i zastanawiam się, na której ścianie wisi Matka Boska Częstochowska.

- Kto?

- Czarna Madonna, patronka Polski, święta narodowa ikona. Lisa wybuchnęła głośnym śmiechem, zupełnie niearystokratycznie.

- Nie dość, że wasz święty obraz to ruska ikona, to na dodatek Madonna jest czarna? Jeszcze mi powiedz, że była Żydówką. Polscy narodowcy o tym wiedzą?

- Wiedzą, traktują lepiej niż kobiety w swoich rodzinach. Możemy zobaczyć inne pomieszczenia?

Lisa pokazała obszerny hol z ogromnym kryształowym lustrem, gabinet z biblioteką, schody na piętro, schludną sypialnię z łóżkiem o rzeźbionej ramie, korytarz na pierwszym piętrze z balustradą po jednej i szeregiem ciemnych drzwi po drugiej stronie.

- Stój! - szepnął nagle Karol, jakby bał się, że ktoś stoi za oknem i ich podsłuchuje.

Tak naprawdę do tej pory traktował to jak zabawę. Nie do końca wierzył w Rafaela, w napad, w tajemniczego amerykańskiego kolekcjonera. Wszystko wydawało się odrealnione. Bardziej była to dla niego przygoda i pretekst, żeby spędzić trochę czasu z Zosią, której mimo usilnych starań nie potrafił wyrzucić z pamięci. Dopiero teraz, gdy zobaczył majaczący w pomieszczeniu na końcu korytarza obraz, zrozumiał, że to się dzieje na poważnie. I uświadomił sobie, że siedzi w ogromnym opuszczonym ciemnym domu, w którym każdy szept odbija się dziwnym echem, a każda deska skrzypi złowieszczo. Że jest w obcym kraju, że wokół krąży uzbrojona ochrona, a kawałek dalej roztacza się dziwna dzielnica, w której Arabowie sprzedają chińszczyznę, a negocjowanie za pomocą broni jest pewnie tak samo popularne jak w Polsce frustracja.

Spotkali się z Lisą spojrzzeniami i w tej samej chwili ktoś załomotał do drzwi na dole, echo odbiło się od wszystkich ścian, zamieniając łomotanie w głuche dudnienie, jakby jakaś potępiona dusza usiłowała wydostać się z piekła.

- Ja pójdę - syknęła Lisa i zdjęła sweter przez głowę. - Ty tracisz akcent, jak jesteś spięty.

Zanim Karol zdążył zauważyć, że jest naga, okryła się prześcieradłem i potargała sobie włosy.

- Jeśli użyję słowa „Anglia”, masz skakać przez okno i uciekać. Jasne? Łomotanie powtórzyło się. Lisa odczekała jeszcze chwilę, po czym krzyknęła, że schodzi, i głośno zbiegła po schodach. Karol ukucnął przy framudze, żeby dyskretnie obserwować, co się dzieje.

- Tak? - Głos Lisy brzmiał takim erotycznym zaspaniem, że Boznański pożałował swojej poprzedniej decyzji.

- Bardzo przepraszam, proszę pani, ale zauważyliśmy, że samochód ciągle stoi na podjeździe, a z tego co wiemy, dom nie został sprzedany. - Karol rozpoznał Chaveza, wroga prawników i gwałcicieli. - Chcieliśmy sprawdzić, czy wszystko w porządku, proszę pani.

Ostatnie zdanie w rzeczywistości brzmiało: „Postanowiliśmy sprawdzić, czy nie jesteście zbokami, którym trzeba przetrącić karki, a potem wrzucić ich do oceanu, zanim kogoś zgwałcą, a potem jakaś papuga ich wybroni, żeby mogli gwałcić dalej, proszę pani”.

- Przepraszam, czy pan jest oficerem policji? - zapytała Lisa, ciągle zaspana.

- Jestem dowódcą patrolu straży Raven w rejonie Rochelle Heights okręgu New Rochelle w stanie Nowy Jork - odpowiedział Chavez takim tonem, jakby recytował swoje wojenne odznaczenia.

- W takim razie, panie dowódcu patrolu - głos Lisy brzmiał już na porządnie wybudzony - proszę opuścić werandę domu, który właśnie z mężem wynajęliśmy, zanim wezwę prawdziwą policję. Muszę przyznać, że jestem wstrząśnięta. Bridget Corbett mówiła o wspaniałej okolicy i doskonałej ochronie, pan też zrobił na mnie świetne wrażenie, gdy rozmawialiśmy po południu. Po czym dobija się pan do mojego domu w środku nocy, wrywa mnie ze snu i używa w stosunku do mnie tonu, do którego nie jestem przyzwyczajona. I jeśli natychmiast, powtarzam: natychmiast! - wydarła się piękną nowojorską angielszczyzną - nie zdejmie pan ręki ze tej spluwy, to nie ręcę za siebie!

Chavez cofnął się o krok.

- Proszę wybaczyć - wybąkał. - Naprawdę staramy się dbać o bezpieczeństwo mieszkańców. Tłumaczymy w agencjach nieruchomości, żeby pośrednicy informowali nas o wszystkich zmianach, ale nie zawsze się do tego stosują.

Lisa westchnęła i poprawiła prześcieradło, które miała na sobie, tak nieudolnie, że opadło jej na obojczyki, odsłaniając dekolt.

- To ja przepraszam. Zupełnie nie jestem sobą, jak się mnie wyrwie ze snu. I może to też trochę nasza wina, że wprowadziliśmy się tak nagle. Ale chcieliśmy od razu wypróbować

ten dom. Rozumiesz, o czym mówię, Domingo? Mogę ci mówić Domingo?

Prześcieradło niepostrzeżenie osunęło się o kolejne pięć centymetrów, odsłaniając krzywiznę piersi.

- Ding - wychrypiał Chavez. - Wszyscy mówią na mnie Ding. I rozumiem, proszę pani, jasne.

- W takim razie, Ding, możemy uznać, że się przeprosiliśmy i że to nocne nieporozumienie jest początkiem wspaniałej przyjaźni?

- Tak jest, proszę pani! Dobranoc.

- Dobranoc, Ding.

Zamknęła drzwi, odczekała jeszcze chwilę, nasłuchując oddalających się kroków i w trzech susach wskoczyła na górę. Zrzuciła prześcieradło bez żadnego skrępowania i naciągnęła sweter, widocznie po odmowie Karola przestała go postrzegać w kategoriach seksualnych. A może to jej szwedzka natura sprawiała, że nie traktowała ciała z pełnym winy i wstydu nabożeństwem, charakterystycznym dla katolickich społeczeństw.

- Szybko - rzuciła. - Mamy kilka minut, zanim ochłonie i opowie kolegom ze szczegółami, co go spotkało. Na ułamek sekundy zapalę u Richmonda światło na korytarzu i nagram obraz, żebyśmy mogli się przekonać, czy widzimy to, co widzimy.

Po zapaleniu światła Lisa mogła zrobić zdjęcie normalnie, bez zamieniającej wszystko w monochromatyczny obraz noktowizji. Na końcu korytarza na pierwszym piętrze, za otwartymi drzwiami, znajdowało się pomieszczenie. Albo było pozbawione okien, albo okna szczelnie zasłonięto. I w tym pomieszczeniu na wprost korytarza wisiał obraz w formie około półtora metra wysokości na siedemdziesiąt centymetrów szerokości. Impresyjnie przedstawiający amerykańskie flagi, smętnie wiszące obok siebie w deszczowy dzień na nowojorskiej ulicy. Bardzo charakterystyczny motyw dla Fredericka Childea Hassama, wielkiego amerykańskiego impresjonisty. Ten olej był wart około półtora miliona dolarów, może więcej, w zależności od patriotycznych nastrojów nabywców. I był dobry. Porównywać go do dekorów z parteru to jak porównywać Sagrada Familia z blokiem z wielkiej płyty.

- Może to kopia? - pomyślał na głos.

- Nie - odpowiedziała pewnym głosem Lisa. - Hassam faktycznie namalował trochę tych flag, ale wszystkie różniły się od siebie. Najsłynniejszy i najpiękniejszy chyba wisi w Gabinetie Ovalnym. Był w Białym Domu od czasu Kennedyego, ale dopiero Obama kazał go powiesić u siebie. Myślę, że kaprys Obamy przypadkiem uczynił z tego obrazu najlepiej strzeżonego impresjonistę na świecie. A szkoda, bo to piękna rzecz. Poza tym flagi Hassama wiszą w Dallas, w Metropolitan

Museum, National Gallery, Historical Society. A mój ulubiony w Amon Carter Museum. Muszę się kiedyś nad nim pochylić z troską.

- Gdzie to jest?

- Fort Worth w Teksasie. A ten konkretny Hassam poszedł kilka lat temu na aukcji w Sotheby's w Nowym Jorku za milion dwieście. Prawdę mówiąc, byłam pewna, że kupi go jakieś muzeum, ale wszystkich przebił anonimowy kolekcjoner. Patriota od przemysłu drzewnego, jak już wiemy.

Lisa musiała pochwycić jego zdumione spojrzenie, bo mrugnęła szelmowsko.

- Powiedzmy, że są okresy historyczne, które interesują mnie bardziej.

Trybiki w głowie Karola obracały się coraz szybciej.

- Te wszystkie kradzieże impresjonistów w ostatnich latach... Mówiłaś, że byłaś w Rio w czasie karnawału... Boże, przecież to setki milionów dolarów...

- Nie teraz, kocie - przerwała mu Lisa. - Miałaś szansę, żeby naciągnąć mnie na zwierzenia w intymnych warunkach. Nie jesteśmy w Rio, tylko w New Rochelle. Co widzisz na zdjęciu oprócz Hassama?

- Kolor ścian - powiedział Karol.

W milczeniu skinęła głową. Kolor ścian był identyczny jak na zdjęciach Rafaela. Ciemnopomarańczowy, ceglany, właściwie trochę tandetny w porównaniu z wystrojem rezydencji, a już na pewno nieodpowiedni do ekspozycji takich arcydzieł jak Rafael i Hassam. O telewizorze nie wspominając. Może obrazy były tutaj tylko przez chwilę? Może czekały, aż Richmond skończy szykować jakiś sejf w górskiej willi, gdzie miały trafić docelowo? Może kosmicznym przypadkiem wstrzelili się w krótki czas, kiedy ta kradzież była w ogóle możliwa?

- Możesz tam zajrzeć? - spytał Lisy.

- Nie - odparła. - Dalej nie ma kamer, na tym korytarzu kończy się nasza wiedza na temat zabezpieczeń i systemów alarmowych.

- I?

- I jeśli w środku nie ma żadnych niespodzianek, to nie jest źle. Poziom trudny, ale nie niemożliwy. Tylko jedna rzecz mnie martwi. - Postukała palcem w Hassama na ekranie.

- No?

- Ucieszyłam się, że nie ma tego przy Rafaelu, ale być może przedwcześnie. Bo jeśli jest przy Hassamie, to od czasu zrobienia zdjęcia Młodemu mogli to zainstalować przy wszystkich obrazach.

- Ale co? Jakieś zabezpieczenie płótna?

- I to nieźle, nie takie badziewie, jakie montują w muzeach. Tam zwykle są czujniki zawieszniowe lub optyczne, które uruchamiają alarm w momencie zdjęcia obrazu lub wycięcia z ram. To o wiele za późno. Są bardziej zaawansowane systemy, izraelski Visonic robi takie, które uruchamiają alarm już przy pierwszym muśnięciu obrazu, wykrywają zmianę położenia o jedną dziesiątą milimetra. I myślę, że on jest tutaj zainstalowany, w wersji pancernej. Niestety najskuteczniejszej, jeśli chodzi o ochronę nielegalnych zbiorów, kiedy ktoś nie chce widzieć u siebie policji, zbierającej ślady po włamaniu.

- Czyli?

- W tym pomieszczeniu jest kompletnie ciemno nie dlatego, że okna są zasłonięte, tylko dlatego, że są zamurwane. A obrazy wiszą na dodatkowej ścianie i pomiędzy obiema ścianami jest pół metra przestrzeni. Jeśli obraz ruszy się o tę jedną dziesiątą milimetra, specjalny mechanizm schowa go do wewnątrz, chroniąc nie tylko przed kradzieżą, ale też przed uszkodzeniami. Żydzi opracowali ten system, żeby móc chronić najcenniejsze dzieła, bez konieczności uciekania się do szyb pancernych. W muzeach od biedy mają one sens, ale żaden kolekcjoner nie zapłaci kilkudziesięciu milionów za, ja wiem, Marka Rothko, żeby potem go lizać przez szybę. Ten system jest idealny. Obrazy nie są w ramach, tylko tuż za ramami, na specjalnych prowadnicach. Jeden ruch i szast, nie ma obrazu.

- Świetnie. Jest na to jakiś sposób?

- Na wszystko jest. Ale muszę pomyśleć. Teraz idziemy do łóżka.

- W sensie...

- W sensie, że spać. Ostatni moment na relaks, od jutra pracujemy dwa cztery siedem.

5

Integrity to jedno z nieprzetłumaczalnych angielskich słów, które może oznaczać zarówno integralność i spójność jakiegoś systemu, jak i uczciwość i prawość człowieka. W sensie moralnym jest więc słowo integrity wyjątkowo silnym pojęciem, oznaczającym osiągnięcie pełni poprzez prawość i wyrzeczenie się kłamstwa. Piękny termin, jednocześnie słowo klucz w credzie korpusu Wywiadu Wojskowego Armii Stanów Zjednoczonych. „A nade wszystko będę prawy, ponieważ prawda prowadzi do zwycięstwa”.

Kapitan Clifton Patridge myślał o credzie swojej formacji i o tym, czy nie byłoby uczciwiej - prawiej - mówić wszystkim żołnierzom, że odtąd będą służyć kłamstwu i manipulacji, zamiast kazać im recytować ze łzami w oczach podniosłe formułki, w których nie ma ani grama prawdy. A już kazać to powtarzać oficerom wywiadu, których praca z definicji polega na antyprawości - to już jest tak kuriozalne, że gdyby mieli odrobinę oleju w głowie, wybuchaliby śmiechem w czasie ślubowania.

Kiedyś tłumaczył sobie, że tak trzeba, że ideologia jest ważna, że cel uświęca środki. Dobre sobie. Jaki, do cholery cel? Celem każdej armii, w ogóle każdego wojownika, powinna być ochrona słabszych braci przed agresorem. Tymczasem potężna armia USA nigdy w swojej historii nie musiała bronić swoich obywateli, ponieważ obywatele amerykańscy nigdy nie zostali zaatakowani. Nigdy nie drżeli w domach, w oczekiwaniu na wieści z frontu, nigdy nie potrzebowali ochrony mężnych wojowników przed złymi ludźmi, którzy przyjechali po ich ziemię, mienie i życie.

Ale skoro armia już istniała, to trzeba jej było dać coś do roboty. Dlatego amerykańscy wojskowi zamiast służyć obywatelom, służyli partykularnym interesom władzy i mniej lub bardziej rozsądnej polityce, byli wysyłani w różne miejsca świata, żeby tam ginąć nie dla ludzi, tylko dla kasy, władzy i politycznej rozgrywki.

Tak, nawet oficjalnie armia amerykańska służyła nie prawdzie, tylko ściernie. Nieoficjalnie, wiedział o tym najlepiej, dokonywała czynów, za które cywile szli za kraty, a w niektórych stanach prosto na krzesło. A mimo to zdarzały się zadania tak brudne, że nie wystarczała ta parakryminalna organizacja z rocznym budżetem wynoszącym sześćset osiemdziesiąt miliardów dolarów. Że trzeba było dodatkowo dawać zlecenia różnym prywatnym organizacjom militarnym, czyli zwyczajnym najemnikom.

Tak sobie rozmyślał kapitan Clifton Patridge, patrząc na zdobyte po znajomości kopie natowskich dokumentów, z których wynikało, że major Anatol Gmitruk, jedyny znany mu wojownik z prawdziwego zdarzenia, przebywa na terytorium Stanów Zjednoczonych.

6

Hermod nie zajmował się teoretycznymi dywagacjami natury moralnej. Po pierwsze miał to gdzieś, po drugie był zbyt zajęty. Po trzecie dawno już wytłumaczył sobie, że prawa rynku są bezlitosne i jeśli ktoś ma zlecenie i pieniądze, to ktoś inny na pewno to zlecenie wykona. Dlaczego wobec tego miałby wybierać życie w nędzy, skoro dla ofiary nie miało to żadnego znaczenia? W nadziei, że w następnym życiu zostanie wynagrodzony za swoje dobre serce? Wolne żarty.

Tym razem zlecenie było proste, zwłaszcza w porównaniu z poprzednią akcją w Polsce. Z rzemieślniczego punktu widzenia nie miało żadnych wad. Trzeba było tylko dopilnować, żeby skompromitowały się osoby i tak uporczywie dążące do kompromitacji. Wrobienie w przestępstwo osób, którym żaden zamiar przestępczy nigdy nawet nie zaświtał w głowie, jest proste. A wrobienie w przestępstwo osób, które właśnie planują skok - do tego nawet nie trzeba specjalistów takich jak on, wystarczyłoby pogadać z lokalnym dzielnicowym, żeby wpadł pod wskazany adres między hamburgerem a pączkiem, aby

przysłużyć się ojczyźnie i zarobić odznaczenie.

I jedna osoba do likwidacji. Urzędniczka państwowa bez wojskowego przeszkolenia i bez kryminalnego doświadczenia, zmuszona do działania na obcym terytorium, i to działania, o którym nie ma zielonego pojęcia. Doprawdy, strzelanie będzie marnowaniem cennych surowców, wystarczy rzucić celnie kamieniem, jak będzie uciekać przez las, potykając się o własne nogi.

Fak to mówią Amerykanie, proste jak zjedzenie kawałka tortu. A wisienką na torcie jest informacja otrzymana od zleceniodawcy, że jednym z celów jest chojrak, który pokrzyżował mu plany w Tatrach. I nawet nie trzeba go zabijać, wystarczy sprawić, żeby wyładował na długie lata w amerykańskim więzieniu. Tam już inni zatroszczą się o jego reedukację.

7

Przez następne kilka dni spotykali się tylko wieczorami w lofcie na Mercer Street, poza tym każdy robił, co mógł, żeby jak najlepiej przygotować swoją część operacji. Lisa Tolgfors zniknęła im z oczu, wieczorami wpadała na krótko i prawie się nie odzywała, a reszta rozumiała, że pojawia się jedynie grzecznościowo, aby nie nabrali podejrzeń, że się wycofała. Nikt jej nie pytał, nikt jej nie gnębił, nawet Gmitruk odpuścił. Wszyscy wiedzieli, że w kluczowym momencie wszystko będzie zależało tylko od niej.

Anatol Gmitruk skupił się na tym, co miało się rozegrać po kradzieży. Tolgfors wielokrotnie podkreślała, że ukraść potrafi każdy. Wystarczy wejść i zabrać. Ale ukraść, uciec z łupem i nie dać się złapać - to jest prawdziwa sztuka. Tym właśnie zajął się Gmitruk, który zanudzał ich szczegółami i mapami, pokazywał, gdzie będą stały samochody do ewakuacji, kazał ćwiczyć jazdę tymi autami, żeby później nie marnować cennych sekund na szukanie włącznika świateł. Planował też kilka różnych sposobów dywersji do odciążenia uwagi ochrony.

Karol Boznański wynajął dom od zachwyconej Bridget, płacąc za pół roku z góry i podwajając prowizję, co wprawiło ją w taki stan takiej nirwany, że niemal zaczęła lewitować ze szczęścia, co Karol opisał potem słowami: „Uniosła się tak, że jej oczy znalazły się prawie na wysokości mojego pępka” i co zgodnie zostało uznane przez Zofię i Lisę za wstrętny seksistowski dowcip, tym wstrętniejszy, że naśmiewał się z inwalidki. Riposta: „Zazdrościcie, bo chciałybyście mieć taki seksapil, emerytki” nie poprawiła jego położenia. Karol uruchomił też dyskretnie swoje kontakty, żeby dowiedzieć się wszystkiego o prezesie Darrenie Richmondzie i jego kolekcji. Zyskał w ten sposób potwierdzenie, że faktycznie to on kupił Hassama w Sothebys, podejrzewano też, że nabył Chłopa z widłami Winsłowa Homera, który



poszedł w Rockefeller Plaza za fantastyczną kwotę prawie dwóch i pół miliona dolarów oraz dwa pomniejsze obrazy Whistlera. Wyglądało to tak, jakby miłośnik literatury Richmond stał się nagle koneserem amerykańskich impresjonistów.

Zofia i Karol zajęli się symulowaniem przeprowadzki do New Rochelle. W tym celu Lorentz kupiła kompletne wyposażenie domu na wyprzedazy garażowej w New Jersey i kazała je zawieźć w kilku kursach do rezydencji. Zależało im głównie na tym, żeby ktoś wnosił meble, do kartonów nawet nie zajrzeli. A szkoda, ponieważ w jednym z nich była niezła kolekcja komiksów z początku złotej ery, wśród nich słynny dwudziesty siódmy numer periodyku «Detective Comics», w którym po raz pierwszy pojawił się Batman. Biały kruk znalazł się w garażu domu klasy średniej w New Brunswick w New Jersey, ponieważ swego czasu stanowił jedyny znaczący majątek Larry'ego Underwooda. Larry przespał się z żoną swojego przyjaciela, w wyniku którego to stosunku kobieta zaszła w ciążę. Kochankowie uznali, że mimo to sprawy zostaną po staremu, a Larry podarował jej swoją kolekcję, żeby spieniężyła ją w odpowiednim czasie i środki przeznaczyła na wychowanie ich syna. Kobieta, niejaka Rita Blackmoore, najpierw jednak komiks schowała ze strachu, a potem o nich zapomniała. Ani Karol, ani Zofia, którzy poznaliby jego wartość, nigdy nie zajrzeli do pudła i tak oto zeszyt trafił w końcu w ręce karlicy Bridget Corbett, zrozpaczonej obrotom wydarzeń w Rochelle Heights, po których straciła dobrą pracę w agencji nieruchomości. Sprzedała komiks dwa lata później poprzez Christies za prawie dwa miliony dolarów, znalazła męża wyższego od niej o prawie metr i zaczęła udzielać porad seksualnych w telewizji śniadaniowej, ale to już zupełnie inna historia.

Zofia spędziła też trochę czasu na szyfrowanych połączeniach z najwyższymi osobami w państwie. Chcąc doprowadzić do wizyty w Waszyngtonie kogoś na tyle ważnego, żeby przyleciał rządowym samolotem, którym mieliby wrócić Rafael oraz oni, gdyby coś poszło nie tak. Zofia nie była takim wariantem zachwycona, awaryjna ewakuacja oznaczała, że nigdy nie będzie mogła legalnie wrócić do Stanów, a miała jeszcze ochotę zobaczyć Wielki Kanion i park Yosemite. Ale ostatecznie uznała, że to mała cena za odzyskanie dla Polski jej najcenniejszego zaginionego dzieła sztuki. Jest jeszcze kilka ładnych miejsc na tej planecie i prędzej zabraknie jej lat niż miejsc do odwiedzenia. W końcu stanęło na tym, że do Waszyngtonu przyjedzie jej szef, minister spraw zagranicznych. Data wizyty wyznaczała także datę rabunku - zostały im trzy dni.

Ostatniego wieczoru przed planowanym skokiem, kiedy Karol z Lisą mieszkali już w New Rochelle, a zła na siebie Zofia nie mogła przestać się zastanawiać, jak bardzo symulują swoje małżeńskie życie, doszło do scysji, przez którą plan o mały włos nie spalił na panewce.

Karol rozsiadł się ze szklanką w ogromnym pufie, który zaanektował już pierwszego dnia i który w zależności od nastroju służył mu za fotel, leżankę lub łóżko, jeśli zasiedziało się w salonie przy bourbonie i nie chciało mu się wracać do sypialni. Pozostali patrzyli na to niezbyt przychylnie, a Gmitrukowi wyraźnie działało to na nerwy.

- Od teraz nie ma czasu na błędy - zaczął Anatol, pochylony nad mapą Rochelle Heights, którą nazywali sztabówką. - Przelecimy jeszcze raz drogi ewakuacyjne, a jutro o dziewiątej rano spotykamy się tutaj na ostatni briefing.

- Może być dziesiąta? - rzucił Karol, zwlekając się z pufa, co wyglądało jak dziwny taniec, bo nie chciał odstawić szklanki i musiał tak balansować ciałem, żeby nie wylać swojej, jak ją nazywał, kukurydzianej herbatki. - Potem raczej znikamy, a chciałbym odebrać jeszcze z antykwariatu dwa „hitlery”, w ojczyźnie pójdą jak ciepłe bułeczki.

Lorentz nie wytrzymała.

- Czy mógłbyś zrobić mi tę przyjemność - wycodziła - i przestać nazywać polskie dziedzictwo narodowe „hitlerami”? Chociaż na dwa najbliższe wieczory?

Siedząca na stole, machająca nogami i bawiąca się telefonem Lisa parsknęła śmiechem. To rozsierdziło Zofię jeszcze bardziej.

- A ty z czego się śmiejesz? Swoją drogą to znamienne, że jesteś akurat ze Szwecji, biorąc pod uwagę, ile nam ukradliście w siedemnastym wieku. Nawet elementy architektoniczne skuwaliście i spławialiście Wisłę na statki do Szwecji. Wiedziałaś o tym? Nawet granitowe bloki nie uszły waszej uwadze, o lżejszych elementach nie wspomnę.

Szwedka nie zaszczyciła jej ani spojrzeniem, ani odpowiedzią. Dalej siedziała z nosem w telefonie.

- Nie możesz odpowiedzieć? - Zofia nie odpuszczała.

- Po co mi wbijać gwoździe na placu bez sensu? - Szwedka nie oderwała wzroku od telefonu. - Jutro numer, trenuję.

- Ciekawe co?

- Włam w różny telefony. Ty skasuj czuły esemesy lepiej od swoich gachów, lalka.

Oczy doktor Lorentz, choć wcześniej wydawało się to niemożliwe, zrobiły się jeszcze bardziej czarne. Ruszyła w stronę Lisy, jakby chciała ją zaatakować, ale Karol lekko ją odciągnął w drugą stronę, wylewając przy tym bourbona. Skrzętnie zlizął pełznącą w stronę nadgarstka kroplę, zanim się odezwał.

- Dobra, spokój. Żadnych „hitlerów”, obiecuję. A kłócić się będziemy pojutrze.

Zofia stała w pozycji bojowej w odległości kilku centymetrów od niego. Patrzyła mu w oczy i ani drgnęła. Była ledwo żywa z wściekłości, ale i tak pomyślała, że kiedyś w takiej

sytuacji by ją pocałował. To ją rozsierdziło jeszcze bardziej.

- Przepraszam, jeśli to głupie pytanie, ale o co właściwie chodzi z tymi „hitlerami”? -  
Słowa Anatola były jak szpilka, która przekłuła balon.

- Powiedz mu - rzuciła zrezygnowana. - Ja nie mam siły.

- Hitler uważał się za konesera malarstwa, ale miał koszmarny gust - wyjaśnił Karol. -  
Lubił duże olejne obrazy, błyszczące od werniksu, realistyczne. Jego ukochany Ziegler był  
tak realistyczny, że złośliwie nazywano go malarzem włosów łonowych. Cała rodząca się  
wtedy sztuka nowoczesna była dla niego entartete, zdegenerowana, nadgorliwi naziści nawet  
puścili z dymem trochę Picassa i jemu podobnych, ale to osobna historia.

- Ale o co chodzi z wożeniem „hitlerów” do Polski? Karol upił łyk bourbona.

- Polski nabywca ma dziś gust jak Hitler. Chce mieć duże olejne obrazy, realistyczne,  
lśniąco od werniksu, w ciężkich ramach, żeby mógł je sobie powiesić nad kanapą. I  
koniecznie polskie, z końmi, zaśnieżonym lasem, motywem powstańczym, elementem  
ludowym, ewentualnie gołym tyłkiem. Tymczasem liczba naprawdę udanych Kossaków,  
Gersonów czy Brandtów jest skończona i wszystkie wiszą po różnych muzeach. Jednak ci  
malarze gdzieś chodzili do szkoły, gdzieś mieli plenery, gdzieś malowali portrety lewą ręką,  
rozeszło się tego trochę po świecie. To jedyna sztuka, jaką się importuje do Polski, bo za  
granicą to drugoligowe barachło, dekory, a u nas można dostać majątek za każde pierdnięcie  
Malczewskiego, byleby świecące i z sygnaturą. Nazywam te pierdnięcia „hitlerami”,  
ponieważ wiele z nich bardzo by się wodzowi spodobało.

Lorentz uniosła ręce w geście rezygnacji.

- Nazywasz te pierdnięcia „hitlerami”. Sto lat bym myślała i bym nie wymyśliła, jak  
zawrzeć w jednym zdaniu tyle pogardy dla polskiego dziedzictwa.

Karol dopił bourbona i nalał sobie następną porcję.

- Zresztą to nie koniec podobieństw - kontynuował skierowany do Gmitruka wykład,  
puszczając mimo uszu uwagę Lorentz. - Tak samo jak Hitler i jego świta, polskie elity  
odrzucają zdegenerowaną sztukę nowoczesną. Mimo że to tutaj Polacy osiągnęli  
niewiarygodną jakość, której nigdy nie potrafiliśmy wypromować, wiecznie zapatrzeni w  
powstańców i wiejskie chaty. Nowosielski, Szapocznikow, Fangor, Opalka... to mogłyby być  
nazwiska na miarę Rothko. Ale nie są, bo jak mogą być, skoro we własnym kraju przegrywają  
z Matejką, pacykarzem narodowej sławy i chwały.

Zamilkł, bawiąc się szklanką z bursztynową zawartością.

- I wiesz, coś ci powiem - zwrócił się do Lorentz z goryczą w głosie. - Siedzisz w  
biurze, gapisz się w kółko na te portrety trumienne, cukiernice i szalasy tatrzańskie i ci się

wydaje, że ocalasz dziedzictwo narodowe. Powiem tak: pieprzenie, i tyle. Naprawdę uważasz, że dziedzictwo twojego narodu to kawał dechy, zamalowany pół tysiąclecia temu przez jakiegoś gościa, który nie miał pojęcia, gdzie jest Polska? Dziedzictwo narodowe to są najzwyczajniej nieśze rzeczy. Spacer z dzieckiem w parku, wylegiwanie się w łóżku w sobotę i wspólny niedzielny obiad. Dziedzictwo to jest wychowywanie swoich dzieci tak, żeby potrafiły być dobre, mądre i prawe. Pogarda wobec tego to jest prawdziwa pogarda.

Zalała ją fala uczuć, z którymi nie potrafiła sobie poradzić. Przypomniały jej się spędzone razem miesiące, emocje, dyskusje, kłótnie i ostateczny powód rozstania. To było zbyt wiele do zniesienia w jej obecnym stanie, w połączeniu z napięciem, które narastało ostatnimi dniami. Uderzyła go w twarz, Karol poleciał na stół, na którym siedziała Lisa, szklanka wypadła mu z ręki, zapachniało rozlanym bourbonem.

Kiedy szklanka przestała się turlać, zaległa cisza i wydawało się, że już nie może być gorzej. Ale Lisa, być może chcąc rozładować atmosferę i traktując to jako rodzaj żartu, powiedziała:

- A wy tak zawsze na onoffie?

Lorentz spojrzała na nią wzrokiem bazyliuszka i otworzyła usta, ale słowa ugrzęzły jej w gardle, kiedy zrozumiała, że w przygotowanym zdaniu tylko zaimki nie są wulgaryzmami. Lisa podniosła rękę w obronnym geście i wtedy dopiero się zaczęło. Gmitruk spojrzał na ekran jej telefonu, twarz mu stężała i znalazł się przy Szwedce w dwóch szybkich krokach. Zrobił umykający oczom gest, w wyniku którego Lisa znalazła się na stole z twarzą wciśniętą w blat. Gmitruk przytrzymał jej ramię wygięte pod nieludzkim kątem, a w drugiej dłoni trzymał telefon, którym Lisa bawiła się do tej pory.

- Skąd to masz? - spytał zduszonym głosem.

- Ciśnij - odparła zadziwiająco spokojnie Lisa.

Gmitruk postanowił tę grypsere, oznaczającą propozycję szybkiego oddalenia się, potraktować dosłownie. Przycisnął jej rękę, Lisa zacisnęła zęby, ale nawet nie jęknęła, chociaż wyglądało to tak, jakby kość jej przedramienia była gotowa strzelić jak wykałaczką.

- Skąd to masz? - powtórzył Gmitruk.

Nagle Szwedka wykonała błyskawiczny ruch, ułamek sekundy później sytuacja wyglądała odwrotnie. Gmitruk leżał na boku na podłodze, Lisa klęczała przy jego szyi, przyciskając kolaniem bark majora. Podobnie jak wcześniej Szwedka, Gmitruk nie rzucał się ani nie szarpał, pewnie też czekał spokojnie, wypatrując szansy na kontratak. Oboje byli zawodowcami. Oboje cicho dyszeli.

Boznański skorzystał z okazji i podniósł telefon, który spadł na podłogę. Na

wyświetlaczu było zdjęcie kobiety koło trzydziestki, czterdziestki, sympatycznej, ale bez zadatków na miss świata. Średniego wzrostu, średniej budowy, przeciętnej urody, ale z fajnie śmiejącymi się oczami, ukrytymi za okularami w kolorowych oprawkach. Stała na molo w Sopocie, obejmował ją jakiś szpakowaty mężczyzna o wyglądzie kierownika do spraw klientów instytucjonalnych w salonie Skody. Boznański pokazał to Lorentz i zrobił zdziwioną minę.

- Nigdy więcej nie grzeb w moich rzeczach, rozumiesz? - powiedział Gmitruk do Lisy wyjątkowo łagodnym tonem, chociaż jego pozycja nie wyglądała na komfortową.

- Bo co mi zrobisz?

Zamiast odpowiedzieć, wojskowy gwałtownym ruchem nóg złapał ją w talii, przewrócił na plecy i przydusił, kładąc przedramię na krtani. Drugą dłonią przycisnął jej z boku głowę w ten sposób, że zgięła się pod mocnym kątem. W oczach Lisy błysnął strach.

- Skręć ci kark, złodziejko.

Po czym wstał i wrócił do swojej mapy sztabowej. Po drodze kopnął leżącą na podłodze szklanę.

- A ty przestań chlać, bo to nie jest film z Jamesem Bondem, który najpierw się nawali, a potem uratuje świat. - Gmitruk potarł dłońmi zmęczoną twarz. - Zaczyna mnie męczyć to cackanie się z cywilami.

Karol ostentacyjnie poszedł po szklanę, podniósł ją i napełnił hojnie, jakby to był sok z jabłek. - Chrząć się - powiedział. - Jutro mogę iść na długie lata do amerykańskiego pierdła i nie mam co liczyć na to, że ktoś mnie wyciągnie tajnymi natowskimi kanałami, zrobi wymianę szpiegów czy cokolwiek. Po prostu będę tam siedział, i tyle. I to jest wariant zaledwie półpesymistyczny. Bo może być też tak, że jestem tylko głupim cywilem, który jutro nie zauważy ruchu w krzakach, nie obroni się, nie zareaguje odpowiednio szybko - i po prostu zostanie odstrzelony przez jakiegoś nadgorliwego ochroniarza. Więc jeśli myślisz, że swoją ostatnią być może noc spędzę o suchym pysku, to pomyśl jeszcze raz, gadzie.

Gmitruk nie odpowiedział. Mężczyźni stali nieruchomo, mierząc się spojrzeniami, i wyglądało na to, że dojdzie do kolejnej bójki.

Lorentz chrząknęła.

- Czy możemy uznać, że rozładowaliśmy emocje, i wziąć się do roboty? Czy będziemy walczyć do pierwszej krwi?

- Szybko wam się, Polaki, ręce luzują. - Lisa przeciągnęła obolałe ciało.

Karol dotknął rosnącej mu na twarzy czerwonej pręgi i skrzywił się.

- Wypraszam sobie, ja też jestem ofiarą przemocy.

- Człowiek, któremu ukradli zegarek, to człowiek zamieszany w kradzież zegarka - zakończyła sentencjonalnie Lorentz.

8

Rano nic nie wskazywało na to, że poprzedni wieczór upłynął im na bójkach, pomijając niewielki siniak na policzku Karola, który Zofia zamalowała swoim podkładem w ramach przeprosin. Nie bronił się, jej bliskość i znajomy zapach stanowiły dla niego więcej niż wystarczającą rekompensatę za awanturę.

O dziesiątej spotkali się na Mercer Street, do trzynastej powtarzali plan krok po kroku ze wszystkimi wariantami.

Do czternastej wysprzątały loft ze śladów swojej obecności.

O piętnastej zostawili bagaże w przechowalni na 34. Ulicy. Miejsce wyglądało gorzej niż największe przestępcze mordownie przedstawiane w amerykańskich filmach. Gdyby na ścianie wisiał oficjalny cennik z takimi pozycjami jak: „Białorusinki porwane na handel”, „samobójcy obłożeni ładunkami wybuchowymi” czy „meth w opakowaniach po pięćdziesiąt funtów” - nikt z klientów tego przybytku na piątym piętrze starej i śmierdzącej nowojorskiej kamienicy nie zwróciłby na to uwagi. O szesnastej Karol i Lisa „wrócili do domu”, serdecznie pozdrawiając Domingo Chavez, który akurat miał służbę.

O siedemnastej przed kolonialną rezydencją na Serpentine zatrzymała się taksówka, z której wysiadła Lorentz z butelką wina w ręku.

O osiemnastej zrobiło się już na tyle ciemno, że zapaliły się latarnie.

O osiemnastej czterdzieści pięć Gmitruk skończył rozstawiać samochody we wcześniej ustalonych miejscach.

O dziewiętnastej piętnaście przed rezydencją ponownie zatrzymała się taksówka. Gmitruk wysiadł z butelką jacka danielsa i torbą pełną chińszczyzny. Zrobił zakupy w tym samym barze co Boznański kilka dni wcześniej, nie mając o tym pojęcia. Musiało być w jego niezwyklej obskurności coś, co przyciągało przybyszów z Europy Wschodniej.

O dziewiętnastej osiemnaście Gmitruk wylał do zlewu prawie trzy czwarte litra kukurydzianej herbatki. Tak na wszelki wypadek.

O dwudziestej włączyli telewizor i pozapalali światła na dole, żeby symulować imprezę. Sami siedzieli w zaciemnionej sypialni na górze i czekali.

O dwudziestej dwadzieścia cztery Lisa Tolgfors powtórzyła: - Tutaj nie ma czasu na mizianie. Buzi, buzi i potem kocham ciebie, mój ty lachonie. Ostre wejście, ostre wyjście. Jak najkrótko, jak najszybk.

O dwudziestej drugiej piętnaście Karol powiedział, że gdyby to był film gangsterski,

to teraz zabijaliby czas rozmową o tym, na co wydadzą sto milionów, które dostaną za Rafaela. Poświęcili kwadrans na tę zabawę.

Lisa powiedziała, że mogłaby w końcu kupić coś uczciwie na aukcji. Nie była przekonana, czy taka forma wchodzenia w posiadanie dzieł sztuki dawałaby jej satysfakcję, ale spróbować warto. Po czym dodała złośliwie, że mogłaby dokupić w Polsce drugiego Moneta, łatwiej by im było pogodzić się ze stratą, gdyby znowu zginął.

Lorentz bez zastanowienia opowiedziała im, że za swoje dwadzieścia pięć milionów założyłaby fundusz do odnajdywania i odzyskiwania polskiego dziedzictwa. Na co Karol przewrócił oczami, ona z kolei odparła, że to zawsze było jej marzenie. I że może gdyby kiedyś potraktował sztukę nie jako środek do spekulacji, robienia ludzi na szaro i zarabiania pieniędzy, tylko jako emanację wewnętrznego piękna, które każdy w sobie nosi, i gdyby poszedł zobaczyć dzieciaki w muzeach, którym to piękno pokazuje nowe drogi - może wtedy zmieniłby zdanie. Po czym rozbawiła wszystkich puentą, że chciałaby, aby na każdym dziele odzyskanym w ten sposób była mosiężna tabliczka informująca, że znajduje się ono w muzeum dzięki fundacji doktor Zofii Lorentz.

Anatol Gmitruk nie był zbyt wylewny. Nie potrafił, a może nie chciał zabłysnąć błyskotliwą anegdotą, trochę kluczył, że nie wie, w końcu powiedział, że przeznaczyłby to na pewien cel medyczny, i poprosił, żeby nie dociekali, bo to osobista sprawa. I przeprosił, że jest taki drętwy. Jeszcze Karol zażartował, że chybaby sobie coś zostawił na furę, ale Gmitruk odpowiedział tylko bardzo poważnie i bardzo uprzejmie, że niekoniecznie.

- Posłuchajcie uważnie, bo mam obmyślane to w szczegółach. - Karol pochylił się w ich stronę. - Moja dola to dwadzieścia pięć milionów, tak? Dzielę to na dwadzieścia pięć pojedynczych milionów i wszystko rozdaję. Wybieram dwadzieścia pięć osób, albo rodzin, albo par. Znajomych, przyjaciół, rodzinę, każdy na coś tam potrzebuje. Nie daję osobiście, tylko anonimowo, przez fundację, nie chcę, żeby mnie wszyscy znienawidzili za ten prezent, za który nie sposób się odwdziaczyć. Stawiam tylko jeden warunek: każdy, kto przyjmie milion, musi podpisać zobowiązanie, że po dziesięciu latach napisze krótko, co zrobił z tym milionem i w jaki sposób te pieniądze zmieniły jego życie.

- Po co ci to? - Zofia była autentycznie zdziwiona tym pomysłem. Pomyślała, że brakowało jej tego pozytywnego wariactwa. Dwadzieścia pięć milionów do dyspozycji i jedyne, co wymyślił, to jak je z fantazją rozdać. Proszę państwa, oto Karol Boznański. Marszand, cynik i krwio pijca o złotym sercu, wiejski gospodarz, który z audemarsem na ręce podbiera kurom jajka.

- Po dziesięciu latach mam dwadzieścia pięć naprawdę niesamowitych listów,

prawdziwych ludzkich historii, składam je w książkę, książka ukazuje się na całym świecie, zostaje międzynarodowym bestsellerem, a ja zarabiam tyle, że te dwadzieścia pięć baniek to mam co roku z samych dywidend. Niezłe, co nie?

- Błazen - skomentowała krótko Lorentz.

O dwudziestej trzeciej trzydzieści okolica poszła spać. Pogasły światła, ostatni spacerujący z psami powracali do domów, ostatnie czarne suvy przepracowanych nowojorskich menedżerów pogasiły dieslowe silniki na podjazdach. W innej dzielnicy pewnie byłoby jeszcze widać niebieskawą telewizyjną poświatę i kręcące się przy blatach kuchennych sylwetki. Tutaj działki były zbyt duże i nawet jeśli w sąsiednich rezydencjach toczyło się życie, oni tego nie widzieli. Widzieli tylko opuszczoną, wygaszoną rezydencję Richmonda. Więcej się działo na termowizji. Uaktywniły się termostaty, system dbał o to, żeby temperatura nie spadała poniżej zaprogramowanych siedemnastu stopni. Rozlewające się po pomieszczeniach kolorowe plamy ciepła wyglądały jak film animowany dla wyrafinowanej publiczności.

O dwudziestej trzeciej czterdzieści pięć zgodnie z planem zaczęli.

Lisa włamała się do systemu sterującego rezydencją Richmonda. Sprawdziła obraz ze wszystkich kamer, żeby upewnić się, że nikogo nie ma, że w żadnej sypialni nie śpi właśnie jedno z dzieci przedsiębiorcy (miał siedmioro z trzech różnych małżeństw). Było pusto. Weszła w panel sterowania ogrzewaniem i ustawiła temperaturę w sypialniach na piętrze na tropikalne dziewięćdziesiąt pięć stopni Fahrenheita, czyli trzydzieści pięć stopni Celsjusza.

- Nie sądziłam, że to w ogóle jest możliwe - powiedziała Lorentz.

- Maks systemu to trzydzieści dziewięć stopniów - odparła Lisa. - Tu jest Ameryka. Wracają dziady z Florida i chcą mieć taki sam upał. Teraz czekamy.

O północy ciemny jak zwykle dom Richmonda wyglądał na termowizji jak choinka. Okna na piętrze świeciły na pomarańczowo i czerwono, elementy grzejne na białą, ciepło przelewało się do pomieszczeń na dole, gdzie panowała już temperatura dwudziestu trzech stopni. W sypialniach na górze było od dwudziestu dziewięciu do trzydziestu dwóch, w zależności od wielkości sypialni.

Dwadzieścia minut po północy Domingo Chavez i jego kompan przeszli pod ich oknami po raz ostatni. Jak wynikało z kilkudniowych obserwacji, ten ostatni patrol zejdzie Serpentine, wróci Hamilton Ave na posterunek i tam o wpół do pierwszej przekaze służbę zmiennikom.

- To nie jest więzienie o zaostrzonym rygorze - tłumaczył im wcześniej Gmitruk. - Nikt tu nie będzie przekazywał służby na zakładkę, żeby każdy kawałek muru był cały czas



pod kontrolą. Ostatni patrol zawsze będzie się spieszył, każdemu już pachnie późna kolacja, piwo i żona pod kołdrą. Jeszcze parę sprośnych żartów, pogaducha ze zmiennikami. Tu się nigdy nic nie dzieje. O tej porze roku pierwszy patrol na nocnej zmianie nie będzie z kolei spieszył się do wyjścia. Przed chwilą jedli kolację w ciepłej kuchni, potem jechali ciepłym samochodem, a tutaj trzeba wyjść na chłód i wiatr. Żadna atrakcja. Mamy pół godziny rozprężenia.

Dwadzieścia pięć minut po północy Karol wyszedł na późny spacer.

Wpół do pierwszej ulica była ciemna i wyludniona. Kilkaset metrów dalej ochroniarze opowiadali sobie pewnie o tym, jak San Francisco Giants dopiero co roznieśli w pył Detroit Tigers w finałach World Series. Temperatura na piętrze w domu Richmonda osiągnęła zaprogramowane trzydzieści pięć stopni. Lisa wyłączyła wszystko to, co mogła wyłączyć z poziomu tego systemu - czyli najprostszy alarm antywłamaniowy przy drzwiach i oknach. Potem zapętlila kilka minut nagrania w kamerach wewnętrznych, na wypadek gdyby pan prezes postanowił sprawdzić, co u niego.

A potem rozebrała się do naga.

9

Kapitan Clifton Patridge siedział w barze Red Ruby w New Rochelle, jadł ryż z jakimś mięsem, którego gatunku nie potrafił określić, w sosie ze składników tak przetworzonych, że rozpoznawał w nim jedynie cebulę, i prowadził sam ze sobą etyczną dysputę.

Kiedy właściwie dochodzi do zdrady? - Zadawał sobie to pytanie co rusz od nowa.

Już sam fakt, że tutaj siedział, mógł być potraktowany jako przejaw niesubordynacji. Ale właściwie dlaczego? Poza tym że był żołnierzem, był też wolnym Amerykaninem, miał akurat kilka dni wolnego i wybrał się na chińszczyznę do miejsciny pod Nowym Jorkiem.

A nawet jeśli siedział tutaj, ponieważ wytropił emerytowanego żołnierza sojuszniczej armii Anatola Gmitruka, to co? Nie zrobił tego nielegalnie, skorzystał ze środków, do używania których został oficjalnie uprawniony. Co najwyżej mogli się do niego przyczepić, że zrobił to bez związku z żadną operacją. Ale umówmy się, za to się nawet nie dostaje oficjalnej nagany, co najwyżej mogą pogrozić paluszkami. Chciał znaleźć przyjaciela, wielka rzecz.

A nawet jeśli siedział tutaj, bo podejrzewał, że jego przyjaciel może paść ofiarą spiskowych działań wysokich urzędników Stanów Zjednoczonych? Oficjalnie nic nie wie o tych działaniach, dostał przecież polecenie, żeby nie kłopotać tym swojej wojskowej główki.

Nie bądź dzieckiem i przestań się użalać, przykazał sobie w końcu, wychylając

duszką szklaną coli. Jeśli się w to wmieszasz, to czeka cię w najlepszym razie więzienie, a najprawdopodobniej czapa, bo za dużo wiesz.

Odsunął niezjedzony nawet w połowie posiłek, wyszedł na zewnątrz i stanął koło wypożyczonego dodgea avengera.

Kiedy mieli z żoną problemy i chodzili na terapię par, terapeutka bez przerwy powtarzała: niepodjęcie decyzji to też decyzja. Dobrze to zapamiętał, dlatego nie mógł się teraz oszukiwać, że tak sobie po prostu poczeka, zobaczy, co się stanie, a potem zdecyduje. Jeśli poczeka, Anatola Gmitruka czeka pewna śmierć lub inny równie smutny koniec, jaki został mu przygotowany przez czterogwiazdkowego dupka i jego najemników. Jeśli zacznie działać, równie zły lub gorszy koniec może spotkać jego, poza tym złamie wszelkie przysięgi i regulaminy.

Kręcił kluczykami wokół palca i ciągle nie potrafił się zdecydować, czy lepiej zdradzić ojczyznę, czy siebie.

10

Karol Boznański ostatni raz rzucił okiem na swoją kolonialną rezydencję. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, już nigdy nie zobaczy ani tego domu, ani tej okolicy. Jeśli coś pójdzie nie tak - też go nie zobaczy, chyba że prowadzony w kajdankach na wizję lokalną. Nie miał przy sobie żadnych dokumentów, nie miał paszportu ani kluczy. Miał jedynie małą słuchawkę w uchu, przez którą słyszał, co się działo u siedzących w sypialni na piętrze Zofii i Anatola oraz u przedzierającej się na golasa przez krzaki Lisy.

Trochę żałował, że musiał wyjść wcześniej i nie mógł zobaczyć, jak Szwedka wyskakuje z ciuchów. Co prawda do niczego między nimi nie doszło, odkąd odrzucił ją pierwszej nocy w Rochelle Heights, ale sam fakt, że wystarczyłoby wtedy skiniecie głową, ciągle pobudzał jego wyobraźnię. I sprawiał, że nie mógł patrzeć na Lisę tylko jak na partnerkę w zespole, stale z tyłu jego głowy tliła się myśl, czy zaproszenie jest aktualne.

Przeszedł Serpentine do Hamilton Ave i potem w stronę centrum New Rochelle. Po lewej stronie miał przepyszne rezydencje, podobne do tej, w której mieszkał przez ostatnie dni po prawej trochę skromniejsze, ale ciągle zabytkowe domy z charakterystycznymi werandami na całą szerokość fasady. Po dwustu metrach doszedł do bramy wjazdowej z dwóch kamiennych słupów, która stanowiła wjazd na osiedle. Przy bramie stała niewielka budka ochrony wielkości przyczepy kempingowej, ze środka wylewało się białe światło jarzeniówek zmieszane z siną poświatą monitorów telewizji przemysłowej. W środku panował ruch, ale Karol nie widział postaci, jedynie cienie.

11

Zofii Lorentz wcale nie przeszkadzało, że Karol musiał wyjść wcześniej i nie mógł zobaczyć, jak Szwedka zdejmuje ubrania. Nawet jeśli słyszała śmiech swojej gorszej i bardziej złośliwej siebie, że po co mu takie robocze striptizy, skoro przez tydzień wspólnego mieszkania mógł ją sobie obejrzeć bardzo dokładnie.

Podobało jej się, że Lisa nie robiła ze swojej nagości żadnego problemu, być może to efekt wychowania w cywilizacji sauny. Rozebrała się do skąpych, sportowych majtek, założyła niewielki plecaczek, który zamiast grubych szelek miał cienkie sznurki, a do ucha przymocowała coś, co wyglądało jak bezprzewodowa słuchawka do telefonu, a w istocie było interkodem oraz kamerą przekazującą obraz do ich komputera.

Widzieli teraz, jak ostrożnie, ale szybko pokonuje dystans pomiędzy ich domem a zamkiem Richmonda. Szła okrężną drogą, lustracja okolicy w termowizji i kilka spacerów połączonych z robieniem zdjęć pozwoliły wyrysować taką trasę, żeby Szwedka jak najdłużej znajdowała się w martwym polu ochrony. Gmitruk ocenił wcześniej sposób zamontowania kamer jako umiarkowaną amatorszczyznę. W idealnej instalacji każdy punkt terenu powinien być zdublowany, czyli stale obserwowany przez dwa obiektywy. Tutaj było tak jedynie w przypadku miejsc naiwnie uznanych przez instalatora systemu za kluczowe, jak drzwi wejściowe i przeszklenie salonu od strony ogrodu. Poza tym wiele miejsc pokrywała tylko jedna kamera, było też sporo czarnych punktów, co pozwoliło Lisie przekraść się niezauważonej prawie do samej rezydencji.

Prawie, jak wiadomo, robi jednak wielką różnicę.

12

Musiało być około siedmiu stopni powyżej zera, na dodatek lekko wiało, ale Lisa nie czuła zimna, co najwyżej orzeźwiający chłód. W przemykaniu się nago między drzewami i w stąpieniu po lodowatej, pokrytej suchymi liśćmi ziemi było coś pierwotnego. Szwedka naprawdę wyglądała teraz jak Ronja. Twarda, nawykła do trudów córka zbójnika, poruszająca się zwinnie i z wprawą wśród drzew. Zatrzymała się przy pniu dużego buka, ostatniego drzewa, przy którym mogła czuć się bezpiecznie. Cztery metry dalej piął się na dwie kondygnacje w górę szary mur rezydencji. Boczna ściana, znajdująca się po przeciwległej stronie niż świątynia sztuki prezesa Richmonda. Boczna, północna, mniej ważna, na dole Lisa widziała okno pomieszczenia gospodarczego, na górze gościnnej sypialni dla nieistotnych gości albo dla opiekującej się dziećmi państwa niani.

Z punktu widzenia Lisy stanowiło to zaletę. Nie dość, że ściana ta była najsłabiej monitorowana, jakby ktoś założył, że złodziej na pewno wejdzie frontowymi drzwiami, nie dość, że najbardziej osłonięta, to jeszcze sypialnia była najmniejsza, co w tym wypadku miało

kluczowe znaczenie - najbardziej się nagrzała.

- Karol? - szepnęła.

- Wszystko w porządku - odpowiedział po angielsku. Wcześniej uznali, że w kluczowych momentach nie mogą ryzykować, że coś zgubią w otchłani polszczyzny. - Siedzą w budce, nie wygląda na to, żeby gdzieś się wybierali.

- Mów na bieżąco.

To był pierwszy z ryzykownych momentów. Nie tyle dla nich, co dla całej operacji. Załom ściany, którym chciała się wspiąć do okna sypialni, był obserwowany przez jedną, zamontowaną na drzewie kamerę. Jej wyłączenie nie musiało, ale mogło przykuć czyjąś uwagę. Dlatego postanowiła wykorzystać fakt, że ze względów estetycznych jest ona na drzewie, a nie na specjalnym słupie. Z plecaka, którego linki boleśnie wrzynały jej się w ramiona, wyciągnęła grubą żyłkę z zamontowanym na końcu ciężarkiem.

Zakreśliła nim i rzuciła, celując w cienką gałąź nad kamerą. Spudłowała, ciężarek z głośnym brzdękiem odbił się od metalowej obudowy urządzenia.

Zakląła po polsku. Szwedzkie przekleństwa były naprawdę do niczego, zwłaszcza w takich chwilach, za to w polszczyźnie, po tylu wiekach polskich starań, żeby oddać stan wiecznie wkurwionej duszy, funkcjonowało kilka naprawdę ciekawych określeń.

- Karol?

- Spokój.

Skoncentrowała się, rzuciła jeszcze raz i tym razem trafiła. Ciężarek okręcił się wokół gałęzi półtora metra od pnia. Teraz najlepiej by było utrafić w moment, kiedy akurat ta kamera nie wyświetla obrazu w dyżurce, ale na taką informację nie było szans. Pociągnęła kilka razy za gałąź, symulując ruch wiatru, a gdy uznała, że gałęzie wystarczająco zasłaniają obiektyw metalowymi ząbkami, przymocowała drugi koniec żyłki do pnia. Odczekała chwilę.

- Karol?

- Cały czas spokój.

Teraz albo nigdy. Karol co prawda miał zatrzymać ochroniarzy, gdyby nagle postanowili sprawdzić, czemu gałąź ożyła, ale nie dałby rady zrobić tego na długo. Włączyła stoper. Doświadczenie uczyło ją, że jeśli po kwadransie nie ma fantów w ręku, to trzeba zapomnieć o sprawie, i spadać.

- Idę - zakomunikowała sucho i w trzech susach doskoczyła do załomu muru.

Kamienna ściana domu, spotykająca się tu pod kątem dziewięćdziesięciu stopni z kamienną ścianą garażu, nadawała się do wspinaczki jak schody Szwedka, zapierając się nogami, pokonała kilka metrów dzielących ją od poziomego pierwszego piętra. Okno sypialni

było półtora metra w lewo, na szczęście wydatne gzymsy i parapety ułatwiały akrobacje. Nawet osobie, której pomału drętwiały z zimna stopy.

Doszła do parapetu i bez obaw zajrzała przez szybę do pokoju. Szkło chroniło ją zarówno przed czujnikiem ruchu, jak i przed czujnikiem termicznym. Wyraźnie czuła bijące ze środka ciepło, znak, że udało się rozgrzać kamienną rezydencję. Pomyślała, że Richmond dostanie monstrualny rachunek za ogrzewanie, i parsknęła śmiechem.

- Co się dzieje? - zapytała czujnie Lorentz.

- Nic. Wchodzę do środka. Stoper pokazywał dwie i pół minuty.

13

Życie to nie jest pudełko czekoladek, pomyślał sentencjonalnie Hermod, ciągle posługujący się nazwiskiem Jasper Leong, siedząc w przyjemnie ciepłym wnętrzu luksusowego czarnego suwa, w tym przypadku było to porsche cayenne. Forrest Gump nie miał racji, Tom Cochrane miał rację, kiedy śpiewał, że życie to autostrada. A my prujemy pod prąd, oczy mamy zawiązane, ręce przykute do kierownicy, cegłę na pedale gazu. Jakkolwiek by się człowiek starał, jak nie manewrował, to i tak w coś uderzy. Pytanie tylko, czy w łagodzącą uderzenie barierkę, w mini coopera, czy w wyładowanego balami drewna osiemnastokołowca.

- Stawiam na osiemnastokołowca - powiedział do siebie w ojczystym języku.

Porsche Hermoda stało w miejscu, w którym taki samochód nie zwracał niczyjej uwagi - na podjeździe luksusowej rezydencji przy Hamilton Ave w Rochelle Heights. Właściciele mieli identyczny wóz, jak wiadomo, przynależność do klasy wyższej średniej polega na niewyróżnianiu się absolutnie niczym, a już na pewno nie samochodem, wszystkie muszą być czarne, drogie i wyglądać, jakby służyły do przewożenia zwłok.

Toteż nikt nie zwrócił uwagi, że na podjeździe państwa Torrance, zażywających słońca na Maui, zaparkował czarny suv.

Hermod mógł więc spokojnie siedzieć za przyciemnianymi szybami z wyposażonym w noktowizor teleobiektywem przy oku i patrzeć, jak na ścianę rezydencji Richmonda wspina się - niczym Gollum na Górę Przeznaczenia - zwinna i gibka kobieta o dość męskiej figurze.

Lubił, kiedy wszystko szło zgodnie z planem.

- Life is a highway, I wanna ride it all night long, yeah, yeah, yeah - zanucił sobie pod nosem, patrząc, jak Ronja gmera przy oknie na piętrze.

14

Nigdy nie uprawiała sportów ekstremalnych, na nartach jeździła zachowawczo, w morzu pływała tylko tam, gdzie miała grunt, od horrorów raczej stroniła. A na życie zarabiała

jako urzędniczka budżetówki. Nigdy wcześniej nie czuła takiego napięcia i nie spodziewała się, że jest to uczucie aż tak fizyczne. Czuła pulsowanie krwi w uszach, drętwienie dłoni i stóp, dziwne drzenie w mięśniach, jakby cały czas nimi pracowała, choć w rzeczywistości siedziała nieruchomo przed komputerem.

Na ekranie widziała obraz przekazywany przez kamerę przy uchu Lisy: szybę, w której odbijała się niewyraźnie twarz Szwedki i jej goły dekolt, oraz framugę okna i końcówkę niewielkiej wiertarki, którą wywiercała otwór we framudze. Drobne strużyny zbierały się na parapecie z łupku. Wiertarka zniknęła i chwilę później drobna dłoń o absurdalnie czerwonych paznokciach ostrożnie wprowadziła w otwór coś, co wyglądało na czarny kabel.

- Na pewno czujka tego nie wykryje? - spytała szeptem Gmitruka, z przykrością stwierdzając, że głos jej drży jak gimnazjalistce na pierwszej randce.

- Za drobny obiekt. Za wolno się porusza. Nie ma szans.

Lisa manewrowała manipulatorami horoskopu. Zofia wiedziała, że oprócz kamery w kablu jest laser, taki sam, jakiego używa się w szkołach albo w korporacjach, żeby pokazać coś na tablicy czy wyświetlanej prezentacji. Który kupuje się na bazarze za kilka złotych. Taki laser, co było dla niej szokujące, kiedy się o tym dowiedziała, wystarczy, żeby unieszkodliwić czujkę ruchu. Lisa wytłumaczyła jej, że sporo teoretycznie profesjonalnych zabezpieczeń opiera się na wierze konsumenta, że trudne słowa gwarantują bezpieczeństwo, a tak naprawdę gwarantowały jedynie zysk producentowi i firmie ochroniarskiej. Tak jest, zwyczajny laser za pięć złotych unieszkodliwił właśnie czujnik ruchu w rezydencji pełnej, jak się niedawno dowiedzieli, impresjonistów o wartości kilkunastu milionów dolarów, o Rafaelu nie wspominając.

Drgnęła, kiedy na końcu ulicy lampa nagle przygasła, a potem zaczęła migotać. Wydało jej się to złym znakiem. Świat się psuje, dając im do zrozumienia, że naruszają jego porządek, że mają przestać.

- Jaka temperatura w środku? - usłyszeli w słuchawkach opanowany głos Lisy.

- Trzydzieści cztery i pół - odpowiedział Gmitruk, patrząc w okno sterowania domem Richmonda.

- Czyli z dziesięć więcej niż temperatura mojego ciała. Parszywa zima. Dobra, to teraz chwila prawdy.

15

Nie jest łatwo oszukać czujkę termiczną. Urządzenie wykrywa, kiedy w jego polu widzenia pojawi się odpowiednio duży obiekt, wystarczy dłoń, o odmiennej od otoczenia

temperaturze. Cieplesze o kilkanaście zazwyczaj stopni ludzkie ciało od razu uruchamia alarm. Nie pomaga ubranie, nie pomaga też - co Lisa kiedyś testowała - specjalistyczna pianka do nurkowania. Pod wodą doskonale chroni od zimna, ale na powierzchni błyskawicznie się nagrzewa i w termowizji zaczyna świecić jak neon motelu przy autostradzie.

Podobnie jak w przypadku detektorów ruchu, tutaj też istnieje prosty i doskonały sposób - szkło. Jest ono tak dobrym izolatorem, że wszystko za szklaną taflą jest dla czujki niewidoczne. Problem w tym, że w czasie kradzieży ciężko się poruszać w szklanej zbroi. Jednak Lisa miała ze sobą specjalnie zrobione na tę okazję blokady czujek termicznych - niewielkie szybki na stelażu z nóżkami pokrytymi mocnym klejem. Wyglądało to jak model tarantuli, odwłok był ze szkła, a nogi z giętkich metalowych rurek. Tyle tylko że żeby założyć takiego pajęczka na czujkę, trzeba się do niej w ogóle zbliżyć.

I właśnie dlatego Lisa Tolgfors paradowała listopadową nocą po stanie Nowy Jork na golasa.

Ponieważ jeśli chciała być dla czujki niewidoczna, musiała doprowadzić do tego, aby jej ciało i otoczenie miały taką samą temperaturę. W pomieszczeniu za szybą były teraz trzydzieści cztery stopnie, co zresztą wyraźnie czuła, szyba była ciepła, a z wywierconego otworu gorące powietrze dmuchało jak z suszarki. Jej ciało natomiast, trochę ochłodzone przez zabawy na świeżym powietrzu, miało pewnie około trzydziestu pięciu stopni. Czyli powinna móc podejść do czujki niezauważona.

Powinna. Ale oczywiście akurat to maleństwo mogło być wyjątkowo precyzyjne. Co było wątpliwe, w końcu w każdym pomieszczeniu temperatura rozkłada się nierównomiernie i musiałyby wtedy uruchamiać alarm przy każdym włączeniu grzejnika. Ale mogła zareagować na otwarcie okna i wpuszczenie zimnego powietrza. Co też było mało prawdopodobne, bo jeśli wierzyć prawom fizyki, to ciepłe powietrze przemieszcza się w stronę zimnego, poza tym taka wymiana powietrza nie następuje momentalnie. Ale ryzyko istniało.

Dlatego Lisa Tolgfors zawahała się, ale tylko na ułamek sekundy. Podważyła zamek, otworzyła okno i szybko weszła do środka, uważając, żeby nie pokazać plecaka czujce. Urządzenie rozpoznałoby go jako naruszenie porządku, zimną plamę na ciepłym ciecie. Stała na miękkiej, puszystej wykładzinie i zamknęła za sobą okno. Tkwiła tak bez ruchu, patrząc w oczy systemu alarmowego.

- Jestem w środku. Karol?

- Spokój.

Zerknęła na zegarek. Minęło osiem minut od momentu oderwania się od drzewa. Sporo.

Nie odwracając się, wyjęła z plecaka pajęczka i wolno podeszła w stronę czujek. Nie chciała zwlekać, w sypialni było gorąco jak w piekle i bała się, że za chwilę zacznie się rozgrzewać, pocić i stanie się cieplejsza od temperatury powietrza w pokoju, wznecając alarm. Podeszła do systemu, pilnując, żeby nie przeciąć wiązki lasera blokującej czujnik ruchu - to byłby naprawdę kretyński błąd - i przykleiła szklanego pajęczka do ściany.

I teraz dopiero pozwoliła sobie na głębokie zaczerpnięcie powietrza i westchnienie.

- Okej, idę dalej - zakomunikowała.

16

Udało się? - spytała Lorentz wiszącego nad jej ramieniem Gmitruka.

- Jakby się nie udało, to już byśmy słyszeli tupot parawojzkowych buciorów. Nie zlekceważyliby takiego alarmu.

Patrzyli trzecim okiem Lisy na jej dalsze ruchy. Szwedka otworzyła drzwi na korytarz, który w fazie planowania sprawił trudności o tyle, o ile z jednej strony był otwarty na wysoki na dwie kondygnacje salon, przez co zahaczały o niego trzy czujki ruchu i trzy termiczne, w tym jeden zestaw na piętrze, a dwa na parterze. Lisa najpierw rozmieściła trzy wskaźniki laserowe na miniaturowych statywach, a potem założyła pajęczka na czujkę w korytarzu. Z tymi na dole nie mogła nic zrobić, po prostu musiała przedelfilować przed nimi, mając nadzieję, że ogłupiałe przez tropikalne warunki nie zauważą intruza.

Ruszyła.

- Coś jest nie tak - powiedziała nagle Lorentz, wyciszając wcześniej mikrofon, żeby Lisa i Karol nie mogli jej słyszeć.

- Konkretnie?

- Czuję potworny niepokój, aż nie mogę oddychać. Jakbym coś przegapiła.

- Ale teraz?

- Nie, nie teraz, wcześniej. Jakbym nie zauważyła czegoś zupełnie elementarnego na samym początku, jeszcze w Polsce.

- Może to stres?

- Też, ale nie tylko.

- Zofia, to może być ważne. - Gmitruk położył jej rękę na ramieniu. - Myślisz o tym od rana czy to się pojawiło teraz? Może coś zobaczyłaś?

Dobre pytanie.

Oderwała wzrok od monitora. Na końcu ulicy ciągle migotała zepsuta lampa.



W domu Richmonda było ciemno, ale dzięki kamerze Lisy widzieli dość wyraźnie szary korytarz i czarne przejście do kolekcji. Z każdym krokiem Szwedki przejście było coraz większe, w końcu pojawił się w nim zarys wiszącego vis?vis drzwi patriotycznego obrazu Hassama. Plamy w różnych odcieniach szarości, z trudem rozróżniała kształt gwiaździstego sztandaru, miała wrażenie, że patrzy na reprodukcję w katalogu. Czarnobiałą, płaską, nieostrą. Zamknęła oczy. Złe przeczucie nie dawało jej spokoju.

- Zofia, to może być naprawdę ważne - powtórzył łagodnie Gmitruk.

- Nie pomagasz - warknęła oschle, tak że zabrał rękę jak oparzony.

- Coś jest nie tak - usłyszeli w słuchawkach głos Karola.

17

Zadanie Boznańskiego nie było trudne. Miał nie dopuścić do tego, żeby w czasie rabunku patrol pojawił się w pobliżu Willi Richmonda. Co w wariacie najbardziej optymistycznym oznaczało tylko obserwację. Wychodzący na swój pierwszy obchód patrol mógł się skierować w drugą stronę osiedla, przez Orchard Place w stronę The Boulevard. Co by oznaczało, że minie dobre dwadzieścia minut, zanim znajdą się na Serpentine w pobliżu ich rezydencji i domu Richmonda.

W wariacie półoptymistycznym patrol kierował się w ich stronę. Wtedy Karol miał dać znać, żeby Gmitruk odpalił niewielki ładunek wybuchowy w rezydencji przy Manor Place. Na tyle niewielki, żeby otworzyć okno i uruchomić alarm. To powinno wystarczyć, żeby patrol poszedł sprawdzić, co za półgłówki nie zamknęli okna przed wyjazdem.

W wariacie pesymistycznym część ochroniarzy i tak szła w ich stronę. Wtedy Karol miał ich zatrzymać bajeczką o nowojorskiej nerwicy, która nie daje mu spać. O stanach lękowych, które każą mu wychodzić na nocne spacerki, bo woli być na zewnątrz, bliżej karetki, kiedy coś mu się stanie. Jednym słowem, miał ich zamęczyć potokiem słów.

W końcu patrol wyszedł ze swojej budki, dwóch mężczyzn ruszyło leniwym krokiem w jego stronę. Karol powinien zgodnie z planem powiedzieć: „Odpalaj”, ale zamiast tego wyrwało mu się, że coś jest nie tak.

- Odpalaj - wyszeptał jednak zaraz potem.

Mężczyźni zrobili jeszcze kilka kroków w stronę jego krzaka, kiedy drzwi od budki otworzyły się gwałtownie.

- Ding! - krzyknął mężczyzna w mundurze. - Skoczcie na Manor, jakiś kretyn nie zamknął okna i system mi się pluje.

Domingo Chavez odwrócił się na pięcie, zsalutował niedbale i razem z partnerem poszli w przeciwną stronę. Karol złowił jeszcze fragment rozmowy, najwyraźniej dotyczącej

wanien z hydromasażem. Chavez upierał się, że nie ma siły, żeby w tych dyszach nie rosły jakieś grzyby.

- Okej - wyszeptał. - Poszli w drugą stronę.

- To teraz powiedz, co jest nie tak.

- To ten sam patrol. Ci sami ludzie. Normalnie zeszli ze zmiany, pojawili się inni, kokosili się tam razem pół godziny. Tylko teraz ten gość Chavez i jego kumpel powinni w cywilnych ciuchach pójść do domu, a oni wyszli na patrol. Nie rozumiem.

W eterze zapanowała kłopotliwa, pełna napięcia cisza. I wtedy odezwała się Lisa.

- Coś tu jest nie tak - powiedziała.

18

Kontrast pomiędzy dojmującym, lecz w gruncie rzeczy przyjemnym chłodem na zewnątrz a upałem w od dawna niewietrzonym domu Richmonda był potworny. Lisa pocila się jak mysz, krople potu spływały po jej gołym ciele i wsiąkały w wykładzinę, jeszcze nigdy nie czuła się tak naga jak teraz, zabiłaby za kawałek ręcznika albo prześcieradła, żeby móc się okryć albo chociaż wytrzeć.

Korytarz, oddzielający ją od Hassama i Rafaela, był bardziej galerią niż korytarzem. Z prawej strony znajdowało się troje drzwi, prowadzących do dwóch sypialni i łazienki. Z lewej od salonu i znajdujących się tam czujników ruchu i ciepła oddzielała ją ażurowa balustrada, niedająca żadnego schronienia. Dystans pokonała przy ścianie, zwrócona przodem do salonu, żeby czujki nie wykryły plecaka, co było zbędną ostrożnością, bo nagrzał się tak samo jak wszystko w tym piekle.

W domu nie paliła się żadna lampa, ale do przeszklonego salonu wpadało wystarczająco dużo światła z zewnątrz, żeby dokładnie widziała wszystkie sprzęty składające się na bogate wyposażenie. Tak jak poprzednio, zastanowiło ją, dlaczego koneser sztuki, polujący na aukcjach na amerykańskich impresjonistów, trzyma w reprezentacyjnym salonie straszne dekory, jakieś oleodruki z wazonami i jabłkami, zawieszzone pomiędzy głową niedźwiedzia i porożem łosia. Przy kolejnym kroku światło latarni odbiło się w szklanych oczach niedźwiedzia i drgnęła, ponieważ miała wrażenie, że wypchane zwierzę wodzi za nią wzrokiem. Uspokój się, szepnęła do siebie po szwedzku, bo dostaniesz paranoi.

Sunęła po wykładzinie, jedynym dźwiękiem w zamku był szum gorącej wody w grzejnikach, pompowanej przez system, który z całej mocy starał się utrzymać w rezydencji tropikalne warunki. Jej ciche kroki były przy tym absolutnie niesłyszalne.

Doszła do końca korytarza i przyjrzała się dokładnie framudze, bowiem otwarte drzwi wydały jej się podejrzane. I słusznie. Przejście pomiędzy korytarzem a „sypialnią Hassama”

nie było zwykłymi drzwiami. W ogóle nie było tutaj ani drzwi, ani futryny. Były trzy ledwie zaznaczone prowadnice w kolorze ściany - dlatego nie zobaczyła ich przez kamery. Dokładnie zlustrowała w świetle czołówki sufit i zobaczyła, co powinno być w tych prowadnicach. Pierwszą zasłoną od strony korytarza była cienka płyta, zapewne wyglądała dokładnie jak sąsiednie ściany i służyła do tego, żeby zakamuflować istnienie Hassama i reszty. Drugą była gruba stalowa przegroda, czyli antywłamaniowa i antyogniowa zapora. Jeśli pokój sztuki został właściwie zaprojektowany, obrazy powinny przetrwać nienaruszone, nawet jeśli reszta posiadłości poszłaby z dymem. Trzecimi drzwiami, które mogły się chować lub wysuwać z sufitu, była szklana tafla, pozwalająca wpuścić do środka nieco dziennego światła i nie zasłaniać widoku, a jednocześnie odizolować zbiory od wahań temperatury i wilgotności, zapewniając im idealne warunki.

Pytanie tylko: dlaczego żadna z tych przegród nie była opuszczona?

- Coś tu jest nie tak - powiedziała.

Minęło dwanaście minut, odkąd opuściła bezpieczne schronienie za bukowym pniem.

19

Lorentz i Gmitruk w skupieniu słuchali, jak Lisa szybko tłumaczy im, co znalazła i dlaczego jeszcze nie weszła do środka.

- Może zamyka tylko wtedy, kiedy w domu są goście - powiedział Gmitruk. - Boi się przypadkowych osób, ciekawskich spojrzeń, zmian temperatury i wilgotności związanych z domowym życiem. A jak go nie ma, dom jest zabezpieczony, wewnątrz panuje stała temperatura...

- Dopóki nikt się nie włamie i nie zrobi tam Amazonii - wtrąciła Zofia.

- Może zapomniał. A może zostawia to otwarte, żeby móc czasami chociaż przez kamerę popatrzeć na swój obraz. W tym sejfie nie ma kamer, to jedyny sposób, żeby mógł sprawdzić, czy wszystko gra.

- To by pasowało. Kolekcjonerzy to świry. Kiedy chcą się gapić, nic innego nie jest dla nich ważne.

- Może - skomentowała przez interkom Lisa i powiedziała głośno to, o czym wszyscy myśleli od jakiegoś czasu: - A może to pułapka.

Gmitruk jęknął z niesmakiem.

- Bez paranoi - powiedział. - Jak na razie wszystko idzie zgodnie z planem. Jeśli Młody tam rzeczywiście jest, to bierz go i spadamy, spiskowymi teoriami będziemy się zabawiać w drodze do Polski. Razdwa.

20

Złe przeczucia pani doktor mogły być po prostu histerią osoby, która nigdy nie była w takiej sytuacji. Podobnie jak dziwne przeczucia pana marszanda, który pewnie ostatni raz chował się przed kimś w czasach harcerstwa. To, że ochroniarze wymienili się na dyżury, też nie było niczym niecodziennym, a Richmond mógł zwyczajnie zapomnieć zamknąć pokój.

Jednak zaprawiona w warunkach bojowych intuicja Gmitruka też mu podpowiadała, że coś jest nie tak. Machinalnie zlustrował otoczenie.

Kamera Lisy pokazywała, że w rezydencji Richmonda cały czas jest spokój.

Ochroniarze poszli sprawdzić niezamknięte okno trzy przecznice dalej. Spokój.

Robocze kamery zainstalowane w oknach wynajętego przez nich domu pokazywały, że u nich na podjeździe i w ogrodzie też jest spokój.

Okolica spała mocnym snem bogaczy, którzy wzbogacili się cudzym kosztem. Spokój. Tylko na trzecim planie migotała zepsuta lampa. Mimo to jego niepokój rósł. Jeszcze raz wszystko skontrolował.

I zmartwiał. Wpatrywał się w migającą lampę jak zaczarowany. Ponieważ w jej migotaniu powtarzał się wzór. Odruchowo zaczął przekładać błyski na alfabet Morse'a. T, A, B, O, R, T, A, B, O, R, T... Tabor? Nie miało to żadnego sensu, widać przyszło mu zwariować na stare lata, w zepsutej lampie dopatruje się wiadomości.

I wtedy zrozumiał. Nie TABOR, tylko ABORT, jedno z podstawowych komend NATO, polecenie zaprzestania wszelkich działań.

Ktoś ich ostrzega.

Sięgnął po telefon, mając nadzieję, że nie jest za późno.

21

Raz, dwa, turlaj dropsa, gadzie, pomyślała Lisa po polsku i otarła czoło z nadmiaru potu, którego było tyle, że spływał jej do oczu, szczypiąc i przeszkadzając. W jedną rękę wzięła dentystyczne lusterko, a w drugie ledową latarkę, niezależnie od ponagleń Gmitruka wolała przed wejściem zajrzeć do środka. Stała między prowadnicami, obserwując, czy stalowa płyta nie runie w dół i nie połamie jej wszystkich kości, ale nic się nie wydarzyło.

Delikatnie wsunęła do środka rękę z lusterkiem i zaczęła oglądać nie tyle obrazy, co ściany, sufity i kąty, żeby sprawdzić, czy nie ma tam jakichś dodatkowych czujników, o których nie mieli szansy się dowiedzieć wcześniej. Po dokładnej lustracji pomieszczenia, które miało około dwudziestu metrów kwadratowych, uznała, że chyba wszystkie zabezpieczenia są już za nią. Schowała lusterko i wyciągnęła z plecaka czarne pudełko wielkości dwóch postawionych na sobie kostek Rubika. To była jej tajna broń, którą testowała już kilka lat temu, składająca się z wydajnej baterii i wymontowanego z kuchenki

mikrofalowej magnetronu. Urządzenie potrafiło przez kilkanaście sekund wypływać z siebie fale o częstotliwości 2,45 gigaherca. Dokładnie takie, które w warunkach domowych mogą szybko rozruszać cząsteczki wody, podgrzewając jedzenie. A w warunkach galerii sztuki - ogłupić elektroniczne systemy zabezpieczeń. Miała nadzieję, że to wystarczy, aby zablokować mechanizm chowający skarby Richmonda za ścianami zamienionego w sejf pokoju.

Odetchnęła głęboko i weszła do środka.

- Jestem - poinformowała.

22

Nie było czasu na wyrefinowane strategie. Gmitruk podał Lorentz telefon z wykręconym już numerem 911.

- Powiedz, że nazywasz się Nicole Arundel, mieszkasz przy 18 Serpentine, jesteś w domu z małą córką, schowałyście się w garderobie, a na dole są jacyś mężczyźni z bronią, i rozłącz się.

- Ale...

Zanim zdążyła zaprotestować, po drugiej stronie odezwała się operatorka. Lorentz wyrecytowała formułkę zduszonym głosem, dodała jeszcze od siebie: „o Boże, oni tu idą” i rozłączyła się.

- To pułapka. Nie możemy wyjść, bo pewnie na nas czekają. Może się uda, jeśli zrobimy zamieszanie. Teraz żadnych gwałtownych ruchów.

23

To niemożliwe - szepnęła Lisa do mikrofonu, nieświadoma tego, co dzieje się w budynku po drugiej stronie ulicy.

Tuż przed nią, na lewo od drzwi, wisiał obraz Renoira. Jeden z cyklu portretów namalowanych w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku w ogrodzie domu Moneta w Argenteuil. Impresjoniści spotykali się tam na plenerach, pili i malowali pejzaże, stateczne kobiety z dziećmi albo te mniej stateczne, rozbierające się do kąpieli. Malowali innych, malowali siebie samych i siebie nawzajem. Na tym obrazie goła modelka szykowała się do kąpieli w Sekwanie na tle rozgrzanego słońcem, letniego krajobrazu, składającego się z plam soczystej zieleni. Dziewczyna nogą sprawdzała temperaturę wody, jednocześnie odchylając się do tyłu, żeby nie wpaść do rzeki, i rzucając rozbawione, zalotne spojrzenie w stronę malarza.

Wspaniała letnia scena, bez wątplenia Renoira, nawet bez sygnatury rozpoznalaby ten styl. Obraz niezwyklej dzięki swojej dynamice, dzięki fotograficznemu ujęciu chwili. Symbol

najlepszych chwil lata, których w życiu doświadczyliśmy i które chcielibyśmy na zawsze zatrzymać pod powiekami.

Bez wątpienia jeden z najlepszych obrazów Renoira.

Problem w tym, że PierreAuguste nigdy takiego nie namalował.

24

25

Przerażona Zofia Lorentz nie miała szansy docenić poetyckiej sceny, jaka rozgrywała się w zamku Richmonda. Nie mogła widzieć, jak naga pięćdziesięcioletnia kobieta, cała mokra, której krople potu skapywały z nosa i z sutków, stoi w ciemności i wpatruje się w wiszące na ścianie płótno, ledwo wydobyte z mroku przez ledowe światło latarki. Płótno, na którym naga dziewczyna szuka orzeźwienia w rzece, patrząc na swoją towarzyszkę po drugiej stronie rzeczywistości takim wzrokiem, jakby chciała powiedzieć: hej, co się pocisz w tej ciemności, wykup się.

Lorentz widziała jedynie obraz z lekko zaparowanej od gorąca kamery przy uchu Szwedki. Czyli nieznaną jej impresjonistyczny portret. Poczwała nawet lekkie ukłucie wstydu, powinna go znać, bo wydawał się niezły, odcienie zieleni mimo podłej jakości transmisji były niezwykle. I dopiero ta myśl sprawiła, że rozsypane puzzle w jej głowie ułożyły się w jedną całość.

- Lisa, żyjesz? - spytał Gmitruk. - Młody tam jest?

Obraz poruszył się, pochyleni nad monitorem Zofia i Anatol zobaczyli, jak zgodnie z ruchem głowy Lisy wchodząca do wody modelka ustępuje miejsca wejściu na korytarz, a potem jeszcze dwóm obrazom i kolejnej ścianie, gdzie obok siebie wisiały ogromny telewizor, Rafael i stare zdjęcie jakiejś minionej gwiazdy baseballu z autografem.

W tej jednak chwili nie zrobiło to na Lorentz żadnego wrażenia, ponieważ ona już wiedziała, że z całą pewnością wiszący na ścianie obraz nie był poszukiwanym przez nich Rafaelem.

- Wynoś się stamtąd! - wrzasnęła, zanim Gmitruk zdążył ją powstrzymać. - To fałsz! To pułapka!

Jej krzyk zlał się w jedno z histerycznym szeptem Karola, który doradzał to samo rozwiązanie. Było jasne, że wszystko poszło nie tak.

Odkąd zobaczył Chaveza i jego latynoskiego kumpla, jak zmęczonym krokiem udają się na kolejny obchód, nie opuszczał go niepokój. Jeśli ta dwójka, podobnie jak reszta nocnej zmiany, nie została zwolniona ze służby, to po co przyszli ich zmiennicy? Wątpliwe, żeby wzmocniono zespół gapiący się w monitory, żeby w większej grupie mogli rozwiązywać

sudoku i kartkować pornole.

Nie musiał długo czekać na odpowiedź na wszystkie swoje pytania, minęło pięć minut i z budki strażniczej wyszło trzech mężczyzn. Jeśli kiedykolwiek rozwiązywali sudoku, to chyba w ten sposób, że wieszali je na tarczy strzelniczej i każdy kwadrat dziurawili kulami odpowiednią ilość razy. Wyglądali jak elita komandosów, najemników albo morderców. Ubrani od stóp do głów na czarno, torsy zasłaniały im kamizelki kuloodporne, każdy trzymał długą broń z tłumikiem i miał wyposażony w noktowizyjne okulary hełm. Poruszali się szybko, bezszelestnie, za pomocą tych samych wyćwiczonych ruchów. Dowódca dał ręką dwa krótkie znaki, po których rozbiegli się w szeroką tyralierę, i szybkim, czujnym truchtem, wyszukując zacienionych miejsc, ruszyli Hamilton Ave w stronę domu Richmonda.

Karol zamarł pod swoim krzakiem, przekonany, że to jego ostatnie chwile, Jeden z żołnierzy przebiegł tak blisko, że sychnął mu piaskiem do oczu. Ze strachu Karol prawie krzyknął, musiał przycisnąć twarz do mokrej ziemi, żeby nie wydać dźwięku. Dopiero po chwili odważył się podnieść głowę i wycisnąć przez sparaliżowane struny głosowe szept, żeby wszyscy spieprzali jak najszybciej.

Powiedział jeszcze dlaczego, a potem wstał i chwiejnym krokiem ruszył w przeciwną stronę, żeby znaleźć samochód ewakuacyjny i uciec. Przez ułamek sekundy wahał się, czy nie wrócić - niczym rycerz na białym koniu - na wypadek gdyby Zofia potrzebowała pomocy. Ale uznał, że Lorentz będzie bezpieczniejsza, jeśli Gmitruk będzie musiał niańczyć tylko ją, a nie ją i Karola na dokładkę.

Przedzierał się przez krzaki w stronę centrum New Rochelle, kiedy minęło go kilka radiowozów na sygnale. Nie miał pojęcia, co się tutaj dzieje, ale nie ulegało wątpliwości, że wszystko poszło nie tak.

Pięć minut później jechał już kilkuletnim nissanem primerą w stronę Eastchester. Tam na parkingu przed centrum handlowym Vernon Hills miał zostawić nissana, wsiąść do niebieskiego forda fbcusa, gdzie w schowku czekały na niego dokumenty i telefon, i już na własną rękę znaleźć motel w White Plains.

Do końca życia nie odpowiedział sobie na pytanie, czy odjechał, bo taki był plan i tak było najbezpieczniej dla wszystkich, czy po prostu stchórzył.

26

Lisa Tolgfors miała ułamek sekundy na podjęcie decyzji, co zrobi, zanim ruszy sprintem do okna w sypialni po drugiej stronie korytarza i spróbuje ocalić skórę. Po pierwsze zostawiła Rafaela, zlecenie czy nie, nie obchodził jej ten stary kawał dechy. Ale Renoir to zupełnie co innego. W grę nie wchodziło odpalenie EMP, usmażenie układów elektrycznych i

wycięcie obrazu. Jedyne, co mogła zrobić, to sprawdzić, czy jest prawdziwy. Bo jeśli jest prawdziwy, absolutnie nie może teraz dać się złapać. Musi zostać na wolności, żeby wykonać największe wyznaczone sobie właśnie wyzwanie jej złodziejskiego życia.

Nie miała czasu na rzetelne pobranie próbki, nie miała czasu na nic. Wyciągnęła rękę z pomalowanymi na czerwono paznokciami, żeby zdrapać trochę zielonej farby. I zawahała się na mgnienie oka. Wiedziała, że przy najlżejszym dotyku obraz schowa się między ścianami, i była na to gotowa. Ale czy tylko to? Czy nie opadną nagle stalowe wrota i nie zamkną jej w tym sejfie? Czy nie powinna po prostu pryskać jak najszybciej?

Pieprzyć to, pomyślała, *nothing ventured, nothing gained*.

Rzuciła niepotrzebny już plecak na podłogę, cofnęła się o dwa kroki i ruszyła biegiem w kierunku drzwi, gotowa w każdej chwili rzucić się szczupakiem, gdyby zaczęły się zamykać. W ostatniej chwili, mijając ramę z Renoirem, paznokciem wskazującego palca lewej ręki zawadziła o płótno, zdrapując odrobinę farby.

System był świetny. Obraz schował się momentalnie razem z innymi, właściwie nie tyle schował, co zniknął, izraelski system był oparty na hydraulicznych siłownikach i systemie ciężarków, gdyż elektryczne silniki były zbyt wolne. Usłyszała w ścianach cichy świst i obrazów nie było.

Niestety równocześnie ze zniknięciem obrazów we framudze pojawiła się stalowa przegroda i z dużą prędkością zaczęła opadać w kierunku podłogi. Nie dam rady, pomyślała. I rzuciła się wślizgiem w jej stronę tym samym ruchem, jakim zawodowi piłkarze w manewrze ostatniej szansy próbują wybić piłkę spod nóg pędzącego na bramkę rywala.

Udało jej się tylko dlatego, że była spocona. Gdyby nie to wyhamowałyby na pluszowej wykładzinie, a stalowe drzwi zmiażdżyłyby jej mostek i kręgosłup, w najlepszym razie krtań, pozostawiając jej głowę po tamtej stronie, żeby już zawsze mogła oglądać miejsce po nieistniejącym Renoirze. Jednak spocone ciało prześliznęło się po wykładzinie jak piłkarz po mokrej murawie. W ostatniej chwili zamknęła oczy i przekrzywiła głowę na bok, myśląc tylko o tym, żeby nie zahaczyć brodą i kością policzkową.

Nie zahaczyła, ale poczuła, jak wielka siła naciska na czubek głowy, i kiedy była pewna, że czaszka jej pęknie jak arbuz włożony w imadło, płyta opadła z hukiem milimetry za jej głową, a Lisa zatrzymała się tyleż gwałtownie, co niespodziewanie.

Histerycznymi haustami łapała powietrze, wpatrując się w mrok rezydencji Richmonda, próbując stwierdzić, czy żyje, czy nie. Czowała potworny, szczypiący ból głowy, jakby gwałtownego oparzenia, i przez chwilę była pewna, że tylko adrenalina trzyma ją przy życiu, a z tyłu przez zmiażdżoną czaszkę na wszystkie strony tryska krew. Kilka sekund



zajęło jej przekonywanie siebie, że musi sięgnąć ręką, aby przekonać się, jak bardzo jest źle.

Gdy się przemogła, zrozumiała, że nic jej nie jest. Płyta zatrzaskała się milimetry za jej głową, a ból brał się stąd, że przytrzasnęła jej włosy, nie pozwalając się ruszyć.

Nie miała czasu na żale. Podjęła decyzję i natychmiast ją wykonała, uwalniając się mocnym szarpnięciem od sejfu Richmonda. Jej dziki ryk prawie zagłuszył nieprzyjemny, przeszywający dźwięk wyrywanych i pękających włosów. Nie oglądała swojego skalpu, wstała i nie zważając ani na białe plamki wirujące jej przed oczami, ani na krew ciekącą po plecach, pobiegła do sypialni, otworzyła okno, opuściła się na parapecie i zeskoczyła trzy metry w dół. Dokładnie w chwili kiedy dotknęła zimnej ziemi, przez frontowe drzwi wpadł jeden z najemników.

Lisa Tolgfors pobiegła w mrok, w stronę Brookdale Ave, gdzie czekał jej samochód.'

27

Kiedy zobaczył żołnierzy wbiegających do rezydencji, prawie odetchnął z ulgą, przekonany, że jednak wszystko poszło gładko i że złodziejka zgodnie z planem siedzi w swojej klatce i czeka, aby razem ze swoimi współnikami stać się kozłem ofiarnym, poświęconym dla sprawy, która z tajemniczych przyczyn była dla jego zleceniodawcy niesłychanie istotna. Dziwiło go trochę, po co tyle nadzwyczajnych środków z powodu takiej błahostki, ale nie drążył, i tak by mu nie powiedzieli. Zawsze może się dowiedzieć swoimi kanałami. Lista ludzi, którzy byli mu winni przysługę, była dłuższa niż lista gości na ślubie księcia Williama.

Żołnierz zniknął w rezydencji, a od drugiej strony z okna wyskoczyła Ronja.

Zaklął, patrząc, jak zwinnie ląduje na ziemi i od razu znika między drzewami, uciekając w kierunku parków i ogrodów, gdzie najtrudniej będzie ją złapać. Trudno uwierzyć, że za chwilę będzie miała pięćdziesiątkę, pomyślał z podziwem.

Po czym chwycił za broń i wyskoczył z samochodu. Nie pobiegł jednak w kierunku, w którym zniknęła Lisa Tolgfors. Miał jasno sprecyzowany cel i ten cel nazywał się Zofia Lorentz.

Nie ma szans, żeby związała, pomyślał Hermod i dokładnie w tej samej chwili z obu stron Hamilton Ave wyjechały, błyskając niebieskimi i czerwonymi światłami, cztery radiowozy lokalnej policji. Kierowały się w jego stronę.

Rzucił się za swoje porsche cayenne i zniknął w ciemnym, opuszczonym ogrodzie, zanim policjanci mieli szansę go dostrzec.

Dwa z radiowozów zatrzymały się przy rezydencji Richmonda, widząc uzbrojonych ludzi. Najemnicy grzecznie podnieśli ręce, w końcu byli zwyczajnymi ochroniarzami

podejrzewającymi włamanie.

28

Gdy tylko Lorentz krzyknęła do Lisy, żeby uciekała z domu Richmonda, Gmitruk wyrwał kable podłączone do zamontowanego w małej walizce komputera, zamknął ją i rzucił się w kierunku schodów. Ewakuacja miała polegać na błyskawicznym wykonaniu procedur, nie na rozważaniu, co dalej.

Razem wybiegli do ogrodu. Zofia ledwo trzymała się na nogach z przerażenia. Była przygotowana na to, że może im się nie udać, że mogą zostać złapani. Ale nie była gotowa na to, że będzie musiała uciekać przed ludźmi, których Karol w histerycznym tonie opisał jako zbirów z karabinami. Była pewna, że to oznacza zmianę planów, że major Anatol Gmitruk, pełniący de facto funkcję ich dowódcy w terenie, teraz ją obroni.

Gmitruk jednak przycisnął ją mocno do ziemi i nie pozwolił się ruszyć, dopóki powietrze nie wypełniło się dźwiękiem syren. Lustrował czujnie teren, czy nikt nagle nie podniesie się z ziemi ani nie wyłoni zza drzewa. Ale nie, ktokolwiek chciał ich dorwać, pojawienie się policji musiało przynajmniej częściowo pokrzyżować jego plany.

- Teraz - powiedział i zaczął zbiegać w dół skarpy, gdzie czekał jego samochód.

- Anatol! - krzyknęła. Wojskowy odwrócił się gwałtownie.

- Oni mogą mieć broń!

- Oni na pewno mają broń. Nie użyją jej, jeśli cię nie znajdą. Biegnij! Po czym zniknął między drzewami.

Miała ochotę rzucić się na ziemię i wybuchnąć płaczem albo wrócić do domu i schować się pod łóżko lub między kartonami. Od hysterii uratowała ją jedna myśl: wykonać plan. Zgodnie z tą myślą pobiegła tak, jak zaplanował Anatol - po skosie w dół skarpy, w stronę autostrady.

Musiała trzymać się planu. Pobiegła między drzewami, trzymając się wypielęgowanego trawnika sąsiedniej rezydencji. Potem musiała przebiec tuż koło następnej posiadłości, przez ogród z dużym drewnianym placem zabaw. Kiedy przeskakiwała nad zjeżdżalnią, zapaliła się reagująca na ruch halogenowa lampa, a wewnątrz domu zaczął ujadać pies. Przestraszyła się i upadła, uderzając się boleśnie o krawędź kolorowej piaskownicy, ale od razu wstała i pobiegła dalej.

Dobiegła do The Boulevard, szerokiej parkowej ulicy stanowiącej główną oś luksusowego osiedla. Powinna przeciąć ją jak najszybciej, ale zamiast tego przykucnęła przy drzewie, rozglądając się uważnie. To był błąd. Plan zakładał ucieczkę i możliwie najszybszy bieg, ona postąpiła niezgodnie z planem. Kiedy w drzewo coś stuknęło koło jej ramienia, w

pierwszej chwili nie zrozumiała, co to za zjawisko. Kiedy usłyszała, jak koło jej ucha przelatuje osa - pojęła.

I pomknęła do przodu. Wyskoczyła na The Boulevard, tuż przed maskę samochodu, za kierownicą którego rozpoznała Gmitruka. Dawał jej znaki, żeby biegła dalej. Ruszyła więc przed siebie przez gęsto zarośnięty drzewami park. Od jej samochodu dzieliły ją dwie posesje.

Z tyłu usłyszała brzęk tłuczonego szkła padającego na asfalt i huk wystrzałów. Skuliła się. Nigdy nie podejrzewała, że strzały z pistoletu są aż tak głośne.

29

Hermod schował się za drzewem, kiedy Anatol zaczął strzelać z samochodu, nie tracąc czasu na opuszczanie szyby. Nie bał się trafienia, Polak walił na oślep, musiałby mieć niezwykłego farta, żeby ustrzelić niewidoczną między drzewami postać. Bardziej martwił się tym, że Lorentz mu ucieknie. Pościg był wykluczony, ponieważ pozostawione na podjeździe cayenne było właśnie uważnie oglądane przez policję. Oczywiście niczego nie znajdą, oczywiście nic na niego nie mają, ale pojawienie się tam teraz oznaczałoby konieczność długich tłumaczeń, na które nie miał czasu. Co oznacza, że nie może jej odpuścić.

30

Przyspieszyła, pochylona, bojąc się tego, że następnej kuli nie usłyszy, tylko ją poczuje. „To nie wygląda jak elegancka dziurka - opowiadała jej kiedyś przyjaciółka, która mieszkała na Podkarpaciu, była żoną leśnika i sprawiała jego zdobycze. - Jak kula przechodzi przez ciało, to wiruje, rozrywa, szarpie. Raz Janek trafił jelonka w wątrobę, to ledwo się dało tyle uzbierać, żeby było na pasztet”.

Kula przejdzie przez jej ciało i porozrywa je tak, że nie będzie nawet na pasztet.

Potknęła się i wpadła do płytkiego rowu. Była w takim stanie, że zamiast po prostu wstać, zaczęła się histerycznie szarpać, zaplątując w krzaki, i dopiero po dłuższej chwili wyrwała się z nich siłą, rozrywając ubranie i boleśnie kalecząc skórę.

Płacząc i zataczając się, wyskoczyła w końcu na Manhattan Ave, dwa metry obok czekającego na nią chevroleta malibu. Krzyknęła z radości i podbiegła do drzwi od strony kierowcy. Zgodnie z planem miały być otwarte, zgodnie z planem kluczyki miały czekać w stacyjce.

- Panno Zofio! - zawołał ktoś po angielsku, kiedy trzymała już rękę na klamce.

Odwróciła się, przekonana, że zobaczy ubranego na czarno najemnika i wylot skierowanej w stronę jej serca karabinowej lufy.

Tymczasem zobaczyła tego przystojnego mężczyznę o zielonych oczach, którego wizytówkę kilka razy miała w ręku w czasie ostatniego tygodnia i rozważała, czy się z nim

spotkać na kawę. Był interesującym, dowcipnym człowiekiem, miło im się rozmawiało. Zrezygnowała, kiedy zrozumiała, że zrobiłaby to tylko na złość Karolowi.

- Pan Leong? Co pan tutaj robi? - spytała zdziwiona.

- Jest mi bardzo przykro - odpowiedział dziwnie na jej pytanie i podniósł dłoń z pistoletem do góry.

31

Z Domingo Chaveza trochę się wszyscy wyśmiewali za jego plecami. Zarówno wcześniej w wojsku, jak i teraz w PMC Raven, do której to prywatnej armii trafił, chcąc zapewnić rodzinie godziwy byt. Zwerbował go jeszcze w Afganistanie. Zapytali, czy po powrocie chce dalej grać tyłek w koszarach, czekając, aż Wuj Sam rzuci go na pożarcie jakimś śliniącym się z nienawiści Arabusom, a potem wręczy pośmiertny medal jego żonie, czy też może uważa, że pora zrobić coś dla siebie. Uznał, że pora zrobić coś dla siebie.

Wiedział o tym, że się z niego trochę wyśmiewają. A wyśmiewali się z jego obsesji gwałtów i skrzywdzonych kobiet, nie trzeba było wiele, żeby Chavez zaczął psioczyć na gwałcicieli, żądając dla nich najsurowszych kar i wymyślając najgorsze tortury. Wyśmiewali się, ale nikt nie drażył tematu. Wiedzieli, że Chavez ma meksykańskie pochodzenie, że wychowywał się na najędzniejszych przedmieściach Albuquerque, gdzie zawsze łatwo było o tanią broń, o tanie narkotyki i tanie dziwki. Nikt nie chciał zapytać wprost, bali się okropnej historii o zgwałconej matce albo młodszej siostrze.

A Ding nie spieszył się z wyjaśnieniami. Ponieważ ani nigdy nie zgwałcono mu matki (choć sposób, w jaki ojciec ją traktował, w wielu stanach mógłby zostać tak zakwalifikowany), ani żadnej z czterech sióstr. To on z Jessem i Walterem pewnej soboty po wyjściu z knajpy zaczepili Lucię, żadne niewiniątko, jeszcze tydzień temu spała z Jessem, zanim jej się odwidziało, a wcześniej częściej ssała różne pały, niż tamtejsze matki całowały dzieci na dobranoc.

Pijana, ledwo trzymała się na nogach. I faktycznie drażniła się z nimi i naśmiewała, że trzech onanistów postanowiło sobie ulżyć i zostało pedałami.

Ale i tak nie powinni tego robić. Jesse był wkurzony i chciał ją ukarać. Walter był idiotą, którego to bawiło. A on nie potrafił się wycofać.

Najgorszy czyn jego życia.

Potem oni poszli, ona została, siedziała na desce pod ogrodzeniem osiedla przyczep kempingowych i cicho płakała. Został, ale wstydził się do niej podejść. Usiadł po drugiej stronie ogrodzenia, żeby czuć na wszelki wypadek. Gdyby zasnęła, straciła przytomność albo gdyby (dobre sobie!) ktoś ją zaczepił. Chciał iść za nią w pewnej odległości, gdyby

postanowiła wrócić do domu.

Ale ona ani nie poszła, ani nie zasnęła, ani nie straciła przytomności. Siedziała i płakała nieprzerwanie przez pięć godzin. Przez te pięć godzin Ding Chavez przestał być chłopcem, a stał się mężczyzną, który wiele nauczył się o świecie i o kobietach. I którego potworny czyn ukształtował na resztę życia. Kiedy brał ślub, kiedy rodziły mu się dzieci, kiedy dostał Purpurowe Serce za służbę w Iraku, kiedy kupili dom w New Jersey - w najpiękniejszych chwilach swojego życia stale słyszał z tyłu głowy monotony szloch. I czekał na chwilę, kiedy będzie mógł odkupić swój straszny grzech.

Dlatego kiedy zobaczył biegnącą przez krzaki szlochającą blondynkę, zapomniał o wszystkich rozkazach, jakie cały dzień włączano mu do głowy. Żeby siedzieć cicho i nie interweniować, cokolwiek by się działo i cokolwiek by widzieli.

Odepchnął próbującego go zatrzymać partnera, odbezpieczył swojego mk23 i pobiegł za kobietą.

32

Podobno w takich chwilach całe życie przelatuje przed oczami.

Doktor Zofia Lorentz pomyślała tylko, że szkoda, że przed wyjazdem nie zobaczyła się z rodzicami. Nikt nie powinien przeżywać swoich dzieci, nawet takich, które przez ostatnie cztery lata nie znalazły czasu, żeby odwiedzić matkę i ojca w Przemyślu. Smutno jej się zrobiło bardziej z ich powodu niż ze swojego.

Była pewna, że to jej ostatnia myśl.

Hermod nie bawił się w żadne przemówienia, z poważną miną podniósł pistolet do oka.

- Stój! - krzyknął drżący z emocji głos obok Zofii.

Trzy metry dalej stał w pozycji strzeleckiej Domingo Chavez. Nogi szeroko rozstawione, lekko ugięte w kolanach, prawa ręka z pistoletem wyprostowana i podniesiona na wysokość oka, druga podtrzymywała ją przy dłoni, żeby pomóc zachować stabilność i celność. Poczula się uratowana.

Hermod zastrzelił Latynosa bez chwili wahania. Tak po prostu. Przekręcił rękę, wcisnął dwa razy spust, kule jedna po drugiej trafiły w czaszkę ochroniarza. Jego ciało nie zdążyło dolecieć do ziemi, kiedy Hermod znowu wycelował w jej stronę. Huknął strzał.

Zofia Lorentz zamknęła oczy, czekając na uderzenie, które rzuci ją na karoserię, przygotowała się na ból, zimno i śmierć.

Nic z tego się nie wydarzyło. Za to stojący przed nią towarzysz samolotowej podróży krzyknął z wściekłością.

Ostrożnie otworzyła oczy. Jasper Leong kulił się w paroksyzmie bólu, pistolet wypadł na ziemię, dłoń miał pokierszowaną i coraz obficie ciekła z niej krew, tworząc wokół ciemną, lśniącą kałużę.

Spojrzała w bok. Anatol siedział za kierownicą swojego chevroleta, dłonie z pistoletem opierał o krawędź drzwi. Strzelił jeszcze dwa razy, ale napastnik mimo rany rzucił się w dół skarpy i zniknął im z oczu.

Nie czekała na zaproszenie. Wskoczyła do wozu i dwie minuty później jechali 1-95 w stronę New Haven.

## część III

KOLEKCJA

ROZDZIAŁ CZWARTY

Archipelag

1

Obojętnie spojrział na obandażowaną dłoń, obecnie trójpalczystą, i pomyślał, że być może pora przejść na emeryturę. Wystrzelona przez Anatola Gmitruka kula trafiła dokładnie między stawy palca wskazującego (zaciskającego się na cynglu) i środkowego (obejmującego kolbę pistoletu) w miejscu, w którym palce łączą się ze śródrezczem. Uderzyła w delikatne połączenie kości, chrząstek i więzadeł z prędkością prawie tysiąca kilometrów na godzinę, nie tyle raniąc, co unicestwiając tę część ciała i de facto urywając dwa palce. Oglądał wiele śmierci, sam nieraz odnosił rany, ale widok własnej prawej ręki, czyli drugiego obok mózgu najważniejszego narzędzia pracy, w takim stanie sprawił, że Hermod poczuł mdłości podchodzące do gardła. Oczywiście palców nie udało się uratować.

Siedzący po drugiej stronie stołu szpakowaty mężczyzna w zwyczajnym garniturze był jedną z osób, które znały Hermoda wcześniej. W czasach, kiedy ten miał inną twarz, inne oczy, inny zawód i inne życie. Wiele osób go wtedy znało, ale tylko kilka wiedziało, że tamten człowiek i Hermod to ta sama osoba. Szpakowaty mężczyzna był jedną z nich. Mało tego, w dawnych czasach byli przyjaciółmi, jeśli przyjaźń w tych kręgach jest w ogóle możliwa.

Szpakowaty mężczyzna nazywał się zwyczajnie i był ucieleśnieniem amerykańskiej urzędniczej zwyczajności, w Waszyngtonie są takich jak on tysiące. Nawet jego funkcja starszego analityka w Departamencie Obrony była tak zwyczajna, że na nikim nie robiła wrażenia, bo przecież nie mógł powiedzieć, że od dwudziestu lat jest buforem i łącznikiem między wszystkim tym, co legalne, i wszystkim tym, co nielegalne? Że tak jak inni zajmują się korpusami, brygadami i regimentami, tak on ma pod sobą najemników, zabójców i zwykłych bandytów? W najlepszym razie zostałby wzięty za mitomana.

- Starzejesz się, Martin - powiedział. - Myślałeś o przejściu na emeryturę?

- Co teraz?

- Przede wszystkim odkładamy akta na półkę.

Hermod wiedział, co to oznacza. Znał Amerykanów, potrafili w pół godziny wyczyścić ślady po każdej operacji tak, że zostawała jedynie cienka teczka w sejfie na dnie

jakiegoś bunkra. Znikną kontakty, kanały komunikacyjne, telefony, adresy na serwerach i konta, z których dokonywano przelewów. Lata działania w demokracji, kiedy byle dzienni - karzyna czy kongresmen mógł grzebać w ich poczynaniach, nauczyły Amerykanów czegoś, co nazywał „biurokratycznym napalmem”. Jeden sygnał i uruchamiano procedury, specjaliści potrafili zatrzeć każdy ślad w czasie, jakiego potrzebowała taksówka na przejechanie kilku mil między Kapitołem i Pentagonem.

- Chciałbym to dokończyć.

- Ale my byśmy nie chcieli. Spieprzyłeś sprawę w Europie, spieprzyłeś sprawę tu. Dwa razy wykiwał cię jakiś komandosina, za drugim razem o mało co nie zginąłeś. Zalecam odpoczynek, urlop, rehabilitację w jakimś słonecznym miejscu.

- Nalegam.

- Jedź do domu, Martin. Gdziekolwiek go akurat masz. Uwierz mi, to dobra rada.

Hermod zrozumiał, że Amerykanie uznali, że sami wszystko dokończą i wyślą swoją kawalerię. A to nie były dobre wiadomości dla poszukiwaczy Rafaela. Chirurgiczna precyzja według amerykańskiej armii oznaczała zapewne osiłków z bronią maszynową, rozrzucających granaty równie ochoczo, co małe dziewczynki płatki róż na katolickiej procesji.

- Masz rację - skłamał. - Urlop i zasłużona emerytura. Jest bezpiecznie?

Szpakowaty mężczyzna skinął głową na znak, że pomieszczenie, w którym przebywają, jest wolne od aparatury podsłuchowej.

- Tak po starej znajomości. Znasz nasze cv. Polityka, wielki przemysł, Bliski Wschód. Wszystko jasne. A to? Amatorzy z prowincji, podniecający się jakimiś starociami, wartymi w gruncie rzeczy drobne pieniądze. Co to jest?

Szpakowaty mężczyzna westchnął.

- Wiesz, że nie mogę nic powiedzieć, Martin. Ale tak po starej znajomości wspomnę, że zdarzają się starocie, niektóre naprawdę stare, których pojawienie się byłoby dla bezpieczeństwa narodowego zagrożeniem większym niż atomówki w sklepach wysyłkowych. Rozumiesz?

Hermod pokiwał głową. Oczywiście, że rozumiał. Broń to trupy, a parę trupów więcej nie robi tak naprawdę różnicy. Przecież dobra propaganda może zrobić z jednego trupa pretekst do wojny albo z tysiąca nieszczęśliwy wypadek bez znaczenia.

Ale wiedza - wiedza to władza.

2

Nie lubiła wsi, ale kiedyś bardzo kochała ten dom. Tradycyjny, solidny, pozbawiony udziwnień, wielkich, przeszklonych przestrzeni, półokrągłych werand czy ozdobnych



balkonów, wspartych na pękatych kolumnach. Piękny prostotą domu z dziecięcego obrazka. Kamienna podmurówka, bryła z czerwonej cegły z elementami z ciemnego drewna, pomalowana na zielono stolarka drzwi i okien. Całość przykryta spadzistym dachem z lekko omszałymi dachówkami, z którego wystawały wykuszowe okna pokoi na piętrze i dwa kominy, jeden od pieca w salonie, drugi od kominka w obszernym gabinecie, świętym miejscu Karola Boznańskiego. Jedyne architektoniczne odstępstwo stanowił duży taras, na który można było wyjść z sypialni na piętrze.

Walczyła ze sobą, jak mogła, ale bez skutku. Już jadąc przez wiśniowy sad, rozciągający się między bramą a domem, widziała tylko tę sypialnię. Duże okno prowadzące na taras i mniejsze, z widokiem na pola od strony Tarczyna. Naturalny, chropowaty tynk, biały, kontrastujący z pozostawionymi na wierzchu zabejcowanymi na szaro jętkami. Zwykle sosnowe łóżko, lniana pościel. I plamy koloru po obu stronach - piętrzące się na dwóch nocnych stolikach albumy z malarstwem, notatniki, powieści z wizytówkami zamiast zakładek. Zawsze kilka. Jedna poważna, którą Karol miał przeczytać, ale mu się nie chciało. Jedna polska chała bez początku i końca, którą wcisnął mu jeden ze znajomych pisarzy. I jakaś amerykańska sensacja. Potrafił zarwać noc i potem przekładać spotkania tylko dlatego, że nie mógł się oderwać od Lee Childa albo Jeffrey Deavera.

Dotyk Inu, ciemność lekko rozświetlona przez lampkę nocną, szelest przewracanych kartek, mokry zapach mazowieckich pól w lecie i dopalającego się w piecu drewna w zimie. Ciepło bijące od wiercącego się obok ciała. Dlaczego akurat im nie wyszło? Co za bezsens, że się wtedy nie dogadaliśmy, myślała.

Taksówka zatrzymała się na podjeździe i wszyscy wysiedli przed domem Karola.

- Co, lalka? - Mrugnął do niej, grzebiąc kluczem w zamku. - Ozywają wspomnienia?

Momentalnie przypomniała sobie, dlaczego się wtedy nie dogadali. Ze wszystkim szczegółami sobie przypomniwała.

Godzinę później siedzieli w gabinecie Karola na corbusierowskim „wypoczynku”, klasycznych czarnych sofach i fotelach w kształcie kostek, składających się z obszytych skórą poduszek, wciśniętych w chromowany stelaż. Nie przepadała za międzywojennym wzornictwem, wszystkie te bauhausy lepiej wyglądały, niż się sprawdzały. Podwinęła nogi i wcisnęła się w róg sofy, ogrzewając w dłoni kieliszek czerwonego wina. W kominku ostro hajcowało, ale ciągle było chłodno. Pomyślała gorzko, że to nie rezydencja Richmonda, którą można rozgrzać zdalnie. Rezydencja Richmonda... Zemdlilo ją na wspomnienie niedawnej awantury.

Od wydarzeń w New Rochelle mijało właśnie trzydzieści sześć godzin. Przez ten czas

zdążyli się opatrzeć (ci, którzy tego potrzebowali), odnaleźć i ewakuować ze Stanów nocnym rejssem razem z ministrem spraw zagranicznych, odwiedzić premiera, dać się sponiewierać i uciec z Warszawy do gospodarstwa Karola pod Mszczonowem, żeby zebrać myśli i zastanowić się, czy to koniec, czy może jednak nie.

Teraz siedzieli w milczeniu ze szklankami i kieliszkami w dłoniach, wszyscy wyglądali podle. Nawet gdyby chcieli zapomnieć o zagrożeniu, to obandażowana głowa oskalpowanej przez samą siebie Lisy przypominała aż nadto, że o włos minęli się ze śmiercią.

Opróżniła kieliszek i wyciągnęła rękę w stronę Karola, który hojnie dołał jej pysznego, choć pachnącego wiejskim podwórkiem corbieres z ekologicznej uprawy. Trunek pasował do gospodarza.

- Możesz teraz wyjaśnić, skąd wiesz, że to falsyfikat? - Anatol zwrócił się do niej bardzo uprzejmie. - Nie chcę się kłócić. - Podniósł ręce w obronnym geście. - Po prostu wszyscy jesteśmy ciekawi.

Karol parsknął śmiechem i wznosił kieliszek w jej kierunku.

- Za niewyparzoną gębę!

Westchnęła. Faktycznie, na spotkaniu u premiera puściły jej nerwy. Z lotniska pojechali kilkoma limuzynami na sygnale w Aleje Ujazdowskie, gdzie premier czekał już na nich w kostce. Ten sam młody żołnierz stał na bramce, tak samo poprosił o zdjęcie butów i to nie był dobry początek. Powiedziała, że odmawia - głównie dlatego, że miała je na nogach od dwudziestu godzin - i że zdejmie dopiero, kiedy zobaczy premiera na bosaka. Po pięciu minutach przekomarzanek pojawił się wściekły premier. Żołnierzowi, który oponował, że są procedury, powiedział, że to on jest pod nimi podpisany i żeby uważał, bo mogą go przesunąć do ochrony polityków koalicyjnej partii i pozna wszystkie obory w Polsce szybciej, niż mu się wydaje.

Żołnierz umilkł i zasalutował na wszelki wypadek.

W kostce czekał już generał Gagatek z Agencji Wywiadu. Pana od kultury na szczęście nie było, pewnie wpieprzał tartinki na jakimś sympozjum na temat zawartości wartości w wartościach, które sfinansował ze środków dla bibliotek i domów kultury. Rozmowa przebiegała mniej więcej tak:

Premier: Czy was pojechało do końca? Mieliście ukraść kawał dechy, a nie bawić się w strzelaninę pod Nowym Jorkiem. Jak Amerykanie zrobią z tego dym, to wracacie do Stanów, żeby tam odsiedzieć swoje. Żeby nie było, że nie ostrzegałem.

Lorentz: Nie my zaczęliśmy. Zresztą tylko major Gmitruk miał broń.

Premier: Całe szczęście, inaczej ogłosiłiby tam żałobę narodową. „Miasto trupów”.

„Nowa farma Koresha”. „AlKaida z Polski”. O, właśnie, „AlKaida z Polski”.

Lorentz: Amerykanie nie powiedzą ani słowa. To była mistyfikacja.

Premier: Kobieto! Jaka mistyfikacja?! Oszalałaś?!

Lorentz: Nie kobieto, tylko doktor Lorentz. A krzyżeć to pan może na swoją żonę.

Premier: Proszę nie obrażać mojej żony.

Lorentz: Nie obrażam pańskiej żony. Tylko domyślam się, że jako bliska osoba być może pozwala panu sobą pomiatać. Ja nie pozwalam.

Premier: W takim razie porozmawiamy inaczej. Naprawdę inaczej.

Lorentz: Jak inaczej? Zetnie mi pan głowę? Każe wychłostać? Niezwykle, wystarczy wygrać drugie wybory i już się zachowujecie jak królowie. A nie, moment, już wiem... o mój Boże... chyba nie chciał pan powiedzieć, że pozbawi mnie mojego podrzędnego stanowiska w administracji państwowej.

Premier: O, nie, droga pani doktor...

Lorentz: Nie tym tonem. Bardzo proszę.

Premier: Pani mi nie będzie dyktować...

Lorentz: To pan nie będzie, ponieważ panią kilkanaście godzin temu mijały kule, bo została przez prezesa Rady Ministrów swojego kraju wysłana na misję nieprzygotowaną od strony wywiadowczej. A pan gdzie wtedy był?

Premier: W Sopocie, u rodziny. Jak co tydzień. Zresztą nie pani sprawa.

To ją rozsierdziło jeszcze bardziej. Ten Kaszub służbę Polsce traktował w taki sposób, że robił sobie pięciodniowy tydzień pracy, jak pani na poczcie, i na każdy weekend jechał do swojej żony do Trójmiasta, która „och, och, tak bardzo nie lubi stolicy”. Rodzinne weekendy premiera kosztowały podatników milion złotych rocznie.

Premier: I proszę mnie uważnie posłuchać! Bardzo uważnie!

Lorentz: Panie premierze. Proszę, żeby mi pan natychmiast zabrał ten kaszubski palec sprzed oczu. Natychmiast. Rozumiem, że jest pan Dyzmą bez kompetencji i wykształcenia, pogubionym w swojej nieoczekiwanej karierze, na dodatek mama nie nauczyła pana manier i nie ma pan pojęcia, jak się odnosić do kobiet. Mimo to...

Premier: Proszę nie obrażać mojej matki!

Lorentz: Palec.

Premier: Moja rodzina jest święta!

Lorentz przeszła od słów do czynów. Złapała tańczący epileptycznie przed jej oczami palec premiera i grzmotnęła o znajdujący się między nimi stół, aż zatrzeszczała płyta meblowa.

Karolowi udało się odciągnąć Lorentz. Pozostała zgromadzona trójka: patrzyła z przerażeniem (generał i Gmitriuk) i rozbawieniem (Lisa) na rozgrywającą się przed ich oczami scenę.

Chwilę odpoczywali, dysząc, w swoich narożnikach. A potem premier roześmiał się serdecznym śmiechem.

Premier: Proszę się zastanowić, czy nie chciałaby pani pracować w kancelarii. W randze sekretarza stanu. Limuzyna, służbowy apartament, dodatki, rodzinę też gdzieś zatrudnimy. Chętnie bym panią poszczuł czasami na opozycję.

Lorentz: Mogę odpowiedzieć po następnych wyborach?

Premier: Nie sądzę... cha, cha, bardzo zabawne. Dobrze, porozmawiajmy poważnie. Dlaczego mówi pani o mistyfikacji?

Lorentz: Zdjęcia, które dostaliśmy, były fałszywką. W tamtym domu, na tamtej ścianie faktycznie wisiało coś, co wyglądało jak Rafael, ale na pewno nim nie było.

Gagatek: To jest oskarżenie pod adresem osób przeprowadzających ekspertyzę tych zdjęć. A przypominam, że były dwie niezależne ekspertyzy.

Lorentz: Tak, tylko przeprowadzane przez ekspertów od fotografii, a nie od malarstwa renesansowego. I eksperci mieli rację. Zdjęcia nie były fałszywką, były autentycznymi zdjęciami wiszącego na ścianie obiektu. Sam obraz też nie był falsyfikatem, w tym sensie, że nie został wykonany przez jakiegoś mistrza z Petersburga.

Premier: Dlaczego z Petersburga?

Lorentz: Tamtejsza akademia najlepiej uczy techniki malarskiej, a kopiowanie to umiejętność techniczna. Nieważne. Ważne, że to nie był fals.

Premier: Więc co to było?

Lorentz: Oleodruk. Powinam była na to wpaść. Odbitka na płótnie, zrobiona na podstawie przedwojennych zdjęć Rafaela. Oczywiście bardzo profesjonalnie przygotowana, pozbawiona rastrów i tak dalej. Ale niczym się nieróżniąc od kiczów do kupienia w marketach po kilkanaście złotych. Tak naprawdę pomysł był genialny w swojej prostocie. Na zdjęciu oleodruk obrazu wykonany na podstawie fotografii wygląda jak obraz. Zwłaszcza że zdjęcie zrobione zostało ukradkiem i jest trochę rozmazane. Jeśli mieliśmy się na coś złapać, to właśnie na to.

Premier: Dobrze, ale komu mogło zależeć na takiej ustawce? Co ktoś chciał przez to osiągnąć?

Lorentz: To jest pytanie do tego smutnego pana. Mam kilka swoich koncepcji, ale chciałabym je najpierw omówić z kolegami.

Premier: Rozumiem, że koniec końców oznacza to, że Rafaela nie ma i nie istnieją szanse na jego odzyskanie?

Lisa: Niekoniecznie. Mamy jeden dobry trup.

Premier: Słucham?

Karol: Myślę, że pani Tolgfors miała na myśli „dobry trop”. Premier: Jest pani pewna?

Lisa: Nie robię ballad ludziom, że prowadzę jakąś bajkę. Premier: Że co? Karol: Jest pewna.

Lisa: Potrzebuję tylko powiastki na obadanie. Premier: Czy ona na pewno zna polski?

Karol: Potrzebuje przepustki na sprawdzenie. Premier: Ona, drogi panie, to potrzebuje wrócić do kryminału, bo jej zostało jeszcze trochę odsiadki. Lorentz: Jest pan nam to winien, panie premierze.

Stało na tym, że: po pierwsze, Lisa ma jeszcze dwa tygodnie nieoficjalnej przepustki; po drugie, mogą do woli korzystać z pana Gagatka, czyli ze służb Rzeczypospolitej; po trzecie, w razie wpadki są jeszcze bardziej nielegalni niż do tej pory.

- Pamiętacie spotkanie w mieszkaniu Karola w Śródmieściu? - odpowiedziała doktor Zofia Anatolowi. - Wisiał tam portret Wyczółkowskiego, który Karol odzyskał w Berlinie, a który Niemcy nam ukradli w czasie wojny. Znałam go oczywiście, oglądałam przedwojenne fotografie, przygotowywałam katalogi z jego reprodukcją, wszędzie bym go poznała. Ale zobaczenie go po raz pierwszy stanowiło bardzo silne przeżycie. Tak samo jak zobaczenie innych odnalezionych obrazów. To jest jak szok, kiedy nagle tak dobrze utrwalone w głowie kształty nabierają barw. Malarstwo to przecież kolory. Z kolorami zmieniają się emocje, podteksty, konteksty, nastroje, pory roku, głębie, perspektywy, ukryte znaczenia. Czarnobiałe reprodukcje przypominają raczej portrety trumienne właściwych obrazów...

- Zosiu, to jest piękny wykład, ale jesteśmy bardzo zmęczeni.

Już miała na końcu języka ciętą ripostę, ale uznała, że Karol ma rację.

- Kiedy zobaczyłam Rafaela z New Rochelle na tych zdjęciach, nie poczułam emocji. W ogóle nic nie poczułam, podniecenie związane z zabawą w poszukiwanie skarbów przesłoniło mi resztę. A przecież, nawet jeśli tylko na zdjęciu, w końcu mogłam zobaczyć, jak naprawdę wygląda Młodzieniec. Dlaczego nic nie poczułam? Ponieważ on wyglądał identycznie jak na przedwojennej fotografii. A nie miał prawa tak wyglądać. Odbitka jest stara, barwy przekłamane, landrynkowe, zbyt wyblakłe albo zbyt intensywne. Zresztą nawet gdyby odbitka była wierna, to obraz po tym, co go spotkało w czasie wojny, niezależnie od dalszych losów, nie miał prawa wyglądać tak samo. Nagle posmutniała.

- Przepraszam. Powinam to dostrzec wcześniej. Ciągle coś mnie męczyło, ale

wszystko wskoczyło na swoje miejsce dopiero, gdy zobaczyłam tego impresjonistę w sejfie Richmonda, jego kolory. To były prawdziwe kolory, prawdziwe malarstwo.

Karol otworzył następną butelkę i rozlał wszystkim wina. Kiedy nachylił się nad Lisą, ta zasłoniła swój kieliszek.

- Masz jakąś banię?

Karol uśmiechnął się i poszedł do kuchni, skąd wrócił zaraz z butelką bimbru i czterema kieliszkami.

- Tak szczerze, dlaczego powiedziałaś, że mamy trop? - zapytał Szwedkę, rozlewając wódkę. Dobrze zmrózona, wypełniała kieliszki jak olej. - Mogę zrozumieć, że chcesz sobie przedłużyć wolność o kilka dni, ewentualnie zapaść się pod ziemię i rozstać na dobre z polskim systemem penitencjarnym. I żeby było jasne: nie mam nic przeciwko temu.

Lisa Tolgfors wlała w siebie wódkę, zaczekała na repetę i poprawiła drugim kieliszkiem.

- Musimy jechać do Szwecja - powiedziała.

- Bo? - spytała Lorentz.

- Bo musimy.

- To ja decyduję, co musimy, a czego nie musimy. To cud, że tutaj wszyscy siedzimy, i nie zaryzykuję kolejnej awantury tylko dla kaprysu złodziejki.

Lisa bez słowa nadstawiła kieliszek i wypiła wódkę, jakby to była woda, a nie siedemdziesięcioprocentowy samogon, z którego Karol był nawet bardziej dumny niż ze swoich pomidorów.

- W Szwecja mój przyjaciel i specjalista i nauczyciel. Wie wszystko o piękna sztuka.

- To miłe. Zapewne tak samo jak ja i obecny tu Karol. Jeśli czegoś nie wiesz, możesz nas zapytać.

Wydawało się, że Szwedka po prostu wstanie, wyjdzie i tyle ją będą widzieli. Ale Lisa spokojnie odparła:

- Ja ręce. On mózg.

Trójka Polaków wymieniła spojrzenia.

- Wspólnik? Partner? - dociekał Anatol.

- Boss. On rychtuje plany i ustawia, ja idę na robotę.

- To piękna, wzruszająca historia. Ciebie zagra Catherine ZetaJones, a jego Sean Connery. Ciągle nie rozumiem, dlaczego mamy jechać do drugiego złodzieja. Jednego już mamy i jak dla mnie jest to ilość wystarczająca.

- On, on szuka zaginiona kolekcja piękna sztuka. Bardzo dawno szuka. Rafael może

będzie miał kawał czegoś dużego.

Lorentz spojrzała bezradnie na Karola, który wydawał się najlepiej rozumieć Lisę.

- Chodzi o to, że Rafael może być częścią jakiejś wielkiej, zaginionej kolekcji, której szukacie we dwójkę? - upewnił się Karol.

- Dwadzieścia lat - przytaknęła.

- Ciągłe mnie to nie przekonuje. Kto to w ogóle jest ten twój guru? Ma zamek? Jaskinię? Muzeum na skalistej wyspie?

- Sten Borg.

Lorentz nie potrafiła ukryć zdziwienia.

- Sten Borg we własnej osobie? Sten Borg to twój mózg? Stroisz sobie żarty ze mnie?

- Nie.

- W takim razie jutro jedziemy. Nawet jeśli to jest mylny trop, muszę poznać Stena Borga. To najslynniejszy rzeczoznawca świata, ale odludek i dziwak. Kilka razy próbowałam się z nim skontaktować. Zawsze bezskutecznie.

- Pojedziemy samochodem przez Niemcy i Danię - wtrącił Anatol. - Nie możemy zostawiać śladów w manifestach lotniczych i morskich, a samochodem przejedziemy bez żadnych kontroli granicznych. Schengen to błogosławieństwo dla takich łotrów spod ciemnej gwiazdy jak my.

Karol podniósł ręce w geście zdziwienia.

- Hola, hola, ktoś tu nie wpada w paranoję?

Anatol w odpowiedzi odchylił połę marynarki, pokazując pistolet.

- Drugi mam w torbie, plus jeszcze kilka zabawek.

- Komuś bardzo zależało, żebyśmy wpadli w Nowym Jorku - odpowiedziała Lorentz, a Gmitruk przytaknął skinieniem głowy. - Nie byle komu, komuś, kto potrafił wprowadzić w błąd nasze służby...

Karol parsknął śmiechem.

-...i kto miał nas na oku od początku. Kto potrafił posadzić człowieka z fałszywymi papierami obok mnie w samolocie. Który to człowiek chciał mnie z zimną krwią zastrzelić, kiedy stało się jasne, że nie uda się nas złapać na gorącym uczynku. Nie mam pojęcia dlaczego, ale komuś bardzo potężnemu zależy, żeby się nas, być może wszystkich, a być może tylko niektórych, pozbyć. Jaka jest waszym zdaniem szansa, że z tego zrezygnuje tylko dlatego, że schroniliśmy się w ekologicznym gospodarstwie na Mazowszu?

3

Major Anatol Gmitruk wyszedł ze swojego pokoju w bokserkach i ze szczoteczką w

garści pomaszerował umyć zęby, myśląc, że ma złe przeczucia. Nie, nie był jakoś szczególnie przejęty, nie wpadał w histerię, nie miał - jak to piszą w powieściach - nerwów napiętych jak postronki i nie czuł się jak tygrys gotowy do skoku. Był dość zmęczony, lekko zgłuszony alkoholem, kleiły mu się oczy, a szósty zmysł spał jak zabity. Anatol Gmitruk miał po prostu złe przeczucia.

Cała sprawa od początku śmierdziała nawet bez ustawek, wielopiętrowych ściem, najemników i tajemniczych zabójców. Ale ryzyko mieściło się w akceptowalnych granicach. Ot, nielegalna operacja na terenie sojuszniczego kraju, bywa w tym zawodzie. W przeciwieństwie do dyplomatów wołał takie akcje niż infiltracje arabskich wiosek. U sojusznika ryzykowało się tylko skandal i więzienie, u wroga - życie.

Tylko że to, co wydarzyło się w New Rochelle, było za dobrze przygotowane. Czekali na nich, nie da się tego ująć inaczej. Czekali, żeby ich przyskrzynić, i nie udało się to jedynie dlatego, że jakiś dobry anioł stróż - Gmitruk podejrzewał jednego z natowskich przyjaciół, którzy byli mu winni przysługę - ostrzegł ich w ostatniej chwili. A kiedy nie udało się złapać radosnej gromadki, bez żadnych ceregieli wdrożyli plan B - eliminację. I z jakichś powodów - tego nie chciał mówić przy Zofii - uznali, że to Lorentz jest celem numer jeden. Gmitruk nie wierzył, żeby zabójca przez przypadek pojawił się przy jej samochodzie.

Nie podobało mu się to wcale a wcale.

W drzwiach łazienki minął się z Tolgfors, która miała na sobie Tshirt z ogromną podobizną Stanisława Lema. Pewnie dostała go od Boznańskiego jako piżamę.

- Chcesz mi zrobić wiewiórkę, gadzie? - zapytała beztrąsko. Zmarszczył brwi.

- Słuchaj, Lisa, naprawdę nie rozumiem twojej grypsery - powiedział, celując w nią szczoteczką. - Ale jeśli masz na myśli seks, to jestem na tak.

Lisa królewskim gestem otworzyła drzwi do głównej sypialni, którą odstąpił jej Karol.

4

Lisa i Anatol byli już po drugim seansie kotłowania w lnianej pościeli, a Lorentz ciągle leżała na plecach, gapiąc się w ciemność i czekając na sen, który nie chciał nadejść. Nie przepadała za tym pomieszczeniem, był to rzadko używany pokój gościnny.

Zeskoczyła z łóżka na grubą, miłą dla stóp wykładzinę. Przyjemnie było zanurzyć stopy w syntetycznym futerku, ale w tej chwili wolałaby skrzypiące dechy, żeby każdy jej krok był doskonale słyszalny piętro niżej, gdzie znajdował się gabinet i gdzie Karol pewnie już chrapał na skórzanej sofie.

Przestań być taka głupia, strofowała siebie w myślach. Usłyszałby jej kroki i co by zrobił? Wsiadł na swojego białego rumaka i pogalopował na górę, żeby sprawdzić, czy nic jej



się nie stało. Och, najdroższa, czemu tak tupiesz w środku nocy. Azaliż zmora jakaś na piersi twej siadła? Pragniesz, by objęły cię me rycerskie ramiona?

Parsknęła śmiechem.

Pora spojrzeć prawdzie w oczy, droga Zofio, pomyślała. Nie wyleczyłaś się z tego chłopa, i tyle. Czy to coś zmienia? Ależ oczywiście niczego to nie zmienia, bo biorąc pod uwagę, jak przebiegał i jak zakończył się wasz związek, Karol Boznański jest ostatnim mężczyzną, który mógłby cię zainteresować.

E tam, nie przebiegał tak źle ten związek, odpowiedziała samej sobie. Miał wysoką temperaturę, ale to chyba dobrze. I nie nudziłam się, w sumie fajnie było.

Fajnie? Związek, który kończy się rzucaniem przedmiotami i rękoczynami, nazywasz fajnym?

No już bez przesady, kłótni było tylko kilka, i to na sam koniec. I bądźmy szczerzy: to ja pierwsza rzucałam przedmiotami. Raz nawet trafiłam go słownikiem.

A nie zasłużył sobie tymi wszystkimi kłamstwami?

Na to Zofia nie miała odpowiedzi.

Nie zasłużył sobie tym, co powiedział na do widzenia? Czy wyobrażasz sobie, żeby kobieta spojrzała na mężczyznę po usłyszeniu czegoś takiego? Wyobrażasz sobie?

Nie wyobrażam, odpowiedziała bez wielkiego przekonania i po chwili dodała: ale też nie wyobrażam sobie mężczyzny, który w milczeniu zniósłby to, co ja wtedy powiedziałam.

Zofia wstała z łóżka i podeszła do drzwi. Wyjrzała przez dziurkę od klucza, ale było ciemno. Przyłożyła ucho do chłodnego drewna. Cały dom był cichy, wszyscy spali.

5

Nie była to do końca prawda. Jediną osobą, która w tym momencie spała, była Lisa Tolgfors, szczęśliwa, zadowolona i zaspokojona. Przeżyła wystarczająco wiele lat w wystarczająco liberalnych środowiskach, żeby nauczyć się oddzielać głębokie emocjonalne zaangażowanie od higieny seksualnej. Oczywiście jak wszyscy lubiła, kiedy fizyczne zbliżenie było dopełnieniem miłości, ale akurat dziś potrzebowała bliskości, rozluźnienia i orgazmu rozlewającego się po całym ciele. I dostała to od wojskowego z odstającymi uszami.

Anatol Gmitruk leżał obok śpiącej kochanki, gapił się na belki i zastanawiał, czy czuje się winny zdrady. Oficjalnie cały czas był żonaty, nie wzięli rozwodu w sądzie, o Kościele nie wspominając. Czyli zdrada. Cudzołóstwo. Nieoficjalnie jednak był tak bardzo rozstany, jak tylko można być rozstany. Kiedy rok temu Sylwia powiedziała mu, że ma dwie wiadomości, zapytał automatycznie: „Dobrą i złą”? Odparła, że nie, że obie są złe. I faktycznie były. „Po pierwsze - powiedziała - mam raka. Mniejsza o szczegóły, ale mam raka,

i to nie takiego byle jakiego, tylko poważnego raka, i pewnie umrę raczej szybciej niż później”.

Oczywiście w odpowiedzi bredził coś o znajomościach, eksperymentalnych terapiach, szwajcarskich klinikach, pozytywnym myśleniu, że dadzą z siebie wszystko. Klasyczna histeria osoby, do której nie dociera, że może stracić kogoś, kogo kocha.

Zamknęła go wtedy pocałunkiem i powiedziała: „Już sprawdzałam. Skuteczna terapia zawsze będzie poza naszym zasięgiem. A ja nie chcę zdychać pod kroplówką. Nie chcę też żebrać po znajomych, prowadzić płacznego błoga i występować jako bohaterka reportażu w telewizji, żeby ciuć na zabieg, który i tak się nie powiedzie”.

Zapytał, czy w związku z tym chce, żeby razem pojechali w podróż dookoła świata.

Długo nie odpowiadała, więc zapytał: „A jaka jest ta druga wiadomość?”. Powiedziała: „Odchodzę”.

I odeszła. Powiedział, że będzie na nią czekał do samego końca jego lub jej, i tyle się widzieli. Regularnie sprawdzał przez znajomych ze służb, co u niej, przeglądał billingi, konto pocztowe, zawartość komputera. I z miesiąca na miesiąc przekonywał się, że jeśli kobieta, z którą dzielił życie przez prawie dwadzieścia lat, za nim tęskni, to skrzętnie to ukrywa. Zdjęcie z mola w Sopocie, które z jego telefonu wygrzebała Lisa w Nowym Jorku, było tego najlepszym dowodem.

Anatol Gmitruk poprawił kołdrę na śpiącej Szwedce.

6

Karol Boznański nie spał na skórzanej sofie, nie był nawet u siebie w gabinecie, więc - niestety - nie mógł usłyszeć, jak Zofia miota się na górze. Stał na dole schodów i niczym gimnazjalista czekał, aż coś się wydarzy. Na przykład ona schodzi do kuchni po szklankę wody, on idzie odnieść brudne kieliszki. Ojej, przepraszam, mówią jednocześnie, myślałem/myślałam, że już śpisz. Ona nalewa sobie szklankę wody, on odstawia szkło na blat. Zrobili, co chcieli zrobić, i powinni wrócić, zamiast tego stoją naprzeciw siebie, patrzą bez słowa, a napięcie rośnie tak, że można je kroić nożem.

A potem wiadomo.

Pomyślał, że doprawdy trudno rozstrzygnąć, co jest bardziej żenujące: jego fantazje czy sterczenie przy schodach, w oczekiwaniu na łaskę doktor Zofii Lorentz, wrednej, bezkompromisowej i złośliwej wiedźmy z czarnymi ślepiami, która była miłością jego życia i nawet nie miała o tym pojęcia.

Rozzalone, odszedł cicho w stronę gabinetu i skulił się pod kocem na zimnej skórzanej sofie w tej samej chwili, kiedy Zofia odkleiła się od drzwi z piekącym uchem.

Późnym rankiem wypili po kubku kawy, zebrali swoje rzeczy i razem wyszli przed dom w grudniowe, rześkie przedpołudnie. Niebo było bezchmurne, ale słońce o tej porze roku nie potrafiło wygrać z trzaskającym mrozem, tyle tylko że szkliło się ładnie w szronie, który pokrywał wszystko warstewką bieli. Ruszyli w stronę stodoły. Karol prowadził, Lisa i Anatol rozglądali się w poszukiwaniu garażu bądź samochodu, Zofia zamykała pochód, wiedziała, co zaraz nastąpi.

- To dwa tysiące kilometrów - powiedziała Lisa, kiedy zatrzymali się przed rozlatującymi się drzwiami do stodoły. - Traktorem nie jadę.

Karol nie odpowiedział. Zdjął ze skobla wielgachną, wyglądającą na zabytek kłódkę i szarpnięciem otworzył drzwi, które zapiszczały, jakby w zawiasach mieszkało stado myszy. Słońce wdarło się do wnętrza stodoły, oświetlając najeżone zardzewiałymi zębami rolnicze sprzęty, kostki siana, kilka siodeł na wieszakach, wszystko w unoszących się po dach drobinach kurzu. Srebrna, długa, zdająca się nie mieć końca, nieprzyzwoicie wręcz w tych okolicznościach błyszcząca maska samochodu Karola nie świeciła - ona lśniła i mieniła się niczym ogromna kropla rtęci.

Zofia Lorentz nie raz, nie dwa kpiała z tej festyniarskiej bryki i wyśmiewała się z wrażenia, jakie robi na ludziach. Ale musiała przyznać szczerze, to było najlepsze jej wejście, jakie widziała. Tył samochodu był schowany w cieniu i auto zdawało się składać jedynie z masywnej pokrywy silnika. Maska lekko wybrzuszała się przy krawędziach, jak koszulka opięta na ramionach siłacza. Zamknięte reflektory komiksowo pokazywały, że samochód nie jest wyłączony, lecz śpi. Zerkając czujnie na świat okrągłymi halogenami, rozstawionymi szeroko na chromowanym grillu chłodnicy, po obu stronach błyszczącego oślepiająco w słońcu, stojącego na tylnych nogach konia. Gdyby Sergio Pininfarina mógł zobaczyć, jak wygląda jego dziecko w mazowieckiej stodole, popłakałby się chyba.

Pierwszy ocknął się Gmitruk. Wszedł do stodoły, obszedł samochód i spojrzał na Karola oczami człowieka, któremu pokazano i udowodniono, że Ziemia jest płaska.

- Ferrari kombi? Pięciodrzwiowe? To jakiś żart? Karol pilotem otworzył drzwi.

- Do coupé byśmy się nie zmieścili. Wsiadajcie, opowiem po drodze.

Jedź dalej tą drogą przez czterysta, dwadzieścia, pięć, kilometrów - poinformowała ich nawigacja, kiedy za Żyrardowem wjechali na autostradę A2.

Karol wrzucił bieg i wcisnął gaz, samochód płynnie przyspieszył w dwie i pół sekundy od stu do stu pięćdziesięciu, przy wtórze zadowolonego, gulgoczącego pomruku, wciskając ich delikatnie w fotele.

- O mój Boże - wyszeptał siedzący obok kierowcy Gmitruk. Opanowany zwykle wojskowy miał wilgotne oczy i wyglądał, jakby właśnie po latach poszukiwań odnalazł sektę, która otworzyła mu oczy na wszystko. Oddać majątek? Nie ma sprawy. Oddać żonę? Nie ma sprawy. Popęlić rytualne samobójstwo? Bardzo chętnie. Byłe tutaj, na tej jasnobrażowej skórzanej tapicerce.

- Koło Berlina się zmienimy, okej? - rzucił Karol, nie odwracając głowy. W jego ciemnych, lotniczych okularach odbijała się pożerana przez ferrari droga.

Gmitruk nie odpowiedział. Wzruszony, pokiwał twierdząco głową i wydał dźwięk, który brzmiał jak kwilenie. Lisa z Zofią spojrzały na siebie porozumiewawczo.

- Wszystko to debile - mruknęła Lisa. - Wszystko debile.

Jedziesz z niedozwoloną prędkością - powiedziała nawigacja, po raz kolejny przerywając Karolowi jego wywód. Nie przejechali jeszcze stu kilometrów.

- Bardzo cię proszę, ścisz to, inaczej wyrzucę tę twoją lady dominę za okno, zanim dojedziemy do Poznania - powiedziała Lorentz z tylnej kanapy.

Trochę racji miała. Różne nawigacje przedstawiały różne podejście do kierowcy. Były proszące, były rozkazujące, były lekko obrażone. Ta była władcza, w stylu kobiety z pejczem. „Ktoś dziś jest bardzo niegrzeczny i jedzie z niedozwoloną prędkością”.

- I ten sułtan? - Gmitruk powtórzył ostatnie zdanie, żeby Karol wrócił do wątku. Panowie byli w swoim świecie, stworzenia na tylnej kanapie dla nich nie istniały. Zresztą Lisa i tak już spała, odpoczywając po nocnych ekscesach.

- Sułtan Brunei, Hassanal Bolkiah, tak wówczas, jak i obecnie jeden z najbogatszych ludzi świata. W połowie lat dziewięćdziesiątych Sergio Pininfarina, główny projektant Ferrari, i niestety już świętej pamięci, dostał kopertę ze zleceniem od sułtana. W kopercie był czek na kilka milionów dolarów i liścik o treści: zróbcie mi ferrari, do którego będę mógł zapakować całą rodzinę. Z poważaniem, Hassanal Bolkiah. Musiał to być skrót myślowy, ponieważ w połowie lat dziewięćdziesiątych sułtan miał dwie żony i dziesięcioro dzieci, potrzebował raczej ikarusa niż ferrari. Ale zlecenie zrozumiano jako ferrari, w którym jest dużo miejsca. I zrobiono krótką linię specjalnych samochodów, będących wariacją na temat modelu 456 GT. Z przodu ferrari, w środku ferrari, z tyłu, ja wiem, nissan trochę. W sumie dla sułtana zrobiono osiemnaście sztuk. Sześć kabrioletów, sześć kombi takich jak ten i sześć sedanów.

- Połączyć sznurkiem i cała rodzina wejdzie na luzie - skomentowała Lorentz.

- Ferrari sedan? - Gmitruk miał oczy jak spodki.

- Z tyłu wygląda jak nowy lancer.

- Ale w ogóle - Gmitruk pogłaskał skórzane obicie deski rozdzielczej tak czule, że Lisa musiałaby się poczuć zazdrosna, gdyby to widziała - to ferrari? Silnik i tak dalej.

- Dwanaście cylindrów w układzie widlastym, pięć i pół litra, 436 koni mechanicznych, pięć sekund do setki. Pierwszej setki. Siedem następnych do drugiej. No i ten dźwięk.

Karol dodał gazu, zabulgotało, biała strzałka na lewym zegarze skoczyła żwawo i zatrzymała się na dwustu.

- Jedziesz z niedozwoloną prędkością.

- Jezu, Karol, czy nie wiesz, jak ją wyłączyć?

- Ile wyciągnie?

- Szczerze? Przy dwustu pięćdziesięciu wymiękam. Jeszcze na polskich drogach.

- To autostrada przecież - zauważyła Lorentz.

- Ale polska.

- Chcesz powiedzieć, że kupiłeś auto od sułtana Brunei?

- To skomplikowane. Jak wspomniałem, sułtan miał dwie żony, pierwszą poślubił w latach sześćdziesiątych i zresztą jest z nią do dziś. On ma prawie siedemdziesiątkę, ona jest od niego młodsza o trzy dni. Z drugą żoną, młodszą od niego o dziesięć lat stewardesą narodowych linii, ożenił się w latach osiemdziesiątych i rozwiódł z niejasnych przyczyn po dwudziestu latach małżeństwa. Była pani sułtan wyjechała do Wielkiej Brytanii, zabierając ze sobą część majątku, między innymi ten oto samochód. Który potem trafił w ręce członka rodziny królewskiej... Nie patrz tak na mnie, jakiś odległy kuzyn, nikt z pierwszych stron tabloidów... Był to wielki miłośnik motoryzacji, ale jeszcze większy miłośnik sztuki nowoczesnej. Zgłosił się do mnie kilka lat temu, bo wiedział, że przyjaźnię się z pewnym polskim artystą, którego bardzo cenił, a do którego miał nietypową prośbę.

- Jedź dalej tą drogą przez sto, osiemdziesiąt, siedem, kilometrów.

- Spotkałem się z artystą i tenże artysta, wówczas starszy pan po siedemdziesiątce, zgodził się namalować obraz na prośbę arystokraty. Na płótnie wielkości sto dziewięćdziesiąt sześć na sto trzydzieści pięć centymetrów namalował akrylowymi farbami jedną liczbę: pięć milionów sześćset siedem tysięcy dwieście sześćdziesiąt.

Gmitruk spojrział na niego ze zmarszczonymi brwiami.

- Dlaczego?

- Rok wcześniej arystokracie umarła jedyna córka, niespełna jedenastoletnia. Głupi wypadek na rowerze. Był przy niej, kiedy usiłowali ją reanimować. I kiedy lekarz, zgodnie z procedurami, głośno podyktował godzinę śmierci. Ta tragedia go załamała. Przez tę godzinę

jej śmierci dostał jakiejś obsesji matematycznej, mnożył i dzielił minuty i godziny. W końcu wyliczył tę liczbę, liczbę minut życia jego córki, od zapisu w szpitalnych dokumentach z dnia jej urodzenia aż po to, co usłyszał w chwili jej śmierci. Uznał, że to, ja wiem, magiczna liczba, liczba wszechświata. I żeby nie przedłużać: artysta nie chciał za pracę pieniędzy, a ja dostałem samochód. Nie byłem pewien, czy to właściwe, ale nie broniłem się długo.

- A co to za malarz? - spytał Anatol.

- Roman Opałka - mruknęła z tyłu Lisa z zamkniętymi oczami.

- Zgadza się - potwierdził Karol. - Tylko u niego można było zamówić coś takiego. Opałka w 1965 rozpoczął projekt „Od jednego do nieskończoności”. W lewym górnym rogu pierwszego płótna namalował cyfrę jeden, potem dwa, potem trzy. W prawym dolnym rogu wyszło mu, nie pamiętam, coś około trzydziestu tysięcy. I zaczął następne płótno, malując w ten sposób kilkaset cyfr dziennie przez następne czterdzieści prawie lat. Dość szybko zaczął rozjaśniać delikatnie każde następne płótno, nagrywać siebie czytającego namalowane numery i robić sobie zdjęcia. Zawsze to samo ujęcie, prosty portret, legitymacyjny wręcz, nieruchoma twarz, ta sama biała koszula. Na początku mogło to być dziwactwo, ale po trzydziestu sześciu latach codziennej, konsekwentnej, syzyfowej pracy powstało najdoskonalsze świadectwo przemijania w dziejach sztuki. Przynajmniej ja tak sądzę.

- I ja - burknęła przez sen Lisa.

- I ja. - Lorentz podniosła rękę do góry.

- A wiecie, co jest najlepsze? - zapytał Karol. - Ostatnim numerem, jaki namalował Opałka, było pięć milionów sześćset siedem tysięcy dwieście pięćdziesiąt dziewięć. Nigdy nie powtórzył liczby, jaką zrobił dla brytyjskiego arystokraty, oplakującego śmierć córki. Jest w tym jakieś fatum, jakaś symbolika śmierci, co nie? Łamiąc rytuał i malując tę liczbę, wyznaczył swój koniec. Mam nadzieję, że ten samochód nie jest przeklęty...

- Jedziesz z niedozwoloną prędkością.

- Na wszelki wypadek posłuchaj tej pani i błagam, zwolnij. I włącz, proszę, jakieś radio, zanim się zastrzelę przez tę twoją dominę.

- Licz się ze słowami - odparł Karol, włączając radio. - Ta pani to moja dziewczyna.

Jedź dalej tą drogą przez pięćdziesiąt, siedem, kilometrów - poinformowała piąta pasażerka Nostromo, gdy przejechali przez most na Odrze.

Anatol już od kilkunastu kilometrów prowadził, wyraz jego twarzy mówił, że nawet jeśli przez czterdzieści lat przeżył chwile szczęśliwych uniesień, nie miały one teraz żadnego znaczenia.

W Trójce Kuba Strzyczkowski dyskutował ze specjalistami i słuchaczami o

crowdsourcingu, czyli modnej metodzie zbierania funduszy na różne rzeczy poprzez ogłoszenia w specjalnym serwisie internetowym. Działo to tak, że ktoś pisał, kim jest, na co potrzebuje pieniędzy i ile ich musi zebrać.

- Przeglądam różne ogłoszenia na portalu i proszę posłuchać. Grupa rodziców ze Stanów Zjednoczonych chce zbierać, widzę tutaj, że już zbierała, trzy i pół tysiąca dolarów, żeby opłacić przedszkole dla Williama, kolegi ich dzieci. Jest tutaj opisana bulwersująca historia, czteroletni William był świadkiem, jak ojciec postrzelił jego mamę i dziadka. Oboje są ciągle w szpitalu, ojciec w więzieniu, wydatki za leczenie i za prawników rosną, a rodzice chcą zapewnić Williamowi choć minimum normalności. Dziś naszym gościem będzie pani Sylwią, która postanowiła w ten sposób zebrać fundusze na leczenie, tymczasem na linii jest pan Wojciech, słuchamy...

- Dzień dobry, panie Kubo! Oczywiście pozdrowienia dla całej Trójki i dla słuchaczy z Sieradza. Ja mam tylko nadzieję, że premier pana słucha i się dowie, do czego prowadzi prywatna służba zdrowia i prywatne szkolnictwo, mamy już drugą Irlandię, a będziemy mieli drugą Amerykę, dziękuję bardzo.

Ostatnie słowa słuchacza pokryły się trzaskami, w miarę oddalania się od granicy sygnał stacji słabł.

- A może poszukaj jakiegoś enerdowskiego rock and rolla. - Lorentz nachyliła się w przerwę między fotelami. - Przypomnimy sobie, jak byliśmy młodzi.

- Można jeszcze chwilę? - wtrącił Anatol. - Ciekawy temat, chciałbym tego posłuchać.

Lorentz wymieniła się spojrzeniami z Karolem, ale nic nie powiedziała. Cofnęła się i pomyślała, że sobie sprawi w końcu czytnik ebooków. Na takie podróże byłby jak znalazł.

Zaraz potem skrzeczący Strzyczkowski połączył się ze skrzeczącą panią Sylwią w sprawie jej zbiórki, co tak bardzo zainteresowało Gmitruka. Lorentz patrzyła na niego, jak słucha rozmowy, na zaciskające się na kierownicy dłonie, na przesuwającą się w prawo jakby wbrew jego woli strzałce prędkościomierza. Zaczęła się zastanawiać, czy aby ich kolega nie jest chory.

- Nie chcę zanudzać państwa medycznymi szczegółami - mówiła kobieta o sympatycznym, niskim głosie - bo to będzie brzmiało jak uzalenie się, ale w skrócie chodzi o to, że mam śmiertelny nowotwór serca, nieoperowalny i bardzo trudny do naświetlenia, ponieważ znajduje się na narządzie będącym w ciągłym ruchu. Czyli naświetlenie zdolne zniszczyć nowotwór zniszczyłoby mi też serce, nie jestem pewna, czy wyrażam się jasno?

- Bardzo jasno, słuchamy.

- Jest oczywiście chemia, ale ona oznaczałaby wyniszczenie organizmu przy dość

znikomej szansie na wykończenie raka.

- I rozumiem, że jest jakiś sposób i dlatego organizuje pani zbiórkę?

- Tak, tak, już do tego przechodzę. Powiem panu, panie Kubo, że jak usłyszałam diagnozę, mówiłam, że nie chcę ostatnich lat lub miesięcy spędzać na żebrach, chodząc po ludziach, pożyczając od rodziny, znajomych, znajomych znajomych, wiedząc że nigdy nie oddam, a jeszcze mogę zostawić bliskich z długami. Pogodziłam się. Wiedząc, że jest sposób...

- Gdyby pani mogła, pani Sylwio, wytłumaczyć króciutko słuchaczom, na czym to polega.

- Polega na technologii jak z filmów science fiction. - Roześmiała się kobieta - Chodzi o to, że komputer na podstawie rezonansu tworzy mapę ciała pacjenta i oblicza położenie guza, a głowica strzela promieniem naświetleń z różnych miejsc, tak że dawka promieniowania kumuluje się w guzie, nie naruszając sąsiednich tkanek.

- Czyli wypala nowotwór od środka, bez żadnych skutków ubocznych?

- Właśnie tak.

- Niezwykłe. I pani chce się poddać temu zabiegowi?

- Tak, problem w tym, że ze względu na umiejscowienie i rodzaj nowotworu powinnam to zrobić w klinice na Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii. Tam wynaleźli ten system, tam mają najnowszy sprzęt, najlepszych specjalistów. A to Ameryka, wiadomo, medycyna tam kosztuje.

- Ile, jeśli to nie tajemnica?

- Żadna tajemnica, przecież ogłaszam to wszem wobec w internecie. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- I dlaczego pani się zdecydowała na taki sposób?

- Spotkałam kiedyś pod sklepem dziewczynę z rocznym dzieckiem. Prosiła ludzi o mleko Bebilon i pieluszki dla dziecka, potrzebne jej, a niestety bardzo drogie. Nie wyglądała na żebraczkę, nie wyglądała na kogoś z marginesu. Porozmawiałam z nią, powiedziała, że jest im ciężko, a obcych tak naprawdę łatwiej prosić niż rodzinę. Ze mną jest tak samo. Obcych prosić jest łatwiej.

- Proszę wybaczyć, jeśli pytanie jest zbyt intymne, ale co panią skłoniło do zmiany zdania w kwestii poddania się leczeniu?

Kobieta roześmiała się, jakby była zakochaną nastolatką, a nie stojącą nad grobem kobietą w średnim wieku.

- A co może najlepiej przekonać do leczenia serca? Miłość oczywiście! Przed



diagnozą trwałam z dnia na dzień, a teraz żyję. Nie mówię, że to była czyjaś wina, po prostu tak wyszło, że przyzwyczailiśmy się trwanie nazywać życiem i szczęściem, i na wszelki wypadek nie walczyliśmy o więcej. A teraz żyję, naprawdę żyję, dla kogoś i przez kogoś, każdy oddech ma dla mnie smak i zapach. A łatwiej walczy się o życie niż o trwanie.

- Uwaga! - wydarł się Karol i złapał za rękę Anatola, kierując ferrari z powrotem na właściwy pas, a nie na ten, którym jechała ciężarówka na białoruskich blachach. Z numerem rejestracyjnym powtórzonym na pace, jakby białoruskie przepisy z góry przewidywały, że samochody będą tak brudne, że nie można się ograniczyć do tablicy rejestracyjnej.

Minęli ciężarówkę o milimetry.

- Mam nadzieję, że to nie brzmi jak jakieś egzaltowane brednie? - Bardziej domyślili się, niż usłyszeli przez skrzeki i trzaski, co mówi Sylwia słuchaczom Programu Trzeciego Polskiego Radia.

- Bardzo przepraszam, to się nie powtórzy - powiedział Anatol głucho.

- No myślę. Zmienić cię?

- Zmień lepiej stację - doradziła Lorentz.

- Żadne brednie, to piękne słowa i nasi słuchacze... Skrzecząca Sylwia ustąpiła wokaliście Rammstein, który dudnił w swojej balladzie, że „nie mogę istnieć bez ciebie, a z tobą też jestem samotny”.

Trzymaj się prawej strony - zażądała lady domina za Hamburgiem, kiedy zbliżali się do wjazdu na autostradę A 7 i mieli jeszcze sto kilometrów do duńskiej granicy. Mszczonów został siedem godzin jazdy i osiemset pięćdziesiąt kilometrów za nimi. Karol znowu siedział za kółkiem i pewną ręką przeprowadzał ich przez gęstniejący o tej porze popołudniowy ruch. Zaczął padać śnieg, dzięki czemu śmiertelnie nudne i monotonne w tym miejscu Niemcy schowały się za zamiecią.

Od dłuższego czasu dyskutowali o wydarzeniach w New Rochelle i o tym, co mogą one oznaczać.

- Ten człowiek to nie jest byle zbir czy ochroniarz - wyjaśniał Gmitruk, mówiąc o tajemniczym prześladowcy Zofii. - To raczej ktoś, o kim czytaliście tylko w książkach. Samotny najemnik, zawodowiec wykonujący zlecenie dla tego, kto zapłaci najwięcej. A czy to będzie zazdrosna żona, chciwa korporacja, czy rząd Federacji Rosyjskiej, to już jest bez znaczenia. Znaczenie mają dla niego dwie rzeczy: cel i czek. Sprawdziliśmy wizytówkę, nagrania z Okęcia tego dnia, kiedy lecieliśmy, i jeszcze kilka źródeł. Wzięliśmy dane od amerykańskiego Customs and Border. Ktoś taki jak pan Leong nie istnieje. I nie chodzi mi tylko o nazwisko i adres z wizytówki, to oczywiste. Nie istnieje też jego twarz, nie istnieją

odciski palców. To cień.

- Cień? - Lorentz usłyszała swój głos, dobiegający gdzieś z oddali.

- Tak. Wiem, jak to brzmi, jak kwestia z kina klasy B. Ale wierz mi, cienie istnieją. Zazwyczaj są to ludzie, którzy pracowali w służbach jednego z kilku państw znanych z bezkompromisowości w swoich poczynaniach. Stany, Rosja, Izrael, Wielka Brytania. Po jakiejś wyjątkowo paskudnej akcji mocodawca pozbywa się ich w ramach zacierania śladów i czyści w nagrodę kartotekę, pozwalając zacząć życie od nowa. Niektórzy wykorzystują taką szansę, kupują dom w Meksyku nad morzem i tam sobie łowią ryby. Niektórzy zaczynają sprzedawać swoją wiedzę i umiejętności, stając się, przepraszam za wyrażenie, arystokratami zbrodni.

Doktor Zofia Lorentz milczała przez chwilę, wpatrując się w śnieg wirujący za oknem w ciemnej szarości zimowego wieczoru.

- Ale nie mówisz poważnie, prawda? Naprawdę chcesz mi wmówić, że istnieją zawodowi zabójcy bez twarzy i linii papilarnych, ze stertą paszportów w szufladzie i karabinem snajperskim ukrytym w białej lasce, którzy sprzedają swoje usługi rosyjskim biznesmenom i amerykańskim prezydentom? Co to jest? Lata sześćdziesiąte? Dzień szakala? Czyja wyglądam na de Gaullea? Gmitruk skrzywił się.

- Przykro mi.

- I ten cień poluje akurat na mnie?

- Naprawdę mi przykro.

- To ważny wskazania - mruknęła Lisa.

- Niby dlaczego to jest ważny wskazania?

- Dlatego że poluje na ciebie - odparł Karol. - Nie na mnie, nie na pana majora i nie na księżniczkę Północy. Z jakichś względów zależy mu na tobie.

- Świetnie. Mamy jeszcze jakieś wskazania?

- Hongkong - powiedziała Lisa. - Mówił, że jest z Hongkong, żeby nie mówił, skąd jest.

Gmitruk odwrócił się i spojrzał na Szwedkę naprawdę dużym szacunkiem.

- Słusznie. To by świadczyło, że nie jest Amerykaninem ani Brytyjczykiem. Że nie potrafi pozbyć się akcentu, a przedstawienie się jako człowiek mieszkający lub wychowany w Hongkongu, dziwnym brytyjskokoński tworze, którego statusu nikt nie rozumie, rozwiązuje sprawę. Nikt już się nie zastanawia, skąd pochodzi akcent nieznajomego.

Lorentz poczuła się bardzo zmęczona.

- Zgoda, założmy, że zawodowy zabójca z tajemniczego kraju Nieameryki na mnie

poluje. To nie jest jednak odpowiedź na najważniejsze pytanie: kto mu to zlecił i dlaczego? Po co ktoś miałby mordować zwykłą urzędniczkę z jakiegoś nieistotnego kraju?

- A to akurat jest proste - odpowiedział Karol. - Żebyś nie znalazła Rafaela.

- Jeszcze niedawno przekonywałeś, że tylko głupim polskim patriotom zależy na kawałku zamalowanej dechy.

- I nie zmieniłem zdania. Tym bardziej się dziwię, ale wszystko na to wskazuje. Jak u Conan Doylea: jeśli wykreślisz wszystkie złe rozwiązania, to pozostałe, choćby nie wiem jak nieprawdopodobne, musi być prawdziwe. Idźmy po kolei. Od czego zaczęła się cała heca?

- Od informacji. Dostaliśmy zdjęcia i informację, że Młodzieniec jest u Richmonda i że próba odzyskania go w sposób legalny po pierwsze wywoła skandal, po drugie sprawi, że Amerykanie wszystkiego się wyprą, a Młodzieniec zniknie na wieki.

- Wiemy, od kogo pochodziła ta informacja? - Karol zwrócił się z tym pytaniem do Gmitruka, który wpatrywał się w ciemność za oknem. - Majorze? Pytam, czy wiemy, skąd pochodziła ta informacja.

- Mogę za to iść do więzienia - odparł spokojnie Gmitruk. - Ale w porządku. Nie powiem wam nazwiska, ale to członek Kongresu, bliski kumpel naszego ambasadora w Waszyngtonie, dość propolski, za Clintona przymierzali go nawet na ambasadora w Warszawie. Nie mamy podstaw przypuszczać, że jest w to zamieszany. Myślę, że po prostu go zaprosili do Richmonda z nadzieją, że sprawa się wyda.

Karol milczał przez chwilę, wyprzedzane tiry jeden za drugim migały po prawej stronie i znikały z tyłu, zrzucając na nich strugi śniegowego blocka.

- To oznacza, że za podpuchę stoi ktoś z kręgu Richmonda, wątpię, żeby on sam, bo po co amerykańskokanadyjskiemu potentatowi drzewnemu taka akcja.

- Nie zapominajmy, że to dobry znajomy wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych - dorzuciła Zofia.

- Nie zapominajmy. Teraz i tak nie dojdziemy, kto za tym stoi. Ktoś, tajemniczy kumpel Richmonda, sprawił, że informacja dotarła do Polski. Jakiej reakcji oczekiwał? Kradzieży, inaczej tak by mu nie zależało na przekazaniu, że obraz zniknie, jeśli będziemy go próbować odzyskać legalnie. Mógł przypuszczać, że polskie władze wybiorą ludzi, którzy się najlepiej nadają do takiej operacji. Znają się na sztuce, znają problem retrybucji, znają branżę. No i potrafią coś ukraść. Jednym słowem tajemniczy ktoś przewidział nas. Pewnie nie w stu procentach, ale idę o zakład, że wpisał doktor Zofię Lorentz na samym górze swojej listy. Co ułatwiało śledzenie naszych poczynań, vide Mister Hongkong w samolocie. Myślę, że możemy założyć, że nasza supertajna operacja nie była tajna ani przez chwilę. Rozumiecie?

Pokiwali głowami, ciekawi dalszego ciągu.

- Zastanawiałem się w nocy, właściwie w ogóle nie spałem - zerknął we wsteczne lusterko, żeby spotkać spojrzenie Lorentz, ale jej nawet nie drgnęła powieka - jaki sens miało wkręcenie nas w nieudane włamanie?

- Jeśli ktoś chciał mnie wyeliminować, mógł mnie zastrzelić, jak w nocy biegłam przez krzaki przy Grochowskiej. Nic prostszego.

- Dokładnie. I jedyna odpowiedź, jaka wytrzymuje krytykę, to ta, że chciano nas wkręcić w kradzież fałszywego Rafaela, żebyśmy nie znaleźli prawdziwego Rafaela.

- Z chujem się chyba na głowy zamieniłeś - skomentowała Szwedka. Nie ujęłabym tego lepiej, pomyślała Zofia.

Karol zamknął się na chwilę, tiry przed nim postanowiły sobie urządzić wyścigi furmanek, wyprzedzając się nawzajem.

- Posłuchajcie. Co by się stało, gdyby wszystko poszło po ich myśli? Lisa zostałaby zamknięta goła w sejfie, Zosia niestety śmiertelnie postrzelona w czasie ucieczki z miejsca przestępstwa, mnie by pewnie oszczędzili, żeby móc pokazywać proces oszalałego z chciwości polskiego marszanda.

- A ja? - Gmitruk był autentycznie zaintrygowany.

- Zależy kim jest tajemniczy ktoś. Jeśli ktoś związany z administracją, toby cię odstrzelili. Słyszałem, że wystarczająco wiele czasu spędziłeś na misjach, żeby znać trochę brudnych sekretów sojusznika.

- To ciekawe. Gdzie słyszałeś?

- Na mieście.

Boznański patrzył na drogę, udając, że nie widzi spojrzenia Gmitruka. Za to Lorentz widziała je doskonale i bardzo jej się ono nie spodobało. Czasami zapominała, że ten sympatyczny uszatek jest tajemniczym agentem na usługach Rzeczypospolitej. Może i jej ojczyzna nie była światowym mocarstwem, ale też nie była aż tak bez znaczenia, żeby nie zatrudniać w szeregach swojej armii ludzi od mokrej roboty. Kto wie, ile krwi na rękach przywiózł z zagranicznych misji major Anatol Gmitruk.

- Jedź dalej tą drogą przez osiemdziesiąt, dziewięć, kilometrów. - Domina jako jedyna nie bała się przerwać ciszy.

- Witamy w Danii - dopowiedział Karol. I dopiero wtedy Gmitruk zgasił swoje spojrzenie osoby gotowej torturować Boznańskiego, by usłyszeć prawdę.

- Wszyscy zostalibyśmy wyeliminowani, afera byłaby ogólnoswiatowa i sugerowano by, że polski rząd życzliwie patrzył na złodziejską ekspedycję. I jestem przekonany, że

nikomu w Warszawie przez wiele następnych kadencji nie przysłoby do głowy, by wyszeptać słowo „Rafael” na sejmowych korytarzach. Rafael zostałby zapomniany, zakazany i byłby bardziej niedotykalny niż czyściciele latryn w Indiach. A ludzie z różnych przyczyn zmotywowani do jego poszukiwania byłiby albo jak Zosia martwi, albo jak ja i Lisa na długie lata uwięzieni. Logiczne.

- Logiczne - odpowiedziała Zosia po chwili namysłu. - Tyle że w miejscu każdej udzielonej odpowiedzi pojawia się mnóstwo pytań. W tym dwa najważniejsze. Pierwsze: dlaczego ktoś jest przekonany, że akurat ja potrafię znaleźć Rafaela?

- Wiem, że to daleki strzał, ale może nie chodzi o twoje zawodowe kompetencje, tylko o historię rodzinną.

- Oszalałeś chyba.

Anatol i Lisa spojrzeli na nich pytająco.

- Puste ramy po Rafaelu pierwszy raz pokazał mi dziadek - wyjaśniła Lorentz. - On mi opowiedział o obrazie, a ja się na tym zafiksowałam, bo byłam czytającą powieści przygodowe nastolatką. To głupie, ale w wakacje bawiłam się w „poszukiwania Rafaela”. To są wszystko takie opowieści, jakie się opowiada ze śmiechem na rodzinnych uroczystościach, i nie mają żadnego związku. Naprawdę.

- A co robił twój dziadek w czasie wojny? - dążył Anatol.

- Najpierw siedział w obozie, potem został ranny, a potem to nie wiem. Ukrywał się pewnie. Nie żyje od ponad dwudziestu lat. I uprzedzając wasze następne pytania: nie zostawił mi mapy skarbów, tajemniczej szkatułki ani zaszyfrowanych hitlerowskich dokumentów. To ślepa uliczka. Był historykiem, zaraził mnie miłością do staroci. Aż tyle i tylko tyle.

- A inna ważna pytanina?

- Dlaczego komuś tak bardzo zależy, żebyśmy nie znaleźli Rafaela? Przecież to tylko trochę kolorowych plam na desce.

- Też o tym myślałam. Są dwie możliwości. Pierwsza to taka, że mamy do czynienia z jakimś potężnym szalonym kolekcjonerem, który chce się gapić na Młodego w swoim sejfie, w jednej ręce dzierżąc Freda, a w drugiej paczkę chusteczek higienicznych.

- Standard kolekcjonerski - skomentowała Zofia. - A druga możliwość?

- Rafael nie jest tylko kawałkiem pomalowanej dechy wielkości trzydziestosiedmioletniego telewizora, tylko czymś znacznie ważniejszym i cenniejszym. Tyle tylko że nie wiemy dlaczego. Ale mamy nadzieję, że szwedzki specjalista nam to wyjaśni.

Nie chciało jej się rozmawiać. Panowie spali z tyłu, przytuleni do siebie głowami jak

licealiści na wycieczce, wymęczeni robieniem wrażenia na koleżankach i durnymi dowcipasami. Lisa prowadziła szybko i zdecydowanie, może dlatego, że wszystko robiła szybko i zdecydowanie, a może dlatego, że to już były jej strony.

Doktor Zofia Lorentz oparła skroń o chłodną szybę i gapiała się na nocną Skandynawię. Po lewej jaśniało centrum Kopenhagi, po prawej mijali lotnisko Kastrup, przed nimi tylko Oresund oddzielał ich od Szwecji. Jeszcze tylko srebrny boeing American Airlines przeleciał nad nimi, nieomal szorując kołami o dach ferrari, i już zjeżdżali do tunelu, którym mieli pokonać cieśninę, kilkanaście metrów pod powierzchnią wody.

Była zmęczona, czuła piasek w oczach i odrętwienie, ale wiedziała, że nie ma co marzyć o śnie. Za dużo jej się kotłowało w głowie, tak dużo, że nie zostawało miejsca na strach. Przewijała w przód i w tył wydarzenia ostatnich tygodni, analizowała wszystkie rozmowy, wydarzenia, emocje, przypominała sobie miejsca i twarze. Wierząc, że gdzieś tam jest ukryta odpowiedź na pytanie: o co w tym wszystkim chodzi?

Tylko że Zofia Lorentz nie potrafiła znaleźć tej odpowiedzi.

Wywołanie przez Karola jej dziadka sprawiło, że zalała ją nostalgia, z zakamarków pamięci powychodziły jak duchy wspomnienia z dzieciństwa, z czasów przyjemnej nieśmiertelności i nieświadomości przemijania, kiedy Zofia wierzyła, że w przyszłości czeka na nią wszystko. Jak szła do pierwszej komunii, rodzice kazali jej opisać swoją przyszłość na kartce, do dziś przechowywali ją jak relikwię. Siedmiolatka napisała: wyspa z dużymi palmami, duży pies, duży dom i dużo dzieci, skarb Raefala.

Połowa życia za nią, a ciągle cała lista do odhaczenia. Tyle że dziś Zofia umie poprawnie napisać imię renesansowego mistrza.

Niemożliwe, żeby chodziło o dziadka lub cokolwiek związanego z jej rodziną. Faktycznie on pokazał jej puste ramy, faktycznie wprowadził ją w świat historii sztuki. Faktycznie organizował im i innym dzieciakom z Przemysła „poszukiwania Rafaela”, czyli podchody z zagadkami, tajemnicami i szyframi, i wszyscy umierali z podniecenia, idąc od jednej wskazówki do drugiej. A na końcu zawsze na nich czekało pudełko ze zdjęciem Portretu Młodzieńca i kawałkiem bursztynu. Bursztyn otrzymywał ten, kogo wspólnie wybierali na najlepszego poszukiwacza skarbów. Miała pięć takich kamyków, wszystkie do dziś leżą nad kominkiem w domu rodziców.

Jeśli faktycznie jest głównym celem, musi to być związane z jej życiem zawodowym.

Wiele lat zajmowała się sztuką i jej odzyskiwaniem. Poznała przez ten czas chciwych marszandów, cynicznych antykwariuszy, szalonych kolekcjonerów, zakochanych z wzajemnością w sobie dyplomatów, cierpiących na paranoję polityków, poszukiwaczy

skarbów, mitomanów, megalomanów i najzwyczajniejszych świrów. Ale do tej pory nie zdarzyło się, by ktoś jej groził.

Co się stało, pytała siebie w kółko w myślach Lorentz, że ktoś postanowił zamienić zabawę w sztukę i awanturnicze poszukiwanie skarbów w krwawy teatr, gdzie nic nie jest na niby, wszystkie chwytaki są dozwolone, a śmierć staje się jednym z możliwych wariantów?

Bezradna, zaczęła szukać precedensów, analogii, podobnych do znanych jej wydarzeń z dziejów sztuki. Paradoksalnie, w porównaniu z emocjami, jakie sztuka wzbudza od pokoleń, nie było wiele takich wydarzeń. Słynnym napadom prawie nigdy nie towarzyszyła krwawa jatka, włamań i kradzieży dokonywano cicho i pod osłoną nocy, nawet Niemcy w czasie wojny rabowali absolutnie wszystko, ale na ogół w białych rękawiczkach, dorabiając ideologię, produkując odpowiednie akty prawne i wystawiając ograbianym właścicielom pokwitowania. Kiedy pod koniec wojny usiłowali wywieźć z Paryża ukradzione dzieła sztuki, Francuzi nie zatrzymali ich z karabinami w dłoniach (jak to pokazano w filmie Pociąg z Burtem Lancasterem), lecz biurokratycznymi sztuczkami tak opóźnili wyjazd pociągu, że Amerykanie zdążyli nadciągnąć.

Właściwie znała tylko jedną historię o poszukiwaniu legendarnego dzieła sztuki, która rozgrywała się pośród huku wystrzałów i w atmosferze tajemniczego starcia na najwyższych szczeblach, w które uwikłali się nieświadomi niczego awanturnicy.

- Indiana Jones - powiedziała głośno.

- Co? - Lisa zapytała odruchowo, najpewniej wyrwana z głębokiego zamyślenia.

Przejechali już tunel i samochód wjeżdżał teraz na ośmiokilometrowy most, ostatnią prostą przed wjazdem na terytorium Szwecji. Po obu stronach rozciągały się czarne wody cieśniny i wydawało się, że ich kładka lewituje w pustce, most nie między dwoma europejskimi krajami, tylko między dwoma planetami, zawieszony w kosmicznej próżni.

- Nic, nieważne. - Zofia nie chciała tłumaczyć zawilego toku myślenia, który doprowadził ją do tej konkluzji.

Indiana Jones, co za bzdura. Ofuknęła się, ale i tak myśli poleciały tym tropem. W filmie nigdy nie chodziło o zabytek. Niemcy chcieli Arkę, bo ich zdaniem była potężną bronią, wunderwaffe do podbijania świata. Chcieli Graala, ponieważ gwarantował nieśmiertelność. Ci dziwni kapłani z kopalni w drugiej części też szukali magicznych kamieni nie z powodu ich wartości rynkowej, tylko dla nieograniczonej władzy, którą podobno gwarantowały. Zabytki jako takie, choć bezcenne, nie miały dla nich żadnego znaczenia.

Czy przy całej absurdalności tego porównania taki sam jest motyw, dla którego ktoś chce odnaleźć Rafaela? Lub chce, aby pozostał zaginiony na wieki, nie dopuszczając, aby oni

go znaleźli? Magiczna moc? Władza nad światem? Wiedza tajemna?

Im dłużej analizowała te pytania, tym bardziej nie знаła na nie odpowiedzi. Bariierka oddzielająca ich od wód cieśniny, łączącej Bałtyk z Morzem Północnym, migotała monotonnie przed oczami Zofii.

Obudziła się już za dnia, kiedy samochód z wyłączonym silnikiem stał na pustym parkingu przed dużym centrum handlowym. Świąteczne dekoracje nie pozostawiały wątpliwości, że do świąt zostały niecałe dwa tygodnie.

- Miałam prowadzić ostatnie czterysta kilometrów - powiedziała sennie do siedzącego za kierownicą Karola, kiedy już udało się jej odkleić od siebie wargi. Pasta, królestwo za pastę i szczoteczkę, pomyślała.

- Nie chciałem cię budzić, spałaś tak głęboko, że mogłem cię obmacywać.

Nie zniżyła się do odpowiedzi. Byli w samochodzie sami.

- Gdzie jesteśmy i gdzie są wszyscy? - zapytała.

- Jesteśmy w czymś, co dla mnie nazywa się Sodertajle, a zdaniem Lisy i Anatola Seeedetelje! - Udanie sparodiował szwedzką wymowę. - Kilkanaście kilometrów od Sztokholmu, który ominęliśmy tak samo jak

Kopenhagę. To chyba było najnudniejsze dwa tysiące kilometrów, jakie w życiu przejechałem. - Karol skrzywił się. - Nie wiem jak mój żołądek zareaguje, gdy zjem coś innego niż hot doga ze stacji benzynowej.

Przeciągnęła się i wyszła z samochodu, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Pierwszy oddech zabolął. Przeciskające się przez cienką warstwę chmur słońce było mylące, dzień był potwornie mroźny - jak cała zresztą ta zima, która zaczęła się w październiku i za nic nie chciała odpuścić - musiało być z minus piętnaście stopni. Wystarczył jeden podmuch wiatru, żeby Zofia straciła zmagazynowane pod lekkim swetrem ciepło, jej ciało momentalnie pokryło się gęsią skórą. Ależ zimna ta Skandynawia, Antarktyda nie przymierzając, skonstatowała i wskoczyła z powrotem do samochodu.

- Włącz ogrzewanie - poprosiła, szcękając zębami. - I przynieś mi kurtkę z bagażnika i małą niebieską torebkę, mam tam szczoteczkę do zębów.

Patrzył na nią, jakby do samochodu wsiadła znienacka obca osoba.

- Proszę cię - dodała po chwili.

- Bardzo proszę? - Uśmiechnął się przyjaźnie.

Też się uśmiechnęła, wysiadła, wyciągnęła kurtkę, założyła i zapięła po samą szyję, naciągając na głowę kaptur z futrzanym kołnierzem. Potem z czeluści bagażnika wygrzebała swoją podręczną torbę i butelkę wody mineralnej. Od zdenerwowania i gwałtownych ruchów



trochę się rozgrzała. Tylko trochę, ale wystarczająco, żeby nie musieć wracać do środka i prosić o cokolwiek.

Przebiegła kawałek w jedną i drugą stronę, wysoko podnosząc kolana. A potem umyła zęby, stojąc w rozkroku na parkingu i obserwując świat budzący się do życia. Przepluła usta wodą i wypluła ją na szybę ferrari. Karol uśmiechnął się znów i włączył wycieraczki.

Nie chciała dawać mu satysfakcji. Choć gdyby ktoś zapytał, nie potrafiłaby wytłumaczyć, jakie to niby ustępstwo z jej strony i jaka jego satysfakcja. Ruszyła truchtem wokół parkingu, jak zwykle po paru chwilach zadyszki jej ciało przypominało sobie procedury, oddech uspokoił się, tętno ustabilizowało na stu czterdziestu uderzeniach na minutę, w mięśniach, ścięgnach i stawach pojawiło się ciepło, lodowate powietrze przestało być przykrym chłodem, a stało przyjemnym orzeźwieniem.

Zrobiła kilka kółek, a tymczasem parking zapełniał się, ludzie starali się zaparkować jak najbliżej wejścia i chyłkiem przemykali do drzwi obrotowych. Zaczął padać drobny śnieg. Zofia nie dostrzegła pary, która wyszła z centrum handlowego i skierowała w stronę ich samochodu. A kiedy zauważyła, nie rozpoznała Lisy i Anatola. Dopiero gdy prawie na nich wpadła, szybko oddychając przez półotwarte usta, zatrzymała się gwałtownie.

Nie spytała wcześniej Karola, po co ich towarzysze poszli do sklepu. Uznała, że czegoś potrzebowali, może lekarstwa, może ubrania, może zimowych butów.

Cóż, teraz wiedziała, co było im potrzebne.

Stojąca przed nią kobieta w niczym nie przypominała Lisy. Tamta była wysportowaną dojrzałą Szwedką, która przy swoim stylu poruszania, zachowania i praktycznym stroju mogłaby zostać wzięta za mężczyznę, gdyby nie bajeczna, elfia uroda.

Ta Lisa była boginią. Zofia, zdyszana, ze spoconym czołem i rumianymi policzkami, czuła się jak harcerka z grubymi łydkami przy zwiewnej księżniczce. Szwedka się odstawiła. Zamiast golfa, dzinsów i butów trekkingowych, czyli stylu, do którego ich przyzwyczaiła, o ile akurat nie biegła goła między krzakami w New Rochelle, miała na sobie czerwoną prostą sukienkę z małym dekoltem, wysokie zamszowe kozaki na obcasie i czarne bolero, któremu w połączeniu z jakimś cudem inżynierii stanikowej udało się zamienić jej męską figurę w kobietę. Przynajmniej nie muszę używać takich sztuczek, pomyślała Lorentz. Ale była to myśl pocieszenia, ponieważ uroda Lisy była oszałamiająca nawet bez specjalnych zabiegów.

Lisa elegancko ubrana, umalowana, przystrojona pięknymi długimi, kolczykami, to było po prostu za wiele. Nie było w niej wady, która nie stawałaby się zaletą i zachętą dla grafomanów, żeby opiewać te niedoskonałości w wierszach. Nawet czarno-srebrna chustka, którą Lisa zawiązała na głowie, żeby zakryć bandaż, nadawała jej tajemniczości i cygańskiej

zadziorności.

- Koniec pakowania, lalka? - Lisa klasnęła i zatarła energicznie dłonie, musiało jej być zimno w tej kreacji. - Bo jak tak, to zwijamy mandżurię.

Szwecja, świat kontrastów, pomyślała Lorentz, wracając do samochodu.

Lorentz zgłosiła się na ochotnika do przejechania ostatniego kawałka. Mimo że sypało coraz gęściej i droga pokryła się cienką warstwą śniegu, samochód jechał jak po szynach, gulgocząc cicho, ostrzegając Zofię, żeby nie szalała z pedałem gazu. Nie szalała, jadąc ostrożnie szosą 73, łączącą Sztokholm z portem w Nynäshamn.

Czuła spokój, jak zwykle w Szwecji. Samochody przed nią i za nią jechały bezpieczne sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, wszyscy trzymali odstęp, nikt nie szarżował. Lisa swoją łamaną polszczyznę tłumaczyła, że człowiek, do którego jadą, to jakby jej pierwszy chłopak, ciągle jest dla niej ważny i chce dla niego wyglądać ładnie. Anatol opowiadał o jakichś swoich przyjaciółach ze Szwecji i o ich wierze, oboje byli scjentologami. Karol zaczął ich wyśmiewać, ale Lisa zgasiła go uwagą, że nikt pochodzący z tego straszego katolandu, jakim jest Polska, nie ma prawa śmiać się z żadnej sekty. Na co Karol zripostował, że polska tragedia katolicka zaczęła się od szwedzkiego króla, o którego wcale się nie prosiliśmy.

A Zofia Lorentz zjechała na drugorzędną drogę, prowadzącą do Dalarö. Droga była pusta, bajkowa, z jednej strony rozciągał się biały las ośnieżonych choinek, z drugiej przyprószone rdzawe skały. Pół godziny później dojechała do morza, a raczej nie morza, lecz nieprawdopodobnie rozwiniętej linii brzegowej szwedzkiego wybrzeża Bałtyku, zwanej archipelagiem sztokholmskim, Stockholms skärgård. Na długości kilkudziesięciu kilometrów natura upchnęła trzydzieści tysięcy mniejszych i większych skalistych wysepek oraz niezliczoną ilość półwyspów, cypli i zatoczek.

Największe wyspy były turystycznymi mekkami, zabudowanymi setkami stugor, czyli drewnianych domków letniskowych, obowiązkowo w bordowym kolorze fału ród, kontrastującym z białą stolarką okien i drzwi. Koloru nie dyktowała moda, lecz wymóg praktyczny - tania farba fału ród na bazie tlenku żelazu, miedzi i cynku od wieków najlepiej zabezpiecza drewno przed ostrym klimatem Północy, w którym trzeba stawić czoło skwarnym latom, lodowatym ziomom i słonym wiatrom.

Średnie wyspy należały do sztokholmskich bogaczy, którzy wznosili tam swoje przeszklone wille. Przy pomostach cumowali motorówki wielkości ciężarówek. Na małych wyspach swoje azyle stawiała wyższa klasa średnia, zadłużając się po uszy. Podpisując akt notarialny, wyobrażali sobie spędzane tam wszystkie weekendy, święta i wolne dni. Kończyło się tak, że dzieci buntowały się przeciw mieszkaniu w wiosce, oni w kryzysie brali

nadgodziny i dobrze było, jeśli udało im się spędzić na wyspie tydzień urlopu w lecie, naprawiając, co tylko się da, walcząc z kleszczami i trującymi glonami i rozmyślając o duszącym ich kredycie hipotecznym. Ale nie sprzedawali, cały czas planując, że się w końcu odkują i spędzą starość w domu na wyspie marzeń. Kończyło się to zwykle tak, że dorosłe już dzieci sprzedawały ruderę w sekrecie, żeby opłacić rachunki w domu opieki. Najmniejsze wysepki służyły do tego, żeby opalać się na nich na golasa i tracić dziewictwo w romantycznych okolicznościach przyrody, a na tych naprawdę najmniejszych nie działo się nic, wystające z wody kupy głazów służyły jedynie do tego, żeby rybacy na nie klęli i żeby mewy na nie sobie srały.

Leżące na skraju archipelagu Dalaró było jednym z podstołecznych kurortów, w lecie głośnym i gwarnym, o tej porze roku ciemnym, cichym, wyludnionym i przygnębiająco depresyjnym, jak to po sezonie. Lorentz jechała między zabitymi na głucho ciemnymi chatami, po kilkuset metrach dotarła do centrum miasteczka, choć „centrum” to było słowo mocno na wyrost. Po prostu tutaj stały trochę większe domy. Niewielki prom, mogący pomieścić kilkanaście samochodów, cumował przy nabrzeżu i Lorentz wolno wjechała po grzechoczącym trapie na pokład. Ślady opon ferrari były pierwszymi na dziewiczym śniegu i takimi miały pozostać do odjazdu. Nikt oprócz nich nie wybierał się na wyspę Orno.

Podróż wyłamanym w łodzi kanałem trwała trzy kwadransy, a kiedy trap po drugiej stronie dotknął nabrzeża, wyglądało to tak, jakby nastąpiła pomyłka i trap opuścił się przed dotarciem do celu. Nie było widać latarni, nie było widać drogi, drzew, skał, zabudowań, nawet zamkniętej budki z lodami. Nic. W światłach promu i samochodu wirowały tylko śnieżynki. Za nimi rozciągała się ciemna nicość.

Kierująca promem młoda blondynka pomachała im bez wyraźnej intencji. Trudno było powiedzieć, czy się z nimi żegna, czy popędza, czy może radzi, żeby stracili wszelką nadzieję, zanim zanurzą się w otchłań. Lorentz nie potrafiła wrzucić jedynki i zjechać z promu w niewidoczną przestrzeń.

- Wierzyć mi się nie chce, że już ciemno, przecież jeszcze czwartej nie ma - mruknął Karol.

- Vdlkommen till Sverige - odpowiedziała Szwedka i ponagliła Lorentz. - Dawaj, dawaj, blisko.

Lorentz wzięła głęboki oddech i zjechała, z ulgą wypuszczając powietrze, kiedy przednie koła złapały grunt. Jeszcze tylko tylne podskoczyły na trapie i już przemierzali cichą czerń i biel wyspy, mijając drzewa, skały i opuszczone zabudowania.

Orno, długie na piętnaście kilometrów i na trzy szerokie, było jedną z największych

wysp archipelagu, mimo to ani razu w czasie półgodzinnej jazdy nie zobaczyli światła w żadnym budynku, nie minął ich żaden samochód, o człowieku nie wspominając. Przysypanej śniegiem drogi przed nimi nie znaczyły ślady opon i trudno było uwierzyć, że nie więcej jak czterdzieści kilometrów w prostej linii od nich tętni życiem Sztokholm.

W pewnej chwili droga się skończyła. Po obu stronach i przed sobą mieli ścianę lasu. Zofia odwróciła się do Lisy.

- Chyba gdzieś źle skręciliśmy - powiedziała.

- Wychodzimy - odparła Szwedka, naciągając puchówkę na swoje bolerko.

„Nigdzie nie idę”, miała na końcu języka Lorentz, ale posłusznie ubrała się, wyłączyła silnik i pięć minut później maszerowała ze wszystkimi przez las. Czuła się nieswojo.

Po chwili wyszli na jakieś pole lub łąkę.

- Spójrzcie! - krzyknął Karol, wskazując na świecące na żółto okna sto metrów dalej.

Po czym zamachał rękami i nogami i runął na ziemię z impetem.

- Uważaj, bo wyrąbiesz dupą przerębel - ostrzegł go Anatol, a Lorentz zrozumiała, że znajdują się na zamrzniętym kawałku morza, oddzielającym Orno od Skalkaren, niewielkiej, kilkuhektarowej prywatnej wyspy Stena Borga.

Stena Borga, który - Zofia miała wielką nadzieję - nie tylko otworzy im oczy na tajemnice sztuki i pomoże rozwiązać zagadki, z którymi tłukli się przez pół Europy, ale też poda coś normalnego do jedzenia i zaproponuje szwedzkie grzane wino.

8

Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało lepiej, niż można sobie wymarzyć. Zmarznięci i znużeni wędrowcy stali w głównej sali solidnej, drewnianej chaty, a śnieg na ich włosach i ubraniach szybko zamieniał się w maleńkie krople. Za wielkim oknem wiatr przeganiał śnieżynki po zamrzniętym morzu, a wewnątrz przyjemnie pachniało. Dom pachniał drewnem, ogień dymem i jałowcem, glógg goździkami, piekarnik pieczonym mięsem, a słodkie bułki cynamonem. Jaś i Małgosia byli mniej szczęśliwi na widok chatki BabyJagi niż oni na widok pustelni Stena Borga.

Tak, tak to wyglądało na pierwszy rzut oka.

Stan Borg nie przywitał ich wylewnie. Był drobnym siedemdziesięcioletkiem o sympatycznej, dobrej twarzy, ukrytej za okrągłymi okularami o grubych oprawkach i grubych szklach. W sztruksowej marynarce bardziej przypominał starego Woodyego Allena lub innego nowojorskiego Żyda niż szwedzkiego twardziela, który samotnie spędza zimy na pustkowiu.

Nie zamienili ani słowa. Jak tylko weszli, Lorentz zdążyła jedynie pomyśleć, jak to w

ogóle możliwe, że ten starzec był chłopakiem Lisy Tolgfors, kiedy Borg rozszlochał się głośno, jak dziecko, niepohamowanie łkając, zawodząc i zalewając się łzami. Lisa szybko podbiegła i go przytuliła, co zmieniło tylko tyle, że Sten Borg płakał, siedząc na kanapie, a dźwięki ucichły, ponieważ trzymał twarz między piersiami Lisy.

Szwedka szeptała coś do niego. Lorentz spojrzała pytająco na Gmitruka, ale ten tylko wzruszył ramionami, na znak, że za daleko i że nie rozumie.

Niezręczna sytuacja trwała i trwała, szloch staruszka powoli gasł, w końcu Karol uznał chyba, że w tej sytuacji i tak nie mogą pozwolić sobie, żeby wyjść po angielsku. Zdjął sportową kurtkę i przewiesił ją przez ramię, po czym potrząsnął głową jak mokry pies, rozrzucając wokół drobinki wody.

- Nie chcę być nieuprzejmy - powiedział głośno. - Ale gdybyście mogli zrobić przerwę na znalezienie kawałka ręcznika, filiżanki kawy i szklanki bourbona, to potem możecie płakać sobie w rękaw choćby do wiosny.

Lorentz zaczerwieniła się. Nie wyobrażała sobie, żeby ktoś w tej sytuacji mógł się zachować gorzej. Stan Borg najwidoczniej myślał inaczej. Wstał, pociągnął nosem jak postać ze slapstickowej komedii i roześmiał się głośno.

- Przepraszam, bardzo przepraszam, ja po prostu - spojrzał na Zofię i głos mu się załamał - pani jest taka podobna, taka podobna...

Zofia nie miała pojęcia, jak się zachować, Lisa tymczasem podeszła do kuchni i podniosła pokrywkę znad czegoś, co musiało być garnkiem pełnym glóggu. Mocny zapach grzanego wina rozszedł się jak fala uderzeniowa.

- Daj już spokój, bo się dziewczyna przejmie - powiedziała beztrząsco po angielsku, co wydało się Zofii okrutne, kiedy spojrzała na staruszkę z przekrwionymi, czerwonymi od płaczu oczami.

- Taka podobna - wyszeptał, patrząc na Lorentz. - Tylko starsza, nie taka świeża jak tamta, kwiatusek Północy mój najśłodszy, oczka miała takie błyszczące, ufne, takie ciekawe świata.

To było ponad jego siły. Opadł na kolorowy dywanik w stylu tych, co sprzedają w Ikei, tylko ten musiał być szwedzki, a nie z tureckiej fabryki, i zrezygnowany pochylił głowę.

- Pamiętacie, jak mówiłam, że Sten to mój były? - spytała Lisa, przynosząc im kubki z gorącym glóggiem. - Nie tylko mój były, ale też mój pierwszy i mój najważniejszy. Miałam osiemnaście lat, on czterdzieści trzy i był wspaniały. Oczytany, błyskotliwy, obyty, odważny w poglądach, odważny w znajomościach, bywający, szanowany i uwielbiany. Był wszystkim tym, czym moje miasteczko pod Kiruną nie było. I zakochałam się jak wariatka. - Pochyliła

się, podniosła głowę staruszka, który teraz wyglądał jak jej dziadek, i pocałowała czule w usta.

- I żeby było jasne - Sten Borg ciągle był smutny, ale oczy mu się uśmiechnęły - przyznaj, że nigdy nikt cię nie kochał, nie uwielbiał i nie podziwiał z taką wzajemnością.

Borg mówił bardzo dobrze po angielsku, ale z mocnym, twardym, szwedzkim akcentem. Było to urocze na swój sposób, brzmiał jak skandynawski szwarczarakter z hollywoodzkich filmów.

- Przyznaję - przytaknęła Lisa. - Ale co z tego? Sten Borg nie jest typem, który się ustakuje, planuje budżet i wozi rano dzieci do szkoły. Sten Borg musi widzieć uwielbienie w ufnych oczach, musi słyszeć egzaltowany oddech, musi widzieć świeże ciało, pokryte meszkiem jak brzoskwinia, które dostaje w zamian.

- Przestań, bo znowu się rozplaczę.

- Ile miała lat tym razem, Sten? Dwadzieścia? Dwadzieścia pięć?

- Dwadzieścia dwa.

- I myślałeś, że się przy niej zestarzejesz?

- Długo by nie musiała czekać. Właściwie wcale.

Lisa spojrzała na swojego byłego z politowaniem, przyjaźnią, ale też czułością i miłością, co sprawiło, że Zofia poczuła ukłucie zazdrości, że nigdy kogoś takiego na swojej drodze nie spotkała. Mistrza, który pokazałby jej świat, życie, piękno. Nie dostała tego od ojca, starszego brata nie miała, a jej mężczyźni z zadatkami na mistrza, spojrzała na Karola z ukosa, okazywali się jedynie mistrzami blefu, sprawnie udającymi, że jest w nich miejsce na cokolwiek poza ich własnym ego. Dlatego ostatecznie mistrzami Zosi stali się starzy mistrzowie i ich dziedzictwo pod spękany werniksem.

- Przepraszam, jeśli sądzicie, że traktuję zbyt lekko tę ludzką tragedię - Lisa zwróciła się do nich - ale przeżywałam tę psychodramę częściej niż polskie żony powrót pijanego męża do domu. Za każdym razem jest tak samo. Dwadzieścia lat, ufne spojrzenie, uwielbienie, a potem rozpacz, prochy i szluchy. I tak co roku. Jak nie częściej.

- To ciągle lepszy sposób na życie niż sklejanie modeli lub zbieranie znaczków - wtrącił Karol. - Tylko trzeba pamiętać na początku, że rychły koniec w takim związku to jak znak wodny na banknocie. Czasami nie widać, ale zawsze tam jest.

- Ale ja pamiętam - wyznał Borg z rozczulającą szczerością. - Tylko szybko zapominam. Stary już jestem, pamięć szwankuje. Dlatego potem jestem taki zdziwiony.

Tym razem śmiechem wybuchnęli wszyscy i wyglądało na to, że spędzą fantastyczny wieczór. Naprawdę, tak wtedy pomyśleli.

Po tym jak Lisa przedstawiła ich ze swadą, zaznaczając przy Gmitruku, że biegle włada szwedzkim - co mogło być zarówno komplementem, jak i dyskretnym zwróceniem Borgowi uwagi, żeby czegoś nie chlapnął - usiedli do prostej szwedzkiej kolacji. Posiłek składał się z pieczeni w brązowym sosie, borówek, puree ziemniaczanego i sałaty z oliwą. Lorentz od dawna nic bardziej nie smakowało.

Przy posiłku ze szczegółami opowiedzieli swoje przygody. Pojawienie się zdjęć w Polsce, powołanie specjalnej ekipy, wyprawa po Rafaela, awantura w New Rochelle, która o mało nie zakończyła się bardzo źle. I która udowodniła, że po pierwsze, Rafael był fałszywy, a po drugie, że wszystko to nie wydarzyło się przypadkiem. Było starannie przygotowaną mistyfikacją, która miała nie dopuścić do odnalezienia prawdziwego Rafaela. Taka była ich teoria. Chociaż nie potrafili wytłumaczyć, dlaczego ktoś miałby w tym interes, żeby montować tak wielopiętrowe oszustwo.

- Zwariowaliście? - zapytał Borg. - Naprawdę uważacie, że poluje na was supermocarstwo, żebyście nie odnaleźli czterystuletniej deski? Supermocarstwa mają w dupie takie rzeczy. Jeśli mają Rafaela i uważają, że jego odnalezienie może im zaszkodzić, wrzuciliby go do kominka i zapomnieli o sprawie. Musi chodzić o coś innego, o coś, do czego poszukiwania obrazu mogą was doprowadzić.

To brzmiało logicznie.

- Musicie się uwolnić od myślenia o Młodzieńcu, to was zaślepia. Wyjęliście go z kontekstu razem z jego renesansowym pięknem i uważacie, że on zna wszystkie odpowiedzi, bo wszystko się kręci wokół niego. Co jest dość idiotyczne. Młodzieniec to najbardziej niesprzedawalny obraz świata, nie wiadomo, ile jest wart, a do tego nie wiadomo nawet, czy to obraz Rafaela, bo nie jest sygnowany i z przyczyn oczywistych nigdy nie przeprowadzono nowoczesnej ekspertyzy.

Borg wstał od stołu i zaczął zbierać talerze. Gmitruk szybko podniósł się, żeby pomóc, i Lorentz pomyślała, że musiał być przez wiele lat żonaty.

- Wasz błąd jest wybaczalny jedynie dlatego, że sztuka paradoksalnie jest cholernie narodowa, nawet najwięksi kosmopolici patrzą na nią przez pryzmat narodu. Obraz jest „nasz”, bo malarz pochodził stąd. Albo obraz jest „nasz”, bo tu wisiał. Albo jest „nasz”, bo teraz tu wisi, zaświadczać o wielkości i sławie jakiejś zbiorowości. Dlatego „wasz” jest dla was zarówno Matejko, Wit Stwosz, jak i Memling z Gdańska. I oczywiście Rafael. Identyfikacja narodowa jest w sztuce ważniejsza niż jej piękno. Ale to tytułem dygresji.

Borg umilkł, machnął lekceważąco ręką i poprawił zsuwające się z nosa okulary.

- W swojej rafaelskiej fikcji zachowaliście się jak dzicy. Podziw, osłepienie i

kompletne niezrozumienie. Wyobraźcie sobie, że samolot ląduje awaryjnie na pustyni i żeby ocalić wszystkich pasażerów, trzeba wymienić, nie wiem, zawór. Ale jedyną zapasową kradnie lokalny dziki z kilogramem drewna w nosie i zabiera do swojej wioski, gdzie zawór jest ozdobą jego skarbów, tuż obok widelca i podpaski jednorazowej. Pasażerowie i załoga samolotu się nie poddają, próbują ten zawór ukraść, w desperacji są skłonni uciec się do wszystkich środków, z ostatecznymi włącznie. A dzicy są bardzo obrażeni, bo nie rozumieją, że zawór to coś więcej niż ich wioskowy skarb, to część większej całości, która dla innych jest warta niewyobrażenie więcej. Jesteście jak ci dzicy, wioskowo ograniczeni, jak to w wypadku młodych, zakompleksionych i niepewnych siebie narodów bywa.

Lorentz chciała zapytać rzeczowo, czy Borg przypuszcza, że Portret Młodzieńca jest elementem większej układanki, ale zamiast tego zupełnie nieoczekiwanie wyrwało jej się:

- A pana cuddziewczyna? Też wioskowo zaślepiona? Wystarczyło jej parę miesięcy w więzieniu, żeby przez osmozę zarazić się polskością?

Bore wyglądał na zaskoczonego. Odwrócił się do nich plecami, przetarł drewniany blat, poprawił szklanki na ociekaczu. Popatrzył chwilę na śnieg, który wściekle wirował za oknem. W końcu odwrócił się i z zakłopotaniem spojrzął na Lisę.

A Lorentz zrozumiała i roześmiała się histerycznie.

- Oczywiście, jak mogłam być taka głupia! Najstłynniejsza złodziejka świata wpada nie dość, że kradnąc przeciętnego Moneta, to jeszcze niedorzecznie, bo wyciągnęli jej obraz z bagażnika. Gdybym pomyślała wcześniej, to może znalazłabym odpowiedź na zagadkę: kiedy wpada najcwańsza złodziejka świata?

Pytanie zawisło w pełnej napięcia ciszy i Lorentz już miała zabrać głos, kiedy Karol odparł:

- Najcwańsza złodziejka wpada, kiedy chce być schwytana, bo jej to na rękę. Proste. Czy to coś zmienia?

Lorentz spojrziała na niego z wściekłością.

- Co to zmienia! Co to zmienia, że mało nas w Stanach nie zamordowali, a Lisa gra znaczonymi kartami?

Karol wzruszył ramionami.

- To złodziejka, czego się spodziewałaś? Że będzie dobra i uczciwa jak Janina Ochojska?

- Poza tym w New Rochelle to ona najwięcej ryzykowała. I najwięcej ucierpiała - dodał Gmitruk, wskazując na ukrytą pod chustką i opatrunkiem głowę Lisy.

Zofia wstała, podeszła do zamrażalnika, licząc na to, że będzie tam coś więcej niż



mrożone pulpeciki, i wyciągnęła butelkę wódki. Leżała między pulpecikami i dzwonekami łososia.

- Ja chyba śnię - powiedziała, nalewając sobie wódki do zwyczajnego ceramicznego kubka z uchwytem w kształcie głowy łosia i wypijając duszkiem. - Teraz na dodatek się okazuje, że są tutaj dwa obozy. Obóz doktor Lorentz, pierwszej naiwnej, jedynej, która wierzyła, że pracujemy razem. I drugi obóz, reszty świata, która uważa, że kłamstwo i oszustwo to coś najzwyczajniejszego pod słońcem.

- Sztuka to kłamstwo, które pozwala nam pojąć prawdę - zacytował kogoś Karol, najwyraźniej nieprzejęty tym, co tak zaszokowało Zofię. Ciągłe grzebał w swojej pieczeni, kolejna dokładka wchodziła mu z trudem.

- Picasso - powiedział z uśmiechem Borg. - Ale wolę Wildea: życie naśladuje sztukę o wiele bardziej niż sztuka życie. A czymże jest życie? Kłamstwem.

Lorentz wypła na drugą nóżkę.

- Na ten artystowski bełkot najlepszą ripostę miał Woody Allen - powiedziała, krzywiąc się, bo nie znosiła wódki - który powiedział, że życie nie naśladuje sztuki, tylko kiepską telewizję. A naszą operację uważam za zakończoną. Pijcie kawę i wracamy do Warszawy. Normalnie, samolotem, a nie jak kiepscy szpiedzy, dość rram tej dziecinady.

- Ale czyja mogę coś powiedzieć? - Lisa wstała elegancko, wyglądając sukienkę na biodrach. Oszłamiający w zamierzeniu efekt psuły zaschnięte smarki, pozostawione na dekolcie przez szlochającego Borga. - Po pierwsze, każdy ma tutaj jakieś tajemnice. Nie wierzę, żeby major Gmitruk informował nas o tym, co wie, o czym poinformowali go jego przełożeni, i jakie rozkazy mu wydali na wypadek nieprzewidzianych sytuacji. Karol jest marszandem, więc niezależnie od jego patriotycznych pobudek, i hmm, osobistych motywacji, na pewno ma swój scenariusz wydarzeń, w którym nie tylko wasza Polska, ale i on, i jego zamożni klienci osiągają pewne korzyści. Ty też nam nie mówisz wszystkiego o swoich politycznych mocodawcach, ich poleceniach i ich dyplomatycznych grach. Ale to ja mam być pierwsza winna, zła i podła Szwedka, jeszcze spytaj, czy moja rodzina kolaborowała w czasie wojny...

- A kolaborowała? - zaciekał się Karol.

- Jasne, przecież to szwedzka arystokracja. Zgoda, przyznaję się, że wiedziałam wcześniej o nowojorskim Rafaelu i o Richmondzie. I żeby było jasne: tak jak wy nie miałam pojęcia, że to podpucha. Uznałam, że warto zaryzykować krótką odsiadkę na wypadek, gdyby polskie państwo zdecydowało się skorzystać z moich usług. Wiele nie ryzykowałam tak poza wszystkim, powiem oględnie, że pewna wysoko postawiona w Polsce osoba była mi winna

przysługę. W razie czego szybko bym opuściła więzienie.

- Szczególnie że odsiadka to doskonałe alibi, kiedy człowiek dokonuje skoku, posługując się najlepszymi fałszywymi papierami, wyrobionymi przez rząd - mruknął Gmitruk, nie podnosząc oczu znad kawy.

- Nie zrzedź, to była typowa sytuacja winwin, wszyscy na tym korzystali. Wy dostawalibyście swojego Rafaela, a ja, szczerze mówiąc, też nie wróciłabym z pustymi rękami.

- Ten impresjonista - bardziej potwierdziła, niż zapytała, Lorentz. Wściekła teraz na siebie, że nie sprawdziła, czyje to było dzieło, teraz wyjdzie na ignorantkę. - To jest twoje wini To jest - zwróciła się do przecierającego nerwowo swoje okulary Borga - twoja „większa całość”?

Borg założył okulary i spojrzał na Zofię swoimi ciągle zaczerwienionymi oczami.

- Myślę, że to właściwa pora, żebyśmy poszli do pracowni. Kawę możecie zabrać.

Na piętrze dom nie wyglądał już jak stuletnia szwedzka dacza, stare rybackie Siedliszce zachowane, żeby robić wrażenia na gościach. Za solidnymi drzwiami mieścił się nowoczesnie urządzonej gabinet. Jasny, ascetyczny, pozbawiony ozdób. Tylko biurko z wygodnym fotelem, regulowanym w każdy możliwy sposób; mały stolik z czterema krzesłami i regał z literaturą fachową. Czujne oko Lorentz dostrzegło zarówno znane albumy o historii malarstwa, jak i katalogi sztuki zagrabionej z całej Europy, polskie stały obok rosyjskich. Sten Borg zajmował się ekspertyzami, potwierdzaniem autentyczności i legalności dzieł pojawiających się na rynku. Był znany tyleż z tego, co z faktu, że sprzedawał swoje usługi rzadko i po uważaniu, jedynie wtedy, gdy uznawał sprawę za interesującą. Nie zdarzyło się nigdy, aby jego ekspertyza została podważona.

Lorentz myślała, że będą rozmawiali tutaj, ale Borg poprowadził ich przez proste białe drzwi do następnego pomieszczenia, które nazwał pracownią i które było nieźle urządzonej małym laboratorium. Lorentz rozpoznała kilka sprzętów, które wystarczały do stuprocentowego rozpoznania, czy dzieło sztuki jest fałszywką, czy nie. Był tutaj przenośny aparat do fluorescencji rentgenowskiej XRF, genialny sposób na bezinwazyjną metodę analizy próbek i identyfikowania zawartych w nich pierwiastków chemicznych. To jedno urządzenie wystarczyło na odsianie najbardziej prymitywnych fałszerzy, którym nie chciało się bawić w chemików i którzy używali współczesnych farb. Przez co zostawiali ślady anachronicznych barwników, opartych na syntezie chemicznej, a nie na cierpliwym mieszanu naturalnych składników. Sztuczne pigmenty weszły do malarstwa na przełomie XIX i XX wieku i przy odpowiedniej wiedzy o ich składzie wystarczyło dokonać analizy czerwonego lub

zielonego miejsca na obrazie, żeby stwierdzić, czy zostało to miejsce namalowane w XX wieku, czy wcześniej. Doskonałym sprawdzianem była też kryjąca biel. Dziś używa się głównie pigmentu na bazie dwutlenku tytanu, w połowie XIX wieku wprowadzono biel na bazie cynku, ale wcześniej - od zarania dziejów malarstwa - stosowano ołów. Dziś poza fałszerzami i świrami lubującymi się w „prawdziwym” warsztacie nikt nie używa bieli ołowiowej ze względu na jej toksyczność, ale przez wieki nikt się nie zastanawiał nad szkodliwością barwnika. Zwłaszcza że tylko on gwarantował osiągnięcie kryjącej bieli.

Nie ma ołowiu? No to jest fałszywka. Dlatego oprócz aparatu XRF Borg miał też sprzęt do zdjęć radiograficznych, który wykrywał brak ołowiu w mgnieniu oka. Na prześwietleniu biel ołowiowa (używana też do rozjaśniania innych kolorów) świeciła jak neony w wesołym miasteczku. Podobnie jak ślady innych metali ciężkich, używanych w dawnych wiekach przez nieświadomych zagrożenia malarzy i ich uczniów. Zdjęcia rentgenowskie starych obrazów wyglądają upiornie, ślady ołowiu przypominają duchy pojawiające się w jakiś magiczny sposób na płótnie.

Były też lampy do podczerwieni, które świadczyły o tym, że Borg nie był tylko chemikiem w służbie sztuki. Radiografia NIR pozwalała ujawnić na zdjęciach obrazu ślady węgla, obecnego w czarnych barwnikach, ale też w węglu lub ołówku użytym do szkicowania. Lorentz widziała kilka razy w Niemczech prześwietlone w ten sposób obrazy i wrażenie było niesamowite - tak jakby spojrzeć na człowieka i zobaczyć nie tylko jego obecną postać, ale też dziecko, jakim był w wieku kilku lat, i nastolatka, który zdawał maturę. Z pomocą tej metody, jeśli wiedziało się, czy dany malarz szkicował i jak to robił, można było łatwo stwierdzić fałszerstwo, nawet jeśli oszust przygotował sobie farby z epoki.

- Co to za labo? - zapytał Gmitruk, do tej pory dziwnie milczący.

Lorentz pomyślała o dziwnym zachowaniu Gmitruka w czasie reportażu o ludziach zbierających w internecie pieniądze. Może jest chory, może ktoś z jego bliskich był chory.

- Pracownia eksperta - odparł Sten Borg z dumą. - Tutaj sprawdzam, czy obrazy są autentyczne. Z całego świata je przywożą. No chyba że ktoś nie chce swoich skarbów wieźć motorówką - roześmiał się.

- Aha. Myślałem, że to trochę inaczej wygląda.

- Jak? - Borg wydawał się rozbawiony.

- Siedzi jakiś staruszek, bez urazy, w gabinecie, patrzy się na obraz, przez lupę ogląda, podpis sprawdza, drzewko na drugim planie. W końcu wstaje i mówi: prawdziwy!

- Niestety, w Polsce to właśnie się robi - wyrwało się Lorentz.

- Bo? - zapytał Anatol.

- Bo to się wszystkim opłaca - wtrącił się Karol. - Nikt przecież nie chce wiedzieć, że obraz jest fałszywy, bo to nie jest dobre dla interesów. Wobec tego każdy właściciel może sobie znaleźć historyka sztuki, który chce dorobić przed świętami i potwierdzić autentyczność Wyspiańskiego, choć na co dzień zajmuje się średniowiecznymi freskami. Ekspert udaje, że się zna, właściciel udaje, że mu ufa, dom aukcyjny udaje, że taka ekspertyza jest wiarygodna, nabywca udaje, że kupuje Wyspiańskiego. W cywilizowanym świecie jest jeszcze proveniencja, czyli jakby karta pojazdu, gdzie są wpisani wszyscy właściciele, co pozwala potwierdzić autentyczność. U nas dziwnym trafem wszystkie proveniencje spłonęły w czasie wojny. Nikt nie zadaje trudnych pytań i interes się kręci.

- Tymczasem ekspertyza stylistyczna nie ma żadnego sensu - tłumaczył dalej Borg. - Przecież jeśli fałszerz chce podrobić czyjś obraz albo stworzyć nieistniejący obraz sławnego malarza, to co podrabia? Styl. Tak samo kładzie farbę, tak samo maluje drzewka, tak samo pośladki w aktach i jabłka w martwej naturze, o podpisie nie wspominając. Jeśli fałszerz jest dobry, żaden ekspert kierujący się jedynie analizą stylu tego nie rozpozna.

- Ewentualnie napisze taką ekspertyzę - dorzucił Karol - żeby niby uznać autentyczność i zgarnąć honorarium od klienta, ale w razie czego w sądzie się wybroni, że to nie do końca tak, był pewien zaznaczony przez niego w ekspertyzie margines błędu, itede, itepe.

Gmitruk obruszył się.

- Okej, rozumiem, wybaczenie głupiemu wojskowemu. Czyli właściwie co się bada, jeśli nie styl?

- To, czego się nie da sfalszować albo co jest bardzo trudno sfalszować. Rodzaj płótna, drewno użyte na kanwy na przykład.

- Choć tu też można oszukać, nadmalowując fałsa na jakimś bohomazie z epoki - wtrącił Karol.

- Zgadza się. Dlatego prześwietlam obraz, sprawdzam jego warstwy, rodzaj gruntowania, szkice pod farbami. Ale przede wszystkim skład barwników. Dziś farby kupuje się w sklepie dla artystów, ale przez wieki była to cała alchemia. Z kości słoniowej robiło się węgiel do czerni. Trujący ołów dawał biel. Z tego, co wypluł Wezuwiusz, była najlepsza żółć. Niebieski powstawał dzięki sproszkowaniu szkła kobaltowego. Czerwień uzyskiwało się z korzenia marzanny albo mszyc pasożytniczych na kaktusie. Z czym wymieszać te pigmenty, żeby je nanieść na ścianę, płótno lub kawałek drewna? Z wodą, z klejem, z olejem może? A jeśli tak, to jakim? Lnianym, sojowym, ftaszowym? - Borg zapalał się i Lorentz pomyślała, że musiał wyklądać na jakiejś uczelni. - Przez wieki malarze eksperymentowali z pigmentami

i sposobami ich nakładania. Niektórzy sami szukali idealnych receptur, inni mieli swoich specjalistów, chemików, alchemików i naukowców. Jak żrenicy oka strzeżono tajnych przepisów, które pozwalały uzyskiwać farby o wspaniałych kolorach. Starzy mistrzowie wiedzieli, że styl każdy może podrobić, a już na pewno każdy z ich uczniów, żądnych sławy i łasych na sakiewkę. Ale bez farb i bez receptur najgenialniejszy uczeń był nikim, mógł zamiatać podłogę i cierpieć sobie twórcze męki.

Gmitruk pokiwał głową.

- I jak rozpoznajesz, czy to mszyce, czy kość słoniowa?

- Mój przyjaciel poznaje. - Borg poklepał srebrną maszynę, która wyglądała jak połączenie niewielkiej lodówki z piecykiem kożą zaprojektowaną przez Bang & Olufsen. - Mój przyjaciel py-2020D, który szybko i sprawnie przeprowadza pirolityczną chromatografię gazową z detekcją spektrometrii mas.

- Słucham? - wyrwało się Karolowi.

Lorentz wiedziała, że jego wiedzy o sztuce nie towarzyszyła żadna wiedza techniczna, którą tak lubią mężczyźni. Jak byli razem, musiała wymieniać żarówki i wycieraczki w ferrari, bo on nie wiedział, jak się do tego zabrać.

Borg zdjął okulary i znów zaczął je przecierać.

- Wersja skrócona, okej? - powiedział po chwili. - Czy to barwniki sztuczne, czy naturalne, każdy z nich to po prostu związki chemiczne, wymieszane w odpowiednich proporcjach. Czasami kilkadziesiąt, czasami kilkaset. Ta maszyna łączy dwie różne metody określania rodzajów tych związków i ich ilości. Jak to powiedzieć jasno? Próbkę na przykład czerwonej farby zostaje odparowana. Zamienia się w gaz, ale wszystkie nasze związki chemiczne tam cały czas są. Gaz zostaje przepchnięty przez bardzo długą rurkę, gdzie poszczególne związki oddzielają się, jedne przez tą rurkę podróżują wolniej, niektóre szybciej. Po tej szybkości i po sposobie, w jaki spalają się na końcu rurki, poznajemy, co to jest. Tak w skrócie.

- To, że nie znam się na sztuce, nie oznacza, że jestem idiotą - wycedził Anatol Gmitruk. - Wiem, czym jest czas retencji w kolumnie gazowej.

- Czym jest co? - zapytał Karol, rozkosznie bezradny w świecie nauk ścisłych.

Borg tylko wykonał gest, który miał usprawiedliwić przed Gmitrukiem prostotę wykładu.

- Na końcu dostajemy wykres pokazujący, ile jakich substancji jest w próbce. I możemy stwierdzić, że obecność dużej ilości trójtlenku żelaza wskazuje, że malarz użył do swojego czerwonego dzieła rdzy, czyli naturalnej ochry, takiej samej jak na ścianach tego

domu na przykład. Dzięki takiemu wykresowi związków chemicznych od razu wiemy, czy użyto farb średniowiecznych, dziewiętnastowiecznych, czy też współczesnej chemii.

- Ale nie wiemy, czy jakiś przebiegły fałszerz nie zrobił farb na własną rękę - skomentowała Lorentz.

- Wiemy, jeśli porównamy wątpliwą próbkę z próbką pobraną z obrazu tego malarza o stuprocentowej autentyczności. Jeśli są podobne, obraz musi być oryginalny. Można podrobić farbę, żeby wyglądała na farbę z epoki, ale nie da się podrobić farby z konkretnej palety. Już pomijając fakt, że każdy malarz modyfikuje farby, zauważmy, że w próbce znajduje się nie tylko farba. Jest to, co wsiąkło wcześniej w paletę, jest to, co akurat latało w powietrzu, i to, co modelka wykichała. Genialna metoda, niezawodna, a na dodatek szybka i tania. Co zaraz zademonstrujemy.

Sten Borg znów klepnął srebrną lodówkę i zwrócił się do Lisy:

- Masz próbkę?

Skinęła potwierdzająco i wyjęła z torebki maleńki woreczek strunowy. Wydawał się pusty, trzeba było wyteńczyć wzrok, żeby zobaczyć drobinki kurzu na dnie.

- Sterylna? - zapytał Borg, oglądając próbkę pod stacjonarnym szkłem powiększającym.

Lisa tylko coś chrząknęła.

- To znaczy tak czy nie?

- Nie było czasu, słyszałeś naszą opowieść. Poza tym zabezpieczenia okazały się lepsze, niż myślałam, schowałby obraz, zanimbym pobrała próbkę. Paznokciem zdrapałam.

- Że co? - Borg był autentycznie zdziwiony.

- Zdrapałam paznokciem.

- Czyli tę próbkę - Borg wskazał na torebkę - zdrapałaś razem z kurzem i werniksem, a potem wyciągnęłaś spod swojego paznokcia, razem z hamburgerem z Wendy s, włosami łonowymi aktualnego kochanka, odrobiną mchu i kroplą diesla ze stacji benzynowej?

- Chyba mam inne wyobrażenie o higienie niż ty.

- Wyobrażenie nie ma tu nic do rzeczy. O ile wcześniej nie wysterylizowałaś palców, dokładnie to się znajdowało pod twoimi paznokciami, a to tylko początek z listy setek substancji i tysięcy związków chemicznych. Możesz sobie w dupę wsadzić swoją próbkę. Nie sądzę, żeby bardziej ją to zanieczyściło.

Po pięknej twarzy Lisy przesunął się cień.

- To ty sobie wsadź w dupę swoją obsesję naukowca - wycodziła. - Jak ci nie odpowiada, to wracaj z powrotem na uniwersytet w Uppsali i tam ucz dzieci, czym się różni

kwas od zasady i Monet od Maneta. Jest to, co jest. Zanieczyszczone, ale jest. I jak widzisz, przede wszystkim jest to zieleń farby, a nie szlachetna biel smarków. Więc bierz się do roboty.

Na Borgu przemowa nie zrobiła wrażenia. Zdjął z nosa okulary i zaczął je przecierać kawałkiem irchy, leżącym obok szkła powiększającego.

- Dobra, pokazuj. - Wskazał stojący na biurku komputer.

Lisa wpięła pendrive'a i po chwili na ekranie pojawił się film nagrany z zamontowanej na jej uchu kamery w czasie akcji w New Rochelle. To był fragment, kiedy Szwedka obserwowała zaawansowane technologicznie drzwi do pomieszczenia, w którym Richmond trzymał swoje skarby.

Do Zofii Lorentz momentalnie wróciły wszystkie emocje tamtej nocy. Suchość w ustach, szybkie tętno, napięcie w mięśniach. Kilkakrotnie musiała sobie powtórzyć w myślach, że nie znajduje się w stanie Nowy Jork, tylko na cichej szwedzkiej wyspie, gdzie jest spokojnie i bezpiecznie, a w kuchni na dole czeka grzane wino, którym zakończą dzień, zanim zagrzebią się w ikeowskiej pościeli i w końcu wyśpią jak należy.

Lisa zatrzymała film, kiedy kadr na ekranie komputera wypełniał nieznany impresjonista.

- Niesamowite - powiedział cicho Borg. - Jeśli się potwierdzi, że to nie jest fałszywka... Dobra, jedziemy.

- Było w jego listach - zauważyła Lisa.

- W jego chaotycznych, pokrętnych i zachowanych w szczątkach listach. Myliły mu się lata, przyjaciele, modelki. To nie jest wiarygodne źródło. Cicho teraz.

Borg zajął się przygotowywaniem próbki pod mikroskopem, żeby można ją było włożyć do chromatografu.

- Dobra, najwyżej wyjdzie na to, że mam od masła dziury w mózgu - powiedział Karol. - Czyje to jest? Nigdy nie widziałem takiego impresjonisty.

- A na co ci to wygląda? - zapytała Lisa.

- Powiedziałbym, że Monet albo Renoir z Argenteuil. Zieleń, światło, Sekwana, wszystko się zgadza.

- Spójrz na twarz modelki - uśmiechnęła się Lisa.

Karol pochylił się w stronę monitora, zmrużył oczy. Po czym wyprostował się gwałtownie.

- To niemożliwe. To fałszywka, malarski żart.

- O co chodzi? - spytała Lorentz.

- Spójrz na modelkę, a będziesz wiedziała, o co chodzi. Wyobraź ją sobie z upiętymi włosami i w sukience.

Lorentz przyjrzała się uważnie i wybuchnęła śmiechem.

- Oczywiście! Przecież to jest dziewczyna z pierwszego planu *Bal du moulin de la Galette*, najbardziej znanego obrazu Renoira. Wspaniała rzecz, jedno z najlepszych dzieł impresjonizmu. Leniwe niedzielne popołudnie w Paryżu. Tańce, muzyka, wino, słomkowe kapelusze, światło przesączające się przez letnią zieleń. Wisi w Musée d'Orsay w Paryżu.

- Na temat tego obrazu napisano kilometry prac naukowych, gdyby istniało takie doskonałe studium jednej z jego postaci, jak ta urocza modelka - Karol wskazał na przymierzającą się do kąpeli dziewczynę - znalazłbyśmy je na pamięć. Przykro mi, ale nie ma takiego obrazu Renoira.

- I nigdy nie było - dopowiedziała Zofia. - W żadnej kolekcji, w żadnym muzeum, na żadnej liście dzieł zagrabionych, zaginionych ani w ogóle nigdzie. A coś takiego jak „pojawiające się zniemacka zaginione arcydzieła czołowych impresjonistów” po prostu się nie zdarza.

- Dlaczego? - zapytał Gmitruk.

- Prawa rynku. To najdroższe dzieła sztuki. Jak spojrzymy na listę obrazów, które osiągnęły najwyższe ceny, to stawkę otwiera Cézanne. A w pierwszej dziesiątce jest kilka van Goghów, Munch, Renoir właśnie. Byłoby ich więcej, ale wiszą po państwowych muzeach i nie zmieniają właścicieli. A ponieważ są najdroższe, to każdej sprzedaży towarzyszy starannie przygotowany szum, który podbija zainteresowanie i cenę. Pomijam obrót dziełami pochodzącymi z kradzieży. Ale ten nie pochodzi z kradzieży, ponieważ nigdy nie istniał. Z czego wynika... - Zofia zawiesiła głos i zastygła.

- Co wynika? - dopytał Karol.

-...że marnujemy czas. Ten śliczny falsyfikat do niczego nas nie przybliży i niczego nie wyjaśnia. Nie ma żadnej większej całości, jest dwoje głupich Szwedów z impresjonistyczną fiksacją, którzy robią coś zupełnie niedorzecznego. Boże, co za bezsens.

Lorentz westchnęła i usiadła. Nikt jej nie odpowiedział, Borg załadował próbkę do maszyny i włączył odpowiednie funkcje. Rozjarzyły się diody, zaszumiała sprężarka. Starszy pan powiedział coś cicho do Lisy po szwedzku, Lisa cicho po szwedzku dopowiedziała, w jej głosie pobrzmiwała irytacja. Borg coś odpowiedział. Lorentz spojrzała na Gmitruka, ale ten znudzony podpierał ścianę.

- Zaraz będą wyniki - zakomunikował Borg. - Analizujemy zieloną farbę z domniemanego Renoira, powstałego zapewne tuż przed Balem, więc latem 1876 roku.



Porównamy to z próbką zieleni z Dziewczynki z konewką, której portret Renoir namalował w Argenteuil tego samego lata i który wisi w National Gallery of Art w Waszyngtonie.

- A skąd będziemy mieli te próbkę? - zapytał Gmitruk.

- Chromatografia Dziewczynki jest w bazie danych.

- Serio? Dziurawicie obrazy na całym świecie, żeby mieć materiał do porównań? Jak wymyślicie jeszcze kilka analiz, to nie będzie czego w muzeach oglądać.

- Zazwyczaj próbek nie pobiera się paznokciem - odpowiedziała Lisa. - A do analizy wystarczą ilości tak mikroskopijne, że ubytek w warstwie malarskiej obrazu jest mniej więcej taki jak po ukąszeniu komara. A i tego nikt nie spostrzeże, bo pobiera się zazwyczaj z krawędzi, spod ramy.

Komputer zapikał i na ekranie pojawił się wykres przypominający EKG człowieka poddanego elektrowstrząsom. Składał się z wielu różnej szerokości i wysokości wskazań. Niektóre wyglądały jak wysokie igły, inne jak alpejskie szczyty lub gęste kolce jeża.

Wszyscy podeszli do ekranu. Sten Borg rytualnie przetarł okulary i kazał programowi porównać skład chemiczny ich próbki ze składem chemicznym Dziewczynki. Chwilę patrzyli na pasek postępu i oba wykresy połączyły się w jeden. Pomijając jeden potężny szczyt na wykresie ich próbki, były prawie identyczne. Program poinformował, że zgodność chemiczna jest na poziomie 82 procent.

- To nas nie dyskwalifikuje? - zapytała cicho Lorentz, wskazując na psujący harmonię obu wykresów szczyt.

- To jest, moja droga, związek o wzorze  $C_{10}H_{16}$ , zwany potocznie terpentyną. Która to terpentyna jest podstawowym składnikiem werniksu i znalazła się na naszym wykresie dlatego, że próbki zwykle pobiera się spod werniksu specjalną igłą, a nie zdrapuje z obrazu paznokciem. Jeśli na moment wykreślimy terpeny z równania, to będziemy mieli... - palce Szweda zatańczyły po klawiaturze -...o, taki wynik.

Program zapikał i poinformował ich, że zgodność obu próbek wynosi 95 procent.

- Panie i panowie - powiedział Borg. - Wygląda na to, że nieistniejący Renoir jednak istnieje.

- Czyli to może być prawda - wyszeptała Lisa. Spojrzeli na nią.

- Zapomnijcie o Rafaelu. Kolekcja to może być prawda.

- Jaka kolekcja? - zapytała Lorentz, nic nie rozumiejąc. - Jaka kolekcja?

- Kolekcja, której szukamy od dwudziestu lat. Największy skarb w dziejach historii sztuki. - Borg neurotycznie przecierał okulary. - Skarb, przy którym wszystkie inne kolekcje i wszystkie inne muzea staną się drugoligowe. Skarb, który sprawi, że wszystkie książki o

historii sztuki trzeba będzie napisać od nowa. Mówiłaś, że czołówka najdroższych obrazów świata to impresjoniści, tak?

- Tak - potwierdziła Lorentz.

- To wyobraź sobie teraz kolekcję nieznaną płócien van Gogha, Cezannea, Degasa, Moneta, Gauguina, Sisleya, Maneta, Renoira właśnie. I to nie malowane na zamówienie portrety, tylko rzeczy nowatorskie i eksperymentalne, odważne ze względu na tematykę lub technikę, wtedy trudne do sprzedania, dziś zapewne święte, jako pierwsze jaskółki postimpresjonizmu i ekspresjonizmu, i w ogóle sztuki nowoczesnej. Ile byłaby warta taka kolekcja?

- Miliardy dolarów - odpowiedział bez wahania Karol.

- To - Sten Borg wskazał na ekran komputera - jest dowodem na to, że taka kolekcja istnieje.

- Świetnie! - Ton Lorentz był ucieleśnieniem sarkazmu. - A są na to, nie mówię, że dowody, ale chociaż poszlaki? Inne niż tajemnicze płótno wiszące w rezydencji kogoś, kto obok powiesił oleodruk Rafaela, telewizor i zdjęcie baseballowej gwiazdy?

- Są - powiedziała spokojnie Lisa. - Wierz mi, że są, od dwudziestu lat badamy to ze Stenem. Nie ma ich wiele, ale wystarczająco wiele, żeby podejrzewać, że kolekcja, taka przez wielkie K, została skompletowana w drugiej połowie XIX wieku.

- Przez kogo?

Lisa i Sten wymienili zakłopotane spojrzenia.

- Nie mamy pojęcia - odpowiedział po chwili Borg, bawiąc się dla odmiany mankietami starej sztruksowej marynarki. - Tak, wiem, jak to brzmi, jakbyśmy byli wariatami od poszukiwania Bursztynowej Komnaty. Ale sprawdziliśmy wszystko. Najpierw kolekcjonerów, którzy kupowali impresjonistów w ich czasach. Nie było ich wielu, ale paru było, bardziej zresztą pasjonatów niż kolekcjonerów, ale wtedy obrazy Moneta i Renoira kupowało się za bezcen. Malarze przymierali głodem, czasami ludzie zakup traktowali nie jako inwestycję, tylko jałmużnę dla sympatycznego artysty. Prześwietliliśmy najważniejsze kolekcje europejskie pierwszej połowy XX wieku, poczynając od Rosenberga, Rothschilda i Wildensteina we Francji, Gouldstikkaera w Holandii. Sprawdziliśmy marszandów, sprawdziliśmy niemieckie rejestry z czasów drugiej wojny światowej, sprawdziliśmy archiwa The Monuments Men, Ronja... Lisa prześwietliła muzea w Rosji, gdzie po piwnicach leży sobie dyskretnie dużo skarbów światowego malarstwa. Sprawdziliśmy szejków, sprawdziliśmy czarny rynek broni i narkotyków, gdzie od dawna dzieła sztuki służą jako zabezpieczenie transakcji. Mając nadzieję, że natrafimy na współczesny ślad kolekcji lub jej

fragmentu i to będzie jakaś nitka, po której dojdziemy do kłębka...

Borg przerwał gwałtownie i oparł się o poręcz krzesła, drugą ręką zdjął okulary. Lisa podbiegła do niego. Powiedziała po szwedzku coś, w czym pobrzmiewały troska i czułość.

- Nic mi nie jest - odpowiedział Borg po angielsku. - Przepraszam was, ale mam już swoje lata i czasami emocje są dla mnie zbyt silne. Po prostu kolekcja, przez wielkie K, ja naprawdę poświęciłem jej wiele, to marzenie mojego życia. Ale od paru lat pogodziłem się, że to taka zabawa, ćwiczenie intelektualne, że tak naprawdę nigdy nie trafię ani na dowód jej istnienia, ani na ślad, który pozwoli ją odnaleźć. A teraz... przepraszam, jak na zimnego Szweda kiepsko sobie radzę z emocjami.

- Może jestem prosty i naiwny - przerwał ciszę Gmitruk, mówił powoli, jakby rozmawiał z szaleńcami i nie chciał ich niepotrzebnie rozdrażnić - ale czy przypadkiem brak jakichkolwiek informacji nie świadczy o tym, że taka kolekcja po prostu nie istnieje? A my tylko znaleźliśmy obraz, który przeleżał sto lat na czyimś strychu? Sam mam w domu portret babci, który namalował Witkacy. Błady taki, kredkami zrobiony. Ale nie miałem o tym pojęcia, dopóki mnie rok temu nie odwiedził kumpel, który się zna. Wcześniej był to po prostu portret babci. Wisiał w przedpokoju, a pięć lat spędził w szafie, bo zapomnieliśmy o nim po przeprowadzce.

Borg doszedł do siebie, wyprostował się i założył okulary tylko po to, żeby od razu je zdjąć. Porozglądał się chwilę i zaczął dokręcać mocowanie zauszników małym zegarmistrzowskim śrubokrętem.

- Zbyt wiele jest śladów - powiedział. - Na przykład w liście Renoira do przyjaciela jest zdanie, że wyszedł mu świetny portret K. nad rzeką, ale z przyczyn oczywistych nie może go nikomu pokazać i w końcu sprzedał hrabiemu, żeby go nie kusiło. „Napiję się, pochwalę i będą kłopoty”, tak dokładnie napisał.

- Niestety, mistrzowie nie mieli wiele czasu na pisanie. Chłanie, malowanie i dymanie modelek zajmowało im mnóstwo czasu - przejęła Lisa - ale jak któryś się ustatkował, jak Monet, to musiał zasuwać na rodzinę tak, że miał tego czasu jeszcze mniej. Monet dwukrotnie wspomina o „hrabim” w zachowanej korespondencji. Raz, kiedy żali się, że musi przestać malować te dymy i mgły, bo nikt mu tego nie kupi, dobrze chociaż, że hrabia wziął czarną lokomotywę, i tak jej nie było gdzie trzymać, a drugie dziecko w drodze.

- Czarną? - Gmitruk zdziwił się. - Myślałem, że impresjoniści to światło, słońce i kolorowe plamki.

- Właściwie tak. Ale Monet miał jakąś kolejową jazdę, w kilku miej - scach wiszą jego dworce i pociągi. Gdyby namalował kolejową impresję w czerniach, na dodatek w dużym

rozmiarze, to byłaby to rzecz tak odmienna od innych obrazów, że absolutnie bezcenna.

Borg podszedł do komputera. Lisa zrobiła ruch, jakby chciała Stena powstrzymać, ale dała spokój.

- Pokażę wam coś. Żeby nie było, że jesteśmy szaleńcami, szukającymi jakiegoś mirażu, którego nikt nie widział i o którym nikt nie słyszał. To jedyny namacalny, o ile fotografia może być namacalna, dowód, że kolekcja przez wielkie K istnieje. Mało tego, to argument, że nasze interesy wbrew pozorom są zbieżne.

Poklikał chwilę i na ekranie pojawiło się czarnobiałe zdjęcie. Ci, którzy spodziewali się mrocznych tajemnic historii, musieli w tym momencie poczuć się srodze zawiedzeni. Na zdjęciu była kilkuletnia dziewczynka w chłopięcych ogrodniczkach, bawiąca się z małym beagleem, chyba jeszcze szczeniakiem. Poza baraszkującą parą, kawałkiem drewnianej podłogi i fragmentem białej ściany, zdjęcie było prawie puste. Prawie, fotograf uchwycił bowiem dwa obrazy w prostych, prowizorycznych wręcz ramach, wiszące na ścianie. Niewielkie, nawet nie ćwiartki, półćwiartki raczej. Na jednej półćwiartce widać było wyraźnie tory i przeszywający mrok lejek światła. Lokomotywy nie było, ale powinna być na niewidocznej części obrazu. Na drugiej półćwiartce teoretycznie nic nie było, ciemna plama z fragmentem bieli, ale Lorentz momentalnie rozpoznała Młodzieńca: futro, którym okrył się w chłodny dzień, i kawałek koszuli.

- Gdzie to jest? - spytała.

- Nie mamy pojęcia - westchnął Borg. - Robiliśmy wszystkie możliwe analizy. Parkietu, stroju, rasy psa, rysów dziecka. Naprawdę najlepsi z najlepszych to oglądali i jedyne, co udało się wykluczyć, to lata przedwojenne. Mogą być lata czterdzieste, mogą być wczesne lata pięćdziesiąte, nie później. Na dziewięćdziesiąt procent Europa, na osiemdziesiąt Europa Zachodnia.

- Wawelska rezydencja Hansa Franka?

- To była nasza pierwsza myśl, ale na Wawelu nigdy nie było takich parkietów. Jeśli to zdjęcie z okresu okupacji, to musi być inne miejsce.

- Posłuchajcie mnie teraz uważnie - odezwała się Lisa. - Wy szukacie Rafaela. My szukamy kolekcji. W jakimś momencie historii, w czasie okupacji lub tuż po niej, Rafael stał się częścią kolekcji. Po czym zaginęła ona bez śladu. Ale zamieszanie, jakie nam towarzyszy, dowodzi, że ktoś wierzy, że dziś ten skarb może zostać odnaleziony i że może zostać odnaleziony przez nas. Co próbujemy wam powiedzieć: łatwiej szuka się grupy obrazów niż jednego obrazu. Pomóżcie nam znaleźć kolekcję, a dostaniecie swojego Rafaela. Każdy wygrywa.

- Ależ to niedorzeczność! - zachnęła się Lorentz. - Nie mamy pojęcia, co w tej kolekcji jest, nie wiemy, kto był jej właścicielem, nie znamy jej historii. Nie można szukać „jakiejś grupy obrazów”, to nie ma żadnego sensu. Musimy mieć jakikolwiek punkt zaczepienia.

- Ten hrabia... - zaczęła Lisa.

- Nie, Lisa, mówię bardzo poważnie. Punkt zaczepienia, a nie kolejna niewiadoma! Hrabia nam tu nie wystarczy. W XIX wieku każdy, kogo stać było na cylinder, już się nazywał hrabią.

- Drugi raz Monet wspomniał o hrabim już jako staruszek, udzielając wywiadu lokalnej gazecie w latach dwudziestych - ciągnęła niezrażona Lisa. - Pytany o biedę, odpowiedział, że, cytując: „była straszna i upokarzająca, ale i wśród bogatych zdarzają się kochające sztukę świrny. Na przykład kilkakrotnie pomógł nam pewien egzotyczny hrabia, ekscentryk z własną wyspą i na szczęście z własną fortuną”. Na co dziennikarz pyta: „Jak u Dumasa?” A Monet odpowiada: „Tak, tak, właśnie tak. Wyspa, fortuna i tajemnica”.

- Odkąd znaleźliśmy ten wywiad, nazywamy go „hrabią Monet Christo”. - Borg uśmiechnął się.

- Jest jeszcze kilka tego typu wzmianek u różnych malarzy z epoki i ich towarzystwa, wszystkie dotyczą końca XIX wieku. Czasami tylko wzmiankują hrabiego, czasami piszą o jego hojnych zakupach. Czasami dziwią się, że wydaje tyle na obrazy, które nawet im wydają się niewiele warte.

- I nie wiadomo o nim nic oprócz tego, że miał wyspę? - spytał Karol.

- Wiadomo też, że miał żonę lub kochankę, w której był zakochany po uszy.

- Coś o niej wiemy?

- Tylko tyle, że miała na imię Katarzyna. Wiemy to od dziennikarza Theodora Dureta, który opowiedział o wieczorze w domu Monetów w Argenteuil...

- Jak miała na imię? - Głos Lorentz tak się zmienił, że wszystkie głowy odwróciły się w jej stronę. Doktor Zofia Lorentz wyglądała bowiem tak, jakby zobaczyła ducha.

- Jak miała na imię ta kobieta? - powtórzyła z naciskiem, podchodząc do Lisy.

- Katarzyna.

- A dlaczego sądzisz, że to była żona albo kochanka hrabiego?

- Jak mówiłam, z opisu jednego dziennikarza, przyjaciela impresjonistów. Wspomniał o hrabim, z lekką irytacją pisząc, że „hrabia nie przestawał mówić o swojej ukochanej Katarzynie, ale za dużo wydał na ich obrazy, żeby ktoś śmiał mu przerwać”...

Zofia gestem poprosiła Lisę, by zamilkła. Zamyślona, podeszła do Karola i chwyciła

go za dłonie.

- O mój Boże - wyszeptała.

- Możesz mi mówić Karol - wyszeptał w odpowiedzi, nachylając się w jej stronę.

Musiała być naprawdę przejęta, bo nie zwróciła uwagi, a może po prostu nie chciała marnować energii na ripostę. Puściła ręce Karola i odwróciła się do Lisy Tolgfors i Stena Borga.

- Wiem, dlaczego nie znaleźliście waszego hrabiego Monet Christo - powiedziała. - Z tej prostej przyczyny, że nie szukaliście w Trzecim Świecie. Posługując się znanym już przykładem, wylądowaliście u dzikich i nie przyszło wam do głowy, że waszego zaworu potrzebują nie na ołtarzyk, tylko żeby skończyć budowany w dżungli po drugiej stronie wioski statek kosmiczny. Widzieliście tylko zawór, a nie widzieliście większej całości.

- A jaśniej? - poprosiła Lisa.

- Nie przypuszczaliście w ogóle, że mógł to być kolekcjoner, dla którego te święte krowy malarstwa były jedynie uzupełnieniem narodowej kolekcji. Drugoligową sztuką, którą kupował nie po to, żeby ruszać bryłę z posad świata, tylko dlatego, że polscy malarze go prosili, żeby pomógł też francuskim kolegom. Bo to zdolni artyści, a ciągle im się nie powodzi.

Lorentz spojrzała na Szwedkę i Szweda i parsknęła śmiechem.

- Ale z was szwedzkie snoby. Gdybyście przez dwadzieścia lat swoich poszukiwań pomyśleli choć raz, że za żelazną kurtyną też istnieje cywilizacja, szybko byście się dowiedzieli, że „ukochana Katarzyna” to nie żadna żona ani kochanka, ani córka, ani w ogóle żadna kobieta. Tylko wyspa na Morzu Śródziemnym, należąca wówczas do pewnego szalonego polskiego arystokraty. Który notabene nie był żadnym arystokratą, ale miał tyle pieniędzy, że nazywaliby go i księciem, gdyby sobie tego zażyczył. Wiesz już, o kim mówię?

- spytała retorycznie Karola.

Patrzył na nią przez chwilę, mrużąc oczy, po czym wybuchnął śmiechem.

- Dwadzieścia lat? Dwadzieścia lat szukaliście tego wariata? - Chciał mówić dalej, ale Gmitruk przerwał mu gwałtownie.

- Cicho - rozkazał.

Umilkli i usłyszeli to, co Anatol wychwycił pierwszy. Narastający odgłos silników, dość wysoki, bardziej motocyklowy niż samochodowy.

Laboratorium nie miało okien, wybiegli do gabinetu obok i zgromadzili się przy stojącym pod oknem biurku. Za wirującym śniegiem wyraźnie widzieli trzy szybko się zbliżające w ich stronę reflektory, od domu Borga dzieliło je nie więcej jak kilkadziesiąt

metrów.

- Co to jest? - zapytał Karol. - Quady? Skutery śnieżne? Spodziewasz się gości w ogóle?

W tej samej chwili w okno mocno uderzyło z dużą siłą coś, co wyglądało jak puszka piwa. Normalne okno nie wytrzymałoby takiego uderzenia, ale to musiało być wzmocnione, zapewne antywłamaniowe. Puszka odbiła się od okna, uderzyła o lód, odbiła się jeszcze raz i wybuchła białym, oślepiającym błyskiem, tak dobrze znanym Anatolowi Gmitrukowi. Lorentz odwróciła wzrok, a kiedy ułamek sekundy później spojrzała za okno, ujrzała niezwykłą scenę. W miejscu błysku rosła kałuża niepokojącego, bardzo jasnego ognia, przepalając jak masło warstwę śniegu i warstwę lodu pod spodem. Nie minęła sekunda, kiedy płomień, wyrzucając w powietrze kłęby pary, pokonał grubą warstwę lodu i wpadł do Bałtyku. I cały czas płonął! Płonął, oświetlając od spodu lód, zamieniając się z białego w zielonkawy, a potem ciemnozielony, wyglądał jak pęczek sztucznych ogni włożony do butelki po winie z grubego, zielonego szkła.

- Granat zapalający! Uciekamy! - krzyknął Gmitruk i popchnął ją w stronę wyjścia.

Zofia pobiegła, nie czekając na dodatkową zachętę, w kieszeni dzinsów czuła ucisk kluczyków od ferrari.

9

Lorentz i Boznański rzucili się w dół schodów, jakby od tego zależało ich życie. Cóż, od tego zależało ich życie. Major Anatol Gmitruk przeklął w myślach, że wino i dobre jedzenie osłabiło jego czujność, i zostawił broń w kurtce wiszącej przy drzwiach na dole.

- Do samochodu! Już! - krzyknął po szwedzku do Lisy i Stena.

Ci jednak nie byli tak karni jak polscy przyjaciele. Zamiast wybiec, nerwowo majstrowali przy ścianie naprzeciw okna, przy czymś, co musiało być skrytką za półką z książkami. Poprawka: nie tyle coś majstrowali, ale walczyli. Borg koniecznie próbował uratować coś, co było w skrytce, Lisa odciągała wierzgającego staruszka, próbującego ją odepchnąć.

- To nie jest tego warte! - darła się po szwedzku.

- To jest wszystko warte! - krzyknął histerycznie. - Wszystko! Nie ma nic cenniejszego od piękna. Skoro tego nie rozumiesz, po co to ze mną robisz tyle lat? Po co, Ronja?

Gmitruk z niedowierzaniem pokręcił głową. Jak w amerykańskich filmach. Tutaj rzucają granatami, a ci rozmawiają o pryncypiach. Uznał, że czas na przekomarzanki się skończył.

Chwycił Lisę i pociągnął ją w stronę schodów. W tej samej chwili Borgowi udało się otworzyć skrytkę. Najpierw wyjął coś małego, co rzucił do Lisy i co ona złapała, chowając w zamkniętej dłoni. Potem sięgnął głębiej i wyciągnął obraz o rozmiarach około metra na siedemdziesiąt centymetrów. Kilkoro dzieci zbierających maki na polu w pochmurny dzień, na drugim planie rzeka, miasteczko, ciemne niebo. Wszystko niewyraźne, z krótkich maźnięć pędzlem, w której to technice nawet taki laik jak Gmitruk rozpoznawał styl impresjonistów. Nie myślał w tej chwili o technice, nie myślał w ogóle o malarstwie, w ogóle nie myślał, włączył się jego instynkt wojskowy. Chciał działać, chciał ocalić siebie i w miarę możliwości innych. Pozostanie w drewnianym domu obrzucanym granatami zapalającymi było samobójstwem.

Co nie zmieniło faktu, że w tym ułamku sekundy mózg Gmitruka zapamiętał maki. Zajmujące dolną połowę obrazu maki, mnóstwo dotknięć unurzanych w czerwonej farbie pędzlem, maki, które dzięki geniuszowi Claudea Moneta ożyły. Nie były plamkami rozprowadzonego w oleju pigmentu, były poruszającymi się na wietrze kwiatami, płomykami, które z niepokojem obserwowały burzowe niebo i zastanawiały się, czy lepiej dać się zerwać dzieciom i pożyć jeszcze chwilę w wazonie, czy zostać w polu, ryzykując koniec z rąk deszczu, wiatru lub gradu.

- Zostaw to! Błagam cię, Sten! - wrzeszczała Lisa, miotając się w uścisku Gmitruka.

Sten Borg ruszył w ich stronę i w tej chwili gruchnęła seria strzałów. Okno może i było antywłamaniowe, ale nie kuloodporne. Szkło rozprysło się po całym gabinecie, a za nim wpadły pociski, uderzając w drewnianą konstrukcję domu z głuchym stukiem.

Borg w paroksyzmie strachu padł na ziemię i skulił się za obrazem Moneta, jakby płótno mogło go ochronić. I jakimś cudem ochroniło. Seria ustała, gabinet był podziurawiony jak ściana za tarczami na strzelnicy, a zarówno płótno, jak i Borg nie zostali nawet draśnięci. Szwed poprawił okulary i uśmiechnął się szelmowsko, jakby chciał dać do zrozumienia, że zdążyłby jeszcze sięgnąć po kapelusz i bicz, gdyby miał takowe.

I wtedy do środka wpadł granat zapalający, odbił się od drewnianej podłogi i wybuchł. Płonący termat oblepił wszystko, co spotkał na swojej drodze: podłogę, ściany, biurko, półkę z albumami, skradziony przez Ronję z Zurychu obraz Moneta i Stena Borga, miłośnika malarstwa, pięknych ciał i niewinnych umysłów, pierwszego kochanka Lisy Tolgfors i właściciela wyspy o powierzchni pięciu hektarów i trochę.

To był zwykły granat zapalający, ale zawarte w nim pół kilo termatu płonęło w temperaturze dwóch tysięcy dwustu stopni. Wystarczająco dużej, żeby cienkie płótno z czerwonymi makami w mgnieniu oka przestało istnieć. Tak samo w mgnieniu oka przestała



istnieć skóra Stena Borga, ale to było za mało, żeby go zabić.

Anatol Gmitruk ciągnął krzyczącą Lisę Tolgfors w dół schodów, uciekając przed piekielną temperaturą i płomieniami. Ale przede wszystkim przed nieludzkim, niewyobrażalnym wyciem. Ciało Stena Borga wrzało, topiło się i płonęło.

Siła sztuki jest ogromna. Majorowi Anatolowi Gmitrukowi obraz pola czerwonych maków będzie towarzyszyć odtąd aż do końca życia.

10

Karol i Zofia nie mieli pojęcia, co dzieje się w środku, biegli już po pokrytym śniegiem lodzie między wysepką Stena a Orno, kiedy usłyszeli potępieńcze wycie płonącego Borga. Nie mieli wątpliwości, że to on, a jednocześnie było w tym ryku konającego coś nieludzkiego, jakby miał swoje źródło w najstarszej części mózgu, która nigdy nie pogodzi się z tym, że próbujemy być czymś więcej niż istotami walczącymi o przetrwanie.

Karol właśnie tak się czuł, jak zwierzę walczące o przetrwanie. Nie obchodziło go, że ktoś został z tyłu, że ktoś wyje z bólu. Chciał po prostu uciec jak najdalej, w miejsce, gdzie będzie bezpieczny. Odruchowo ciągnął za rękę oszołomioną Lorentz.

- Szybciej - ponaglił, kiedy zaczęła się ociągać.

- Karol, nie słyszałeś? Oni potrzebują pomocy.

- Nie można pomóc nikomu, kto tak krzyczy. Szybciej! Szarpnął ją, stracił równowagę, upadł i uderzył kolanem o lód. Ból rozlał się po całym jego ciele i doszedł aż do gardła, gdzie wywołał przykre, mdlące uczucie. Przez chwilę Karol myślał, że zwymiotuje.

- W nogi! Do samochodu! - Dobiegł ich wrzask Gmitruka, który w jednej ręce trzymał broń, a drugą holował Lisę, która nie wyszła jeszcze z szoku i walczyła z Anatolem, żeby wrócić i ratować Borga.

Zofia pomogła wstać Karolowi i we czwórkę pobiegli w stronę lasu. Śnieg ciągle padał. Przy pierwszym drzewie Anatol zatrzymał się, oparł szlochającą Szwedkę o pień, przedramieniem jednej ręki - tej, w której trzymał pistolet - przycisnął jej szyję, a drugą wymierzył siarczasty policzek. I krzyknął coś po szwedzku, wskazując na dom i buchające z niego płomienie.

Lisa przez chwilę patrzyła na Gmitruka z nienawiścią, po czym pokiwała z rezygnacją głową i razem ruszyli w stronę samochodu. W tym samym momencie zza wyspy wyjechały quady i gruchnęły serie z broni maszynowej. Uratowało ich to, że Skalkaren jest maleńka, ale nie aż tak maleńka, odległość była za duża i strzelcy raczej walili na oślep - mimo to parę kul uderzyło w gałęzie drzew za nimi, strącając chmurę śniegu.

- W ciemność, między drzewa - rozkazał Gmitruk. - Tam nie będą mogli za nami

wjechać.

Skoczyli do przodu, byle dalej od otwartej przestrzeni i pożaru, który buchał coraz większym płomieniem, wystawiając ich jak na strzelnicy. Z tyłu zawyły silniki quadów i za chwilę ucichły, kiedy mordercy zorientowali się, że uciekinierzy są w tej chwili poza ich zasięgiem.

Znowu gruchnęły strzały, jakby ktoś rzucał żwirem o blaszany kontener. Znowu stuknęło i śnieg posypał im się na głowy. Tamci musieli zsiąść z quadów i ruszyć za nimi pieszo, ale nie słyszeli żadnych okrzyków ani nawoływań. Kimkolwiek byli, zachowywali się jak zawodowcy.

- Tędy - zakomenderował Gmitruk, rzucił się w prawo i po kilku krokach wypadli na przecinkę, gdzie stało przykryte śniegiem ferrari.

- Kluczyki! - krzyknął Anatol.

- Jeździłem w rajdach zimowych - wy dyszał Karol, opierając się o maskę. Kolano bolało go potwornie, każdy krok był jak uderzenie młotkiem w rzepekę.

Gmitruk nie odpowiedział, skinął tylko głową i otworzył tylne drzwi. Wepchnął do środka Lisę, sam wskoczył za nią.

- Mam nadzieję, że masz zimowe opony - mruknęła Lorentz, zapinając pasy na przednim siedzeniu.

Karol pomyślał, że gównu im dadzą zimowe opony, jeśli nie wyjadą z tej zasy. Wrzucił wsteczny, wziął głęboki oddech, przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył, jak tylko silnik zagulgotał swoimi dwunastoma cylindrami. Samochód wyrwał się z zasy, zatańczył i pojechał do tyłu, pęd powietrza zdmuchnął sypki śnieg z szyby i z maski.

Maski, na której nagle pojawił rząd niewielkich otworków - ping, ping, ping, ping. Ułamek sekundy wcześniej w miejscu, które przecięła seria, była przednia szyba i ich głowy. Nie miał zamiaru się nad tym zastanawiać. Odwrócił się przez ramię i manewrował tak, żeby jak najdłużej jechać na wstecznym. Po pierwsze, na wykręcanie brakowało miejsca, po drugie, trzeba było jak najszybciej się oddalić, po trzecie, w ten sposób kierował samochodem z napędem na przednie koła, a w takich warunkach to zawsze bezpieczniejsze. Tylne cofania nie dawała zbyt wiele światła i jechał trochę na wyczucie, pamiętając, że w tym miejscu droga szła mniej więcej prosto i zakręcała łagodnym łukiem dopiero wtedy, kiedy po obu stronach zaczynały się domy letniskowe.

Kiedy małe domki zamajaczyły w ciemności, zwolnił, uznając, że zdobyli minimalną przewagę i że może zawrócić. I wtedy zobaczył świetlny punkcik daleko na końcu drogi - znak, że napastnicy zdążyli wrócić do quadów i puścić się w pogoń. Nie wyglądało to dobrze.

Lekko skręcił kierownicę w lewo i natychmiast odbił mocno w prawo, wciskając pedał hamulca. Zdziałała fizyka i samochód płynnie obrócił się na śniegu o sto osiemdziesiąt stopni, zachowując część swojego pędu, a kiedy maska była skierowana w przeciwną stronę, Karol miał już wrzucony drugi bieg. Puścił sprzęgło, silnik zawył, koła zabuksowały, tyłem lekko zarzuciło, ale ferrari posłusznie wyrwało do przodu. Włączył długie, ale światło niewiele dało, odbijało się tylko od ściany gęsto padającego śniegu.

- Nieźle - skomentował Gmitruk - ale na tych leśnych drogach nie mamy z nimi szans.

- Wiem. Dlatego poszukamy kawałka prostej - odparł Karol i skręcił w prawo, prosto na podwórko letniej posiadłości jakiegoś zamożnego raczej, sądząc po rozmiarach domu i działki, Szweda.

- Zwariowałaś?! - wydarła się Lorentz. - Dokąd chcesz tędy dojechać?

- Ja, ja, moja droga - mrugnął do niej - chciałbym w końcu wyjść na prostą.

Przejechał przez śnieżne poletko, które w lecie musiało być zadbanym trawnikiem, i wjechał na śliczny, wychodzący w morze pomost, tak elegancki, że bardziej przypominał niewielkie moło. Załomotały drewniane deski. Lorentz kurczowo chwyciła drzwi, widząc, że Karol jedzie wprost na zdobiącą koniec moła altankę. Płotek z cienkich żerdeł pękł jak słony paluszek po spotkaniu z rozpędzonym, ważącym prawie dwie tony autem. Karol dodał gwałtownie gazu, żeby podnieść przód samochodu do góry, i po chwili szybował nad zamrzniętymi wodami Morza Bałtyckiego, prosząc w myślach najróżniejsze bóstwa, żeby lód wytrzymał uderzenie.

Któreś musiało go wysłuchać, bo lód wytrzymał. Zatrzeszczał złowrogo, w górę trysnęły fontanny śniegu i ferrari wpadło się w długi, niekontrolowany poślizg, kręcąc się wokół własnej osi. Ale lód wytrzymał.

- Przy najbliższej okazji, zawróć - poinformowała nawigacja nieludzko spokojnym, metalicznym głosem.

- Nie ma mowy, kochanie - odpowiedział Karol, kontrując krótkimi ruchami kierownicy, dopóki nie wyprowadził samochodu na prostą. Jak tylko to się udało, wcisnął gaz i ferrari wystrzeliło z tak radosnym rykiem silnika, jakby od lat czekało na tę chwilę.

- Są za nami - powiedział Gmitruk, zerkając przez tylną szybę.

- Niech sobie będą. Nie słyszałem o quadach, które potrafią się rozpędzić do trzystu na godzinę.

Lisa powiedziała coś po szwedzku.

- Co ona powiedziała? - spytała Zofia Gmitruka.

- Uważaj na kamienie. Dużo kamieniów - Lisa przetłumaczyła samą siebie i nachyliła

się w przerwę między przednimi fotelami. - Daj mi tę irytowane dupę. - Wskazała na ekran nawigacji satelitarnej. - Dużo tu żeglowałam.

Lorentz szarpnęła i oderwała ekran, podała go Szwedce. Karol rejestrował, co się wokół niego dzieje, ale tylko w ogólnych zarysach. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent jego koncentracji było teraz w zmrużonych oczach, które próbowały przeniknąć rozświetloną reflektorami zadymkę. Śnieg nie padał na tyle gęsto, żeby się w nim schowali, umykając pościgowi. Ale wystarczająco gęsto, żeby widoczność nie sięgała dalej niż sto metrów. Co oznaczało, że jeśli sto metrów przed nimi pojawi się nagle skalna ściana brzegu jakiejś wyspy, to będą mieli kilka sekund na pożegnanie swoich bliskich oraz swoich marzeń o długim i szczęśliwym życiu. Dlatego skupił się maksymalnie: ich jedyną szansą na przeżycie było dojrzeć przeszkodę, zanim przeszkoda dojrzy ich.

Prędkościomierz pokazywał dwieście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

- Chyba ich gubimy - powiedział Gmitruk.

Karol spojrział w lusterko wsteczne i faktycznie, trzy żółte światelka wydawały się być dalej. Ten rzut oka trwał ułamek ułamka sekundy, ale kiedy jego wzrok wrócił na - powiedzmy - drogę, zobaczył mknący w ich stronę z prędkością pocisku ogromny, wystający z lodu głaz. Lekko skręcił kierownicą, modląc się, żeby samochód nie wpadł w poślizg. Oczywiście wpadł, w końcu jechali po lodzie. Tyłem lekko zarzuciło i potężne ferrari zaczęło sunąć bokiem prosto w skałę, rozpędzone do dwustu na godzinę. Uderzy prawą stroną, pomyślał Karol, Lisa i Zofia giną na miejscu, my też, jeśli będziemy mieli szczęście.

Odbił lekko kierownicą w prawo, odpuścił gaz, zredukował, po czym wpuścił więcej powietrza do przepustnicy - i był to chyba najszybszy manewr drogowy w jego życiu. Samochodem zarzuciło, ciężki tył kombi przeleciał na drugą stronę i minął o centymetry wystający z lodu głaz, pęd powietrza zdmuchnął śnieg z przeszkody.

Karol nie mógł, a może zabrakło mu umiejętności, wyprowadzić auta z tego rozpaczliwego manewru, ferrari wpadło w szalonego bączka, a próby kontrowania dawały jedynie tyle, że samochód wirował w drugą stronę. Kiedy Karolowi w końcu udało się uspokoić maszynę i spojrział w lusterko, trzy reflektory siedziały mu na zderzaku, na tyle blisko, że słyszał odgłos ich silników, mimo huku wydobywającego się spod maski ferrari.

- Jedź w lewo - powiedziała Lisa. - Pojedziemy do morza, tam dużo małych wysepek. Mocne światło. Kumaszc?

- Jasne - mruknął Karol - zgubimy ich w pasie asteroidów. They'd be crazy to follow us, wouldn't they? - Uśmiechnął się do Zofii, ale ta siedziała przerażona z szeroko otwartymi oczami i nie miała ochoty na zabawę w popkulturę.

Przyspieszył, zostawiając na moment z tyłu pościg, ale już wiedział, że ta strategia będzie działała tylko do kolejnego poślizgu. Za każdym razem, gdy on będzie walczył na lodzie, stabilne i przystosowane do zimowych warunków quady dojdą go momentalnie.

- Daleko jeszcze? - spytał Lisę wpatrującą się w mapę satelitarną. Stracił na moment panowanie nad kierownicą. Szybko je odzyskał, ale trzy reflektory znów pojawiły się tuż za nimi. Z lewej strony zaterkotał karabin. Skulił się odruchowo, ale żaden z pocisków nie trafił celu. Przyspieszył i znowu ich odsądził. Tak, ta zabawa nie mogła trwać w nieskończoność.

- Teraz - powiedziała Lisa.

Włączył na sekundę długie światła, mrużąc oczy. Zrozumiał jej pomysł. Drogowych świateł nie dało się używać dłużej niż przez mgnienie oka, ponieważ ostre światło odbite od płatków śniegu wypalało dziury w siatkówce. Ale przez to mgnienie oka można było dostrzec przeszkody kryjące się dalej w mroku.

Włączył jeszcze raz. Policzył do trzech. Jeszcze raz. Po lewej stronie mignęła wystająca z lody wysepka. Za daleko.

Do trzech. Jeszcze raz. Czysto.

Do trzech. Jeszcze raz. Jest.

Jakieś trzysta metrów przed nim zamajaczył wystający ze skały głaz. Delikatnie odbił w lewo i znowu w prawo, objeżdżając wysepkę jak leżącą na drodze przeszkodę. Dzięki temu znalazła się dokładnie pomiędzy ferrari a jadącymi tyralierą quadami.

Karol obserwował w lusterku reflektory zbliżających się quadów, kiedy jeden z nich wpadł na skałę. W pierwszej chwili wydawało się, że zniknął, ponieważ światło po prostu zgasło - tylko po to, żeby pojawić się kilka metrów nad ziemią. Pojazd musiał wystrzelić z pochyłego kamienia jak z wyrzutni, ponieważ leciał pionowo do góry, obracając się pomału, kręcąc stożkiem wyrżniętego w śniegu światła jak zwariowana latarnia morska. Po chwili quad osiągnął najwyższy punkt swojego lotu i runął w dół, przebijając lód z głośnym trzaskiem, który przypominał dźwięk pękającej deski.

Pozostałe dwa nie zatrzymały się przy swoim towarzyszu, ba, nawet nie zwolniły.

- Drugi raz się na to nie nabiorą - powiedział Gmitruk. - Pora spróbować metod konwencjonalnych.

To mówiąc, wyciągnął z kieszeni kurtki pistolet i otworzył szybę. Do środka razem z lodowatym powietrzem i chmurą śniegu wdarł się świst wiatru i ryk trzech silników: ferrari było niskie i gulgoczące, quady bardziej piskliwe, jak dwa wredne drapieżniki, polujące na dostojnego roślinożercę.

- To ten nowy polski WIST, co go teraz używa nasza armia? - zaciekawiał się Karol.

- Nie żartuj. - Gmitruk nawet nie spojrział w jego stronę. - Czyja wyglądam jak poborowy z poligonu? SIG dwadzieścia, dobra niemiecka produkcja. Pozwól im podjechać bliżej. Mamy pewną przewagę, bo ja mam obie ręce wolne, a oni muszą prowadzić. Schylcie się, dziewczyny.

Karol nie musiał się specjalnie starać, żeby go doszli. Wyjechali z „pasa asteroidów” i znajdowali się prawie na otwartym morzu, mocny wiatr wywiał stąd cały śnieg i w światłach reflektorów widać było ciemną lodową tafłę, znikającą w czarnej nocy. Ferrari, choć wyposażone w dobre zimowe opony, na dodatek po sportowemu szerokie, łapało ciągle przyczepność na tej nawierzchni, ale było coraz gorzej. Silnik wył, prędkościomierz pokazywał dwieście pięćdziesiąt na godzinę, ale to nie była prędkość, z jaką się poruszali, ale prędkość, z jaką kręciły się koła. Dużo pary szło w gwizdek, w rzeczywistości musieli jechać około stu czterdziestu, stu pięćdziesięciu. Czyli już blisko topowych quadów, raptor yamaha wyciągał po drobnych modyfikacjach prawie dwieście.

- No dobra, panie rajdowiec! - wydarł się Gmitruk, próbując przekrzyczeć wiatr. - Teraz jak wojenny galeon musisz się ustawić do nich bokiem, żebym mógł oddać salwę.

Nie panie rajdowiec, lecz panie drifter, pomyślał Karol, obserwując w lusterku zbliżające się reflektory Zredukował, skręcił kierownicę w prawo, delikatnie dodał gazu, żeby stracić przyczepność, i natychmiast odkręcił kierownicę w przeciwną stronę, sprawiając, że samochód zaczął ładnie sunąć bokiem.

- Tak jest! - krzyknął mimowolnie, bo taki drift mimo wielu prób nigdy mu się wcześniej nie udał.

Idealny manewr wystawił Gmitrukowi kierowcę quada jak na strzelnicy, SIG zakaszłał trzykrotnie, zrzucając ubranego na czarno kierowcę do tyłu. Pozbawiony jeźdźca pojazd skręcił gwałtownie i zniknął w mroku. Anatol zamierzał wykorzystać ustawienie, żeby rozprawić się z drugim, i wtedy ferrari gwałtownie podskoczyło na nierówności lodu. Anatol wyrznął w ramę okna i pewnie mimo to utrzymałby pistolet, gdyby nie odniesiona w Tatrach rana. Uderzony dokładnie w miejsce przepalenia, krzyknął i rozluźnił uchwyt, SIG spadł na lód, odbił się i tyle go widzieli.

W tej samej chwili wystrzelona przez pozostałego napastnika seria poszatkowała tylną szybę ich rodzinnego kombi.

Sytuacja wyglądała bardzo niedobrze.

11

Stephane Breitwieser nigdy nie myślał o sobie, że jest z NRD. Owszem, urodził się w NRD i wychował się na Rugii (też w NRD), tam też chodził do szkoły i do liceum i był

święcie przekonany, że na całym świecie o zapaleniu się zielonego światła informuje ludzik w kapeluszu. Studia techniczne Stephane skończył w Berlinie Wschodnim. To znaczy oni mówili po prostu Berlin, ten Berlin, to po drugiej stronie muru dodawali przymiotnik „wschodni”. Nie tylko do Berlina, ale w ogóle do wszystkiego za Łabą, słowo „wschód” przestało być neutralnym określeniem kierunku na mapie. Stało się synonimem obciachu, biedy, kartoflanej urody, kartoflanego gustu i wąsów połączonych z kretyńską grzywką - a co on poradzi, że wszyscy się tak wtedy nosili. Jeśli w Niemczech chciano kogoś obrazić, dać wyraz nieskończonej pogardzie i zasugerować, że dla dobra wszystkich jego istnienie powinno być zakazane i zakończone przez eutanazję, skoro na aborcję jest już za późno, używano słowa „wschodni”, czyli ossr.

Ale kiedy na miesiąc przed dwudziestą rocznicą ślubu Stephane Breitwieser stanął w progu ulubionej restauracji w Sassnitz, gdzie zawsze zamawiał kolację z jakiejś ważnej okazji, poczuł się jak enerdowiec. Biedny, zakompleksiony, nudny, pozbawiony fantazji Ossi.

Uznał, że tym razem będzie inaczej. Że rocznica będzie romantyczna, inna, fantastyczna, że odświeżą swój związek i że będą mieli co wspominać przez następne dwadzieścia lat małżeństwa.

I teraz patrzył z dumą na swoją małżonkę AnneCatherine, która leżała na ogromnym łóżku w ich apartamencie, popijała szampana, wyglądała na zachwyconą i przez myśl jej nie przeszło, że to nie koniec atrakcji.

- To dla ciebie. Szczęśliwych następnych dwudziestu lat, kochanie - powiedział, wręczając jej prezent.

Prezent wyglądał jak eleganckie wieczne pióro, było to podłużne, płaskie pudełko.

- Och, Stephane, jesteś niesamowity! - AnneCatherine usiadła po turecku na łóżku, co śmiesznie wyglądało w połączeniu z jej wieczorową sukienką, i energicznie rozpakowała prezent.

Ze zdziwioną miną wyciągnęła z otwartego pudełka kilka niewielkich chromowanych kulek, połączonych czarną nitką. Na końcu nitki kołysał się uchwyt w kształcie kółka.

- Co to jest? - zapytała w końcu.

- To są kulki gejszy - odparł dumny.

- Kulki gejszy?

- Tak, najnowszy łóżkowy hit, kobiety za tym szaleją. Właściwie na każdej kulce mogłoby być napisane „orgazm gwarantowany”. Orgazm gwarantowany. Nieźle brzmi po dwudziestu latach, co nie?

- Orgazm? - AnneCatherine patrzyła na kołyszące się kulki i wyglądała jak pacjent na

sesji hipnoterapii. - W sensie, że... - Wskazała palcem między swoje nogi.

Stephene uroczyście pokiwał głową.

- Jeszcze raz, żeby wszystko było jasne. Chcesz, żebym włożyła sobie w pochwę kilka stalowych kulek połączonych sznurkiem, tak?

- Nie musi być w pochwę.

- Słucham?

- No wiesz. Raczej myślałem, że w pochwie zostanie trochę miejsca na coś innego, rozumiesz.

- Mam to sobie wsadzić w dupę?

- Wszystkie kobiety teraz tak robią. Potem je wyciągniemy i orgazm gwarantowany.

AnneCatherine miała oczy ogromne jak bulaje na statku wycieczkowym.

- Dostanę orgazmu, kiedy ty wyciągniesz mi z dupy garść stalowych kulek? Cóż, na pewno będę bardzo zadowolona, że ich już tam nie ma, ale od razu orgazm?

Stephene poczuł się dotknięty i zawstydzony. Odwrócił się plecami do żony i podszedł do okna, spoglądając w ciemność.

Kiedy po chwili się odwrócił, miał tak niecodzienną minę, że od razu zmieniła front.

- Ale nie mówię „nie”, spróbujmy. Tak szczerze, to miewam takie zatwardzenia, że nie robią na mnie wrażenia stalowe kulki.

- Nie o to chodzi - powiedział Stephene głucho. - Mam halucynacje.

12

Po stracie pistoletu pozostała im już tylko ucieczka. Karol delikatnymi ruchami kontrował, kiedy tył samochodu próbował uciec. Nawet jeśli prędkościomierz przekłamywał, bo koła ślizgały się po bałtyckim lodzie, i tak pędzili jak wariaci. Dwieście pięćdziesiąt, dwieście siedemdziesiąt, trzysta. Wcisnął gaz w podłogę, licząc, że uda się jeszcze wykrzesać z dziada parę kilometrów więcej. W końcu on ma ferrari, a ściga go gość na... właśnie, na czym? Na czterośladowym rowerku z motorkiem, no bez jaj.

Trzysta trzydzieści. I po chwili trzysta trzydzieści pięć, już z wielkim trudem. Dwanaście cylindrów waliło z taką mocą, jakby chciały zabawić się w mechanicznego Obcego i wyskoczyć przez maskę na wolność. Karol skupił się, żeby tył nie uciekł i żeby nie wyrznąć w jakąś samotną skałę, której nikt nie powiedział, że archipelag już się skończył. Mikrosekundowe spojrzenie w lusterko potwierdziło, że quad zostaje z tyłu. I to porządnie. Jest dobrze.

Pod nimi coś groźnie zatrzeszczało.

- Łód cienki blisko morza - powiedziała Lisa - Nie jedziemy dalej.



Doskonale, pomyślał Karol. Z tyłu morderca z karabinem maszynowym, z przodu wody Bałtyku, a ja zapierdalałam po kruchym, na dodatek najeżonym skałami lodzie, z prędkością prawie trzystu pięćdziesięciu na godzinę. Po prostu doskonale. I na dodatek mam halucynacje, dodał.

Albowiem z mroku i śniegu wynurzało się miasto. Bez żadnej przesady miasto. Szeroka na kilkaset metrów ściana domów, a właściwie solidnych kamienic, okien piętrzących się do wysokości ośmiu pięter, jasnych światła, w jednym z okien widział nawet patrzącego w jego kierunku mężczyznę. W porównaniu ze ścianą widmowego, wyrastającego wprost z lodu miasta ich samochodzik wydawał się maleńki jak matchbox, pchany rączką okrutnego dziecka ku zagładzie.

- Prom! To prom! - krzyknęła Lorentz, łapiąc go za rękę, i wtedy przez wycie wiatru i ryk silnika przebił się nagle sygnał syreny okrętowej. - Zrób coś!

Redukcją przeleciał przez biegi do dołu, mając nadzieję, że silnik to wytrzyma, ale w tych warunkach nie miało sensu wciskanie hamulca. Strzałka obrotomierza skoczyła na koniec czerwonego pola i tkwiła tam jak przyklejona. Na trójce Karol skręcił gwałtownie kierownicą i samochód obrócił się momentalnie o sto osiemdziesiąt stopni, siła odśrodkowa rzuciła nimfgwałtownie.

Mieli teraz prom za plecami. I choć koła - jeśli wierzyć wskaźnikom - ciągle pchały ich do przodu z prędkością stu kilometrów na godzinę, to oni sami sunęli ciągle do tyłu, w stronę kanału żeglugowego, ogromnego promu i lodowatych wód Bałtyku, które wyssa z nich życie w ciągu kilku minut, nawet jeśli jakimś cudem wydostaną się z tonącego samochodu.

Przyczepność, proszę tylko o odrobinę przyczepności. I to już ostatnia prośba dzisiaj, obiecuję.

I odrobina przyczepności została mu dana. Koła złapały zbrylony, zmieszany ze śniegiem lód i samochód ruszył do przodu.

Karol nie miał pojęcia, ile dzieliło ich od granicy lodu i morza, ale przysięgał później, że widział w lusterku stojącego za bulajem mężczyznę i był ten facet na tyle blisko, że rozpoznał w nim enerdowca. „Enerdowiec to enerdowiec, tak samo jak Polak to Polak. Mają coś takiego w sobie, że zawsze ich rozpoznają”, opowiadał później.

- W prawo! - krzyknęła Lisa.

Karol nie miał pojęcia dlaczego, ale posłuchał Szwedki. Skręcił w prawo, jadąc teraz w tym samym kierunku, w którym płynął prom, widział w lusterku, jak jego światła znikają w zamieci i ciemności.

Za to po lewej stronie pojawiło się nowe, mocne światło. Latarnia morska.

- To Huvudskar! - krzyknęła Lisa - Jedź szybko! Szybko! Spojrzał w lusterko. Reflektor quada znacznie nadrobił dystans przez ich bliskie spotkanie z pływającym hotelem. Na tyle, że jeździec zdecydował się znowu strzelać. Zaterkotało, zabłąkana kula wpadła przez dziurę po tylnej szybie i rozbiła lusterko wsteczne. Drobiniki szkła poleciały na kolana Karola i Zofii.

Przyspieszył, zostawiając reflektor trochę z tyłu, w chmurze śniegu, a może to było tylko wrażenie, bo w bocznych lusterkach zawsze wszystko wydaje się być dalej.

- Jak miniemy dom światła - powiedziała Lisa - wyłącz światło, wyłącz samochód, wszystko i w lewo. Kumasz?

Pokiwał głową, że tak. Znowu zbyt skupiony na utrzymaniu w ryzach tyłka swojego kombi, żeby się odezwać. Nie miał pojęcia, co Lisa planowała, ale to w końcu ona była stąd. Trzeba mieć jakieś zaufanie do autochtonów. Zwłaszcza w dziedzinie lokalnych knajp, dróg na skrót i szaleńczych pościgów po zamrożonym morzu.

Na wysokości latarni skręcił delikatnie i wyłączył silnik. Zgasły światła, samochód wpadł w poślizg, a oni sunęli w ciszy i ciemności, jakby pochłaniała ich czarna dziura. Karol dał sobie spokój z kontrowaniem i ferrari dryfowało po pokrytym śniegiem lodzie z delikatnym szumem. Nad ich głowami światło latarni przebijało się przez zasłonę śnieżnych płatków w regularnych odstępach.

Quad wyskoczył z zamieci, zanim się zatrzymali. Wyskoczył blisko, zbyt blisko zdaniem Karola, ale jeździec nie zauważył ich w ciemności i pomknął dalej. Szybko musiał się zorientować, że coś jest nie tak, bo zmniejszył obroty.

- Znajdzie nas - wyszeptwała Lorentz, w jej głosie pobrzmiwała histeria.

- Nie znajdzie - odpowiedziała szeptem Lisa. - Dom światła.

Dźwięk quada urwał się, tak samo jak gwałtownie zniknęła widoczna przez płatki śniegu poświata rzucana przez jego reflektor. I Karol zrozumiał, o co chodziło Lisie. Latarnia została ustawiona w miejscu zakrętu szlaku żeglugowego, żeby pomóc statkom nawigować przez archipelag. W dzień przy dobrej widoczności pewnie z oddali było widać, jak płynąca przez lód czarna woda skręca w stronę szwedzkiej stolicy. Za dnia każdy by się zorientował, że musi skręcić, jeśli nie chce skończyć w tej rzece. Ale w nocy? W zadymce?

Ostatni quad razem ze swoim jeźdźcem wpadł do Bałtyku. Spoczywaj w spokoju, pomyślał Karol i odetchnął z ulgą, sięgając do stacyjki. W tej samej chwili lód pod ferrari trzasnął tak głośno, jakby ktoś zdetonował kilka fajerwerków.

Jednocześnie otworzyli drzwi i wyskoczyli z samochodu. Karol zawył, uderzając się w kontuzjowane kolano. Szybko wstał i spojrzał na ukochane auto. Z otwartymi drzwiami i

rozbitą z tyłu szybą wyglądało dość smętnie, jakby chciało powiedzieć: „Nie dbałeś o mnie, Karolu. Ja jestem kolekcjonerski egzemplarz, a ty mną tu pomiatasz, jak gdybym był jakąś skodą”.

- Tylko spokojnie - powiedział. - Wsiądę i pojedę wolno w stronę wyspy, w stronę latarni. Przy brzegu lód jest mocniejszy, wszystko będzie w porządku.

Ostatnie jego słowa utonęły w głośnych trzaskach. Przy kołach pojawiły się pajęczyny pęknięć.

- To jeszcze nic takiego, od pęknięcia do przerębla daleka droga. - Podszedł do samochodu, zamknął wszystkie drzwi, oprócz tych od strony kierowcy. - Najważniejsze, żeby był w ruchu, najgorsze jest takie stanie. Idźcie w stronę wyspy, tam się spotkamy, okej?

- Karol... - Zofia położyła mu rękę na ramieniu.

- No wiem - zachnął się, przeczesując dłońmi mokre od śniegu włosy. - Przecież oczywiście, że wiem.

Nachylił się i włączył reflektory, po czym zamknął energicznie drzwi kierowcy, trzaśnięcie zlało się z kakofonią trzaskającego lodu.

- Żegnaj, kupo blachy i plastiku. Niechaj pamięć o tobie przypomina mi, żeby kochać tylko osoby z krwi i kości.

Poczuł, jak Zosia delikatnie ściska go za rękę, i odwzajemnił ten uścisk.

- W najbliższym możliwym momencie zawróć - pożegnała się z nimi domina.

Trzasnęło jeszcze raz, dość potężnie, lód pod gorącym, ciężkim silnikiem pękł i ferrari zsunęło się dostojnie, jak po rampie ciężarówki przed ważnym wyścigiem, w wody Bałtyku, w towarzystwie bulgotu uciekającego z wnętrza powietrza. Reflektory świeciły jeszcze przez chwilę, nadając scenie szlachetnej, fantastycznej tajemniczości rodem z książek Julesa Verne'a.

Chwila domagała się kontemplacji, zadumy i przemówień, ale było tak zimno, że bez słowa zaczęli iść w stronę nieodległej latarni, żeby tam znaleźć schronienie. Po kilku krokach Gmitruk zatrzymał się gwałtownie.

- Słyszeliście? - zapytał.

Odwrócił się na pięcie i poszedł w kierunku, gdzie ostatni raz widzieli światło ścigającego ich quada.

Jeździec nie utonął. Udało mu się dopłynąć do poszarpanej, pokrytej zwałem kry krawędzi lodu, wydostać na powierzchnię i pokonać kilkadziesiąt metrów w kierunku latarni, zanim zabiło go zimno. A to wszystko w pełnym motocyklowym rynsztunku, z kaskiem włącznie.

Gmitruk pochylił się nad mężczyzną i podniósł przyłbicę, przyświecając sobie telefonem komórkowym. Pozostali też się nachylili, jakby spodziewali się ujrzeć kogoś z pierwszych stron gazet. Tymczasem w kasku tkwiła zakazana gęba ciemnego bruneta około trzydziestki z kilkudniowym zarostem na wydatnych kościach policzkowych.

- To on? - spytał Gmitruk Zofię.

Lorentz przecząco pokręciła głową. Szczękała zębami z zimna.

Dla formalności major Anatol Gmitruk pochylił się, żeby sprawdzić tętno ofiary. Potrzyzymał chwilę palce na jego szyi i cofnął rękę. Trząśnięcie z zimna jak reszta, ale coś wyraźnie nie dawało mu spokoju.

- Jeszcze chwila - powiedział i rozpiął kurtkę motocyklisty. Pozostali spojrzeli po sobie ze zdziwieniem, ale Anatol nie poprzestał na kurtce. Zdjął napastnikowi kask, ściągnął kamizelkę kuloodporną, polar i czarną termiczną koszulkę. Nie minęła minuta, a przed nimi leżał goły facet. Anatol przewrócił go na brzuch i najwidoczniej nie znalazł tego, czego szukał, ponieważ zdjął z motocyklisty także buty, spodnie i kalesony.

- Zwariowałaś? - zapytał Karol.

- Moment. Muszę coś sprawdzić, głupie przecucie. Spójrzcie.

Napastnik miał na łydce niewielki tatuaż, składający się z nieczytelnych symboli, liter przypominających pismo gotyckie. Lorentz zmusiła się, żeby spróbować rozczytać napis.

- Semper - przeczytała.

Gmitruk bezceremonialnie przekręcił trupa, żeby mogła spojrzeć na ten sam napis do góry nogami. Dzięki graficznemu trikowi te same symbole ułożyły się w inne słowo.

- Fidelis - powiedziała.

- Semper fidelis, zawsze wierni, zawołanie marines. Macie teraz, jajogłowi, nową zagadkę do rozwiązania: co jest w was takiego ważnego, że amerykańska armia wysłała do Szwecji swoich komandosów, żeby nas sprzątnęli.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

### ZOO

#### 1

Kapitan Clifton Patridge został wyrwany w środku nocy ze swojego łóżka wkwaterze sześćdziesiątej szóstej Brygady Wywiadu Wojskowego us Army w Wiesbaden i otrzymał z Waszyngtonu dwie wiadomości: dobrą i złą.

Dobra była taka, że jego pomoc Anatolowi i spółce w New Rochelle nie została zauważona. Inaczej wyrwaliby go z łóżka, żeby skuć i pierwszym transportem zawieźć do Stanów na przesłuchania. Tymczasem oni wyrwali go, aby udzielić ściśle tajnych informacji i

prosić o ratowanie urzędniczych tyłków. Norma.

Zła wiadomość była taka, że władcy jego ojczyzny oszaleli do cna. Rację miał mądry człowiek, który powiedział, że władza absolutna deprawuje absolutnie. Władcy Stanów Zjednoczonych uwierzyli, że są bezkarnymi panami wszechświata, i tak się zachowywali. Jeszcze trzy dni temu wierzył, że nie mogą zrobić nic gorszego od wysłania najemników, żeby likwidować cywili z sojusznicznych krajów. Mylił się.

Zaraz potem obrazili się bowiem na najemników i wysłali komandosów, żeby w kraju co prawda zaprzyjaźnionym, ale neutralnym i niebędącym członkiem NATO, zrobić rozpierduchę niczym w jakimś państewku Trzeciego Świata, w którym walutę zastępują naboje do kałasznikowa.

Oczywiście wszystko poszło źle. Bardzo źle.

Dlatego kapitan Clifton Patridge siedział teraz jako jedyny pasażer w wojskowej cессnie i leciał z Wiesbaden do szwedzkiej bazy lotniczej

Malmen w nadziei, że nie tylko uda się zatuszować sprawę przed wybuchem skandalu międzynarodowego, ale też skłonić Szwedów, żeby pomogli im ująć „grupę niebezpiecznych terrorystów, pilnie poszukiwanych przez Sojusz Północnoatlantycki”.

Nie powinno to być trudne. Na tym popieprzonym krwiożerczym kontynencie wszyscy mieli nie tyle szafy, co ogromne garderoby pełne trupów, a Szwedzi chyba nawet bardziej niż Niemcy bali się grzebania w brudnych sekretach drugiej wojny światowej.

Kapitan Clifton Patridge pomyślał, że po wydarzeniach w New Rochelle sumienie ma czyste i że nie ma mowy, żeby zrobił cokolwiek więcej dla Anatola Gmitruka, bez względu na to, jak wysoko go ceni i jak bardzo jest mu Polaka żal.

W obecnej sytuacji ani on, ani nikt inny nie może pomóc uciekinierom. Cała czwórka to chodzące zwłoki, które przez przypadek przedłużyły sobie o kilka godzin termin przydatności.

2

Wiedzieli, że nie wolno im zatrzymać się w żadnym miejscu, które można by połączyć z Lisą, tak jak zdarzyło się to w wypadku Stena Borga. Żadnej rodziny, żadnych przyjaciół, żadnego używania kart kredytowych, żadnego meldowania się w hotelach i wynajmowania samochodów. Jak tylko dostali się na stały ląd, wsiedli w autobus, który zawiózł ich do Norrkóping, brzydkiego miasta przemysłowego na południe od stolicy Szwecji, zwanego swojego czasu „szwedzkim Manchesterem” ze względu na przemysł włókienniczy.

Tam w pierwszej chwili chcieli pójść gdzieś na kawę, ale uznali, że nie wiadomo, czy stać ich na kawiarnię. Usiedli w poczekalni dworca autobusowego i powyciągali z kieszeni i

portfeli całą gotówkę. Korony, złotówki, euro, dolary. Uzbierali równowartość kilkuset dolarów w różnych walutach, wymienili wszystko na korony - wyszło prawie trzy tysiące - i zastanawiali się, co dalej.

Na rozwiązanie nie wpadła Lisa, ciągle trochę nieobecna po tym, co spotkało Borga, lecz Anatol. Jak się okazało, zapalony turysta.

- Nazywasz turystyką torturowanie biednych Arabów w jaskiniach w Afganistanie? - kpił Karol, kiedy wszyscy stali przy budce z kebabem i pili kawę z jednorazowych kubków. Wybrali to miejsce, bo wydawało się najtańsze z wokółdworcowych lokali. Mimo to kawa była z ekspresu i zaskakująco smaczna.

- Nazywam turystyką jeżdżenie z namiotem i śpiworem po Europie. Żadne z was, bogaczy, czegoś takiego nie doświadczyło, to jasne. Ale może słyszeliście, że to popularna wśród biedoty letnia rozrywka.

- Mamy spać w namiocie w środku grudnia? - Gdyby Lorentz podniosła brwi wyżej, to spadłyby jej na plecy. - Przy minus dwudziestu stopniach?

- W drewnianym namiocie - odparł spokojnie Gmitruk.

- Stugor - odezwała się Lisa.

- Tak jest. Na prawie wszystkich szwedzkich kempingach można wynająć stugi właśnie, czyli drewniane chatki. W środku jest kilka prycz, piecyk z zapasem drewna, skromnie wyposażona kuchnia. A najlepsze jest to, że wiele z nich jest samoobsługowych, czyli bezmeldunkowych, zwłaszcza o tej porze roku. Klucz jest w drzwiach, można się przespać i ugotować sobie obiad, wyjeżdżając, trzeba tylko zostawić porządek i trochę koron w puszcze. Właściciel wpada raz na tydzień albo dwa, żeby przetrzeć parapety, dołożyć drewna i zgarnąć kasę.

- Drewniane chaty z kozą i pryczami? - Lorentz ciągle nie była przekonana.

- Anonimowe. To raz. Dach nad głową i ciepło. To dwa. Dla ludzi bez kasy. To trzy. Musimy kupić tylko parę komórkowych prepaidów z internetem, cztery śpiwory, trochę konserw i zapas potatismos.

- Czego?

- Puree ziemniaczanego w proszku. Jest pyszne, w studenckich latach przejechałem na tym i keczupie trzy tygodnie w Norwegii.

- Dobrze - wtrącił Karol. - Zasyjemy się w chacie i co dalej? Spędzimy tam resztę życia, kryjąc się przed zawodowymi mordercami i amerykańskimi siłami specjalnymi plus kto tam jeszcze dołączy do chcącej nas wykończyć międzynarodówki miłośników sztuki?

- Przede wszystkim będziemy mieli czas, żeby pomyśleć - spokojnie odparł Gmitruk. -

Zamówię dla nas lewe papiery z Polski, żebyśmy mogli wrócić do kraju. Tam opowiemy, co się stało, i mimo wszystko będziemy bezpieczniejsi.

Przez chwilę pili kawę w milczeniu.

- Jesteś tego pewien? - zapytał Karol, wyrzucając styropianowy kubek do kosza.

- Czy czego jestem pewien?

- Że w Polsce będziemy bezpieczniejsi? Może z jakichś powodów jesteśmy zagrożeniem dla „Drogiego Wielkiego Sojusznika” i dla NATO? I zostaliśmy oficjalnie przeznaczeni do odstrzelenia? A nasz minister obrony, jak go o tym poinformowano, zasalutował i powiedział: „Yessir”.

Na to major Anatol Gmitruk nie miał dobrej odpowiedzi.

3

Na wielkich kempingach można znaleźć stugi, które wyglądają jak letniskowe pałace, dwukondygnacyjne drewniane chaty z trzema sypialniami, kominkiem, zmywarką i wanną z hydromasażem. Wielkie szwedzkie kempingi działają jednak jak hotele. Uśmiechnięta blondynka komunikująca się w czterech językach, paszport, meldunek, rezerwacja, blokada środków na karcie kredytowej. Serdecznie witamy naszych drogich gości i wszystkich, którzy chcą ich nafaszerować ołowiem. Oto nasze współrzędne GPS, mapkę dojazdu znajdują państwo w folderze.

Dlatego idąc skrajem drogi w Kolmarden, tęsknym wzrokiem odprowadzali te luksusowe przybytki, stojące się nad zatoką Braviken. Ich cel znajdował się na skraju miasteczka i zdecydowanie nie nad morzem. Informacja, jaką Lisa znalazła w internecie, była tak lakoniczna, że to miejsce, zwane Alghuset, czyli „Dom łosia”, mogło w ogóle nie istnieć.

Ale istniało: kilka drewnianych wiat w rzadkim lesie, tonących w mroku, ponieważ samotna latarnia przy bramie dawała tyle światła co wyświetlacz telefonu komórkowego. Co było - jak się za chwilę okazało - sygnałem, że nie mają co liczyć na prąd. Ani na bieżącą wodę, ani na toaletę. Na posesji znajdowały się jednak ręczna pompa i wygodka. Na drzwiach wygodki przybite były łopaty łosia, co przekornie tłumaczyło nazwę tego kurortu. Nie wyglądało to na miejsce, gdzie zatrzymują się szwedzcy lub holenderscy turyści. Raczej na takie, gdzie koczują po dwóch na jednej pryczy robotnicy sezonowi z Polski, a Rosjanie przechowują słowiańskie dziewice, sprowadzone specjalnie z głębi tundry dla znudzonych szwedzkich mężów.

- Nie wiedziałam, że w Szwecji są takie miejsca - wyszeptała Lorentz.

Nikt jej nie odpowiedział. Wszyscy chcieli wejść do środka, usiąść, rozgościć się, ogrzać, puścić wrzynające się w palce siatki z puree ziemniaczanym, kiełbaskami i keczupem.

W tej kwestii tęskniący widocznie za młodzieńczymi latami Anatol był nieugięty, i słusznie. I tak po zakupie sprzętu biwakowego ledwo starczyło im pieniędzy.

Drzwi były otwarte, z drugiej strony w zamku tkwił klucz, a na stole leżała instrukcja obsługi i puszka na korony. I nic więcej. Trzy piętrowe łóżka wyglądały jak z gułagu, kuchenka składała się z palnika nakręconego na butlę gazową, wyposażenie kuchni stanowiło kilka talerzy i widelców, garnek oraz patelnia. Najgorszy jednak był mróz. W studzę było niewiarygodnie lodowato, gorzej niż na zewnątrz, a ustawiona pod ścianą koza wielkości taboretu wyglądała na taką, co nie ogrzeje nawet wnętrza szafy

Wzrok Lisy, Zofii i Karola spoczął na Anatolu. Jeśli wierzyć teoriom socjologicznym, ludzie przypisują sobie w każdej grupie role do odegrania. Majorowi Gmitrukowi przypisano rolę harcerza.

Godzinę później nie było wcale bardziej komfortowo, ale na pewno cieplej i przyjemnie po domowemu. Koza szybko rozgrzała maleńkie pomieszczenie, kolorowe śpiwory rzucone na szare prycze dodały mu barw, a szykowana przez Karola kolacja z puree z prażoną cebulką i smażonych kielbasek wypełniła chatkę smakowitymi zapachami.

To znaczy były to zapachy najtańszego żarcia z dyskontu, składającego się z tłuszczy nasyconych i nieznanymi chińskimi chemikaliów, ale im pachniało jak polędwica wołowa.

Anatol rozmawiał szeptem przez telefon, Lisa i Zofia siedziały przy stole i piły fiński browar Lapin Kulta o zawartości trzy i pół procent alkoholu. Mocniejszych trunków w zwykłych sklepach nie sprzedawali.

- Musimy wytrzymać trzy dni - powiedział Anatol. - Wtedy przyjedzie kurier z papierami dla nas.

Karol doprawiał puree solą, którą świsnęli z McDonalda.

- Nie boisz się - zapytał - że nasi grają w jednej drużynie z sojusznikiem i tylko my o tym nie wiemy?

- Na tym etapie musimy komuś zaufać. - Anatol wzruszył ramionami i otworzył butelkę piwa.

- I tym kimś ma być rząd Rzeczypospolitej? - odparł Karol z kpiną i przez chwilę wyglądał, jakby chciał kontynuować w tym tonie, ale dał spokój. - Szykujcie zastawę, wieszczę będziemy.

Pierwszy toast wzniesli za Stena Borga. Lisie łzy stanęły w oczach, ale zaraz się opanowała.

- Dziękuję - powiedziała. - Ale jego pamięć chce coś innego niż tosta.

Reszta spojrzała na nią pytająco.



- Hrabia. Kto to jest hrabia?

Lorentz przełknęła kawałek kielbaski, zanim odpowiedziała.

- Fałszywy hrabia. Za to prawdziwy dziwak, szaleniec i odmieniec. Niedoszły malarz i niedoszły polityk. Ale z głową do interesów. Anioł stróż malarzy i jednocześnie ich najgorsze przekleństwo. Najwybitniejszy i najbardziej pechowy kolekcjoner w dziejach Polski. A jak się teraz okazuje, także w dziejach świata.

Przerwała, żeby wrzucić w siebie trochę jedzenia. Żuła chemiczną kielbaskę, wszyscy czekali na jej następne słowo. A ona czuła, jak jej organizm się wyłącza, dopominając się o chwilę regeneracji po intensywnych dniach i nieprzespanych nocach. Wypluła trzymany w ustach kęs, nie miała siły, żeby przeżuć go do końca i połknąć.

- Jutro - wymamrotała i powlokła się w stronę swojej pryczy. Ostatnią jej myślą było, że to chyba pierwszy wieczór od podstawówki, kiedy idzie spać bez umycia zębów.

4

Ranek nazajutrz zaczęli od kłótni, kto ma wyjść ze śpiwora i rozpalić kożę. Lisa i Zofia zgodnie z najlepszymi tradycjami feminizmu oznajmiły, że nie ma mowy, ponieważ są one delikatnymi kwiatuśkami, które musi chronić owłosiona męska łapa, uzbrojona w zapalki i szczapę drewna. Karol odpowiedział, że on pierdzieli taki feminizm, że wczoraj on naszykował kolację, bo wszyscy są równi, a dziś musi rozpalać w piecu tylko dlatego, że ma członka. Anatol był ich ostatnią nadzieją, dopóki nie wymamrotał spod naciągniętego na czubek głowy śpiwora, że stopień wojskowy nie oznacza, że będą się nim wyręczać przy każdej brudnej robocie, i że on się wczoraj napracował.

- Może najmłody skoczy? - zaproponowała Lisa.

- Odmawiam stanowczo - skwitowała Lorentz.

W końcu zagrali w marynarza. Karol przegrał i wygrzebał się z łóżka przy akompaniamencie własnych przekleństw oraz zagrzewających go do walki okrzyków reszty. Było jak na koloniach.

Na śniadanie zjedli ciepłe puree ziemniaczane, ozdobione pasztetem warzywnym z tubki i keczupem. Wyglądało strasznie, smakowało pysznie.

Doktor Zofia Lorentz sączyła kawę, doświadczając tragicznych dylematów przy każdym łyku. Z jednej strony ciepły płyn cudownie rozlewał się po jej wnętrzu, z drugiej ubywało go wtedy w kubku, który grzał jej dłonie. Zupełnie serio rozważała, jaki powinien być najlepszy w tej sytuacji sposób picia kawy, kiedy poczuła, że coś jest nie tak.

Trzy pary oczu wpatrywały się w nią w napięciu, kiedy zaczęła opowiadać.

5

Nie tak dawno temu, bo w połowie XIX wieku, było sobie dwóch braci. Dziedzice jednej z litewskich fortun, obydwaj, dobrze wykształceni w zagranicznych szkołach. Hipolit był bratem roztropnym, został doktorem prawa, a potem mądrym politykiem i publicystą oraz członkiem rosyjskiej Rady Państwa, zabiegającym w niej o polskie interesy. Ignacy był, cóż, niespokojnym duchem. Postanawia zostać artystą i pięć lat studiuje na akademii w Monachium tylko po to, żeby dowiedzieć się, że można posiadać smak i gust, ale niekoniecznie talent. A że nie interesuje go bycie pacykarzem, rzuca wszystko w diabły, jedzie do Rzymu i kupuje od papieża tytuł hrabiowski, zniesmaczając tym resztę rodziny.

Są lata siedemdziesiąte XIX wieku. Monet, Renoir, Manet i Sisley siedzą w ogrodzie w Argenteuil, malują światło, piją wino, cierpią biedę i tworzą obrazy, które zmieniają dzieje sztuki. A z Rzymu do Polski wraca trzydziestoletni Ignacy hrabia KorwinMilewski. Człowiek, który nie uznawał kompromisów, którego doznania interesowały tylko wtedy, jeśli strzałka manometru była cały czas na czerwonym polu. Wielu ludzi oczywiście marzy skrycie o życiu z taką intensywnością, ale on mógł sobie na to pozwolić. Dlaczego? Ponieważ okazało się, że Bóg przegapił go w czasie rozdawania roztropności, umiarkowania i malarskiego talentu, ale jak przyszło do zdolności biznesowych, to Ignacy dostał potrójną dawkę.

Kiedy się żenił, to z wdową po jednym z najbogatszych ziemian. Która notabene korespondencję ze swoim ślubnym, hrabią Ignacym, zatytułowała „Listy potwora”, a teczkę z dokumentami dotyczącymi jego zgonu opatrzyła tytułem „Śmierć potwora”. Co wiele mówi o charakterze Milewskiego.

Kiedy inwestował, to z przytupem i fartem - na kupionej przez niego ziemi pod Charkowem odkryto wkrótce po transakcji złoża soli, dzięki czemu Milewski zarobił okrągły milion rubli na odsprzedaży terenów. Dla porównania kupno Stańczyka Matejki, sztandarowego dzieła polskiego malarstwa, kosztowało go osiem tysięcy rubli.

Kiedy budował rezydencję w Wilnie, to na wzór Palazzo Bevilacqua z Werony.

Kiedy podróżował, to własnym jachtem „Litwa”, wydając potem w limitowanych nakładach dzienniki z rejsów po morzach i oceanach.

Kiedy uznał, że czas na rodową siedzibę, to kupił wyspę na Adriatyku, wówczas noszącą nazwę Santa Catarina, i wybudował tam za grube miliony wspaniały pałac razem z parkiem.

Kiedy chciał konkurować z bratem Hipolitem w polityce, to był publicystą o poglądach tak wyrazistych i namiętnych, że traktowano go albo jak wariata, albo jak zdrajcę. Ponieważ jego monarchistyczne i kosmopolityczne poglądy były zupełnie rozłączne z

jakąkolwiek formą patriotyzmu.

Kiedy romansował, to jego przygody kończyły się strzelaninami na wiedeńskim dworcu, o których plotkowała cała Europa.

Kiedy się pojawiał, to nikt nie mógł nie zauważyć tego potężnego grubasa ze świecą h/siną i długą brodą.

Był mitomanem, megalomanem, raptusem, cholerykiem i wybitnym wariatem, którego dzisiaj pewnie by ubezwłasnowolnili, zamknęli i nafaszerowali lekami. Ale kiedy pisał w podsumowaniu swojego życia: „miałem też drobne zasługi, jak sformowanie najlepszej w Polsce kolekcji malarzów polskich”, to nie kłamał. Właściwie było to jedyne zdanie, w którym mówił prawdę.

Na początku swojej kolekcjonerskiej drogi ograniczył się do tych Polaków, którzy studiowali w Monachium. Chełmoński, Matejko, Gierzyński, Brandt, wiele nazwisk, wielu naprawdę wielkich malarzy, którzy moim zdaniem byli najlepszym, co się przytrafiło polskiej sztuce w całych jej dziejach, a których prace nasz wspólny przyjaciel Karol nazywa „hitlerami”.

Nie, dziękuję, nie chcę słuchać twojej ciętej riposty. Lepiej zrób kawy i dorzuc do kozy.

A kto inny? Rozumiem, że dyżur przy kozie jest całodzienny.

Karol, nie interesuje mnie, że to niesprawiedliwe, życie w ogóle jest niesprawiedliwe. Dziś masz ferrari, jutro śpisz w szałasie i dorzucasz do kozy.

Oczym to ja mówiłam?

Aha, polscy malarze z Monachium. Czy dobrze widzę, że tylko mnie to interesuje?

Nie, nie mogę przejść do rzeczy, bo nie będziecie mieli pojęcia, o czym mówię. To wszystko jest ważne.

Monachium, malarze, właśnie. Milewski nie był typem mecenasa, co to siedzi za biurkiem, a sekretarz w jego imieniu wysyła przelewy. On chciał być z artystami, wspierać ich dobrymi radami, bratać się, przyjaźnić, oddychać razem sztuką.

Koszmar, zgadza się. Ale słodki koszmar. W szaleństwie Milewskiego była bardzo szlachetna metoda. Wprost mówił, że przepłaca, żeby malarze nie musieli się oddawać malarstwu dla chleba, żeby mieli impuls i możliwości do tworzenia rzeczy wielkich. Kochali go i byli mu wdzięczni za królewskie honoraria i stały jednoosobowy rynek zbytu, malowali na jego zamówienie, ale go nienawidzili. Trochę dlatego, że był despotą, który na przykład potrafił wezwać malarza z Paryża na Litwę, żeby dokonał poprawek na jego życzenie, bo pęciny konia nie były wystarczająco dopracowane - tak przydarzyło się Chełmońskiemu. Ale

też nienawidzili go, ponieważ byli od niego zależni. Cały Milewski! Uwolnił artystów od „malarstwa dla chleba”, ale zniewolił swoją dobroczynnością i zamówieniami.

Iteraz przechodzę do rzeczy, czyli do punktu, gdzie Milewski mógł się przeciąć z impresjonistami, chlać z nimi absynt i zapisać się jako „hrabia od Katarzyny” w ich listach i dziennikach. Otóż ulubieńcem hrabiego był Aleksander Gierymski. Co zresztą świadczy o dobrym guście mecenasa. Gierymski był najbardziej oryginalnym z całej grupy monachijskiej, najbardziej poszukującym; powiedzmy to wprost: był z nich wszystkich najlepszym malarzem. Związany z Monachium, Rzymem i Warszawą, odkrywał impresjonizm w tym samym czasie co twórcy znad Sekwany, choć nie miał szansy zobaczyć ich eksperymentów w Paryżu. Swój obraz *W altanie* zaczął szkicować niedługo po tym, jak Monet namalował *Impresję - wschód słońca*. Była to scena ogrodowa pełna gier światła i cieni, która może się kojarzyć ze *Śniadaniem na trawie*, jakkolwiek użyta przez Gierymskiego technika...

Tak, wiem, że nie prowadzę zajęć z historii sztuki. Taki mam nudny styl widocznie i nic na to nie poradzę.

Gierymski. Do Paryża pojechał na zlecenie Milewskiego, żeby namalować słynną *Operę w nocy*, jeden ze swoich najlepszych obrazów. Na swój sposób antyimpresjonistyczny, operujący grą cieni i ciemności raczej niż grą światła. Mroczny, niepokojący, doskonały. Na pewno to jest moment, kiedy malarz i jego mecenas spędzili kilka lat w Paryżu. Wyobraźmy sobie tę sytuację. Szastający pieniędzmi hrabia i najzdolniejszy polski malarz, poruszający się biegle we wszystkich stylach, na dodatek nie zrównoważony psychicznie jak oni wszyscy. I temperamentny, i jeszcze cierpiący na ostrą nerwicę, zmarł zresztą w szpitalu psychiatrycznym w wieku zaledwie pięćdziesięciu lat. Musieli wiele przebywać w swoim towarzystwie. Najlepszy dowód, że Monet i Pissarro zaczęli malować swoje słynne nokturny dopiero po nocnych obrazach Gierymskiego.

Był przełom lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XIX wieku, wszyscy oni byli w rozkwicie sił twórczych, dojrzałym świadomości swojego warsztatu. Manet i Degas mieli pod sześćdziesiąt lat, Renoir i Monet świętowali pięćdziesiątkę, Gierymski był od nich dziesięć lat młodszy. W takim wieku co wyznaczający właśnie nowe kierunki Gauguin i van Gogh, który właśnie przeniósł się z Holandii do Paryża. Milewski miał czterdzieści pięć lat.

W rzeczy samej, spólasy z jednej szpuli, nie ujęłabym tego lepiej. Dziękuję pani, pani Tolgfors.

Czy to prawdopodobne, że Milewski kupił coś od Francuzów? Bardzo prawdopodobne. Ale pamiętajcie, że to był Ignacy hrabia KorwinMilewski, pan na Świętej

Katarzynie. Oczywiście z czystej uprzejmości, dla kaprysu mógł kupić jakiś obraz, który mu zaproponowali. Na przykład od Renoira wizerunek dawnej kochanki, o której nikt nie powinien się dowiedzieć. Może od Moneta jakiś dziwny, czarny obraz nocnej lokomotywy, którego nikt nie chciał. Ale czy nasz hrabia zadowoliliby się takimi wyciągniętymi z szafy obrazami? Skądże. Miał smak i gust, doceniłby przecież impresjonistów. Ale zażądałby wzajemności, docenienia jego samego w sposób artystyczny.

Ciepło, ale nie gorąco, drogi majorze. Owszem, Milewski był bufonem, ale zażądanie własnego portretu byłoby szczytem bezguścia, nigdy by tego nie zrobił - mimo że sam Matejko proponował, że go namaluje. A mówię, że ciepło, bo chodzi o portrety.

Pamiętacie na pewno słynny autoportret Matejki, zresztą jeden z jego najlepszych obrazów. Duże płótno, ponad półtora metra na metr, czyli postać mistrza jest oddana w naturalnych rozmiarach. Matejko siedzi niedbale w fotelu w czarnym surducie, obok niego na jakiejś skrzynce złożona jest paleta i kilka pędzli. Ten obraz namalował Matejko na początku lat dziewięćdziesiątych specjalnie na zamówienie Milewskiego, dla którego autoportrety malarzy były najważniejszym składnikiem kolekcji. Płacił hojnie, ale obrazy musiały spełniać kilka warunków: ten sam format, upozowane na wprost, postać naturalnej wielkości, na stojąco i z paletą w ręce.

Dziękuję, Liso, cieszę się, że na sali choć jedna osoba słucha. Matejko był już wówczas mistrzem, przyjął zlecenie Milewskiego, ale uznał, że artysta nie może być niewolnikiem i musi mieć trochę swobody. Dlatego, owszem, przedstawił siebie z paletą w naturalnych rozmiarach, ale wprowadził pewne zmiany. Warto wspomnieć, że Milewski się nie obraził, a wręcz przeciwnie - obok Stańczyka i Modlących się Żydów Gierymskiego - autoportret Matejki uważał za ozdobę swojej kolekcji.

O czym to ja?

Aha, autoportrety. Z mojej wiedzy wynika, że miał ich około dwudziestu, ale jak wspomniałam wcześniej i o czym będę mówiła za chwilę, pełen skład kolekcji i jej losy pozostają tajemnicą ze względu na charakter szalonego hrabiego. Na pewno był wśród nich Gierymski, widziałam reprodukcję, choć jest uważany za zaginiony. Na pewno Malczewski i Matejko, oba wiszą w Warszawie, zresztą obok de Laveaux i Axentowicza. Przepraszam cię, Karol, przestań mnie krytykować. Co z tego, że te nazwiska im nic nie mówią, staram się uzasadnić założoną tezę.

Jak to, mam po prostu ją wypowiedzieć? Bez uzasadnienia? Tak, wiem, że nie ma tu mojego promotora.

Dobrze, do puenty. Puenta jest taka, że w czasie tych kilku paryskich lat szalony

hrabia mógł skłonić grono paryskich malarzy, w którym się obracał razem z Gierymskim, żeby namalowali dla niego swoje autoportrety.

Tak, droga Liso, właśnie to chcę powiedzieć. Że może nie, jak to ujęłaś, „w pizdu”, ale gdzieś, nie wiadomo gdzie, jest zbiór płócien o wymiarach sto sześćdziesiąt na sto dziesięć centymetrów, na których sportretowali siebie twój Claude i twój PierreAuguste, i inni twoi ukochani, których lubisz wyciągać z muzeów przez komin. Znani także jako impresjoniści, znani także jako ojcowie współczesnego malarstwa i znani przede wszystkim jako warci dziesiątki milionów dolarów rekordziści rynku sztuki.

I przyznaję, że gdyby to była prawda i gdybyśmy to znaleźli, byłoby to największe wrażenie zrobione przez panów specjalistów od wrażeń od czasu, kiedy wyśmiano ich wystawę w 1874 roku. W gazetach wówczas pisano, że wstępny szkic tapety jest dziełem bardziej skończonym niż te impresje.

No, to jest bardzo dobre pytanie. Tylko skąd ja mam niby wiedzieć, gdzie to jest? Jeśli - podkreślam: jeśli - to istnieje i w ogóle gdziekolwiek jest.

6

To jest - powiedziała Lisa. - Widziałam zdjęcia bez koloru przed wojny, portret Claude Moneta przez Augustę Renoir. Claude stoi razem z paleta. Ale naukowcy powiedzieli, że to fałsz, bo nikt nigdy nie widział takiego portretu żywego.

Lorentz myślała przez chwilę.

- To by miało sens. Wszyscy dostali zlecenie na autoportrety i postanowili się zabawić, malując siebie nawzajem. To by nie był pierwszy raz, inny portret Moneta, namalowany przez Renoira, wisi w Musée d'Orsay.

- Ale sama wcześniej mówiłaś, że to niemożliwe, żeby takie obrazy nie wypłynęły - zauważył Gmitruk. - Że są za dużo warte, żeby ktoś je trzymał na strychu od stu lat.

- Zgadza się, tak mówiłam, ale wtedy nie przypuszczałam, że elementem równania jest Korwin. Wariat w równaniu każe się zastanowić jeszcze raz przede wszystkim dlatego, że żyje w wariackim świecie, przyciągając innych szaleńców jak magnes. I tak oto dochodzimy do drugiej części wykładu, czyli losów kolekcji hrabiego Milewskiego. Niestety, nie przetrwała ona w całości; gdyby przetrwała, to dziś mieściłaby się w specjalnie wybudowanym dla niej muzeum i stanowiła pomnik malarstwa w polskich zbiorach. A jeśli faktycznie były w niej różne smaczki, przywiezione z Paryża przez Korwina, to każdy przewodnik po Polsce zaczynałby się od wymienienia jednym tchem Malborka, Wieliczki i Korwinarium...

Dzwonek telefonu przerwał Zofii. Major błyskawicznie odebrał.

- Gmitruk.

To było jedyne słowo, jakie powiedział w czasie trwającej minutę rozmowy. Wysłuchał w skupieniu, co druga strona ma do powiedzenia, i rozłączył się.

- O dwudziestej muszę być na parkingu przy tropikarium, dwa kilometry stąd. Przez kuriera dostaniemy dokumenty i gotówkę, dzięki którym wrócimy do Polski.

- Tropikarium? To jakiś żart? - Lorentz wskazała za okno, które do połowy było zasłonięte przez śnieg na parapecie.

- Nie wiecie? - zdziwiła się Lisa. - Tu mamy najbardziej gites ogród zoo w Szwecja. Tigry są, gorille, niedźwiady i olifanty. Dwie wielkie.

- Co dwie wielkie?

- Dwie wielkie olifancie.

Dyskusja zoologiczna pań jeszcze się na dobre nie rozpoczęła, a już było wiadomo, że zmierza donikąd.

- Okej, nieważne - powiedział Karol. - Ważne, że za kilka godzin będziemy w taksówce na lotnisko. A teraz skończ o tym Milewskim.

7

Teraz niestety, to znaczy niestety dla naszego hrabiego, zaczyna się smutna część tej historii. Do końca XIX wieku wszystko wyglądało różowo. Szalony mecenas brata się z malarzami, finansując ich i gromadząc jednocześnie zbiór dzieł, które uważa za wartościowe. A że ma dobry gust, jego kolekcja znacznie wyprzedza epokę. To, co dziś byłoby najświętszą galerią polskiego, a może i światowego malarstwa, wtedy nie wzbudzało wielkich emocji. Nie znam szczegółów, ale swoją bajeczną kolekcję usiłował na przełomie XIX i XX wieku podarować mieszkańcom Krakowa lub Lwowa. Oferował obrazy, wybudowanie muzeum i pieniądze na jego utrzymanie, żądał tylko kawałka gruntu. I choć oferta wydawała się hojna, rajcowie obu miast go zignorowali. Dlaczego? Nie mam pojęcia. Może dlatego że od dwustu pięćdziesięciu lat nie było w Polsce władzy, która nie ma kultury i sztuki w najgłębszej pogardzie... Tak bez dygresji, oczywiście.

Milewski poczuł się odrzucony. Opowiadał, że zapomni o ludziach, zamknie się ze swoimi obrazami i będzie zażywał niczym niezmaconych, artystycznych rozkoszy. I tak też zrobił. Choć młody jak na dzisiejsze standardy, bo niespełna sześćdziesięcioletni, odseparował się od świata, być może miało to jakiś związek z chorobą psychiczną Gieryskiego i jego przedwczesną śmiercią. Mieszkał w kilku miejscach, kolekcja jeździła razem z nim i mimo że była coraz więcej warta, w miarę jak autorzy obecnych w niej prac stawali się klasykami, była też coraz mniej dostępna. Nikt już nie wiedział, co w niej tak

naprawdę jest, Milewski przestał się nią chwalić, a w końcu zaszył się na swojej wyspie.

Opuściło go też szczęście. Pierwsza wojna światowa znacznie uszczupliła jego majątek. Przepadło wszystko, co zostało na terytorium świeżo powstałego ZSRR. Depozyty w bankach straciły na wartości. Kres monarchii i początek państw narodowych pogrzebał wszystkie idee Milewskiego o świecie opartym na arystokracji. Nienawidząca żona procesowała się z nim bez końca, były kochanki szantażowały. Nagle stał się osaczonym, pozbawionym środków do życia starcem, dogorywającym na swojej ukochanej wyspie, która z azylu zamieniła się w więzienie.

Ciężkim ciosem był wylew, który powalił go w 1922 roku. Ścierwojady rzuciły się na sparaliżowanego starca, ograbiły z resztek majątku i wtedy Milewski, żeby się ratować, postanowił sprzedać kolekcję, tę samą, którą trzydzieści lat wcześniej chciał hojnie ofiarować narodowi. Mogła ona już wówczas, w latach dwudziestych, być najważniejszą świątynią sztuki na mapie niepodległej Polski. Niestety złamany i rozczarowany Milewski tym razem zanotował w liście, że nawet nie będzie negocjował ze Zbiorami Państwowymi, bo nie dość, że zaproponują liche pieniądze, to jeszcze będą go szantażować uczuciami patriotycznymi.

To nie była zwykła kolekcja. Był w niej zaklęty niespokojny duch epoki, awanturnicze życie właściciela i marzenia o potędze młodych, zdolnych malarzy. Ich przygody, wspólnie osiągnięta wielkość, awantury o obrazy, przyjaźnie, butelki wina, podróże po całej Europie w poszukiwaniu inspiracji, złość z powodu niepowodzeń i radość z sukcesów. Wspólne wzruszenia nad obrazami, na których jeszcze nie wysechł werniks, ale już wszyscy wiedzieli, że to arcydzieła.

Ostatnią próbą ratowania ukochanej kolekcji był zamiar sprzedania jej w całości, ale kiedy spelił na niczym, zbiór został rozprzedany przez samego Milewskiego i za pośrednictwem antykwariuszy. Część kolekcji obrazów udało się kupić warszawskiemu Muzeum Narodowemu, gdzie do dziś wiszą te, które nie zaginęły w czasie wojny. Reszta znajduje dziś się na całym świecie.

Hrabia umarł dwa lata później. Tego samego roku co Claude Monet.

8

Spierdalamy - powiedział spokojnie Gmitruk. Spojrzeli na niego zdziwieni.

- Wystarczyłoby podać adres, poradziłbym sobie. A oni przez minutę mi tłumaczyli, gdzie to jest, o jakie dokładnie miejsce chodzi, jak poznam kuriera, jakie dokumenty dostaniemy.

- To miło - zauważył Karol. - Ktoś się w końcu o nas troszczy.

- Nie. Ktoś chce nas namierzyć. Po tak długiej rozmowie wiedzą to z dokładnością do



pięciu metrów. Przykro mi, kochani, ale Rzeczpospolita Polska nie gra z nami w jednej drużynie. Pakujcie śpiwory i spadamy. Natychmiast.

Ton Gmitruka nie zostawiał miejsca na pytania. Lorentz spojrzała z niepokojem na srogą zimę za oknem i nawet przeszło jej przez głowę, czy nie byłoby lepiej dać się schwytać i zobaczyć co dalej, w końcu są w centrum cywilizowanego świata. Ale zaraz przypomniała sobie, że nie tak dawno obrzucili ich tutaj granatami.

Kilka minut później maszerowali pod górę przez śnieg, wchodząc na niewielkie, zdrzewione wzniesienie. Ostry wiatr w lesie był mniej dokuczliwy, ale i tak szczękali zębami. Ubrani byli na jazdę samochodem, kurtki przydawały się, kiedy trzeba było przebiec dystans z parkingu na stacji benzynowej do sklepiku, w którym czekały kawa i hot dogi. W żadnym wypadku nie byli przygotowani na dłuższe spacer, nie mówiąc o zimowym noclegu pod gołym niebem.

Stali na szczycie wzniesienia, kilkaset metrów od swojej stugi, kiedy przez odgłos wiatru przebił się najpierw delikatny, a potem ogłuszający łoskot śmigłowca. Helikopter szwedzkiej policji przeleciał im nad głowami, po czym zawisł nad stugą. Nie widzieli lin, które musiały zostać zrzuczone, jedynie czarne sylwetki policjantów, którzy zjechali po nich na dół.

- Tak jak mówiłem - pokiwał głową Gmitruk. - Rzeczpospolita nie jest już naszym sprzymierzeńcem. Ani żaden inny kraj należący do sojuszu. Staliśmy się zwierzyną łowną dla całego zachodniego świata. Spadamy. Szybko.

- Ale dokąd? - jęknęła Lorentz. - W las? Albo nas znajdą, albo umrzemy z zimna. To nie ma sensu.

- Mam pewien pomysł. Ruszajmy, rozgrzejemy się w marszu. Raz, raz.

Doktor Zofia Lorentz nigdy nie miała takiej świadomości własnego ciała, normalnie osiągalnej jedynie dla joginów po długich latach medytacji. Wiedziała, gdzie jest każdy mięsień. Czowała ścięgna, kości i chrząstki. Serio, zdawała sobie sprawę z istnienia każdej komórki swojego ciała, ponieważ każdej komórce było tak cholernie zimno, ponieważ każda dygotem i krzykiem dopominała się o uwagę, o ciepło i o ocalenie od niechybnej śmierci.

- Nie dam rady - powiedziała cicho do siebie, ale usłyszał ją idący obok Karol. Przytulił Zofię mocno i pomagał stawiać kolejne kroki.

- Spokojnie. Gmitruk to zawodowiec. Wie, co robi.

Wyczuła, że Karol nie wierzy we własne słowa, ona nie wierzyła tym bardziej. Pytanie, czy sam Gmitruk wierzył w swoje działania, czy oszukiwał siebie tak samo jak ich.

I wtedy doszli do wysokiego płotu z siatki.

- To ogrodzenie zoo - powiedział Anatol. - Pracowałem tu, jak byłem na studiach.

- Jako kto? - zainteresował się Karol.

- Nie pytaj. Nie byłem menedżerem w każdym razie. - Gmitruk ruszył wzdłuż płotu, a oni za nim. - Siedziałem tu kilka miesięcy, razem z narzeczoną. Ja miałem kwaterę na terenie ogrodu, a ona nocowała w namiocie w lesie. W Szwecji jest takie prawo, że wszędzie można biwakować na łonie przyrody, byle nie pod czyimiś oknami. Nie ma znaczenia, czy to teren państwowy, czy prywatny. No więc ona biwakowała w lesie, a ja codziennie się do niej wymykałem. Wiecie, jak to jest, człowiek młody, dnia bez siebie nie wytrzyma. - Ostatnia uwaga zabrzmiała gorzko. - Miałem do wyboru, albo dygać dookoła płotu, a ten teren to prawie dwa kilometry kwadratowe, największe zoo w Europie, albo znaleźć sposób. Gmitruk zatrzymał się i spojrzał na nich z szerokim uśmiechem.

- Niewiarygodne, ten sposób ciągle istnieje. Chwalmy Szweda na wysokościach, że nie ingeruje w naturę.

Po czym w trzech szybkich ruchach wdrapał się na pochyły pień potężnej, rozwidlonej sosny, przeszedł na gałąź sąsiedniej, rosnącej po drugiej stronie płotu, i zeskoczył na pokrytą śniegiem ziemię.

Lorentz ruszyła pierwsza, tuż przed zeskoczeniem w wyciągnięte ramiona Gmitruka zawahała się.

- Ale to nie jest żaden wybieg dla tygrysów?

- Szczerze? Nie mam pojęcia, nie było mnie tutaj od piętnastu lat. Lorentz pomyślała, że w brzuchu tygrysa przynajmniej jest ciepło, i skoczyła.

Major Anatol Gmitruk szedł jak po swoje i choć minęło piętnaście lat, świetnie orientował się w terenie. Z trudem za nim nadążali, kiedy szedł przez teren zoo, który w niczym nie przypominał innych znanych Lorentz ogrodów ze zwierzętami. Zamiast wybudowanych obok siebie wybiegów i stojących rzędem klatek była tu jedynie pusta przestrzeń z rzadka pocięta alejkami, co przypominało nie tyle park, co lasy miejskie w jednej z zachodnich metropolii, olbrzymi zielony teren odpowiednio zadbane, żeby mieszkańcy mogli wygodnie obcować z przyrodą.

Lorentz miała jedynie nadzieję, że idą terenem spacerowym między wybiegami dla zwierząt.

Straciła ją, kiedy ujrzała wiszący nad parkiem pusty wagonik kolejki linowej. Oznaczający, że normalnie ludzie jadą wagonikiem, podziwiając baraszkuje w dole „tigry i olifanty”. Baraszkuje w tych samych miejscach, gdzie oni teraz spacerowali.

- Mówiłeś, że to nie wybieg dla tygrysów! - wrzasnęła do Anatola, próbując

przekrzyczeć silny wiatr.

Złapała go za kurtkę i wskazała wymownie na wagonik kolejki.

- Nie chciałem was denerwować.

- Nie chciałeś nas denerwować? Tylko po prostu rzucić na pożarcie jakimś wygłodniałym w zimie bestiom? Czy my jesteśmy pierwsi chrześcijanie?

- Uspokój się, na zimę są wszystkie zamknięte. To tygrysy, a nie pantery śnieżne.

- Jasne. Chyba że przez ostatnie piętnaście lat wzbogacili się o pумы, pantery śnieżne i niedźwiedzie polarne. Ja wracam.

I faktycznie odwróciła się na pięcie, trzęsąc się z zimna tak, że z trudem udawało jej się zachować równowagę. Gmitruk chwycił ją mocno za ramię i zawrócił. Przewróciłaby się, gdyby nie jego uchwyt.

- Dokąd wracasz? Do lasu? Do morza? Czy do kogoś, kto cię rozgrzeje granatami zapalającymi? Idziemy.

- Ale gdzie my idziemy? - zapytała płaczliwie. Po chwilowym buncie nie zostało ani śladu.

- Tam gdzie twoje wygłodniałe bestie są zamknięte. To afrykańskie zwierzęta, musieli im zrobić tropikalne warunki.

Nie minęło pięć minut, kiedy doszli do wysokiego ogrodzenia i szeregu drewnianych bungalowów, które musiały być pomieszczeniami dla zwierząt. Spojrzeli po sobie, kiedy za jednymi z drzwi, przypominającymi wejście do stajni, coś gwałtownie się poruszyło, deski ściany zaskrzypiały.

- Na szczęście wszystko po staremu - powiedział do nich Gmitruk, bardzo z siebie zadowolony

Przeszli koło bungalowów i doszli do połączonej z nimi mniejszej szopy, wielkości wiejskiej obory. Boczne drzwi do pomieszczenia gospodarczego nie były zamknięte i po chwili stali obok siebie na niewielkiej tajemniczej przestrzeni, składającej się głównie z zapachów, dopóki Gmitruk nie znalazł włącznika i nie zapalił światła.

- Nigdy nas tu nie znajdą - powiedział zadowolony. - No i mamy zapewnione naturalne źródło ciepła, krzywda nam się nie stanie.

Musimy tylko pamiętać, żeby schować się na zewnątrz pomiędzy ósmą a dziesiątą rano.

- Dlaczego? - zapytała Lorentz, w głębi duszy nie wierząc, że to się dzieje naprawdę, to musi być sen.

- Wtedy wymieniają siano.

Ich nowy dom podzielony był na trzy części. Środkowa była częścią komunikacyjną, z jednej strony wychodziło się na zewnątrz, drzwiami, którymi oni dostali się do środka. Z drugiej zamknięte, dodatkowo osłonięte kratą drzwi prowadziły do klatek z zimującymi zwierzętami. Po jednej stronie korytarza piętrzyły się aż pod sufit bele świeżego siana. Po drugiej, cóż, mówiąc ogólnie, piętrzyło się siano już zużyte.

Major Anatol Gmitruk urządził im nowy dom w tygryskiej gnojówce.

9

Wasył Topilin znowu patrzył w smutne oczy Władimira Putina. Miał nocny dyżur, absolutnie nic do roboty, teoretycznie w każdej chwili mogli zadzwonić ze zleceniem jakiejś infiltracji, ale tak naprawdę tylko raz mu się to zdarzyło. Służby bezpieczeństwa były tak samo leniwe jak wszystkie publiczne służby świata, wbrew pozorom szpiedzy lubili skończyć pracę o siedemnastej i uwalić się z piwem przed telewizorem.

Mimo to chyba głównie po to, aby móc mówić, że FSB nigdy nie śpi, wszystkie departamenty miały swoje nocne dyżury. Wasył nudził się w swojej części korytarza, a kawałek dalej, w Bezpieczeństwie Wewnętrznym, nudziła się Julia. A jak się ludzie nudzą, to im głupie pomysły przychodzą do głowy.

Flirtowali sobie mailowo i esemesowo, na początku niewinnie i żartobliwie, ale im dalej w noc, tym bardziej pikantnie, i wszystko zmierzało do tego, że wcześniej czy później przetną się niby przypadkiem w pustej pracowniczej kuchni i rzucają na siebie jak zwierzęta. Nie byłoby w tym nic zdrożnego, gdyby Julia nie była mężatką, a jej mąż Wiktor wieloletnim może nie przyjacielem, ale bliskim znajomym Wasyła.

Toteż przed odpisaniem na zaczepnego esemesa dotyczącego tych mniej widocznych części stroju Julii Wasył spojrzął głęboko w smutne, jasne oczy Władimira Putina i powiedział: „Co ty byś zrobił na moim miejscu, Wołodia? No co?”.

I wtedy zadzwonił telefon. Numer nieznany. Wasył przełknął ślinę, przekonany, że to Julia postanowiła wprowadzić ich flirt na nowy etap, etap jęczenia przez telefon. Zawahał się, ale uznał, że bez przesady, rozmowa przez telefon to w końcu nie grzech.

Na wszelki wypadek położył jednak fotografię Putina twarzą do dołu.

- Tak?

- To ja. Musisz mi pomóc. I obiecuję, że tym razem naprawdę się odwdzięczę.

10

Lisa streściła im pokrótce swoją rozmowę z Wasylem, nie wymieniając oczywiście ani jego imienia, ani funkcji. Wiedzieli jedynie, że jest „jakimś Rosjaninem”.

- Będziemy mieli latewskie kwity - zakończyła.

- To ma sens - pokiwał głową Gmitruk. - Twój chłopak bez wątpienia siedzi na Łubiance, a FSB jest znana z tego, że korzysta z rosyjskich wpływów w byłych republikach, żeby posługiwać się lewymi dokumentami. Pribałtika jest najlepsza, bo wystarczy dowód osobisty, żeby poruszać się bez problemu po Unii. A z państw nadbałtyckich Łotwa jest najbardziej zrusyfikowana. Będziemy mieli dowody czy paszporty?

Lisa wzruszyła ramionami, sugerując, że darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby.

- I co teraz? - spytała Lorentz.

- Teraz muszę wam zrobić zdjęcia - wyciągnęła z kieszeni telefon - a potem czekamy. Jak dobrze pójdzie, dwa dni, nie dłużej.

Lorentz z przerażeniem rozejrzała się po ich nowym lokum. Dwa dni w gnojówce, nie do wiary.

11

Spróbowali jakoś się urządzić. Gmitruk udał się na polowanie, z którego wrócił co prawda bez połędwicy tygrysej, ale za to z kieszeniami pełnymi batoników Daim i paroma butelkami zamrożonej wody mineralnej.

- Obrobiłem automat na placu zabaw dla najmłodszych - przyznał się bez skruchy, rozdając im kolację.

Zjedli i wygrzebali sobie jamę w najdalszym kącie, tak że nawet gdyby ktoś zniecka pojawił się w tej oborze, to musiałby naprawdę porządnie szukać w sianie, żeby ich znaleźć. W jamie było miękko i przytulnie, a zapach tygrysięgo gówna szybko przestał im przeszkadzać.

Lisa z Anatolem uznali, że ciepło jest ważniejsze niż zachowywanie pozorów, spięli suwakami swoje śpiwory w jeden i siedzieli w nim razem.

Zofia z Karolem nie skomentowali, ale też nie odważyli się skopiować tego rozwiązania. Siedzieli oparci o siebie, ale każdy w swoim śpiworze. Wrócili do przerwanej rozmowy.

- Czy znamy losy wszystkich obrazów z kolekcji? Był jakiś katalog, spis? - zapytał Gmitruk.

- Nawet nie wiemy, ile ich było - Lorentz wróciła do roli pani profesor. - Raczej na pewno nie mniej niż dwieście, ale słyszałam też o dwustu pięćdziesięciu, trzystu obrazach. Milewski kupował je bezpośrednio od malarzy, trzymał w różnych rezydencjach. W Wilnie, w Wiedniu, w Geranionach, na Santa Catarinie. Mówiłam, że nawet przy okazji francuskich impresjonistów źródła pisane na temat tego, co malowali i komu sprzedawali, są skąpe. A w Polsce przecież wszystko poszło z dymem. Niemcy palili dokładnie archiwa, bo wiedzieli, że

w ten sposób niszczą pamięć narodu. Jest taka historia, jak nasi wrócili do zburzonej Warszawy w styczniu czterdziestego piątego, poszli do Biblioteki Krasieńskich, gdzie zostało ukryte archiwum akt dawnych. Otworzyli drzwi i odetchnęli, bo się wydawało, że dokumenty ocalały. Teczki leżały na stosach, książki na półkach. Tylko sięgnąć.

I wtedy powstał przeciąg i na ich oczach wszystko się rozpadło w popiół i zniknęło. Dorośli mężczyźni, którzy niejedno widzieli w czasie wojny, szlochali jak dzieci.

Przerwała, kiedy za ścianą coś stuknęło, a potem groźnie zamruczało. Niewiarygodne, ale tutaj naprawdę mieszkały tygrysy.

- Znamy najważniejszych nabywców kolekcji Milewskiego - powiedział Karol.

- Powiedziałabym, że znamy niektórych nabywców kolekcji Milewskiego. Głównie tych, którzy kupili obrazy po to, żeby się nimi chwalić, jak Muzeum Narodowe w Warszawie. Jeśli wtedy, w latach dwudziestych, jakiś tajemniczy bogacz kupił od Korwina kolekcję impresjonistów francuskich, to nie mamy szansy się o tym dowiedzieć. Jeśli taką kolekcję kupił od Korwina jakiś antykwariusz, a później odprzedał tajemniczemu kolekcjonerowi, to też nie mamy szansy się o tym dowiedzieć. Rozumiecie, o czym mówię?

Lisa i Anatol potwierdzili skinieniem głowy, Karol zamyślony bawił się słomką, wiążąc na niej różne węzły.

A Zofia zamilkła na chwilę, bo doznała dziwnego uczucia, że coś jej umknęło. Że jej wywód jest logiczny, że jedno wynika z drugiego i że jako nauczyciel akademicki ma prawo być z siebie zadowolona. Ale też było w tym coś z rutyny, powtarzanie sprawdzonych faktów, wypróbowanych schematów, poruszanie się w kółko tymi samymi torami. A przecież w tej sytuacji powinna szukać nowych, niesprawdzonych metod. Miała wrażenie, że w ostatniej wypowiedzi, mknąc po starych szynach, minęła zwrotnicę, która mogłaby ją zaprowadzić gdzie indziej. Ale co to było?

- Nie jestem taki pewien - odezwał się Karol.

- Czego nie jesteś pewien?

- Nie jestem pewien, że kolekcja sprzedana cichcem w latach dwudziestych zniknęłaby na wieki. To ścierna. Przede wszystkim dlatego że w przeciwieństwie do Młodego to nie są obrazy niesprzedawalne.

- Do czego zmierzasz? - zapytała.

- Rafaela trzeba sprzedawać w wielkiej tajemnicy i tylko na czarnym rynku. Nieznanej kolekcji impresjonistów nie trzeba. Wręcz przeciwnie. Ujawnienie jej nakręciłoby taką historię medialną na całym świecie, że każde z tych płócien stałoby się warte nawet nie dziesiątki, ale setki milionów dolarów. Nie ma żadnego sensu trzymać takiej kolekcji w

ukryciu.

- No, mów dalej.

- Dlatego istnieją następujące możliwości. Pierwsza: taka kolekcja nie istnieje.

- Najbardziej prawdopodobna - potwierdziła Lorentz.

Lisa i Gmitruk pokiwali głowami. Wyglądali jak łoża szyderców z niemego filmu.

- Druga: kolekcja jednak istnieje. Zmieniła właściciela gdzieś w latach 1922-1945. Ktoś kupił ją od Korwina. Bezpośrednio albo przez pośrednika. Potem ukradli ją Niemcy, potem Amerykanie lub Rosjanie. I teraz obrazy leżą w piwnicach muzealnych w Moskwie lub Petersburgu albo w Fort Knox jako najlepsza lokata kapitału. Lub wiszą w prywatnej kolekcji.

- Nie sądzę. - Lorentz pokręciła głową. - W prywatnej kolekcji zmieniłyby się trzy pokolenia i nie uwierzę, że nie znalazła się żadna uzależniona od hazardu czarna owca, chcąc spieniężyć swoją część spadku. Rosjanie faktycznie przechowywali u siebie różne skarby przez pięćdziesiąt lat, ale teraz pokazują nawet to, co ukradli. Czemu mieliby chować to, czego nikt nie szuka? Amerykanie to co innego. Po pierwsze, mają obsesję na punkcie tajemnicy. Po drugie, mogliby się bać przyznać, że wojna oznaczała dla nich coś innego niż niesienie bohaterskiej pomocy. I po trzecie, to by tłumaczyło, dlaczego im zależy, żeby nas posłać do piachu.

Tym razem Gmitruk się skrzywił.

- Bo co? Bo powiemy, że coś mają w rządowym sejfie, a oni się tego wyprą? Na całym świecie różni szaleńcy gadają o zawartości tajnych sejfów, Arce Przymierza i ufoludku ze strefy 51. Myślisz, że Amerykanie polują na tych wszystkich ludzi?

Argument był celny.

- Jest jeszcze inna możliwość. - Karol wyprostował środkowy palec. - Kolekcja została ukryta i do tej pory w tym ukryciu pozostaje. To mógł zrobić sam szalony Korwin. Tylko dlatego, że był szalony, nie chciał dawać sępom satysfakcji i zamurował to gdzieś na swojej wyspie.

- Albo w pałacu w Gieranionach i lud białoruski tym w piecach napalił, jak kołchoz zrobili. - Reszta spojrzała na Lorentz takim wzrokiem, że Zofia podniosła ręce przepraszająco. Może faktycznie nie była w najbardziej optymistycznym nastroju.

- To mógł ukryć jakiś antykwariusz przed wojną...

-...i kolekcja spłonęła w jakiejś warszawskiej piwnicy...

- Zofia! Możesz na chwilę wyłączyć tryb czarnowidztwa? Wzruszyła ramionami.

- I w końcu mógł na tym położyć łapę jeden z Niemców w czasie wojny, schować na lepsze czasy i tych lepszych czasów nie doczekać.

- A dlaczego miał się tym nie pochwalić w czasie wojny? Pamiętaj, że i Hans Frank, i Goering, i inni się z tym obnosili, wieszali obrazy na ścianach rezydencji, zostawiali masę śladów zarówno w oficjalnych dokumentach, jak i w listach oraz pamiętnikach.

Głupie pytanie. Musi być zmęczona, skoro je zadała. Znała odpowiedź, zanim postawiła kropkę, ale pomyślała, że wyjaśnienie Karola może być ważne dla Lisy i Gmitruka.

- Ale starych mistrzów! Nie impresjonistów, a już na pewno nie Gauguina i van Gogha. Może nie było to dla wierchuszki takie dziwactwo jak Picasso, Chagall czy Klee, ale nijak nie można takich obrazów podciągnąć pod realistyczne malarstwo, akademizm. Oficjalnie należały te dzieła do „sztuki zdegenerowanej” i żaden pozostający przy zdrowych zmysłach nazistowski kacyk nie chwaliłby się, że właśnie to trafia w jego gust. Zaraz by się pojawił Himmler ze swoją obsesją germańskiej surowej potęgi i szeptałby fihrerowi, jak to jakiś jego pretorianin zakochał się w żydowskich impresjach i ekspresjach.

- Naprawdę hitlerowców interesował tylko realizm? - dopytał Gmitruk.

- A gdzie tam. Niemcy wiedzieli, co dobre. Oficjalnie pogardzali wstrętną moderną, żeby się podlizać wodzowi, nieoficjalnie wyłuskiwali co lepszych impresjonistów ze zbiorów francuskich Żydów jak rodzynki z ciasta, pod pozorem akcji aryzyacyjnej. Tyle że się tym nie afiszowali.

- I którego z pretorianów podejrzewasz o grzeszne ciągoty do francuskiego malarstwa? - zapytała Lorentz, po raz kolejny znając odpowiedź.

- Jeśli mówimy o kolekcji znajdującej się w Polsce, to tylko jeden ptaszek mi tu ćwierka, wielki miłośnik i znawca sztuki.

- Ptaszek Frank.

- Tak jest.

Z taką teorią wracamy do punktu wyjścia, pomyślała Lorentz i poczuła zniechęcenie. Gubernator Frank położył łapę na Rafaelu i gdzieś go ukrył, nie wiadomo gdzie. Gubernator Frank położył łapę na iluzorycznej kolekcji francuskich impresjonistów i gdzieś ją ukrył, nie wiadomo gdzie. Wiedzą więcej, ale tak naprawdę znowu nie mają żadnych tropów, żadnego punktu zaczepienia. Albo mają i nie potrafią go dostrzec. Próbowała usystematyzować wszystko, ale w śpiworze, na otulającym, miękkim sianie, poczuła się sennie myśli zwalniały i kleiły się do siebie. Oczy same się zamykały.

- Jeśli dobrze rozumiem - powiedział wolno Gmitruk - sugerujesz, że oprócz Rafaela i spółki, co było zawsze wiadomo wszem wobec, Hans Frank zdobył też w jakiś sposób kolekcję płócien po Milewskim. Tak?

- Zgadza się.



- I że Rafaela do spółki z Francuzami traktował jako swój najcenniejszy skarb. I gdzieś ten skarb ukrył. Być może na przyszłość, jako kolekcję tylko dla swoich oczu. Być może jako ubezpieczenie, kartę przetargową w negocjacjach z Amerykanami, tak?

- To byłoby logiczne.

Gmitruk zadumał się, ale kiedy Lisa otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, dał jej znak ręką, żeby dała mu pomyśleć.

- Okej - powiedział w końcu. - To może być daleki strzał, ale coś mi przyszło do głowy. Pytajcie, jeśli będę mówił chaotycznie. Załóżmy na chwilę, że jesteśmy na tropie mitycznej, tajemniczej kolekcji rzeźnika Polski Hansa Franka. Którą to rzeźnik zebrał, łupiąc polskie muzea i prywatne kolekcje. W tej kolekcji jest Rafael, obrazy hrabiego i cholera wie co jeszcze. Tak czy owak, zamalowane dechy, zamalowane płótna, obrobione dłutem kawałki drewna i cały ten szajs, którym się cały syty i bogaty świat niezdrowo podnieca...

- Nie wiem, czy tak zdefiniowałabym ludzką potrzebę piękna, która urzeczywistnia się w chęci tworzenia i obcowania ze sztuką.

Gmitruk nie odpowiedział, machnął tylko ręką, że to nieważne.

- Załóżmy, że jesteśmy na tropie tego szajsu. I że ktoś, w przeciwieństwie do nas, uważa, że możemy go znaleźć. Załóżmy, że tym kimś jest rząd Stanów Zjednoczonych, który usiłuje nas na różne sposoby wyeliminować, używając do tego celu własnych służb, wynajętych cyngli, prywatnych firm wojskowych oraz sojuszników, z Polską na czele. Z tego musimy wysnuć wniosek, że częścią „skarbu gubernatora” jest coś, czego ujawnienie zaszkodziłoby Stanom Zjednoczonym. Sekret. Mroczny sekret, którego ujawnienie doprowadziłoby dziś do realnej szkody. Nie przejmowałiby się tym, że trzeba będzie dopisać akapit lub dwa w książkach do historii albo że w CNN opowiedzą o jakiejś nieudanej operacji wywiadowczej sprzed siedemdziesięciu lat. To musi być coś grubego. - Gmitruk mówił bardzo powoli, z namysłem, jakby z trudem wyławiał najważniejsze myśli z szalejącego w jego głowie huraganu różnych wersji, możliwości, hipotez i uzasadnień. - Zapomnijmy na chwilę o obrazach i skupmy się na sekrecie. Jeśli dziś jest on tak ważny, w 1945 roku musiał być arcyważny. Hans Frank zapewne musiał czuć się bardzo bezpiecznie, kiedy czekał na Amerykanów w swojej willi w Bawarii. Snuł już pewnie plany, jak pierwszą klasą płynię z nową tożsamością do Ameryki i tam zaczyna nowe życie, zaczynając urządzenie domu od powieszenia w przedpokoju Rafaela między Monetem i Renoirem. Tak?

Pokiwali głowami, a Lorentz pomyślała, że Gmitruk szybko nabył biegłości w rzucaniu nazwiskami. Jeszcze trochę i zrobią z niego intelektualistę.

- A jednak to nie on powiesił Rafaela, tylko jego powiesili, i to szybko.

- 16 października czterdziestego szóstego - wtrącił Karol. - Zapamiętałem, bo naszego papieża wybrali tego samego dnia.

Lorentz nie skomentowała. Ale łatwość, z jaką Karol potrafił połączyć w jednym zdaniu Malczewskiego z Hitlerem i Franka z Wojtyłą, była dla niej szokująca.

- Dlaczego go powiesili? Przecież musiał grać tą kartą w czasie przesłuchań, wiedział, że grozi mu stryczek. Najprostsze rozwiązanie byłoby takie, że położyli łapę na sekrecie i zlikwidowali świadka. Spokój. Ale gdyby tak było, to nie obchodziłoby ich teraz, czy my znajdziemy jakieś stare obrazy, czy nie. Dobrze kombinuję?

Potwierdzili, że tak. Opowieść wojskowego robiła się interesująca.

- Czyli my musimy przyjąć inną wersję wydarzeń. Amerykanie łapią Franka, Frank mówi: mam wasz straszliwy sekret, jeśli chcecie go odzyskać, to poproszę o lot do Argentyny, worek złota i butelkę szampana. Oni na to: blefujesz, Szwabie. Frank: chcecie, to sprawdźcie, zobaczcie sobie w tajemniczym miejscu, tu jest mapa, miejsce skarbu oznaczyłem krzyżykiem.

- Mam coś jeszcze - wtrącił Karol. - Na dowód, że nie blefuje, pokazuje im nieznaną obraz Renoira, który w ten sposób trafia do Ameryki, tam siedzi w drugim obiegu, trafia do Richmonda... rozumiecie?

Rozumieli. Ale chcieli, żeby Gmitruk mówił dalej. Na razie jego wojskowa interpretacja trzymała się kupy.

- Franka trzymają pod kluczem, a sami biorą mapę i szukają miejsca oznaczonego krzyżykiem. W przerośni oczywiście. Szukają, ale nie znajdują, uważają, że Frank kłamie, jak to cholerny Szwab, i wieszają go szybciotko, broń Boże nie wydając Polsce, żeby nie zaczął opowiadać Sowietom o amerykańskich sekretach. A potem na wszelki wypadek trzymają rękę na pulsie, nawet siedemdziesiąt lat po wojnie, czuwając, czy sekret się gdzieś nie ujawni, ewentualnie czy nie ujawnią się ludzie mogący go mimochodem odnaleźć, jak my na przykład. Sam nie wiem...

- To ma sens - odpowiedziała machinalnie Zofia i nagle poczuła ten silny dreszcz emocji, jaki jej towarzyszył w młodości, kiedy pod kołdrą czytała przygodowe historie Verne'a i Dumasa. Ku rozpaczce matki, która wciskała jej Polyanę i Anię z Zielonego Wzgórza. - Powiem więcej: jest dowód, że było tak, jak mówisz.

Spojrzała na Karola.

- Powiedz im, po kim masz imię - powiedziała.

- Myślałam, że po papieżu - wyłóżliwiła się Lisa. - Jak wszystkie Polacy.

Karol westchnął i powiedział:

- Po Karolu Estreicherze.

- Dokładnie - potwierdziła Lorentz. - Nasz pierwszy cynik rynku sztuki, który ignoruje dziedzictwo i uważa, że jego praca sprowadza się do wciskania jeleniom „hitlerów” narodowych, ma imię po najsłynniejszym obrońcy polskiego dziedzictwa w historii. Krótko: Estreicher był polskim historykiem, który w czasie okupacji przebywał w Londynie i całkowicie się poświęcił katalogowaniu polskich strat kulturalnych, a już po wojnie odzyskiwaniem tych strat. Tytan pracy; kiedy Amerykanie wylądowali w Europie, major Estreicher przywitał ich, trzymając w ręku spis strat, i powiedział: to gdzieś jest, jak wygracie, chcemy to z powrotem. Serio, inne narody dopiero się zastanawiały, jak te straty policzyć i co w ogóle robić, a ten człowiek miał wydrukowany katalog. Patrzył Amerykanom na ręce, szukał naszych zabytków po kopalniach i niemieckich skrytkach, nie lekcewał najmniejszej rzeczy. Jest takie jego słynne zdjęcie, miał wtedy czterdzieści lat, jak w mundurze brytyjskiego majora trzyma Damę z gronostajem na tle pociągu, którym Amerykanie wysłali do Polski pierwszą transzę odzyskanych dzieł. Dwadzieścia sześć wagonów. Historia Estreichera w ogóle jest barwna, ale nas interesuje pociąg. Związana jest z nim bowiem pewna afera.

- Amerykanie? - zapytał Gmitruk.

- Tak. Pociąg wyladowany bezcennymi skarbami jechał z Norymbergi do Krakowa i dla świeżej komunistycznej władzy to była niezręczna sytuacja. Ludzie stali wzdłuż trasy przejazdu, wiwatowali na cześć Amerykanów, rzucali kwiaty. Kierownikiem pociągu był Estreicher, dwunastoma amerykańskimi żołnierzami ochrony dowodził kapitan Everett Lesley, było też trochę dziennikarzy, trochę kobiet nazywanych w źródłach oględnie „paniami do towarzystwa”. Myślę, że była to dość wesoła gromadka. Pociąg wjechał do Polski na gapę, bo tylko Lesley miał wizę, ale kto by się wówczas przejmował kontrolą dokumentów.

- Bardzo wygodne dla wywiadu albo sił specjalnych - zauważył Gmitruk - Jak długo byli w Polsce?

- Pięć dni.

- Aż nadto, żeby się rozejrzeć i wszystko sprawdzić. Co to był za skandal?

- Znamy tylko wersję oficjalną. Ostatniego wieczoru był bankiet, Amerykanie popili, a jak doszli rankiem do siebie, zobaczyli ponure twarze milicjantów i wojskowych, ponieważ jeden z nich miał w nocy zastrzelić dwóch milicjantów. Zrobiło się nieprzyjemnie, nagle wizy stały się istotne, Polacy otoczyli kordonem pociąg razem z Amerykanami i zażądali wydania winnego strzelaniny. Albo sprawca, albo wszyscy zostają.

- I jak z tego wybrnęli?

- Wydali jednego, który poszedł siedzieć. Niejaki Timothy Beagley. Posiedział, ale nawet nie doczekał procesu. Amerykanie oficjalnymi kanałami podali, że to jednak inny żołnierz był winien awantury, już się przyznał i został aresztowany. Wyglądało to podejrzanie, ale Polacy łyknęli to i wypuścili Beagleya.

Gmitruk pokiwał głową.

- Dobra wywiadowcza robota, nie wierzę, że to było improwizowane. Ciekawe, na czym go przyłapali, że musiał zlikwidować ogon. Kiedy to wszystko się działo?

- Na przełomie kwietnia i maja 1946. W Święto Pracy, dlatego wybuchł taki skandal.

Karol aż gwizdnął.

- Tak jakby wszystko wskoczyło na swoje miejsce, co nie? Gubernator szantażuje Amerykanów, ale ci mu nie wierzą i doktor prawa już czuje pętlę na szyi. Więc doktor sypie, w nadziei, że jak położą łapy na sekrecie i wartej majątek kolekcji, to może mu odpuszczą. Naiwne, ale co ma do stracenia. Amerykanie wysyłają swoich, korzystając z przykrywki transportu dzieł sztuki, i znajdują figę z makiem. Maglują go jeszcze chwilę, a potem Frank łąduje z uśmiechem na szubienicy, zanim zdąży powierzyć swoje tajemnice komuś, kto da im wiarę. Dobrze mówię?

- Naprawdę się uśmiechał? - Gmitruk wydawał się zadowolony.

- Podobno. Dobrze mówię?

- Tak, tak, dobrze mówisz. - Lorentz nie potrafiła i nie chciała ukryć irytacji, która ogarniała ją zawsze, kiedy ludzie oczekiwali potwierdzenia oczywistości. Marnowanie czasu, i tyle. - Tylko nie mówisz, że znowu to samo. Znowu smok z bajki, jak odetniemy jedną głowę, wyrastają trzy następne. Wszystko spekulacje.

- Co się rzucasz znowu?

- Co się rzucasz? Co się rzucasz? - przedrzeźniała go. - Tak się pytasz, jakbyś już pozował do zdjęć w muzeum w Warszawie, za jedną rękę trzymasz Claudea, za drugą Vincenta. Jeśli ta teoria jest prawdziwa, to ktoś ukradł między czterdziestym piątym a czterdziestym szóstym rokiem Frankowi jego schowaną na czarną godzinę kolekcję i jego sekret. I chyba zeżarł potem, bo znowu wszystko znika bez śladu, to już tradycja w tej historii. Denerwuje mnie to, muszę spokojnie pomyśleć.

Wygrzebała się ze śpiwora, przelazła przez stertę siana i wyszła na świeże powietrze.

12

Na zewnątrz było ciemno i mroźno, podmuch wiatru uderzył w nią niczym siarczasty policzek. Przypomniała jej się gehenna przedzierania się przez las i Zofia o mało co nie wróciła do ciepłego wnętrza, ale podniosła kołnierz kurtki i zmusiła się do marszu. Musi

pomyśleć. Naprawdę musi się zastanowić, bez trzech osób na głowie. Wszystko ją męczyło i stresowało, nie mogła się skupić, irytacja działała na jej mózg jak alkohol, otumaniając i odbierając jasność umysłu.

Mnożyli zagadki i hipotezy, podniecali się zbiegami okoliczności, a zapominali o najważniejszym - o znalezieniu w tym kłębkowi jakiejś nitki, za którą można podążyć. To nie było oczywiście tak atrakcyjne jak zonglowanie tajemnicami, ale tylko żmudna praca mogła przynieść efekty, inaczej będą się gubić pośród przemawiających do wyobraźni zagadek, trochę jak w gabinecie luster, patrząc bezradnie na własne odbicia, wyobrażenia i fantazje zamiast faktów.

To nie był jej styl. W jej stylu było pomyśleć, rozważyć za i przeciw, stworzyć kilka wariantów rozwiązania i wybrać właściwy. Tak jak to widziała, stoją przed nimi cztery zadania. Zadanie pierwsze: stwierdzić, czy Milewski faktycznie miał kolekcję francuskich impresjonistów.

Zadanie drugie: dowiedzieć się, w czyje ręce trafiła i jak mogła wylądować u Franka.

Zadanie trzecie: potwierdzić hipotezę o sekrecie Franka.

Zadanie czwarte: znaleźć Portret Młodzieńca.

Na pierwsze miała rozwiązanie, trzecim nie chciała się zajmować, bo na tym etapie była to czysta fantastyka naukowa, tyle że pozbawiona pierwiastka nauki. Drugie zadanie nie dawało jej spokoju. Ponieważ jeśli w Polsce ktoś powinien to wiedzieć, to właśnie ona. To ona musiała dokonywać karkołomnych wyczynów, aby udowodnić, że jakiś obraz, który pojawił się na aukcji w Londynie albo w Hamburgu, został zrabowany w Polsce. Nieraz dla jakiejś bździny, jakiegoś zwykłego landszaftu, siedziała miesiącami w archiwach, szukając wzmianek, listów i dokumentów, które złożyłyby się na wiarygodną proweniencję w oczach niemieckiego sądu.

Znała losy kolekcji oraz znała losy kolekcjonerów, antykwariuszy, marszandów, działających przez ostatnie sto pięćdziesiąt lat. Gusta tych ludzi, upodobania, natręctwa, kanały przerzutowe. Wiedziała, jak obrazy zmieniały właścicieli. Tak jest, jeśli ktoś ma ustalić, kto mógł kupić od umierającego Milewskiego tajemniczą część jego kolekcji, to tylko ona.

Ale musi zacząć myśleć inaczej, wyskoczyć z kolein. Tego ją uczył dziadek, kiedy z innymi dzieciakami myszkowali w starych fortach przemyskiej twierdzy, żeby znaleźć ukryty przez niego „skarby” - portret Rafaela i bursztynowy kamyczek. Żeby myśleć inaczej, myśleć odwrotnie, myśleć wspak. Zasada zabawy była prosta. Pewnego dnia jedno z nich dostawało telegram z pierwszą wskazówką. Na przykład: SYNAGOGA STOP POD KRZAKIEM

MALIN STOP. Oczywiście wszyscy biegli jak wariaci do synagogi i przetrząsali ulice i podwórka dookoła, w poszukiwaniu krzaka malin. Aż któreś z nich wpadało na to, że nie chodzi o to, co jest obok synagogi, tylko w synagodze, a w synagodze mieściła się miejska biblioteka. Tam już wystarczyło przetrząsnąć egzemplarze Balladyny, żeby odnaleźć następną wskazówkę.

Nad niektórymi szaradami myśleli całe dni, dziadek nigdy im nie pomógł, i zawsze wtedy musieli pomyśleć o zagadce zupełnie inaczej niż do tej pory. Dziadek nazywał ten system myślową partyzantką.

Wiedziała, że dla bezpieczeństwa nie może się oddalać od ich szopy, dlatego chodziła wte i wewte wzdłuż pomieszczeń dla zwierząt, co jakiś czas słyszała dochodzące stamtąd pomrukiwania i odgłosy przemieszczających się ciał. Nie bała się, obecność żywych stworzeń, które nie są ludźmi, była nawet w pewien sposób kojąca.

Myślała. Katalogowała kolekcjonerów, zbiory, dzieła. Dzieliła na grupy tych, którzy na pewno nie mają związku ze sprawą, i tych, którzy mogą mieć z nią związek. Pomyślała, że jest coś oczyszczającego w tym, że musi przeprowadzić ten proces bez notesu, bez komputera, bez grzebania w internecie i bez książek na półkach. Tylko ona i jej wiedza.

Wysiłek fizyczny, świeże powietrze i wygrzebywanie z zakamarków pamięci nazwisk, zdarzeń i liczb sprawiały, że jej umysł wchodził na wysokie obroty. Wcześniej miała wrażenie grzebania w starym kufrze. Znoj i mozól. Teraz wszystko wirowało wokół niej jak hologramy w futurystycznym filmie, myślała i kojarzyła coraz więcej i coraz szybciej.

Za drewnianą ścianą coś mruknęło głośno, odsunęła się o krok. Chciała iść dalej, ale zobaczyła dziurę po sęku w desce i pomyślała, że zerknie, co tam Szwedzi trzymają za kociaki. Przyłożyła ostrożnie twarz do zimnego drewna, czuła dobiegający ze środka ostry zapach dzikich zwierząt. Zajrzała, mrużąc oko, bez specjalnej nadziei, że w ciemności zobaczy cokolwiek. Ale zobaczyła: duże, szkliste oko lwa, który z drugiej strony tak samo zainteresował się nią, jak ona nim. Duże żółte oko z czarną źrenicą.

Oko spojrzało na nią, a potem zniknęło tak błyskawicznie, jakby lew się zdematerializował. Nie zdążyła się zdziwić, kiedy nagły, potężny ryk zwierzęcia przeraził ją tak, że rzuciła się do tyłu, lądując tyłkiem w zaspie.

Lew sapnął ostrzegawczo ze dwa razy i poszedł zająć się swoimi sprawami, a ona zrozumiała, dlaczego zapaliła jej się wcześniej czerwona lampka. Zapaliła się, bo opowiadała o Milewskim i mieście, w którym był tak bardzo zakochany, o Lwowie.

Doktor Zofia Lorentz roześmiała się głośno, mroźne powietrze wciągnięte gwałtownie zaszczypało ją w gardle i płucach. Oczywiście, jakżeby inaczej! Jakżeby ktokolwiek inny

mógł być w to zamieszany niż najbardziej tajemniczy kolekcjoner przedwojennej Rzeczypospolitej. Ba, żeby tylko najbardziej tajemniczy. Też najbardziej tajemniczy żydowski finansista, przemysłowiec i kto wie, może w ogóle najbardziej tajemniczy obywatel tamtych czasów.

Wiedziała, gdzie go szukać. Teraz tylko musiała przekonać pozostałych, że wbrew pozorom i wbrew zdrowemu rozsądkowi zamiast zapaść się pod ziemię, muszą pojechać do Chorwacji i na Ukrainę. Brzmiało to wariacko, ale wierzyła, że na tym etapie tylko niekonwencjonalne działania mogą przynieść efekt. Po pierwsze, istniała obawa, że konwencjonalne posunięcia przewidzieli inni i wszędzie czeka na nich komitet powitalny. Po drugie, tropem oczywistości podążało przed nimi wielu innych i nikt z nich niczego nie znalazł.

Tak, wariactwo to jedyna droga. Prawdziwa myślowa partyzantka. Dziadek byłby z niej dumny.

Szybko wróciła do swoich towarzyszy, żeby podzielić się tymi konkluzjami, ale w śmierdzącej szopie wszyscy spali jak zabici. Nie namyślała się długo, tylko wsunęła do śpiwora, umościła w sianie i momentalnie zasnęła. Ostatnią jej myślą było, że wody jest niewiele i głupotą byłoby marnować ją na mycie zębów.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Sveta Katarina i Lwów

1

Nie potrafił się zmusić do opuszczenia wanny. Siedział w niej już dwie godziny i choć koło umywalki leżało kilka gazet, które zabrał z recepcji, to nawet sięgnięcie po nie, żeby sprawdzić, co się dzieje na świecie - o lekturze nie wspominając - było ponad jego siły. Inna sprawa, że na świecie się nic nie działo, wszyscy szykowali się do Bożego Narodzenia, i tyle.

Właściwie tylko jedna czynność go nie przerastała. Puknięcie stopą w kran, żeby dolać ciepłej wody, kiedy czuł, że robi się chłodno.

Więc Karol Boznański pukał. Średnio co dziesięć minut. I obiecywał sobie, że to ostatnie dziesięć minut. A potem znowu pukał. Nie dlatego, że przez tyle dni czuł się brudny, i nawet nie dlatego, że przez tyle dni marzył. Po prostu w wannie czuł się umiarkowanie bezpiecznie.

Nie myślał, czy dosięgnie go kula zabójcy. Nie myślał o tym, czy załamie się lód pod samochodem. Ani o tym, czy znajdą ich w lesie szwedzcy policjanci. Czy zamarznie na skandynawskich bezdrożach. Czy zauważą ich pracownicy zoo, którzy przyszli zostawić w ich kryjówce trochę gówna i zabrać trochę siana. Czy jakiś lew go nie pożre. Czy z

mijającego ich na drodze samochodu nie wyskoczą najemnicy z bronią. Czy łotewski paszport pozwoli zameldować się w obskurnym hotelu. I czy meldunek nie oznacza, że zaraz ktoś po niego przyjdzie. Że już czeka na recepcji, za załomem korytarza, że grzebie właśnie wytrychem w zamku, a może nawet skrada się już w przedpokoju, trzymając pistolet z tłumikiem gotowy do strzału. I nie ma szans, żeby ktoś go ocalił w ostatniej chwili. Ponieważ wszyscy, dosłownie wszyscy, byli w obecnej chwili jego wrogami.

W oborze ogrodu zoologicznego w Kolmarden spędzili jeszcze dwa dni. Dwukrotnie zjawili się tam pracownicy zoo i wtedy przez pół godziny starali się nie oddychać, zagrzebani w najdalszym kącie sterty siana, mając nadzieję, że nikt nie postanowi dla żartu cisnąć mocno widłami.

Dużo rozmawiali, trochę się zgadzając, trochę kłócąc, ale w końcu zgodnie doszli do wniosku, że są pozostawieni sami sobie i nie mogą liczyć na niczyją pomoc.

- Musimy znaleźć Rafaela i odkryć jego sekret, zanim oni znajdą nas. To nasza jedyna szansa. Nie na szczęście i dobrobyt, ale na przeżycie - powiedziała w końcu Zofia i to było najlepsze podsumowanie dyskusji. A potem wytłumaczyła im, co w związku z tym powinni zrobić: rozdzielić się i pojechać do Chorwacji oraz na Ukrainę.

I wtedy zaczęły się kłótnie. Gmitruk musiał ich uspokajać co chwilę, bo tygrysy za przepierzeniem wyczuwały napięcie i robiły się niespokojne, a to mogło przyciągnąć czyjąś uwagę. Toteż kłócili się powściągliwie i szeptem, ale ciągle kłócili, ponieważ plan doktor Lorentz wydawał się pchać ich głębiej w awanturę i podnosić ryzyko, zamiast przybliżyć do szczęśliwego zakończenia. Kilka godzin zajęło jej tłumaczenie, dlaczego to wszystko jest niezbędne.

- Możemy założyć, że przez ostatnie kilkadziesiąt lat szukano tego mniej lub bardziej aktywnie. Zawsze w sposób, o którym mówicie. I zawsze nieskutecznie. Jeśli mamy mieć jakąkolwiek szansę, musimy podejść do tego od drugiej strony. Wyobraźcie sobie małe miasteczko, w którym popełniono straszną zbrodnię. Trzeba przeprowadzić śledztwo wiele lat później, aby znaleźć sprawcę. Wy mówicie: weźmy lupę i obejrzymy każdy milimetr miejsca zbrodni. A ja mówię: bez sensu, wszyscy to już zrobili. Mówię: sprawdźmy, kto i dlaczego sprowadził się do tego miasteczka przez ostatnie pięćdziesiąt lat. Daleki strzał? Być może.

Cierpliwie ich przekonywała i w końcu przyznali jej rację. Mieli plan, brakowało im, bagatela, jedynie pieniędzy i dokumentów, żeby go wdrożyć.

Trzeciego dnia odezwał się Wasyl, dokumenty i gotówka płynęły rosyjskim frachtowcem z Kaliningradu do portu w Oxelösund, oddalonego o pięćdziesiąt kilometrów od ich kryjówki. Teoretycznie za daleko na spacer przez zimowy las, praktycznie trudno było



znaleźć inne rozwiązanie. Podróż we czwórkę nie miała sensu, jedynym słusznym wyjściem było wysłanie Lisy. Tylko ona ze swoją znajomością ojczystego kraju miała szansę dostać się do portu bez żadnych pieniędzy, mając do dyspozycji jedynie boczne drogi, własne nogi i dobre serce szwedzkich wieśniaków, skorych podzucić ją kilka kilometrów swoim wysłużonym volvo.

I poszła.

Dwanaście godzin później stracili nadzieję, że wróci. Lisa Tolgfors albo została schwytana, albo zabita, albo zostawiła ich samym sobie, słusznie wychodząc z założenia, że w pojedynkę poradzi sobie lepiej.

Trzydzieści godzin później opuścili oborę z zamiarem zgłoszenia się na policję. Nie mieli wyboru.

Z Lisą spotkali się na zewnątrz, przełaziła właśnie przez płot. Wynajęty samochód pełen prawie ciepłego żarcia z McDonalda czekał dwieście metrów dalej.

To była niezapomniana uczta.

W Jónkóping oddali samochód i w innych firmach wypożyczyli dwa nowe, do Göteborga pojechali już jako dwie lotewskie pary: Einars Jakovlevs i Daina Tutins, czyli Anatol i Zofia, oraz Andris Bastiks i Iveta Pimenovs, czyli Karol i Lisa. Przez internet kupili bilety lotnicze na dalszą podróż i zaszyli się każde w innym anonimowym hotelu, żeby przeczekać czas do wylotu.

Wyszedł z wanny i uznał, że nie będzie chyba wielkim ryzykiem zejście na wystawne jednogwiazdkowe śniadanie, składające się z jajecznicy z proszku, parówek produkowanych z karmy dla świń i żółtego sera, który musiał być barwiony betakarotenem, żeby w ogóle zasłużyć na swoją nazwę.

Po drodze do hotelowej stołówki zatrzymał się koło ustawionego w holu małego biurka z przedpotopowym komputerem. Przyklejona na ścianie kartka zapraszała „do używania!!!”, a tak naprawdę powinna zapraszać do zwiedzania, sprzęt bowiem był jak z muzeum techniki.

Nie mogli logować się do swoich kont pocztowych ani na portale społecznościowe, to jasne, ale usiadł przed monitorem, żeby sprawdzić jedną rzecz, która od kilku dni nie dawała mu spokoju. Czysta ciekawość, i tyle.

Znalazł portal do zbierania funduszy, a na nim stronę Sylwii, która opowiadała w Trójce o tym, że nic tak nie może wyleczyć serca jak miłość, wspomóżona przez odpowiednią ilość pieniędzy. Strona informowała o szczegółach choroby Sylwii Sereżyńskiej. A także o tym, że do końca zbiórki zostało pięćdziesiąt siedem dni, że każdy, kto wpłaci więcej niż

pięćdziesiąt dolarów, dostanie specjalnie wykonany, numerowany kubek z podziękowaniami, i że z zaplanowanych dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów zebrano na razie czternaście tysięcy osiemset.

Niewiele, pomyślał, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że rodzina i przyjaciele wpłacili pewnie, ile mogli, już pierwszego dnia.

W pierwszym odruchu chciał kliknąć, żeby przelać z pół tysiąca złotych, może nawet tysiąc, nie zbiedniałby, ale przypomniał sobie, że korzystanie z fałszywej tożsamości i pozostawanie niewidocznym nie przewiduje raczej logowania się przez internet do swojego banku.

Dlatego obiecał sobie załatwić to później, spojrzął jeszcze raz na sympatyczną, roześmianą kobietę ze zdjęcia, która obściskiwiała się z jakimś kolesiem bez właściwości na molo w Sopocie, i poszedł do restauracji na chemiczną jajecznicę.

2

Wrzucił w siebie ostatniego pierożka z kaszą gryczaną i pomyślał, że polska kuchnia jednak jest do dupy. Pierwszego dnia pierogi, drugiego żurek, trzeciego kawał mięsa w sosie chrzanowym i już można było uznać lokalne frykasy za odhaczone i zacząć szukać dobrej knajpy z kuchnią międzynarodową. Chyba że ktoś chciał się skusić na kawałek panierowanej świni, które to wstrętne, cuchnące smażeniną danie było tutaj uważane za królewski przysmak. No ale pierożki, maczane w gęstej śmietanie, nie były złe. Hermod wytarł twarz patriotyczną serwetą w białoczerwona kratę i zerknął na otrzymany chwilę temu esemes. Był spokojny, że ta wiadomość nadejdzie, poza Gmitrukiem wszyscy oni byli amatorami, a i on - umówmy się - zawodowcem z drugiej ligi. Popęnienie głupiego błędu przez jedno z nich było jedynie kwestią czasu.

Cieszył się, że po kompromitacji w Szwecji Amerykanie się wycofali, położyli uszy po sobie i zwrócili się do Hermoda, czyby jednak nie był tak miły i nie dokończył tego, co zaczął. Ponieważ po tym jak on spieprzył sprawę, musieli tylko posprzątać zwłoki jednego ochroniarza. A jak oni spieprzyli sprawę, to tydzień zajęło im układanie się ze Szwecją, żeby nie dopuścić do wybuchu międzynarodowego skandalu. Zapytał złośliwie, czy są otwarci na negocjacje, bo poprzedni kontrakt został, nie z jego winy, zerwany. Odpowiedzieli, że cena nie gra roli.

Nawet gdyby grała, i tak by się zgodził. Ponieważ to już nie było zlecenie jak każde inne. Sprawa zrobiła się osobista.

Zapoznał się ze szczegółami wiadomości. Pomyślał przez chwilę i uznał, że bezpieczniej będzie pojechać, niż na nich czekać. Co prawda szansa, że się tutaj pojawią, była

niemal stuprocentowa, ale uważał swoich przeciwników za amatorów i głupków, a tacy byli zawsze nieobliczalni.

Zapłacił, wszedł do brzydkiej taksówki czekającej na socrealistycznym placu, upstrzonym kapitalistycznymi reklamami, i kazał się brzydkiemu człowiekowi wieźć na lotnisko. Po chwili kazał wyłączyć radio, w którym w kółko leciały tandetne przeróbki najbardziej znanych bożonarodzeniowych melodii, a każda reklama zaczynała się od gromkiego „ho, ho, ho”.

Po drodze zastanawiał się, którą z ludzkich cech wykorzystać. Którą z wad lub będących w istocie wadami zalet? Który ze słabych punktów? Patriotyzm? Miłość? Lojalność? Chciwość? Wolę przetrwania za wszelką cenę? Strach? Przywiązanie? Sentyment? Resentyment?

Było spośród czego wybierać.

3

Pięć godzin później Hermod był już w Göteborgu, nie zdążył co prawda na bezpośredni lot, ale połączenie z przesiadką na berlińskim Tegel okazało się wystarczające. Siedział przy stoliku w hotelowej kawiarni, brzydkiej jak w Warszawie, doprawdy prześladuje go jakieś estetyczne fatum, odkąd w ogóle wplątał się w tę polską aferę.

Naprzeciwko siedziała druga osoba i podejmowała trudną decyzję. Wydawało jej się, że długo się waha, rozważa różne za i przeciw, dokonuje trudnych wyborów moralnych i cierpi, rozdierana wewnątrz przez wątpliwości dotyczące najtrudniejszej decyzji w jej życiu.

W rzeczywistości, wzorem każdej innej ludzkiej istoty, podjęła decyzję już dawno, decyzję najlepszą dla siebie, a teraz tylko próbowała ją zracjonalizować, żeby złagodzić wstyd.

Hermod o tym wiedział, był psychologiem może nawet lepszym niż zabójcą. Dlatego nie ponaglał siedzącej vis?vis osoby. Pił spokojnie kawę, czekając, aż ta moralna szopka dobiegnie końca i będzie mógł się w końcu przenieść w jakieś estetyczne miejsce i przygotować spokojnie do zakończenia tej sprawy raz na zawsze.

4

Położ rękę na sercu i powiedz, że naprawdę ci to nie przeszkadza.

Położył, nachylił się nad przykrytym białym obrusem stołem i spojrzał jej prosto w oczy, najszczerzej i najgłębiej, jak umiał.

- Ani trochę.

Doktor Zofia Lorentz westchnęła z rezygnacją.

Siedzieli we dwójkę w knajpie Sim Porosiat we Lwowie, szczycącej się najlepszym ukraińskim jedzeniem w stolicy zachodniej Ukrainy, czy jak woleli niektórzy: Galicji Wschodniej. Przy czym prawdziwe ukraińskie jedzenie pochodziło z prawdziwej Ukrainy, czyli z ksiązek kucharskich Kijowa i Charkowa, tam gdzie stepy, gdzie Kozacy i gdzie prawdziwa ukraińska dusza.

- Przyznaj się, że żartujesz. Nawet jeśli ci to nie przeszkadza, to może przynajmniej daje do myślenia.

- Nie - odpowiedział spokojnie, odchylając się na ławie, żeby kelner mógł postawić przed nim talerz z chrupiącym prosiaczkiem w sosie grzybowym. Domówił jeszcze sało i dwie wódki.

- Ja nie piję - burknęła Zofia.

- Wiem.

- Ale powiedz...

- Daj mi spokój. Przypominam, że mnie zostawiłaś, tracąc prawo do tego, żeby zachowywać się jak zrzedliwa żona. Zjedz coś, napij się, wyluzuj trochę.

Pomyślał, że wrzodów przez nią dostanie. Może to i dobrze, że nic z tego nie wyszło.

- Ostatni raz: naprawdę nie przeszkadza ci, że siedzisz w knajpie na rogu ulic Stepana Bandery i hierojów UPA?

- Nie.

- Ukraińskich nacjonalistów, zbrodniarzy wojennych, winnych ludobójstwa narodu polskiego?

- Ciszej. Nie możesz tu użyć w jednym zdaniu słów „Bandera” i „ludobójstwo”. Pamiętaj, że tu dużo ludzi rozumie polski.

- Niech nazywają inaczej swoje ulice, nie będą musieli tego słuchać. Postanowił ją zignorować i zająć się jedzeniem. Co to była za rozkosz!

Pod chrupiącą warstewką tłustej skórki kryła się wieprzowinka tak delikatna, że żał było ją połykać. Starał się żuć dokładnie, pieczołowicie rozprowadzając jedzenie po kubkach smakowych, żeby jak najdłużej czuć je w ustach.

- Co to za mięso? Tak z ciekawości.

- To nie jest mięso. Mięso to masz w Biedronce. To, moja droga, to jest najpyszniejszy kawałek prosiaczka na świecie.

- I czym to się niby różni od wieprzowiny?

- Tym samym, czym cielaczek od wołowiny i jagniątko od baraniny. Prosiaczek jest malutki. Pyszny mleczny prosiaczek.

- Pieczony w mleku?

- Nie, pieczony normalnie. Chodzi o to, że jeszcze był karmiony mlekiem matki.

- Kiedy go zamordowali?

Zacisnął zęby. Głupia jędza sprawiła, że prosiaczek zaczął mu rosnać w ustach. Przed oczami stanęło mu maleńkie różowe stworzenie, zadowolone z życia, przysypiające przy piersi radośnie chrumkającej świnki. I chwytająca go łapa ukraińskiego rzeźnika.

- Jesz niemowlę.

Postanowił zgrywać twardziela. Uśmiechnął się tylko błogo i władował do ust kawałek mięsa.

- Słyszałeś, że od świń inteligentniejsi są tylko ludzie i inne naczelne? Myślisz, że świni nie rozumieją, co się dzieje z ich młodymi? Bo taki prosiaczek to jest chyba jeszcze za mały, co nie? Po prostu bardzo się boi.

Przelknął z trudem. Odłożył sztućce i odsunął na bok talerz z napoczętym daniem. Patrzył na uśmiechniętą z satysfakcją twarz doktor Lorentz, patrzył na czarne - tutejsi pewnie myśleli, że kozackie - oczy, na blond grzywkę, którą zdmuchiwała co chwilę z oczu. Na szczupłe, dziecięce nieomalże dłonie, które splotła przed sobą. I mimo wszystko nie potrafił się naprawdę wściec.

- I to nie ja ciebie zostawiłam.

Czyżby mieli w końcu odbyć rozmowę, której nigdy nie odbyli? Tutaj, w piwnicy lwowskiej knajpy, stylizowanej na wiejską chatę? Wśród baranich skór, bielonych ścian, pieców kaflowych i kelnerów w haftowanych koszulach?

Wychylił drugą wódkę i skinął na kelnera, żeby uzupełnił zapasy. Zagryzł sałem, jak zwykle pysznym, chociaż słonina od jego ulubionego masarza w Mszczonowie godnie stawała w szranki.

- Ciekawe - powiedział po chwili namysłu. - Spakowałaś walizeczkę i wyszłaś, trzaskając drzwiami, potem wśliznęłaś się pod moją nieobecność po resztę rzeczy i zostawiłaś klucze w skrzynce - zawiesił głos - ale to nie ty mnie zostawiłaś.

- Nie. - Oparła brodę na splecionych dłoniach. W ciepłym blasku świecy wydała mu się śliczna. - Ty mnie zostawiłeś emocjonalnie i nie dałeś mi wyboru. Fakt, że to ja wyszłam z twojego mieszkania, nie zmienia tego, że zostałam porzucona. I że należą mi się przeprosiny.

Nie wierzył, że tego słucha. Wypił kieliszek i zjadł plasterek sała, żeby zyskać na czasie.

- A to co? Twarożek?

- Sało. - Co?

- Mógłbym powiedzieć, że taka nasza słonina, ale to nie to samo. Słonina to kawał tłuszczu, sało to, jak by to powiedzieć, sało to styl życia.

- Sadło, innymi słowy. Też z prosiaczka?

- Nie, ze starej, steranej życiem świni, która ucieszyła się na widok topora, bo już od dawna błagała o eutanazję. Sało jest święte i nie ma mowy, żebyś mi je obrzydziła. Wiesz, że tutaj je jedzą nawet w czekoladzie?

- Przestań, bo mnie mdli.

- Masz kogoś?

- Słucham? - Gwałtowna zmiana tematu na ułamek sekundy wytrąciła ją z równowagi.

- Pytam, czy kogoś masz?

- Nie twój interes.

- Daj spokój, po starej znajomości. Masz kogoś?

- Nic na stałe. Trochę przelotnych znajomości, trochę namiętności, kilka fascynacji spalających się szybko, ale za to mocnym płomieniem. No i jeden porządny widok na stabilizację. Prawnik, poznałam go przez znajomych z ministerstwa. Bardzo przystojny, taki w typie Russella Crowea, tylko bardziej wysportowany. O, Russell Crowe z Gladiatora, właśnie tak.

- Super. A co uprawia?

- Spytaj, czego nie uprawia. Jest instruktorem narciarstwa i tenisa, ale teraz to chyba najbardziej żeglarstwo. Nie w stylu przystań, piwo, gitara, tylko regaty, ocean, fale wielkości kamienicy. Mówi, że tylko życie na styku dwóch walczących żywiołów, wody i wiatru, sprawia, że czuje się wolny.

- Proszę, polszczyznę widzę też trenuje. Ale nie dziwię się, że tak mówi. To straszne, ci ludzie zostają prawnikami, chcą zbawiać świat, a potem dwanaście godzin dziennie spędzają zgarbieni przed komputerem, już nie chłopci pańszczyźniani, jeszcze nie urzędnicy. Lokaje na służbie korporacji, wykorzystywani, poniżani, upokarzani. Zwłaszcza dla mężczyzn taka kariera musi być trudna. Nic dziwnego, że jak się wyrwą na jeden weekend w roku, to chcą się poczuć wyjątkowo.

- To chyba niekoniecznie przykład Piotra. Jest współnikiem w kancelarii, obsługują Ochojską i Owsiaka, a on się specjalizuje w prawie autorskim przede wszystkim, pod warunkiem że może stanąć po stronie artysty. Ale też inna sprawa, że Piotr może sobie na to pozwolić, rodzina zostawiła mu nie tyle majątek, co fortunę. Jego matka to francuska szlachcianka, nie chwaliłabym się, ale dom w Val d'Isere... Siedziałam tam poprzedniej zimy prawie dwa miesiące. Nawet mi się przez chwilę ten pensjonacik fajny, maleńki przypomniał,

co byliśmy w Krynicy, pamiętasz? To jednak niesamowite, jak ta sama dyscyplina może w dwóch miejscach tak różnie wyglądać. Niby i to narciarstwo, i to narciarstwo, a jednak.

Uśmiechnęła się słodko i sięgnęła przez stół po plasterek sała.

- A co u ciebie?

- Dbam o higienę seksualną, jeśli o to pytasz.

- Tęsknisz za mną?

- Jak za ospą wietrzną.

- Przepróż.

- Za co? Za głupi żart?

- Za to, że mnie porzuciłeś, zmuszając, abym to ja zostawiła ciebie. Nigdy mnie za to nie przeprosiłeś. Należy mi się.

- Nie rozśmieszaj mnie.

- Dla mnie to nie jest śmieszne. Jak się do kogoś, podobno bardzo bliskiego, mówi: „To lepiej się wynoś, bo marnujesz nasz czas i nasze życie”, to nie brzmi to jak oświadczyń. Tylko jak zerwanie.

- Nie lubię używać mocnych słów...

- Nowość.

-...ale wyrwanie tego zdania z kontekstu jest dość podłe.

- Nie, Karol, nie masz racji. Są zdania, które niezależnie od kontekstu znaczą po prostu to, co znaczą. Są słowa nie do wybaczenia i nie do cofnięcia, słowa kończące wszystko szybciej niż kula karabinowa. I to, co powiedziałeś, może zostać w każdym słowniku użyte jako definicja zdania kończącego. To była najgorsza rzecz, jaką w życiu usłyszałam.

Sięgnęła po porcję sała, a zaraz potem wypła stojący przed nim kieliszek wódki. Kiwnęła na kelnera, żeby dołożył jednego i drugiego.

- Przepraszam. Ale to nie jest powód, żebyś zjadała mój obiad.

- Powiedz to normalnie.

Otworzył usta, żeby błyskotliwie zripostować, ale uznał, że to nie ma sensu, że ta gra wcale go nie bawi. Szedł w zaparte tylko dlatego, że w ciągu ostatnich lat milion razy powtórzył sam sobie, że to ona zaczęła. I prawie w to uwierzył. Prawie. Rozejrzył się po tym kuriozalnym plastikowym wnętrzu, wiejskiej chacie w piwnicy biednej lwowskiej kamienicy. W sumie tak samo dobre miejsce na wyznanie jak każde inne.

- Przepraszam - powiedział szczerze. - Naprawdę bardzo przepraszam.

Spodziewał się tryumfu i kpin, ale Zofia gwałtownie wstała i wyszła.

Udało jej się dojść do łazienki i dopiero tam rozplakać. Pochyliła głowę, żeby łzy kapąły prosto do umywalki, a nie spływały po twarzy. Ale i tak rozmazał jej się tusz i płakała czarnymi łzami, łzy czarne jak uwalane w sadzy krople deszczu biel emalii raniły i ciemne niczym wdowi welon ślady za sobą zostawiając, w nicości z szeptem znikwały.

Parsknęła śmiechem. Nic tak człowieka nie podnosi na duchu jak myślenie współczesną polską prozą.

Uspokoila się i delikatnie osuszyła oczy papierowym ręcznikiem. Zostawiła przy stoliku torebkę i teraz nie mogła poprawić makijażu.

Kilka razy odetchnęła głęboko i wyszła, chętnie by posiedziała w łazience dłużej, ale nie chciała dawać mu satysfakcji. Przeciskając się przez sztuczną wiejską chałupę, myślała, co powie. „Zgagi jakiejś dostałam od tego twojego sadła”. Albo: „Wykończy mnie ta zapychająca żyły kuchnia”.

Nic nie powiedziała, ponieważ Karol nie był sam. Stał spleciony w serdecznym uścisku z wysokim mężczyzną, a kelner stawiał na stole butelkę wódki.

Nieznajomy, jak przedstawił go Karol, miał na imię Serhij i był specjalistą, co Boznański powiedział z taką miną, jakby był to specjalista od wiercenia ludziom otworów w rzepkach, przez które potem przewlekał stalowe linki, żeby ciągnąć ofiary za swoim czarnym bmw. Cóż, nawet jeśli był kimś takim, to na pewno na takiego nie wyglądał. Może próbował, obciążając cienki czarny golf na dobrze zbudowanej klatce piersiowej (moda, która przeminęła w Polsce przed dwudziestu laty) i wciskając go w czarne spodnie od garnituru, ozdobione cienkim paskiem ze srebrną klamerką. Tylko żeby robić wrażenie mafiosa, musiałby mieć nad tym przebraniem twarz mafiosa. Tymczasem twarz Serhija miała tak pocziwy wygląd, jakby pan specjalista swój czas dzielił pomiędzy zabawę z dziećmi, pracę w instytucji charytatywnej i opiekowanie się chorą matką.

Po polsku mówił dobrze, z drobnymi błędami.

- Karol jest wspaniały - zachwycił się Boznańskim, jakby był w nim zakochany. - Bez niego nigdy byśmy nie odzyskali tego portretu, nie wiem, czy pani słyszała...

- Portret Warwary Nikołaj ewny Chanenki - wpadła mu w słowo - namalowany przez hiszpańskiego impresjonistę, postimpresjonistę właściwie, Ulpiana Checę pod koniec dziewiętnastego wieku, zrabowany przez Niemców z Kijowa. Olej na płótnie, dziewięćdziesiąt na sześćdziesiąt, o ile dobrze pamiętam.

Wychyliła kieliszek wódki, pozwalając Serhijowi posiedzieć chwilę z otwartymi ustami.

- Dość udany portret, na aukcji byłby wart kilkanaście tysięcy dolarów, ale dla was



miął przede wszystkim wartość emocjonalną. To portret żony Bohdana Chanenki, założyciela do dziś najważniejszej kolekcji malarstwa obcego na Ukrainie, słynnej głównie dzięki jednemu Velazquezowi i starym mistrzom. Niestety ciągle na liście strat z tejże kolekcji jest jeszcze kilkaset obrazów, w tym jeden Checa. Pan się tym zajmuje zawodowo?

- Serhij.

- Zajmujesz się tym zawodowo?

- Ja jestem specjalista. - Wymówił to „specjalista”.

- Tak, wiem, słyszałam. Ale od czego specjalista?

Poczuła znajome swędzenie irytacji. Ostatnio naprawdę niewiele było trzeba, żeby ją rozdrażnić. Musi porozmawiać o tym z lekarzem, może to hormony, przedwczesna menopauza.

- Zofia - wtrącił się Karol. - Tutaj sprawy mają się trochę inaczej niż u nas. Serhij jest z naszej branży, to historyk sztuki z wykształcenia. Ale z zawodu jest po prostu specjalistą. Specjalistą od rzeczy, nazwijmy to, trudnych. To znaczy, że zna dużo ludzi, a każdy z tych ludzi też zna dużo ludzi. Rozumiesz? Każde społeczeństwo to kręgi, połączenia, sieci. A Serhij jest urodzonym nawigatorem relacji międzyludzkich. Potrafi się poruszać po tych sieciach jak pająk i znajdować to, co potrzebne. Prawdziwe informacje. Nie te wyprane i wyprasowane dane z internetu. Nie obrobione i przetrawione wiadomości prasowe. Nie suche materiały z katalogów i urzędowych baz danych. Prawdziwe.

- Z ludzi i z pamięci - odpowiedział Serhij, kiwając głową na znak, że sam nie ująłby tego lepiej niż Karol.

Doktor Zofia Lorentz długo patrzyła w szczerą twarz blondyna.

- Musimy znaleźć człowieka, o którym nikt nic nie wie - powiedziała w końcu.

- Jak zawsze. - Serhij uśmiechnął się promiennie. - Jak zawsze.

6

Ból po stracie jest jak kombinezon z cierni. Na początku nie wiemy, o co chodzi, miotamy się na wszystkie strony sprawiając, że kolce rozrywają skórę i całe ciało spływa krwią. Składamy się jedynie z cierpienia. Potem uczymy się, że miotanie nie ma sensu. Trwamy w bezruchu, rany zaczynają się zasklepić, a my powtarzamy sobie, że dojdziemy do siebie. W końcu trzeba się ruszyć i wtedy uświadamiamy sobie, że kombinezon zostanie z nami na zawsze, a nasza skóra jest pokryta różowymi, delikatnymi bliznami, gotowymi otworzyć się, boleć i krwawić przy najmniejszym ruchu. Nie da się w kombinezonie żyć tak jak przedtem. Nie da się w nim zapomnieć o bólu i żyć normalnie.

Długo szukał właściwej metafory i ta wydała mu się najbardziej trafna.

Może dlatego w tym samym momencie, kiedy Zofia i Karol roztrząsali swoje emocjonalne traumy we lwowskiej knajpie, Lisa z Anatolem zachowywali się w łóżku chorwackiego pensjonatu tak, jakby chcieli zagłuszyć swój ból, było w gwałtowności ich seksu coś rozpaczliwego.

Anatol chciał przestać w końcu widzieć to cholerne zdjęcie, ten uścisk i uśmiech na molo w Sopocie. Chciał przestać słyszeć głos, który mówi, że tylko prawdziwa miłość może uleczyć serce.

Lisa chciała, aby choć na chwilę spod jej powiek zniknął płonący Sten Borg, a w głowie ucichło zwierzęce wycie konającego człowieka.

Dlatego nie tyle się kochali, co różnili. Raz za razem, jakby ból dodawał im siłę, jakby każda przerwa i chwila na bycie z własnymi myślami stanowiły zagrożenie. Gryząc się i drapiąc, boleśnie wyginając i rozciągając, bez żadnych zabaw w pieszczoty i czułości.

Kiedy w końcu padli, ledwo żywi, podrapani jakby na golasa przedzierali się przez maliny, mokrzy od potów i płynów fizjologicznych - oboje uznali, że właśnie odbyli seks swojego życia. I że naprawdę czują się lepiej. I że to jest coś, nawet jeśli ten stan potrwa tylko chwilę.

- Po co ci te obrazy? - zapytał Anatol. - Hm?

- Od dawna chciałem cię zapytać, po co ci te obrazy. Nie potrafię tego zrozumieć. Nie mam pojęcia o sztuce, jestem bez forsy. Z mojego punktu widzenia miałaś wszystko. Po co ryzykować, żeby zdobyć kawałek kolorowego płótna, którym nawet nie można się pochwalić. Kradłaś je na zlecenie?

- Nie. Wszystkie są u mnie. Nie powiem ci gdzie, ale w pewnym miejscu u mnie. No dobra, sprzedałam kilka tych, które nie robiły na mnie wrażenia, żeby mieć trochę gotówki na bieżące wydatki.

- Trochę?

- Trochę milionów.

Powiedziała to takim tonem, że nie wytrzymał i roześmiał się szczerze. Mógłby polubić tę dziewczynę. Panią raczej.

- Powiedzieć ci, jak rozumiem malarstwo? - zapytała po chwili. - Nie martw się, nie jestem Lorentz, to nie będzie żaden wykład.

- No.

- Malarstwo to światło. Prosta fizyka. Światło wydobywa wszystko z nicości i odbija się od wszystkiego w różny sposób, dzięki czemu powstają kolory. Malarstwo to próba oddania tej ulotnej chwili, kiedy odbita od świata nieskończona ilość promieni światła pada

na siatkówkę. Proste?

- Raczej.

- To oczywiście udawało się wielu malarzom wcześniej. Ale dopiero mój Claude i inni impresjoniści pokazali, że światło to życie. Ich obrazy mówią: żyjemy w świecie światła. Nie w świecie, gdzie światło rozprasza mroki. Nie w świecie, gdzie światło prowadzi nas przez ciemność, gdzie czeka na końcu czarnego tunelu. Po prostu w świecie światła i życia. Wiesz, że oni nie używali czarnego koloru?

- Serio?

- Serio. To znaczy nie byli dogmatykami, ale wszystko osiągnęli, mieszając tylko te kolory, które widać na tęczy. A co to jest tęcza? Światło rozszczerzone przez kropelki wody. Ich najlepsze obrazy to uchwycony moment światła, jak kropla życia zalana żywicą. Codziennie na całym świecie takich chwil światła są nieskończone ilości i składają się na życie. I w każdym ich obrazie ja widzę te chwile i może to zabrzmie górnolotnie, ale myślę wtedy, że fajnie być człowiekiem. Tak po prostu fajnie. Wierysz w Boga?

- Nie wiem.

- Ja też nie wiem. Raczej nie. Ale wierzę w człowieka. W Śniadanie na trawie, w Kobietę z parasolką, w Jezioro łabędzie, w poloneza Asdur, w katedrę w Reims, Davida Copperfielda i Ronję, córkę zbrojnika. Pokaż mi boga, który potrafi stworzyć coś takiego.

- Wiesz, co odpowiadają wierzący. Że krokusy na górskiej polanie, konie w galopie, rozmiar sześćdziesiąt pięć E...

- Jestem dla ciebie za płaska? Zaśmiał się.

- Wiem, co chcesz powiedzieć - mówiła dalej. - Ale natura jest piękna przez przypadek. Słońce to kula gazu, koń stał się taki, jaki jest, w czasie ewolucji, bo mu było wygodniej, góry wyglądają, jak wyglądają, bo najpierw dwie płyty tektoniczne się zderzyły, a potem wiatr i deszcz zrobiły swoje. Rozumiesz, o co mi chodzi? To jest piękne, ale nie zostało stworzone, aby było piękne. Wiemy, jak powstało, z fizyki, chemii, biologii. Jeśli istnieje jakiś stwórca, to jego stworzenie ograniczyło się do tego, żeby rzucić w nicość parę atomów wodoru i powiedzieć: hej, zobaczymy, co się stanie. Jak dla mnie dadaizm, albo nawet i to nie. Tylko człowiek jest zdolny do celowego tworzenia piękna. Mój Claude każdego boga rozkłada na łopatki. I może jestem płaska, ale nieżła w łóżku.

- Daj spokój, żartowałem.

- Akurat. Wolałbyś, żeby wielkie cyce bez sensu ci się majtały przed nosem. Niewiarygodne, mężczyźni są ostatecznym dowodem na to, że nie ma żadnego sensu w akcie stworzenia. Po prostu jakieś dziwaczne stwory powstały przypadkiem w wyniku milionów lat

mutacji kodu genetycznego.

Pocałował ją w jej małą pierś, wstał i przeciągnął się. Bolały go wszystkie mięśnie. Podeszedł do drzwi tarasowych i otworzył je na oścież. Powietrze miało około dziesięciu stopni, było przyjemnie chłodne i pachniało morzem, miła odmiana po arktycznych warunkach panujących w Szwecji. Nie ma to jak Morze Śródziemne.

Polecieli przez Monachium do Triestu, tam wynajęli małego fiata pandę i w półtorej godziny przejechali sto kilometrów pomiędzy włoskim portem a chorwackim miasteczkiem Rovinj, po drodze przecinając Słowenię. Następną godzinę zajęło im znalezienie noclegu. Było poza sezonem i prawie wszystko zastali pozamykane, w dodatku trzy dni przed Bożym Narodzeniem Chorwatom nie w głowie było goszczenie cudzoziemskich turystów. Na szczęście nie wszystkim.

Przeplącili, ale miejsce było piękne. Wyszedł na zimne kamienne płyty tarasu i rozejrzał się. O drugiej nad ranem jedynym słyszalnym w miasteczku dźwiękiem było chlupotanie morza. Ich willa mieściła się na skraju położonej na cyplu starówki, przed sobą Anatol miał wąską ulicę, przystań z kilkoma okrytymi szczelnie na zimę jachtami i ciemne wody Adriatyku, z których kilkaset metrów dalej wyłaniał się podłużny kształt porośniętej drzewami wyspy Sveta Katarina.

Księżyc wydobywał z mroku zarys stojącego na wzgórzu budynku, który sto lat temu był bajkową siedzibą Ignacego hrabiego KorwinMilewskiego.

W jednym oknie paliło się światło.

7

Nawet nie chodziło o to, że unikała Karola po wczorajszym. Po prostu nie szukała ani jego, ani niczyjego towarzystwa. Wypała się, zjadła śniadanie i uznawszy, że zasłużyła na coś słodkiego, poprawiła wielkim kawałkiem tortu Sachera. Był pyszny i musiała przyznać Karolowi rację, kawiarnia Widenńska była wystarczającym powodem, żeby zatrzymać się w hotelu Wideń.

Potem zmusiła się, żeby wyjść na miasto. Miała ochotę zostać w bezpiecznej przestrzeni hotelu, a najlepiej w bezpiecznej przestrzeni pokoju, ale pomyślała, że udawanie normalności to najlepszy sposób, żeby w takiej sytuacji pozostać przy zdrowych zmysłach. Inaczej bez końca by wszystko analizowała i roztrząsała. Trzeba było zachować przynajmniej pozory normalności.

Spacerowała po zimowym Lwowie, bardzo zdziwiona, że jest 23 grudnia, a nigdzie nie widać tego obłędu, jaki przed świętami ma miejsce w Polsce. Dopiero później zdała sobie sprawę, że na Ukrainie zarówno grekokatolicy, jak i katolicy obchodzą Boże Narodzenie

według kalendarza juliańskiego, czyli na początku stycznia.

Tuż po drugiej stronie granicy, w jej rodzinnym Przemyślu, wygląda to inaczej. Matka lata na pewno przez cały dzień jak kot z pęcherzem, żeby potem siedzieć do późnej nocy, gotować rybie głowy i zastanawiać się bez końca, czy doprawiać galaretę żelatyną, czy może jednak się zetnie. Takie właśnie miała wspomnienie z rodzinnych świąt. Słaniająca się na nogach matka, wylawiająca z parującego gara rybie głowy ze ściętymi, białymi oczami.

I marzenie Karola Boznańskiego. Wieś, kominek, tradycyjny dom, gromadka dzieci, nieprzytomna kobieta, wylawiająca z gara rybie głowy.

Nie, dziękuję.

Spacerowała i chłonęła atmosferę miasta. Lwów wyglądał biednie, mimo wysiłków z okazji turnieju piłkarskiego nie udało się ukryć dekad sowieckiego zaniedbania. Jeszcze Kijów, Donieck czy Charków ze swoim przemysłem zbrojeniowym mogły w czasach ZSRR liczyć na łaskę Moskwy, ale Lwów - inteligenckie miasto związane duchowo z wiecznie sprawiającą problemy Polską - skazany był na wegetację. I to rzucało się w oczy, widać było, że o to miasto od dawna nikt nie dbał, a teraz nawet jeśli ktoś by chciał, to nie ma za co. Tu nie było funduszy europejskich, nie było miliardów do wydania na reformowanie, ulepszenie i upiększanie.

Szkoda, pomyślała. Miasto miało swój urok i dobrą energię, dobrze się tutaj czuła. Wydawało się bardziej prawdziwe, mniej plastikowe niż Polska.

Myszę jak Karol, zganiła się. Mniej plastikowe, bardziej prawdziwe, bardziej naturalne. Za chwilę dojdę do takiej samej apoteozy życia z dala od cywilizacji jak on. Mleko od prawdziwej krowy, truskawki tylko w czerwcu, a kurki tylko przyniesione z lasu, bardziej żółte, bo obsikane przez lisy. Poród pewnie w blasku świec na baranich kozuchach, ona krzyczy, przy wezglowiu wiejskie baby kołyszają się w przód i w tył, klepią zdrowaśki.

Stała przy pomniku Szewczenki, kiedy Serhij wyrósł przed nią jak duch. Na zewnątrz jego aparycję aspiranta w szeregach mafii uzupełniała skórzana kurtka trzy czwarte.

- Mam informacje - powiedział, wymawiając to jak „informacje”.

8

W Chorwacji był tylko raz, wiele lat temu wybrali się z Sylwią na kilka dni, zanim odkryli, że Szwecja i Norwegia sprawiają im najwięcej radości. Z tamtego wyjazdu zostało mu kilka wyblakłych wspomnień. Miasteczka przyklejone do morza, kamieniste plaże, mięso z grilla, niemiłosiernie słona w porównaniu z Bałtykiem woda. I zazdrość, że Chorwaci dostali od historii taki piękny kawałek świata do gospodarzenia. Adriatycki cukiereczek, słowiańska wariacja na temat włoskiej riwiery, tylko mniej arogancka i napuszona, bardziej

przystępna.

A może tylko im tak się wydawało, bo byli podróżującymi starym Citroënem biedaturystami z Polski i lepiej czuli się między chorwackimi odpowiednikami ośrodków FWP i kwaterami prywatnymi w Dubrowniku niż między pięciogwiazdkowymi hotelami w Rimini.

Rovinj wyglądał jak z folderu reklamowego: kamieniczki śródziemnomorskie na starym mieście, znajdującym się na wybiegającym w Adriatyk owalnym cyplu, kamieniczki były stłoczone jak fani wokół sceny na koncercie Madonny; pobudowane tak blisko wody, że cudem tylko do niej nie wpadały. Starówka pięła się w górę i faktycznie na szczycie znajdowała się Madonna. No, może nie tyle Madonna, co święta Eufemia, bo to rzymska męczennica razem ze swoimi relikwiami patronowała wybudowanej na wzgórzu bazylice, charakterystycznej dzięki dzwonnicy wzorowanej na tej z kościoła Świętego Marka w Wenecji.

Po śniadaniu zasięgnęli języka w informacji turystycznej i dowiedzieli się, że wyspa Sveta Katarina należy w całości do hotelu Katarina, który funkcjonuje tylko od kwietnia do września. Poza sezonem nie działał też prom na wyspę, który normalnie kursuje kilkanaście razy dziennie, ale dostali namiary na przewoźników, którzy mogli ich zawieźć na wyspę za kilkadziesiąt kun.

Dwie godziny później stali na betonowym pomoście, patrząc na oddalającą się w stronę miasta motorówkę. Panorama Rovinja z tej perspektywy była oszałamiająca i Anatol był pewien, że w lecie tysiące turystów przeprowia się na wyspę tylko po to, żeby zrobić właśnie takie zdjęcie - wyłaniającego się z morza starego miasta, z bazyliką i jej dzwonnica górującymi nad zabudowaniami niczym latarnia morska.

Po drugiej stronie cieśniny toczyło się życie: jeździły samochody, kręcili się ludzie, z kawiarni dolatywały dźwięki jazzu. Na Świętej Katarzynie nie było życia, ruchu ani muzyki. Było tylko chlupotanie morza, niewielkie fale odbijały się niemrawo od pokrytego glonami nabrzeża.

- Trochę jak w horrorze. - Lisa zapięła pod szyję suwak kurtki. - Opuszczony hotel po sezonie, stary pałac dziwnego hrabiego, jego grób ukryty między drzewami i mroczne tajemnice. Ciekawe, co tu znajdziemy?

- Pijanego stróża, basen pełen liści i zakurzone leżaki ułożone w sterty.

Objął ją i razem ruszyli ścieżką między drzewa. Anatol był gotów wyśmiewać wszystkie lęki swojej towarzyszkii, ale sam czuł się nieswojo, wchodząc w ciemny las na odciętej od świata wyspie. Co prawda dopiero co zwiedzali i odcięte od świata wyspy, i

opuszczone ośrodki kempingowe, ale świadomość istnienia uspiętego wakacyjnego resortu faktycznie działała na wyobraźnię.

Lisa podjęła zabawę:

- A także lalkę między suchymi liśćmi na dnie pustego basenu; starą, skrzypiącą huśtawkę kręcącą się bez niczyjej pomocy; plażową piłkę spadającą powoli po schodach w naszą stronę, pac, pac, pac.

- Błada twarz chłopca ledwo widoczna za firanką - dodał.

- Para w letnich strojach na żaglówce przy pomoście. Ona wybucha głośnym śmiechem...

-...i znika, jak tylko odwrócisz wzrok...

-...rozlega się głośny plusk, jakby ryba rzuciła się przy brzegu...

-...i nagle ten sam śmiech dobiega z różnych stron wyspy, ktoś wzywa pomocy...

-...zaczynasz biec, żeby pomóc, i potykasz się...

-...o odcięte dziecięce dłonie, wystające z dołków na polu do minigolfa...

Wybuchnęła śmiechem.

- No nie, zepsułeś cały nastrój! Miało być strasznie, a nie groteskowo.

Wyszli z lasu na plac przed hotelem Katarina. Spojrzeli na hotel, spojrzeli na siebie i nie dało się ukryć, że są zawiedzeni. Katarina wyglądała jak typowy budynek z dykty, których tysiące stoją na wybrzeżach Turcji, Tunezji i Egiptu. Żółta fasada stanowiła skrzyżowanie stylu mauretańskiego z renesansowymi krużgankami i ośrodkiem wczasowym Bryza z jakiegoś nadbałtyckiego, śmierdzącego smażoną rybą kurortu.

Pełno tu było różnych elementów - głównie balkonów i loggii - jakby dla ukrycia faktu, że ten przybytek to po prostu blok z wielkiej płyty, tyle że z widokiem na morze. Jeśli pałac Milewskiego zamienił się w to brzydactwo dla rumianych od słońca Anglików i ich rumianych pociech, to hrabia musi się przewracać w grobie.

Projektant tego przybytku, wyznawca religii kiczu i wierny poddany Jego Wysokości Nadmiaru, upiększył jeszcze teren żywopłotkami, fontanienkami, wazonikami, gazonikami i mostkami z kutymi balustradkami.

- Ktoś tu w ogóle mieszka? - spytała Lisa.

- Chyba musi. Nie wierzę, że tak to stoi bez żadnej opieki.

- To co, sprawdzimy, czy stróż i jego rodzina nie czekają na nas w środku? Zamordowani, obdarci ze skóry, upozowani przy stole, jakby właśnie jedli śniadanie?

- A kiedy zorientujemy się, że dwa nakrycia przygotowane są specjalnie dla nas, będzie już za późno.

Pokonali mostek nad fontanienką, minęli żywopłocik i weszli w podcienie przy wejściu. Anatol położył dłoń na wahadłowych drzwiach i w tej samej chwili w środku rozległ się przeraźliwy krzyk małego dziecka. W przeciągłym, pełnym cierpienia „nieee”, zwielokrotnionym przez echo, było coś, od czego Anatolowi zjeżyły się włosy. Dorwali nas, pomyślał. Ktokolwiek nas ściga, przewidział ten ruch, pojawił się tu przed nami i zaczął mordować.

Wyobraźnia zaczęła podsuwać mu obrazy tego, co bardzo źli ludzie mogą zrobić z bezbronnym dzieckiem. Szybko otworzył drzwi i wbiegł do środka, wszystkie zmysły miał wyostrzone, z zanikającego echa próbował odczytać kierunek.

Na wprost miał recepcję, po lewej szeroki korytarz prowadzący zapewne do restauracji, po prawej schody na górę i drzwi do pomieszczeń biurowych. Rzucił się naprzód korytarzem, zerwał ze ściany kuty kinkiet, żeby mieć jakąkolwiek broń. Strzeliło iskrami, tynk posypał się na marmurową posadzkę. Po kilku krokach kolejny przesywający krzyk upewnił go, że biegnie w dobrą stronę.

Błagam, niech nie będzie za późno, pomyślał. Dziecku musiało się jakoś udać wyrwać oprawcy, ponieważ korytarz wypełnił szybki tupot małych nóżek.

- Zamorduję cię! - krzyknął po angielsku wibrujący z wściekłości damski głos.

Anatol przyspieszył, był pewien, że nigdy wcześniej nie biegł tak szybko.

- Już, kurwa, nie żyjesz!

Wybiegli jednocześnie z dwóch stron korytarza, o mało się nie zderzając. Anatolowi udało się rzucić szczupakiem, dzięki czemu o centymetry ominął biegnącego w stronę recepcji kudłatego, na oko dwuletniego chłopca. Malec nie przejął się w ogóle, powiedział Anatolowi: „pa, pa” i przyspieszył, kołysząc się na krótkich nóżkach jak nakręcana zabawka.

Za nim pojawiła się szczupła kobieta o długich, prostych czarnych włosach, w oczach miała żądzę mordy, a w ręku kolorową czapkę z pomponem.

- Wracaj tu, bachorze przebrzydły! - ryknęła i dopiero wtedy zobaczyła leżącego na podłodze Anatola, dyszącego z emocji i wysiłku, kurczowo trzymającego w ręku wyrwany ze ściany kinkiet.

Oczy rozszerzyły jej się z przerażenia i nie wiadomo, jak cała sprawa by się zakończyła, gdyby nie pojawiła się Lisa, niosąc na barana roześmianego chłopca.

9

Serhij zamówił poczwórną małą czarną, jakby chciał udowodnić im, że jest twardzielem, który wszystko robi z przesadą. Jak wódka, to na umór. Jak kawa, to do zawału. Wypił duszkiem.



- Spójrzcie - powiedział i położył przed nimi powiększoną do rozmiarów A4 reprodukcję starego czarnobiałego zdjęcia.

Musiało być przedwojenne i wyglądało jak efekt bożonarodzeniowej sesji, która wymknęła się spod kontroli. Duże mieszczańskie wnętrze dość szczelnie wypełniał bogato nakryty stół. Urodzaj potraw był taki, że można by pewnie ułożyć książkę kucharską przedwojennego Lwowa tylko na podstawie tej jednej fotografii.

Drugi plan zajmowała duża, dziwacznie przystrojona choinka. Górna połowa była zarzucona ozdobami, jakby ktoś chciał mieć to jak najszybciej z głowy. Dolna natomiast zdradzała ciężką, systematyczną pracę, bombki były symetrycznie rozmieszczone, papierowe łańcuchy ułożone jak na wystawie sklepowej. Lorentz pomyślała, że musiało to być dzieło na oko dziesięcioletniego, naburmuszonego chłopca, który w swoim śmiesznym mundurku z rogatywką stał obok choinki, a minę miał tak śmiertelnie poważną, jakby trzymał wartę na najważniejszym odcinku frontu.

Chłopiec był jedyną poważną postacią na zdjęciu, wszyscy inni wyglądali na rozbawionych, jakby sesja się przedłużała i trudno im było zachować powagę. Po lewej stronie siedziały dwie stateczne pary w wieku około pięćdziesięciu paru lat. Wszyscy czworo z komicznie zaciśniętymi ustami, próbujący nie wybuchnąć śmiechem po udanym żarcie: „bo pan fotograf naprawdę nie ma już czasu na takie zabawy”. Po drugiej stronie stołu siedziała rozbawiona młodzież w wieku około dwudziestu, trzydziestu lat i absolutnie nie starała się ukryć wesołości, zaśmiewając do łez.

Fajne zdjęcie, pomyślała Lorentz. Tylko przydałaby się legenda.

- Co widzicie na tej fotografii - wymówił „fotografiji” - to jest tradycyjne żydowskie Boże Narodzenie, Lwów, roku Pańskiego 1931.

- Jaja sobie robisz? - spytał Karol.

- Wcale a wcale. Na oryginale jest data z tyłu napisana.

- Nie mówię o dacie. Tradycyjne żydowskie Boże Narodzenie? Zapalają szabasowe świece, a potem dzielą się opłatkiem i śpiewają kolędy?

- Co ja poradzę? Tu był Lwów, tu wszystko było możliwe. Jest choinka, jest grudzień, jest Boże Narodzenie. A przy stole prawie same Żydy. Polskie, katolickie Żydy.

Karol ukrył twarz w dłoniach. Lorentz uznała, że roztrząsanie narodowych i religijnych wyborów mieszkańców Lwowa nigdzie ich nie zaprowadzi.

- Po prostu powiedz, kto to jest.

- Dobrze - powiedział Serhij. - Mówię, kto jest kto. Tak myślę, że wam będą te wszystkie nazwiska lepiej znane niż mnie.

Spojrzeni jednocześnie na Ukraińca, a potem na siebie. Żadna twarz na zdjęciu nie wydawała im się znajoma.

- Po lewej stronie siedzą państwo Heschelowie i państwo Lemowie, rodzina. To mieszkanie, jak i cała kamienica należały właśnie do Lemów, Samuel Lem był znanym lekarzem, laryngologiem bodaj, ale mogę się mylić. - Serhij spojrzał na nich przepraszająco. - Wybaczcie, ale miałem tylko pół dnia na poszukiwania.

Lorentz skinęła łaskawie głową, myśląc jednocześnie, że jeśli ktoś na całym świecie zasługuje na miano specjalisty, to właśnie Serhij. A to był dopiero początek rewelacji.

- Chłopczyk o twarzy zapowiadającej albo geniusza, albo seryjnego mordercę to syn doktora, mały Stasio Lem, jak widzicie po mundurku, właśnie zaczął chodzić do gimnazjum.

- A te dwie pary?

- Gość z wąsem to Marian Hemar, poeta, tutaj postać dość znana, bardzo kochał Lwów. Syn państwa Heschelów i brat cioteczny Stasia Lema. Rodzice mi o nim opowiadali, wiecie? Ojciec jak się napił, zawsze to śpiewał - Serhij zaczął nucić pod nosem - Kiedy znów zakwitną białe bzy... z brylantowej rosy, z wonnej mgły... - Lorentz była zdumiona, Serhij tak udanie naśladował Mieczysława Fogga, jakby ćwiczył to latami. - W parku pod platanem... pani siądzie z panem... i tak dalej, i tak dalej, nieważne. - Odchrząknął zawstydzony. - A ten roześmiany przystojniaczek obok Mariana to jego wielki przyjaciel, a jednocześnie poszukiwana przez was osobistość, doktor Henryk Aszkenazy.

Zofia i Karol jednocześnie pochylili się nad fotografią, nazwisko podziało na nich jak magnes.

Henryk Aszkenazy, człowiek widmo, większość historyków kwestionowała jego istnienie, ponieważ wszystkie wątle przekazy pojawiające się w źródłach składały się na obraz bohatera legendy, a nie człowieka z krwi i kości.

W Szwecji Lorentz opowiedziała im o nim wszystko, co udało jej się wygrzebać z zakamarków pamięci.

Podobno był sierotą, wychowankiem żydowskiego domu dziecka we Lwowie. Ale czy był Żydem? Może Polakiem lub Ukraińcem pozostawionym na schodach sierocińca. Nie wiadomo.

Podobno w bardzo młodym wieku dorobił się wielkiej fortuny. Było to zaraz po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Ktoś sugerował, że dorobił się na handlu z Rosjanami. Ktoś - że z Niemcami. Ktoś inny utrzymywał, że był młodym kochankiem i protegowanym jakiejś wielkiej kresowej arystokratki, która przekazała mu majątek. Niektórzy uważali, że był wysoko opłacanym radzieckim szpiegiem.

W każdym razie w pewnej chwili mężczyzna pojawił się na arenie przedwojennej Polski jako doktor Aszkenazy. Związany ze Lwowem finansista, przemysłowiec, miłośnik sztuki. Czasy były dziwne, trochę jak w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku po upadku żelaznej kurtyny, kiedy znikąd pojawiali się mężowie stanu, finansiści, bogacze, biznesmeni handlujący jednego dnia majtkami, a drugiego łodziami podwodnymi z napędem atomowym. Polska lat dwudziestych była identyczna, czas cudów i dziwów, wszystko było wtedy możliwe. Nawet doktor Henryk Aszkenazy.

Wiadomo było, że w Warszawie mieszkał pod najlepszym adresem w mieście - Kamienicy pod Gigantami w Alejach Ujazdowskich, w najbardziej reprezentacyjnej części miasta, w samym centrum pośród wystawnych kamienic, pałaców i parków. Ale miał też - podobno, jakżeby inaczej - zamki na Ukrainie, we Włoszech i we Francji. W jednym z nich miał trzymać swoją bajeczną kolekcję sztuki. A co w niej było?

Zachowało się świadectwo znanego przedwojennego podróżnika i dziennikarza Edmunda Mikołajki, który w połowie lat trzydziestych - trochę w stylu Wańkowicza - przemierzał Kresy, starając się w reportażach oddać ducha czasów, ziemi i ludzi. Był pisarzem o nieco gorszym od Wańkowicza i jego grafomański, egzaltowany dorobek nie przetrwał próby czasu, ale jeden fragment był interesujący. Mikołajko opisywał wizytę we lwowskiej rezydencji doktora Henryka, znanego warszawskiego finansisty, wiceprezesa Banku Dyskontowego Warszawskiego. Podekscytowany relacjonował, że pod strasznymi groźbami musiał przysiąc, że nie opisz ani nie rozpowie nikomu, gdzie dokładnie jest rezydencja i co w niej dokładnie widział. A były tam „i dzieła mistrzów starych z Holandii, i najlepsze płótna polskich malarzów, których nigdzie indziej nie uświadczysz, a także niezwykle obrazy francuskie, które wydawały się w ciemny dzień jesienny rozświetlać przepyszne wnętrza doktorowskiego zamku, jakby udało mu się słońeczko jasne schwytać, w klatce zamknąć i pod pełnym ornamentów sklepieniem zawiesić”.

Niestety to jedna z zaledwie dwóch konkretnych informacji o kolekcji doktora. Druga przynajmniej pozbawiona była balastu mitomanii i grafomanii, ponieważ pochodziła z archiwum Muzeum Narodowego w Warszawie. Był to urzędowy kwitek, zaświadczaający, że w 1938 roku „Jaśnie Wielmożnemu Panu Dyrektorowi Doktorowi Henrykowi Aszkenazemu zostały zwrócone trzy arcydzieła A. Gierymskiego, wypożyczone dzięki uprzejmości Szanownego Pana na wystawę artysty”.

Wiadomo, że jednym z tych obrazów był słynny Chłopiec niosący snop. Wiadomo, że taki obraz istniał, namalowany przez Gierymskiego w Bronowicach. Wiadomo, że kupił go hrabia Milewski. A potem obraz wpisano na listę strat wojennych. Chłopiec ze snopem

narobił niezłego zamieszania, kiedy pojawił się zniecka na warszawskiej aukcji w 2004 roku. Aukcję natychmiast wstrzymano, ale śledztwo wykazało, że nikt tu nikomu niczego nie zrabował, a obecny właściciel odziedziczył obraz po ojcu, który z kolei kupił go w pierwszych latach okupacji od „żydowskiego arystokraty doktora Aszkenazego, który pilnie potrzebował gotówki”. I tyle.

Przy okazji afery Lorentz próbowała się dowiedzieć więcej przez zaprzyjaźnionego dziennikarza, ale śledztwo zamiast rzucić na postać nieco światła, tylko dodało jej tajemniczości. Otóż okazało się, że doktor Henryk Aszkenazy zasiadał przed wojną w zarządach trzydziestu wielkich polskich spółek. Jak na szarą eminencję przystało, nigdy w fotelu prezesa - zazwyczaj wiceprezesa albo członka zarządu. Na liście firm płacących mu pensję był wspomniany Bank Dyskontowy, ale też Bank Hipoteczny, Lwowskie Browary, Huta Pokój w Katowicach, Bank Zachodni, krakowska Fabryka Maszyn i Wagonów i wiele innych. To nie były firemki, to były ekonomiczne filary przedwojennej polskiej gospodarki. Nie byłoby przesadą stwierdzenie, że z punktu widzenia skarbu państwa doktor Henryk Aszkenazy był najważniejszą osobą w Drugiej Rzeczypospolitej.

A mimo to nikt nic nie wiedział. Jak wyglądał, ile miał lat, co robił, gdzie bywał, co się z nim działo w czasie okupacji i czy przeżył Zagładę. Same znaki zapytania.

Teraz jeden znak zapytania mniej, pomyślała Lorentz, patrząc na twarz na zdjęciu. Była zaskakująco młoda, nie wiedzieć czemu zawsze wyobrażała sobie Aszkenazego jako sędziwego starca w trzyczęściowym garniturze. Tymczasem mężczyzna na zdjęciu miał koło trzydziestki, wesołą urodę wiecznego chłopca i wcale nie wyglądał na rekina finansjery. Raczej na firyka z bogatego domu, który zajmuje się wydawaniem rodzinnej fortuny.

Jego towarzyszka, uchwycona w momencie, kiedy roześmiana odchyła głowę do tyłu, cieszyła się ekspansywną urodą Kaliny Jędrusik. Nawet na tej ziarnistej, starej fotografii, uchwycona przypadkiem i tak naprawdę w niekorzystnej pozie, wprost kipiała seksapilem. Musiała należeć do tych kobiet, którym wystarczyło być, żeby siać zamęt.

- A kim jest ta kocica? - zapytał Karol, pukając palcem w dekolt towarzyszkę doktora Aszkenazego.

- Olha Bortnik - odpowiedział damski głos za ich plecami. - Niezła, co nie?

Odwrócili się jednocześnie. Obok ich stolika stała kobieta koło sześćdziesiątki, o wyglądzie emerytowanej nauczycielki literatury. Brązowa garsonka oproszona świeżym śniegiem, grube rajstopy, skórzane botki na niewysokim obcasie. Minimum elegancji, maksimum prostoty i praktyczności. Ani ładna, ani brzydka. Zwyczajna, zmęczona, z worami pod oczami. Lorentz pomyślała, że to typowa przedstawicielka swojego pokolenia. Urodziła

się pewnie w połowie lat pięćdziesiątych, całe jej dzieciństwo i najlepsze lata dorosłego życia przypadły na szare i beznadziejne sowieckie czasy. Kiedy Ukraina odzyskała niepodległość, zapewne wiele obiecywała sobie po zmianach, ale szybko okazało się, że niewiele się zmieniło, tyle że wcześniej była biedna jak reszta, a teraz jest od reszty biedniejsza. Lorentz zerknęła na jej dłonie. Bez obrączki, bez śladu po obrączce. Albo rozwódka, albo wdowa od dawna.

- Przepraszam, kim pani jest? - zapytała Lorentz trochę ją, a trochę Serhija.

- Wnuczką tej pary - odparła, wskazując towarzyszkę Aszkenazego. Karol i Zofia wymienili się zdumionymi spojrzeniami. Lorentz pierwsza doszła do siebie.

- Niesamowite. Czy jest szansa, żeby opowiedziała nam pani o babci? I jej mężu? Narzeczonemu? Przepraszam, nie mam pojęcia, jakie łączyły ich relacje.

Kobieta patrzyła na nią bez słowa przez dłuższą chwilę.

- Sama niech ją pani zapyta - powiedziała w końcu Ukrainka.

- Słucham?

- Nie potrafię powiedzieć tego jaśniej. - W głosie kobiety pojawiły się nutki irytacji i Lorentz odniosła nieprzyjemne wrażenie, że patrzy w lustro pokazujące ją samą za trzydzieści lat.

- To znaczy, że pani babcia żyje? - odezwał się Karol.

- Żyje. Możecie się z nią spotkać, jeśli chcecie. - Wzruszyła energicznie ramionami, jakby chciała zasugerować, że potrafi wyobrazić sobie lepsze rozrywki.

- Dzisiaj? - zapytała Lorentz, wstydząc się myśli, że staruszka musi mieć około stu lat, więc lepiej nie odkładać tego spotkania na później.

- Jutro. Dzisiaj z babcią oglądamy filmy.

Jej ton sugerował, że będą to reportaże o ludobójstwach. Nie wiedzieli, co powiedzieć.

- To super, że starsza pani lubi kino - rzucił Karol, żeby przerwać nieznośne milczenie. - Pewnie jakaś klasyka, lata młodości, może Przemięło z wiatrem<sup>7</sup> Albo Casablanca<sup>7</sup>

Sześćdziesięcioletnia wnuczka westchnęła.

- Lata młodości babci to Metropolis, jak szła Casablanca, to już była w średnim wieku. A dzisiaj oglądamy Władcę Pierścieni. Babcia chce sobie przypomnieć przed Hobbitem.

Tym razem cisza była tak długa, że sama wnuczka pani Olhi zdecydowała się ją przerwać.

- Lubi fantasy - powiedziała.

Zostali zaproszeni do ogromnej hotelowej restauracji, usiedli przy stoliku pod ścianą, zamienionym w prowizoryczny bufet, na blacie było kilka opakowań herbaty, kawa rozpuszczalna, mleko, czajnik elektryczny i kilka książek. Wendy naląa wszystkim herbaty i odruchowo dołąa mleka.

- Ojej, przepraszam, odzwyczałam się od gości. Mogę wam zrobić jeszcze raz.

Oczywiście zaprzeczyli, skądże znowu, uwielbiają herbatę z mlekiem.

Wendy była Brytyjką, mamą półtorarocznego Charliego i żoną chorwackiego pisarza Żeljko Violicia. Szczupła, zwiewna, średnio atrakcyjna, wydawała się stale pogrążona we własnych myślach i nieco oderwana od rzeczywistości. Co mogło być cechą jej charakteru, a mogło być efektem tego, że od dwóch miesięcy siedziała w widmowym hotelu na adriatyckiej wyspie, razem ze specyficznym małym chłopcem i tajemniczym mężem, o którym kilka razy wspomniała jedynie, że pracuje i pod żadnym pozorem nie wolno mu przeszkadzać.

W pierwszej chwili Anatol zdziwił się, dlaczego Wendy nie prowadzi ich do służbowego mieszkania lub biura, gdzie musiało być przytulniej niż w pustych pomieszczeniach przystosowanych do obsługi setek gości. W restauracji zrozumiał. Wendy zorganizowała tutaj kąt dla siebie, a resztę zamieniła w poligon dla Charliego. Wiele godzin musiało jej zająć ustawienie wszystkich krzeseł i stołów w ten sposób, że stanowiły nieregularne ogrodzenie. W środku było jeszcze kilka stołów i krzeseł, a poza tym jakieś skrzynki, miski, garnki i trochę bezpiecznych narzędzi kuchennych w rodzaju drewnianych szpatulek i chochli.

Wendy, widząc ich zdziwione spojrzenia, wytłumaczyła że odkąd stworzyła spacerniak (naprawdę użyła sformułowania jailyard), było jej o wiele łatwiej. Wcześniej miała do wyboru albo siedzieć z Charliem w małym mieszkaniu, co ich oboje doprowadzało do szału, albo ganiać się z nim po korytarzach, drżąc z obawy, że jej ucieknie i schowa się w najbardziej niewłaściwym i niebezpiecznym dla niego miejscu.

- Dziad jest sprytny - zwierzała im się szeptem, jakby Charlie, w tej chwili mieszkający w garnku zupę z gumowych zwierzątek, mógł ją usłyszeć i wymierzyć potem srogą karę. - Kiedyś go przyłapałam, jak schował się za doniczką, usiadł i tak siedział nieruchomo przez pół godziny, żebym go nie znalazła. Wyobrażacie to sobie? Pół godziny, jakie dziecko jest zdolne do czegoś takiego? Wiedziałam, gdzie jest, sama schowałam się za filarem i czekałam, co będzie dalej. Myślałam, że zaraz zacznie biegać i wołać: „mama, mama!”. Ale nie - Charlie porzucił zupę i spojrzał czujnie w ich stronę, Wendy zniżyła szept do ledwo słyszalnego - dopiero po półgodzinie wyszedł ostrożnie, przeszedł przez cały hotel do kuchni, przysunął sobie skrzynkę, otworzył lodówkę i wyjął z niej kawał surowego mięsa.

- I zjadł? - zapytał Anatol równie dramatycznym szeptem.

- Bez przesady, to jest dziecko, a nie jakiś zombi. - Wendy wyglądała na urażoną. - Rzucił na podłogę, a potem zaczął wyrzucać całą resztę.

- Ba, ba? - Rozległo się tuż obok nich. Anatol i Lisa drgnęli.

- Tak syneczku, mamunia opowiada, jaki jesteś słodki. Idź pobaw się zwierzątkami? Gdzie słonik? Gdzie trututu? Gdzie jest?

Charlie popatrzył na nich przez chwilę oczami doświadczonego przez życie dorosłego człowieka, po czym rozłożył rączki, zawołał: „dziejejest, dziejejest” i pobiegł szukać słonika.

Opowiedzieli Wendy o hrabim Milewskim, o jego przygodach, pałacu i kolekcji polskich malarzy, sprawę impresjonistów na wszelki wypadek dyskretnie pominęli. Wendy słuchała zafascynowana, komentując opowieść anglosaskimi ochami i achami. Niestety kiedy powiedzieli, że szukają śladów hrabiego, wzruszyła bezradnie ramionami. Nie słyszała o strychach, piwnicach, archiwach ze starymi dokumentami, obrazów tym bardziej żadnych nie widziała. Ściany w pokojach i korytarzach zdobiły pocztówkowe zdjęcia Chorwacji, gdzieś widziała też jakieś grafiki albo rysunki węglem, trudno jej powiedzieć, bo się nie zna. Ale na pewno żadnego malarstwa.

- Musicie porozmawiać z moim mężem - powiedziała. - Ja pilnuję dziada, ale on jak nie może pisać, to chodzi po korytarzach, chyba każdy kąt już tutaj zwiedził, myślę, że w pustym basenie też już był. Jeśli coś tutaj jest, to on na pewno to widział. Poza tym ja jeszcze słabo znam chorwacki, a on może zadzwonić do właścicieli, może coś wiedzą.

Charlie skończył z zupą, skończył też ze słonikiem, szalał teraz w najodleglejszym z ich punktu widzenia kącie swojego spacerniaka, raz za razem rozpędzając się i uderzając w tapicerowane oparcie jednego z krzeseł, które składały się na ogrodzenie. To mogło wyglądać na radosną dziecięcą zabawę, ale nią nie było. Charlie uderzał w to samo miejsce i ciężkie krzesło za każdym razem przesunęło się o milimetr. Mały chłopiec realizował plan ucieczki z pieczołowitością więźniów, przegrzebujących się łyżeczkami przez żelbetowe ściany.

- Czasami się go boję - powiedziała cicho Wendy. - Niby biega i śmieje się jak każde dziecko, ale on się nigdy nie bawi tak naprawdę. On realizuje jakiś plan.

- A czy moglibyśmy porozmawiać z mężem? - spytała Lisa.

- Mąż teraz pracuje. - Wendy unikała ich wzroku i Anatol poczuł się nieswojo.

- A czy będzie miał kiedyś przerwę? Nie zajmujemy mu dużo czasu, a proszę nas zrozumieć, że mamy za sobą naprawdę długą podróż, i gdyby udało się choć na chwilę...

- Charlie!

Zerwała się i rzuciła sprintem przez jadalnię, ponieważ chłopcu udało się w końcu

przesunąć krzesło na tyle, aby wyrwać się na wolność.

Chwilę potem wróciła, trzymając na ręku wijące się i drące się wniebogłosy dziecko. Zrozpaczone, że po raz kolejny zniweczono jego plan zapanowania nad światem.

- Mam propozycję - powiedziała. - Żeljko pracuje w drugim budynku, codziennie ma przerwę od dziewiątej rano do dwunastej, wtedy noszę mu jedzenie na cały dzień. Zostańcie do jutra, mamy tutaj jakieś trzy setki pokoi gościnnych, więc miejsce jest. Kuchnia zaopatrzona, bar co prawda zamknięty, ale mam butelkę szkockiej na czarną godzinę. Przez ten czas możecie się rozglądać tutaj i po wyspie. Co wy na to?

Oczywiście zgodzili się, nawet jeśli każde z nich niezależnie przypomniało sobie wszystkie horrory o czerwonych oberżach.

- Pod jednym warunkiem. - Wendy powiedziała to takim głosem, że nawet Charlie przestał się szamotać na jej rękach. - Że nie będziecie wchodzili do starego domu na wzgórzu ani w ogóle nie będziecie się do niego zbliżali. Obiecujecie?

Obiecali, choć oboje pomyśleli jednocześnie, że może jednak lepiej by było wrócić do Rovinja na kolację i nocleg. Ale zostali.

11

Miała potwornego doła. Na kolację znowu zamówiła kawałek tortu Sachera. Myślała, że to jej poprawi humor, ale nie poprawiło. Dziobała widelcem w ledwo napoczętym deserze i nie mogła przestać myśleć o tym, jak bardzo się czuje stara, samotna i zbędna. Staroświecka, podłużna sala restauracyjna hotelu Wideń świeciła pustkami, nie licząc jej i nudzącej się za barem kelnerki. Nie mogła przestać myśleć o tym, że jedyne, co ją spotka w Wigilię, to wizyta u stuletniej kobiety. W obcym kraju, w obcym mieście, w towarzystwie tego drania, który miał być miłością jej życia i którego obecność tylko wzmagiała dotkliwą świadomość wszystkich rzeczy utraconych i nieosiągniętych.

Nie dokończyli swojej rozmowy wczoraj, nie dokończyli jej dzisiaj. Karol poszedł do znajomych, a ona została, wymawiając się bólem głowy. Sama nie wiedziała dlaczego. Nie miała ochoty przebywać wśród ludzi? Nie miała ochoty na towarzystwo Karola? Czy może panicznie bała się tego, że mogliby dokończyć rozmowę?

Powinna zadzwonić do rodziców, ale nie miała siły na słuchanie pretensji i wymówek. Tym bardziej że wszystkie byłyby uzasadnione, tak samo beznadziejna z niej była córka, jak beznadziejna narzeczona. Pewnie jako matka byłaby tak samo do niczego.

Musiał być jakiś powód, dla którego najbliższymi jej osobami były nieme postaci ze starych płócien. Dobrzy przyjaciele, zawsze chętnie wyrażający milczącą aprobatę spod werniksu. Dokładnie tacy, jakich potrzebowała.



Trzasnęły drzwi wejściowe przy recepcji, zawiało chłodem. Usłyszała kroki wbiegającego energicznie po schodach człowieka, który głośno gwizdał znajomą melodię. Przez chwilę szukała w pamięci, co to jest, kojarzyło jej się z telewizją, mężczyzną w ciemnych okularach, czarnobiałymi polskimi filmami.

Gwizdanie już cichło gdzieś w korytarzach hotelu Wideń, kiedy w końcu zębatki wskoczyły na swoje miejsce. Oczywiście, cóż innego mógłby gwizdać ten drań niż nieśmiertelny szlagier Hemara.

Jak to szło? Chwilę szukała w pamięci.

Może kiedyś innym razem, dziś na razie nie... na, na, na, na, coś tam, coś tam... dziś jest jeszcze źle... Dni się robią coraz krótsze, może jutro lub pojutrze, w każdym razie dzisiaj nie.

Wściekła, odsunęła od siebie gwałtownie talerz i wstała z mocnym postanowieniem, żeby dogonić Karola Boznańskiego i powiedzieć mu dobitnie, co sądzi o jego nieznośnych podtekścikach.

Ale to by oznaczało zapewne dokończenie wczorajszej rozmowy.

Dlatego usiadła i czekała cierpliwie, aż złość jej przejdzie.

12

Lisa Tolgfors i Anatol Gmitruk spędzili bardzo przyjemny wieczór z Wendy, która zaraz po tym jak Charlie usnął, przeszła gwałtowną metamorfozę, zamieniając się z wystraszonej, zaszczutej kobiety w inteligentną i błyskotliwą duszę towarzystwa, przy szkockiej zarzucającą ich mnóstwem opowiadanych z angielskim dystansem anegdot.

Bawili się świetnie, choć oboje odnotowali, że żadna z opowieści Wendy nie dotyczyła ani Charliego, ani Żeljko, tajemniczego chorwackiego literata, zaszytego w domu na wzgórzu.

Dom widzieli w czasie spaceru po wyspie i uznali, że to musi być właściwa rezydencja hrabiego. Dość dokładnie obeszlili hotel i byli pewni, że to niemożliwe, by jakakolwiek część wypoczynkowego przybytku powstała wcześniej niż w latach siedemdziesiątych. Przetrzęsnęli magazyny, przeszukali segregatory i teczki w biurze, zajrzeli w każdy kąt, który ktoś mógł wykorzystać do przechowania starych papierzysek. Nie było absolutnie nic i wizyta w domu na wzgórzu stanowiła ich ostatnią szansę na znalezienie tutaj czegokolwiek.

Lustracja okolicy też nie przyniosła żadnych rewelacji. Część parku wyglądała na stare założenie ogrodowe, w jednym miejscu była tajemnicza morska grotka, w innym coś, co wyglądało jak pętla autobusowa z wiatą i rondem pośrodku - dość osobliwa konstrukcja na

wyspie o długości sześciuset metrów. Okrążyli stary dom ukryty między drzewami i choć korciło ich, żeby zignorować neurozy Wendy i wejść do środka, to dali sobie spokój. Jedna noc ich nie zbawi, a głupio było ryzykować, że literat ich pogoni, zamknie zasuwę i jeszcze wezwie policję, że go jacyś obcy nachodzą.

Pozostałą część nocy spędzili na ganiu się nago po korytarzach hotelu i seksie w różnych kuriozalnych miejscach, z czego najdziwniejszy i najbardziej pobudzający był ogromny chromowany blat w hotelowej kuchni. Każdy ich ruch wprowadzał konstrukcję w lekkie drgania, które nakładały się na siebie, i to, co na początku było lekkim podzwaniem zawieszonych na okapie garnków i patelni, przy szczytowaniu zamieniło się w kuchenną symfonię szaleńczego łomotania i dzwonienia. Niezapomniane przeżycie.

Lisa już spała, kiedy Anatol tak jak poprzedniej nocy wyszedł na taras. Przed sobą widział pogrążony we śnie, ślicznie oświetlony i świątecznie udekorowany Rovinj, który odbijał się w falującej wodzie. Po prawej między drzewami czerniała bryła pałacu Milewskiego, czyli domu na wzgórzu. W ustach Wendy to określenie brzmiało jak tytuł filmu grozy.

Z tej strony nie widział zapalonego w oknie światła. Doskonale za to słyszał nieprzerwany stukot maszyny do pisania. Po kilku minutach Anatol nauczył się już rozpoznawać jej rytm. Najpierw monotonne stukanie, potem suchy trzask przy zmianie linii i znowu stukanie. Przy dialogach było mniej stukania i więcej trzasków. Chwile ciszy musiały oznaczać albo momenty na zastanowienie się, albo czas na zmianę kartki.

Wrócił do łóżka. Było na tyle ciepło, że zostawił okno otwarte i cichy stukot towarzyszył mu, aż nie zasnął. Przed zaśnięciem Anatol pomyślał jeszcze, że trzeba być albo masochistą, albo pretensjonalnym grafomanem, żeby w dwudziestym pierwszym wieku używać maszyny do pisania.

13

Olha Bortnik mieszkała w kamienicy na ulicy Maksyma Kryranosa, na zboczu Wysokiego Zamku. Lorentz spojrzała tylko wymownie na Karola, kiedy podawał adres taksówkarzowi, ale nic nie powiedziała.

Karol wzruszył ramionami. Bo to rzadko w historii się zdarzało, że bohaterowie jednego narodu dla innych są terrorystami? Starczy wspomnieć Piłsudskiego. Faktycznie Krzywonos był kozackim pułkownikiem, jednym z głównych przywódców antypolskiego powstania

Chmielnickiego, zasłużonym w zdobywaniu Baru, Krzemieńca i właśnie Wysokiego Zamku we Lwowie. No i co z tego? Kto jak kto, ale akurat Polacy, którzy sami całą swoją

tożsamość narodową zbudowali na mniej lub bardziej bezsensownym powstawaniu przeciw okupantowi, powinni przyznać to prawo narodom, które sami okupowali.

Daewoo lanos (wyglądało na to, że wszystkie lanosy i nubiry z polskich ulic trafiły do Lwowa) w kilka minut zawiózł ich pod wskazany adres, żądając w zamian dwudziestu hrywien, czyli śmiesznej kwoty kilku złotych. Wysiedli przed dwukondygnacyjną, skromną kamienicą, która jako żywo przypominała zabudowę krakowską.

Bortnik mieszkała na wysokim parterze, zaraz koło schodów. Jej wnuczka - ciągle nie wiedzieli, jak się nazywa - czekała w drzwiach i wciągnęła ich bez słowa do środka, zanim zdążyli się rozejrzeć po klatce schodowej. Karol odnotował jedynie to, co odnotowywał zawsze w kamienicach w Krakowie - nieprzyjemny, wilgotnodrożdżowy smród stęchlizny tak dojmujący, jakby wszędzie paliły się świece zapachowe o aromacie „galicyjska piwnica”. Nie cierpiał tego, miał wrażenie, że go ten smród oblepiał, zawsze po wizytach u krakowskich marszandów i kolekcjonerów wrzucał wszystkie ciuchy do pralki.

W mieszkaniu pachniało inaczej i to było bardzo przyjemne zaskoczenie. Pachniało pieczonym mięsem, piernikiem i starym człowiekiem. Każdy z tych zapachów był tak intensywny i charakterystyczny, że nawet wymieszany z innymi był całkowicie rozpoznawalny. Karol uznał, że starsza pani musi mieszkać z wnuczką, szczerze wątpił, że stulatka krząta się przy kuchni.

- Bardzo pani dziękujemy - zaczęła Lorentz, ale wnuczka tylko machnęła ręką i skrzywiła się, co mogło znaczyć, że nie ma o czym mówić. Karolowi przyszło do głowy, że być może wnuczka pani Bortnik zaczęła się nią kiedyś opiekować w nadziei, że po jej śmierci odziedziczy mieszkanie, na pierwszy rzut oka dość ładne i przestronne. Jeśli tak, to gorzko się przeliczyła.

Wyobrażał sobie, jak mina pani wnuczki zmienia się na rodzinnych zdjęciach przy każdym kolejnych urodzinach staruszki. Osiem dziesiąte, osiemdziesiąte piąte, dziewięćdziesiąte, dziewięćdziesiąte piąte, w końcu setne, uroczyste. Koło staruszki pozuje mer Lwowa, a pani wnuczka dzierży w rękach ogromny bukiet i zastanawia się, gdzie, do diabła, jest jej życie.

Parsknął śmiechem, na co wnuczka odwróciła się z miną, jakby sprofanował Najświętszy Sakrament. Dla niepoznaki pociągnął nosem i wskazał na niego przepraszająco. Wnuczka zabrała ich płaszcze i poprowadziła korytarzem do salonu.

Lorentz szła pierwsza, ale nagle stanęła w drzwiach i gwałtownie się cofnęła. Świetnie, czyli babcia nie jest w kwitnym stanie, pomyślał Karol i przygotował się na straszny widok osoby bardziej przypominającej trupa niż żywego człowieka. Szpitalne łóżko,

skóra obciągnięta na kościach, trzy włosy na pokrytej wrzodami czaszce, artretyczna ręka ze wstrętnymi, poźółkłymi pazurami kurczowo zaciśnięta na krucyfiksie. Nienawistne rżenie ledwo słyszalne przez ciurkanie moczu, który przesącza się przez materac i kapie na podłogę. Kiedyś wnuczka podstawiała kaczkę, ale po trzydziestu latach dała spokój.

Stanął w progu dwuskrzydłowych drzwi, taki mniej więcej obraz mając przed oczami.

I cofnął się o krok.

W salonie był potwór.

Na wysokości jego twarzy wisiała olbrzymia, wielkości beczki na kiszone ogórki, głowa monstrem o przekrwionych czerwonych ślepiach, gorylich chrapach i długich, zwisających smętnie uszach. Cała głowa była pokryta szarą sierścią i gdyby nie te chrapy i długi pysk, byłoby w potworze coś psiego, przede wszystkim dzięki uszom, wyglądającym jak uszy spaniela. Dalej nie było lepiej, głowa przechodziła płynnie we włochatego, pluszowego węża, który był podwieszony pod sufitem, okrążając w ten sposób prawie cały salon.

Było to naprawdę niecodziennie i obrzydliwe, choć lepsze niż krogulcze paznokcie zaciśnięte na krucyfiksie. Poza tym... Zmarszczył brwi, ponieważ potwór wydawał mu się znajomy, w sympatyczny sposób budził wspomnienia z dzieciństwa.

- To Falkor! - krzyknął.

- Słucham? - Lorentz wyglądała, jakby natychmiast chciała opuścić to miejsce.

- Falkor z Niekończącej się opowieści, nie pamiętasz? Chłopiec zaczyna czytać książkę o świecie pożerany przez nicość, gdzie jest ten drugi chłopiec, który musi ocalić księżniczkę, chorą od nicości, i pomaga mu, ja wiem, chyba smok, ale tak naprawdę latający pies, właśnie Falkor. Naprawdę nie pamiętasz? I kazał mu się drapać za uchem, to najlepszy moment. I piosenka tego tlenionego gościa z Kajagoogoo... Albo jak mu ukochany koń umiera na bagnach? To największe wzruszenie mojego dzieciństwa! Ten chłopiec ciągnie konia i na początku myśli, że zwierzę się leni, i z niego żartuje, potem chce mu pomóc, a on z takim spokojem zapada się coraz niżej i chłopiec już wie, że go nie uratuje. Błaga, żeby spróbował, żeby się nie podawał smutkowi... Bo to są bagna smutku, rozumiesz? I mówi mu, że go kocha...

- Karol. Przerażasz mnie. Przestań.

- Nic nie rozumiesz, nie widziałas tego na wideo, cały tydzień płakałem, jak się ten koń nazywał...

- Artax - odpowiedział głos zza Falkora.

I zza zakurzonego pluszu wyjechała na elektrycznym wózku inwalidzkim Olha

Bortnik. To było dobre wejście.

Kobiety starzeją się w różny sposób, w zależności od typu osobowości i typu urody. Te o typie milutkiej dziewczyny z sąsiedztwa zamieniają się w białe jak gołąbek starsze panie o miłym uśmiechu, typ babci, o której marzy każdy wnusio. Wieczne brzydulki w typie Glenn Close szlachetnieją i zamieniają się w przystojne starsze panie o urodzie ruskich hrabianek. Najlepiej mają Królowe Śniegu w typie Lauren Bacall, które mogą mieć i dwieście lat, a i tak zawsze widać po nich ślady dawnej piękności i z tejże piękności dumę. Czas najgorzej obchodził się z tymi, które za młodu były apetycznymi paczuszkami w stylu Kaliny Jędrusik albo Elizabeth Taylor. Te nie dość, że zamieniają się w utyte matrony, to jeszcze często bardzo długo nie zauważają, że z seksapilem jest jak z jesiotrem - seksapil drugiej świeżości nie istnieje. A Olha Bortnik?

Przede wszystkim nie wyglądała na swoje sto jeden lat. Karol dałby jej osiemdziesiąt, osiemdziesiąt pięć. Czyli - jakkolwiek dziwnie to brzmiało w tej sytuacji - wyglądała naprawdę młodo. Nie ukrywała wieku. Włosy, niegdyś czarne, były teraz zupełnie siwe, ale brunetki nigdy nie stają się białe jak śnieg. Ich włosy zyskują kolor przydymionego srebra i taka też była upięta w krótki warkocz fryzura pani Bortnik, w kilku miejscach zachowały się nawet delikatne pasma dawnej czerni. Brwi miała tak samo czarne jak kiedyś, a poniżej świeciła największa niespodzianka jej wyglądu - oczy.

Na starym czarnobiałym zdjęciu, które pokazał im Serhij, oczy i tak miała zamknięte, a nawet gdyby nie miała, to efekt i tak rozpląnąłby się w odcieniach szarości. Oczy Olhi Bortnik nie były zamglonymi, mlecznymi oczami stulatki, które zgasły pod wpływem wszystkiego, czego się przez całe życie naoglądały. Były czujne, bystre, roześmiane, a przede wszystkim młode. Miały też kolor tak niezwykły, że Karol przyznał w duchu, co mu przyszło z jakimś trudem, że najładniejsze oczy, jakie w życiu widział - o błękitach w odcieniu tak głębokim, że wpadającym w fiolet - tkwią w pomarszczonej jak stare jabłko twarzy stulatki.

Uśmiechnął się do tych oczu i objął spojrzeniem całą siedzącą na wózku postać.

Nie można mieć wszystkiego, prawda? Wyglądało na to, że pani Olha nie pogodziła się do końca z tym, że już nie jest piękną, w której kocha się cały Lwów. Ubrana była odświętnie, w powłóczystą czarną suknię, zawiązaną na dole w supeł, żeby nie wkręciła się w koła wózka. Na szyi miała długi sznur pereł i futrzaną etolę, która litościwie zasłaniała wiszącą jak u starego indyka skórę na dekolcie. Niestety szyja była jedynym szczelnie zasłoniętym fragmentem stuletniego ciała. Poza tym suknia była na tyle delikatna, żeby nie pozostawić wątpliwości, iż po pierwsze: Olha Bortnik ma na sobie pończochy z podwiązkami; po drugie - nosi pieluchę.

Karol zrobił wszystko, żeby nie zamknąć oczu i nie przełknąć śliny. Utkwił spojrzenie w szafirowych oczach, uśmiechnął się jeszcze raz i podbiegł, żeby ucałować leżącą na oparciu wózka dłoń staruszki.

- To ulubiony film mojej młodości - powiedział.

- Tak jak i mojej. Mojej drugiej młodości.

- Czwartej chyba - mruknęła wnuczka.

- Natalko, podaj gościom czaj.

- Skąd pani go ma? - Wskazał na Falkora, myśląc, że to niemożliwe, aby wisiał tutaj oryginał.

Patrzyła na niego z uśmiechem starej arystokratki. Najwyraźniej albo nie usłyszała, albo nie zrozumiała pytania.

- Skąd pani to ma?! - Karol nachylił się i prawie krzyknął.

- To długa historia. Miałam pewien romans, niepoważny, choć w wieku bardzo już poważnym. Z sympatycznym dżentelmenem, przełożonym pracowni w teatrze lalek w Kijowie, emerytowanym oczywiście. Proszę sobie wyobrazić, że trzy razy jednej niedzieli oglądaliśmy Falkora w kinie, tak się kochałam.

- W dżentelmenie? - spytała Lorentz.

- W Falkorze. I w tej pięknej skazce. Igor był za to ogromnie zakochany we mnie. On mi zrobił Falkora, trzy miesiące warsztatu nie opuszczał. Jak prawdziwy, nie uważacie? Niestety nie przeżył, nie był już młodzieniaszkiem.

Z kuchni dobiegło ich głośne westchnienie, które mogło świadczyć o tym, że miłosne podboje babci Olhi były aż nadto eksploatowanym tematem jej rozmów. Karol podchwycił w związku z tym temat fantastyki, który wydawał się bezpieczniejszy.

- To wszystko wina tego głuptaska Stasia Lema - powiedziała w końcu staruszka, zapytana po raz czwarty o niecodzienne zainteresowania. - On przed wojną był takim słodkim dziwolążkiem, wszyscy żartowaliśmy sobie, co z niego wyrośnie. Marian mówił, że albo szalony naukowiec, który przejmie władzę nad światem, albo urzędnik pocztowy, który będzie co roku dostawał nagrodę dla najbardziej sumiennego pracownika, albo szara eminencja w rządzie dyktatora. Potem dochodziły do nas plotki, jak Staś zaczyna karierę literata, przysłał mi nawet pierwsze wydanie Człowieka z Marsa i tak mi się to spodobało! Powiem wam, że prędzej uwierzę w przybyszów niż w tego całego Boga.

W kuchni głośno szcęknęły naczynia, dźwięk zlał się w jedno z pełnym rezygnacji westchnieniem.

Babcia Olha konspiracyjnym gestem zaprosiła ich w głąb pokoju.

Pokoju, który był czymś w rodzaju świątyni lub muzeum złotej ery science fiction. Na ścianie niczym Lenin, Marks i Engels wisiały czarnobiałe portrety Lema, Dicka i Asimova. Pomiędzy nimi plakaty z Łowcy androidów, Odysei kosmicznej, Diuny i Star Trek oraz pierwszego Solaris Tarkowskiego z dedykacją i autografem „tego głuptaska Stasia”. Na żyłkach rozwieszono były modele USS Enterprise, Millennium Falcon i Gwiezdnego Niszczyciela, a na gipsowej kolumnie jońskiej - takiej, na której u starych ludzi stoi zwykle paprotka lub palemka - stała figurka Yody, wielkości rocznego chłopca. Naprawdę niezła, żadne chińskie badziewie ze śladami po wtryskarce. Karol miał ochotę zapytać, skąd to ma, ale bał się długiej historii o kochanku, który jej to rzeźbił po nocach, dopóki śmierć nie zdybała go nad biurkiem w czasie wykańczania spiczastych uszu.

- Mam swoją teorię na temat przybyszów - powiedziała Bortnik z taką pewnością w głosie, że Karol po raz pierwszy pomyślał, że mogą mieć do czynienia z wariatką. - Przybysze to ludzie z przyszłości, rozumiecie? Kiedyś ludzkość wynajdzie maszynę czasu i zacznie zaglądać w przeszłość, a dla współczesnych to będą zjawiska wielce niezrozumiałe. To będzie dla nich bolesne, obserwować śmierć i zniszczenie i nic nie móc zrobić, bo działanie oznaczałoby wpłynięcie na kontinuum. To nie będzie praca dla słabujących.

Natalka z impetem położyła na stole tacę z herbatą i makowcem, dając do zrozumienia, że czas paplania bez sensu dobiegł końca. Pora przejść do rzeczy.

- Dlaczego ciekawi was Henryk? - zapytała Bortnik, kiedy pokrótce powiedzieli, czemu zawdzięcza wizytę.

- Ze względu na jego kolekcję dzieł sztuki - odpowiedziała Lorentz. - Podejrzewamy, że miał wyjątkową kolekcję obrazów, którą nabył w latach dwudziestych od hrabiego Milewskiego na jego wyspie we Włoszech. Wiem, że to nie brzmi najlepiej, ale to podejrzenie to nasz najważniejszy trop w śledztwie. Czy wie pani może, czy Henryk miał te obrazy i co się z nimi stało?

Staruszka odwróciła się w stronę okna, jej wzrok zmętniał. Nie chcieli jej ponaglać, domyślali się, że zarówno jej sprawność psychiczna, jak i pamięć to maszyna zużyta, która nie lubi, jak się ją zmusza do wysiłku ponad siły. Karolowi przeszła przez głowę głupia myśl, że może pani Olha zwyczajnie robi w pieluchę.

- Intrygujące - powiedziała, odwracając się w ich stronę. - Kiedy wyśmiewałam jego miłość do sztuki, powtarzał, że jej nie doceniam. Że my odejdziemy, a sztuka zostanie. Że im jej więcej, tym lepiej człowiek widzi, do jakiego piękna i dobra jest zdolny, i tym trudniej będzie mu dopuszczać się zła. Dlatego trzeba o nią dbać. Tak mówił Henryk w ostatnie święta przed wojną, w tym samym pokoju siedzieliśmy, tylko bez ubrań. Żyd, który nie wierzył w

Boga, ale wierzył w sztukę i w dobro człowieka. A skończyło się tak, że jego nie ma, sztuki nie ma, idea dobrego człowieka poszła z dymem w Auschwitz, została stuletnia stara baba, która wierzyła przez całe życie jedynie w ars amandi.

Natalka westchnęła, jakby wewnątrz przenosiła olbrzymie ciężary.

- Henryk był miłością mojego życia. Taką prawdziwą miłością, która się zdarza tylko raz, wszystko przed nią to zapowiedzi, wszystko po niej marne podróbki. Akurat wy, gołąbki, na pewno wiecie, o czym mówię.

- Nie jesteśmy parą - powiedziała szybko Lorentz.

Staruszka tylko zachichotała, bryzgając śliną na swoją etolę. Natalka nachyliła się i wytarła ją kawałkiem papierowego ręcznika.

- I wydaje mi się, że ja też byłam miłością jego życia, ale z mężczyznami to zawsze jest inaczej. Henryk kochał mnie, ale kochał też sztukę i kochał Polskę. Był patriotą, bardzo gorliwym, jak wszyscy neofici.

- Ja w ogóle nie jestem Polakiem od króla Piasta - wyrecytował Karol - z krwi lechickiej, z przypadku i z metrykalnych przyczyn. Moja ambicja, że jestem... - przerwał i wskazał na uśmiechniętą Bortnik, żeby dokończyła. Czekał bardzo długo, ale w końcu zaśniedziałe tryby zaskoczyły.

- Polakiem ochotniczym. Marian pięknie to ujął. Niezwykli to byli przyjaciele, Żydzi z dziada pradziada i najwięksi polscy patrioci, jakich znałam. W takim dobrym sensie, co chcieli pielęgnować dobroć i piękno narodu, a nie rozlewać za niego krew kubłami. I niestety. Jak przyszło co do czego, to Henryk polecał ratować swoją kolekcję i swoją Polskę. Ja miałam czekać i być dobrej myśli. Ale nie doczekałam się.

- Widziała pani jego kolekcję? - zapytała Lorentz.

- Żartujesz, kochanie, prawda? Ja nie tyle ją widziałam, co z nią mieszkałam w pałacu Henryka w Podhorcach. Przy niej jadłam, przy niej czytałam i przy niej zażywałam rozkoszy cielesnych, którego to tematu przez wzgląd na ciebie, Natalko, nie będę tu roztrząsać.

- Czy może mam pani coś o nich powiedzieć?

- Były ładne.

- Ale czyje?

- Henryka oczywiście.

- Tak, ale kto je namalował? - Karol słyszał, jak spod spokojnego głosu Lorentz przebija irytacja.

- A skąd mam wiedzieć? W muzeum nie pracowałam.



Ścieżka wiodąca do domu na wzgórzu biegła zygzakiem między drzewami. Był piękny dzień, słońce, kilkanaście stopni. Takie dni nie zdarzały się w grudniu po drugiej stronie Alp. Anatol niósł na rękach Charliego, który patrzył mu w oczy, gwałtownie gestykułował i za pomocą różnych pohukiwań dawał przemowę, która brzmiała jak zaangażowana prawniczka publicystyka. Wendy niosła w dużym wiklinowym koszu prowiant dla męża, a Lisa wystawiała twarz do słońca, ranną głowę miała obwiązaną chustką w kolorowe chorwackie wzory ludowe, przypominające trochę ornamenty kaszubskie. Wendy znalazła ją dla Lisy w hotelowym magazynie letnich rzeczy.

- Wczoraj w nocy dużo stukał. To dobry znak - powiedziała Wendy takim tonem, jakby Żeljko tłukł ją po głębie za każdym razem, kiedy nie wyrabiał normy.

- Boże Narodzenie będzie spokojne. Spokój to najlepszy prezent - powiedziała, bardziej do siebie niż do nich.

Anatol pomyślał, że szkoda, że nie ma broni. Tak na wszelki wypadek. Z drugiej strony lata wojskowego treningu powinny wystarczyć na jakiegoś pisarzynę.

To bez wątpienia był budynek, którego szukali. Anatol nie znał się na architekturze, ale niewielki pałacyk, zamek raczej, na planie kwadratu w niczym nie przypominał okolicznej architektury. Dwie kondygnacje, dach o dużym nachyleniu, bardzo prosta bryła i nieomal pozbawiona ozdób - nie licząc portyku - fasada. Trochę jak miniatura Baranowa Sandomierskiego, typowa arystokratyczna polska siedziba, tyle że nad Adriatykiem.

Wendy pchnęła ciężkie drzwi i ostrożnie wsunęła głowę do środka. Krzyknęła coś po chorwacku, zapewne: „Kochanie, jestem razem z gośćmi!”, ale równie dobrze mogło to być: „Przyprowadziłam świeże mięso!” Ze środka nikt nie odkrzyknął radośnie, co wzmogło obawy Anatola. Spokojnie, powtarzał sobie w myślach, on pisarzyna, ty komandos. O ile nie ma broni, jest bez szans.

- Nie odpowiada, ale o dziewiątej możemy wejść bez pozwolenia - powiedziała do nich takim tonem, jakby sama siebie próbowała przekonać, że to prawda.

Więc weszli.

Budowla w środku nadal wyglądała jak polski dwór, tyle że potwornie zapuszczony. Sama architektura holu z krzyżowym sklepieniem, schodami i otwarciem na okrążony krużgankami dziedziniec jeszcze nosiła ślady świetności, ale nic poza tym. Niegdysiejsza drewniana posadzka zastąpiona była tanim linoleum, ściany pokrywała zielona lamperia, żyrandole zastąpiono przemysłowymi lampami w zakratowanych obudowach. Pod ścianami stały fotele połączone w trójki, które wyglądały jak wymontowane z jakiejś starej sali kinowej. Obraz nędzy i rozpaczy, zapewne właściciel uznał, że nie ma sensu remontować

starego zamku, łatwiej wybudować nowy hotel z pustaka i dykty, a zabytek przeznaczyć na skład rupieci i kwatery dla obsługi hotelu.

Anatol próbował sobie wyobrazić KorwinMilewskiego w tych wnętrzach o standardzie taniego schroniska młodzieżowego i nie starczało mu wyobraźni.

Może jak zobaczą inne pomieszczenia. Gabinet, bibliotekę, salę balową. Chociaż pewnie dawno je podzielono na małe klitki, zamieniono na magazyny czy przechowalnie.

Poczuł zmęczenie. Niemożliwe, żeby znaleźli coś w budynku, który przez kilkadziesiąt lat był ofiarą demokracji ludowej. Wyszabrowano pewnie nawet kable ze ścian, a co dopiero dokumenty, zabytki, pamiątki - o obrazach nie wspominając.

- Żeljko pracuje w sali kolumnowej - powiedziała Wendy, a Anatol wyobraził sobie ogromny stół ze stali nierdzewnej, po obu stronach piętrzące się stosy ludzkiego mięsa, przy ścianach przypięte kajdanami ofiary w różnym stadium pozbawienia życia. A Żeljko w okularach na nosie siedzi zgarbiony i szyje galanterię z ludzkiej skóry. „Zabrakło mi na pasek”, mówi w pewnej chwili i patrzy znacząco na ledwo żywą ofiarę, do niej dociera ta informacja z pewnym opóźnieniem i zaczyna drzeć się wniebogłose.

Wendy uchyliła dwuskrzydłowe wysokie drzwi, kiedyś pewnie piękne, dziś zamalowane olejną farbą, która odchodziła płatami, ukazując starsze warstwy olejnej farby. Krzyknęła coś, co zapewne oznaczało „kochanie, jest materiał na abażury”.

Weszli do środka.

Sala była pusta, nie licząc krzesła, wielkiego biurka i stojącej na nim starej maszyny do pisania. Z dwóch stron piętrzyły się stosy kartek, co utwierdziło Anatola w przekonaniu, że Żeljko nie jest literatem, tylko grafomanem szaleńcem, przekonanym, że twórczość przez niego przepływa i w dzieło się zamienia. Pisarz potrzebuje warsztatu pracy, a nie pretensjonalnej ekspozycji muzealnej.

- Nie możemy podchodzić do maszyny - szepnęła Wendy. Anatol nie musiał podchodzić, żeby wiedzieć, co jest napisane na wszystkich kartkach. AU work and no play makes Żeljko a duli boy.

Zaszumiała spuszczana w toalecie woda, skrzypnęły drzwi i Anatol po raz kolejny powtórzył sobie, że wynik starcia pisarza z komandosem może być tylko jeden.

Mylił się.

Drzwi otworzyły się z impetem i stanął w nich chorwacki literat. Anatol podświadomie spodziewał się jakiegoś przepełnionego agresją neurotyka, chudego facecika o czarnych włosach, wąskich ustach i jasnych, zbyt często mrugających oczach. Facecika w koszuli w kratę, który uwierzył, że skoro jest artystą, to wszystko mu wolno, i dlatego trzyma

dwudziestkę dwójkę zatknęta z tyłu za pasek spodni.

Tymczasem w drzwiach stanął chorwacki olbrzym, dwumetrowy, łysy grubas z długą, czarną brodą i łapami jak szufle do odgarniania śniegu. Zmiażdżyłby Anatola jak piernikowego ludzika, zanim ten zdążyłby go poinformować, że jest wyszkoloną w koszarach NATO maszyną do zabijania.

Na szczęście był nastawiony przyjaźnie.

Rozejrzyjcie się - powiedział, kiedy wytłumaczyli mu cel wizyty. - Jesteście z Polski, znacie dobrze losy arystokratycznych siedzib. Domy dziecka, ośrodki kolonijne, magazyny zbożowe, siedziby kołchozów, w najlepszym razie biblioteki, domy kultury albo lokalne muzea krwi i pożogi. Nic tu nie ma.

- Wendy opowiadała, że dużo chodzisz po tych pomieszczeniach. Na pewno nic nie widziałeś?

Olbrzym obdarzył żonę spojrzeniem, w którym czaiła się milcząca nagana, ale zaraz rozpromienił się, kiedy Charlie z impetem uderzył całym ciałem o jego brzuch wielkości małego fiata. Chorwat siedział w rozkroku na taborecie, a chłopiec rozpędzał się z daleka i z całej siły walił w brzuch taty, odbijając się od niego jak piłka. Głupia zabawa wydawała się sprawiać obojgu ogromną radość.

- Ludzie, zrozumcie, o to nikt nie dbał. Widziałem stare materace gimnastyczne, widziałem stelaże metalowych łóżek z odłazającą emalią. Widziałem kartony pełne starych faktur, odpadające od ścian kafelki i szczura wielkości kota. Był stary, siwy i powolny, nie mam pojęcia, ile żyją szczury, ale to był na pewno najstarszy zabytek, jaki tutaj widziałem. W pomieszczeniach biurowych jest jeszcze biurko, które wygląda na lata siedemdziesiąte, takie samo jak to, które stoi tutaj. Straszny mebel, wymyślony razem z krzesłem specjalnie po to, żeby zafundować ludziom schorzenia kręgosłupa. To nawet logiczne z punktu widzenia totalitarnej władzy. Po co ciemny lud ma czytać i pisać, jeszcze mu zbyt mądre pomysły przyjdą do głowy.

Anatol z Lisą wymienili się znużonymi spojrzeniami. Strata czasu.

- Spytajcie w urzędzie miasta - zasugerował olbrzym Żeljko. - Może tam trafiły jakieś archiwa, stare papiery. Pomógłbym wam, ale jestem w ważnym momencie. Mój bohater, który do tej pory nie potrafił odróżnić snu od jawy, rozumiał, że tylko przemoc daje poczucie rzeczywistości. Tylko przemoc pozwala mu stwierdzić, czy to, co się dzieje, to prawda. Dlatego musi być coraz gorszy, musi cały czas czynić zło.

- Bardzo ciekawy concept - wymamrotała Lisa.

- Prawda? - ucieszył się literat. - Zatytułowałem to Ból prawdy cierpienia.

Anatol nie wiedział, co powiedzieć, więc tylko pokiwał głową. Czuł rozczarowanie, a nie powinien. Nadzieja, że znajdą coś w miejscu, gdzie Milewski skończył urzędować prawie sto lat temu, była zwyczajnie głupia. Rozejrzył się po pomieszczeniu zwanym salą lustrzaną, ochrzczonej tak zapewne dlatego, że stare kolumny okryto taflami luster, na modłę dansingów z lat osiemdziesiątych. Aranżacja nie dodawała pomieszczeniu uroku, ale i przedtem musiało ono być dość zwyczajne.

Zatrzymał się na tym słowie. Zwyczajne. Po opowieści Lorentz spodziewał się wszystkiego, tylko nie zwyczajności. Wyobrażał sobie romantyczny zamek pełen wież, baszt i tajemniczych przejść, przed którym gości wita potężna statua hrabiego. A trafił do zwyczajnego pałacu, w którym wszystko było normalne i nudne. I nie był to jedynie efekt socjalistycznej przebudowy. Jak to możliwe, że szalony hrabia kazał sobie wybudować tak nudną siedzibę?

Zwalisty mistrz bólu, cierpienia i przemocy wymownie zerknął na zegarek, dając im do zrozumienia, że audyencja dobiega końca.

- Trudno - powiedziała Lisa. - Może faktycznie spróbujemy jeszcze w miasteczku.

- Charlie, idziemy. - Wendy wyciągnęła rękę do chłopca, który natychmiast odbiegł w przeciwną stronę, zagrzewając się do szybszego biegu wojennym pohukiwaniem.

Żeljko rzucił coś krótko po chorwacku, na co Wendy odpowiedziała kilkoma zdaniem, w których było tyle znużenia i udręki, że gdyby olbrzym posłuchał bardziej żony, a mniej swojego pretensjonalnego wnętrza, mógłby napisać coś naprawdę dobrego.

- Niema, dziejejest, niema, dziejejest - powtarzał w kółko Charlie, na zmianę zasłaniając sobie oczy i uderzając małą łapką w lustrzaną taflę pokrywającą jedną ze ścian.

Chorwat krzyknął coś w stronę chłopca, zapewne to, co krzyczą wszyscy rodzice do swoich małych dzieci: zostaw! Wendy, słysząc to, odpowiedziała mu w sposób, który sugerował, że ona też nosi w sobie ból prawdy cierpienia.

- O co mu chodzi? Chce się schować do lustra? - zapytała wesoło Lisa, udając, że nie widzi napięcia, jakie rośnie między chorwackobrytyjską parą.

- Chce się bawić w „niema, niema”, czyli w chowanego. On się chowa, a my udajemy, że nie wiemy, gdzie jest, i go szukamy i nawołujemy. Uwielbia to.

- Ale dlaczego chowa się w lustro?

- Tam są drzwi do teatru, wisi kurtyna, to jego ulubione miejsce.

- Niema, niema... jest! - krzyknął podekscytowany Charlie, wskazując na ogromne lustro.

Lisa i Anatol wymienili się spojrzeniami.

Olha Bortnik mogła robić dobre wrażenie żarcikami o czwartej młodości, ale z każdą kolejną minutą przekonywali się, że natury się nie oszuka. Staruszka nieoczekiwanie potrafiła zdryfować na inny temat, potrafiła też nagle wpaść w czarną dziurę niepamięci, co sama doskonale zauważała, nawet jeśli oni udawali, że nie ma sprawy.

Próby wyciągnięcia z niej choćby opisu tego, co wisiało w siedzibie Aszkenazego w Podhorcach, spaliły na panewce. Pamiętała, co jedli (gęś), co pili (krymski koniak), gdzie uprawiali seks (a gdzie nie uprawiali?) i jaka wtedy była pogoda. A obrazy? Nuda, jacyś mężczyźni w surdutach, w przeciwieństwie do Heina - tak nazywała Aszkenazego - nie wierzyła, że sens życia jest w nasmarowanych na płótnie podobiznach ludzi, którzy bez sensu gapią się w przestrzeń.

- Jeden zapamiętałam, bo mi się podobał - powiedziała i urwała, a jej zamglone spojrzenie odleciało gdzieś w bok. - Był inny niż wszystkie. Nie tylko inny niż wszystkie u Henryka, ale wszystkie, jakie widziałam w pałacach. Może nie widziałam ich zbyt wiele, inne rzeczy mnie wtedy interesowały. Ale i tak wiedziałam, że był inny.

I czarna dziura, pięć minut milczenia.

- Inny, czyli jaki? - zapytał w końcu łagodnie Karol.

- Jakby miał w sercu perpetuum mobile. Nie potrzebował paliwa, cały czas sam siebie napędzał do działania. Kładł się późno, niechętnie jak dziecko, któremu szkoda czasu na sen. Wstawał wcześniej, zawsze rześki jak skowronek. Nigdy znużony ani zniechęcony, zawsze z jakimś celem, z jakimś nowym szczytem do zdobycia. Dlatego tak dobrze szło mu w interesach.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o obraz inny niż wszystkie.

- Dlaczego nazywa go pani Hein? - zapytała Lisa. - To niemieckie zdrobnienie Heinricha, prawda?

- Prawda. Ale... dopóki wszystko się nie stało, on uwielbiał kulturę niemiecką. Mówił po niemiecku jak Niemiec, a akcenty naśladował tak zręcznie, że mógł udawać Bawarczyka, Tyrolczyka albo Szwajcara i zawsze się nabierali. Austriacy to uwielbiali.

- Austriacy? - dopytał Karol.

- Tak, pracował dla... nie pamiętam, dla banku. Był taki czas, że prawie go nie widywałam. Dostawałam tylko pocztówki, zawsze mi przysyłał z każdego miejsca pocztówki z wierszykami. Warszawa, Wiedeń, Paryż, Zurych, znowu Wiedeń. W Wiedniu bywał tak często, że miał tam swoje mieszkanie.

- Ładne?

- Nie wiem. - Staruszka nagle posmutniała. - Nigdy mi nie pokazali. Ale też po co komu pokazywać martwe dziecko, prawda? Wystarczy, że matka musi je urodzić. To już wystarczająca taka kara. Po co jeszcze pokazywać, czy ładne, czy nie. Martwe, i tyle.

Nie skomentowali. Bortnik sięgnęła nagle do jakiejś swojej traumy, a oni nie mieli pojęcia, jak się zachować.

- Może sernika zjecie? - zaproponowała Natalka. - Według przepisu babci robiłam, najlepszy we Lwowie.

Twarz babci się rozjaśniła na te słowa, a oni chętnie nałożyli sobie po kawałku ciasta.

- A co się z tymi obrazami stało w czasie wojny? - Karol był zaskoczony, jak dobrze Zofia sprawdza się w roli śledczego. Nie odpuszczała stulatce ani na chwilę.

- Hein to był mądry mężczyzna. Zdjął je i schował na długo, zanim wojna wybuchła, zostawił na wierzchu trochę złota, żeby Sowietci zabrali i dali mu spokój. Dobrze schował, miał specjalne sposoby przechowywania, płótna nasączone... Nie pamiętam, parafiną chyba nasączone albo naftą... Tłumaczył mi, ale ja tłumaczyłam mu, żeby dał spokój i mnie nasączył. - Starsza pani lubieżnie zachichotała, co dało upiorny efekt. - A potem stało się coś dziwnego.

I znowu czarna dziura. Zjedli po dwa kawałki sernika, faktycznie pysznego, bojąc się przerwać milczenie. Ale nie mogli czekać bez końca.

- Co się stało dziwnego?

- Ludzie wpadli w panikę, zostawiali domy, szukali schronienia przed przybyszami. A to przecież było słuchowisko radiowe. Dziś telewizja nie ma takiej siły, jak wtedy miało radio.

Karolowi przez chwilę wszystkie tryby kręciły się na jałowym biegu, zanim pojął, że Bortnik mówi o Wojnie światów.

- Co dziwnego stało się z obrazami Henryka? Co z nimi? - Zofia Porfirowna Lorentz postanowiła przestać dbać o to, żeby przesłuchanie miało pozory towarzyskiej rozmowy.

Zaskakujące, ale na Bortnik te metody działały.

- Dziwne było to, że one zostały naprawdę dobrze schowane. Hein nie mógł mi powiedzieć, ale chwalił się, że mogą leżeć i sto lat, i dwieście, i nikt ich nie znajdzie. A potem kurier przyniósł depeszę od Mariana z Londynu. Pamiętam ten wieczór, upalny czerwcowy wieczór, niedługo przed dystryktem. Hein ją odszyfrował i nagle się zmienił. Jak się o tym czyta w książkach, to nie robi takiego wrażenia. A ja naprawdę widziałam, jak mój Hein staje się innym człowiekiem. Oczy zapadły mu się w głąb, twarz pobladła, wydłużyła się. Przestraszyłam się, że coś mu jest, serce może. Histeryzowałam trochę. Ale on tylko

powiedział, żebym się uspokoiła, że mnie bardzo kocha i że musi jechać do Krakowa. I wyszedł. To był przedostatni raz, jak się widzieliśmy.

Zofia i Karol wymienili się spojrzeniami.

- A kiedy widziała pani Henryka po raz ostatni?

Babcia Bortnik odpłynęła w swój świat. Wydawało się, że jest w zupełnie innym miejscu niż oni. Czekali cierpliwie.

- Kiedy widziała pani Henryka po raz ostatni? - powtórzyła Lorentz z naciskiem.

Bortnik spojrzała na nią swoimi fiołkowymi oczami.

- Kochanie, jestem stara, to prawda. Ale nie całkiem głucha i nie całkiem głupia, więc proszę, żebyś panowała nad sposobem, w jaki się do mnie zwracasz. Czasami milczę, bo muszę się wysikać. A czasami, bo nie chcę wracać do wspomnień. Nie masz takich wspomnień, do których nie chcesz wracać? Nie jesteś aż tak młoda, żeby nie mieć.

- Mam - odpowiedziała cicho Lorentz.

- Czyli wiesz, o czym mówię. Powiem wam i pójdziecie sobie, dobrze? I tak będę musiała tu siedzieć z demonami, które wywołaliście.

Skinęli grzecznie głowami.

- Ostatni raz widziałam Heina kilka miesięcy po tym, jak wyszedł bez słowa wyjaśnienia w czerwcową noc, tuż przed świętym Janem. Kilka dni później rozpętało się piekło, nikt nie wiedział, co się dzieje. Niby Ruscy wyszli, ale Niemcy pojawili się kilka dni później. We Lwowie podobno działy się straszne rzeczy, ja siedziałam w Podhorcach, mieszkańcy nas lubili, czułam się w miarę bezpiecznie. Jesienią nagle pojawili się Niemcy. Późnym wieczorem przed zamkiem zatrzymały się dwa samochody i ciężarówka, czarne mundury ss. Spanikowałam, nie wiedziałam, co robić, schowałam się za kotarą w salonie jak pierwsza naiwna.

Babcia Bortnik znowu umilkła, tym razem nikt jej nie ponaglał.

- Weszli do środka jak do siebie - podjęła po chwili. - Nigdy w życiu się tak nie bałam. Postanowiłam, że jak mnie znajdą, to będę udawała Żydówkę, znałam trochę jidysz. Wymyśliłam sobie, że wtedy będą brzydzili się mnie dotknąć, zamordują na miejscu, a kto wie, może nawet wyślą do getta. I wtedy usłyszałam oficera. Wydawał im komendy, jakby tresował niesforne psy. Cichym, ale mocnym głosem, nieznoszącym sprzeciwu. Doskonale znanym mi głosem Henryka Aszkenazego. Nie rozumiałam, o co chodzi. Głos, który tyle razy w tych pokojach opowiadał mi dowcipy i szeptał czułe słówka, teraz rozkazywał niemieckiej bandzie. Myślałam, że to zbieg okoliczności, ale bałam się poruszyć, a co dopiero wyrzeć, żeby sprawdzić, czy to on. Poza tym wierzyłam, że to niemożliwe, żeby to był on.

- Nigdy mi tego nie opowiadałaś. Trzydzieści lat mieszkamy razem, a ty nigdy mi tego nie opowiadałaś. - W głosie wnuczki Natalki słychać było głęboką urazę.

- Gdzieś poszli, oficer i reszta. - Bortnik nie uznała za stosowne odnieść się do słów wnuczki. - Zastanawiałam się, czy nie uciec, ale bałam się, że natknę się na nich w holu albo przed domem. Ubzdurałam sobie, że skoro do tej pory mnie za tą zasłonką nie znaleźli, to jestem bezpieczna. Więc czekałam. Aż pojedą albo aż pójda spać, albo aż będę pewna, że mogę wyjść. Wrócili kilka minut później, sapali, musieli nieść coś ciężkiego.

- Obrazy - powiedziała Lorentz.

- Zgadza się. Kiedy znowu zniknęli, odważyłam się i odchyliłam lekko kotarę. Rulony z obrazami stały w salonie, oparte o ścianę obok kominka. Pierwsza moja myśl była taka, że to niemożliwe, że przecież Hein ukrył je najlepiej, jak potrafił. Nie było możliwości, żeby szkopy znalazły je w pięć minut. Zagadka się wyjaśniła, kiedy wrócili z następną partią. To był on. W czarnym mundurze z trupimi czaszkami, z delikatnym wąsikiem i w idiotycznych okrągłych okularkach. To było straszne i śmieszne zarazem. Wyglądał jak na balu maskowym.

Olha Bortnik znowu pogrążyła się w myślach.

- Dobrze - powiedziała po ciężkim westchnieniu, tak ciężkim, że wydawało się jej ostatnim. - Wtedy mnie znaleźli, musiałam się poruszyć i szkop wyciągnął mnie zza kotary, wierzgałam i kopałam, śmiali się wszyscy jak na bawarskim kabarecie. Byłam przekonana, że to koniec, ale Hein ich uciszył, a potem... to było okropne... podniósł mnie i uderzył w twarz. Wrzeszczał po niemiecku, co tu robię, gdzie jest właściciel. Nie wiedziałam zupełnie, co się dzieje. Płakałam i powtarzałam w kółko po polsku, że jest zdrajcą. Wyprowadził mnie siłą przed pałac, byłam pewna, że mnie zastrzeli. Ale on dalej wrzeszczał po niemiecku, krzyczał bez przerwy. A potem odezwał się po polsku, szeptem. Powiedział, żebym uciekała, że mnie kocha i że kiedyś mnie znajdzie.

Wtedy po raz ostatni widziałam Henryka Aszkenazego.

16

Dopiero gdy podeszli do ściany, mogli zauważyć, że sala lustrzana nie była w całości wytworem jugosłowiańskiego przemysłu wycoczynkowego. Te lustra były zabytkowe, warstwa srebra pod kryształową taflą w niektórych miejscach straciła swój blask, w niektórych złuszczyła się, tworząc dziwaczny efekt, jakby w rzeczywistości pojawiły się dziury. Wendy położyła rękę na klamce.

- To miała być niespodzianka na wieczór - powiedział literat po angielsku, bardzo markotnym tonem.



Brytyjka pchnęła klamkę i weszli do dużego pomieszczenia, w którym panował półmrok, słońce docierało jedynie z sali lustrzanej i przez wąskie szpary między kotarami, którymi zasłonięte były okna.

Pomieszczenie było duże, okrągłe, wysoko sklepienie i śmierdziało kurzem, tylko tyle potrafił stwierdzić Anatol, zanim jego oczy przyzwyczyły się do ciemności.

Po drewnianej podłodze zatupotały małe stopy.

- Dziej ej est? - Dobięło ich uszczęśliwione pytanie gdzieś z końca sali.

I wtedy Żelko jednym ruchem odsłonił kotary.

I Anatol pomyślał, że teraz już może uwierzyć, że pałac został zbudowany przez Ignacego hrabiego KorwinMilewskiego.

Sala teatralna wyglądała jak miniatura rzymskiego Panteonu. Idealnie okrągła, nakryta spłaszczoną kopułą, składającą się z wielu kwadratowych kasetonów. Tylko zamiast świetlika na szczycie miała plafon, z którego zwisał na długim kablu okropny żyrandol, chiński twór z wielu sterczących w różne strony żaróweczek.

Główną oś pomieszczenia wyznaczała niewielka scena po jednej stronie, a po drugiej gigantyczne okna, przysłonięte kotarami. Ta strona pałacu znajdowała się przy krawędzi wzgórza, nad urwiskiem, i przez okna widać było jedynie niebo i mieniące się w promieniach słońca morze. Widok był niesamowity, jakby nie znajdowali się w domu, tylko szybowali w dziwacznej sali niczym w dziewiętnastowiecznym fantastycznym pojeździe nad powierzchnią Adriatyku.

Po bokach znajdowało się kilkanaście wnęk, które kiedyś musiały być lożami, a dziś stały puste.

A na samym środku była niespodzianka: ogromna bożonarodzeniowa choinka, udekorowana zapisanymi na maszynie kartkami, poskładanymi w zwierzątka origami. Wendy przez chwilę patrzyła na to zaskoczona, a potem rzuciła się mężowi na szyję.

Mimo że zaniedbana, sala zachowała swoją dawną urodę, nawet ustawione na widowni w kilku rzędach plastikowe krzeselka w turkusowym kolorze nie potrafiły jej tego odebrać.

- Dziejejest? - Charlie wyraźnie się niecierpliwił, że nikt go nie szuka. Wendy i Żelko oderwali się od siebie i zaczęli nawoływać dziecko, szurać krzesłami, udając, że synek im gdzieś zginął. Chłopiec przytupywał z podniecenia i wystawiał kudłatą główkę zza kurtyny, przekonany, że jest niewidoczny.

- No proszę - powiedział Anatol do Lisy. - Wygląda na to, że nasz hrabia był prawdziwym koneserem kultury. Obrazy, teraz teatr, biblioteka pewnie też była niczego

sobie.

- Tutaj jest! - chorwacki olbrzym wydarł się tak głośno, że oboje podskoczyli.

Żeljko gwałtownym pociągnięciem sznura rozsunał kurtynę, odsłaniając podskakującego i krzyczącego z radości Charliego. Scena była dziwna. Płaska, pozbawiona kulis, bardziej jak miejsce na ekran w kinie.

Lisa spacerowała wokół sali, mamrocząc coś do siebie po szwedzku. Przy oknach zatrzymała się, zapatrzyła w morze, po czym odwróciła gwałtownie. Na tle jaskrawego światła nie można było rozpoznać jej twarzy, była jedynie czarnym cieniem.

- To nie jest teatr - powiedziała.

- A co?

- Sala wystawowa. Spójrz, scena jest zbyt płytka, łoże też. No i po co w teatrze takie wielkie doświetlające okna? To galeria, muzeum.

Tutaj hrabia musiał trzymać swoją kolekcję. A przynajmniej jej najważniejszą część.

- Autoportrety.

- Zgadza się. Pamiętasz, co mówiła Lorentz? Duże płótna, metr na półtora, każde w tym samym rozmiarze.

Anatol spojrzał na wnęki, które do tej pory nazywał łożami. Oceniał ich rozmiary.

- Pasują idealnie.

- To jeszcze nic. Przyjrzyj się dokładnie, na górze.

Przyjrzał się. Wnęki były zwieńczone półkolistymi łukami, w najwyższym miejscu znajdowało się coś, co wyglądało na kartusz herbowy z jakimś reliefem, w pierwszej chwili ciężko było rozpoznać, co się kryje pod warstwami farby. Ale przy odrobinie wysiłku dostrzegł, że w kartuszach nie ma żadnych symboli heraldycznych. Były tam litery.

- JM - przeczytał.

- U mnie też jest JM - powiedziała.

- Jej Królewska Mość? Bez sensu.

Przeszedł do następnej wnęki, podobnie jak Lisa.

- Tutaj AG.

- A u mnie CM.

- Coś ci to mówi?

Szwedka wzruszyła ramionami.

- CM to może dziewięćset zapisane cyframi rzymskimi? Machnął ręką, że to niemożliwe. Innych symboli nie dało rady w ten sposób wytłumaczyć. Jego umysł wojskowego zaczął już dryfować w stronę szyfrów i tajnych wiadomości, ale przywołał się do

porządku. Dostaje fioła od tej tajemniczości, a przecież trzeba szukać najprostszych możliwych rozwiązań. Hrabia miał w zamku specjalną salę dla swojej najlepszej kolekcji, pewnie chodziło o autoportrety, które zamówił u różnych malarzy. Przecież nie oznaczałby ich szyfrem, to kompletny bezsens. Spojrzał jeszcze raz na kartusz nad sobą.

- Aleksander Gierymski - powiedział. Lisa odwróciła się.
- Claude Monet.

Równocześnie ruszyli wzdłuż ścian, przerzucając się nazwiskami. Podwójne JM rozszyfrowali jako Jana Matejkę i Jacka Malczewskiego. Na podwójne TA zabrakło im wiedzy. Z Francuzów był zestaw absolutnie galaktyczny: oprócz Claudea Moneta, Auguste Renoir, Paul Gauguin, Vincent van Gogh, Camille Pissarro i Édouard Manet. W końcu zatrzymali się przy „scenie”, czyli głównej wnęce, kilkakrotnie większej od pozostałych.

Charlie tańczył z Żeljko jakiś ludowy chorwacki taniec, od którego cały pałac zdawał się podskakiwać.

Na kartuszu nad obramowaniem głównej wnęki zamiast dwóch były trzy litery: TLM.

- Coś ci to mówi? - zapytał Anatol. Lisa wzruszyła ramionami.
- ToulouseLautrec naprawdę nazywał się ToulouseLautrecMonfa. Dąty by się zgadzały, w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku siedział w Paryżu i malował jak szalony, kiedy akurat nie rznął dziwek w Moulin Rouge i nie chlał absyntu. Lubił duże płótna, więc by pasowało. Ale dlaczego miałby być podpisany inaczej? Powinno być HTi., Henri ToulouseLautrec.

Wyjął telefon, żeby dokładnie sfotografować salę. Minęło południe, ostre na tej szerokości geograficznej nawet w grudniu słońce sprawiało, że każdy skrawek sali był jaskrawo oświetlony.

Co tu trzymałeś, drogi hrabio? Wpuszczałeś ludzi przez lustrzane drzwi, odsłaniałeś okna i pozwalałeś im się zachwycić swoimi skarbami. A na koniec podnosiłeś kurtynę, żeby pokazać skarb skarbów, swoją najcenniejszą kolekcjonerską zdobycz.

Czyli co?

Założyli płaszcze i wrócili jeszcze na moment, żeby pożegnać się z babcią Bortnik, która w międzyczasie zdrzemnęła się w fotelu. Już chcieli wyjść po cichu, kiedy staruszka się ocknęła, aby łaskawie przyjąć wylewne podziękowania i dać się pocałować w rękę.

Karol pogłaskał jeszcze Falkora, czym zasłużył sobie na pełne zdziwienia i obrzydzenia spojrzenie Lorentz.

- Kiedy przyszła ostatnia kartka od Henryka? - zapytała zniecierpliwiona Zofia.
- Nie taka była umowa - powiedziała pani Olha, patrząc na nią ze złością.

Ta jednak była nieugięta.

- Przykro mi, ale ja się na nic nie umawiałam. Ta wiedza nie jest nam potrzebna do pracy doktorskiej, tylko żeby dotrzeć do prawdy o tym, co się stało z tymi obrazami. A prawda jest nam potrzebna... z bardzo ważnych powodów. Wiem, jak to brzmi, ale tym razem to naprawdę jest sprawa życia i śmierci. Musimy wiedzieć jak najwięcej.

- Ja już wszystko powiedziałam. - Obrażona staruszka przybrała ton dziewczynki z przedszkola. W połączeniu z jej wyglądem efekt był surrealistyczny.

- Na pewno?

Olha Bortnik bez słowa odwróciła głowę do okna, dając do zrozumienia, że wizyta dobiegła końca.

- Na pewno?

- Zosiu... - Karol próbował ją mitygować.

- Daj mi spokój. Sama starość nie oznacza, że może wszystkich rozstawiać po kątach.

Wnuczka Natałka pokiwała głową na znak, że w zupełności się zgadza. Lorentz uznała to za przyzwolenie, podeszła do wózka, chwyciła za jego oparcia i przykucnęła przed Bortnik, tak żeby ich twarze były na tym samym poziomie.

- Pani Olho, my naprawdę nie mamy czasu na szopkę i obrażania.

- Jestem zmęczona...

- Nic mnie to nie obchodzi. Poza tym na pani miejscu nie marnowałabym cennego czasu na odpoczynek.

- Zośka!

- Nie mów do mnie Zośka! Wiesz, że tego nie cierpię!

- Chodzi mi o to, że na pewno można to załatwić inaczej, droga doktor Lorentz.

Olha Bortnik, do tej pory nieruchoma, jakby w międzyczasie umarła na swoim wózku, podniosła wzrok na Lorentz.

- Jak się nazywasz, kochanie?

- Zofia Lorentz.

- A czy jesteś spokrewniona...

- Nie, to przypadkowa zbieżność nazwisk - powiedziała szybko, przyzwyczajona, że z racji zawodu i wykształcenia brano ją zawsze za rodzinę Stanisława Lorentza, legendarnego dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie, który swoją funkcję sprawował nieprzerwanie przez prawie pół wieku.

Staruszka wyglądała na rozczarowaną.

- Rozumiem. Ale też to byłby dziwny zbieg okoliczności, gdybyś знаła Wojtkę.

- Stanisława - poprawiła machinalnie i dopiero wtedy dotarło do niej, co usłyszała. -  
Wojtek Lorentz to mój dziadek. Nauczyciel z Przemyśla.

Staruszka rozpromieniła się i od razu jakby ubyło jej lat. Uśmiechnęła się tak szeroko, że dolna szczęka jej się poluzowała, i w ostatniej chwili powstrzymała ją przed wypadnięciem. Chwilę walczyła z mocowaniem, zanim się odezwała.

- Natalko, podaj mi to blaszane pudełko po szwedzkich herbatnikach, co stoi obok ogona.

Wnuczka podeszła do czubka ogona Falkora, chyba najbardziej szarej i smętnej części pluszowego zwierzaka. Otworzyła stojącą pod ogonem szafkę i po chwili wróciła z niebieskim blaszanym pudełkiem po szwedzkich pierniczkach.

Olha Bortnik pogrzebała chwilę w zawartości i podała im dwie pocztówki.

- To dwie ostatnie, jakie od niego dostałam. Wolałabym, żeby nigdy ich nie wysłał. Jak się wojna skończyła i wszystko wyszło na jaw, to byłam pewna, że zginął w zagładzie, jak nie w Bełżcu, to w Auschwitz. Popłakałam trochę i pomyślałam, że trzeba sobie ułożyć życie, miałam już po trzydziestce, ostatni dzwonek. A potem dostałam to. Miałam później różnych mężów, ale tak naprawdę czekałam na niego przez całe życie. Na próżno. Ani Heina nie zobaczyłam, ani żadnej kartki nie dostałam.

Pierwsza pocztówka mogła startować w konkursie na najbardziej typową pocztówkę z Polski. Rynek w Krakowie, kościół Mariacki, kawałek Sukiennic. Na rewersie ładnym pismem ktoś zacytował Hemara:

Trudno tak to powiedzieć

Po prostu, bez drżenia w głosie, Że miłość w sercu gorącą

Schowałem, jakby w termosie.

Gdy wrócę - może zziębnięty, Gdy wrócę - może zmęczony, Włosy twe będę całował,  
Oczy i twarz, i ramiona. Nie dam ci dojść do głosu, Róż na twych ustach rozmażę, Miłością ci  
usta poparzę, Jak wrzącą herbatą z termosu.

Zgodnie ze stemplem pocztowym, widokówkę nadano w Krakowie w październiku 1945 roku. Ciekawszy jednak był drugi stempel, przybity pod adresem Olhi Bortnik: „Sprawdzono. Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, Kraków, ul. Montelupich 7”. I niechlujny podpis jakiegoś urzędnika.

Lorentz spojrzała na Karola.

- Dobrze rozumiem, że ktoś to nadał z więzienia w Krakowie?

- Na to wygląda. Nic z tego nie rozumiem. Jest pani pewna, że to pismo Henryka?

Zamiast odpowiedzi wskazała jedynie na pudełko pełne kart pocztowych.

Na drugiej kartce też był stempel krakowskiej poczty, późniejszy o pół roku, z 20 czerwca 1946 roku. A obok adnotacja, że kartka przeszła przez ręce służby więziennej.

Nadawca zacytował Tetmajera:

Evviva l'arte! W piersiach naszych płoną ognie przez Boga samego włożone: ze szczytu patrzymy z głowę podniesione, laurów za złote nie damy koronę, i chociaż życie nasze nic niewarte: evviva l'arte!

Karol odwrócił pocztówkę. Na zdjęciu był jakiś nieznany mu widoczek Krakowa, dwie zabytkowe kamieniczki, jedna gotycka lub neogotycka, między nimi łącznik z przejazdem bramnym. Wyglądało na jakiś dziedziniec, gdyby miał postawić dziesięć dolarów, to postawiłby na Collegium Maius.

Dłoń Lorentz zacisnęła się boleśnie na jego.

- Wiesz, co to jest? - zapytała.

- Collegium Maius? - odpowiedział niepewnie, bojąc się stracić wyimaginowane dziesięć dolców.

- To jest dziedziniec Muzeum Książąt Czartoryskich. Ostatnie znane miejsce pobytu naszego przyjaciela Młodzieńca.

Patrzyli to na siebie, to na pocztówkę, jakby od tej magicznej czynności miała się rozwiązać kolejna zagadka. Mieli w ręku coś ważnego, ale nie mieli jeszcze pojęcia co.

- Proszę pozdrowić dziadka - odezwała się staruszka, głos miała już bardzo zmęczony, właściwie zasypiała.

- Oczywiście - gorliwie przytaknęła Lorentz, choć dziadek od ponad ćwierć wieku leżał na przemyskim cmentarzu.

- Na pewno mnie pamięta, myślę nawet, że się kochał trochę we mnie. Bardziej to był znajomy Heina niż mój, zawsze razem jeździli na narty, a ja na zimno to niespecjalnie. Za to Odessa to zupełnie co innego. A oni tylko w te góry.

Lorentz uśmiechnęła się do dziecięcych wspomnień. Nie miała dwunastu lat, kiedy dziadek Wojtek zmarł, ale pamiętała, że o górach mógł bez końca. Wędrówki, narty, wspinaczki - wszystko wesoło, ale z nutką żalu, ponieważ przez wojenną ranę jedna noga dziadka była prawie zupełnie niesprawna, nie dla niego były górskie wyczyny. Mimo to pierwszy raz zabrał ją w Tatry, gdy miała kilka lat. Właściwie to było jej pierwsze wspomnienie z dzieciństwa, jak biegnie po łące pełnej krokusów, ta łąka wydawała jej się wielka jak ocean. Ciekawe, gdzie to było? Pewnie gdzieś blisko miasta, staruszek inwalida raczej by nie zabrał małego dziecka wysoko w góry. Nagle zdała sobie bardzo wyraźnie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze, dziadek Wojtek nigdy nie opowiadał o wojnie, nawet o

kuli. Rodzice jej tłumaczyli, że to przez pobyt w obozie, i to tłumaczenie jej wystarczało. Wiele osób z tego pokolenia nie mówiło nigdy o wojnie. Ale teraz pomyślała, że jego milczenie musiało mieć zupełnie inne przyczyny.

Po drugie, przeszedł ją gwałtowny dreszcz i poczuła, że bardzo, ale to bardzo nie chce wracać do Polski. Ponieważ po drugie zrozumiała, że tajemniczy powód, dla którego właśnie ją ścigał tajemniczy zabójca, wcale nie kryje się, jak zawsze myślała, w jej pracy i jej wiedzy.

Nie mogła dłużej udawać, że to zbieg okoliczności. Rozwiązanie zagadki musi się kryć w historii jej rodziny.

## część IV

SEKRET

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kraków

1

Wigilia Bożego Narodzenia to taki dzień, kiedy wieczorem wszyscy powinni siedzieć w domu i czuć się bezpiecznie. Doktor Zofia Lorentz stała na opustoszałym peronie dworca kolejowego we Lwowie i bała się jak diabli. Patrzyła na polski pociąg, który miał ich zawieźć do Krakowa, na pograżonych w rozmowie polskich konduktorów, znajome nazwy miast na tabliczce opisującej trasę. Normalnie uśmiechnęłyby się, poczuła radość z powrotu do znajomego języka, znajomych miejsc i zapachów. Ale od dawna nie było normalnie. Ojczysty kraj nie był już bezpieczną przystanią, tylko zagrożeniem. Tam łatwiej mogli ich namierzyć, łatwiej dopaść.

Nie chciała tam jechać. Chciała uciec w drugą stronę, może do Kijowa, może na Krym, a może jeszcze dalej, za Ural, poza Europę. Zaszyć się gdzieś w Indiach albo w Chinach i tam wieść życie łotewskiej emigrantki, uczyć dzieci języków. Ale wtedy przez resztę życia musiałaby z lękiem oglądać się przez ramię.

Nie miała wyjścia.

Złapała wyciągniętą rękę Karola i wsiadła do pociągu.

2

Hermod dla odmiany był spokojny. Wigilia go nie dotyczyła, podobnie jak reszta świąt religijnych i zabobonów, których namnożyło się na świecie. Był czas, kiedy się dziwił, że ani w jego wcześniejszej karierze wojskowej, ani w późniejszej najemniczej nie pojawił się nigdy żaden cel religijny. Żaden arcybiskup, rabin, imam, samozwańczy prorok, jeden z niepoliczonych sezonowych mesjaszy i założycieli nowych religii. Dopiero potem zrozumiał, że ci ludzie nie stanowią żadnego zagrożenia w świecie wielkiej polityki i wielkich pieniędzy. Wręcz przeciwnie, cyniczni kapłani manipulujący biedakami byli wszystkim na rękę, dzięki ich pracy masom łatwiej było pogodzić się ze swoją poślednią pozycją i z nędzą. Masy mniej były skore do stawiania pytań i okazywania niezadowolenia, o rewolucjach nie wspominając, kiedy wierzyły, że ich los zależy od jakiegoś tam boga. Proste? Proste.

Leżał w łóżku krakowskiego hotelu Grand, który ze swoimi pretensjami do luksusu był na swój sposób rozkoszny, jak żebrak przebrany za księcia na balu, który myśli, że jeśli



będzie wystarczająco wysoko trzymał głowę, to nikt się nie zorientuje, że śmierdzi. I cieszył się, że spędzi Wigilię Bożego Narodzenia z butelką dobrego wina i zadaną lekturą. Szkoda że w tej śmierdzącej wilgocią mieścinie, ale przecież nie można mieć wszystkiego.

Odkąd mógł śledzić każdy ruch fantastycznej czwórki, był absolutnie wyluzowany. Właściwie mógł wykonać zlecenie już dawno, ale wiedział, że się rozdzielili, a zależało mu, ze względów czysto osobistych i honorowych, aby wszyscy byli obecni, kiedy zakończy tę przykrą sprawę, po której zamierzał przejść na emeryturę.

Poza tym od czasu rozmowy w Waszyngtonie był ciekawy, choć wiedział, że to nieprofesjonalne, co to za straszliwy sekret sprawia, że Amerykanie popuszczają ze strachu po nogach. I postanowił, że da doktor Lorentz jeszcze chwilę na jego odkrycie i dopiero potem usunie ją z globalnego równania. Chyba że coś pójdzie nie tak. Wtedy po prostu ją usunie.

3

Pociąg był pusty, nie licząc ich i dwóch przemytników, podróżujących z nadzieją, że żaden polski celnik nie będzie na tyle obowiązkowy, żeby bawić się w drobiazgową rewizję w Wigilię Bożego Narodzenia. Cały wagon sypialny mieli dla siebie, a ważący chyba ćwierć tony konduktor rozpromienił się na ich widok, zachwycony, że nie będzie musiał spędzać tego wieczoru samotnie. Nawet jeśli brak samotności oznaczał dwoje obcych ludzi śpiących kilkanaście przepierzeń z dykty dalej.

Była dwudziesta trzecia czasu ukraińskiego. Nie zdążyli zdjąć płaszczy, kiedy konduktor z parującym czajnikiem w ręku zapukał do nich i błagalnym tonem spytał, czy nie mają ochoty na czaj. Spojrzeli na siebie i zaprosili go do środka. Wypili po kubku herbaty, przełamali się czerstwym rogalikiem z lwowskiego dworca jak opłatkiem, życzyli sobie wszelkiej pomyślności i jeszcze na deser wypili po odrobinie nieziemsko wręcz pysznego samogonu na ostrej papryczce, który konduktor wyłowił ruchem prestidigitatora spośród fałdów munduru.

Była dwudziesta trzecia czasu polskiego, czyli godzinę później, kiedy stanęli w odległych o dwanaście kilometrów od polskiej granicy Mościskach, okazali grzecznie paszporty i czekali na zmianę podwozia w wagonach, żeby pociąg mógł wjechać na zachodnie tory, węższe o osiemdziesiąt pięć milimetrów. Karol pomyślał, że rozmiar torów to być może jedyna cecha wspólna Rzeczypospolitej z cywilizacją Zachodu.

Wyciągnął się na środkowej pryczy i odetchnął stęchłym kolejowym powietrzem. Uwielbiał pociągi sypialne, to była dla niego esencja podróżowania. Gdyby mógł, wszędzie by w ten sposób jeździł. Uważał, że podróż jest prawdziwa dopiero wtedy, kiedy obejmuje

zachód i wschód słońca. Krótszy czas to nie było podróżowanie, tylko przejazd z miejsca na miejsce.

Nagle zeskoczył na podłogę i zaczął grzebać w swojej walizce. Lorentz siedziała nieruchomo na dolnej pryczy, z kolanami podciągniętymi pod brodę, pogrążona we własnych myślach.

- Wesołych świąt - powiedział, wręczając jej małe zawiniątko. - Żebyś była szczęśliwa.

- Co to?

- Prezent. Na Gwiazdkę.

- Dla mnie?

- Nie, dla mnie. Tylko chcę, żebyś rozpakowała, bo palce mi się zmęczyły.

Zofia rozpakowała zawiniątko. W środku było pudełko, a w pudełku złote kolczyki, które dzięki kwiatowemu ornamentowi i lekkiemu zmatowieniu pani doktor historii sztuki rozpoznała jako autentyczną secesyjną biżuterię, wygrzebaną w jakimś lwowskim antykwariacie.

- Dziękuję - powiedziała, nie podnosząc wzroku na Karola.

- Podziękuj Wasylowi, to jego gotówka.

W odpowiedzi Zofia Lorentz zaczęło cicho szlochać, połykając łzy jak dziecko, które bardzo chce, ale nie może powstrzymać się od płaczu.

- Ja... ja nie mam dla ciebie prezentu. Karol usiadł obok niej.

- Spokojnie, na pewno coś wymyślimy. Skoro już jesteśmy razem w tym przytulnym przedziale.

Jeśli chciał ją rozśmieszyć, to poległ na całej linii, Lorentz zaczęła się tylko trząść i zawodzić głośniejsze.

- Przepraszam - wyrzuciła z siebie w końcu. - Jest mi bardzo przykro i żałuję, że wtedy powiedziałam to wszystko. Ja nie chciałam... nie chciałam powiedzieć, że nie chcę mieć z tobą dzieci i nie chcę brać ślubu, i żebyś szedł do diabła z tymi małomiasteczkowymi marzeniami o zrobieniu ze mnie kury domowej. Nawet jeśli tak właśnie powiedziałam, to ja nie chciałam tak powiedzieć. Rozumiesz?

Na wszelki wypadek pokiwał głową.

- I jest mi bardzo przykro i przepraszam, naprawdę przepraszam. Wybaczysz mi?

Uśmiechnął się.

- Oczywiście. Jesteś przecież miłością mojego życia. I tak naprawdę to nigdy się nie gniewałem.

- Z tobą mogę nawet mieć dzieci.
- Z tobą mogę nawet nie mieć dzieci. Wyjdiesz za mnie?
- Ale pójdziemy do łóżka teraz, zaraz?
- Nie zmarnuję tej chwili romantycznego pojednania.
- Dzięki Bogu. Też miałam długą przerwę.

Spojrzeli na siebie, myśląc jednocześnie, że może lepiej nie uściślać, kto dokładnie o jak długiej przerwie mówi. I zaczęli się całować w tym samym momencie, kiedy za oknem zaczęły migać szare płyty peronu i białe jarzeniówki. Pociąg zatrzymał się z piskiem przed pierwszą po polskiej stronie stacją. Lorentz gwałtownie zeszywniała w ramionach Karola.

- Co to za stacja?
- Przemysł.
- Wsiadamy. Szybko.

Karol Boznański nie mógł uwierzyć, że jeszcze przed chwilą siedział w rozgrzanym i przytulnym przedziale sypialnym, szukając haftki stanika Zosi, a teraz stał na peronie przemyskiego dworca, mroźnym jak jasna cholera, a zamiast czułych ramion otaczały go zaspę i obłoki wydychanej pary. Czerwone światła pociągu, czerwone jak ciepłutkie rozżarzone węgle, oddalały się wolno w kierunku centralnej Polski.

- Chodź, bo zmarzniemy. - Zofia cmoknęła go w policzek, jakby byli tuż po seksie, a nie tuż przed, i ruszyli w stronę miasta. - Muszę coś sprawdzić.

Szybki marsz połączony z przeciąganiem walizki przez różne odcinki specjalne w postaci zasp, lodu i zamrożonego śniegowego błota trochę go rozgrzał, przynajmniej na tyle, żeby móc myśleć o czymś innym niż tylko o tym, jaki jest biedny, zziębnięty i nieszczęśliwy.

Przeszli przez kompletnie pusty dworzec - notabene po remoncie jeden z najpiękniejszych w Polsce, wyglądał jak przeniesiony żywcem ze złotego wieku kolei żelaznej - i pusty plac przed dworcem, gdzie oczywiście nie było ani jednej taksówki. Minęli święte miejsce każdego polskiego miasta, czyli skrzyżowanie Mickiewicza i Słowackiego, i weszli we Franciszkańską, między kamienice starego miasta. Franciszkańska była niewielkim deptakiem skromnego galicyjskiego miasteczka, ale śnieżna wigilijna noc nadawała jej niezwykłego uroku. Byli jedynymi ludźmi na ulicy, świąteczne iluminacje odbijały się w szybach, w wielu oknach jarzyły się choinkowe lampki. Przeszli przez rynek i skręcili w stronę katedry dokładnie w chwili, kiedy słyszalny już od pewnej chwili szmer zamienił się w chóralny śpiew.

Doszli do kościoła dokładnie na początek ostatniej zwrotki. Karol odstawił walizkę i zaczął śpiewać ze wszystkimi.

- Podnieś rękę, Boże Dziecię, błogosław ojczyznę miłą... - Śpiew rozlał się po miasteczku, śnieg zawirował od fali dźwięku, szyby w oknach starego miasta zdrząły. Jeśli kiedykolwiek w jego zatwardziałym ateizmie zdarzył się moment, że był bliski nawrócenia, to właśnie teraz. -...w dobrych radach, w dobrym bycie, wspieraj jej siłę swą siłą...

Dał z siebie wszystko. Kiedy wybrzmiał refren, spostrzegł, że Lorentz patrzy na niego szeroko otwartymi oczami.

- Myślałam, że jesteś niewierzący.

- Ale praktykujący. Od Boga można się odwrócić, ale od ludowych obrzędów nigdy.

Tylko westchnęła.

Ludzie zaczęli wychodzić z kościoła, śpiew zastąpiły śmiechy, rozmowy i skrzypienie śniegu pod podszwami, a Karol pomyślał, że żadne dzieło sztuki nie zastąpi, a pewnie i nie odda piękna ludzkiej wspólnoty w takich chwilach.

Jedna ze starszych par przystanęła gwałtownie i patrzyła na nich z niezrozumieniem i zaskoczeniem.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Dokładnie jak wtedy, kiedy byli razem. Co z tego, że nie widzieli swojej jedynej córki od czterech lat. Przytulili ją, ucałowali, zrobili gorzki wyrzut i już się przestała liczyć, interesował ich tylko Karolek. Gdzie Karolek był, co Karolek robił, jakie światy dalekie odwiedził, jakich potraw egzotycznych próbował, jakich przygód doświadczył. Ona siedziała na kanapie i czuła się jak element wystroju wnętrza.

- Normalnie to dopiero w południe na późne śniadanie bym otworzyła - trajkotała rozanielona matka, mocując się z kłódką na drzwiach lodówki, zabezpieczeniem zamontowanym kilka lat temu, gdy ojca zaczęli straszyć lekarze - ale przecież ty, Karolku, z drogi, a już po pasterce, można zjeść jakiś posiłek porządny. Nie tylko można, ale i trzeba.

A ja teleportowałam się prosto z planety obfitości, pomyślała Zofia.

- Gdybym wiedziała, że przyjedziesz, tobym wszystkiego więcej zrobiła, a tak to tylko dla nas, a my przecież starzy i chorzy. Niewiele tego wszystkiego, ale jest i kawałek schabu, i biała kielbasa, i pasztet z dziczyzny, specjalnie Tadzio do Ustrzyk po mięso pojechał - matka wyliczała niezliczone ilości mięs, wskazując na stanowiące egzemplifikację barokowego horror vacui wnętrze lodówki.

Zastanawiała się, po co przygotowali jedzenia jak dla pułku wojska, skoro mieli siedzieć w święta sami, i rosła w niej irytacja na rodziców. Tymczasem matka dalej swoje (o gąsce i bigosie, które się przemrażają na balkonie, oczywiście zostanieie na obiad), ojciec luzował pasek, Karol zaglądał do wnętrza lodówki, jakby była to zaczarowana kraina.

Nagle stary kot Radek (skrót od Rademenesa) wskoczył jej na kolana i irytacja opadła,

a Zofia poczuła się senna, spokojna i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów bezpieczna. Powinna jak najszybciej porozmawiać z ojcem o dziadku, ale nie potrafiła otrząsnąć się z przyjemnego uczucia odrętwienia. Otoczona zapachem starego mieszkania, kilku dni świątecznego gotowania i smażenia. Matka szemrała tonem, jaki znała od dzieciństwa, ojciec raz na jej dziesięć zdań wtrącał swoje pohukiwanie. Kiedy odzywał się Karol, potulnie milkli, aby wybuchnąć śmiechem po puencie ich księcia z bajki. Czy była trafiona, czy nie, im zawsze się podobała. Naprawdę go kochali.

Ona też go chyba kochała i było jej z tym dobrze. I była gotowa założyć z nim rodzinę i żyć długo i szczęśliwie. Pod warunkiem że sam będzie sobie przyrządzał te wszystkie mięsa i nie będzie jej kazał chodzić na bazar, nie cierpi bazarów.

Przysypiała, kiedy matka postawiła przed nią koszyczek z chlebem, małą karafkę z octem i talerzyk.

- Ale ryby w galarecie to musisz kawałek spróbować, zanim pójdziesz spać. Tak mi wyszła, jak lubisz, w ogóle żelatyny nie dodałam i patrz, jak się ścięła. Ale trzy dodatkowe łyby musiałam dać.

Wieczór wigilijny skończył się o trzeciej nad ranem i doktor Zofia Lorentz musiała obejść się smakiem, jeśli chodzi o powrót do życia seksualnego po niemiłosiernie długiej abstynencji. Karol zwałił się do łóżka pokonany przez karkówkę, pasztet z dziczyzny i przede wszystkim pochłanianą niczym kompot nalewkę z pigwy. Zasnął i zachrapał, zanim głowa doleciała do poduszki.

Świetnie, pomyślała Lorentz, naciągając kołdrę na koronkową koszulkę. A nawet nie powiedziałam jeszcze „tak”. Jak mawiają Amerykanie, uważaj, czego pragniesz.

4

Udało im się złapać niezłe połączenie lotnicze z Triestu przez Monachium do Krakowa i o jedenastej w pierwszy dzień świąt jedli już śniadanie w jednej z nielicznych otwartych kawiarni na rynku, dorwawszy sobie w ramach prezentu obietnicę fajnych orgazmów, kiedy już znajdą hotel.

Śniadanie było zwyczajne, kawa i kanapka, właściciel nie obchodził Bożego Narodzenia. Słuchając muzyki, Anatol pomyślał, że mężczyźni pewnie nie ułożyło się w życiu, skoro w taki dzień wolał siedzieć w swojej knajpie i puszczać rockandrollowe kawałki o umieraniu i przemijaniu. Postanowił dorzucić dychę do napiwku tylko w podziękowaniu za odtrutkę na wszechobecne „lulajże”.

Lisa skończyła sałatkę, upiła czarnej kawy i zaczęła rysować na serwetce litery TLM W różnych konfiguracjach.

- Powiedziała coś więcej? - spytała.

Rozmawiali po szwedzku, uznali, że tak będzie najbezpieczniej.

- Nie. Wszystko wyjaśni, jak się spotkamy. Powiedziała tylko, że odpowiedź musi być w Krakowie i że będą wieczorem, zatrzymali się u jej rodziców w Przemyślu.

- Niezbyt rozsądnie.

- To samo powiedziałem.

- A ona?

- Przeprosiła mnie, że nie jest nierozgarniętym wojakiem chorym na paranoję, który wszędzie widzi niebezpieczeństwo i zagrożenie. Obiecała poprawę.

- Słodka jak zawsze. Z czego wniosek, że jeszcze się nie bzyknęli. Pokiwał głową i gestem poprosił o dolewkę kawy.

- Kim była ta kobieta w radiu? - spytała nieoczekiwanie.

Uznał, że po tych kilku dniach niezobowiązującego romansu stali się sobie zbyt bliscy, żeby teraz nie powiedzieć prawdy.

- Moja była żona, Sylwia. Ta ze zdjęcia w komórce. Byliśmy razem piętnaście lat, zostawiła mnie kilka miesięcy temu, kiedy dowiedziała się, że jest chora na raka. Mówiła, że chce trochę pożyć przed śmiercią.

- Z tego co słyszałam, zmieniła plany. Co do śmierci. Wzruszył ramionami.

- Wpłacisz coś na jej konto?

- Pewnie tak.

- Dużo?

Milczał przez chwilę.

- Ile będę mógł.

- Przyślij mi link, jak już się to wszystko skończy. Też coś wpłacę. Uśmiechnął się.

- To już druga taka propozycja. Wygląda na to, że Sylwia szybko uzbiera na nowe życie. Kim jest Martin?

- Słucham?

- Słyszałaś. Kim jest Martin? Sten pytał o niego w Szwecji, kiedy czekaliśmy na wynik badania spektrografem. Mówił, że Martin go odwiedził i że pytał o ciebie.

- Martin to człowiek z przeszłości. I z przeszłością.

- Szwed?

- Tak. Sąsiad z Dalekiej Północy. Kiedyś byłam młoda i głupia, wierzyłam w partnerstwa i spółki. Martin mnie z tego wyleczył.

- Jak?

- To zły człowiek. Bardzo zły. Myślałam, że... że skoro robię to, co robię, nie uniknę takich ludzi, że to jest cena. Potem okazało się, że ja byłam ważniejsza dla niego niż on dla mnie. Nasze drogi się rozeszły.

- Co się z nim stało potem?

- Podobno zrobił się gorszy. Bardziej bezlitosny, bardziej bezduszny. Jakiś czas próbował się jeszcze ze mną kontaktować i wciągać mnie w swoje życie i przez chwilę myślałam, że muszę się poświęcić, aby ratować jego i innych. Ale mądry przyjaciel wyjaśnił mi, że nie mam z tym nic wspólnego. Martina pociągało zło i chciał się złu oddać całkowicie. Resztką drzemącego w nim człowieczeństwa potrzebowała wymówki i ja miałam być tą wymówką.

- Mądry przyjaciel.

- Sten. Jedyny, jakiego miałam. Będziesz drugi, jeśli sobie czegoś nie ubzduramy.

- Wątpię.

- To dobrze.

Pokiwał głową ze zrozumieniem. Nie był pewien, czy ta odpowiedź mu się podobała, czy nie. Nagle, bez żadnego powodu, major Anatol

Gmitruk, siedząc w przytulnym, pachnącym kawą wnętrzu w spokojny bożonarodzeniowy ranek, poczuł dziwny, nieuzasadniony niepokój. Nagle, dojmujące przecucie rychłej śmierci, jakby ktoś postanowił go poinformować odpowiednio wcześniej, żeby zdążył wykonać ostatni telefon, zmówić paciorek i zapłacić ratę za telewizor. Przez moment nie mógł zaczerpnąć tchu.

Uznał, że wszystko przez tę playlistę, powiedział Lisie, żeby szybko kończyła kawę, zapłacił i wyszli na pokryty śniegiem rynek.

Przy ubieraniu towarzyszyła im jedna z najpiękniejszych, ale też najbardziej przygnębiających rockowych ballad. Dave Mustaine pożegnał ich słowami listu umierającego człowieka do przyjaciół: These are the last words I'll ever speak and they'll set me free...

5

Doktor Zofia Lorentz i Karol Boznański bożonarodzeniowy poranek spędzili, wynagradzając sobie długie miesiące tęsknoty. Najpierw dyskretnie, a kiedy udało się wyprowadzić rodziców do kościoła - bardziej energicznie.

- Co się wtedy właściwie wydarzyło u sexy stulatki? - spytał, gdy zrobili sobie przerwę. - Okazało się, że jesteście spokrewnione?

Przekreślił się na bok. Jedną ręką podparł głowę, drugą kreślił delikatnie znak nieskończoności wokół jej piersi.

- Jeśli tak, to muszę przyznać: masz dobre geny. Serio.

- Czy naprawdę musisz mnie jednocześnie głaskać po piersiach i opowiadać o stulatce ubranej w pieluchę?

- Chciałbym, żebyś wiedziała, że będziesz mnie pociągała nawet, jak będziesz miała sto lat. To chyba dobra wiadomość?

- Teraz to mnie załatwiłeś. Możemy wyjść z łóżka na chwilę? Kwadrans później zgodnie z najlepszymi tradycjami swojej patriarchalnej rodziny panna Zofia układała pieczone na talerzach, a pan Karol próbował uruchomić starożytny komputer w przedpokoju, z kineskopowym monitorem w szarosinym kolorze zwłok ustawionym na starym stoliku od maszyny do szycia.

- Opowiadałam ci o swoim dziadku?

- Tym? - Karol wskazał na wiszące w przedpokoju kolorowe zdjęcie. Starszy pan, łysy, ze szpakowatymi wąsami i zawadiackim błyskiem w oku, trzymał na kolanach chłopca o spojrzeniu zbója, który kurczowo zaciskał w ręce pluszowego króliczka. Chłopcem tym była, wtedy wcale nie wyglądająca na dziewczynkę, Zosieńka Lorentz.

- Tak, tym. To dziadek Wojtek, nasza branża, czyli historia sztuki. Studiował przed wojną we Lwowie, potem działał w konspiracji, trafił do Auschwitz i tam siedział chyba półtora roku. Zawsze nosił długi rękaw, nie chciał, żeby ludzie pytali o numery. Rodzina go wyciągnęła z obozu, trafił do Krakowa i tam został do końca wojny. Potem chciał wrócić do Lwowa, ale Lwowa nie było, więc pojechał najbliżej, jak to było możliwe, czyli do Przemyśla. I tu spędził resztę życia, uczył historii w liceum. Umarł tuż przed wyborami w czerwcu osiemdziesiątego dziewiątego.

- Na co chorował?

- Jak to? - Lorentz obejrzała się przez ramię.

- Ma łaskę opartą o fotel.

- A, to jakaś wojenna rana. Jedną nogę miał praktycznie sztywną. Mimo to chodził ze mną w góry, wiesz? Fajny, mądry człowiek.

- Jaka wojenna rana?

- Nie mam pojęcia.

- A co robił w Krakowie po obozie?

- Też nie mam pojęcia.

- A czym się zajmował wcześniej jako historyk sztuki? Praca naukowa, edukacja, muzealnictwo?

- Szczerze? Nie mam pojęcia. Miałam dwanaście lat, gdy umarł, nie pytałam. Był



dziadkiem, który zabierał mnie w góry i podawał mi jajecznicę na patelni, uwielbiałam to. On też zabrał mnie do Czartoryskich do Krakowa. Pokazał puste ramy, pierwszy opowiedział całą historię o Rafaelu, w taki sposób, jakby to była przygodowa historia.

Teraz myślę, że dlatego robię w życiu to, co robię. Te puste ramy to chyba jedno z najważniejszych przeżyć z mojego dzieciństwa. Chcesz galaretki z ryby?

- Tak jest! - krzyknął entuzjastycznie.

Odwróciła się zdziwiona jego reakcją, to jednak była tylko ryba w galarecie, dobra, ale bez przesady. Nie chodziło jednak o rybę, Karolowi udało się wygrać walkę z przedpotopowym komputerem, po mieszkaniu rozszedł się dawno niesłyszany dźwięk wydzwanianego internetu, piśnięcia i piknięcia na przemian z modulowanymi szumami i szmerami.

- A nie dajesz ci to do myślenia teraz? - zapytał. - Że twój dziadek przed wojną trzymał się z Aszkenazym, w czasie wojny robi nie wiadomo co i zostaje ranny nie wiadomo jak, a wreszcie że opowiada ci fascynującą opowieść o zaginionym Rafaelu? A kiedy zaczynasz go szukać, nagle zewsząd pojawiają się wysłannicy tajnych mocarstw, żeby cię odstrzelić?

- Daje - odpowiedziała. - Myślisz, że dlaczego tu jesteśmy? Sądził, że chciała odwiedzić rodziców i odnowić z nim intymną znajomość.

- Muszę porozmawiać z ojcem. Co ty tam sprawdzasz w ogóle?

- Chcę zerknąć na jedną stronę. To nie ma z nami żadnego związku.

Ciekawiło go, ile Sylwia Seredyńska zebrała na swoją operację. Ciekawość musiała chwilę poczekać, ponieważ wysyłanie danych przez wydzwaniane połączenie przypominało rodzenie wyjątkowo dużego noworodka przez wyjątkowo drobną kobietę.

Szczęknął klucz w zamku i do środka weszli rumiani od mrozu i wiatru państwo Lorentzowie, którzy momentalnie rozpromienili się na widok Karola, co najmniej jakby ich marnotrawny syn odnalazł się po dwudziestu latach tułaczki.

- Synku, gratulacje, nie wiedziałem, że tego rzęcha da się jeszcze uruchomić.

- Nie chciało mi się szukać kafejki internetowej, a chciałem sprawdzić jedną rzecz.

Ojciec Zosi spojrział na niego dziwnie, jakby podejrzewał, że to wstęp do żartu lub kpiny.

- Aha. A nie mogłeś na iPadzie? Leży na gazetach koło kanapy.

Karol zerknął w stronę Zosi, ale jego prawie narzeczona była pochylona nad blatem w kuchni i widział tylko jej plecy. Wobec tego zerknął na panią Lorentz, która odwiesiła futro i siłowała się teraz z kozakami.

- Nie kompromituj się, Tadziu, teraz przecież młodzi mają lepszy internet w zegarkach

niż ty w tym swoim iPadzie sprzed trzech lat. A ja wam mówię, że i tak najlepsza jest przeglądarka w telewizorze. Większe litery, a człowiek lepsze oczy to już miał.

6

Jarosław Żwirko stał w przedpokoju ze spakowaną torbą w rękę i przestępował nerwowo z nogi na nogę. Jego najukochańsza żona, zwykle pełna wyrozumiałości, czułości i ciepła, z zawodu i powołania przedszkolna opiekunka, skrzyżowała ręce na biuście i blokowała swoim ciałem drzwi.

- Nie żartuję. Przejdiesz przez te drzwi i od razu możesz dzwonić do mamy, żeby cię przyjęła z powrotem. Idź, tylko z dziećmi się pożegnaj.

- Rybeńko...

- Rybeńki ci potrzeba, to fakt. Żeby siedziała w akwarium, pływała od ściany do ściany i zamiast mówić, tylko tak by pyszczkiem ruszała. Ale ja nie jestem żadna rybeńka, tylko Wanda z Kossobudzkich z Chrzanowa, i spójrz na mój pyszczek, żebyś zrozumiał wszystko dokładnie, żeby potem w sądzie nie było, że niejasno się wyraziłam. Przejdiesz przez drzwi, wracasz do mamy.

- W jakim sądzie?

- Cywilnym. Jak ci będę odbierała prawo do opieki nad dziećmi. Jęknął.

- Ale przecież uprzedzałem...

- Przed czym uprzedzałeś? Że macie spotkanie w święta, myślałam, że chodzi o ferie, o jakiś dzień między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem. Ale w pierwszy dzień świąt? W Boże Narodzenie chcesz rodzinę zostawić, żeby się macać z tymi wariatami? A może ty, Jarek, jakimś pederastą jesteś?

- Wandziu...

- Nie ma mowy.

- Ale przecież wiesz, że w łoży... - na dźwięk słowa „łoża” prychnęła tak potężnie, że zagłuszyła jego słowa -...że mamy galowe spotkania dokładnie co dwieście trzydzieści dwa dni. Nie moja wina, że akurat teraz wypada. Uprzedzałem przecież.

Wanda z Kossobudzkich z Chrzanowa, obecnie Żwirko, wzruszyła tylko ramionami.

Nie za bardzo miał pomysł, co zrobić. Wyjść nie mógł, zostać też nie mógł, był przecież przewodniczącym łoży, wszyscy przeszli pewnie przez takie samo piekło, żeby się dziś pojawić, nie mógł ich zawieść.

- Pojedziemy potem na dwa dni na narty - powiedział w końcu. To był strzał w dziesiątkę, narty działały na Wandę jak narkotyki; odkąd spadł pierwszy śnieg, co najmniej raz w tygodniu schodziła do piwnicy i przytulała się do swoich desek, a wieczorami zanudzała

wszystkich opowieściami, skąd zjedzie, jak zjedzie, jakie elementy wytrenuje i co zje na stoku.

- Gdzie? - zapytała, niby obojętnie.

- Na Jaworzynę.

- Nie znajdziemy miejsca w Krynicy.

Czuł, że szala powoli przechyla się na jego stronę.

- Nie dość, że znajdziemy, to jeszcze za darmo. Mój przyjaciel, pardon, kochanek z łoży, ma ośrodek wypoczynkowy niedaleko wyciągu. Pewnie pełen, ale wspominał mi kiedyś, że moglibyśmy zatrzymać się w jego służbowym mieszkaniu, on prosto ze spotkania musi jechać do rodziny do Tarnowa.

Milczała.

Postanowił, że poczeka spokojnie na werdykt.

- I przez dwa dni opiekujesz się dziećmi od rana do nocy i nawet nie piśniesz, jak będę jeździła, siedziała w spa albo czytała Camillę.

- Nie pisnę.

Popatrzyła na niego długim, srogim spojrzeniem i zrobiła niechętnie krok w bok.

- Wynocha. Jutro o dwunastej najpóźniej z powrotem, potem zmieniam zamki.

7

Wiktor Lorentz usiadł w swoim ulubionym fotelu, ogromny kubek z kawą postawił sobie na wydatnym brzuchu.

- Dziadek miał swoje dziwactwa - odpowiedział niechętnie na indagowania własnej córki. - Na przykład nigdy po wojnie nie wyjechał z Polski. Pamiętasz nasze wycieczki do Włoch i do Chorwacji? Ciągnąłem go, żeby pojechał z nami, to było niedługo po śmierci babci. A on zapierał się rękami i nogami, cały w histerii.

- Dlaczego?

Wiktor Lorentz westchnął z rezygnacją, jakby wspomnianie dziwactw swojego ojca było dla niego przykre.

- Twierdził, że tylko tutaj jest bezpieczny.

- Tutaj, czyli w Przemyślu?

- Tutaj, czyli w Polsce. Na Zachodzie miało mu grozić jakieś niebezpieczeństwo. Pamiętaj, proszę, że on wiele przeszedł w czasie wojny, te okropieństwa musiały zostawić w nim jakiś ślad. Czasami miałem wrażenie, że aż za mocny ślad, rozumiesz, kuku na muniu. Wielkie tajemnice, teorie spiskowe.

- Jakież konkretne?

- Coś ty, wszystko jak u tych pravicowych wariatów. Wiem, ale nie mogę powiedzieć, bo to zbyt straszne i tajne. Typowe gadanie paranoika. Twierdził, że to dla mojego bezpieczeństwa.

Zofia przykucnęła przy ojcu. Zabrała mu kubek z brzucha i postawiła go obok na podłodze. Wiedziała, że ojciec jest mistrzem trzymania różnych rzeczy na brzuchu, ale i tak nie mogła na to patrzeć. Cały czas drżała, że kawa się wyleje.

- Tato, pomyśl, nawet jeśli wydawało ci się to wariactwem i gadaniem paranoika. Czy pamiętasz coś konkretnego? Powtarzający się element? Może jakiś dokument? Może jakiś zabytek?

Wiktor Lorentz sięgnął po kubek, upił kawy i postawił go z powrotem na brzuchu.

- Miał obsesję na punkcie Rafaela, korespondował na jego temat z jakimiś historykami, ale to wiesz, dałem ci wszystkie jego zapiski, w których nie ma właściwie nic, czego nie byłoby powszechnie wiadomo. Przed śmiercią trochę się otworzył. Opowiedział mi o obozie, potworne historie. Niby nic, czego byśmy nie wiedzieli, ale zrozumiałem, że on to miał cały czas przed oczami, wiesz, te wszystkie śmierci. Znał Kolbego.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Przepraszał, że nie opowiedział wcześniej, próbował, ale to było dla niego za trudne. Mówił też o swojej ranie. Wersja oficjalna była zawsze taka, że to zabłąkana niemiecka kula. Dziwiłem się, bo nie wierzę w przypadkowe kule, które trafiają w rzepekę kolanową dokładnie w ten sposób co mafijne pistolety. Ale była wojna, różnie te kule świstały. No i okazało się, że miałem rację. To nie była przypadkowa kula, tylko, o ile oczywiście dziadek nie konfabulował, jakieś porachunki wywiadów. W ogóle okazało się, że to sprawa nie wojenna, tylko powojenna. Jeszcze raz podkreślam, że słyszałem to od staruszka na łożu śmierci, cholera wie, jak mu tam przeskakiwało po synapsach. Nie zgadniesz, kto go miał postrzelić.

- Amerykanie.

Wiktor Lorentz drgnął i w ostatniej chwili złapał przechylający się kubek.

- Skąd wiesz?

- Nie chcesz wiedzieć.

- Aha, czyli prawdę mówią, że wariactwo co drugie pokolenie się dziedziczy.

- Tato, proszę. Naprawdę teraz nie mogę.

- Dla mojego bezpieczeństwa zapewne.

Lorentz pomyślała, że dla jego i mamy bezpieczeństwa w ogóle nie powinna tu przyjeżdżać.

- Wiem, jak to brzmi, ale tak. Dla twojego bezpieczeństwa. Coś jeszcze mówił dziadek? Proszę, to może być bardzo ważne.

Ojciec zapatrzył się za okno, nie było jeszcze trzeciej, ale już zaczynało po zimowemu zmierzchać.

- Tato?

- To były jego prawie ostatnie słowa, nie chciałem ci mówić, i tak masz świra z tym Rafaelem. A to była bzdura, naprawdę bzdura.

- Błagam, tato, wykrztuś to z siebie.

- Powiedział, że jak już polska będzie wolna, to muszę komuś przekazać... Zosiu, to naprawdę nie ma sensu.

- Co przekazać?

- Że Rafael jest bezpieczny w Bursztynowej Komnacie.

8

Czwórka lotewskich turystów spotkała się wieczorem w Krakowie, w bezosobowym hotelu Chopin przy rondzie Mogiłskim.

Lisa z Anatolem opowiedzieli ze szczegółami, co znaleźli na Santa Catarina, zwanej obecnie Svetą Katariną, pokazali zdjęcia „sali teatralnej” z wnękami na obrazy i kartuszami z inicjałami artystów - zakładając, że słusznie odgadli zamysł hrabiego. Lorentz od razu rozszyfrowała podwójne TA jako Ajdukiewicza i Axentowicza, ale przy TLM była tak samo bezradna jak oni. Szybko też zrobiła z pamięci listę, co gdzie jest, i uznała, że Aszkenazy kupił od Milewskiego tylko artystów zagranicznych i tajemniczego TLM. Wszystkie inne autoportrety były w muzeach lub kolekcjach prywatnych, niektóre były zaginione i znajdowały się na liście strat, z tych najbardziej wartościowy był Gierymski.

- Widziałam wszystkich - mówiła. - W oryginale albo reprodukcje. Autoportret Matejki był zdecydowanie najlepszy z nich i skoro Aszkenazy go nie wziął, a nie wziął, bo kupiło go od Milewskiego Muzeum Narodowe w Warszawie, to nie sądzę, żeby skusił się na Gierymskiego. Chyba że ze względów emocjonalnych, może sam hrabia nalegał, żeby Aszkenazy wziął jego ukochanego malarza. Musimy też założyć, że mógł kupić inne płótna. Może Milewski zrobił sobie specjalną salę na autoportrety, ale gdzieś musiał trzymać pozostałe obrazy i nie wiemy do końca, co wśród nich było. Przypomnijcie sobie Renoira z New Rochelle. Przypomnijcie sobie czarną lokomotywę. Autoportrety mogą być tylko częścią naszej tajemniczej kolekcji.

Naciskali ją trochę w sprawie TLM, ale podobnie jak Lisa niczego nie wymyśliła poza Toulouse-Lautrekiem i tak samo jak Lisie wydawało jej się to mocno naciągane. Ofuknęła ich

i kazała wziąć na wstrzymanie.

- To jest coś oczywistego, żaden szyfr, żadna tajemnica - mówiła. - Szkoda czasu, to jak gapienie się przez godzinę na jedno hasło w krzyżówce. Trzeba odpuścić, lada chwila komuś przeskoczy w głowie i będziemy się śmiać, jakie to oczywiste.

Zofia z Karolem opowiedzieli o spotkaniu z Olhą Bortnik i o tym, jak Henryk Aszkenazy przebrany za oficera ss ukradł swoje własne obrazy, a potem wysyłał jej już po wojnie pocztówki z więzienia. Opowiedziała też o rodzinnych rewelacjach, o postrzelonym przez Amerykanów dziadku i o jego słowach o Rafaelu w Bursztynowej Komnacie. Kiedy wszyscy powiedzieli już to, co mieli do powiedzenia, w niewielkim pokoju hotelowym zapadła cisza, przerywana jedynie szumem aut i tramwajów przejeżdżających szeroką arterią za oknem.

Anatol na chwilę ukrył twarz w dłoniach.

- Zajebicie - powiedział. - Czy tylko mi się wydaje, czy znowu zamiast znaleźć odpowiedzi, udało nam się zadać kilka dodatkowych pytań? Nie wiem jak wy, ale ja mam tego dość. W ten sposób możemy spędzić następne pięć lat w pociągach i syfiastych hotelach, goniąc od plotki do plotki. Czy teraz podzielimy się znów na grupy, żeby szukać grobów Hemara i Tetmajera? Sprawdząć, czy tam nie ma zaszyfrowanych wskazówek ukrytych w schowanych w trumnach srebrnych puzderkach? I jeszcze Bursztynowa Komnata, Święty Graal wszystkich chorych na umyśle poszukiwaczy skarbów. Mogłem się tego spodziewać od początku. Urzędniczka z Ministerstwa Kultury i gość z ferrari, tylko harcerzy brakuje.

- Ministerstwa Spraw Zagranicznych - poprawiła machinalnie Lorentz. - I nie narzekaj, bo marnujesz nasz czas. Posłuchajcie lepiej, co wymyśliłam. Chodziło mi to po głowie bez przerwy od dwóch dni...

Karol chrząknął znacząco, a kiedy wszyscy na niego spojrzeli, odkaslnął kilkakrotnie, udając, że czyści sobie gardło.

- Hrabia Milewski kolekcjonuje wielkich polskich malarzy, a w czasie pobytu z Gieryskim we Francji w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku dorzuca do zbiorów malarzy światowych. Trzonem jego kolekcji są malowane na jego zamówienie autoportrety, dla których buduje specjalną salę w swoim pałacu na wyspie. W latach dwudziestych będący na łożu śmierci hrabia zaczyna wyprzedawać swoją kolekcję i z jakichś nieznanых nam powodów prawo pierwokupu przypada Henrykowi Aszkenazemu, młodemu, zdolnemu finansście ze Lwowa.

Zrobiła krótką przerwę, żeby napić się wody. Nikt się nie odezwał.

- Henryk kupuje perełki, wiezie swoją kolekcję do Galicji i tam trzyma w Podhorcach,

gdzie obrazy stają się świadkami tego, jak Aszkenazy uwodzi zupełnie niezainteresowaną sztuką lwowską piękność, pannę Olhę Bortnik. Zbliży się wojna, Aszkenazy zgodnie ze słowami ukochanej ukrywa swoje skarby w rezydencji, i to całkiem skutecznie, ponieważ udaje się je ochronić przez półtora roku sowieckiej okupacji. A potem wchodzi Niemcy i wszystko się zmienia. Zmienia od chwili, kiedy Aszkenazy dostaje list od swojego przyjaciela Mariana Hemara.

- A gdzie był Hemar wtedy? - zapytał Karol.

- W Londynie. Pracował w Ministerstwie Informacji i Dokumentacji razem z naszym łowcą skradzionych zabytków Karolem Estreicherem. I teraz wyobraźmy sobie dwóch wielkich patriotów, Hemara i Estreichera. Wierzących, że jedynie kultura i jej dobra mogą zagwarantować przetrwanie narodu. Wiedzą od kurierów o tym, co wyrabia Hans Frank w Generalnym Gubernatorstwie, wiedzą o skali zniszczeń i kradzieży. Nie mogą temu zapobiec, ale starają się myśleć perspektywicznie. Liczą na to, że wojna kiedyś się skończy, że będzie można odzyskać narodowe skarby.

Zofia perorowała, chodząc wte i wewte po małym pomieszczeniu i energicznie gestykulując. Kiedy jej wzrok spotkał się na chwilę ze wzrokiem Anatola, dostrzegła w jego oczach autentyczny podziw. Wskazała na majora, żeby dokończył zaczęta przez nią myśl.

- A poczynania wroga najlepiej monitorować za pośrednictwem szpiega w jego otoczeniu.

- Brawo, majorze. A któż lepiej nadaje się na szpiega niż inteligentny i błyskotliwy kosmopolita, dobrze obeznany z niemiecką kulturą, mówiący po niemiecku lepiej niż przeciętny Niemiec i na dodatek posiadający ukryte w piwnicy bezcenne dzieła sztuki, które może ujawnić i zaskarbić sobie w ten sposób wdzięczność i zaufanie kochającego sztukę gubernatora?

- To nieźle brzmi - powiedział wolno Karol. - Ale rozumiem, że jedyne, co potwierdza twoją teorię, to opowieść Bortnik o Henryku w mundurze ss?

- Nie, mój drogi. Najlepiej moją teorię potwierdzają pocztówki, które ty też trzymałeś w ręku. Powinieneś się domyślić, kto w czterdziestym pierwszym tropił dzieła sztuki w czarnym mundurze dla Hansa Franka, w czterdziestym szóstym siedział na Montelupich, a potem znikł.

- To niemożliwe - powiedział po chwili zastanowienia Karol. - Chyba.

- To logiczne. Wygląda na to, że Henryk Aszkenazy w jakiś sposób stał się Wilhelmem Ernstem Palezieux, doradcą Hansa Franka i jego prawą ręką w sprawach związanych ze sztuką. Pamiętajmy, że to były inne czasy, zdjęcia wszystkich nie były

ogólnodostępne. Hansowi Frankowi miano przysłać z Warszawy do pomocy w grabieży kompetentnego urzędnika, właśnie Palezieux. Jakoś ich musieli nasi po drodze podmienić. Spodziewał się Frank Niemca znającego się na sztuce i dostał Niemca znającego się na sztuce. Na dodatek takiego, który zaraz znalazł mu prawdziwy skarb. Tak cenny, że na wszelki wypadek Frank nie pochwalił się znaleziskiem w Berlinie. Ta teoria w innym świetle stawia fakt, że w 1945 roku Palezieux współpracował z Amerykanami w Niemczech, że on wydał im między innymi Hansa Franka, a razem z nim Damę i Samarytanina. Potem zaś Palezieux jako jedyny Niemiec został skazanym za kradzież polskich dóbr kultury w czasie wojny i jeszcze w więzieniu go zamordowano, być może zrobił to siedzący tam w tym samym czasie amerykański szpieg.

- Dlaczego się nie ujawnił?

- Też o tym myślałam. I moja propozycja jest taka. Palezieux, znany wcześniej jako Aszkenazy, współpracuje z Frankiem, zaprzyjaźnia się z nim i gdzieś w kluczowym momencie na przełomie czterdziestego czwartego i czterdziestego piątego razem z Frankiem ukrywa najcenniejszą część gubernatorskich łupów na czarną godzinę. Możemy przypuszczać, że jest tam kolekcja ze zbiorów Milewskiego, Rafael i to coś, tajemniczy sekret, o którym rozmawialiśmy, a który z jakichś powodów jest tak ważny dla naszych amerykańskich przyjaciół. Tyle tylko że kiedy Frank jest pewien, że Palezieux ukrywa skarby dla niego, on tak naprawdę ukrywa je dla siebie. Dlatego Amerykanie nic nie znaleźli, sprawdzając w 1946 roku miejsce, do którego wysłał ich Frank. I dlatego zaraz potem zamordowali Aszkenazego vel Palezieux w polskim więzieniu, a niewiele później powiesili Franka.

- Czekaj, nie nadążam, jak to sobie dokładnie wyobrażasz?

- Dobrze, jeszcze raz wariant dla marszanda. Od 1941 roku przy grabieży dzieł sztuki pracuje z Hansem Frankiem niejaki Wilhelm Ernst Palezieux.

- Którym tak naprawdę jest Henryk Aszkenazy, szpiegujący dla polskiego rządu w Londynie.

- Właśnie tak. Przez kilka lat nie tylko zdobywa informacje o zbiorach Franka, ale też zaprzyjaźnia się z nazistą, zdobywa jego zaufanie. Kiedy zbliża się Armia Czerwona, wszystkie zabytki zostają wysłane do Niemiec, do skrytek na Dolnym Śląsku lub dalej do Bawarii, do willi Franka. Prawie wszystkie, ponieważ najcenniejsze skarby postanawiają ukryć tutaj.

- Dlaczego?

- Bo skrytki w Niemczech były oficjalne, przygotowywane na długo wcześniej przez



niemiecką administrację. Nie sędzę, żeby Frank na początku 1945 roku miał jakieś wątpliwości co do tego, jak skończy tysiącletnia Rzesza, chciał po prostu ocalić własną skórę. A do ocalenia potrzebował kart przetargowych. Trzymanie tychże kart w oficjalnych skrytkach, które jako pierwsze zostaną zajęte przez Rosjan lub Amerykanów, nie miało żadnego sensu.

- Czyli Frank każe Aszkenazemu schować swój skarb. I co dalej?

- I Aszkenazy chowa, melduje gubernatorowi, że zadanie wykonane, razem jadą przez Dolny Śląsk do Bawarii, gdzie jednego i drugiego zamykają Jankesi. Ale Aszkenazy nie wykonał polecenia gubernatora. Owszem, ukrył fanty, ale nie w uzgodnionym miejscu, tylko w innym, znanym tylko sobie.

Milczeli przez chwilę, przetrawiając informację, układając sobie w wyobraźni wszystkie klocki. Ciszę przerwał Anatol.

- Powtarzam pytanie: dlaczego się nie ujawnił? Dlaczego nie powiedział zaraz po zatrzymaniu: hej, to ja, wasz najcenniejszy agent, dajcie mi order. Aha, a tu jest klucz do skrytki, w której znajdziecie Rafaela, masę nieznanymi impresjonistów i jeszcze garść dokumentów, za które Amerykanie zrobią z Polski w nagrodę czterdziesty dziewiąty stan USA.

- Jedyne odpowiedź, jaka przychodzi mi do głowy, to ta, że był patriotą. W 1946 roku nie było nic wiadomo. Czy Polska będzie w ogóle istniała? Czy stanie się częścią ZSRR? Czy granice są ostateczne? W tych warunkach otwarcie skrytki mogło oznaczać nie prezent dla Polski, tylko prezent dla Stalina. I nie mówię tu o obrazach, tylko o sekrecie.

Aszkenazy musiał uznać, że przeczekanie, choćby w celi, to cena, jaką jest gotów zapłacić za to, żeby nie pomagać Stalinowi w jego polityce. To był człowiek ze Lwowa, wiedział, co oznaczają sowieckie rządy. Wiedział, że tuż za granicą miliony Ukraińców ginęły z głodu, bo taki był kaprys generalissimusa. Postaw się na jego miejscu, Anatolu. Czy poświęciłbyś trochę wolności, żeby nie pomóc krwawemu dyktatorowi? Na tyle, na ile cię poznałam, myślę, że tak.

Gmitruk skorzystał z tego, że Lorentz na chwilę usiadła, żeby wstać i rozprostować nogi. Jemu też myślało się lepiej w czasie chodzenia, a dwuosobowy pokój był zdecydowanie za mały dla dwójki nerwicowców.

- Powiedzmy, że to kupuję. Ale rozumiem, że zakładamy wtedy, że Rafael i impresjoniści są ofiarami sekretu na równi z Aszkenazym? Siedzieli w zamknięciu i cierpieli, bo jakaś informacja nie mogła ujrzeć światła dziennego?

Lorentz potwierdziła.

- I z tego samego powodu Amerykanie i cała reszta chcą nas teraz odstrzelić?

Lorentz znowu potwierdziła. Anatol krążył po pokoju jak lew w klatce.

- Okej - powiedział tonem, jakby miał to być wstęp do dłuższego wywodu, ale przerwał i znowu się zamyślił.

- Okej, mam jedno pytanie do was, wykształciuchy. Co to może być za bomba, która była tak ważna nie tylko siedemdziesiąt lat temu, ale ciągle jest?

9

Jarosław Żwirko z dumą rozejrzył się po niewielkiej salce konferencyjnej. Nie przypuszczał, że w taki dzień, w Boże Narodzenie, stawią się wszyscy. A jednak przyjechali. Mimo że większość miała rodziny, że święta oznaczały dla nich masę obowiązków, że musieli zapewne dokonać negocjacyjnych cudów - przyjechali. Połączeni jedną ideą i jednym marzeniem, niczym galernicy łańcuchem.

- Jestem wzruszony - zaczął - naprawdę wzruszony, że jesteśmy w komplecie. Dzień jest szczególny i pozwólcie, że złożę nam wszystkim życzenia wspaniałych świąt i doskonałego nowego roku. Niech to będzie rok, w którym spełniają się marzenia - zrobił dramatyczną pauzę, by po chwili dodać: - Niech to będzie rok, w którym spełni się nasze marzenie!

Otrzymał rześiste brawa.

- A teraz, drodzy bracia, jak zwykle proszę, żeby każdy zreferował, czy i co zmieniło się na jego odcinku przez ostatnie dwieście trzydzieści dwa dni. Mam nadzieję, że był to czas owocny i że wychodząc na kolację, będziemy jeszcze mocniej wierzyć w to, że koniec naszych poszukiwań jest bliski.

Z pełną powagą skinęli głowami, każdy wyprostował gwałtownie lewe ramię w braterskim pozdrowieniu, trzymając dłoń w taki sposób, w jaki dama podaje swoją do pocałowania.

Na serdecznym palcu każdego z nich widniał robiony na zamówienie w jednym z gdańskich warsztatów jubilerskich pierścień - ciemny bursztyn oprawiony w srebro.

10

Karol przyjął wyzwanie.

- Po pierwsze możemy założyć, że ta informacja dotyczy w jakichś sposób zarówno Stanów Zjednoczonych, jak i nazistowskich Niemiec i że jej ujawnienie byłoby niekorzystne dla obu stron.

- Dlaczego? - dopytywał Anatol.

- Dłate go że historycy od siedemdziesięciu lat zastanawiają się, co takiego miał w

sobie Hans Frank. W Berlinie kłuła w oczy jego arogancja, odrębność i niespotykana chciwość. Naraził się chyba całej wierchuszce z Berlina, a mimo to był nietykalny. Narzucające się wytłumaczenie jest takie, że Frank musiał mieć potężnego haka na kogoś z pierwszej ligi. Jakiś mały lub duży sekrecik, który pozwalał mu pozostać bezkarnym.

Pokiwali głowami. Wywód był logiczny.

- A Stany? - drążył Anatol. - Czy to może być jakiś dowód, że Amerykanom wojna była na rękę?

- Każdemu mocarstwu wojna jest na rękę, to święte prawo historii. Cały amerykański biznes i przemysł aż drżał z podniecenia na myśl, że Stany mogą przyłączyć się do światowej wojny, dla nich oznaczało to strumień miliardów dolarów za zamówienia rządowe. Światowa wojna oznaczała zysk dla wszystkich, poza wysyłanymi na front żołnierzami i ich rodzinami. Od narodowej ekonomii, przez producentów czołgów i instytuty naukowe, po szwaczki, które wszywały tasienki w hełmy. O bankach nie wspomnę, banki zawsze wygrywają, a na wojnie wygrywają wielokrotnie, bo zazwyczaj finansują wszystkie strony konfliktu. Dla Stanów Zjednoczonych żaden biznes w historii nie był tak intratny jak druga wojna światowa. Oczywiście nikt się tym nie chwali, lepiej śpiewać hymny poległym bohaterom pod powiewającymi sztandarami, ale mechanizmy łączące wojnę, ekonomię i biznes zostały opisane milion razy.

- A dowód, że Amerykanie aktywnie wspierali nazistów w latach trzydziestych, żeby doprowadzić do wojny w Europie?

- I chcieli w ten sposób wyciągnąć kraj z kryzysu? To pewnie też, ale to by musiało być coś ze świata polityki. Fakt, że amerykańskie firmy współpracowały z niemieckimi, a nowojorskie banki udzielały nazistom pożyczek, coś takiego byłoby przez tydzień ciekawostką w mediach, i tyle. Banki są złe, a korporacje jeszcze gorsze, każde dziecko o tym wie. Ale dowód politycznej współpracy to by było coś. Amerykanie polegają na swojej reputacji dobrego szeryfa, skaza na tej reputacji mogłaby im nieźle namieszać w polityce międzynarodowej. Ale jak mówiłem, to by musiało być coś większego, bardziej konkretnego. Nie wiem, wysoki rangą dowódca us Army, który radzi Góringowi, jak najskuteczniej zaatakować Polskę? Coś w tym stylu.

- Czy to mogłoby dziś zaszkodzić Amerykanom?

- Jasne. Po pierwsze straciliby moralny mandat do swoich poczynań na arenie międzynarodowej. Przy każdym stole negocjacyjnym by im wyciągano, że jako naród, który wspierał Hitlera i doprowadził do tego, że cały świat stanął w płomieniach, gównu mają do gadania. Poza tym gdyby udało się udowodnić, że ich działania doprowadziły do realnej

szkody realnych osób, ofiary czy ich potomkowie rozpętaliby piekło. Odszkodowania mogłyby iść w biliony dolarów.

- Dlaczego teraz? - zapytała znieczeka Lorentz. Spojrzeli na nią pytająco.

- Coś przegapiliśmy. Skarb Franka, czy też skarb Aszkenazego, jak zwał, tak zwał, przeleżał w ukryciu siedemdziesiąt lat. I nagle coś sprawiło, że zorganizowali zasadzkę, podsuwając Polsce Rafaela. Chciało im się przygotowywać pułapkę w New Rochelle, a potem wysłać za nami swoich zbirów do Szwecji. To wygląda tak, jakby coś się wydarzyło. Coś, co my przegapiliśmy, a oni nie. Dlatego uderzyli, sądzili, że my też to zobaczyliśmy i za chwilę wyciągniemy ręce po ich supertajne dokumenty.

- Tylko że my niczego nie zobaczyliśmy. O to ci chodzi?

- Tak. A coś musiało się stać. Pomyślmy przez chwilę.

Myśleli nie przez chwilę, tylko przez kilka godzin, przerzucając się pomysłami. O dwudziestej poczuli głód, ale uznali włączenie się po Krakowie za niebezpieczne, zamówili więc z hotelowej restauracji cztery sałatki i dzbanek kawy.

- Jeszcze raz - podsumował ich wywody Gmitruk. - Szpieg nic nie wie. Specjalistka od historii sztuki nic nie wie. Specjalista od rynku i handlu sztuką też nic nie wie. Specjalistka od czarnego rynku i złodziejka nie wie. Może kogoś brakuje? Czy jest jeszcze w ogóle ktoś, kto się podnieca do tych staroci?

11

Brat Bartosz, ich specjalista od Dolnego Śląska, prywatnie właściciel sklepu z armaturą w Wałbrzychu, skończył przydługi referat na temat nowych możliwości poszukiwań, jakie pojawiły się w Górach Sowich. Żwirko wysłuchał go grzecznie, choć osobiście był zdania, że sztolnie w Walimiu to ślepa uliczka, przynajmniej z ich punktu widzenia, co innego, jakby poszukiwali śladów eksperymentów związanych z wunderwaffe. Ale zachował tę uwagę dla siebie. Brat Wojciech był bardzo przywiązany do swoich teorii, a główną obowiązującą w łoży zasadą było równorzędne traktowanie wszystkich teorii do czasu rozwiązania zagadki.

- Bracie Jarosławie, czy mogę zgłosić wątpliwość? - W głosie brata Artura zabrzmiała ironia, która bardzo nie spodobała się Żwirce.

Brat Artur był najmłodszym i najświeższym członkiem łoży. Przyjął go, ponieważ od jakiegoś czasu działali rutynowo i brakowało im entuzjazmu, młodzieńczego zapału. Poza tym brat Artur doprowadził do tego, że w ważnym amerykańskim magazynie o poszukiwaniu skarbów ukazał się obszerny artykuł o ich poczynaniach.

O hipotezach, o wersjach, dowodach na to, że komnata nie została zniszczona. Dzięki

temu artykułowi ruch na ich stronie internetowej się zwiększył, a na koncie przybyło datków. Dlatego nie mógł sobie pozwolić na nieprzyjęcie Artura do łoży, nawet jeśli od początku nie podobały mu się stale obecne w jego wypowiedziach ironia i sarkazm.

- Słuchamy, bracie Arturze - powiedział łagodnie, starając się jednak, żeby w jego głosie zabrzmiało ostrzeżenie przed próbą marnowania czasu ich wszystkich.

- Z całym szacunkiem przyznaję, że na początku ten pomysł wydał mi się właściwy. Grono ludzi, którzy marzenie o odzyskaniu dla ludzkości Bursztynowej Komnaty zamienili w misję. Każdy działa na swoim terenie, bada, zbiera ślady. A co dwieście trzydzieści dwa dni spotykamy się, żeby wymienić się doświadczeniami i skierować śledztwo na nowe kierunki. W ten sposób możemy elastycznie dopasowywać się do nowych informacji, działać skuteczniej. Wszyscy bracia kiwali głowami ze zrozumieniem.

- Ale mam wrażenie, że to tak nie działa. Nikt nie słucha, każdy z zamkniętymi oczami trąkocze jak natchniony, składa nudne raporty ze swojego przodka i nic poza tym. Gdyby wam postawili skrzynki z komnatą w przedpokoju, tobyście je obeszl i nie zauważyli, tak jest każdy ślepo zapatrzony w swoją wersję.

Bracia przestali kiwać głowami. Wyglądali na obrażonych i zdumionych. Spotykali się już osiem lat, a nikt nigdy nie odzywał się w ten sposób na posiedzeniach łoży.

- Licz się ze słowami, bracie Arturze - przywołał go do porządku Jarosław Żwirko. - To poważne i bezpodstawne oskarżenia.

- Naprawdę? To posłuchajmy. Bracie Rafale, skąd pochodzisz?

- Z Gdyni.

- I twoim zdaniem jakie jest najbardziej prawdopodobne miejsce przechowywania komnaty?

- No cóż, nie tylko ja jestem zdania, że znajduje się ona w specjalnym sejfie we wraku Wilhelma Gustloff'a. Wyprawa nurkowa sprzed półtora roku potwierdziła istnienie grodzi z nitami, których obecności nie udało się stwierdzić nigdzie indziej na statku. Analiza nacięć na główkach pozwala przypuszczać...

- Dziękuję. Ty, bracie Mateuszu, jesteś z Elbląga, prawda? Gdzie jest komnata?

- Darzę olbrzymim szacunkiem brata Rafała, ale poza marzeniami o podwodnych skarbach trzeba też analizować dane historyczne. Komnata zmierzała, jak wiele innych dóbr kultury, w głąb Rzeszy, a kiedy okazało się, że nie ma szans na ewakuację, została ukryta w okolicach Elbląga i Lidzbarka Warmińskiego. Znajduje się tam wiele obiektów inżynieryjnych powstałych w latach czterdziestych, których przeznaczenie jest niejasne. To znaczy niejasne tylko do chwili, kiedy weźmiemy pod uwagę komnatę...

- Bracie Piotrze z Katowic?

- Brat Mateusz ma rację, ale tylko do pewnego momentu. Komnata faktycznie zmierzała do Rzeszy, ale nie zatrzymała się na Warmii i Mazurach. Udało jej się opuścić Prusy Wschodnie i dopiero na Śląsku Niemcy zaczęli rozglądać się za kryjówką. W krainie starych kopalni, kilometrów szybów i sztolni znacznie łatwiej było o takie miejsce niż na mazurskich bagnach. Logika stoi po stronie takiego rozwiązania. Ukryć, wysadzić wejście, zaznaczyć na mapie. W przemysłowej okolicy żaden pociąg i żaden wybuch nie wzbudzają sensacji, rozwiązuje to problem z ciekawskimi świadkami.

- Problem z ciekawskimi świadkami rozwiązuje też tajna sztolnia, budowana przez robotników, którym można po skończeniu budowy strzelić w potylicę - wtrącił brat Bartosz. - Tajna sztolnia powstała na Dolnym Śląsku, czyli na terenie, który Niemcy uważali wówczas za bezpieczny, bo nie mogli jeszcze wiedzieć, że przypadnie on Polsce, dla nich to była ewakuacja do serca Rzeszy. A jeśli ktoś sądzi, że Albert Speer kazał wybudować labirynty podziemnych schronów tylko po to, żeby tam trzymać przetwory, to nie zasługuje to nawet na komentarz.

Jarosław Żwirko słuchał swoich braci i chociaż ciągle nie zgadzał się z Arturem i bardzo dotknęły go jego słowa, to musiał przyznać mu trochę racji. Może zamiast kurczowo trzymać się swoich wersji, powinni wymyślić mechanizm, który zmusiłby ich do twórczego myślenia, do rozważania innych hipotez? On sam czuł się na to otwarty, zawsze chlubił się swoją gotowością do przyjęcia cudzych punktów widzenia. Gdyby musiał wypełnić kwestionariusz psychologiczny, to właśnie otwartość umysłu wpisałby jako swoją największą zaletę.

- Bracie przewodniczący? - Kpiące oczy Artura zatrzymały się na jego twarzy.

- Nie uważam, że moja hipoteza jest lepsza od innych, wszystkie są równorzędne i równie prawdopodobne - zaczął dyplomatycznie. - Ale przyznaję, że lata studiów skłaniają mnie ku przypuszczeniu, że komnata została odesłana w ręce nazistowskiego urzędnika, który był ekspertem w grabieży dzieł sztuki, ich zabezpieczeniu i ewakuacji. Mam tu na myśli generalnego gubernatora Hansa Franka. Jeśli założymy, że komnata przyjechała do niego i potem nie znalazła się w Bawarii, to ze względu na swoje rozmiary i trudności transportowe musiała zostać ukryta na Wawelu lub na zamku w Przegorzałach.

Nie podobał mu się uśmiech na twarzy Artura. Nie podobało mu się też, że zaraz będzie musiał odpowiedzieć na następne pytania i ta odpowiedź nie będzie najlepiej świadczyła o jego otwartości. Postanowił uprzedzić atak i odebrać smarkaczowi satysfakcję.

- Ale to, że urodziłem się i mieszkam w Krakowie, nie ma tu nic do rzeczy. To

absurdalne pomówienie. Po prostu uważam, że ta teoria jest lepsza niż, nie szukając daleko, twoje fantazmaty rodem ze zbiorów klechd domowych, bracie.

Brat Artur uśmiechnął się tyleż szeroko, co kpiąco i ułożył usta do następnego pytania.

Na szczęście od konieczności dalszej rozmowy wybawił brata Jarosława Żwirkę dzwonek telefonu.

- Wszystkiego najlepszego, droga Zofio! - powiedział do słuchawki, usłyszawszy znajomy głos przyjaciółki.

12

To szaleńcy - wyszeptała Lorentz ze słuchawką przy uchu, czekając na połączenie. - Są przekonani, że w krzakach właśnie koło ich domu leży zakopana Bursztynowa Komnata. Nazywają to Łożą Odkrywców i spotykają się co dwieście trzydzieści dwa dni, bo tyle lat minęło od stworzenia komnaty do jej zaginięcia.

- I mówię, że jesteś fafle? - Głos Lisy był zupełnie niewinny. Lorentz zignorowała ją.

- Jarku? Wesołych świąt! Mam nadzieję, że nie przeszkadzam... Aha, masz bożonarodzeniowe zebranie łoży... - Spojrzała na nich znacząco. - Słuchaj, mam do ciebie szybkie pytanie, do ciebie i pozostałych braci...

Przez chwilę tłumaczyła, w czym rzecz, unikając oczywiście szczegółów. Nie wspomniała o słowach umierającego dziadka, nie wypowiedziała nawet słowa „Rafael”, bojąc się, że następnego dnia wszystkie fora odkrywców będą kipiały od spekulacji o odnalezieniu Portretu Młodzieńca. Tylko tego im było trzeba.

Po kwadransie rozmowa była skończona. Lorentz rozłączyła się i spojrzała na swoich towarzyszy. Już wcześniej widzieli, że coś jest nie tak, jej twarz zmieniła się z pogodnie zmęczonej i wyczerpanej na pełną chorobliwego napięcia.

- No? - Karol pierwszy nie wytrzymał.

- To może być to - powiedziała. - To naprawdę może być to. Brakujący element układanki.

- A konkretniej?

- Konkretniej kilkanaście miesięcy temu w amerykańskim magazynie „Lost Treasure” ukazał się artykuł polskiego poszukiwacza. „Lost Treasure” to największy taki magazyn w Stanach, odpowiednik naszego „Odkrywcy”. Polski poszukiwacz nazywa się Artur Jonek i pisał o różnych hipotezach na temat miejsca ukrycia Bursztynowej Komnaty.

- Notabene nie wiem, czy słyszeliście - wtrącił Karol - że sporo śladów komnaty prowadzi do Stanów Zjednoczonych. Był taki dziennikarz amerykański, który całe życie poświęcił na szukanie komnaty. W latach siedemdziesiątych napisał w liście do znajomego,

że jest pewien, że komnata została ukryta w Stanach, a tydzień później popełnił samobójstwo. Nie miał żadnej depresji. Niezłe, co nie?

Pozostała trójka popatrzyła na niego takim wzrokiem, że nie śmiał się odezwać.

- Oczywiście był tam cały stały zestaw standardowych miejsc - kontynuowała Lorentz. - Królewiec, zamki na Mazurach, Gustloff, sztolnie pod Wałbrzychem. Ale pojawił się nowy element. Autor stawiał hipotezę, że Bursztynowa Komnata mogła przyjechać do Hansa Franka i zostać ukryta przez specjalne szkolone górskie komando ss... Nie patrzcie tak, ja tylko powtarzam... w masywie Giewontu, w zakamuflowanej jaskini, tej samej, która dała początek legendzie o śpiących rycerzach.

- Jakiej legendzie? - Lisa nie miała pojęcia, o czym mowa.

- Jest taka legenda, że w jaskini pod Giewontem, czyli świętą polską górą...

- Zawsze lepiej góra niż ruska czarna Żydówka - wtrąciła Lisa, jak zwykle bezbłędną polszczyzną, kiedy miała ochotę komuś dopiec.

-..jest pograżony we śnie oddział rycerzy w pełnej zbroi. A kiedy nadejdzie czas potrzeby, rycerze wstaną i ruszą ojczyźnie z odsieczą.

Lisa parsknęła śmiechem.

- Na pewno znacie historię Polsko lepiej niż ja. Ale czy już nie było czasów potrzebów wiele razy wiele czasów temu?

Lorentz postanowiła, że nie będzie komentować.

- Na pewno was zaciekawii, skąd ta hipoteza. Otóż wiosną w Zakopanem, między kamieniami górskiego strumienia, szukający ochłody turysta znalazł termos. Przedwojenny termos firmy Thermos. Nie było w nim jednak ani przedwojennej herbaty, ani kawy, tylko kawałek bursztynu. Fragment jakiegoś ornamentu, ułamany liść akantu z wyżłobioną naprędcę swastyką. Turysta ciekawostkę wrzucił na swój blog, tam znaleźli to nasi braciszkanie, podchwycili temat i zapisali całe arkusze historią tego, jak to Hans Frank ukrył Bursztynową Komnatę w jaskini w Tatrach.

- Może ukrył? - spytał Karol.

- Daj spokój. Komnatę Rosjanie puścili z dymem w Królewcu, tylko bali się do tego przyznać i od tamtej pory rozpuszczają plotki o tajemniczym zaginięciu. Nie ma żadnej Bursztynowej Komnaty.

- Do wczoraj też tak myślałem. A nawet byłem pewien. Ale wtedy nie wiedziałem, że twój dziadek, wielki miłośnik gór i konspirator, twierdził, że Rafael jest w Bursztynowej Komnacie. Nie wiedziałem, że istnieje tajemniczy skarb Hansa Franka. I nie wiedziałem, że w tatrzańskich strumieniach można znaleźć bursztyn.



Lorentz nie miała na to dobrej odpowiedzi i wzruszyła tylko ramionami. Koniec końców nawet ona nie była odporna na czar legendy o Bursztynowej Komnacie.

- To i tak teraz nieważne. Posłuchajcie, dlaczego to może być brakujący element. Przypuśćmy, że Frank sądził, iż Aszkenazy schował kolekcję w jakimś miejscu w polskich górach. Przypuśćmy, że właśnie tam Amerykanie szukali w 1946 roku i niczego nie znaleźli, co Aszkenazy vel Palezieux i Frank przypłacili życiem. Przypuśćmy, że teraz ktoś w USA przeczytał artykuł o ukrytym w Tatrach skarbie gubernatora. Wiecie, w jakim tonie poszukiwacze piszą te swoje brednie. Jakby już trzymali rękę na kłamece do skarbcza. Ktoś uznał, że istnieje niebezpieczeństwo, że w Polsce to wezmą na poważnie, rozkręcą wielką akcję poszukiwawczą, odnajdą skarb, odnajdą obrazy, a przede wszystkim sekret.

Gmitruk skrzywił się.

- Bajki. Nie ma żadnych dowodów ani na te góry, ani na skarby, ani... Przerwał gwałtownie.

- O kurwa - powiedzieli jednocześnie z Karolem i spojrzeli na siebie.

- Ty pierwszy - znowu powiedzieli jednocześnie. Oczekali moment.

- Posłuchajcie - znowu powiedzieli jednocześnie.

- Apopleksji za chwilę dostanę. Karol mówi pierwszy, Anatol drugi. Karol?

- Bortnik dostała po wojnie dwie pocztówki od Aszkenazego, tak? Obie niewinne, ale przyjrzyjmy się bliżej.

Lorentz sięgnęła do torby, wyjęła pocztówki, które dostali od staruszki, i podała Karolowi.

- To pierwsza. - Pokazał im widokówkę. - Z jednej strony widoczek Wawelu, okupacyjnej siedziby niemieckiego króla Polski. Z drugiej wierszyk, błahostka, kilka słów o miłości. Ale posłuchajcie: „Trudno tak to powiedzieć, po prostu, bez drżenia w głosie, że miłość w sercu gorącą schowałem, jakby w termosie”. Oczywiście i Wawel, i termos mogą być przypadkiem, ale nie muszą.

Pokazał im drugą pocztówkę.

- Muzeum Książąt Czartoryskich. I wiersz Tetmajera o potędze sztuki. Lisa tego nie wie i Anatol też, ale...

- Tetmajer to największy piewca Tatr w polskiej poezji - wpadł mu w słowo Gmitruk.

- Dokładnie tak. Posłuchajcie: „Ewiva Tarte! w piersiach naszych płoną ognie przez Boga samego włożone: ze szczytu patrzym z głową podniesioną, laurów za złotą nie damy koronę i chociaż życie nasze nic niewarte: evviva l'arte!”. Nadawca wybrał taki kawałek, gdzie jest i sztuka, i szczyt, czyli góry.

- Nie wybrał, tylko zmienił - zauważył Gmitruk.

- Jak to?

- Tu jest błąd. Powinno być tak: w piersiach naszych płoną ognie przez Boga samego włożone: więc patrzym na tłum z głową podniesioną i chociaż życie nasze nic niewarte: evviva l'arte!

Gmitruk miał piękny, głęboki głos i to, co u Karola brzmiało jak wyrecytowanie wierszyka na szkolnym konkursie, w jego ustach zamieniło się w poezję.

Nikt z nich nie wiedział, że recytując Tetmajera, major znowu poczuł to dziwne przecucie, które uderzyło go rano w kawiarni. Przecucie, że nie dożyje sylwestra. I chociaż życie nasze nic niewarte, evviva l'arte. Czyżby to miało być ponure prorocstwo? Że zginie dla jakiegoś dzieła sztuki?

- Anatol? - Głos Lorentz wyrwał go z zamyślenia. - Tobie o co chodziło?

- Wydarzenia z Kasprowego z jesieni. Atak terrorystyczny, roztrzaskana kolejka, dwie ofiary.

Lorentz otworzyła usta, żeby coś jeszcze dodać, ale wzrokiem nakazał jej milczenie. Tylko ona wiedziała o roli, jaką odegrał w tamtych wydarzeniach, i widocznie chciał, żeby tak zostało.

- Powinno was zainteresować, kto zginął. Obydwie osoby znajdowały się w jadącym w dół wagoniku kolejki. Byli to operator i pasażer, Janusz Hauptmann. Profesor geologii z Akademii Górniczo-Hutniczej, największy w Polsce i Europie specjalista od badania zjawisk krasowych i mapowania jaskiń poprzez badanie cieków wodnych. Kilka tygodni wcześniej jego zespół dostał grant i rozpoczęli projekt w Tatrach Zachodnich.

- Słucham? Co to jest mapowanie cieków? - Karol nie zrozumiał ostatniego zdania.

- Polega to na wlewaniu do jaskiń w różnych częściach gór różnych związków, które w różny sposób ze sobą reagują i na dodatek ich skład zmienia się w miarę upływu czasu. Potem bada się wodę wewnątrz poprzez chirurgiczne odwierty i tę, która wypłynie w dolinach, i w ten sposób można sprawdzić dokładnie, jaką drogę przebyła, i komputer rysuje mapę podwodnych rzek. Dzięki temu, znając miejsce znalezienia termosu, można dowiedzieć się, z jakiego miejsca w środku gór wypłynął. Rozumiecie?

Przytaknęli.

- Do tej pory myślałem, że Hauptmann zginął przez przypadek, że znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie i nikt nie zdążył go uratować. - W ostatnim zdaniu zabrzmiała gorycz, którą tylko Lorentz zrozumiała. - Teraz myślę, że zginął, aby nie móc badać tatrzańskich podziemi. A dlaczego w taki sposób, a nie w jakimś ciemnym zaułku?

Żeby zdestabilizować funkcjonowanie Tatr. Pamiętajcie, że wstęp do parku był zakazany przez dwa miesiące. Jeśli ktoś chciał się rozejrzeć bez turystów na głowie, w ogóle bez nikogo na głowie, to dostał, a raczej stworzył sobie, taką szansę. Wiem, bo siedziałem tam razem ze śledczymi. A pamiętacie z gazet, kim byli śledczy.

- Amerykanie - powiedział Karol.

- Właśnie. Nasi kochani sojusznicy jeszcze w dniu katastrofy zgłosili się, że pomogą nam wyjaśnić terrorystyczny zamach, przysłał armię fachowców i ekspertów. I faktycznie przysłali ludzi, którzy mogli przez dwa miesiące zamknięte dla publiczności góry przeczesać, mogli zajrzeć pod każdy kamień.

- Ale niczego nie znaleźli - powiedziała Lorentz. - Dlatego postanowili na wszelki wypadek wyeliminować ludzi, którzy mogliby coś znaleźć. Czyli nas.

Konstatacja była oczywista, nikt z pozostałych nawet nie zadał sobie trudu potwierdzenia.

- Musimy tam wrócić - powiedziała. - Jak najszybciej. Spojrzeli pytająco.

- Henryk Aszkenazy wysłał swojej kochance, być może licząc, że ktoś się do niej zgłosi, wiadomości zawierające w sobie termos, Rafaela i Tatry. W Tatrach znaleziono termos z epoki, a w nim kawałek bursztynu ze swastyką. W Tatry zabierał mnie mój dziadek, który zaraził mnie pragnieniem odkrycia tajemnicy Rafaela i który na łożu śmierci mówił o tym, że Rafael jest bezpieczny w Bursztynowej Komnacie. W Tatrach zamordowano specjalistę od rysowania map jaskiń i tam zjawili się Amerykanie. No i jeszcze jeden element, być może najważniejszy. Kalatówki.

Anatol zmarszczył brwi.

- To brzydkie schronisko?

- Nie tyle schronisko co hotel górski, chyba nawet mają jedną gwiazdkę. Teraz jest na terenie parku narodowego i można tam wejść tylko na nogach, ale przed wojną to był najelegantszy hotel w Zakopanem. Ekskluzywny kurort wysoko w górach, z restauracją, kawiarnią i salą do brydża, z okien widoki na Kasprowy i na nowo wybudowaną kolejkę. Limuzyny zajeżdżały pod drzwi, znamienici goście bawili na dansingach. Panie w świecących sukienkach, panowie we frakach. Zarzucali futra i płaszcze na ramiona, żeby stać pod gwiazdami na tarasie i raczyć się szampanem. Wyobrażacie sobie?

Przytaknęli.

- W czasie wojny hotel na Kalatówkach nazywał się Berghaus Krakau i był rezydencją Hansa Franka. Trzecią obok Wawelu i zamku w Przegorzalach. Podobno uwielbiał to miejsce, bo mu przypominało Alpy.

- I co tam znajdziemy? - zapytał Gmitruk.

- Zobaczymy. - Wskazała na przedwojenne zdjęcie Muzeum Czartoryskich. - Mam nadzieję, że Młodzieniec wskaże nam drogę.

Nie było o czym dłużej dyskutować. Lisa z Anatolem wyszli. Gmitruk pogwizdywał melodię, która leciała rano w kawiarni i sprawiła, że poczuł niepokój. Pożegnalny list umierającego. Dlaczego mu ten przeklęty kawałek siedzi w głowie?

13

Kojarzysz tę piosenkę? - zanucił, udanie powtarzając motyw gwizdany przez Anatola.

Boznański i Lorentz stali pod prysznicem i namydlali się wzajemnie. To było bardzo przyjemne zakończenie dnia. - Co?

- Ten kawałek, co Anatol gwizdał. Włazł mi do głowy i nie daje spokoju, a nie pamiętam, co to jest.

- Brzmi jak Włazł kotek na płotek, tylko fałszywie.

- Bardzo śmieszne.

- Nie zrozum mnie źle, pięknie gwizdzesz, prawie jak wirtuoz fletu. To pewnie kabina ma złą akustykę.

- Naprawdę ci się oświadczyłem?

- Bez pierścionka się nie liczy.

14

Śnił mu się spacer. Szedł górskim szlakiem, była noc, ale księżyc w pełni odbijał się od śniegu i wokół było dość jasno. Byłoby nawet przyjemnie, gdyby nie to, że przed nim szedł dziwny szczupły mężczyzna w niebieskim garniturze. Nie podobał mu się ten typ i Karol chciał zawrócić, ale nie mógł, jak to we śnie, zamiast tego szedł szlakiem, aż wyszli na obszerną polanę z widokiem na góry. Księżyc wisiał na niebie nad jego głową, jaskrawo oświetlając plecy chudego mężczyzny, ich długie cienie wyglądały na śniegu jak plamy atramentu na obrusie.

I wtedy postać przed nim odwróciła się. Nie był to mężczyzna, był to uśmiechnięty kościotrup w ciemnych okularach.

Karol ocknął się gwałtownie i przez moment przypominał sobie, gdzie jest. Kształt Zosi pod kołdrą i szum krakowskich tramwajów za oknem przywróciły go do rzeczywistości.

Uśmiechnięty kościotrup w ciemnych okularach. Znał tę postać, kościotrup pojawiał się na okładkach płyt Megadeth. Dlaczego mu się teraz przyśnił? Oczywiście, przez cały wieczór próbował przypomnieć sobie melodię gwizdaną przez Anatola. Fajny kawałek, po francusku śpiewali.

Zaczął nucić pod nosem, z każdym wersem coraz głośniej.

- A tout le monde\ A tout mes amis] Je vous aime... je dois partir... these are the last words... VU ever speak...

- Odbiło ci do końca?

- Przypomniał mi się ten kawałek. To ballada Megadeth,? tout le monde.

- Aha, świetnie. Rano przynosisz kawę.

Poszedł się wysikać, cały czas nucąc pod nosem. Patrzył w lustro spod zmrużonych powiek, kiedy skojarzył.? tout le monde. Do wszystkich. Tout le monde. Wszyscy. Tout le monde.

TLM.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Kalatówki

1

Nie chciało jej się wierzyć, że znowu tu jest.

Joanna Banaszek siedziała przy oknie w restauracji, grzała dłonie o filiżankę rozpuszczalnej kawy i czekała na swoje ulubione frankfurterki. System śniadaniowy w hotelu na Kalatówkach był tak dziwaczny, że aż uroczy. Na początku pobytu każdy dostawał tyle niewyraźnie skserowanych kwadratowych karteczek z logo hotelu, ile poranków miał tu spędzić. Potem na śniadaniu przekazywał karteluszek kelnerce, która na odwrocie zapisywała wynik drobiazgowego przesłuchania. Do śniadania chcemy kawę czy herbatę? Dżem czy miód? Jogurt naturalny czy owocowy? A najważniejsze pytanie brzmiało: który zestaw? Zestawów było kilka, ale zawsze brała albo piąty (jajecznica na szynce), albo czwarty (frankfurterki). Kielbaski, przez stałych bywalców zwane „frankami”, smakowały przepysznie i nawet kilka razy chciała dopytać, skąd je biorą. Odpuściła, pewnie w domu by tak nie smakowały.

Tutaj wszystko smakowało inaczej, bo jedzenie było jedynie dodatkiem do magicznego miejsca, a miejsce tylko dodatkiem do widoku za ogromnymi oknami - cała jedna ściana restauracji była taflą szkła. Hotel stał na szerokiej górskiej polanie, która schodziła łagodnie w dół doliną Bystrej aż do świerkowego lasu. Między drzewami płynął potok, biegły też tamtędy nartostrada i szlak turystyczny, a nad lasem do niedawna kursowała kolejka na Kasprowy. Ze swojego miejsca przy stoliku widziała podpory i liny, na których zwykle o tej porze roku jeździły wagoniki pełne narciarzy. Widziała też stację przesiadkową i wysoko w górze, na grani, najwyższą stację kolejki oraz obserwatorium meteorologiczne na Kasprowym Wierchu. Tam już nie było widać lin, nie dlatego, że odległość była zbyt duża,

tylko dlatego, że ich tam nie było. Joanna Banaszek widziała tylko, że jedna z podpór - ta, która uratowała życie sześćdziesięciu jeden osobom - ciągle stoi przekrzywiona pod dziwnym kątem.

Niestety, bez narciarstwa w tym roku na świętej polskiej górze, a szkoda, bo warunki idealne. Śnieg leżał od listopada, a przez ostatnie trzy dni napadało kolejne pół metra. Dziś nieba nad górami nie przesłaniała ani jedna chmurka, słońce odbijało się od świeżego śniegu jak od lustra, pejzaż wyglądał jak przesłodzona scenografia do komedii romantycznej.

Kochała ten widok i czuła się dobrze, ale i tak jej wzrok ciągle uciekał do pogiętej podpory wysoko na zboczach Kasprowego.

Antoni, który od czasu feralnej wizyty awansował z partnera na męża, sto razy ją pytał, czy jest pewna, że chce tutaj przyjechać na święta, a ona sto razy powtórzyła, że chce, tak samo jak chciałyby wsiąść na konia zaraz po upadku. Tak jej zdaniem powinno wyglądać życie. Wskakiwać na konia po upadku, siadać za kierownicą po stłuczce, jechać na Boże Narodzenie w miejsce, gdzie o mało nie zginęło się z całą rodziną w pierwszym w historii Polski ataku terrorystycznym z prawdziwego zdarzenia.

Teraz Antoni i chłopcy bawili się na śniegu, a ona jadła samotnie późne śniadanie i wracała wzrokiem do pogiętej podpory w ten sam sposób, w jaki język wraca do bolącego zęba.

Mimo wszystko nie chciało jej się wierzyć, że znowu tu jest.

2

Nie chciało mu się wierzyć, że znowu tu jest.

Hermod siedział w swoim jednoosobowym pokoju wielkości małej garderoby albo dużej szafy, gapił się przez okno na pogiętą podporę i zastanawiał, jak to jest, do kurwy nędzy, możliwe, że w tym dzikim kraju hotelem nazywa się rudere, do której nie da się dojechać taksówką, a w pokoju co prawda jest umywalka, ale kibel i prysznic są w korytarzu.

Nie trzeba geniusza, myślał, żeby wiedzieć, co się tu wyrabia w nocy. Gość wstaje i czuje potrzebę. Czy to jest potrzeba umycia rąk? Wyszczotkowania zębów? Ależ nie, o ile nie cierpi na nerwicę natręctw, budzi się w środku nocy jak każdy facet w jednym tylko celu - żeby się odlać. Zwłaszcza w górach, gdzie do kolacji wypił sobie trzy piwa. Gramoli się z łóżka i staje przed wyborem. Czy zapalać światło i szukać odzienia, żeby błąkać się w chłodzie i ciemności po korytarzach w poszukiwaniu toalety? Czy może raczej odlać się do umywalki i dwadzieścia sekund później być z powrotem pod rozgrzaną kołdrą?

Odpowiedź na to pytanie nie była trudna. Dlatego Hermod nie potrafił się zmusić do umycia w swoim apartamencie rąk i zębów. Za każdym razem kiedy zbliżał się do umywalki,

oczami duszy widział wiszące nad jej brzegiem fantomy setek członków, które się tutaj odlewały.

Westchnął i pomyślał, że już niedługo. Już wkrótce będzie mógł opuścić tę dziurę, która udawała cywilizowany, zachodni kraj. To śmierdzące smaženiną brzydkie miasto, udające kurort. Ten zatłoczony park średniej wielkości, który udawał góry. A przede wszystkim ten obóz przejściowy dla uchodźców, który udawał hotel.

Spojrzał jeszcze raz na pogiętą podporę i pomyślał, że przynajmniej cała historia otrzyma piękną klamrę kompozycyjną, tutaj się zaczęła i tutaj się skończy. Zabawne.

Mimo wszystko nie chciało mu się wierzyć, że znowu tu jest.

3

Nie chciało mu się wierzyć, że znowu tu jest.

Nocą wyruszyli autobusem z Krakowa i przed dziewiątą byli już w Zakopanem. Anatol był ciekaw, jak jego organizm zareaguje na widok miejsca, gdzie dopiero co dwójka ludzi zginęła między innymi dlatego, że on myślał i działał za wolno. Wszyscy powtarzali mu co innego, ale Anatol wiedział swoje i przede wszystkim dlatego nie pozwalał upublicznić swojego nazwiska i swojej roli. Nie chciał, aby gratulowano mu porażki.

Ale wysiadając z autobusu, poczuł to samo co zwykle. Miłe ściśnięcie w dołku, spowodowane widokiem zaśnieżonych, oblanych słońcem gór na horyzoncie. I nieprzyjemny refluks, kwaśny smak zgagi, wywołany kontaktem z Zakopanem. Nie cierpiał tego szpetnego i chciwego miasta. Zawsze starał się jak najszybciej pokonać dystans dzielący dworzec od granicy parku narodowego, w miarę możliwości nie dając sobie wcisnąć nieświeżego sera udającego owczy, rozwodnionego piwa i zamienionego na grillu w podeszwę kawałka świni, a także ignorując coś, co nazywał „tatro polo” i co było wywołującą mdłości mieszanką góralszczyzny i wsiowej muzyki tanecznej. W tym mieście knajpa była koło knajpy, a on znał tylko trzy adresy, gdzie można było dobrze zjeść. Z czego technicznie rzecz biorąc, tylko dwa były w mieście.

Trzeci - i pierwszy pod względem ważności na jego krótkiej liście - to były właśnie Kalatówki. Legendarna szefowa pochodząca z dalekiej Lubelszczyzny postawiła na domową kuchnię i udowodniła, że menu rządzi się tymi samymi regułami co wszystkie inne dziedziny życia. Można próbować, można eksperymentować, przywozić inspiracje z najdalszych stron świata, a i tak koniec końców zwycięży szlachetna klasyka. A kalatówkowe dania były szlachetne. Od gołąbków i kotletów mielonych, przez bigos i fenomenalne flaki, aż po góralskie wariacje w postaci naleśników z bryndzą i jagnięciny. W tych smakach było coś, co kojarzyło się z wyprawą na targ, z kupnem świeżych produktów i z przyrządzeniem ich po

prostu, tak jak w domu gotuje się niedzielny obiad dla rodziny.

Wzięli taksówkę do Kuźnic i wysiedli przy dolnej stacji kolejki linowej. O tej porze roku przy takiej pogodzie i przy takiej ilości śniegu zwykle kłębiły się tutaj tratujące się wzajemnie tłumy narciarzy, snowboardzistów i zwykłych turystów pragnących wjechać na górę. Busiki parkowały jeden za drugim, sanie jak nigdy miały cały czas klientelę, sprzedawcy śmiesznych czapek i pamiątkowych ciupag zbierali złote żniwa, a oscypki i karkówka były porywane z rozstawionych grillów z taką intensywnością, jakby ludzie po raz pierwszy od tygodnia zobaczyli jedzenie.

Teraz w Kuźnicach tchnęło martwością. Budynek nieczynnej kolejki stał opuszczony i wygaszony, na bramkach rozpięto białoczerwona plastikową taśmę, jej postrzępione końce powiewały smętnie. Nawet elektroniczna tablica, pokazująca temperaturę na dole i na górze, zwykle działająca całą dobę przez cały rok, została wyłączona, ostateczny dowód na śmierć tego miejsca. Nikt nie potrafił powiedzieć, kiedy i czy w ogóle kolejka ruszy znowu. Prowadziły tu swoje śledztwa prokuratura, komisja kolejowa i komisja sejmowa. Wszyscy przeszkadzali sobie nawzajem i byli zgodni tylko w jednym: nienawiści do władz Tatrzańskiego Parku Narodowego, które robiły wszystko, aby chcący się wypromować przy okazji katastrofy życiowi nieudacznicy nie zdeptali parku.

Oczywiście nazwano ich zdrajcami i rosyjskimi sprzedawczykami, bo też odkąd znaleziono użyte przez Hermoda rosyjskie kamery, wiele ludzi w Polsce nie miało wątpliwości, że to drugi z długiej serii zamachów przygotowanych wspólnie przez rosyjskiego prezydenta i polskiego premiera.

Działań śledczych nie ułatwiał też fakt, że służby postanowiły chronić najważniejszego świadka, czyli Anatola Gmitruka, przed polityczną jatką. W związku z czym w pewnych kręgach nie był on bohaterskim pragnącym zachować anonimowość oficerem, tylko głównym podejrzanym. Klasyczne stało się zdanie: „Jeśli pan sądzi, że oficer służb pojawił się przez przypadek w miejscu zamachu, na świętej dla narodu polskiego tatrzańskiej ziemi, ukochanej ziemi Jana Pawła 11, tuż obok krzyża na Giewoncie, no to ja panu serdecznie gratuluję”.

We czwórce minęli budynek stacji, przeszli pod linami kolejki i ruszyli w górę drogą biegnącą między dwiema ścianami obsypanych śniegiem świerków. Wielkie czapy na gałęziach wyglądały jak dekoracja teatralna i łatwo można by uwierzyć, że to plastikowe gadżety, gdyby nie to, że od czasu do czasu śnieg osypywał się z drzew, tworząc połyskującą w słońcu chmurę lodowego pyłu. Minęli ukryty między drzewami klasztor sióstr albertynek i skręcili w węższą ścieżkę, która miała ich doprowadzić brzegiem doliny prosto do hotelu.



Idealny, wręcz bajeczny górski dzień. I major Anatol Gmitruk zapewne chłonąłby ten dzień całym sobą, gdyby nie dręczące go przeczucie śmierci.

Niech to się skończy, pomyślał. Znajdźmy coś tutaj albo nie znajdziemy i niech to się w końcu skończy.

- Anatol, powiedz, miałem się ciebie spytać wcześniej. - Byli już bardzo blisko schroniska, kiedy Karol zrównał się z nim, lekko dysząc od marszu pod górę. - Kto to jest ta cała Sylwia?

Aż się zatrzymał.

- Słucham?

- Nie chcesz, to nie odpowiadaj. Ale pamiętam, że miałeś jej zdjęcie w Nowym Jorku, a potem dziwnie zareagowałaś, jak w radiu opowiadała o raku, i jakoś tak nie daje mi to spokoju. Przepraszam, jeśli jestem wścibski.

- Tak - powiedział tylko Anatol i wznowił marsz.

- Co „tak”? - drążył Karol.

- Tak, jesteś wścibski.

- Ale o co chodzi? - Karol nie zrozumiał albo nie chciał zrozumieć jednoznacznego komunikatu. - Też jesteś chory? Poznaliście się na jakiejś grupie wsparcia? Masz raka serca?

Anatol uśmiechnął się. Nieźle powiedziane. Tak, w pewnym sensie miał raka serca. Sylwia mu go sprzedała, wszystko się zgadza, najbardziej zaraźliwy nowotwór w historii medycyny.

- Ta kobieta była mi kiedyś bliska, to wszystko. - Aha.

Myślał, że to koniec rozmowy, ale to nie był koniec.

- Wiesz, że uzbierała już wszystko? W pierwszej chwili nie zrozumiał.

- Wszystko?

- Już uzbierała całą kasę na operację. Potrzebowała dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, wczoraj było nawet ponad dwieście pięćdziesiąt. A jeszcze kilka dni temu miała ledwie kilkanaście tysięcy. Wpłaciłeś jej coś?

- Trochę oszczędności - odpowiedział automatycznie cokolwiek, nie potrafiąc sobie poradzić z emocjami.

Ostatnia sylaba jeszcze wisiała w powietrzu, kiedy zrozumiał, do czego się przyznał. Mógł jeszcze próbować obrócić wszystko w żart, ale był już tą grą tak bardzo zmęczony, że po pierwsze mu się nie chciało, a po drugie pomyślał, że jest im winien trochę szczerości. A po trzecie dość miał tej konspiracji, tej głupiej zabawy w „polski szpiegi”, tego ganiaania za tajemnicami sprzed siedemdziesięciu lat i bohomazami, do których obciążają sobie skórkę

jacyś kretyni, którym odbija z dobrobytu. Jakie to wszystko ma znaczenie w porównaniu z kobietą, którą postanowiło zamordować jej własne serce.

- Znaleźli cię? - zapytała Lisa za ich plecami.

Po jej pytaniu wszyscy zatrzymali się nagle i utkwili spojrzenia w majorze, w górskiej ciszy ich oddechy wydawały się nienaturalnie głośne.

- Tak. Zrobiłem przelew z kafejki internetowej w hotelu w Göteborgu, wpłaciłem na jej konto wszystkie oszczędności. Bałem się, że nie będę miał drugiej szansy. Wieczorem czekali na mnie. To znaczy jeden Amerykanin czekał. Był bardzo miły i uprzejmy. Proponował, że zapłaci za operację Sylwii i jeszcze dołoży trochę na drobne wydatki.

- Co miałeś zrobić w zamian?

- Mieć przy sobie pluskwę, dzięki której mogliby monitorować nasze poczynania. Oczywiście miał gębę pełną frazesów, że są rzeczy ważne i ważniejsze, stabilność międzynarodowa, takie tam.

- I co zrobiłeś?

- Wziąłem pluskwę, podziękowałem grzecznie i zmyłem się z hotelu jak najszybciej. Na lotnisku kupiłem bilet do Moskwy, nadałem torbę z gazetami i pluskwą. Nie przesłuchujcie mnie, proszę, na temat bycia niewidzialnym i gubienia tropów, bo to ja jestem zawodowcem, a wam co najwyżej może się przypomnieć, co wyczytaliście u Toma Clancyego. Więc odpuśćcie sobie, okej? Jesteśmy bezpieczni.

Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, ruszył w górę. Po kilku krokach wyszli na polanę, słońce odbijało się od pokrywy śniegu tak intensywnie, że musieli odwrócić wzrok. Dopiero po chwili ich oczy przyzwyczyły się do światła.

Hotel stał na szczycie polany niczym zamek z bajki na szczycie góry. Prostokątna bryła na podmurówce z granitowych bloków nakryta prawie płaskim dachem, wspierającym się o ściany delikatnymi podporami. Prosty, alpejski w charakterze, bez tandetnej góralszczyzny, skosów, ozdóbek i ornamentów. Jedynie potężna ostoja, budzące spokój i zaufanie schronienie.

- Jak wyglądał ten Amerykanin? - spytała Lorentz, zachodząc mu drogę.

- Jak bogaty Amerykanin. - Gmitruk wzruszył ramionami.

- Czyli?

- Wysoki, szczupły, dobrze ubrany. Zęby jak porcelana z Ćmielowa, włosy czarne jak pasta do butów, oczy zielone jak las w sierpniu. Wszystko za bardzo, jak to u Amerykanów.

Lorentz i Lisa stały przed nim nieruchomo, jakby zobaczyły wszystkich zmarłych przodków na polanie za jego plecami.

- Jasper Leong - wyszeptała Zofia.

- Masz racja i nie ma masz racja - poprawiła ją Lisa. - To był Jasper Leong, ale też Martin Meller. Bardzo zły człowiek. Musimy uciekać.

- Jaki Martin Meller? - Zofia spojrzała na nią zdziwiona.

- Wygląda na to - lodowaty głos Gmitruka świetnie pasował do zimowej scenerii; mówiąc, nie spuszczał oka z Lisy - że jakimś kosmicznym zbiegiem okoliczności pan Leong, który o mało nie zamordował doktor Lorentz w New Rochelle, to Martin Meller, były ukochany naszej złodziejki. Znany wśród przestępczych elit jako Hermod, morderca na zlecenie. Nietykalny, ponieważ zazwyczaj pracuje dla największych mocarstw, które zapewniają mu ochronę na wszelkie możliwe sposoby.

Lisa cofnęła się o krok.

- Ja wiem, jak brzmi - powiedziała. - Ale ja z nim nic nie łączy. Naprawdę.

Nikt nie skomentował.

- Musimy uciekać - powtórzyła. - Jeśli znalazł Anatol, to znajduje i my. Musimy uciekać, rozdzielić się, zapomnieć wszystko.

- Nie ma mowy - wtrąciła Zofia. - Nie ma mowy, żebyśmy teraz zawrócili. Jeśli będziemy zwlekać, tym gorzej dla nas, a tym lepiej dla wszystkich, którzy chcą nam przeszkodzić. Jedyne rozwiązanie to zakończyć teraz tę sprawę, inaczej już po nas. Idziemy dalej.

- Oczywiście, że idziemy dalej. - Anatol nie spuszczał oczu z Lisy. - Ponieważ pani doktor ma rację i ponieważ pani złodziejka chce wracać. A my już nie wierzymy pani złodziejka.

Lisa podeszła do Anatola. Major był niski, stanęli twarzą w twarz.

- Może jesteś głupi. Może jesteś zły. A może jesteś zdrajca, gadzie.

- Licz się ze słowami.

- Tak ci zależy uratować twoja była, żeby się może kotłować z inny?

- Powtarzam: licz się ze słowami.

- Pierdol się. Przez ciebie wszyscy nie żyjesz.

Anatol drgnął, błąd językowy Lisy Tolgfors zabrzmiał jak proroctwo. Przez chwilę wydawało się, że ją uderzy, ale wtedy milczący dotąd Karol stanął między nimi.

- Mylisz się, majorze - powiedział. - My wierzymy pani złodziejka. A teraz oddaj to. - W jego głosie nie było pretensji ani nienawiści, jedynie zmęczenie.

- Karol... - Lorentz starała się mediować.

- Daj spokój. Niemożliwe, żeby przestali go śledzić, kiedy go już znaleźli. To raz.

Niemożliwe, żeby zapłacili ćwierć miliona dolarów, mimo że ich wystrychnął na dudka. To dwa. Ale przede wszystkim nie da się wysłać nigdzie samego bagażu. To trzy. Ja to wiem, bo Tom Clancy to wie, a major Gmitruk też na pewno wie, że jeśli ktoś nada bagaż i nie wejdzie na pokład, to bagaż nigdzie nie leci. Procedury bezpieczeństwa. Pan major kłamie, ponieważ pan major nas zdradził. Dlatego - zwrócił się ponownie do Gmitruka - powtarzam: oddaj to. Przelew poszedł, zrób przynajmniej tyle.

Stali w milczeniu, ciszę zakłócał szmer wokólschroniskowego zamieszania. Wyżej dzieci baraszkowały w śniegu, turyści robili zdjęcia, hałasował orczykowy wyciąg narciarski. Toczyło się codzienne życie, tak zwyczajne i normalne, że cała ta sytuacja wydawała się surrealistyczna.

Gmitruk wyciągnął z kieszeni kurtki niewielkie czarne urządzenie wielkości pilota do bramy i podał Karolowi. Lorentz jęknęła i osunęła się na śnieg.

- Nie oczekuję, żebyście zrozumieli - powiedział Anatol - ale to jest jej życie... - przerwał, widząc, że nikt go nie słucha. Lorentz siedziała na śniegu, Lisa stała obrócona tyłem do nich, zapatrzona w las. Karol obracał w dłoni pluskwę. W końcu odgarnął śnieg z kamienia, położył na nim urządzenie i dokładnie rozdeptał obcasem buta.

- Zabiłeś nas, gadzie - powiedział, patrząc wojskowemu w oczy. W tej samej chwili huknął strzał. Przetoczył się po górach jak grzmot, poodbijał od ścian i szczytów, dłuższą chwilę trwało, zanim umilkły jego dalekie echa. Cała czwórka spojrzała po sobie, każdy spodziewał się zobaczyć na ubraniu niewielką dziurkę, która najpierw będzie wyglądała zupełnie niewinnie, po czym nagle tkanina wokół niej zacznie robić się ciemna od krwi. Ale żadna dziurka się nie pojawiła.

Pojawiło się za to szczeniackie chichotanie dobiegające z małego pasterskiego szałasu, stojącego na polanie kilkanaście metrów dalej. Anatol znalazł się tam w kilku susach, zajrzał do środka i wyciągnął dwójkę chichoczących chłopców, jeden mógł mieć siedem, drugi może dwanaście lat.

- Dawaj - powiedział takim głosem, że momentalnie przestali się śmiać.

- Dawaj - powtórzył.

Starszy chłopiec niechętnie sięgnął do kieszeni i położył na wyciągniętej dłoni Gmitruka garść petard, pewnie szykowanych na przywitanie Nowego Roku.

- Nazwisko.

Chłopcom pojawiły się łzy w oczach, młodszy zaczął pochlipywać.

- Adam i Alojzy Banaszek, proszę pana - wymamrotał starszy. Anatol nie odpowiedział. Wskazał tylko ręką na hotel i chłopcy odbiegli sprintem. Stał chwilę samotnie,

oglądając w rękę dziecinne petardy, jakby od nich miało wszystko zależeć. W końcu schował je do kieszeni.

- Co się stało, to się nie odstanie - powiedział, nie patrząc w oczy swoim towarzyszom. - Nie musicie mi wierzyć, ale wczoraj, gdy tylko zobaczyłem, że pieniądze są na! koncie, wyjąłem z pluskwy baterię. Nie wiedzą, że tu jesteśmy. A teraz mam dość rozważań, co może się wydarzyć, a co nie. Skończmy to.

Ruszył w stronę Kalatówek, wcześniej rzuciwszy okiem na ledwie widoczną w oddali wygiętą podporę kolejki. Nie chciało mu się wierzyć, że tu jest.

4

Hermod podniósł nieznacznie brwi, gdy usłyszał huk, wyszkolone zmysły zabójcy wyostrzyły się umiarkowanie. Umiarkowanie, ponieważ potrafił rozróżnić dźwięk wystrzału od wybuchu petardy. Wyjrzał za okno, ale nie działo się tam nic ciekawego, dzieci zjeżdżały na sankach, ludzie stali w kolejce do wyciągu, na polanie para nowożeńców fotografowała się w pięknych okolicznościach przyrody.

Spokój, gnojki bawią się fajerwerkami.

Tak czy owak, wydarzenie to wytrąciło go z zamyślenia. Niestety jego pluskwa przestała już działać. Albo wysiadła bateria, albo Polaka poniewczasie ruszyło sumienie. To trochę utrudniało akcję, bo na dobrą sprawę nawet nie wiedział, czy pojawią się tutaj, czy pojedą w jakieś inne miejsce w górach, ale też dodawało sprawie smaczku. Co to za polowanie, kiedy ofiara siedzi na środku polany w czerwonej czapce i trzyma kartkę z napisem: „Tu celować”.

5

Joanna Banaszek nie przestraszyła się huku, bo od razu wiedziała, że to jej dzieci dostały małego rozumu. Gdy jeszcze we Wrocławiu zobaczyła petardy i fajerwerki, które chłopcy dostali od swojego nowego ojczyma - Antoni najwyraźniej zaraził się od pasierbów bezdenną głupotą - od razu wiedziała, że będą z tego kłopoty.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o zjedzone w spokoju ducha śniadanie.

Wrzuciła do ust ostatni kawałek frankfurterki, dopiła zimną kawę i poszła się ubrać, żeby móc wytropić swoich ukochanych synów, urwać im głupie łby i rzucić niedźwiedzim na pożarcie.

6

Z oddali hotel na Kalatówkach sprawiał wrażenie masywnego, z bliska wyglądał jak twierdza, zaprojektowana, żeby wytrzymać halne wiatry, lawiny, trzęsienia ziemi i wojnę nuklearną. Zwłaszcza ściany z ociosanych kamiennych bloków robiły wrażenie.

Hotel był zaskakująco duży. Od strony polany wydawał się trzypiętrowy - szklany pas poziomu restauracji, a nad nim dwa poziomy pokoi hotelowych. Z bliska, od strony wejścia, widać było, że nad pokojami jest jeszcze poddasze, gdzie zapewne mieściły się kwatery obsługi. Z kolei pod restauracją był jeszcze poziom wejścia do hotelu i bufetu, a jeszcze niżej jakieś pomieszczenia gospodarcze i serwis narciarski.

- Myślicie, że jest tu gdzieś wejście do jaskiń? - zapytała Zofia. - Są tu w ogóle jakieś jaskinie?

- Są - odpowiedział Anatol. Wchodzili we czwórkę po szerokich schodach do hotelu. - To wapienne skały. Ale wątpię, żeby ktoś tam schował cokolwiek. Wyobrażacie sobie pewnie wielkie komnaty, stalaktyty połączone ze stalagmitami, podziemne jeziora i tak dalej. A tatrzańskie jaskinie to raczej kamienne jelita, płatanina rur kanalizacyjnych, przez większą część roku wszystko jest zalane wodą. Nawet jeśli ktoś dokonał cudu i ukrył tam coś większego niż ogryzek jabłka, to szczerze wątpię, żeby wasze malowidła to przetrwały, o ile nie zamknięto ich w hermetycznych sarkofagach. Ale nigdzie w Tatrach nie ma tak wielkich jaskiń, żeby ukryć kolekcję skrzyń.

- To nie są skrzynie - powiedziała Lorentz. - We Lwowie dowiedzieliśmy się, że Aszkenazy zdjął je lub wyciął z blejtramów, zabezpieczył i trzymał zrolowane. Kilkadziesiąt skrzyń faktycznie potrzebuje sali balowej, kilkadziesiąt rulonów zmieści się w dużej szafie, pakamerze czy schowku na szczotki. Tego szukamy.

Stanęli przed drzwiami wejściowymi.

- To co? - zapytała Zofia.

Spojrzeli po sobie. Wyglądali smętnie. Nie było w nich ani podniecenia z początku tej przygody, ani napięcia z Nowego Jorku, ani strachu, jaki towarzyszył im w czasie pościgu po zamrożonym Bałtyku. Nie było też satysfakcji z odkrywania i łączenia faktów, ekscytacji wywołanej tropieniem wielkiej tajemnicy. Pozostało tylko wyczerpujące poczucie zagrożenia, rezygnacja i zmęczenie. Zdrada Anatola sprawiła, że jeśli którekolwiek z nich bawiła jeszcze ta awantura - to przestała.

Zofia Lorentz położyła rękę na klamce, ale nie otworzyła drzwi. Zamarła w bezruchu, jakby czekała, aż ktoś podejmie za nią decyzję i wepchnie ją do środka.

- To nie są wrota do piekieł, tylko drzwi do pełnego turystów hotelu w szczycie sezonu - powiedział w końcu Karol. - Opanuj się i wchodź do środka. I tak tu pewnie nic nie znajdziemy, gonimy przecież za jakąś mrzonką. Sprawdźmy to i spieprzajmy gdzieś, gdzie nas nigdy nie znajdą. Dość mam tego.

Odsunął rękę Zofii i pchnął ciężkie drzwi.

Kochała zimę, ale za każdym razem, kiedy ubierała się do wyjścia, tęskniła za latem, za tym, że można nałożyć japonki i wyjść, i już się jest na zewnątrz. Teraz musiała przejść całą ścieżkę zdrowia. Bielizna. Koszulka termiczna, na to kalessony. Na kalessony wysokie, narciarskie podkolanówki. Na górę cienki polar i dopiero wtedy spodnie narciarskie z szelkami. I kurtka narciarska, do kieszeni na zewnątrz rękawice, do dwóch wewnętrznych po jednej stronie czapka, a po drugiej gogle. Jeszcze tylko przewiesić sobie przez ramię połączone rzepami buty narciarskie i już można wychodzić, doskonale.

Pomyśleć, że tyle wysiłku tylko po to, żeby pobawić się na niewielkim stoku obok schroniska. Zwykle robiła sobie tutaj dzień rozgrzewki przed prawdziwymi górami, a teraz... szkoda gadać.

Zamykając kluczem drzwi, czuła się jak osoba, która bierze udział w programie mającym uświadomić zdrowym, co oznacza życie z nadwagą czy ze zniedołężnieniem. Słyszała kiedyś o czymś takim, naukowcy nakładali ludziom specjalne kostiumy, żeby mogli poczuć ciężar choroby i starości.

Joanna Banaszek podejrzewała, że przy jej obecnym rynsztunku kostium ten wydawałby się wygodny niczym bikini.

Poziom wejścia był zarazem poziomem wypchanego ludźmi bufetu z ogromnym kominkiem wspartym na kamiennej figurze niedźwiedzia, pomieszczeń biurowych i sauny. A także kuchni, sądząc po zapachach i dźwiękach dobiegających zza jednych z drzwi, schowanych za stołem do pingponga. Pachniało schroniskiem - jedzeniem, herbatą, roztopionym śniegiem i mokrymi kurtkami. - Głodny jestem - powiedział Karol.

Zofia nie uznała za stosowne odpowiedzieć, chociaż sama była głodna po spacerze, a za dobrą kawę z ekspresu oddałaby połowę swojej urzędniczej pensji. Uznała jednak, że to jest drugorzędne wobec strachu i niepokoju, który odczuwała.

Nie powinniśmy tutaj być, pomyślała. Nie powinniśmy tutaj być. Bawimy się w poszukiwaczy przygód, a już kilka razy próbowali nas zabić tylko po to, żebyśmy nie znaleźli się w tym właśnie miejscu. Wystarczy pomyśleć logicznie, żeby zrozumieć, że ze wszystkich możliwych miejsc właśnie tutaj nie powinniśmy się znajdować.

Weszła na schody, prowadzące wyżej, gdzie według oznaczeń powinny się mieścić restauracja, kawiarnia i recepcja. Nigdy tutaj nie była, ale z każdym kolejnym stopniem wydawało się jej, że miejsce jest dziwnie znajome. Gdzieś z najgłębszych zakamarków pamięci wyłoniła się ona sama, ale znacznie mniejsza, z trudem dosięgająca ręką wyslizganej

drewnianej poręczy. Razem z tym obrazem pojawił się głos dziadka i zapach gorącego kakao. Czyżby zabrał ją tutaj w czasie ich wyprawy w góry? To by miało sens. Jeśli tak, to szkoda, że nie pamięta tego lepiej.

Oznaczenia nie kłamały, wyszła prosto na recepcję, ze zdziwieniem konstatując, że to, co na dole wyglądało jak górskie schronisko, tutaj wygląda jak przyzwoity hotel. Za kontuarem siedziała sympatyczna dziewczyna w firmowej koszulce polo, ekran zawieszony w rogu pokazywał prognozę pogody, mówiący po włosku turyści podziwiali namalowaną na ścianie ogromną mapę Tatr, oczywiście miejsce z Kalatówkami było tak wytarte przez tysiące palców, że nie dało się odczytać nazwy. W świetlicy ozdobionej jakimiś górkimi bohomazami - na których mimo wszystko zawiesiła wzrok na chwilę, znaleźć w takim miejscu zaginionego tatrzańskiego Gersona to by było coś - czwórka siedemdziesięciolatków grała w piłkarzyki, dając z siebie wszystko.

Na końcu holu dwuskrzydłowe drzwi prowadziły do restauracji i kawiarni, a przede wszystkim do przeszklonej ściany, za którą rozciągał się tatrzański pejzaż.

Doktor Zofia Lorentz zrobiła kilka kroków w tamtą stronę, westchnęła głęboko i poczuła, że to jest jej miejsce. I że świat ma sens. I że mogłaby usiąść przy stoliku przy oknie, zamówić kawę i siedzieć tak wiele godzin, obserwując, jak krajobraz zmienia się w rytmie dnia.

Zdarzały się na świecie piękniejsze górskie widoki, zdarzały się też piękniejsze górskie hotele, ale tutaj - tutaj w jakiś szczególny sposób wolność i przestrzeń łączyły się z domowym ciepłem. Zwykle trzeba było wybierać między jednym a drugim - albo marznięcie i sapanie na górskich szlakach, albo bezpieczne picie herbaty w kapciach. Tutaj, przy tych oknach, nie trzeba było wybierać. Tutaj w pakiecie dostawało się dwa najfajniejsze uczucia na świecie.

- Przez tydzień jesz tutaj śniadanie - szepnął jej do ucha Karol, najwyraźniej czytając w myślach - i potem żadne dzieło sztuki nie wydaje ci się warte uwagi.

Nie odpowiedziała, bo nie chciała przyznawać mu racji. Ale ucieszyła się, że dzień jest taki ładny i że mogła przypomnieć sobie, jaki świat jest piękny i ile jest na nim rzeczy do obejrzenia. Znalazła rękę Karola i ścisnęła ją mocno, bo nagle całe życie przeleciało jej przed oczami.

Jej przyszłe życie.

Zobaczyła ich, jak schodzą tutaj na śniadanie, jedni z ostatnich, bo za długo leżeli w łóżku.

Zobaczyła, jak siedzą wieczorem w kawiarni, wiatr sypie śniegiem w czarne okna, a



oni grają w scrabble i kłócą się, czy słowo „seksuś” istnieje. Taki drobny i niezobowiązujący stosunek płciowy, tym fajniejszy, że „ś” jest warte pięć punktów, a stoi na potrójnej premii literowej.

Zobaczyła, jak próbują zjeść obiad, a mała dziewczynka z dużymi czarnymi oczkami korzysta z chwili nieuwagi, żeby uciekać przez całą restaurację z prędkością światła. I oczywiście Karol za nią biegnie, bo Karol właśnie taki jest, i po chwili wraca z dziewczynką pod pachą. Dziewczynka wierzga, ale śmieje się jak szalona i wszyscy są bardzo szczęśliwi.

Jej przyszłe życie, które w mgnieniu oka przeleciało jej przed oczami, było życiem bardzo szczęśliwej osoby. Doktor Zofia Lorentz uśmiechnęła się do swoich myśli.

9

Wkurzona, że wygląda jak ludzik z reklamy Michelin, Joanna Banaszek zeszła do holu tylko po to, żeby stwierdzić, że ma pełny pęcherz. Patrzyła na drzwi do toalety, myśląc jednocześnie o narciarskich spodniach z szelkami, kalesonach i figach, które dzielą ją od banalnej fizjologicznej czynności. Już chciała odpuścić, ale wiedziała, że jeśli przypili ją na stoku, to całą przyjemność z jazdy szlag trafi.

Weszła więc do toalety, obrała z siebie wszystkie warstwy, niczym obdarzona świadomością cebula, wysikała się i ubrała ponownie, wzdychając i stękając tak teatralnie, że w głowie faceta w kabinie obok pojawiły się nieprzystojne myśli.

A potem umyła ręce i wyszła. Dokładnie w tej chwili kiedy zamknęła za sobą drzwi toalety, zobaczyła, jak w dłoni wysokiego, przystojnego mężczyzny o zielonych oczach, którego zresztą rano obserwowała w kawiarni, pojawia się długie, cienkie ostrze, bardziej przypominające drut do ręcznych robótek niż nóż.

Mężczyzna złapał drut pewnym chwytem, aż napięła się skóra na jego knykciach. I wsadził go w plecy stojącej przed nim kobiety, uśmiechniętej blondynki o czarnych oczach, trzymającej za rękę swojego męża albo chłopaka i podziwiającej widok za oknem restauracji.

Joanna Banaszek nie zdążyła krzyknąć, bez zastanowienia rzuciła się na mężczyznę, przewracając go i zmieniając w ostatniej chwili kąt, pod którym stalowe ostrze przebijało ciało Zofii Lorentz.

10

Kiedy Hermod szedł schodami w dół w hotelu na Kalatówkach, był przygotowany na tropienie i polowanie. Ale podobnie jak myśliwy nie spodziewa się, że wychodząc z chałupy natknie się na siedzącego przy furtce jelenia, tak samo dla niego był zaskoczeniem widok całej czwórki na dole. W nieprawdopodobnie krótkim czasie musiał znaleźć najlepsze rozwiązanie.

Nie mógł nagle stanąć ani nawet zmienić tempa schodzenia, mózg ludzki przez tysiąclecia walki o przetrwanie wykształcił w sobie mechanizmy, które błyskawicznie reagowały na każde odstępstwo od normy w otoczeniu. Dopóki szedł jednostajnym rytmem, bezpiecznie wtapiał się w tło.

Był sam, a oni byli we czwórkę. Przewaga liczebna nie miałaby znaczenia, gdyby nie Gmitruk. Nawet jeśli na komandosa wykształciła go Rzeczpospolita Polska, i to wiele lat temu, nawet jeśli został przez niego sowicie opłacony, to i tak był zagrożeniem - sumienie było zapewne dla niego ważniejsze niż finansowa lojalność, znana to cecha ludzi słabych. Przez ułamek sekundy rozważał, czy nie zlikwidować go pierwszego. To zwiększało jego szansę na przetrwanie i ucieczkę, ale nie na wykonanie zadania, w którym priorytet był jasny: przede wszystkim pozbyć się Lorentz, pozostałe cele są drugorzędne. A tutaj wystarczyłoby, żeby po zlikwidowaniu Gmitruka ludzie w holu rzucili się na niego, wystarczyłoby nawet, żeby zaatakowała go tylko pozostała trójka - i byłby raczej bez szans.

Jedyną opcją było wykonanie zadania. Po pierwsze, będzie ono wykonane i wtedy jego jedynym zmartwieniem pozostanie ucieczka. Po drugie, przy odrobinie szczęścia wywoła to wystarczająco dużo zamieszania, żeby mógł zbiec. Dróg ewakuacyjnych było wystarczająco wiele, na dodatek na zewnątrz leżała tak gruba warstwa śniegu, że mógł zaryzykować skok przez dowolne okno - a pierwsze piętro schroniska składało się niemal wyłącznie z okien.

Od zauważenia Lorentz i reszty do podjęcia decyzji upłynęła sekunda - tyle ile potrzebował, żeby pokonać połowę wysokości schodów z półpietra do holu.

Kolejna sekunda to kilka kolejnych kroków na przejście reszty dystansu i łagodny ruch sięgnięcia do cholewki ciężkich trekkingowych butów i wyciągnięcie ukrytego w tam ostrza.

Kiedy stanął na wykładzinie koło recepcji, był dwa kroki za Lorentz i Boznańskim. Recepcjonistka podnosiła w tym momencie słuchawkę dzwoniącego telefonu, Włoch przy ścianie pokazywał miejsce katastrofy kolejki, staruszek grający w świetlicy w piłkarzyki strzelał gola. Z toalety wyszła poirytowana kobieta w pełnym górskim rynsztunku, a Lisa Tolgfors zauważyła go i jej oczy rozszerzyły się z przerażenia, dłoń powędrowała do stojącego obok i czytającego prognozę pogody Gmitruka.

Lorentz uśmiechała się błogo, zapatrzona w widok za oknami restauracji, kiedy ostrze weszło dokładnie w to miejsce, gdzie miało wejść, lekko z boku, kierując się w obie komory bijącego z częstotliwością stu trzech uderzeń na minutę serca, które jeszcze nie uspokoiło się do końca po wysiłku podejścia. I wtedy Hermod poczuł mocne uderzenie, które sprawiło, że

ostrze skrzyło, a on przewrócił się na ziemię, uderzając boleśnie o pokiereszowaną i okaleczoną prawą dłoń.

Wokół rozpętało się piekło. Kobieta, która go popchnęła, zaczęła krzyczeć po polsku coś, czego nie był w stanie zrozumieć. Lorentz padła na ziemię, a zdezorientowany Boznański runął na kolana, żeby sprawdzić, co się dzieje. Lisa gwałtownym ruchem sięgnęła po Gmitruka, który odwrócił się i po błysku w jego oku Hermod zrozumiał, że niektórym ludziom naprawdę nie należy płacić z góry.

Znowu musiał w ułamku sekundy dokładnie zaplanować dalsze ruchy. Tym razem było prościej, wystarczy pokonać Gmitruka, wydostać się z hotelu i zostawić ich raz na zawsze.

Przeturlał się po wykładzinie, żeby zdezorientować Polaka, zerwał przy ścianie na nogi i pchnął jednego z Włochów na Gmitruka. Kiedy ten uchylił się przed żywym pociskiem, tracąc równowagę, doskoczył do Polaka, złapał go za głowę i uderzył czołem w środek twarzy - ciosem żuli całego świata, zawsze skutecznym.

Czoło Hermoda zmiażdżyło nos Gmitruka i wcisnęło do środka czaszki, krew trysnęła jak z gwałtownie odkręconego kranu. Mogło być gorzej, mogły też popękać kości szczęki i twarzoczaszki, ale Anatolowi udało się w ostatniej chwili naprężyć mięśnie karku i odrzucić głowę do tyłu. Dzięki temu stracił nos, ale nie stracił przytomności.

Hermod puścił Polaka, przeskoczył przez stół do piłkarzyków, wiedząc, że razem z otaczającymi go staruszkami będzie wystarczającą przeszkodą dla pogoni, i otworzył okno oddzielające świetlicę od Tatrzańskiego Parku Narodowego. Zanim skoczył, odwrócił się jeszcze, spojrzał w płonące ze wściekłości oczy swojej dawnej miłości Lisy Tolgfors i wysłał jej całusa.

Masz za swoje, pomyślał. Może w następnym życiu nauczysz się lepiej dobierać sprzymierzeńców.

I skoczył.

Miękko wylądował w zaspie koło śmietnika, przeokoziółkował i lekkim truchtem pobiegł w stronę gór.

11

Próbował ucześcić się jednej myśli - była to myśl o warunkach turystycznych w Tatrach, o których czytał przed atakiem - i wypełnić nią cały umysł.

Tej techniki uczyli go w czasie szkoleń do znudzenia, była to metoda na przesłuchania, oszukiwanie wykrywacza kłamstw oraz wytrzymywanie tortur. Tych lżejszych, bo cięższych nie wytrzymywał nikt, na pierwszych zajęciach pozbawiano ich

złudzeń co do dzielnego znoszenia przesłuchań. Każdy ma swój próg bólu i każdy pęknie.

Szczególą ostrożność należy zachować na stokach o wystawie od północnowschodniej, przez północną, do północnozachodniej, szczególną ostrożność należy zachować na stokach o wystawie od północnowschodniej, przez północną, do północnozachodniej, szczególną ostrożność...

Powtarzał to w kółko, coraz szybciej i szybciej, i dzięki temu udało mu się zepchnąć ból do drugiej linii świadomości. Ból potworny, jakby jednocześnie kilkanaście stalowych prętów uderzyło go w twarz, masakrując skórę i kości, po czym zostały w czaszce, wijąc się jak metalowe węże. Chciał wyć jak zwierzę, chciał wyć tak, żeby zabrakło mu oddechu, żeby stracił przytomność i przestał cierpieć.

Zamiast tego szeptał komunikat o wystawie północnowschodniej jak modlitwę.

I udało mu się opanować na tyle, żeby otworzyć oczy.

Przed sobą miał zapłakaną twarz Lisy. Szwedka trzymała jego głowę w dłoniach i coś mówiła. Nadludzkim wysiłkiem woli zepchnął ból jeszcze dalej, żeby móc usłyszeć, o co chodzi.

- Bierz go, gadzie - powtarzała w kółko.

Zrozumiał. Zmusił się do tego, żeby wstać. Zakręciło mu się w głowie, także od widoku ogromnej kałuży krwi, która wsiąkała w wykładzinę w miejscu, gdzie klęczał.

Rozejrzał się.

Zobaczył Karola niosącego na rękach Lorentz.

I zrozumiał, że musi dorwać skurwiela za wszelką cenę.

Zataczając się, zbiegł na dół.

12

Nie rozumiał, co się stało. Zosia stała obok, chwyciła go za rękę i nagle runęła na podłogę jak lalka, jakby ktoś ją wyłączył. Leżała w nienaturalnej pozycji, nieruchoma, blada, z zamkniętymi oczami. Za nim zrobiło się zamieszanie, ludzie krzyczeli, ale on był poza tym, ukląkł przy niej i nie miał pojęcia, co zrobić. Był sparaliżowany świadomością, że stało się coś bardzo złego i na pewno się nie odstanie.

Objął ją i jego dłonie zanurzyły się w cieplej i lepkiej krwi, która wypływała przez niewielką dziurkę na jej plecach. Karol przeraził się, wydawało mu się, że tej krwi jest mnóstwo, za wiele jak na jednego człowieka.

Nie chciał, żeby umarła. I na pewno nie chciał, żeby umarła na podłodze koło toalety.

Wziął ją na ręce i wstał, krew Zosi zbierała się na jego dłoniach i kapiała na podłogę, kiedy szedł do świetlicy. Ludzie rozstępowali się w milczeniu, niczym przed starożytnym

kapłanem, który składa człowieka w ofierze.

W świetlicy ułożył Zosię troskliwie na szerokiej drewnianej ławie pod ścianą. Nad jej głową wisiał tatrzański landszaft, a może po prostu fantastyczny górski krajobraz. Nie znał Tatr na tyle, żeby to stwierdzić. Podobne bohomyzy wisiały na wszystkich ścianach. Wydało mu się złośliwością losu, że każe Lorentz umierać co prawda pośród sztuki, ale pośród sztuki okropnej.

Przez tłum ludzi przepchnęła się gwałtownie parka - ładna blondynka w grubych okularach ubrana w firmowe polo schroniska i sympatyczny rudzielec z dużą apteczką w rękach. Tak zgrani, jakby robili to codziennie. Bez ceregieli, bez pytań i zawahań, zdarli z Zofii przesiąknięte krwią ubrania, założyli opatrunek na ranę na plecach i mocno zabandażowali. W czasie tej operacji Zosia straciła przytomność, leżała bezwładnie na ławie, a jej ciało wyglądało jak martwe. Karol tak się przeraził, że umarła przed powiedzeniem ostatniego słowa, że padł na kolana i w panice zaczął szukać tętna na szyi, próbował wyczuć oddech - potrzebował dowodu, że to jeszcze nie koniec. Jeszcze nie teraz, jeszcze nie przez chwilę, niezależnie od tego, jak krótka byłaby ta ostatnia chwila. Byleby była w ogóle. I wtedy Zofia Lorentz otworzyła oczy.

Uśmiechnął się do niej, ale ona nie miała już sił, żeby odwzajemnić uśmiech.

Wyszeptała coś, zbyt cicho, aby mógł zrozumieć. Nachylił się bardziej, przytknął ucho do jej zimnych ust.

- Mieliśmy mieć dziewczynkę, wiesz?

- Będziemy mieć dziewczynkę - powiedział. - Niejedną nawet. Musisz tylko wytrzymać jeszcze trochę, zaraz przyjedzie pomoc.

Nie słyszała, może była zbyt słaba, a może całą energię włożyła w lustrowanie otoczenia, jej wzrok błądził po ścianach świetlicy, po kiczowatych górskich pejzażach. Nagle zatrzymał się na jednym z nich i w jej gasnących oczach pojawił się błysk światła. Podążył za jej spojrzeniem. Landszaft przedstawiał małe górskie schronisko widziane z lotu ptaka, drewnianą chatę w zimowym pejzażu, bezpiecznie przytuloną do zbocza, ukrytą między pasmami lasu.

- Będziemy mieć małą dziewczynkę i to będzie taka sama żoźła jak ty - wyszeptał. - Nie mam pojęcia, jak ja z wami dwiema wytrzymam.

13

Nie uciekał na oślep. Tatrzańska akcja, podobnie jak kilka miesięcy wcześniej, była pieczołowicie przygotowana, ponieważ Hermod nienawidził improwizacji i wierzył, że tej nienawiści zawdzięcza właśnie swoją renomę. Każdy szczegół musiał być przygotowany,

każdy wariant przewidziany.

Zaraz po opuszczeniu Kalatówek zrezygnował z ucieczki do miasta. Zbyt wiele osób go widziało, a pomoc będzie nadciągała właśnie stamtąd. Wybrał - podobnie jak Roman Kłosowicz ponad siedemdziesiąt lat temu - wariant słowacki. Chciał nieczynną nartostradą przejść do Hali Kondratowej, szerokim łukiem omijając schronisko i ludzi na szlaku turystycznym, lasem podchodząc tak wysoko, jak tylko się da, w stronę grani. Na granicy lasu, mniej więcej w połowie drogi, miał ukryte leciutkie narty do skialpinizmu z wiązaniami, które można było zatrzasnąć na specjalnie wyprofilowanej podeszwie jego twardych górskich butów. Narty nie były wyposażone w foki - specjalne pasy materiału zakładane na ślizgi, służące do podchodzenia pod górę - uznał, że końcówka podejścia na grań i tak jest za stroma i szybciej będzie utorować sobie drogę w śniegu.

Zadanie nart było inne - pozwolić mu zjechać szybko z boczem po słowackiej stronie, gdzie na dnie Cichej Doliny Liptowskiej czekało na niego niewielkie terenowe suzuki z logo TANAP, jak nazywał się Tatrzański Park Narodowy po drugiej stronie granicy.

Na razie wszystko szło zgodnie z planem. Hermod mimo głębokiego śniegu szybko pokonywał dystans, znaki dla wysokogórskich narciarzy wskazywały mu drogę.

14

Scena wyglądała jak obraz. Milczący ludzie półkolem otaczali ławę, na której leżała Lorentz. Obok niej klęczał Karol i trzymał jej dłonie w swoich, złożonych jak do modlitwy. Za nimi stali bezradnie blondynka i rudzielec, ciągle z czerwoną apteczką w ręku.

- Poszukaj łopaty - szepnęła Zofia. - Co?

- Jak chcesz mnie pochować, to poszukaj łopaty. A jak nie chcesz, to spójrz na ten landszaft.

Spojrzał. Cały się w nim zanurzył, analizując go plamka po plamce z nabożeństwem godnym Vermeera. A im dłużej patrzył i im dłużej analizował, tym bardziej coś nie dawało mu spokoju.

Obraz miał zaburzone proporcje, był absurdalnie wysoki, o wymiarach plus minus pięćdziesiąt na sto pięćdziesiąt centymetrów. Chata stała w dolnej części malowidła, za nią wznosiło się zbocze zakończone skalistymi szczytami, właściwie okolica przypominała otoczenie Kalatówek. Nad górami widniało jasne niebo z kilkoma chmurkami, słońce musiało wisieć gdzieś za plecami malarza, sądząc po cieniu rzucanym przez hotel na śniegu i po jasnym żółtym bliku w jednym z okien.

Dziwne rzeczy działy się wokół hotelu na tym landszafcie. Stał na łysej polance, ale przed nim i za nim rósł gęsty las, wdzierając się w obraz niczym dwa kliny albo dwa

ciemnozielone języki dziwnych stworów. I nawet nie o to chodziło, że las był idiotycznie liściasty, przytulone do siebie kule drzew wyglądały jak przekopiwane z dziecięcego rysunku. Lecz o to, że wydawał mu się znajomy. Bardzo znajomy.

Uwierająca myśl pojawiła się z tyłu jego głowy. Tak dziwna, że odepchnął ją czym prędzej. Nie miał ochoty na staczanie się w otchłań szaleństwa. Ale im bardziej tę myśl odpychał, tym bardziej się narzucała.

Można telefon na chwilę? - spytał sympatycznego rudzielca, który przed chwilą opatrywał Zosię. Rudzielec popatrzył na jego bordową od krwi rękę i podał bez słowa telefon. Karol grzebał chwilę w przegładarce, szybko znalazł to, czego szukał.

- Spójrz na to - powiedział do Lisy, podając jej telefon.

Lisa wzięła telefon, na którym widniała czarnobiała reprodukcja Portretu Młodzieńca Rafaela Santi.

- Oszalałeś? - spytała.

- Spójrz za okno.

Spojrzała posłusznie, za oknem świetlicy ciągle był wspaniały zimowy dzień.

- Nie tutaj. Na obrazie za okno.

Spojrzała. Większość Portretu Młodzieńca zajmował, jakżeby inaczej, młodzieniec. Ale po prawej stronie jego uśmiechniętej twarzy Rafael namalował kawałek okna, a za oknem - kawałek pejzażu. Wysoki podłużny pejzaż składał się głównie z nieba, na dole majaczyły we mgle wieże jakiegoś miasta, na pierwszym planie gęsty liściasty las wdzierał się w krajobraz niczym dwa kliny albo dwa ciemnozielone języki dziwnych stworów. Przytulone do siebie kule drzew wyglądały jak przekopiwane z dziecięcego rysunku.

- On tu gdzieś jest - wymamrotała Lorentz. - Musicie go znaleźć.

Chciał jej powiedzieć, żeby się nie wyglupiała, ale czarne oczy błysnęły w sposób, który mu kazał podejść do ściany i zdjąć obraz ze ściany. Na odwrocie widniała sygnatura: HA45.

Wyjątkowo prosta do odszyfrowania: Henryk Aszkenazy, 1945. Spojrzał na rudzielca, który cały czas czekał spokojnie w swojej obcisłej, chyba nawet zbyt obcisłej, koszulce z logo górskiej firmy Brubeck.

- Zna pan to miejsce? - zapytał Karol, oddając telefon. Mężczyzna uśmiechnął się.

- Ja, potem moja żona - wskazał na blondynkę obok - a potem długo, długo nikt.

15

Śnieg pomagał mu zachować przytomność. Co kilkadziesiąt metrów marszu zbijiał z niego miękka kulę i przykładał do zmasakrowanej twarzy, zimno przynosiło ukojenie. Szedł

w ten sposób, dopóki śnieg się nie rozpuścił, potem odrzucał czerwoną od krwi śnieżkę i robił nową kulę. W ten sposób po półgodzinie marszu znieczulił sobie twarz na tyle, że mógł w miarę spokojnie zebrać myśli.

Po ich zebraniu nie poczuł się wcale lepiej. Był osłabiony i krwawił. Co prawda coraz słabiej, ale ciągle krwawił. Nie miał broni, nie miał żadnego noża ani nawet kluczy do mieszkania, z których mógłby zrobić prowizoryczny kastet. A przed nim szedł wysportowany i wyszkolony zabójca. Zapewne też uzbrojony. Ściganie go nie miało najmniejszego sensu, major Anatol Gmitruk doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Nie miał planu, nie miał broni, siły, wszystko, co miał, to stuprocentowa szansa na śmierć w górach. Z wycieńczenia, wykrwawienia lub z rąk mordercy.

Ale nie potrafił odpuścić, ponieważ to była jego jedyna szansa na odkupienie. Wołał zginąć w lesie, niż wrócić do schroniska i dowiedzieć się, że Lorentz zapłaciła życiem za jego zdradę. Że ceną za życie Sylwii jest inne życie, życie niewinnej kobiety. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w pozostawiony na nartostradzie ślad Hermoda i zmuszał się do stawiania kolejnych kroków.

- Coś się wymyśli - powiedział do siebie na głos, udowadniając, że jest nieodrodnym synem narodu polskiego. My z synowcem na czele i jakoś to będzie.

Ruch szczęki wywołał tak gwałtowny atak bólu, że padł na kolana i kilka chwil musiał dochodzić do siebie, zanim ruszył dalej.

16

Myśl, jesteś w końcu złodziejką! - krzyczał Karol na Lisę. Stali pochyleni nad obrazem, gapiąc się w drewnianą chatę na tle góry, jakby rozwiązanie zagadki zależało od ilości czasu spędzonego na gapieniu. - W końcu chyba na tym to polega? Żeby znaleźć coś, co ktoś schował. Tylko tutaj - wskazał na leżący na stole w restauracji obraz - miły pan Aszkenazy zostawił ci dodatkowo wskazówkę, żeby ci było łatwiej. Więc znajdź to, do jasnej cholery.

Lisa spojrzała na niego ze złością, ale nic nie powiedziała. Myślała. Myślała najszybciej, jak potrafiła, także dlatego, że czuła na sobie wzrok walczącej o każdą chwilę przytomności Lorentz.

- Zakładamy, że to tutaj Hans Frank ukrył kolekcję, prawda? - mówiła po angielsku, jak zwykle w chwilach napięcia, kiedy polski jej nie wystarczał.

Przytaknął.

- A Aszkenazy wyciągnął ją i schował do innego schowka, też tutaj. To logiczne. Czyli musimy założyć, że pierwszy był solidny, mocny, starannie przygotowany. A drugi



prowizoryczny. Czy są tu jakieś piwnice? - zapytała Jaromira, jak się okazał mieć na imię rudzielec.

- Nazywamy je bunkrami - odpowiedział. - Są jeszcze pod poziomem narciarni. Ale to gołe żelbetowe ściany i gołe żelbetowe podłogi, mogę postawić sto funtów, że nie ma tam żadnych tajnych przejść.

- Odpada - powiedział Karol. - Lochy mogły być pierwotnym miejscem ukrycia kolekcji. Wystarczyło zabezpieczyć i zamaskować jedno z roboczych pomieszczeń, żeby móc wrócić po skarby, kiedy sytuacja się uspokoi. Pytanie, dokąd je przeniesiono.

- Apartament Franka? - spytała Lisa.

- Siedemnastka na pierwszym piętrze - odparł Jaromir. - Jedyne z wanną, bardzo popularny.

- Też odpada - zgasił ich Karol. - Aszkenazy nigdy nie ukryłby kolekcji w pokoju hotelowym, za duże ryzyko. Wystarczy najmniejszy remont, wymiana kabla i wszystko się wydaje. Poza tym nie sądzę, żeby miał czas na takie zabawy. Murowanie podwójnych ścian, tynkowanie, malowanie.

Pomyślał, że źle kombinują. Henryk Aszkenazy nie był głupkiem. Przewidywał, że prędzej czy później może mu się przytrafić wypadek. Dlatego wysłał pocztówkę do Bortnik i dlatego namalował, albo kazał namalować, ten pejzażyk. Zapewne sądził, że zostawia wiadomość dla Estreicherera. Estreicherowi na pewno wystarczyłby jeden rzut oka, żeby poznać skopiowany detal z obrazu Rafaela, ale co później? Historyk sztuki nie wiedziałby, tak jak oni, czy przekopywać ziemię wokół hotelu, czy szukać jaskiń w okolicy, czy może burzyć ścianki działowe między pokojami.

- Tu musi być jeszcze jakaś wskazówka - powiedziała Lisa, widocznie przeprowadziła ten sam proces myślowy.

- Tylko nie dla nas. Tu jest wskazówka dla nich, dla kilku wtajemniczonych osób z tamtych czasów. Którzy żyli przed wojną, mieli inny sposób myślenia, odwoływali się do innych wydarzeń i pojęć, wszystko robili inaczej.

- Może stare zdjęcia przyniosę - zaproponował Jaromir.

Karol już chciał powiedzieć, że z nim pójdzie, ale spojrzał na Lorentz i pomyślał, że ona musi je zobaczyć. Ona wiedziała najwięcej o Rafaelu, ona tkwiła w tym rodzinnymi więzami. Morderca zaatakował ją, ponieważ wiedział, że bez niej tego nie znajdą.

- Gdzie jest ten TOPR pieprzony? - warknął na Jaromira, jakby to on był winien temu, że Lorentz nie jest jeszcze w helikopterze.

- Zaraz będzie. Przynieść?

Pokiwał głową i kiedy tylko Jaromir wyszedł, doskoczył do Zofii.

- Swastyka - powiedziała z trudem, jak tylko znalazł się obok.

- Tak, tak, oczywiście - przytaknął gorliwie, przekonany, że mający.

- Nie mającę. Nie... dobijaj mnie. Lampy...

Spojrzał w górę. Ładne kute żyrandole ze znakami zodiaku. Cztery, na każdym cztery symbole zodiakalne. Łatwo policzyć, że miejsc do zagospodarowania było więcej niż astrologicznych znaków. Dodatkowe pola na żyrandolach zajmowały swastyki - teraz symbole nazizmu, kiedyś słowiańskie symbole słońca i szczęścia.

Od razu zrozumiał, o co jej chodzi. Wydrapana na bursztynie swastyka nie musiała oznaczać Niemców. Mogła odnosić się do jakiejś starej podhalańskiej budowli, górale wiele swoich budynków oznaczali przed wojną swastyką, zwaną tutaj krzyżykiem niespodzianym. Krzyżyk miał przynosić szczęście i odstraszać złe duchy. Używali go górale, ale używali też taternicy, miłośnicy gór i Podhala.

Jaromir wrócił z teczką pełnych starych zdjęć. Budowa schroniska, otwarcie, różne imprezy, też naziści obserwujący góry z tarasu widokowego. Nie patrzył dokładnie, podsuwał je tylko Zofii pod nos, pewien, że tylko ona może coś na nich dostrzec.

I dostrzegła.

Nie musiała nic mówić, zobaczył to w jej oczach.

Zdjęcie przedstawiało grupę kilkunastu mężczyzn w niskiej, drewnianej izbie. Wyglądali poważnie, w rękę trzymali płachtę papieru z rysunkiem narciarza i napisem, który dawało się rozszyfrować jako „Tatrzańskie Towarzystwo Narciarzy”.

Palcem pokazała jednego spośród nich.

- Dziadek - wyszeptała.

On sam rozpoznał pośród pozostałych dwóch innych bohaterów tej historii: Karola Estreichera i Henryka Aszkenazego. Ale nie to przykuło jego uwagę, lecz wiszący nad narciarzami z lat trzydziestych żyrandol, świece zatknięte w oprawie zdobionej liśćmi akantu. Liśćmi czarnobiałymi i niewyraźnymi, jak i całe zdjęcie, ale w oryginale zapewne mieniącymi się kolorami żółci i pomarańcza.

Dziadek Lorentz, mówiąc o Bursztynowej Komnacie, nie miał wcale na myśli zabytku z Carskiego Sioła. Tylko salę w jakiejś drewnianej chacie, nazywaną tak - zapewne dla żartu - ponieważ znajdujący się w niej żyrandol ozdobiony był bursztynowymi liśćmi akantu.

- Wiesz, gdzie to jest? - zapytał Jaromira.

- Pewnie w starym schronisku.

- Jest tu jakieś stare schronisko?

- Było. Spłonęło pod koniec wojny, teraz jak ktoś wie, gdzie szukać, to znajdzie w lesie szczątki, stare piwnice.

- Wiesz, gdzie szukać?

- Pytanie. Spojrzał na Zofię.

- Leć. Obiecuję, że nie umrę jeszcze przez kwadrans.

17

Hermod znalazł swoje narty, zagrzebane w śniegu pod specjalnie oznaczonym drzewem, i poczuł się bezpiecznie. Od grani dzieliła go jeszcze jakaś godzina wspinaczki umiarkowanie stromym zboczem, potem przyjemny zjazd w miękkim puchu i jak dobrze pójdzie, to już wieczorem będzie wysiadał z samolotu w Sztokholmie.

To był perfekcyjny górski dzień. Nie bardzo mroźny, bezwietrzny, słoneczny. Pogoni ani śladu. I niedziwne, pewnie dopiero teraz opatrzyli rany, zabrali zwłoki i zastanawiają się, co dalej.

Odetchnął pełną piersią, zarzucił narty na ramię i wyszedł na śnieżne pole. Torowanie szlaku nawet nie było takie trudne, pod warstwą świeżego śniegu leżała warstwa starego, na tyle dobrze zestalona, że na niej zatrzymywały się jego stopy. Może nawet nie godzina, tylko czterdzieści pięć minut, pomyślał.

18

Trzeba było znać to miejsce, aby je znaleźć - zwłaszcza w zimie. Miejsce, w którym niegdyś stało schronisko, dawno porosło lasem, niewielka polanka o powierzchni około pięciuset metrów kwadratowych mogła się wydać podejrzana przez swoje regularne wymiary, ale nie musiała.

Kiedy Jeremi wskazał na zasypane śniegiem miejsce, Lisa i Karol znów poczuli się zrezygnowani. Sprawa była beznadziejna. Nawet jeśli tutaj cokolwiek kiedyś schowano, to musiało zgnić i zbutwieć dekady temu. Karol pomyślał gorzko, że oto wyszła cała prawda o polskiej konspiracji i polskiej ochronie skarbów narodowych. Aż do wybuchu wojny nie było komu się tym zająć - mimo że na przykład Francuzi zbiory z Luwru mieli już wtedy pięknie popakowane i schowane w zamkach nad Loarą - a jak się wreszcie ktoś tym zajął, to schował je w drewnianym schronisku i podpalił.

- Coś tam w ogóle jest? - zapytał Karol.

- Wbrew pozorom tak - odpowiedział Jaromir. - Trzy lata temu tam grzebałem, całe wakacje odgruzowywałem, myślałem, że może znajdę stare narty albo w ogóle jakieś starocie. Budynek musiał mieć sto, sto pięćdziesiąt metrów po podłodze, ale nie stoi na zwykłych fundamentach. Tutaj jest lity wapień, piwnice to wykuta w skale jaskinia, przykryta

murowanym sklepieniem. Dopiero na tym stało drewniane schronisko.

- I coś znalazłeś?

- Nic, wszystko musieli wynieść po pożarze. Nawet w komórce na węgiel nie było węgla.

Karol zmarszczył brwi. Nie wydawało mu się prawdopodobne, żeby w wybudowanym na początku dwudziestego wieku schronisku ktoś palił węglem, mając urodzaj drewna jak okiem sięgnąć. To nie był hotel, który wymagał stałego podgrzewania wody dla miastowych panien.

- Dlaczego sądzisz, że to była komórka na węgiel?

- Ściany były zasmałowane.

Jeśli jest jakiś zabieg, którego pomieszczenie do przechowywania węgla na pewno nie potrzebuje, to jest to smołowanie ścian. Co innego, jeśli chce się uchronić coś przed wilgocią.

- Da się tam wejść?

Śnieg pięknie się skrzył w słońcu, przesączającym się między gałęziami pokrytych śniegiem świerków, sceneria była tak bajkowa, że trudno było uwierzyć, że pod spodem może być stare pogorzelsko.

- Jasne. Śnieg to nie beton zbrojony.

Jaromir wyciągnął z plecaka składaną łopatę lawinową, chwilę się zastanowił i w końcu zaczął kopać w jednym z narożników polany. Szybko odgarnął śnieg na tyle, żeby mogli zsunąć się po nim do piwnic starego schroniska.

- Musiałem zrobić tę dziurę, bo właściwe wejście było zasypane gruzem - wyjaśnił rudzielec, otrzepując się ze śniegu.

Stali w wąskim piwnicznym korytarzu, przez dziurę w śniegu przesączało się słońce, tak że zobaczyli, że faktycznie ściany stanowiła po prostu wapienna skała, ozdobiona śladami po kilofach, a strop był wymurowany z kamieni. Spojrzeli w głąb wapiennego tunelu, w stronę nieprzeniknionej ciemności.

- Piwnica na węgiel - powiedział Karol, któremu szkoda było każdej chwili, chciał być przy Zosi, kiedy zabiorą ją ratownicy albo kiedy... Nie, o tym nie chciał nawet myśleć.

Jaromir wyciągnął z plecaka latarkę i poprowadził ich przez zaskakująco rozległe piwnice, musiały rozciągać się pod całym schroniskiem, może nawet dalej. W końcu wszedł do pustego pomieszczenia o rozmiarach około trzy na trzy metry, którego ściany nie były szare tak jak w innych miejscach, tylko pokryte niechlujnie grubą warstwą smoły, odbijającą światło niczym zastygła lawa. Czuli się jak w piekielnym gabinecie krzywych zwierciadeł.

- Przykro mi - powiedział Jaromir - nawet jeśli ktoś tutaj coś trzymał, to musiał zabrać

to wieki temu.

- Niekoniecznie. - Lisa zaczęła chodzić wokół pomieszczenia, dotykając ścian i opukując je. - Jeśli patrzysz od zewnątrz na flaszkę i ona zamknięta, to nie musi znaczyć, że ona być pusta.

Zatrzymała się gwałtownie, stuknęła jeszcze raz, potem walnęła w czarną ścianę pięścią. Odpowiedział jej głuchy pogłos. Wymienili się spojrzeniami.

- Dawaj - powiedziała. - Nie mamy nic do stracenia.

Karol Boznański wziął głęboki oddech, cofnął się aż na korytarz piwnicy, pomyślał o Zosi, rozpedził się i z całej siły grzmotnął barkiem w jedną ze ścian. Włożył w to tyle serca, że gdyby to była osmołowana wapienna ściana, połamałby połowę kości, roztrzaskał głowę i umarł w tej piwnicy, zanim pozostali zdążyliby zrozumieć, co się stało. Ale ściana była zrobiona ze starych desek i poddała się rozpedzonemu pociskowi o wadze osiemdziesięciu kilogramów. Karol wpadł do środka niewielkiej pakamery, wzniesając ogromną chmurę pyłu. Jako alergik od urodzenia zaczął kichać jak oszalały, kichał i kaszlał zgięty wpół, w płucach miał tyle pyłu, że przez moment myślał, że się udusi.

W końcu udało mu się uspokoić, kurz opadł, oczy przyzwyczyły się do ciemności na tyle, żeby zdołał rozpoznać ukryte w mroku kształty.

Pierwszym kształtem, jaki rozpoznał, była czarna litera „R” namalowana na leżącej na podłodze drewnianej skrzyni.

19

Pewność siebie go zgubiła. Gdy układał plan, nie wziął pod uwagę jednej ważnej zmiennej, mianowicie takiej, że ścigająca go osoba może naprawdę dobrze znać te góry. Nie z przewodnika, nie z mapy i nie ze zdjęć satelitarnych. Ale z doświadczenia, ponieważ spędziła tu wiele lat i wiele zim, ucząc się wędrowania, wspinania i jeżdżenia na nartach, a jednocześnie ucząc się na pamięć wszystkich ścieżek, skrótów i szlaków - co nie było znowu takie trudne, w końcu sam Hermod wcześniej pogardliwie nazywał Tatry parkiem.

Gmitruk wykorzystał swoją znajomość polskich gór i kiedy Hermod zobaczył, jak Anatol wychodzi z lasu, w pierwszej chwili przeszedł go dreszcz strachu. Nie dlatego, że mógł zostać zabity, tylko dlatego, że mógł zostać schwytany i wsadzony na resztę życia do polskiego więzienia. W kraju, w którym hotele mają kible na zewnątrz, więzienia muszą wyglądać jak skrzyżowanie gułagu z afrykańskimi kopalniami.

A potem zrozumiał, że za Gmitrukiem nie stoi oddział komandosów z karabinami, gotowych do strzału.

Zrozumiał, że kochanek jego byłej, z trudem stojące na nogach zombi z krwawosinym

plackiem zamiast twarzy, przyszedł tutaj sam.

Pomyślał, że polska romantyczna fantazja jest naprawdę urocza, i uśmiechnął się szeroko.

20

Karol klęczał obok skrzyni, od emocji i kurzu kręciło mu się w głowie. Jaromir i Lisa weszli za nim przez dziurę, czołówka rozświetliła mrok. Rozejrzył się. Niewielkie pomieszczenie wypełniały szczelnie zasmarowane smołą cylindry, przypominające zwinięte dywany. Dokładnie jak opisała to Lorentz - wystarczyło pomieszczenie wielkości pakamery, żeby ukryć najcenniejszy być może skarb w dziejach historii sztuki.

Przejechał palcem po warstwie smoły, którą zabezpieczone były szczeliny skrzyni z literą „R”. Za bardzo nie miał pomysłu, jak się dostać do jej zawartości. Jeszcze ta myśl nie wybrzmiała do końca w jego głowie, kiedy Jaromir podał mu duży wojskowy nóż, straszny gadżet, wyglądający jak narzędzie do patroszenia niedźwiedzi, który wyciągnął ze swojego plecaka z przepaszającym uśmiechem.

Karol spojrzął na nóż, spojrzął na skrzynię, na rulony ustawione pod ścianami pomieszczenia i na jedną niewielką skrzynkę rozmiarów pudełka na buty, pieczołowicie zasmołowaną, chyba najbardziej pieczołowicie ze wszystkich.

- Dawaj - ponagliła Lisa. - Niech mieliśmy to za sobą.

Szwedka miała rację. Karol Boznański rozciął zabezpieczającą smołą niczym czarną kopertę i bardzo delikatnie podważył wieko skrzyni z literą „R” Z każdej strony, na tyle żeby gwoździe wysunęły się o kilka milimetrów. Potem zajrzał do środka, aby przekonać się, czy jego manewry na pewno nie uszkadzają zawartości, i dopiero wtedy bardziej energicznie rozprawił się z wiekiem. Na koniec Jaromir oddał latarkę Lisie i wspólnie podnieśli zbitą z desek pokrywkę. Gwoździe wysunęły się do końca.

W środku coś leżało, owinięte lnianym płótnem.

Pod płótnem było coś owinięte natłuszczonym papierem, jakby ogromna kanapka, przyszykowana dziecku przez troskliwą matkę na długą drogę.

Zdjął jedną warstwę, drugą i trzecią. Wiedział, że następna jest ostatnia. I właśnie dlatego nie mógł się zmusić, żeby ją odsłonić. Po prostu nie był na to gotowy, bał się, że jego serce nie wytrzyma.

Zmarszczył brwi, gdy usłyszał dziwny, narastający huk, nie wiedząc czemu pomyślał o trzęsieniu ziemi. Ale nie, to był helikopter.

TOPR! Przylecieli po Zosię.

Westchnął głęboko, co wywołało kolejny napad kaszlu, a kiedy atak przeszedł,

zdecydowanym ruchem odsłonił ostatnią warstwę papieru.

I spotkał się twarzą w twarz z Młodzieńcem. Renesansowy fircyk uśmiechał się do niego beztrąsko i zalotnie, jakby chciał powiedzieć: „A kuku!”.

- Kurwa, chłopie - wyrzucił Karol przez zakurzone struny głosowe. - Gdybyś ty wiedział...

- Dziwne. - Jaromir wyprostował się gwałtownie. Młodzieniec nie zrobił na nim absolutnie żadnego wrażenia, dla niego równie dobrze mogliby odsłonić plakat do filmu Disneya, i Karol pomyślał, że to się nazywa zdrowe podejście.

- Co jest dziwne?

- To nie jest helikopter TOPR, znam tamten dźwięk. To coś innego, jakaś duża maszyna, transportowa albo wojskowa.

Karol spojrzał czujnie na Lisę. To nie wróżyło dobrze.

21

Mężczyźni stali w odległości kilkunastu metrów od siebie na stromym, pokrytym śniegiem zboczu. Od ściany lasu w dole dzieliło ich kilkadziesiąt metrów, od grani na górze - kilkaset. Popołudniowe słońce barwiło śnieg na pomarańczowo, ich sylwetki rzucały długie, zdające się nie mieć końca cienie.

- Poddaj się - chciał powiedzieć Anatol, ale z jego ust wydobyły się tylko niewyraźne głoski i różowe bąbelki krwawej śliny.

Hermod roześmiał się.

- Ponieważ łączy nas wyjątkowa kobieta - powiedział w końcu - wspólne interesy i fakt, że obaj jesteśmy mordercami, dam ci wybór. Jak przyjaciel przyjacielowi. Możesz zostać zastrzelony, uduszony albo po prostu pobity na śmierć. Oczywiście ostatni wybór się narzuca, bo ten proces już został rozpoczęty, byłoby to też rozwiązanie dla mnie najprzyjemniejsze, ale nie musisz się tym kierować. Twoja śmierć, twój wybór.

Anatol spróbował rozruszać wargi, żeby móc wydać z siebie zrozumiałe dźwięki. Ból był tak przeszywający, że powalił go na kolana, jakby ogromna ręka uderzyła go w plecy.

- Zginiesz - wyszeptał w końcu Anatol, Hermod zrozumiał słowa tylko dlatego, że w górach panowała idealna przedwieczorna cisza.

- Nie sądzę. - Hermod roześmiał się serdecznie. - To co? Wybierasz czy zdajesz się na mnie?

Słońce zbliżyło się do grani, światło zmieniło się z pomarańczowego na karmazynowe.

22

Zanim wyszli, rozpruł jeszcze nożem powłokę ze smoły na niewielkiej skrzynce, otworzył ją i wyciągnął ze środka zwyczajną skórzaną aktówkę. Tak zwyczajną, że mogłaby służyć bogu biurokracji za atrybut, z którym byłby przedstawiany na świętych obrazach. Rzucił aktówkę Lisie, sam wziął Rafaela pod pachę i pobiegli do wyjścia, a potem sprintem przez śnieg na Kalatówki. Reszta skarbu musiała poczekać.

Od strony miasta nad lasem leciał potężny, wojskowy helikopter, widzieli białoczerwona szachownicę Sił Powietrznych.

- Wszyscy konserwaty by cię zajebały - wydyszała Lisa.

- Daj spokój. Wytrzymał pięćset lat, jedna przebieżka mu krzywdy nie zrobi.

Przy schronisku stał ambulans TOPR, zielony land rover defender. Ratownicy schodzili ostrożnie po schodach, dźwigając nosze, a na nim ciało przykryte pomarańczowym kocem. Karol przyspieszył i doskoczył do land rovera w chwili, kiedy ratownicy wkładali nosze do karetki.

- Żyjesz? - wydyszał do Zosi, nachylając się nad jej wystającą spod koca twarzą, tak bladą, że aż przezroczyłą.

Nie miała siły odpowiedzieć, uśmiechnęła się tylko do niego delikatnie.

- Spójrz. - Podniósł wysoko deskę z obrazem Rafaela, żeby mogła go dokładnie zobaczyć. - Mam skurczybyka.

Przez chwilę patrzyła na Młodzieńca, a potem odwróciła głowę w jego stronę i wyszeptała:

- Wolę ciebie.

Karol nigdy potem nie był pewien, czy faktycznie to powiedziała - nie było szans, żeby usłyszał jej szept przez warkot silnika samochodu i łoskot lądującego helikoptera - czy po prostu odczytał ruch jej warg jako to, co chciał usłyszeć jako jej ostatnie słowa.

W każdym razie potem wszystko potoczyło się błyskawicznie i choć wielokrotnie potem odtwarzał tę trwającą kilka sekund scenę, podobnie jak wszyscy jej świadkowie, to nie potrafił stwierdzić, kto tak naprawdę zawinił. W jednym z wywiadów wyrwało mu się: Polska. I to było chyba najbliższe prawdy.

23

Lisa Tolgfors myślała o Zofii Lorentz, myślała też mimo wszystko i przede wszystkim o Anatolu, ale myślała też o tym, że jeśli kawaleria położy łapę na tej skórzaney teczce, to nigdy nie przestaną być zwierzyną łowną. A poza tym była ciekawa, jaka historia sprzed kilkudziesięciu lat może być aż tak ważna, żeby największe mocarstwo świata wpadło w histerię.



Wbiegła do schroniska i rzuciła teczkę na drewniany stolik w bufecie, podtrzymujący gzyms kominka kamienny niedźwiedź zdawał się patrzeć z zainteresowaniem na jej gwałtowne ruchy. Otworzyła aktówkę i wyciągnęła plik pożółkłych kartek. Spodziewała się niemieckiego, ale ku jej zaskoczeniu wszystkie zadrukowane były po angielsku, wiele miało pieczęcie amerykańskich instytucji federalnych. Większość oznaczono jako ściśle tajne.

Przelatywała wzrokiem kolejne dokumenty, wyławiając z nich najważniejsze słowa.

...w związku z prognozowanym wzrostem napięć na tle narodowym w Europie...

...kryptonim „Złe ziarno”...

...wywiadowcze działania prewencyjne...

...dyplomacja w tym wypadku nie będzie wystarczająca...

...stały dostęp do informacji...

...ewentualny udział Stanów Zjednoczonych...

...niespotykany rozwój przy skali globalnego konfliktu...

...koszty nie powinny grać roli...

...pięćdziesięciu agentów specjalnie przeszkolonych...

...od najmłodszych lat...

...sterować wydarzeniami w Europie.....wydaje się, że Niemcy odegrają kluczową rolę.....zastąpienie figurantami całej rodziny w Landshut.....zapewnimy środki i praktyczne umiejętności, które pozwolą szybko awansować w strukturach władzy...

W końcu zrozumiała, co oznacza ten niepozorny plik pożółkłych kartek.

- To niemożliwe - wychrypią do siebie po szwedzku. - Nie wierzę w to.

Na moment sparaliżował ją ciężar odkrytej prawdy i odpowiedzialność za nią. Nie miała pojęcia, co robić. Rozejrzała się, do bufetu wszedł właśnie Jaromir ze swoim plecakiem pełnym skarbów i uśmiechem życzliwego człowieka. I nagle nabrała absurdalnej pewności, że to właśnie ten człowiek i jego plecak ją uratują. I przypomniała sobie, jak w świetlicy Karol pożyczył od rudzielca telefon, żeby wyszukać w internecie reprodukcję Rafaela.

- Telefon - powiedziała, wyciągając rękę.

Na szczęście nie zadawał dodatkowych pytań, wyciągnął z kieszeni telefon w mocnej, turystycznej obudowie i podał go Lisie.

Szwedka знаła ten model, wcześniej używała go głównie z powodu jednej, bardzo przydatnej funkcji. Wszystkie zrobione zdjęcia od razu były przesyłane przez internet do komputera właściciela, co rozwiązywało sprawę kabli, synchronizacji i całego zamieszania z dbaniem o to, żeby fotografie były w jednym miejscu. W jej przypadku było też dodatkowym zabezpieczeniem. Telefon miała ustawiony tak, że w razie zagrożenia czyściła jego zawartość

jednym przyciskiem - ale wtedy zdjęcia były już dawno bezpieczne na jej komputerze.

Weszła w ustawienia, zaznaczyła wszystkie niezbędne opcje, wybrała najwyższą możliwą rozdzielczość i zaczęła fotografować po osiem stron naraz.

Na schodach załomotały wojskowe buciory.

24

Nie mogąc doczekać się odpowiedzi, Hermod wzruszył ramionami, wbił narty w śnieg i ruszył do Anatola, żeby skrócić jego cierpienia. Pogwizdywał sobie melodię z Mostu na rzece Kwai, która z niejasnych przyczyn pojawiła się w jego głowie. Wydawało mu się, że pasuje do sceny.

Kiedy Anatol sięgnął do kieszeni, Hermod przestał gwizdać i zamarł. A kiedy zobaczył, co trzyma w drżącej dłoni polski komandos, znowu się uśmiechnął. Co za komedia, pomyślał. Dobrze, że przechodzę na emeryturę.

- Fajerwerki? - zapytał kpiąco. - Serio?

Anatol wykrzywił twarz w nieokreślonym grymasie, który ciężko było zrozumieć przy tak dużych obrażeniach. Po czym potarł petardą o draskę pudełka od zapalek i rzucił nią w stronę Hermoda.

Nawet nie doleciała, wylądowała dwa metry przed nim i kiedy po chwili wybuchła z głośnym hukiem, wzniecona przez nią fontanna śniegu wydawała się śmieszna i żalosna.

Hermod czekał. Czekał, aż echa grzmotu odbiją się od wszystkich szczytów okalających dolinę i umilkną.

Czekał długo.

- Już? - zapytał w końcu. - Czy masz jeszcze jakieś sztuczne ognie? Anatol rozłożył ręce na znak, że nie, nie ma. Przykro mu. Hermod skinął głową i ruszył w jego stronę, nie ma co przedłużać tej przykrej chwili.

I wtedy usłyszał ten dźwięk. Jakby ktoś przełamał wafelka ryżowego. Krak. Tyle tylko, że ten wafelek musiał mieć kilometr długości, bo „krak” trwało i trwało, całymi sekundami, jakby nie miało się skończyć, świeży dźwięk nakładał się na echo starego, potęgując i modulując złowieszczy, nienaturalny trzask.

Ale w końcu dźwięk gwałtownie urwał się i w górach zapanowała nieprawdopodobna cisza, jakby cała dolina wstrzymała oddech.

A potem śnieżne pole zadrżało i setki tysięcy ton śniegu ruszyły w dół, nabierając prędkości.

25

Nie mógł z nią pojechać, ale chciał się właściwie pożegnać, ponieważ gdzieś głęboko

rozumiał, że to pewnie ostatnie pożegnanie. Stał obok karetki, w jednej ręce trzymał deskę z Rafaelem, w drugiej chłodną dłoń Lorentz i mimo ponaglącego spojrzenia ratownika nie potrafił się zmusić, żeby ją puścić.

Słyszał lądujący helikopter, ale nie widział, że za jego plecami, jeszcze zanim maszyna dotknęła ziemi, ze środka wyskoczyło kilku żołnierzy. Dwójka pobiegła do hotelu, a dwójka w jego stronę. Dobiegli dokładnie w tej chwili, kiedy w końcu puścił dłoń Zofii, drzwi zamknęły się i karetka ruszyła.

- Pan Karol Boznański - bardziej oznajmił, niż zapytał, jeden z żołnierzy. - Premier na pana czeka.

Karol zaklął szpetnie, ale ruszył w stronę helikoptera. Przypomniało mu się jednak, że nie powiedział ratownikom, że Zosia ma uczulenie na barbiturany.

Pobiegł za jadącym wolno land roverem, dogonił go i zastukał w okno pasażera. Wąsaty toprowiec o wyglądzie zaprawionego w bojach syberyjskiego łowcy niedźwiedzi spojrział zdziwiony na wariata z wielką dechą pod pachą, ale opuścił szybę.

- Pacjentka ma uczulenie!... - krzyknął i przerwał, ponieważ w tej samej chwili za ramię szarpnął go żołnierz, pragnący wzorowo wykonać misję doprowadzenia Karola Boznańskiego przed oblicze najważniejszego polskiego urzędnika.

Karol pośliznął się na śniegu, zamalowana przez Rafaela deska poleciała do góry. Młodzieniec spojrział po raz ostatni na Karola, na słońce, błękitne niebo i na wąsatego toprowca, po czym spadł na przykryte śniegiem kamienie.

Prosto pod prawe tylne koło samochodu.

W tym starciu był bez szans, potężny defender waży trzy tony, a każde jego koło ma prawie trzydzieści centymetrów szerokości, na dodatek każde zostało wyposażone w oplatające je gęsto stalowe łańcuchy, umożliwiające podjazd do schroniska na Kalatówkach. Kiedy koła razem z łańcuchami wgryzły się w deskę dokładnie w miejscu uśmiechu Młodzieńca, Karol krzyknął tak przeraźliwie, jakby zamordowano mu bliską osobę.

Słyszając ten krzyk, kierowca zahamował gwałtownie i wrzucił wsteczny, żeby sprawdzić, co się stało.

Koło z łańcuchami ponownie przejechało po Młodzieńcu, to znaczy tym razem po jego resztkach.

- Na co ma uczulenie? - spytał z troską wąsaty toprowiec.

- Barbiturany - wykrztusił Karol, prawie niezdolny do wydobywania głosu.

Toprowiec spojrział dziwnie i dał znać koledze, żeby ruszał.

Koło trzeci raz rozprawiło się z liczącym sobie pół tysiąclecia zabytkiem, zamieniając

parkietowaną deskę w kupę kolorowych drzazg zmieszanych ze śniegiem.

26

Szczególną ostrożność należy zachować na stokach o wystawie od północnowschodniej, przez północną, do północnozachodniej, pomyślał Anatol.

Nie cierpieli. Pędzący w dół śnieg, fala o wysokości kilku metrów, sprawił, że przed czołem lawiny uformowała się potężna fala uderzeniowa, która miękko wyrwała ich z butów i rzuciła niczym szmacianymi lalkami o ścianę lasu, kręgosłupy trzasnęły jak zapalki. Kiedy ułamki sekund później śnieżne tsunami wdarło się do lasu, wyrrywając drzewa z korzeniami, zdzierając powierzchnię gruntu i zonglując wielotonowymi głazami jak piłeczkami do pingponga, ich zwłoki zostały tak przemielone, że dopiero wiele tygodni później zidentyfikowano ich szczątki dzięki badaniom porównawczym DNA.

Szkoda, bo gdyby zwłoki obu mężczyzn udało się odnaleźć w całości, historia odnotowałaby fakt, że major Anatol Gmitruk, który zapisał się w historii Polski jako Pragnący Zachować Anonimowość Oficer, odchodził na swoją wojskową emeryturę uśmiechnięty.

27

Na polanie Kalatówki stał śmigłowiec Mi-8 Sił Zbrojnych RP, wielki, dostojny i robiący wrażenie. Na wszystkich poza Karolem Boznańskim i Lisą Tolgfors, których żołnierze żandarmerii nie tyle doprowadzili, co donieśli w stronę śmigłowca.

Ona została wywleczona ze schroniska, on zaciągnięty znad resztek Młodzieńca. Szli tak samo pokornie, ona złamana ciężarem poznanego sekretu, on myślą, że być może po raz ostatni widział miłość swojego życia. O Rafaela nie dbał, poświęciłby zawartość wszystkich muzeów świata, żeby jeszcze raz mogła spojrzeć na niego tymi poirytowanymi, czarnymi ślepiami.

Ostatni odcinek do helikoptera pokonali ramię w ramię, obrazek był niczym z hollywoodzkiej ramoty o czasach starożytnych. Pierwsi chrześcijanie prowadzeni przez rzymskich żołnierzy na miejsce kaźni.

Kapitan Clifton Patridge obserwował ich z otwartych drzwi śmigłowca i myślał, że jednak są twardzielami, że ciągle stoją na własnych nogach. Jeszcze dwa tygodnie temu nikt z osób zaangażowanych w tę sprawę nie postawiłby na nich nawet dolara. Rozejrzał się uważnie, wypatrując Anatola Gmitruka. Niezależnie od tego, co zrobił wcześniej w New Rochelle - o czym zresztą nikt nie wiedział - bał się tego spotkania. Nie dlatego, że musiałby spojrzeć Polakowi w oczy. Dlatego, że gdyby doszło do konfrontacji, być może musiałby go zabić. Od wczoraj wiedział, co zawierają stare dokumenty, i rozumiał, jako żołnierz i jako oficer wywiadu, co oznaczają dla jego ojczyzny

Wyszedł ze śmigłowca i stanął obok polskiego premiera i członków polskiego sztabu. Miał na sobie amerykański mundur. Dość śmieszne, że demonstruje swoje odznaczenia, występując w roli złodzieja historii.

Premier wyciągnął rękę do Lisy i Karola.

- Zaglądaliście do środka?

Karol potwierdził skinieniem głowy. Lisa powiedziała mu po drodze, co znalazła w teczce.

- W takim razie rozumie pan, co mogłoby spowodować ujawnienie tych dokumentów?

- Proszę nie przeceniać prostego cinkciarza.

- Naruszenie równowagi międzynarodowej, weryfikacja historii powszechnej, przewartościowanie...

- Ale proszę też nie pierdolić od rzeczy. Nie głosowałem na pana, nie muszę tego słuchać.

Premier cały czas stał z wyciągniętą ręką. Lisa cały czas miała teczkę przy sobie.

- Proszę się nie zachowywać jak dziecko. Nie chcemy robić scen przy ludziach.

Karol wyjął teczkę Lisie z rąk, odczekał chwilę i w końcu rzucił ją premierowi pod nogi. Nikt się nie ruszył i prezes Rady Ministrów sam musiał się schylić i ją podnieść.

Nawet nie podziękuje, co za gnida teflonowa, pomyślał Karol.

- A jeśli komuś powiemy! - krzyknął do znikających w helikopterze pleców premiera.

Premier nie odpowiedział, ale też Karol nie spodziewał się odpowiedzi. Siedem lat nie odpowiedział na żadne konkretne pytanie, dlaczego miałby to zrobić teraz.

Odwrócił się plecami do startującego śmigłowca i usiadł na śniegu, wystawiając twarz do chowającej się za górami słonecznej tarczy.

Hotel wspaniale prezentował się na tle pokrytego ośnieżonymi choinami zbocza. Dym unosił się spokojnie z komina, pas okien na pierwszym piętrze jaśniał zapraszającym ciepłym światłem, koło budynku kręcili się ostatni turyści, pod wyciągiem jakiś dowcipniś ulepił bałwana w kształcie wielkanocnego zajączka.

Słońce w końcu zniknęło za granią. Końcówki skał nad Suchym Żlebem jeszcze po raz ostatni rozżarzyły się na czerwono i zgasły.

Westchnął, złapał wyciągniętą rękę Lisy i wstał. Mieli jeszcze mnóstwo do zrobienia.

## część V

ZŁE ZIARNO

Poniedziałek, 17 lutego

JESTEM OPTYMISTĄ

Myśleliśmy, że 11 września 2001 roku był symbolicznym końcem xx wieku. Że runięcie dwóch wież, które ujawniło nowe oblicze terroryzmu, dało początek nowej epoce. Epoce wojny cywilizacji i ponadnarodowych rewolucji, nowych napięć, konfliktów i nowych sposobów ich rozwiązywania. Myliliśmy się.

Wiek xx skończył się wczoraj, w dniu ujawnienia największej tajemnicy poprzedniego stulecia. Półtoragodzinny materiał wyemitowany przez stację CNN sprawił, że wszystkie książki do historii trzeba napisać od nowa.

Wszyscy to wiedzą, ale i tak napiszę jeszcze raz: wszystko wskazuje na to, że Heinrich Himmler, druga po wodzu osoba nazistowskich Niemiec, naprawdę nazywał się Clive Lebrecht, pochodził z Montany i był amerykańskim szpiegiem.

Na następnych stronach znajdą Państwo wszystkie informacje ujawnione przez CNN i opracowane na podstawie odnalezionych w Polsce dokumentów z lat 30. i 40. xx wieku. Tu spróbuję natomiast odpowiedzieć na dwa pytania, które od wczoraj zadaje sobie każdy podłączony do globalnej sieci informacyjnej obywatel świata.

Pytanie pierwsze: Czy to jest w ogóle możliwe?

Informacje podane przez CNN są tyleż szokujące, co wiarygodne. Po i wojnie światowej Stany Zjednoczone miały wszelkie powody, żeby obawiać się nowej awantury w Europie. Upokorzone Niemcy, grupa nowych państw (w tym Polska) walcząca bezpardonowo o swoje miejsce, zagrożenie czerwoną rewolucją. Dla USA śledzenie wydarzeń na Starym Kontynencie było niczym oglądanie thrillera - wiadomo, że za chwilę coś wybuchnie, pytanie tylko kiedy i dlaczego. I czy znowu zostaniemy w to wplątani? A jeśli tak, to czy na tym skorzystamy? Z tej perspektywy rozpoczęta jeszcze za administracji Wilsona akcja "Złe ziarno" była w stu procentach logiczna i uzasadniona. Wydaje się, że prawdopodobnie była to najlepsza operacja wywiadowcza świata, a jej skala oraz przede wszystkim perspektywiczność muszą robić wrażenie w czasach, kiedy żaden rząd świata nie podejmuje inicjatyw, których efektów nie da się ujrzyć w tej samej kadencji. Tymczasem akcja "Złe ziarno" od samego początku była zaplanowana na dekady.

Czyż to nie genialne zwerbować emigrantów lub potomków emigrantów i umieścić

kilkudziesięciu młodych agentów - zwanych w dokumentach Ziarnami - jako politycznych aktywistów w najważniejszych państwach Europy i pomóc im awansować w strukturach władzy, aby po pewnym czasie dysponować doskonałymi źródłami informacji i zyskać szansę na kształtowanie polityki poszczególnych państw Starego Kontynentu. Z ujawnionych dokumentów wynika, że Ziarnom pomagała specjalna sekcja analityków, dysponująca wszelkimi informacjami wywiadowczymi. Co oznaczało, że agenci mieli dostęp do niezwyklej wiedzy, dzięki której swoim europejskim przełożonym musieli wydawać się geniuszami - przenikliwi, skuteczni, przewidujący, dysponujący nieograniczoną wiedzą na temat stosunków międzynarodowych, na temat planów i zamierzeń innych państw.

Dokumenty dotyczą tylko Niemiec, ale myślę, że historycy pozostałych państw europejskich szybko zaczną zastanawiać się, kto u nich był amerykańskim szpiegiem. Jestem pewien, że mieliśmy też takiego w Polsce.

A zatem to, że Amerykanie rozpoczęli taką operację, wydaje mi się możliwe, z pewnego punktu widzenia wręcz konieczne.

A to, co działo się później? Czy wydaje mi się tak samo prawdopodobne?

Dwie rzeczy wydarzyły się na początku 1933 roku. Adolf Hitler został kanclerzem, rozwiązał parlament i pozbawił świat złudzeń co do kierunku, w którym będą zmierzały Niemcy. Miesiąc później zaprzysiężono Franklina Delano Roosevelta na trzydziestego drugiego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Zbieg okoliczności, ale nowo mianowani przywódcy obu mocarstw musieli się zmierzyć z ogromnym kryzysem ekonomicznym i idącym za nim rozczarowaniem i wściekłością obywateli. Hitler miał na to prosty i skuteczny sposób: wojnę. Nie ukrywał tego, do tego dążył, rozwinięcie przemysłu zbrojeniowego i idące za tym inwestycje skutecznie wydobywały kraj z kryzysu.

Roosevelt musiał patrzeć na to z zazdrością. Jego Nowy Ład z pakietem reform i programem robót publicznych w pewnym stopniu pomagał, ale nijak miał się do pobudzenia gospodarki, jakie gwarantowała wojna. Toteż nic nie było Amerykanom wówczas bardziej na rękę niż wielka europejska awantura, na której amerykański przemysł mógł zarobić, zaopatrując, finansując i wspierając wszystkie strony konfliktu. Idealna sytuacja: samemu nie trzeba wystrzelić ani jednego naboju, można obserwować rzeź za oceanem obojętnie, jak film w kinie, a waluta płynie wartkim strumieniem, zatrudnienie rośnie, kryzys znika.

Jak Europejczycy chcą się wyrzynać, to niech się wyrzynają, my trzymajmy się od tego z daleka i przynajmniej na tym zaróbmy. Mamy tam swoich ludzi, popchnijmy ich w dobrym kierunku, pomóżmy im rozpętać piekło, dzięki temu amerykańskie rodziny znów będą żyły w dobrobycie.

Myśląc i postępując w ten sposób, Amerykanie - świadomie lub nie - przyłożyli rękę do awantury, której efektem miała się stać anihilacja ponad siedemdziesięciu milionów istnień ludzkich, w tym prawie pięćdziesięciu milionów cywilów.

#### MASOWY MORDERCA

Heinrich Himmler (1900-1945) nie był po prostu jednym z czołowych nazistów, prawą ręką Hitlera, urzędnikiem numer dwa III Rzeszy w randze ministra spraw wewnętrznych. Nie był tylko szefem ss, szefem gestapo i szefem policji. Heinrich Himmler był ucieleśnieniem najgorszego, czego doświadczyła ludzkość w XX wieku. Odpowiadał za wszystkie okropieństwa i okrucieństwa, które stają nam przed oczami, kiedy myślimy o II wojnie światowej. On wymyślił incydent w Gliwicach. On stworzył organizację Lebensborn, placówkę do płodzenia prawdziwych Aryjczyków. On szerzył wiarę w okultystyczną germańską potęgę. On stworzył obozy zagłady i to wedle jego planu obozy te miały zlikwidować ostatecznie ludność żydowską, cygańską i słowiańską. On wydał rozkaz zbudowania obozu w Oświęcimiu i wyposażenia go w komory gazowe. I to on był głównym pomysłodawcą, architektem i nadzorcą Holokaustu. W ręce aliantów wpadł 21 maja, 23 maja potwierdzono jego tożsamość, tegoż dnia popełnił samobójstwo, łykając kapsułkę z cyjankiem - tak głosiła wersja oficjalna. Szczegóły jego tajemniczej i nagłej śmierci mieliśmy poznać w 2045 roku, po upływie stuletniego okresu utajnienia dokumentów dotyczących tego zdarzenia przez brytyjskie Ministerstwo Obrony. Londyn jeszcze nie wypowiedział się, czy w związku z archiwami Lebrechta zostaną ujawnione wcześniej.

Kluczowe i najbardziej szokujące zdanie z jednego z ujawnionych raportów Clive'a Lebrechta brzmi: "Musiałem wierzyć, że robię to dla swojej ojczyzny. Inaczej bym oszalał".

Wstrząsające. Cyniczne. Nieludzkie. Ale logiczne.

Nie powinniśmy także zapominać, że ta sama administracja Roosevelta ostatecznie zadecydowała - wbrew amerykańskiej opinii publicznej - o przyłączeniu się do wojny. Uznając słusznie, że dopiero to na dobre wyciągnie kraj z kryzysu. Uznając, że poświęcenie kilkuset tysięcy żołnierzy warte jest szczęścia ponad stu milionów amerykańskich obywateli.

Inne czasy. Inna moralność. Inne postrzeganie wojny.

Ale na pytanie, czy wydaje mi się to możliwe, odpowiadam po raz kolejny: jak najbardziej.

Z jednym zastrzeżeniem. Bardzo chcę wierzyć, że Clive Lebrecht tylko do pewnego momentu wykonywał polecenia amerykańskich mocodawców. Że w pewnym momencie przestał być amerykańskim agentem i przeszedł na drugą stronę, że jego fanatyczna lojalność przestała być wywiadowczą grą i stała się autentyczna. Przemawia za tym fakt, że ostatnie



dokumenty pochodzą z lata 1941 roku, z czasów przed wypowiedzeniem wojny Stanom Zjednoczonym i na długo przed konferencją w Wannsee w styczniu 1942 roku. Poza tym analitycy i decydenci akcji "Złe ziarno" byli najbardziej aktywni w latach 30., kiedy zależało im na wzmocnieniu narodowych i ksenofobicznych nastrojów na Starym Kontynencie.

Na pytanie, czy to możliwe, żeby w czasie konferencji w Wannsee Clive Lebrecht ciągle wykonywał rozkazy amerykańskich mocodawców, odpowiadam: nie. Nigdy w to nie uwierzę, nie jestem w stanie. Clive Lebrecht wtedy już nie istniał, umarł, został pogrzebany gdzieś głęboko w pokaleczonej psychice podwójnego agenta. Poddał się nazistowskiej ideologii, uwierzył w kłamstwa, które sam wcześniej fabrykował, aby manipulować swoimi towarzyszami. Ciało Clive'a Lebrechta, chłopaka z Montany, zajął szalony Reichsführer ss Heinrich Himmler.

Pytanie drugie: co to oznacza?

Co oznacza, że drugi po Hitlerze nazista, główny ideolog III Rzeszy i główny architekt Zagłady, był do pewnego momentu amerykańskim szpiegiem?

Nie mam pojęcia. Ale nie zdziwiłbym się, gdyby Amerykanie musieli oddać Żydom jeden ze swoich stanów, żeby zadośćuczynić krzywdzie, której głównym autorem okazał się amerykański obywatel, do pewnego momentu sterowany przez specjalistów z Waszyngtonu. Wspomniana Montana, rodzinny stan Clive'a Lebrechta, nadawałaby się do tego jak znalazł, na przestrzeni znacznie większej od Polski i piętnastokrotnie większej od Izraela żyje raptem milion obywateli, więc nadmiar miejsca wynagrodziłby chyba siedmiomilionowej populacji Izraela zmianę klimatu na bardziej surowy.

Tak naprawdę nie wierzę w taki rodzaj sprawiedliwości, że za winę kilku osób po kilkudziesięciu latach karę musi ponosić cały naród. Ale na pewno obecna administracja Stanów Zjednoczonych będzie musiała zdecydować się na jakąś symboliczną rekompensatę.

Od wczoraj komentatorzy całego świata przekrzykują się wzajemnie, informując nas, że wszystko się skończyło. Że skończył się świat, jaki znamy. Że razem z kompromitacją USA i odebraniem im moralnego mandatu do bycia pierwszym szeryfem zachodniej cywilizacji - na czas właściwie nieokreślony - zaczynamy od nowa pisać historię.

Może tak, może nie. Nie spieszę się z pisaniem historii. Sądzę, że dopiero w następnych dekadach będzie można ocenić, czego tak naprawdę jesteśmy dziś świadkami. I kto wie, może nie będzie to historia wesoła.

Ale ja jestem optymistą.

Tak, sam się trochę uśmiecham, kiedy to piszę. I ciągle jestem optymistą.

Ponieważ nie wierzę w siłę narodów i cywilizacji, która wynika z zamordyzmu,

wymachiwania karabinem i zamiatania sekretów pod dywan w imię jakiejś zmyślonej wyższej konieczności. Wierzę w prawdę, w działanie z podniesioną przyłbicą, wierzę w dumę z rzeczy wielkich jedynie wtedy, kiedy jest ona podszyta wstydem za rzeczy małe.

Materiał przygotowała i wyemitowała telewizja CNN. Nie AlDżazira, nie jeden z publicznych kanałów Chin lub Rosji, nie jakaś prowadzona przez szalonych lewaków kablówka. Nobliwa stacja, pierwsza amerykańska telewizja informacyjna. Pracujący w niej Amerykanie uznali, nie bez dyskusji zapewne, że nawet jeśli teraz wywołają zamieszanie, to w ostatecznym rozrachunku prawda będzie dla ich ojczyzny lepsza od kłamstwa.

Oczywiście już obwołano ich zdrajcami, którzy dla pięciu minut sławy wysadzili w powietrze fundamenty Zachodu. Ale jeśli te fundamenty były zgniłe, to należało je wysadzić i zabrać się do budowania domu od nowa. Jestem dumny, że cała sprawa została ujawniona dzięki”dwóm chcącym zachować anonimowość polskim obywatelom i jednemu telefonowi komórkowemu”.

Jeśli kiedykolwiek poznamy ich nazwiska, pierwszy podpiszę się pod petycją, żeby wybudować im wielki pomnik w centrum Warszawy.

Bo to oni (i jeden telefon komórkowy) wprowadzili naszą planetę w XXI wiek. Oby był lepszy od poprzedniego.

16 marca

#### ZAGINIONA LOKOMOTYWA NUMER 23

Świat sztuki najwidoczniej nie może żyć bez tajemnic, skoro w miejsce każdej wyjaśnionej pojawia się kilka następnych. Tym razem materiału do plotek dostarczyła dokładna analiza niemieckich dokumentów, które towarzyszyły odnalezionej na Kalatówkach kolekcji obrazów. Znajduje się tam między innymi szczegółowa inwentaryzacja, z opisami obrazów, nazwiskami autorów i datami powstania. Otóż pod numerem 23. widnieje Wjazd lokomotywy na stację nocą Claude’a Moneta, olej na płótnie, 110 na 70 centymetrów, 1896. Co ciekawe, jest to ten sam rok, kiedy w Paryżu bracia Lumi?re pokazali słynny jednominutowy film Wjazd pociągu na stację w Ciotat. Na podstawie daty powstania i tytułu dzieła można przypuszczać, że obraz wielkiego malarza był podjęciem rzuconej przez filmowców rękawicy, jakby Monet chciał udowodnić, że posługując się pędzlem i farbami, osiągnie lepszy efekt, niż osiągnęło francuskie rodzeństwo, wykorzystując realistyczne ruchome obrazki.

- Zadrzałem, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem ten opis - mówi Janusz Miliszkiewicz, koneser malarstwa i znawca rynku sztuki. - Monet i impresjonizm od zawsze kojarzą się ze światłem, słońcem, kolorem. Obraz mistrza impresji, przedstawiający sunącą przez noc

lokomotywę, walczącą, aby przedrzeć się przez czerń... to musi być niesamowite. Bez wątplenia obraz byłby ozdobą kolekcji hrabiego Milewskiego, i w ogóle każdej kolekcji, z paryskim Musée d'Orsay na czele.

Byłby, gdyby był. Tymczasem obrazu nie ma wśród zabezpieczonej w Tatrach kolekcji. I znowu mnożą się zagadki. Czy nie było go wśród zbioru już w czasie ukrywania w 1945 roku? Czy zaginął w czasie przenosin z nowego schroniska do starego? A może został skradziony teraz, po odnalezieniu tatrzańskiego skarbu? Muzeum Narodowe w Warszawie milczy, ale nieoficjalnie udało nam się dowiedzieć, że zapewne złożą w tej sprawie doniesienie do prokuratury.

Na razie wygląda na to, że po odnalezieniu Rafaela miejsce najbardziej poszukiwanego obrazu świata długo nie było puste. Uśmiechniętego młodzieńca właśnie zastąpiła lokomotywa.

## GWIAZDZISTA GWIAZDA DAWIDA

8 maja

Wczoraj Waszyngton potwierdził krążące od jakiegoś czasu plotki i na wspólnej konferencji Białego Domu i Departamentu Stanu ogłoszono, że wszyscy chcący skorzystać z takiej możliwości obywatele Izraela będą mogli bez żadnych formalności zostać obywatelami Stanów Zjednoczonych. W uzasadnieniu prezydent podkreślił, że choć nie ma podstaw prawnych, aby administracja USA była w jakikolwiek sposób odpowiedzialna za działania swoich poprzedników sprzed siedemdziesięciu lat, to warto czasami przypomnieć światu, że zwyczajna ludzka przyzwoitość jest ważniejsza niż zapisane drobnym drukiem kodeksy.

Nie podano do wiadomości treści aktów prawnych, ale w praktyce decyzja Waszyngtonu oznacza nie tylko to, że wkrótce każdy obywatel Izraela będzie mógł wyjechać do Stanów i tam zamieszkać bez żadnych dodatkowych formalności. Oznacza też, że atak na obywatela Izraela będzie atakiem na obywatela Stanów Zjednoczonych, co w nowym świetle stawia wszelkie konflikty na Bliskim Wschodzie. - Tak naprawdę to jest najważniejsze w tej decyzji i zapewne zostało wynegocjowane w tajnych rokowaniach amerykańsko-izraelskich - twierdzi Marcin Wroński z Instytutu Studiów Żydowskich UMCS. - Żydzi nie zamierzają nagle opuścić swojej ojczyzny, żeby masowo osiedlać się w Nebrasce, nikt przy zdrowych zmysłach nie może zakładać takiego scenariusza. Zależało im, żeby dożywotnio zapewnić sobie ochronę najpotężniejszej armii świata, i to się właśnie stało.

Wątpliwe, żeby ta szlachetna decyzja uratowała prezydenta przed utratą posady. Senacka komisja śledcza badająca Himmlergate niedługo zakończy pracę i jeśli potwierdzi, że prezydent oraz najwyżsi urzędnicy amerykańskiej administracji usiłowali zatuszować sprawę

i pogrzebać odnalezione w Polsce dokumenty - a wszystko na to wskazuje - zapewne zostanie wszczęta procedura impeachmentu. O ile prezydent wcześniej sam nie ustąpi, idąc w ślady Richarda Nixona, co wydaje się bardzo prawdopodobne. Znamienne, że w czasie kiedy amerykańscy senatorowie kończą pracę, nasi parlamentarzyści dopiero zaakceptowali skład komisji śledczej, która ma zbadać polski ślad w tej sprawie. Emocje są zrozumiałe, biorąc pod uwagę, że jeśli potwierdzi się przypuszczenie, iż najwyższe polskie władze z premierem i ministrem kultury na czele współpracowały z Amerykanami w próbie ukrycia archiwów Lebrechta, może to oznaczać Trybunał Stanu, a być może nawet proces karny. Wedle kodeksu urzędnikom państwowym działającym na szkodę Rzeczypospolitej grozi do dziesięciu lat więzienia.

**SZOK! SZOK! SZOK! SZOK!**

**POLACY OFIARAMI**

**DRUGIEJ KATEGORII!**

8 maja

Kiedy brak słów, niech przemówią liczby: w czasie drugiej wojny światowej zginęło sto pięćdziesiąt tysięcy polskich żołnierzy i ponad pięć i pół miliona zwykłych obywateli, z których trzy miliony to byli polscy Żydzi. Polska straciła prawie siedemnaście procent swojej przedwojennej populacji. Żaden inny kraj nie poniósł tak dotkliwych strat! Szkody materialne wyliczono po wojnie na ponad sześćset dolarów na mieszkańca. Znowu: żaden inny kraj nie poniósł tak dotkliwych strat! Zniszczono CZTERDZIEŚCI PROCENT wszystkich dóbr kultury. I po raz trzeci: żaden inny kraj nie poniósł tak dotkliwych strat!

Stare dzieje? Może i tak. Ale w takim razie dlaczego czuję tę duszącą, bolesną wściekłość? Wczoraj Amerykanie przyznali, że przyczynili się do wojny. Do największej katastrofy w historii Polski. Wczoraj obywatele Izraela dostali możliwość zostania amerykańskimi obywatelami. Wczoraj moja znajoma i jej dziecko wyszli z amerykańskiego konsulatu z płaczem. Uznano, że cel ich wizyty, odwiedziny u umierającej ciotki w Filadelfii, jest niewystarczający, żeby mogli odwiedzić kraj wiecznej szczęśliwości.

Brak słów. Ale powiem jedno: idźcie sobie. Zabierzcie swoje ambasady, swoje konsulaty, swoje myśliwce i dreamlinery, które nam wciskacie na siłę. Zabierzcie swoje fałszywe białe uśmiechy, cocacolę, Myszkę Miki i te wszystkie słowa, którymi zaśmiecacie nasz piękny język. A przede wszystkim od dziś radźcie sobie bez nas, drodzy sojusznicy!

**PARYŻ WSCHODU**

20 czerwca

**KONTRATAKUJE**

Nawet jeśli nie płakałem, to miałem łzy w oczach. Z najstarszych odnalezionych dokumentów rodzinnych wynika, że babcia Józefa (urodzona w Błoniu) poślubiła warszawiaka dziadka Henryka w stolicy w 1871 roku, co czyni ze mnie warszawiaka od sześciu pokoleń. I możecie się śmiać, ale Kocham to najbrzydsze miasto Europy tak mocno, jak tylko można kochać stos ułożonych na sobie cegieł. To był, jest i będzie mój dom, innego nie chcę i nie potrzebuję, tutaj zostanę pochowany, kropka. Przez całe życie miałem obsesję na punkcie przeszłości tego miasta, nieustannie szukałem śladów jego piękna i wielkości, jak relikwie przechowywałem zdjęcia, pocztówki, filmy, mapy. Zanudzałem przyjaciół opowieściami o Paryżu Wschodu, o centrum tej części Europy, o jednym z najważniejszych i najpiękniejszych miast na mapie kontynentu. Ale koniec końców musiałem się ocknąć, wyjść na paskudne ulice paskudnego miasta, wrócić, niczym do żony, która z uroczej piękności zamieniła się w grube, brzydkie i złośliwe babsko.

Dlatego wczoraj w Muzeum Narodowym, będąc świadkiem otwarcia pawilonu Milewskiego i jego skarbów, w tym słynnego *Tous Le Monde*, które od czasu odkrycia w Tatrach zostało zgodnie okrzyknięte przez historyków sztuki „najważniejszym obrazem w historii malarstwa” - wczoraj miałem łzy w oczach. Bo zrozumiałem, że choć raz w dziejach tego miasta śmiech historii to przyjazny grymas, a nie złośliwy chichot.

Jak inaczej potraktować to, że ponad siedemdziesiąt lat po rozpoczęciu II wojny światowej dzieje się coś takiego. Że dzięki kolekcji obrazów, którą pewien Żyd i zarazem wielki polski patriota ukradł w decydującym momencie największemu złodziejowi w historii, Warszawa będzie od dziś wymieniana jednym tchem z Paryżem, Florencją i Nowym Jorkiem.

Co ja mówię: już jest wymieniana! CNN, BBC, AlDżazira - wczoraj pojawiał się tylko jeden temat w mediach świata, wszystkie kamery pokazywały jedno miejsce, jedno brzydkie miasto gdzieś na rubieżach Unii Europejskiej. Nie sposób zarezerwować biletu na lot do Warszawy, nie sposób znaleźć miejsca w hotelu, nie sposób znaleźć wydawcy prasowego lub książkowego, który nie szykuje teraz specjalnych publikacji o polskiej stolicy.

Panie i Panowie, wczoraj Paryż Wschodu powrócił na mapę Europy.

MŁODZIENIEC Z CHESHIRE

15 lipca

Rozmowa z profesorem Katarzyną Bonda z Pracowni Konserwacji Malarstwa Muzeum Narodowego w Krakowie przy Muzeum Książąt Czartoryskich, szefową zespołu odpowiedzialnego za rekonstrukcję zniszczonego Portretu Młodzieńca Rafaela Santi.

Jak pani myśli, spotka panią kiedyś większe wyzwanie w życiu zawodowym?

Nigdy. Ani mnie, ani żadnego innego konserwatora.

Ile to dokładnie było części?

Dużych kilkaset, a wszystkich, wraz z najmniejszymi drzazgami, prawie dwa tysiące. Kiedy wszystkie ponumerowaliśmy i rozłożyliśmy na stołach, zmierzaliśmy, że stoły miały w sumie osiemdziesiąt metrów długości.

Po co numerować każdą drzazgę?

Trójwymiarowy obraz każdego elementu został wprowadzony do komputera z dokładnością do setnej części milimetra. Udało się to dzięki zastosowaniu najnowocześniejszego sprzętu używanego w diagnostyce medycznej.

Robiliście tomografię drzazg?

Tomografię i rezonans magnetyczny. To nie była wcale najtrudniejsza część zadania. Potem musieliśmy znaleźć firmę informatyczną, która mogła napisać dla nas program, będący w stanie połączyć te trójwymiarowe puzzle ze sobą. Cieszę się, że znaleźliśmy ją w Polsce, bez tych wspaniałych młodych chłopaków cała praca byłaby niemożliwa. A kiedy już po kilku tygodniach obliczeń i po niezliczonej ilości prób i błędów uzyskaliśmy trójwymiarowy obraz złożonej całości i wiedzieliśmy, gdzie dokładnie ma być która drzazga, zabraliśmy się do pracy.

Na jakim etapie jesteście teraz?

Układamy obraz od góry, za nami około jednej czwartej, czyli twarz Młodzieńca mamy już ułożoną. Zabrało nam to dwa miesiące.

Czy czegoś brakuje?

To zaskakujące, ale udało się odzyskać nieomal wszystkie elementy obrazu, a dzięki temu, że ta katastrofa wydarzyła się na śniegu, były one w lepszym stanie, niż gdyby na przykład dzieło zostało zmiążdżone na betonie. Niestety małe fragmenty musiały odjechać razem z samochodem, który dokonał tych zniszczeń.

Które elementy?

Cóż, nie jest łatwo o tym mówić, ale mimo szeroko zakrojonych poszukiwań nie udało się odnaleźć tajemniczego uśmiechu Młodzieńca, z ust został tylko kawałek górnej wargi. Pamięta pan Alicję w Krainie Czarów? Tam mieliśmy uśmiech bez kota. Tutaj mamy kota bez uśmiechu.

Kota?

Tak go nazywamy w pracowni, przez to futerko, które ma narzucone na ramiona.

\*\*\*

Do otwarcia muzeum zostało kilka minut i Lisa Tolgfors wiedziała, że za chwilę zostanie otoczona przez tłum turystów, którzy od trzech godzin kornie stali w ogonku,

czekając na możliwość zobaczenia nowej największej atrakcji turystycznej Europy. Nie przeszkadzało jej to, wręcz przeciwnie, chciała poczuć zapach tłumu, usłyszeć ochy i achy, zobaczyć cielecy zachwyty w oczach ludzi, którzy nie odróżniliby Giotta od Pollocka. Chciała oszukiwać się przez chwilę, że choćby krótki kontakt z arcydziełem sprawi, że ludzie ci staną się piękniejszymi osobami. Że nie zaczną pół godziny później zastanawiać się, czy da się w tym dziwnym sowieckim mieście nażreć, nawalić i włożyć komuś rękę do majtek, wszystko najchętniej za niewygórowaną środkowoeuropejską cenę.

Na razie jednak była sama. Karolowi jakimś nadludzkim wysiłkiem udało się załatwić, żeby pozwolili jej przez kwadrans być samej w tym najpilniej strzeżonym miejscu w Polsce, ufortyfikowanym i zabezpieczonym, jeśli wierzyć oficjalnym komunikatom, lepiej niż skarbiec Narodowego Banku Polskiego. Lisa pomyślała, że taki komunikat po pierwsze nie świadczy najlepiej o polskim banku centralnym, a po drugie - tu uśmiechnęła się, puszczając oko do jednej z kamer - dla niektórych może stanowić wyzwanie.

Pawilon hrabiego Milewskiego, zwany też Korwinarium, wybudowano w parku na tyłach Muzeum Narodowego w Warszawie, wiernie kopiując salę ekspozycyjną pałacu na Świętej Katarzynie. Tę samą, którą Chorwaci przez dekady nazywali teatrem i do której razem z Anatolem zostali wprowadzeni przez pokryte patyną czasu dwuskrzydłowe, lustrzane drzwi. Pamiętała doskonale te drzwi, ostre śródziemnomorskie słońce, lśniący za oknami Adriatyk. Wnęki ozdobione kartuszami z inicjałami, podest z tajemniczym TLM, oni razem z Anatolem podnieceni jak dzieci zaczytane w przygodowej powieści, odkrywający nazwiska kolejnych malarzy. Dziwaczny chorwacki pisarz patrzący na nich jak na wariatów, tańczący razem z dzieckiem jakiś taniec z hołubcami. Intensywny zapach starej budowli, kurzu, soli, morza i wiatru. Pamiętała też, że cała była obolała po ich wariackiej nocy, po seksie z brzdąkającymi w ogromnej w kuchni garami, po - teraz to wiedziała - najlepszej nocy jej życia. Westchnęła.

Pawilon Milewskiego odtworzono wiernie, w skali jeden do jednego. Wnęki na obrazy, kasetonowe sklepienia; architekci i konstruktorzy dobrze się sprawili. Cóż z tego, skoro tamto miejsce tchnęło autentyczną, graniczącą z szaleństwem miłością do sztuki, a tu czuć było jedynie plastik. Salę na Świętej Katarzynie oświetlało niebo i morze, a salę w Warszawie - ukryte za fałszywymi oknami zestawy świetlówek.

Lisa wstała gwałtownie, myśląc, że tamta sala mimo braku obrazów była świątynią, miejscem kultu. Ta, chociaż wypełniona wartymi miliardy dziełami sztuki, była kryptą. Śmierdziało tu grobem i śmiercią, wszyscy ci ukryci za kuloodpornymi szybami artyści, tacy wielcy, tacy dumni ze swoimi paletami, tacy nieśmiertelni, gryźli od stu lat ziemię.

Spojrzała na swojego Claudea. Tak jak Matejko, pięćdziesięcioletni wówczas mistrz, odmówił namalowania zwyczajnego portretu na zamówienie jakiegoś polskiego szaleńca (co ciekawe, nie przeszkadzało to wiszącym obok Renoirowi i van Goghowi). I tak jak Matejko siedział w obitym pluszem fotelu, podobnie Monet sportretował siebie na zwykłym, upapranym farbami malarskim zydłu, na tle zagraconej pracowni. Miał ślady farby we włosach i w bujnej, już szpakowatej brodzie, a jego smutny, zmęczony wzrok zdawał się pytać: po jaką cholere ja to wszystko właściwie robię?

Piękna była ta chwila artystycznego zwątpienia i Lisa uznała, że jej Claude ponownie stanął na wysokości zadania, jego autoportret był bez wątpienia najlepszy w kolekcji.

Wstała, potoczyła wzrokiem po pozostałych olejnych trupach i skierowała się do wyjścia, słysząc dobiegające już z łącznika kroki pierwszych zwiedzających. Drzwi otworzyły się, zanim dotknęła klamki, dwóch czekających na zewnątrz muzealnych strażników bez wątpienia nie spuściło jej z oka nawet na chwilę.

Już miała wychodzić, kiedy coś w środku, jakieś nagłe uczucie, zatrzymało ją. Uświadomiła sobie, że nigdy już nie wróci do tego miejsca, do tej sali.

Dlatego odwróciła się i poświęciła sekundę *Tout le monde*, częściej nazywanym obecnie naj słynniejszym obrazem w dziejach malarstwa. Czy zasłużenie?

Pewnie tak. Pomyślała, że szalony polski hrabia musiał być albo wielkim bogaczem, albo wielkim czarodziejem, skoro udało mu się skłonić przebywających pod koniec dziewiętnastego wieku w Paryżu artystów, niektórych zresztą bardzo ze sobą skłóconych, jeśli wierzyć biografom, żeby narysowali wspólnie swój autoportret.

Właściwie nie był to autoportret sensu stricto, raczej scenka rodzajowa, grupa znajomych przy zastawionym butelkami wina stole w ogrodzie wiejskiego domu, który zapewne był domem Moneta w Giverny. I nie był to autoportret, ponieważ artyści nie namalowali siebie, lecz kolegów. Spory o to, kto kogo namalował, były tematem numer jeden wśród znawców sztuki i miały nim zostać przez następne lata, ale fachowcy, także Lisa, byli zgodni, że nikt nie zrobił tego byle jak. Może zamówienie hrabiego potraktowali jako wyzwanie? Może wprowadził do zabawy element nagrody? Przeliczalnej na twardą walutę? A może po prostu spodobała im się ta gra i każdy dał z siebie wszystko, żeby namalować portret lepszy od kolegów?

Tak czy owak, portrety były doskonałe, a najlepszy był bez wątpienia portret Aleksandra Gierymskiego. Polak siedział trochę z tyłu, jakby obrażony albo zamyślony, bawił się szklanką wina, obserwował, jak przesączające się przez napój letnie słońce rzuca karmazynowe refleksy na obrus. Na pierwszym planie perorował Renoir, van Gogh i Gauguin



stukali się kieliszkami, Pissarro tasował talię kart, Sisley z komiczną miną człowieka oszukanego przez własny obiad próbował złapać ześlizgującą mu się z talerza pieczoną przepiórkę.

A i tak wzrok przyciągał pochmurny Polak, odosobniony, otoczony smutkiem, bawiący się winem i światłem.

Kto namalował Gierymskiego? Hipotez było tyle co badaczy, ale Lisa nie miała wątpliwości. Jej Claude.

Wyszła, mijając się z pierwszymi zwiedzającymi, spoconymi po spędzeniu kilku godzin w kolejce w upalny, lepki i duszny poranek. Tak jak rok temu zima przyszła wyjątkowo wcześnie, tak teraz postanowiła poczekać, wrzesień był w Warszawie gorący jak lipiec.

Wbiegający do środka ludzie miny mieli takie, jakby w środku darmo dawali telewizory, a nie pokazywali kilka plamek z rozrobionych olejem pigmentów.

Nawet nie można było powiedzieć, żeby grupa gimnazjalistów, odrabiających wolny dzień w szkole na sobotniej lekcji muzealnej, była znudzona. Osoby znudzone mogą być ospałe, mieć głupi wyraz twarzy, mogą ziewać, snuć się bez sensu, robić cierpiętnicze miny - wszystkie te czynności, choć mało ekspansywne, świadczą o tym, że pod tymi minami toczy się życie, tętnice niosą do komórek krew, żyły odnoszą dwutlenek węgla, żołądki trawią śniadanie.

Tymczasem kilkanaście piętnasto, szesnastolatków tkwiło w muzealnej sali pogrążonych w dziwnym letargu, jakby skorzystało z nowo odkrytej formy hibernacji, niewymagającej ciekłego azotu i komór kriogenicznych. Jedna tabletki i wszystkie funkcje życiowe zostają zredukowane do minimum. Nawet jeśli gdzieś tam w środku ich życiowe fabryki funkcjonowały, to na zewnątrz przypominali grupę figur woskowych. Karol Boznański pomyślał, że gdyby ich przenieść do sali rzeźby współczesnej, to ludzie by sobie z nimi robili zdjęcia.

Przewodniczka nie traciła jednak zapału.

- W tym wieku na pewno lubicie tajemnice - zawiesiła na nich wyczekujący wzrok, ale nie mrugnęła jej ani jedna powieka - więc na pewno spodoba wam się historia tej sali. Jest to sala fundacji doktor Zofii Lorentz, historyk sztuki, która odnalazła obraz Rafaela i kolekcję impresjonistów, na pewno czytaliście o tym w gazetach, to znaczy w internecie. Otóż wyobraźcie sobie, że kilka miesięcy po tych wydarzeniach zgłosili się do naszych władz przedstawiciele renomowanej kancelarii prawnej z Zurychu. I powiedzieli, że tajemniczy mocodawca pragnie przeznaczyć dwadzieścia pięć milionów dolarów na specjalną fundację,

która będzie odzyskiwała dla Polski zaginione dzieła sztuki. A musicie wiedzieć, że jest takich dzieł ponad sześćdziesiąt tysięcy...

Karol przestał słuchać, kiedy obok niego usiadła Lisa. W lekkiej lnianej garsonce wyglądała jak ucieleśnienie naturalnej, szwedzkiej elegancji.

- Dwadzieścia pięć baniek, niezła pajda hajcu - zagaiła. - Ot, zagadka, że dobroczyńcu miała tyla siana.

- Nie boisz się, że tutaj są wszędzie kamery i mikrofony? Lisa teatralnie zakryła usta dłonią i rozejrzała się z lękiem.

- Och, chyba nie mózgujesz, że ktoś to łączy z tajemniczym zaginionym Lokomotywym, mój Claude - wyszeptwała. - I z tobą. I ze mną. Nie, niemożliwe...

Przez chwilę siedzieli obok siebie w milczeniu.

- Nie wierzę, że dostałaś za to tylko dwadzieścia pięć baniek.

- Chcesz swoja dola?

- Nie. Tylko myślę głośno.

- Miałam swoje... obligacje? - Lisa nie była pewna użytego słowa.

- Zobowiązania.

- Właśnie. Nasze wspólne zobowiązania zresztą.

Pokiwał głową. Nagle dziwna myśl przeleciała mu przez głowę.

- Zdajesz sobie sprawę, że to najpilniej strzeżone miejsce w Europie. Prawda, Lisa?

Uśmiechnęła się najpiękniej, jak potrafiła.

- Tajemniczy bogacz, jak w bajce, postawił dwa warunki, jakie musi spełnić Polska, żeby otrzymać pieniądze - kontynuowała przewodniczka. - Po pierwsze, nie wolno ich wydać na odkupienie dzieł od antykwariuszy lub paserów. Można je wydać na poszukiwania dzieł oraz na prawników, dzięki którym Polska odzyska swoją własność w sądzie. A po drugie, przy każdym odzyskanym dziele musi się znaleźć informacja, jak tutaj przy odzyskanym portrecie siostry Fryderyka Chopina, Izabelli, że zostało ono odzyskane dzięki staraniom fundacji doktor Zofii Lorentz. Ciekawa jest historia powstania tego obrazu, jak i jego poszukiwań. Otóż portret uważano za bezpowrotnie zniszczony, dopóki w pewnym enerdowskim filmie z lat siedemdziesiątych... Lisa roześmiała się i cmoknęła Karola w policzek.

- Mój drogi, mam ci coś do zakomunikowania - powiedziała polszczyzną tak płynną, że profesor Bralczyk postawiłby jej piątkę. - Gdybyście, nie mówię, że tak się stanie, ale gdybyście pewnego pięknego dnia poczuli, że znudziło wam się urzędniowanie, nauczanie i wszystko to, co teraz uważacie za słuszne. Gdybyście chcieli coś z przytupem odzyskać,

ukraść, wdać się w awanturę, pobłąkać po świecie w poszukiwaniu przygód et cetera...

Skrzywił się.

- Lisa, litości, jędza trzy dni temu urodziła. Nawet jej tego nie będę powtarzał, jeszcze mi życie miłe. Poza tym jak to sobie wyobrażasz...

Uciszyła go, kładąc mu palec na ustach.

- Wiecie, gdzie mnie szukać. Pa!

Pomachała mu i szybkim krokiem odeszła w stronę holu Muzeum Narodowego w Warszawie. Karol patrzył za nią, myśląc o tym, że długo nie będą mieli z Zosią ochoty na żadną awanturę, być może nigdy, i dopiero własne nazwisko, wypowiedziane przez przewodniczkę, wyrwało go z zamyślenia.

-...Karol Boznański, doktor historii sztuki, kiedyś sławny w całej Europie marszand, dziś kierownik specjalnego departamentu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, który zajmuje się odzyskiwaniem utraconych przez Polskę dzieł sztuki, Indiana Jones na państwowej posadzie. Naprawdę macie szczęście, że akurat jest tutaj i zgodził się z wami spotkać.

Mina żadnego z nastolatków nie wskazywała na to, żeby byli choć w minimalnym stopniu uszczęśliwieni. Dla Karola nie był to jednak pierwszy raz, wiedział, że za tymi maskami zazwyczaj kryją się fantastyczne dzieciaki, które po opowiedzeniu kilku przygód będą chodziły za nim jak uczniowie za cadykiem, a z muzeum trzeba będzie wyrzucać je siłą. Tym razem nie zdążył zacząć, kiedy usłyszał pytanie rzucone gdzieś z tyłu grupy.

- Jak nie Rafael, to co?

- Słucham? - Przewodniczka nie zrozumiała, Karol wręcz przeciwnie.

- Pyta pan o to, jakie jest najważniejsze zaginione dzieło sztuki, teraz, kiedy Rafael, to znaczy większość Rafaela - dzieciaki uśmiechnęły się półgębkiem - wróciło do swoich ram w Krakowie? Mogę panu powiedzieć, które jest najważniejsze według mnie i które chciałbym odnaleźć. Nie jest to obraz, nie jest to rzeźba, drogocenna stara księga ani mszalny kielich. To tak zwana Szkatuła Królewska, czyli specjalna, zrobiona na zamówienie skrzynia, w której księżna Izabela Czartoryska gromadziła pamiątki po władcach Polski. Najróżniejsze drobiazgi, na przykład scyzoryk Stefana Batorego, pierścień Zygmunta Starego, zegarek królewicza Sobieskiego, biżuteria królowych, rzeczy osobiste, kilkadziesiąt drogocennych przedmiotów.

- I dlaczego to jest takie ważne?

Przypomniał mu się Nowy Jork. Jak warczała na niego, że powinien potraktować sztukę jako emanację wewnętrznego piękna, które w sobie nosimy. Że powinien pójść

zobaczyć dzieciaki w muzeach, którym to piękno pokazuje nowe rzeczy i nowe drogi. I pomyślał, że powinien coś powiedzieć o tym pięknie albo o tym, że naród bez przeszłości i bez pamięci to naród bez przyszłości i bez nadziei, ale zamiast tego postanowił powiedzieć prawdę. No, półprawdę.

- Oczywiście wszystkie te pamiątki to bez wątpienia wielki narodowy skarb i tylko aby wyeksponować drobiazgi ze Szkatuły Królewskiej, można by zbudować samodzielne muzeum. Ale istnieją pewne dokumenty, każące przypuszczać, że księżna Czartoryska schowała w skrzyni nie tylko lusterka królowych i pieczęcie królów. Dokumenty każące przypuszczać, że szkatuła jest nie tyle skarbem samym w sobie, co kluczem do odnalezienia prawdziwego skarbu. Takiego przez duże „s”.

### **Od autora**

To miała być miła przerwa pomiędzy kryminałami, łatwa wycieczka w świat sztuki i przygody. Tak myślałem, siadając do tej powieści. Trzy miesiące później ciągle nie osiągnąłem etapu pierwszego zdania, ponieważ okazało się, że wycieczka w świat sztuki to tak naprawdę wyprawa w dzikie, niezbadane ostępy. Choć poznałem specjalistów, przeczytałem książki i obejrzałem filmy i choć właściwie powinienem zamiast powieści napisać doktorat o grabieży dzieł sztuki w czasie drugiej wojny światowej, to i tak ciągle czułem, że nic nie wiem, bo w miejsce każdej odpowiedzi pojawiało się kilka następnych pytań.

To była ciężka przeprawa. Dziękuję żonie Marcie i córce Mai za to, że znosiły moje fochy i frustracje przez wiele długich miesięcy. Jesteście wspaniałe. Mam nadzieję, że Karol jest za mały, aby zapamiętać, jak z wściekłości rzucałem przedmiotami (spokojnie, latał tylko pilot do telewizora).

Dziękuję też wszystkim, którzy mi w tej przeprawie pomogli. Wiele z tych wspaniałych i anielsko cierpliwych osób pracuje w administracji publicznej (cywile i wojskowi) i wszyscy oni zareagowali nerwowo na wiadomość, że w jakiegokolwiek formie mogą pojawić się na kartach powieści sensacyjnej. Dlatego dziękuję im bardzo mocno i bardzo serdecznie, ale niestety anonimowo. Janusz Miliszkiewicz wprowadził mnie do świata marszandów i handlu sztuką, cóż, umarło wtedy kilka romantycznych złudzeń. Włodzimierza Kalickiego nigdy osobiście nie poznałem, ale to jego teksty w „Gazecie Wyborczej” były dla mnie najważniejszym źródłem na początku pracy. Dziękuję pierwszym czytelnikom: Marcie, Marcinowi Mastalerzowi i Wojtkowi Miłoszewskiemu za wszystkie uwagi, z którymi kłóciłem się do upadłego, a które ostatecznie uczyniły tę historię lepszą. Wojtkowi także za

to, że podsunął mi pomysł na kluczowy dla fabuły sekret.

Karolina i Jaromir Radziejewscy to moi przyjaciele z Kalatówek, przewodnicy po historii i teraźniejszości tego niezwykłego miejsca. Jeśli podobały się Państwu górskie fragmenty, proszę nie dziękować autorowi, tylko poszukać sympatycznego rudzielca i ślicznej blondynki na wysokości 1217 m n.p.m. Jest szansa, że tam będą. Przy piłkarzykach lub przy wielkich oknach z widokiem na góry.

Amerykańscy rzemieślnicy prozy dziękują zawsze swoim redaktorom, których uważają za najważniejszą dla powieści osobę. Wiem, że nie ma w tym żadnej kurtuazji, i niniejszym kłaniam się nisko przed Filipem Modrzejewskim, który od lat towarzyszy mi w literackiej przygodzie. Bardzo Ci dziękuję, Filipie, Dan Brown powinien Cię zatrudnić od zaraz.

Chciałbym przeprosić czytelników za wszystkie nieświadomie popełnione błędy i zupełnie świadome przeinaczenia, które były mi na rękę. Jeśli ktoś z Państwa chciałby poznać naukową prawdę o poruszonych w powieści zagadnieniach, to powinien zacząć od pozycji Grabież Europy Lynn Nicholas, tekstów Włodzimierza Kalickiego z cyklu Sztuka Zagrabiona („Gazeta Wyborcza”, lata 1998-2000) oraz periodyku „Cenne. Bezcenne. Utracone”, wydawanego przez Narodowy Instytut Muzealnictwa i Ochrony Zbiorów.

I na koniec: gorąco wierzę, że Portret Młodzińca Rafaela Santi istnieje, mam nadzieję, że wróci do Polski i że spotkamy się z tej okazji w Muzeum Czartoryskich w Krakowie.

Do zobaczenia, Z.

Warszawa-Kalatówki, 2012-2013

PS Wasyl Topilin nie pracuje już w FSB. Dzięki tajemniczej wygranej w kasynie w niewielkim karaibskim kraju założył portal społecznościowy, który w Rosji jest obecnie popularniejszy od Facebooka. Młody miliarder znany jest z tego, że zawsze chodzi w kamizelce, a w jej kieszonce nosi staromodny zegarek z dewizką. Nikt nie wie, że pod pokrywką nie trzyma fotografii ukochanej, lecz zdjęcie prezydenta lub premiera Rosji, zależy od daty. Żeby w trudnych chwilach osobistego lub biznesowego zwątpienia móc zerknąć w te ufne, psie oczy i zadać sobie pytanie: co by zrobił na moim miejscu Władimir Putin?

- Nie ratujemy plam z pigmentów na kawałku drewna. Ratujemy ostatniego więźnia dwudziestego wieku, koronnego świadka historii. Rozumiecie?

Doktor Zofia Lorentz cofnęłaby swoje słowa, gdyby wiedziała, jak doskonale oddaje ich sytuację metafora ze świadkiem koronnym w procesie historii. I że dokładnie w tej samej chwili, kiedy ona z błyszczącymi czarnymi oczami opowiadała niezwykle dzieje obrazu Rafaela, w zupełnie innym miejscu świata pewien człowiek podjął decyzję. Decyzję, że za wszelką cenę nie można dopuścić do tego, żeby ktokolwiek odnalazł świadka i odkrył jego tajemnicę. Z punktu widzenia tego człowieka wysoka cena oznaczała skandale dyplomatyczne, kryzysy międzynarodowe i zawirowania na światowych rynkach. Życie paru osób, które spiskowały w brzydkiej metropolii gdzieś w Europie Środkowo - Wschodniej, to nie była dla niego ani cena, ani nawet przeszkoda. Za ledwie perypetia.

(fragment) patronat medialny